

KTO ICH OCALI, JEŚLI NIE ONA?

# GRAHAM MASTERTON

## ŻEBRZAĆ O ŚMIERĆ

Thriller  
z Katie  
Maguire

ALBATROS

## KRUCJATA PRZECIW OKRUCIEŃSTWU

Czworo martwych bezdomnych – dwóch z rdzeniem mózgu przewierconym wiertarką, jeden z odstrzeloną połową twarzy i spalona żywcem dziewczyna. Do tego dwie zaginione kobiety, psychopata wrzucający przechodniów do kanału, błąkająca się po mieście dziewczynka, która szuka mamy...

Ktoś mógłby powiedzieć: rutyna w pracy wydziału śledczego. Niezupełnie, bo jeszcze nie skończył się styczeń, a liczba zabójstw w Cork przekroczyła już tę z całego poprzedniego roku. Ogarnięcie tego i niedopuszczenie do kolejnych zbrodni będzie wymagało od Katie Maguire nadludzkiego wysiłku. Znowu będzie musiała wybierać, komu pomóc najpierw.

Ale kto pomoże jej, gdy sama znajdzie się w śmiertelnym niebezpieczeństwie?

GRAHAM  
MASTERTON  
ŻEBRZĄC O ŚMIERĆ

Z angielskiego przełożył

JANUSZ OCHAB

ALBATROS

Wydanie elektroniczne

## GRAHAM MASTERTON

Popularny angielski pisarz. Urodził się w 1946 r. w Edynburgu. Po ukończeniu studiów pracował jako redaktor w miesięcznikach, m.in. „Mayfair” i w angielskim wydaniu „Penthouse’a”. Autor licznych horrorów, romansów, powieści obyczajowych, thrillerów oraz poradników seksuologicznych. Zdobył Edgar Allan Poe Award, Prix Julia Verlanger i był nominowany do Bram Stoker Award. Debiutował w 1976 r. horrorem **Manitou** (z ekranizowanym z Tonym Curtisem w roli głównej). Jego dorobek literacki obejmuje ponad 80 książek – powieści i zbiorów opowiadań – o całkowitym nakładzie przekraczającym 20 milionów egzemplarzy, z czego ponad dwa miliony kupili polscy czytelnicy. Wielką popularność pisarza w Polsce, którą często odwiedza, ugruntował cykl poradników seksuologicznych, w tym wielokrotnie wznawiane **Magia seksu i Potęga seksu**. W ostatnim czasie Graham Masterton skupił się na kontynuacji cyklu kryminałów z Katie Maguire, do którego należy dziesięć powieści: **Białe kości, Upadłe anioły, Czerwone światło hańby, Uznani za zmarłych, Siostry krwi, Pogrzebani, Martwi za życia, Tańczące martwe dziewczynki, Świst umarłych i Zebrząc o śmierć**.

*Tego autora*

*Sagi historyczne*

WŁADCY PRZESTWORZY  
IMPERIUM  
DYNASTIA

**Rook**

ROOK  
KŁY I PAZURY  
STRACH  
DEMON ZIMNA  
SYRENA  
CIEMNIA  
ZŁODZIEJ DUSZ  
OGRÓD ZŁA

**Manitou**

MANITOU  
ZEMSTA MANITOU  
DUCH ZAGŁADY  
KREW MANITOU  
ARMAGEDON  
INFEKCJA

**Wojownicy Nocy**

ŚMIERTELNE SNY  
POWRÓT WOJOWNIKÓW NOCY  
DZIEWIĄTY KOSZMAR

**Katie Maguire**

BIAŁE KOŚCI  
(książka wcześniej ukazała się pt. KATIE MAGUIRE)

UPADŁE ANIOŁY  
CZERWONE ŚWIATŁO HAŃBY  
UZNANI ZA ZMARŁYCH  
SIOSTRY KRWI  
POGRZEBANI  
MARTWI ZA ŻYCIA  
TAŃCZĄCE MARTWE DZIEWCZYNKI  
ŚWIST UMARŁYCH  
ŻEBRZĄC O ŚMIERĆ

*Inne tytuły*

STUDNIE PIEKIEŁ  
ANIOŁ JESSIKI  
STRAŻNICY PIEKŁA  
DEMONY NORMANDII  
ŚWIĘTY TERROR  
SZARY DIABEŁ  
ZWIERCIADŁO PIEKIEŁ  
ZJAWA  
BEZSENNI  
CZARNY ANIOŁ  
STRACH MA WIELE TWARZY  
SFINKS  
WYZNAWCY PŁOMIENIA  
WENDIGO  
OKRUCHY STRACHU  
CIAŁO I KREW  
DRAPIEŻCY  
WALHALLA  
PIĄTA CZAROWNICA  
MUZYKA Z ZAŚWIATÓW  
BŁYSKAWICA  
DUCH OGNI  
ZAKŁĘCI  
ŚPIĄCZKA  
SUSZA  
SZKARŁATNA WDOWA

Tytuł oryginału:  
BEGGING TO DIE

Copyright © Graham Masterton 2019  
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2020

Polish translation copyright © Janusz Ochab 2020

Redakcja: Joanna Kumaszevska

Zdjęcie na okładce: Silas Manhood Photography

Projekt graficzny okładki: Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

ISBN 978-83-8215-143-5

*Wydawca*

WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

[www.wydawnictwoalbatros.com](http://www.wydawnictwoalbatros.com)

[Facebook.com/WydawnictwoAlbatros](https://Facebook.com/WydawnictwoAlbatros) | [Instagram.com/wydawnictwoalbatros](https://Instagram.com/wydawnictwoalbatros)



*Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.*

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, [hachi.media](http://hachi.media)

# Spis treści

[O książce](#)

[O autorze](#)

[Tego autora](#)

[Dedykacja](#)

[Motto](#)

[Motto](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)



[Rozdział 31](#)  
[Rozdział 32](#)  
[Rozdział 33](#)  
[Rozdział 34](#)  
[Rozdział 35](#)  
[Rozdział 36](#)  
[Rozdział 37](#)  
[Rozdział 38](#)  
[Rozdział 39](#)  
[Rozdział 40](#)  
[Rozdział 41](#)  
[Rozdział 42](#)  
[Rozdział 43](#)  
[Rozdział 44](#)  
[Rozdział 45](#)  
[Rozdział 46](#)  
[Rozdział 47](#)  
[Rozdział 48](#)  
[Rozdział 49](#)  
[Rozdział 50](#)  
[Rozdział 51](#)  
[Rozdział 52](#)  
[Rozdział 53](#)  
[Rozdział 54](#)  
[Rozdział 55](#)

*Dla profesor Sabiny Brennan z Instytutu Neurobiologii Trinity College  
w Dublinie, za jej urok, energię i determinację w walce z demencją.*

*I dla Caroline Delaney z „Irish Examiner” za ciepło, dowcip i odpowiedzi  
na wszystkie niemożliwe pytania, które jej zadają.*

*Celtycką piosenkę Mo Ghille Mear z iPhone'a Katie można znaleźć na stronie [www.youtube.com/watch?v=c2q2pslNDCc](http://www.youtube.com/watch?v=c2q2pslNDCc)*

*Ní thuigeann an sách an seang.*  
Syci nie potrafią zrozumieć głodnych.

Irlandzkie przysłowie

# Rozdział 1

Katie mijąca właśnie żelazną bramę hugenockiego cmentarza przy Carey's Lane, gdy usłyszała płacz dziecka. Przystanęła i nasłuchiwała przez moment. Intuicja podpowiadała jej, że nie jest to wyraz frustracji, głodu czy zmęczenia. Tak mógł płakać tylko ktoś osamotniony i zrozpaczony.

Otworzyła bramę i weszła na teren starannie utrzymanego niewielkiego cmentarza otoczonego wysokim ceglany murem. Większość nagrobków miała postać ułożonych płasko kamiennych płyt, rozdzielonych ścieżkami, które utwardzono warstwą tłucznia i drobnych kamieni. Pod murem stały w regularnych odstępach drzewka w drewnianych donicach.

Na jednej z donic siedziała płacząca dziewczynka. Katie przypuszczała, że ma nie więcej niż dziewięć lat. Jej ciemne włosy były splecione w gruby warkocz, który przerzuciła przez lewe ramię; drobne, chude ciało okrywał płaszcz przeciwdeszczowy z szarej folii, spod którego wystawały żółte kalosze. Łzy pozostawiały na jej brudnej bladej twarzy jaśniejsze smugi. Jasnobrązowe oczy podkreślały delikatną urodę dziewczynki.

Katie podeszła do niej.

– Co się stało, kochanie? – spytała, kucając obok dziecka. – Jesteś tu całkiem sama?

Dziewczynka wykrzywiła usta w podkówkę i wydała z siebie rozdzierający szloch.

– *Unde e mumia mea? Nu-mi găsesec mumia!*

– Przykro mi, ale cię nie rozumiem. – Katie westchnęła. – Znasz w ogóle angielski?

– *Nu-mi găsesec mumia!* – powtórzyła dziewczynka i po jej policzkach znów pociekły łzy.

Katie wyjęła z torebki chusteczkę i delikatnie otarła twarz dziecka.

– Chodzi o twoją mamę, tak? Zgubiłaś swoją mamę?

Dziewczynka skinęła głową.

– *Nu știu unde este! Sa dus în colț și a dispărut!*

– Zniknęła?

Mała ponownie przytaknęła. Katie podniosła się i wyciągnęła do niej rękę.

– Chodź, kochanie, znajdziemy ją. Nie musisz się martwić. Jestem z policji. Rozumiesz? – Wskazała na siebie i powtórzyła: – Policja.

Wyraźnie przestraszona dziewczynka szybko wstała z donicy i spojrzała na bramę cmentarza, jakby rozważała ucieczkę.

– Wszystko w porządku, kochanie! – powiedziała Katie, chwytając ją mocno za lewą rękę. – Nie musisz się bać! Pomogę ci znaleźć mamę, obiecuję! Nic ci nie grozi.

Jezus Maria, nie mam pojęcia, co to za język, pomyślała. Za mało szeleszczący na polski, nie brzmi też jak rosyjski. Może bułgarski albo czeski?

– Jak masz na imię? – spytała. Znowu wskazała na siebie. – Ja jestem Kathleen. Tak mam na imię. Większość ludzi nazywa mnie Katie. – Potem wskazała na dziewczynkę i spytała: – A ty?

– Ana-Maria.

Katie raz jeszcze otarła jej zapłakane oczy. Miała ochotę napluć na chusteczkę i wytrzeć jej brudną buzię, jak robiła to kiedyś mama, gdy ona była mała.

– Ana-Maria to piękne imię. Powiem ci, co zrobimy, Ano-Mario. Pójdziemy tam, gdzie pracuję, i dowiemy się, jakim mówisz językiem i skąd pochodzisz, a potem poszukamy twojej mamy. Kiedy będziesz na nią czekała, umyjesz się i zjesz coś dobrego, zgoda?

Być może Ana-Maria nie rozumiała z tego ani słowa, lecz Katie uśmiechała się przy tym, kiwała głową i pokazywała na migi, jak myje twarz, a potem je i pije, wydawało się więc, że dziewczynka wszystkiego się domyśliła. Ścisnęła mocniej dłoń Katie, po czym obie opuściły cmentarz i przeszły Carey's Lane do St Patrick's Street.

W ten wtorkowy ranek na St Patrick's Street było mnóstwo ludzi, którzy przyszli na zakupy, ulicznych grajków, żywych posągów i osób kwestujących; jezdnią wolno sunął sznur samochodów osobowych i autobusów.

– Wypatruj mamy, Ano-Mario – powiedziała Katie, kiedy dochodziły do Winthrop Street. – Jeśli ją zobaczysz, zawołaj ją, dobrze?

Winthrop Street była zamknięta dla ruchu kołowego, mogły więc iść środkiem ulicy, między rzędami sklepów. Katie machała lekko ręką dziewczynki i co chwila spoglądała na nią z uśmiechem, chcąc w ten sposób dodać dziecku otuchy.

– Lubisz McDonalda? – spytała. Na szczęście jest na świecie choć jeden język, który rozumieją wszystkie dzieci, pomyślała, gdy mała skinęła głową.

Były już niemal przy barze Long Valley, kiedy jakieś pięćdziesiąt metrów dalej zobaczyła wysokiego mężczyznę o zmierzwiionych siwych włosach, ubranego w szarą skórzaną kurtkę. Stawiał długie kroki, pochylony lekko do przodu, jakby dokąds się spieszył, lecz na ich widok

zatrzymał się tak raptownie, jakby nagle wszedł w niewidzialną latarnię.

Ana-Maria na jego widok wydała z siebie cichy jęk i mocno pociągnęła ją za rękę.

– Co się dzieje? Kto to jest? – spytała Katie, lecz dziewczynka tylko pociągnęła ją jeszcze mocniej.

Mężczyzna zaczął biec w ich stronę; sadył wielkie, nieco koślawe susy. Katie natychmiast przesunęła małą za siebie, osłaniając ją własnym ciałem. Podniosła prawą rękę, gotowa bronić się przed nieznanym, gdyby musiała to robić.

Nieznamy miał posępną, groźną minę, mrużył oczy i zaciskał mocno usta. Wpadł na nie z całym impetem i choć Katie zdołała zadać cios karate, mężczyzna był tak ciężki, a do tego tak rozpędzony, że poleciała do tyłu i upadła na chodnik, uderzając głową o jedno z metalowych krzeseł stojących przed sklepem mięsny O'Flynn.

Wypuściła przy tym dłoń dziewczynki i ta natychmiast rzuciła się do ucieczki. Biegła z powrotem w stronę St Patrick's Street, zręcznie omijając przechodniów. Facet w szarej kurtce pogalopował za nią, zderzył się z młodą kobietą z dziecięcym wózkiem, po czym bezceremonialnie odepchnął na bok starszego mężczyznę, który zatrzymał się, by jej pomóc.

Katie poderwała się na równe nogi i popędziła za nim. Dogoniła go przy sklepie papierniczym Hallmark. Naskoczyła na niego niczym koń pokonujący przeszkodę i kopnęła go prosto w krzyż. Potknął się, poleciał do przodu i wpadł na stojak z pocztówkami, rozsypując je na chodnik. Zdołał jednak utrzymać się na nogach i zamachnął się pięścią na Katie, parskając przy tym gniewnie.

Obróciła się w miejscu i z całej siły wymierzyła mu kopniaka w krocze.

– *Dah! Futui!* – wrzasnął i zgiął się wpół, padając do tyłu prosto na szklane drzwi sklepu, które pod ciężarem jego ciała pękły z głośnym trzaskiem.

– Nie ruszaj się! – krzyknęła Katie, gdy próbował się podnieść. – Policja! Jesteś aresztowany! Mówiłam, nie ruszaj się!

– *Dute dracu, scorpie!* – odwarknął. Zaczął podnosić się z ziemi, a gdy podeszła bliżej, by go powstrzymać, sięgnął za siebie, chwycił trójkątny kawałek szyby i wycelował w Katie, jakby to było ostrze noża. – Spróbuj mnie jeszcze raz kopnąć, suko, a zabiję cię – zagroził z silnym obcym akcentem. Wstał, raz po raz dźgając powietrze przed sobą odłamkiem szkła, choć ostre krawędzie kaleczyły jego dłoń, z której spływała strużka krwi.

Katie cofnęła się o krok, wyjęła iPhone'a i wybrała numer alarmowy. Mężczyzna ruszył chwiejnym krokiem w stronę St Patrick's Street;

wymachiwał odłamkiem szkła, by odstraszyć każdego, kto ważyłby się go zatrzymać. Potem cofnął się o kilka kroków, do bocznych drzwi domu towarowego Brown Thomas, i zniknął we wnętrzu budynku.

Katie tymczasem biegła St Patrick's Street, wypatrując wśród przechodniów Any-Marii. Podskakiwała raz po raz, by dojrzeć cokolwiek ponad głowami otaczających ją ludzi. Wtedy właśnie dobiegło do niej dwoje policjantów, kobieta i mężczyzna w jaskrawożółtych kurtkach.

– Facet w szarej skórzanej kurtce próbował porwać dziewczynkę – zaczęła im pośpiesznie tłumaczyć. – Wbiegł do Brown Thomas, może tam jeszcze być. Uważajcie, bo jest agresywny i ma kawałek rozbitego szkła, którego używa jak noża.

W tym momencie zza rogu, z Merchants Quay, wyjechał radiowóz na sygnale.

– Wejdźcie do środka i spróbujcie go zatrzymać – poleciła dwojce policjantów. – Chłopaki z radiowozu będą pilnować drzwi, gdyby chciał uciekać.

Z policyjnego samochodu, który zaparkował obok pomnika Ojca Mathew, wysiadło dwóch funkcjonariuszy. Jednocześnie od strony Grand Parade nadjechał kolejny radiowóz.

Katie szybko wyjaśniła im sytuację, a potem zadzwoniła na komendę z prośbą, by rozesłano po całym mieście opis Any-Marii. Kończyła właśnie rozmowę, gdy pojawił się sierżant Nicholas Kearns w towarzystwie dwóch kolejnych funkcjonariuszy. Kearns całkiem niedawno awansował do stopnia sierżanta, dowiedział już jednak, że w sytuacjach kryzysowych potrafi zachować zimną krew. Miał szeroką, przyjazną twarz o krzaczastych blond brwiach i poruszał się ze swobodą i pewnością człowieka, który codziennie rano spędza godzinę na siłowni.

– Kim jest ten podejrzany, którego szukamy? – spytał.

– Mężczyzna ze wschodniej Europy, sądząc po akcencie – odparła Katie. – Agresywny. I uzbrojony w kawałek szkła, którym mógłby ci odciąć głowę, więc lepiej na niego uważaj.

Powierzyła Kearnsowi dowodzenie nad poszukiwaniami mężczyzny, a sama poszła szukać dziewczynki. Przemierzała powoli zatłoczoną St Patrick's Street, zaglądając do wszystkich sklepów i bocznych uliczek, ale do tej pory mała mogła się ukryć w jednej z setek bram albo przebiec do innej dzielnicy. Gdy Katie dotarła w końcu do Finn's Corner przy Grand Parade, zdała sobie sprawę, że Ana-Maria zniknęła i nie ma większych szans na jej odnalezienie.

Zdyszana, wróciła do Brown Thomas. Policjanci, którzy zajmowali się poszukiwaniami mężczyzny w szarej kurtce, stali teraz na chodniku przed głównym wejściem.

– Nic? – spytała sierżanta Kearnsa.



Pokręcił głową.

– Ani śladu. Przeszukaliśmy nawet dział z damską bielizną, ale facet może być wszędzie. Będę rozpytywał w różnych miejscach, zwłaszcza wśród imigrantów. Ktoś musi wiedzieć, kim on jest i gdzie się zwykle kręci.

– Martwię się o tę dziewczynkę. – Katie westchnęła ciężko. – Nie mam pojęcia, dlaczego ją ścigał ani dlaczego tak bardzo się go przestraszyła. Mam tylko nadzieję, że to my znajdziemy ją pierwsi.

## Rozdział 2

Kiedy Katie usłyszała płacz Any-Marii, szła właśnie do pracowni krawieckiej Cari's Closet, by odebrać suknię wieczorową po przeróbkach. Ale potrzebowała jej dopiero w przyszłym miesiącu, postanowiła więc pójść po nią następnego dnia i poprosiła Kearnsa, by zawiózł ją na komendę przy Anglesea Street.

– Trzeba się naprawdę namęczyć, żeby mieć tych wszystkich imigrantów na oku – powiedział sierżant Kearns, gdy jechali wzdłuż rzeki. – Wiem, że mamy być politycznie poprawni, ale jest coraz gorzej. Przyjeżdża ich do nas tylu, że trudno to nawet zliczyć, a połowa dociera tu nielegalnie albo szuka azylu... albo udaje, że potrzebuje azylu.

– Nie wiem, w jakim języku mówiła ta dziewczynka – odezwała się Katie w zamyśleniu. – Wydawało mi się, że z jakiegoś kraju środkowoeuropejskiego, ale kto wie?

– Niedawno przymknęliśmy faceta, który mówił tylko po uzbecku. A przynajmniej tak twierdził. Przez pół dnia ściągaliśmy tłumacza tego cholernego uzbeckiego, że się tak brzydko wyrażę. Teraz przynajmniej wiemy, jak po ichniemu jest „kieszonkowiec”. *O'g'ri*. Czegoś takiego nie nauczą cię w akademii w Templemore.

Zanim Katie poszła do swojego gabinetu, zajrzała do detektywa komisarza Fitzpatricka, który pracował nad programem mającym na celu identyfikację i monitorowanie podejrzanych imigrantów. Kiedy weszła do gabinetu, siedział przy biurku i wpatrywał się ponuro w długą listę nazwisk na laptopie.

– Jak leci, Robert? – spytała, przyciągając sobie krzesło.

Fitzpatrick pokręcił głową. Był całkiem siwy, choć miał zaledwie pięćdziesiąt trzy lata, poza tym wyglądał jednak jak muskularny napastnik rugby, w dodatku ze złamanym nosem. Zawsze traktował Katie z ogromną uprzejmością i szacunkiem, ale jego oczy pozostawały niepokojąco zimne i pozbawione wyrazu. Nie była w stanie odgadnąć, co właściwie myśli, a czasami, gdy wydawał się całkiem spokojny, zaskakiwał ją gwałtownością swoich reakcji.

– Tropienie tych szubrawców to jak szukanie igły w stogu siana – poskarżył się. – Niektórzy przyjeżdżają tu pojedynczo, jako turyści, a potem łączą się w grupy i przez tydzień włamują się do domów albo obrabiają ludzi. Zanim ich wypatrzymy na nagraniach z kamer i zidentyfikujemy, są już za granicą i wracają do tej cholernej dziury,

z której przyjechali. Ale trzeba przyznać, że są świetnie zorganizowani, bez dwóch zdań.

– Będziemy musieli się postarać i zorganizować jeszcze lepiej niż oni – odparła Katie. – Ale na razie chciałabym namierzyć jednego, konkretnego, łajdaka.

Opowiedziała o Anie-Marii i podała inspektorowi opis mężczyzny w szarej kurtce. Sporządziła nawet szkic, choć nigdy nie miała szczególnego talentu w tym kierunku. Magiczne królestwa, które rysowała jako dziewczynka, były zaludnione przez patykowate wróżki i smoki, przypominające raczej ziejące ogniem osły.

– Każę przejrzeć Broganowi wszystkie zdjęcia z kamer przemysłowych, jakie mamy do dyspozycji, może uda się go wypatrzeć – powiedział Fitzpatrick. – Naprawdę nie masz najmniejszego pojęcia, w jakim języku mówiła ta dziewczynka? To by nam bardzo pomogło. Sama wiesz, że mniejszości trzymają się zwykle razem, mieszkają w tych samych dzielnicach. Na przykład wszyscy Somalijscy zatrzymują się przy Shandon Street, Rumuni w Orchard Court w Blackpool, a większość Polaków gnieździ się w kawalerkach przy Lower Glanmire Road.

– Spróbuję przypomnieć sobie choć kilka słów – odparła Katie. – Na pewno mówiła „mama”, choć brzmiało to raczej jak „mumia”. Padło też na pewno „zniknęła”, choć brzmiało to bardziej jak francuskie niż angielskie, coś w rodzaju *disparu*.

– Ja nie rozpoznałbym nawet tego. Moja francuszczyzna ogranicza się do takich wyrażeń jak „dybie siwu ple”.

– Pewnie masz na myśli *deux bières, s'il vous plait*.

– To właśnie powiedziałem.

Katie przeszła do swojego gabinetu. Wcześniej zjadła już połowę kanapki z kurczakiem, którą zabrała do pracy na lunch, a teraz z ociąganiem wysunęła szufladę i spojrzała na pozostałą połowę. Po spotkaniu z Aną-Marią i bójce z tym typem w szarej kurtce jakoś straciła apetyt. Wyjęła z pudełka na lunch gruszkę, obejrzała ją ze wszystkich stron, po czym odłożyła.

Chwilę później do biura weszła jej asystentka, Moirin, która tego dnia związała farbowane na czarno włosy żółtą opaską, dzięki czemu jeszcze bardziej niż zwykle przypominała disnejowską Królową Śnieżkę – tyle że starszą o dziesięć lat i cięższą o parę kilogramów.

– Zastępca komendanta Pearse pytał, czy mogłaby pani do niego wpaść, jak tylko pani wróci – powiedziała. – Będzie w dawnym biurze komendanta MacCostagáina.

– Dzięki, Moirin. Mogłabyś mi przynieść espresso, zanim tam pójde? Czuję, że bardzo potrzebuję kofeiny.

– Jasne. Aha, zostawiłam tu coś jeszcze na pani biurku, w tej torebce. Ktoś znalazł to przypadkiem i oddał na komendę, ale sierżant O'Farrell

uznał, że zechce pani rzucić na to okiem. Wydaje mu się, że to jeden z pierścieni, które w zeszłym miesiącu skradziono w Muzeum Miejskim. Twierdził, że nie uwierzy pani, gdzie się znalazł.

Katie podniosła przezroczystą foliową torebkę leżącą obok lampki na blacie biurka. W środku znajdował się pasek papieru z napisem ZŁOTY PIERŚCIEN i numerem powiązanej z nim sprawy. Kiedy otworzyła torebkę i ją przechyliła, pleciony złoty pierścień, czy raczej pierścionek, wypadł na jej dłoń. Choć był dość ciężki, wydawał się niewielki, więc zapewne nosiła go kobieta; mężczyzna mógłby go wsunąć co najwyżej na najmniejszy palec. Na powierzchni klejnotu wyryto maleńki wizerunek: twarz kobiety z zamkniętymi oczami. Pierścionek był już mocno znoszony – miał wiele rys, a na czole kobiecej twarzy widniało głębokie zagłębienie.

– Niezwykły, prawda? – Katie podniosła go i przyjrzała się uważnie. – Ale chyba nie jest wart zbyt wiele. Prawdę mówiąc, wątpię, czy to w ogóle prawdziwe złoto. Będę musiała poprosić Dianę Breen, żeby się nim zajęła. Zna się na starej biżuterii jak mało kto.

– Przypomina mi to pierścionek mojej babci. Była na nim twarz świętej Samthann, babcia codziennie ją całowała.

– Tak? A kim była ta święta Samthann?

– Założyła opactwo w Clonbroney. Jak głosi legenda, kiedy jakiś mnich przechodził przez rzekę, żeby dobrać się do jednej z dziewczyn z jej opactwa, olbrzymi węgorz ugryzł go w klejnoty, a potem owinął się wokół jego pasa i nie puścił go, dopóki biedak nie stanął przed świętą Samthann i nie poprosił jej o wybaczenie. Babcia mówiła mi, że kiedy w młodości jakiś drań próbował ją zgwałcić, pomodliła się do świętej Samthann, a wtedy zza płotu sąsiada wybiegł pies i ugryzł gnojka w tyłek. Nie wiem, czy to prawda, ale brzmi niezłe.

– Sierżant O'Farrell mówił ci, gdzie znaleziono ten pierścionek?

– Nie, ale powiedział, że później o tym z panią pogada.

– W porządku, dzięki Moirin. – Katie odłożyła pierścionek na biurko.

W tym momencie zabrzczał jej iPhone. Zerknęła na ekran i zobaczyła, że to SMS od Conora, jej przyszłego męża. Sprawdzał w Mallow informację o skradzionym wyśle weimarskim i uprzedzał, że wróci późno. *Nie przejmuj się. Na kolację zrobię kotleciki rybne*, odpisała. Potem jednak zaczęła się zastanawiać, czy nie kupiła za mało bułki tartej.

\* \* \*

Drzwi dawnego gabinetu komendanta MacCostagáina, z których usunięto tabliczkę z nazwiskiem i stopniem, tak że zostały tylko cztery głębokie otwory, były szeroko otwarte. Gdy Katie weszła do środka,

zastępca komendanta Pearse siedział na skraju biurka, z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Przed oknem, odwrócony do niej plecami, stał policjant w jasnoniebieskiej koszuli z pagonami, na których widniały insygnia nadinspektora – dwa żółto-czerwone romby i żółto-czerwona belka.

Był wysoki, dorównywał wzrostem Conorowi, i miał krótkie czarne włosy, lekko przetykane siwizną. Mówił coś o naborze i o tym, że byłoby dobrze, gdyby liczba sierżantów wzrosła do czterdziestu.

– I chodzi nie tylko o to, żeby było nas więcej, ale też o to, żeby poprawił się nasz wizerunek. Nie powinniśmy zamykać oczu i zatykać uszu, bo to niczego nie zmienia. Straciliśmy szacunek w społeczeństwie i musimy się bardzo starać, by go odzyskać.

Katie stanęła jak wryta. Była pewna, że rozpoznaje ten głos. Głęboki, z lekkim, lecz wyraźnym akcentem z okolic Sligo. Mężczyzna robił długie pauzy, jakby chciał, by były równie znaczące co same słowa.

– Katie, witaj, jak leci? – odezwał się Pearse, zeskakując z biurka. – Słyszałem, że dobrze się bawiłaś.

– Nic poważnego – rzuciła. – Jakiś facet z Europy Wschodniej zgrywał twardego.

Policjant stojący przy oknie odwrócił się. Tak, to był on, Brendan O’Kane. Oczywiście był starszy niż wtedy, gdy poznała go w szkole policyjnej w Templemore, wciąż jednak miał te same wyraziste rysy twarzy i szelmowski błysk w oku, jakby zastanawiał się nieustannie, co by tu zbroić, choćby tylko dla zabawy.

W rzeczywistości rzadko sprawiał kłopoty, z wyjątkiem sytuacji, gdy koniecznie chciał postawić na swoim. Awansował szybciej niż którykolwiek z innych kolegów Katie z akademii, a kiedy ostatnio miała jakieś wieści na jego temat, był inspektorem dowodzącym Operacyjną Jednostką Wsparcia, z policyjnymi śmigłowcami, psami, łodziami i nurkami oraz patrolami konnymi.

Na drugim roku w akademii Brendan był przez trzy i pół miesiąca jej kochankiem. Pociągała ją bijąca od niego aura ryzykanta i człowieka nieobliczalnego – rzeczywiście okazał się nieobliczalny, bo gdy pewnego ranka wróciła wcześniej z treningu sztuk walki, zastała go w łóżku ze swoją współlokatorką Éamą.

Teraz podszedł do niej, unosząc lekko brew, jakby się spodziewał, że wygłosi jakąś kąśliwą uwagę o tym, co zaszło między nimi przed laty.

– Nadkomisarz Maguire – powiedział tym swoim głębokim, czekoladowym głosem. – Czytałem bardzo pochlebne raporty na pani temat.

– Nie próżnuję, panie nadinspektorze – odparła Katie. – Mogę założyć, że zajmie pan tutaj miejsce Denisa MacCostagáina?

– Biedny Denis... tak. Hm... raczej lekkomyślny. Zaczynam od dzisiaj. Ten przydział był dla mnie takim samym zaskoczeniem, jakim pewnie jest dla pani. Będzie mi brakowało łodzi, psów i śmigłowców. Przede wszystkim śmigłowców, bo dzięki nim mogłem się szybko przemieszczać. Ale to, co macie tu, w Cork, z pewnością jest wyzwaniem. Muszę przyznać, że cieszę się na tę ciężką pracę, i przypuszczam, że urobię sobie ręce po łokcie.

– Och, z pewnością. Ale można chyba bezpiecznie powiedzieć, że w tym momencie Garda Síochána w Cork jest czysta. Wkrótce będzie się pan cieszył takim szacunkiem, jakiego pan pragnie.

– Z tego, co wiem, wszystko to jest waszą zasługą – zauważył Brendan O’Kane. – Kilka dni temu rozmawiałem z jednym z inspektorów z jednostki antykorupcyjnej o wszystkim, co zrobiliście, by oczyścić komendę w Cork. Aresztowanie Denisa MacCostagáina było wisienką na torcie. – Uśmiechnął się krzywo i dodał: – Powiedział mi, że powinienem na panią uważać, pani nadkomisarz Maguire.

Boże jedyny, robi dokładnie taką samą minę jak wtedy, kiedy obejrzał się przez ramię i zobaczył mnie w drzwiach pokoju, gdy on leżał goły na Éamie, pomyślała Katie. Minę, która mówi: „No dobrze, złapałaś mnie na gorącym uczynku i co zamierzasz z tym zrobić?”.

– Jutro rano zwołam ogólne zebranie, żebyśmy mogli przedstawić się wszystkim na komendzie – kontynuował Brendan O’Kane. – Ale może ma pani czas dziś wieczór, pani nadkomisarz Maguire. Moglibyśmy omówić długofalową strategię przy kolacji.

– Dziś wieczorem nie mogę, panie komendancie, przykro mi. Muszę wrócić do domu i zrobić kotleciki rybne dla mojego narzeczonego.

Brendan O’Kane westchnął z rezygnacją. Dobrze wiedział, co chce mu przez to powiedzieć: że będzie musiał na nowo zdobyć jej zaufanie.

Pearse wyczuł napięcie między nimi, ale klasnął w dłonie i powiedział:

– Kotleciki rybne! Minęły całe wieki, odkąd je ostatnio jadłem! Już mi leci ślinka!

## Rozdział 3

– Cholera, trzeci raz w tym miesiącu – narzekał Darragh, prowadząc karetkę przez korek, który utworzył się pod centrum handlowym w Blackpool. – Chyba szatan rzucił jakąś klątwę na to skrzyżowanie.

– I zawsze we wtorek – dodała Brianna. – Moja babcia mówiła, że to pechowy dzień tygodnia, bo we wtorek zastrzelono Michaela Collinsa.

Trzeciego stycznia zginęła starsza para, która przechodziła przez Commons Road, główną drogę na północ od Mallow, a zaledwie dziewięć dni temu potrącono rowerzystę, czternastolatka, który doznał pęknięcia czaszki. A dziś rano żółty ford fiesta wyjechał z Popham's Road na czerwonym świetle i zderzył się z autobusem jadącym na południe.

Czerwono-srebrny autobus Expressway stał teraz na środku skrzyżowania; jego wielkie lusterka sterczały na boki niczym czułki olbrzymiej rannej osy. Ford fiesta przeleciał nad stalową barierką Commons Road i leżał na dachu na parkingu przy centrum handlowym. Darragh i Brianna dowiedzieli się, że kierowca i jego pasażer wciąż tkwią w aucie.

– Niech to szlag... – mruknął Darragh, omijając wchodzących na drogę ludzi: zarówno klientów centrum, jak i pasażerów Expressway czekających na następny autobus. Wyglądało na to, że będą się musieli uzbroić w cierpliwość, bo Commons Road była zablokowana na odcinku co najmniej kilometra w obie strony.

– Uważaj na tego matoła – ostrzegła Brianna. – Lepiej nie dokładać następnych ofiar.

Dwaj policjanci w jaskrawych kamizelkach przywołali ich do wejścia na parking. Kiedy tam skręcili, usłyszeli wycie syren, a Brianna dostrzegła migoczące niebieskie światła dwóch wozów strażackich, które jechały w ich stronę od Ballyvolane. Odetchnęła z ulgą, bo nie ma nic gorszego niż ratowanie ofiar wypadku, które są tak zakleszczone w samochodzie, że nie można im udzielić pierwszej pomocy.

Gdy zaparkowali, Brianna sięgnęła po worek resuscytacyjny, wysiadła z karetki i podeszła do rozbitego samochodu. Dach fiesty został wciśnięty tak mocno, że przypięci pasami kierowca i pasażer wisieli do góry nogami i byli mocno skuleni, bo brakowało miejsca na głowy. Choć poduszki powietrzne zadziałały, Brianna podejrzewała, że obaj mogą mieć poważne obrażenia szyi.

Przy fieście stało trzech policjantów. Udało im się uchylić drzwi po stronie pasażera, lecz nie na tyle, by mogli wyjąć uwięzioną młodą kobietę. Miała zamknięte oczy, a z kącików jej ust wypływały strużki krwi. Brianna pomyślała, że dziewczyna ma nie więcej niż siedemnaście lat. Była w dżinsowej minispódniczce i dżinsowej kurtce; włosy miała krótkie, pofarbowane na różowo.

Brianna uklękła przy samochodzie, podwinęła rękaw i zdołała przecisnąć rękę przez wąską szparę przy drzwiach, by zbadać tętno młodej kobiety: dwadzieścia osiem uderzeń na minutę, niebezpiecznie niskie, co oznaczało, że ofiara mogła mieć obrażenia wewnętrzne i doznać wstrząsu kardiogenego. Powieki dziewczyny zatrzepotały na moment, wyszeptala coś zakrwawionymi ustami, potem jednak ponownie zamknęła oczy, a jej tętno jeszcze się obniżyło.

Darragh kucnął po drugiej stronie samochodu. Tu drzwi były mocno zatrzaśnięte, ale jeden z policjantów rozbił szybę policyjną pałą i Darragh sprawdzał tętno kierowcy, próbując ocenić, jakie mógł odnieść obrażenia. Kierownica uderzyła go mocno w pierś, przy każdym oddechu wydawał z siebie ciche piski, jak mysz.

Według oceny Brianny kierowca był trzy, może cztery lata starszy od dziewczyny. Miał wygolone po bokach głowy włosy, a jego szyję oplatał tatuaż przedstawiający węża. Siła uderzenia praktycznie rozerwała mu rękę na pół, bo z łokcia wystawały dwie długie kości przedramienia, które rozdarły zieloną bluzę dresową JD Sports.

Z dwóch wozów strażackich, które zatrzymały się przy karetce, wyskoczyło sześciu strażaków i podbiegło do rozbitej fiesty. Kilka sekund później podjechał do nich czerwony ford ranger; wysiadł z niego zastępca komendanta straży Stephen O'Grady. W Cork uchodził za głównego specjalistę od poważnych, groźnych wypadków. Był niemłodym brzuchatym mężczyzną o ogniste czerwonych policzkach i małych, szczeciniastych wąsikach.

Strażak dowodzący akcją ratunkową pochylił się nad rozbitym kierowcą, by ocenić jej stan i zdecydować, jak wydobyć uwięzionych w środku kierowcę i pasażerkę. Był bardzo wysoki, miał czarne włosy i posępną minę. Brianna bez trudu mogła go sobie wyobrazić z kosą w jednej ręce i klepsydrą w drugiej.

– Będziemy potrzebowali rozpieracza, Michael! – zawołał. – I nożyc! I dwóch taranów!

– Ci dwoje to jedyne ofiary? – spytał zastępca komendanta, podchodząc do policjantów. – A co z pasażerami autobusu?

– Kierowca jest w lekkim szoku – odparł jeden z funkcjonariuszy. – Pasażerowie trochę się potłukli przy zderzeniu, ale skończyło się tylko na kilku posiniaczonych kolanach i guzach na głowie. Większość jest



wściekła, bo spóźnią się tam, dokąd jechali. Prawdziwie chrześcijańskie podejście i współczucie dla bliźniego...

– No tak, to szczęście w nieszczęściu, że nikt inny nie został ranny. – O’Grady pokiwał głową, choć Brianna miała wrażenie, że w jego głosie pobrzmiwa nuta rozczarowania.

– Koniecznie musimy jak najszybciej wyjąć tych dwoje – wtrącił szorstko Darragh. – Nawet jeśli nie mają popękanych kręgosłupów, to w takiej pozycji są narażeni na bardzo silny ucisk na kręgi szyi, a to może doprowadzić do stałego uszkodzenia rdzenia kręgowego.

– Najlepiej będzie wyciągnąć ich od tyłu, jak ostrygę z muszli – powiedział dowódca strażaków. – Najpierw ściągniemy drzwi. Potem przetniemy tył i podniesiemy podłogę.

Strażacy przynieśli dwa rozpieracze Holmatro. Przy akompaniamencie turkotu pomp hydraulicznych i głośnych zgrzytów, które przyprawiały Briannę o gęsią skórkę, usunęli drzwi fiesty z obu stron. Potem przeciągnęli brezentowy pas przez wnętrze auta, pod udami pacjentów, i naciągnęli go mocno, by odciążyć ich szyje.

Brianna przyglądała się rannym, przygryzając paznokcie kciuka. Oboje byli nieprzytomni, z ust dziewczyny wciąż sączyła się krew.

– Szybciej! – pogaśniała strażaków. – Musicie dać z siebie wszystko. To decydujące dwadzieścia minut.

Strażacy usunęli tylną szybę fiesty, a potem nożycami przypominającymi szczypce olbrzymiego czarnego kraba przecięli słupki podtrzymujące dach. Następnie umieścili we wnętrzu samochodu, tuż za przednimi fotelami, dwa hydrauliczne rozpieracze. Gdy uruchomili pompę, rozpieracze powoli podniosły podłogę tak, że tył samochodu otworzył się niczym muszla ostrzygi. Gdy tylko otwór był wystarczająco szeroki, strażacy wsunęli nad dach dwie długie deski, jedną pod kierowcę, a drugą pod dziewczynę. Potem odchyłili maksymalnie przednie siedzenia, usunęli brezentowy pas i przecięli pasy bezpieczeństwa.

Najdelikatniej, jak tylko się dało, ratownicy medyczni i dwaj strażacy opuścili rannych, aż ich ciała ułożyły się na deskach. Teraz mogli ich wyjąć z samochodu i przenieść do karetki.

Kiedy już się w niej znaleźli, Brianna założyła dziewczynie kamizelkę Kendricka i zaciągnęła paski za jej tułowiem, talią i głową. Tego rodzaju kamizelka stabilizuje pacjenta, zmniejszając ryzyko kolejnych obrażeń kręgosłupa. Darragh zajmował się w ten sam sposób rannym mężczyzną. Potem przetoczyli oboje pacjentów z desek na nosze.

– No dobra. – Darragh odetchnął, siadając za kierownicą. – Jedziemy.

Włączywszy światła i syreny, ruszyli z piskiem opon z parkingu, skręcili ostro w lewo na skrzyżowaniu i popędzili w stronę miasta.

Starając się utrzymać równowagę w rozkołysanej karetce, Brianna założyła maski tlenowe i pulsoksymetry zarówno dziewczynie, jak i młodemu mężczyźnie. Dawniej podałaby jeszcze obojgu kroplówkę z atropiną, ale teraz uważano, że ofiary mają większe szanse na przeżycie, jeśli jak najszybciej przewiezie się je do szpitala, a opatrywanie ich na miejscu wypadku jest stratą cennego czasu.

Ponownie sprawdziła tętno dziewczyny. Było nieco mocniejsze, sięgało czterdziestu ośmiu uderzeń na minutę, a z jej ust nie płynęła już krew. Jeśli nie miała uszkodzonego kręgosłupa i poważniejszych obrażeń wewnętrznych, jej szanse na przeżycie były spore.

Brianna musiała się mocno trzymać wózka z noszami, gdy Darragh po przejechaniu przez rzekę mostem Christy Ring skręcił ostro w prawo w Lavitt's Quay. Kiedy już odzyskała równowagę, zajęła się rannym chłopakiem. Jego twarz widoczna spod maski tlenowej przybrała barwę owsianki, oddychał płytko i nieregularnie. Brianna położyła dłoń na jego piersiach i wyczuła charakterystyczny chrzęst połamanych żeber.

Zachwiała się lekko, gdy Darragh omijał pojazdy zaparkowane przy ulicy, po czym sprawdziła tętno pacjenta. Nie przekraczało trzydziestu dwóch uderzeń na minutę, było słabe i nieregularne. Dzięki dodatkowemu tlenu jego serce wciąż działało, ale ze względu na obrażenia klatki piersiowej Brianna nie mogła go resuscytować, a nie wiedziała, czy stosując defibrylator, nie pogorszy stanu chłopaka. Doświadczenie podpowiadało jej, że pacjent ma nie więcej niż dziesięć procent szans na przeżycie.

– Co z nimi?! – pytał Darragh, przekrzykując wycie syren.

– Dziewczyna chyba da radę, ale z chłopakiem jest słabo.

– Posłuchaj, jeszcze pięć minut i będziemy na miejscu! – zapewniał ją Darragh. – Powiedz mu, żeby się trzymał, dobra? Mamy najgorszy bilans przeżywalności w całym pieprzonym szpitalu.

– W tym stanie i tak nie będzie mnie słuchał! – odkrzyknęła. Jednocześnie całkiem spokojnie i świadomie wyciągnęła rękę i odcięła dopływ tlenu do maski młodego mężczyzny.

– Z drogi, ty pieprzony idioto! – wrzasnął Darragh na kierowcę furgonetki, który postanowił się zatrzymać i cofnąć tuż przed nim. – Jezu drogi, niektórzy z tych pajaców są chyba głusi i ślepi albo niespełna rozumu!

Brianna nie zwracała na niego uwagi. Beznamiętnie obserwowała młodego mężczyznę, który coraz rzadziej i słabiej wciągał w płuca powietrze, a gdy karetka znowu ruszyła, raz po raz przechylała się, by wyrzucić przez okno i sprawdzić, jak daleko są od szpitala uniwersyteckiego w Cork.

Chłopak przestał oddychać tuż przed tym, jak wjechali na teren szpitala. Brianna ponownie sprawdziła jego tętno. Serce rannego

przestało bić.

– Dziękuję ci, Jezu – wyszeptała. – W najlepszym momencie, jak zwykle.

Poczekala, aż Darragh podjedzie tyłem do rampy oddziału ratunkowego i wysiądzie z karetki, by otworzyć tylne drzwi. W tym momencie ponownie włączyła dopływ tlenu do maski, równie spokojnie jak w chwili, gdy go odłączała.

– Jak sytuacja? – spytał Darragh, wchodząc na stopień.

– Chłopak nie dał rady – odparła, podnosząc obie ręce, jakby chciała powiedzieć, że zrobiła wszystko co w jej mocy.

– Cóż... – Darragh westchnął, spoglądając na ciało młodego mężczyzny. – Następny gryzie ziemię. To go nauczy, że nie przejeżdża się na czerwonym.

## Rozdział 4

Nim Katie podjechała pod swój oddalony dwadzieścia kilometrów od centrum Cork dom przy Carring View, z którego rozciągał się widok na ujście rzeki Lee, Conor zdążył już wrócić. Słyszał pewnie jej samochód, bo otworzył drzwi, wypuszczając na zewnątrz rudego setera, Barneya, i Foltchain, biało-rudą seterkę. Psy przywitały swoją panią radosnym wymachiwaniem ogonami. Kiedy jednak wchodziła po schodach na werandę, zobaczyła, że Conor trzyma na rękach małego czarno-białego mopsa.

– Myślałam, że wrócisz później – powiedziała, drapiąc za uszami Barneya i Foltchain.

– Wiem, ale okazało się, że sprawa wyżyła to fałszywy alarm. Dostałem za to informację o tym małym koleźce.

– Na miłość boską, Con, chcesz tu założyć schronisko dla psów? Skąd go wzięłeś?

– Z Ballincollig – odparł Conor. – Wabi się Walter. Kobieta, która się nim opiekowała, pracuje jako pomoc kuchenna w Darby Arms. Powiedziała mi, że jakieś dwa tygodnie temu przyniósł go do pubu facet, który twierdził, że chce go sprzedać, bo wyjeżdża za pracą do Anglii.

– Brzmi prawdopodobnie. – Katie odwiesiła płaszcz przeciwdeszczowy. – Ile chciał za niego ten facet?

– Tylko sto pięćdziesiąt euro. Zwykle szczeniaki mopsa kosztują co najmniej cztery razy więcej, a te z najlepszych hodowli nawet ponad tysiąc. Ale ponieważ Walter był taki tani, kobieta nie domagała się żadnych dokumentów, nie pytała też, czy został odrobaczony, zaszczepiony i zaczipowany.

– Ale okazało się, że to jeden z psów, których szukasz? – domyśliła się.

– Zgadza się.

Conor przeszedł za nią do salonu, gdzie w kominku wesoło trzaskał rozpalony niedawno ogień. Katie usiadła na kanapie, by zdjąć buty, a Barney i Foltchain natychmiast podbiegły do niej z obu stron, domagając się drapania za uszami.

– Hej, zostawicie mnie choć na chwilę, żebym mogła spokojnie ściągnąć buty?! – zaprotestowała. Psy przechyliły łby, jakby chciały powiedzieć: „Och, daj spokój, co jest ważniejsze, twoje buty czy my?”. – Gdzie jest właściciel Waltera? – spytała. – Nie odwieziesz go do domu?

– Jego właścicielką jest Caoimhe O’Neill, młoda kobieta, która pracuje w miejskiej bibliotece. Mieszka u rodziców w Douglas.

– I co, nie zapłaciła ci?

– Jeszcze nie i nie zamierzam jej o to prosić. Martwi mnie stan zdrowia Waltera. O’Neill mówi, że kupiła go w hodowli Foggy Fields w Ballynahina. Zapewniali ją, że jest zdrow jak ryba, ale wystarczy na niego spojrzeć, by wiedzieć, że jest w naprawdę kiepskim stanie, podobnie jak wiele innych krótkogłowych psów.

Katie spojrzała na szczeniaka, który spoczywał w ramionach Conora. Był srebrnoszary, miał czarny pyszczek i spoglądał na nią tak poczciwym wzrokiem, że od razu go polubiła.

– Jest kochany – powiedziała, przesyłając mu trzy całuski. – Co mu dolega?

– Łatwiej chyba powiedzieć, co mu nie dolega. Wszyscy myślą, że dzięki tym swoim spłaszczonym pyszczkom mopsy wyglądają słodko, ale jeśli nie są należycie odżywiane i pielęgnowane, mogą cierpieć na wiele różnych schorzeń. Ze względu na wąskie nozdrza Walter ma problemy z oddychaniem i górnymi drogami oddechowymi, a nadmiar tkanki w tylnej części gardła może go udusić.

– I ma też dziwnie wyłupiaste oczy – zauważyła Katie, przyglądając się uważniej szczeniakowi.

– Zgadza się. Są tak wyłupiaste, że powieki nie zakrywają ich do końca, dlatego tak mu cieknie z oczu. Może się nawet nabawić wytrzeszczu.

– Gdybym tylko wiedziała, co to znaczy, pewnie byłoby mi go jeszcze bardziej żal.

– I słusznie, bo oczy mogą mu wyskoczyć z głowy, kiedy będzie się bawił. Widziałem już parę razy coś podobnego. Można je z powrotem wepchnąć na miejsce, ale na starość niemal na pewno będzie ślepy.

– Więc dlatego nie zwróciłeś go jemu pani?

– Najpierw zabiorę go do Domnalla O’Sullivana z kliniki weterynaryjnej Gilabbey, do tego, który zajmował się Barneyem. Walter musi być dokładnie zbadany... być może trzeba będzie go zoperować, żeby mógł swobodniej oddychać, i pozbyć się tych przeklętych narośli w krtani. Oczywiście jeśli jego właścicielka będzie gotowa za to zapłacić. Ale chciałbym się też dowiedzieć czegoś więcej o tej hodowli Foggy Fields. Ostatnio pojawiło się zdecydowanie za dużo nielegalnych hodowli. Prawie wszystkie szczeniaki, które wypuszczają, są chore i słabe, a ponad połowa z nich umiera już po kilku tygodniach. Wiesz, ile szczeniaków urodziło się w tym kraju w zeszłym roku?

– Nie, ale jestem pewna, że mi powiesz.

– Prawie sto tysięcy! Choć mamy tylko siedemdziesięciu ośmiu zarejestrowanych hodowców! W Anglii jest ich około dziewięciuset.

A wiesz, ile urodziło się tam w zeszłym roku szczeniaków?

– Ile?

– Siedemdziesiąt tysięcy, nie więcej. To znaczy, że proporcjonalnie nasze hodowle wypuszczają szesnaście razy więcej szceniąt. To skandal.

Katie włożyła puchate różowe kapcie i przeszła do kuchni. Conor poszedł za nią, a Barney i Foltchain ruszyły jego śladem.

– Con – zaczęła, wyjmując dorsza i wędzonego łupacza, które przełożyła rano z zamrażarki do lodówki, żeby się rozmroziły – wiem, jak bardzo jesteś oddany ochronie zwierząt, ale czy nie uważasz, że pomagasz im już wystarczająco jako psi detektyw?

– Katie, posłuchaj tylko tego malucha! Musi walczyć o każdy oddech! Gdyby był człowiekiem, już pędzilibyśmy z nim na oddział ratunkowy!

– Owszem, ale przecież jutro zabierasz go do Domnalla, prawda? Jeśli zaczniesz walczyć z nielegalnymi hodowcami, możesz sobie narobić sporych kłopotów. I tak masz już wyrok w zawieszeniu za podpalenie przyczepy Zezowatego McManusa. Wystarczy, że jeszcze raz wpakujesz się w podobną historię, a trafisz do Rathmore, do jednej celi z ćpunami.

– McManus był sadystycznym potworem. Kiedy pomyślisz o wszystkich tych zwierzętach, które rozerwał na strzępy podczas swoich walk psów...

– To nie usprawiedliwia spalenia jego przyczepy mieszkalnej. Wywinąłeś się z tego tylko dlatego, że sędzia też lubił psy. Hodowcy to co innego niż organizatorzy walk psów. Zeszłego lata próbowaliśmy postawić przed sądem jednego. Miał trzydzieści suk rozplodowych, ale powiedział, że uwielbia psy i nie wiedział, że można mieć najwyżej sześć. Złożył podanie o licencję i dostał ją.

– Nie ukarali go nawet grzywną?

– Nie, Con. Nikomu na tym nie zależało – odparła Katie. – Strażnicy miejscy mogą ci dać mandat, sto pięćdziesiąt euro, jeśli nie sprzątasz po swoim psie, ale jeśli rocznie sprzedajesz siedemset dwutygodniowych szceniąt, żaden sąd cię nie ukarze. Widziałeś, co się stało, kiedy Pat Murphy próbował poruszyć w parlamencie kwestię nielegalnych hodowli. Nikt nie zareagował.

Conor obserwował ją w milczeniu, gdy obierała ziemniaki i nastawiała je do gotowania, a potem przygotowywała ryby.

– Wiem, że jesteś wściekły – mówiła dalej. – Kiedy dowiesz się czegoś więcej o Foggy Fields, porozmawiam w twoim imieniu z ISPCA<sup>1</sup> i sprawdzę, czy da się z tym coś zrobić. Ale proszę, błagam cię, Con, trzymaj się od tego z daleka. Nie chcę, żebyśmy musieli przekładać ślub, bo ty będziesz siedział w więzieniu. I nie chcę, żebyś znalazł za skórę hodowcom. To nie są mięczaki, zapewniam cię, zresztą sam już o tym wiesz.

– Nie boję się ich, Katie. To, co robią, jest złe i niewiarygodnie okrutne. I nie przynosi też chwały naszemu krajowi. W Ameryce irlandzkie szczeniaki słyną z tego, że są chorowite i trudno je wytresować.

Katie odłożyła widelec, podeszła do Conora i dotknęła jego brody. Walter podniósł na nią wzrok, posapując ciężko przez zwężone nozdrza.

– Kochanie, wiem, że chciałbyś uratować wszystkie psy na świecie. Święty Conor od psów. Kocham je równie mocno jak ty, ale nie chcę, żebyś ryzykował dla nich wolność albo życie.

\* \* \*

Usiedli przy kuchennym stole, by zjeść kolację, a psy ułożyły się przy kominku. Barney i Foltchain traktowały Waltera jak kuzyna, który wpadł do nich z wizytą, i pozwoliły mu położyć się między nimi.

Katie opowiedziała o tym, jak znalazła Anę-Marię na hugenockim cmentarzu, jak zostały potem zaatakowane i dziewczynka musiała uciekać.

– Bóg jeden wie, gdzie się teraz podziewa. Oby tylko miała co jeść i gdzie przenocować, bo pogoda dziś paskudna.

– Cały ten świat parszywieje. – Conor westchnął ciężko. – Mój znajomy, właściciel hotelu dla psów, przysłał mi dziś rano esemesa ze Sligo. Pisał, że okradziono jego firmę. Podobno po kraju jeżdżą gangi z Dublina i plądrują wszystkie domy, które mijają. Pytał mnie, gdzie jest Garda Síochána.

Katie oprószyła kotleciki pieprzem i pokręciła głową.

– Wiem, że ludzie stracili do nas zaufanie, ale w ostatnich latach mieliśmy tyle cięć budżetowych, że teraz po prostu brakuje nam ludzi.

Kiedy skończyli jeść, przeszli do salonu i rozsiedli się wygodnie na kanapie. W telewizji leciała właśnie irlandzka wersja *Pierwszej randki*, ale wyłączyli dźwięk.

– Powinieneś przystrzyc trochę brodę – powiedziała Katie, ciągnąc Conora lekko za zarost. – Zaczynasz przypominać facetów z tej amerykańskiej grupy rockowej... zaraz... jak oni się nazywają? ZZ Top!

– Pójdę jutro do Crew Cuts, jak tylko wrócę od weterynarza. Obiecuję.

– Kocham cię chyba nawet z taką potarganą brodą.

– Chyba?

– No dobra, na pewno, ale boję się o ciebie. Nie zdajesz sobie sprawy, jak niebezpieczne są te gnojki, których prowokujesz. Nie chcę, żebyś skończył na dnie rzeki. Choćby chodziło o wszystkie chore szczeniaki w Irlandii.

Conor pocałował ją czule, a potem to powtórzył.

– Przysięgam na Boga, że będę na siebie uważał, Katie.

Miała go ostrzec, by strzegł się zwłaszcza jednego hodowcy, z Labbacally, który podobno miał w swojej hodowli pięćset suk, lecz w tym momencie z jej iPhone'a dobiegła melodia piosenki *Mo Ghille Mear* – „Mój dzielny bohater”. Wybrała ten dzwonek specjalnie dla Conora.

– Dobry wieczór, przepraszam, że przeszkadzam o tak późnej porze.

Katie rozpoznała głos detektyw sierżant Ni Nuallán.

– Żaden problem, Kyna. Co się dzieje?

– Chodzi o tę dziewczynkę, którą dziś znalazłaś. Mamy ją.

– Anę-Marię? Co za ulga! Gdzie była?

– Jakąś godzinę temu weszła do Burger Kinga przy Pana i poprosiła o burgera. Właściwie to było jedyne angielskie słowo, jakie знаła. Miała tylko trzydzieści eurocentów i oczywiście była sama, ale kierownik wykazał się rozsądkiem, dał jej burgera i shake'a, a kiedy jadła, zadzwonił do nas.

– Bogu dzięki, że są jeszcze na tym świecie przyzwoici ludzie. Gdzie ona teraz jest?

– Tutaj, na komendzie, śpi. Zadzwoniłam do Margaret O'Reilly. Wkrótce tu przyjedzie i przywiezie pracownika socjalnego, który specjalizuje się w opiece nad porzuconymi dziećmi obcokrajowców. W tym czasie posterunkowa McGuinness będzie pilnowała dziewczynki i postara się ją uspokoić, gdyby obudziła się w środku nocy i zaczęła panikować.

– Jak ta mała się czuje?

– Wygląda na zmęczoną i zaniedbaną. Ale podobno zjadła całego burgera i wypila cały shake, a jutro dostanie porządne śniadanie.

– Wciąż nie wiemy, skąd pochodzi?

– Nie powiedziała ani słowa, odkąd ją tu przywieźliśmy. Pracownik socjalny będzie wiedział, co z tym zrobić.

– Dzięki, Kyna. Kamień spadł mi z serca. Przyjdę do niej jutro z samego rana. – Katie przerwała połączenie i zwróciła się do Conora: – Dzwoniła Kyna. Ana-Maria się znalazła.

– Domyśliłem się. To wspaniała wiadomość.

Nagle oczy Katie wypełniły się łzami. Conor chciał ją przytulić, ale machnęła ręką.

– Wszystko w porządku, Con. Nic mi nie jest. Chyba po prostu sama czuję się trochę jak zagubiona dziewczynka, odkąd odszedł tata. Zaraz się uspokoję.

Conor objął ją w milczeniu i przytulił. Po chwili pociągnęła nosem, a potem zachichotała.

– Co cię tak śmieszy? – spytał.

– Twoja broda. Łaskocze.

---



1 ISPCA, Irish Society for the Prevention of Cruelty to Animals (Irlandzkie Stowarzyszenie Zapobiegania Okrucieństwu wobec Zwierząt).

## Rozdział 5

– Gearoid jeszcze nie wstał – powiedziała funkcjonariuszka Garda Síochána, Megan Cavey, kiedy przejeżdżali powoli obok wejścia do Savoy Centre przy St Patrick’s Street. – Która to godzina? Wygląda na to, że zrobił sobie dziś wolne, leń jeden.

Jej partner Jimmy Brogan zatrzymał radiowóz przy krawężniku, obok przystanku autobusowego. Żebrak, którego znali jako Gearoida, leżał w wejściu do pustego sklepu pod zakładem fotograficznym O’Briena, okryty od stóp do głów grubym niebieskim kocem. Było pięć po ósmej, zwykle do tej pory Gearoid związał już koc, szedł do toalety w Dunnes Stores i kupował sobie kawę i bułkę z serem. Teraz powinien siedzieć pod drzwiami, w swojej zielonej kurtce, i trzymać kawałek tektury z napisem: *Bezdomny, ale nie z wyboru. Proszę o pomoc.*

Cavey wysiadła z radiowozu i podeszła do drzwi sklepu. Była krzepką dziewczyną z wielkim tyłkiem, grubymi kostkami, krótkimi rudymi włosami i twarzą tak piegowatą, że wyglądała, jakby ktoś posypał ją obficie zmieloną papryką. Kucnęła obok koca.

– Gearoid? Chyba już nie śpisz, co? Czas wstawać i potrząsać papierowym kubkiem, koleżko!

Nie doczekała się żadnej reakcji. Głowa żebraka była całkowicie zakryta, lecz spod drugiej strony koca wystawały jego stopy w znoszonych brązowych butach i grubych szarych skarpetach. Cavey miała już zostawić go w spokoju, gdy zauważyła, że pod ścianą leży sfatygowana puszka na tytoń Peterson’s Irish Oak, w której trzymał niedopałki zebrane z ulicy i ze śmietników. Cavey nie wyobrażała sobie, by świadomie zostawił puszkę na widoku, ryzykując, że ją zabierze jakiś inny żebrak albo ktoś, kto zamiata ulicę.

Wyjęła z kieszeni czarne lateksowe rękawiczki, włożyła je i potrząsnęła mężczyznę za ramię.

– Gearoid? No już, stary, jest rano! Może byś w końcu wstał, co?

Żebrak wciąż nie odpowiadał, sięgnęła więc po skraj brudnego koca i przesunęła go w dół. Zwykle Gearoid sypiał z kapturem kurtki na głowie, zwłaszcza w tak zimną styczniową noc, tym razem jednak kaptur opadał, odsłaniając splątane ciemne włosy przetykane pasmami siwizny.

Potrząsnęła ponownie żebrakiem, tym razem mocniej, ale wciąż się nie poruszał. Uznała, że jest albo pijany, albo naćpany, albo – co

najbardziej prawdopodobne – martwy.

Odwróciła się i zawołała:

– Jim! Jimmy! Musimy wezwać karetkę! I kryminalistyków! Wygląda na to, że Gearoid nas opuścił!

Podczas gdy Brogan dzwonił po pogotowie i ekipę techników, jego partnerka ściągnęła koc z Gearoida i przewróciła go na plecy. Spod bezwładnego ciała wytoczyła się pusta butelka po wódce. Teraz było już oczywiste, że żebrak nie żyje. Miał szeroko otwarte oczy, zasnutę śmiertelną mgłą. Spomiędzy rozchylonych, suchych i popękanych warg wystawał czubek żółtego języka, jakby Gearoid po raz ostatni chciał pokazać światu, że nie obchodzi go wcale, jak został przez niego potraktowany. Cuchnął kałem, co oznaczało, że wypróżnił się mimowolnie w chwili śmierci.

Choć był brudny i odrażający, Cavey przycisnęła palce do jego szyi, by sprawdzić na wszelki wypadek, czy nie wyczuje pulsu. Zdarzyło jej się kiedyś, że uznała za zmarłą kobietę w średnim wieku, która przewróciła się w Tesco przy Paul Street, lecz gdy jechali do szpitala, nagle usiadła prosto i spytała, dokąd, na miłość boską, ją zabierają.

Brogan podszedł bliżej, by przyjrzeć się żebrakowi. Funkcjonariusz Garda Síochána dobiegał czterdziestki, miał ciemny zarost, widoczny na twarzy nawet zaraz po gołeniu, i zrosnięte nad nosem czarne brwi.

– Moim zdaniem umarł co najmniej trzy godziny temu, może i wcześniej – orzekł. – Biedny Gearoid. Zawsze powtarzał, że w niebie będzie mu lepiej. Mówił mi, że kiedyś był piosenkarzem folkowym. Nagrał nawet płytę. Teraz pewnie śpiewa już z niebiańskimi chórami.

– Nie widzę żadnych obrażeń – rzuciła Cavey. – Żadnych siniaków ani krwi.

Jej partner wskazał głową na pustą butelkę po wódce.

– Zatrucie alkoholowe i hipotermia, mogę się założyć.

Cavey wstała z kucek.

– Szkoda, że tak skończył – powiedziała. – Wiesz, o czym mówię? Umrzeć na ulicy, pod drzwiami...

– Mogło być gorzej – odparł Brogan. – On uważał, że jeśli chodzi o żebranie, to jedne z najlepszych drzwi w Cork. Tuż obok Savoy Centre i dokładnie naprzeciwko Debenhams i Brown Thomas. Mówił mi, że nawet w ciągu kiepskiego tygodnia mógł spokojnie nazbierać siedemset albo osiemset euro, a w czasie parady w Dniu Świętego Patryka, parady LGBT, w Boże Narodzenie czy w Wielkanoc jeszcze więcej. Te drzwi to była żyła złota.

– Tak czy inaczej, był całkiem sam, Jimmy, bez dachu nad głową i bez łóżka, w którym mógłby się normalnie przespać.

– To prawda, nie możesz jednak oceniać, czy ktoś jest szczęśliwy, patrząc na to z własnej perspektywy. Niektórzy faceci zostają księżmi

czy mnichami i dobrze im z tym, a ja nigdy nie mógłbym żyć w celibacie. Nie zrezygnowałbym z kobiet, nawet gdyby chcieli zrobić ze mnie papieża.

– Jasne, a mnie mianowaliby wtedy matką przełożoną.

Kilka osób stojących na przystanku autobusowym gapiło się na nich i na ciało Gearoida; ludzie wracający z zakupów również przystawali, by zobaczyć, co się dzieje.

– Zrób parę zdjęć, a ja w tym czasie odgradzę to miejsce taśmą – powiedział Brogan. – Potem go przykryjemy i poczekamy na karetkę.

Przegonił wszystkie osoby z przystanku, rozkładając szeroko ręce, jakby zaganiał do zagrody owce, a pozostałym gapiom nakazał, by się rozeszli i zajęli swoimi sprawami. Ludzie z ociąganiem przechodzili dalej, choć większa grupka ciekawskich zgromadziła się już po drugiej stronie ulicy.

– Nie ma tu nic do oglądania! – zawołał do nich, lecz nikt na to nie zareagował.

Wrócił do radiowozu po rolkę taśmy policyjnej i aparat cyfrowy. Podczas gdy on zajmował się rozciąganiem taśmy, jego partnerka fotografowała ciało Gearoida z każdej strony i pod wszystkimi możliwymi kątami. Wiedziała, że kryminaliści również się tym zajmą, była to jednak część nowych procedur, które stopniowo wprowadzano w całym kraju. Przekonano się, że są szczególnie przydatne w sprawach przemocy domowej, śmiertelnych wypadkach i zgonach bezdomnych znalezionych na ulicy.

Dziesięć minut później przyjechała karetka, a wkrótce po niej furgonetka kryminalistyków, dwa kolejne radiowozy i nieoznakowany samochód policyjny, z którego wysiedli detektyw sierżant Sean Begley i detektyw posterunkowa Bedelia Murrish.

– Co my tu mamy? – spytał Begley, stawiając kołnierz płaszcza i pociągając głośno nosem.

– Bezdomnego faceta, którego nazywaliśmy Gearoid – odparł Brogan. – Wygląda na to, że umarł w nocy albo nad ranem.

– Biedak. – Sierżant westchnął. – Nie otrzymał nawet ostatniego namaszczenia.

## Rozdział 6

Katie wstała o szóstej, gdy na dworze było jeszcze ciemno. Wzięła prysznic i ubrała się najciszej, jak potrafiła, bo Conor jeszcze spał. Przed wyjściem przyniosła mu jednak kubek herbaty, włączyła lampkę nocną i pocałowała go w czoło, fundując mu delikatną pobudkę.

– Jezu, która to godzina? – spytał, mrugając nieprzytomnie.

– Na pewno za wcześnie, żeby uganiać się za bezdomnymi psami. Nie musisz jeszcze wstawać.

– Och, co za ulga. – Ziewnął, siadając prosto. – Zadzwoń później, kiedy już zawiozę Waltera do Gilabbey. Może znajdziesz chwilę, żeby zjeść ze mną lunch.

– Będziemy w kontakcie. Wszystko zależy od tego, jakich to paskudnych zbrodni dopuścili się mieszkańcy Cork w nocy. Brendan O’Kane organizuje rano spotkanie, żeby się przedstawić, ale przypuszczam, że nie potrwa to długo, bo gość raczej nie jest zbyt wylewny.

– Mówiłaś, zdaje się, że znasz go z akademii policyjnej. Myślisz, że będziecie się jakoś dogadywać?

– Znasz mnie, Con. Jestem wzorem elastyczności.

– Gdyby „elastyczność” była rodzajem betonu, zgodziłbym się z tobą.

Katie pocałowała go ponownie, w usta. Powiedziała mu wieczorem, że była z O’Kane’em w akademii w Templemore, ale nie wspomniała o ich romansie ani o jego zakończeniu. Zawsze uważała, że jeśli nie ma takiej konieczności, lepiej nie sprawiać komuś bólu ani nie budzić w nim zazdrości.

Dotarła na Anglesea Street dwadzieścia po siódmej. W nocy padało i choć teraz chmury się rozpiezchły, chodniki lśniły wilgocią. Ana-Maria wciąż była na komendzie; Katie znalazła ją w stołówce, gdzie dziewczynka jadła właśnie na śniadanie owsiankę i tosty, wymachując przy tym wesoło nogami. Towarzyszyła jej młoda funkcjonariuszka, Maebh Cassady.

Na widok Katie Ana-Maria odłożyła łyżkę, zeskoczyła z krzesła i podbiegła ją uściskać.

– *Mătușă... îmi pare rău că am fugit!* – zawołała, unosząc głowę, żeby zobaczyć twarz Katie.

Ta uśmiechnęła się i uścisnęła ją czule.

– Nie wiem, co właściwie powiedziałaś, kochanie, ale ogromnie się cieszę, że jesteś bezpieczna. I bardzo mi się podoba twoja sukienka!

Ana-Maria miała umyte, splecione w dwa warkocze włosy i była w sukience z zielonego sztruksu z kremowym koronkowym kołnierzykiem, którą znaleziono zapewne pośród rzeczy przyniesionych do komisariatu, bo była o dwa rozmiary za duża.

– Śmiało, dokończ śniadanie – zachęciła ją Katie. – Ja zrobię sobie kawę, żeby dotrzymać ci towarzystwa. Maebh, dziękuję, że się nią opiekowałaś. Nie wiesz, o której przyjdzie Margaret O'Reilly?

– Mówiła, że około ósmej – odparła funkcjonariuszka. – Ma sprowadzić tłumacza. I nie ma pani za co dziękować. To była sama przyjemność, Ana-Maria jest kochana. Szkoda tylko, że nie rozumiem ani słowa z tego, co do mnie mówi. Ale grałyśmy w kółko i krzyżyk, więc i tak całkiem nieźle się bawiłyśmy.

Dziewczynka kończyła właśnie jeść, gdy pojawiła się Margaret O'Reilly. Towarzyszył jej młody łysiejący mężczyzna w okularach bez oprawek i czarnej puchowej kurtce. Margaret O'Reilly pracowała w opiece społecznej, w wydziale ochrony dzieci, a specjalizowała się w opiece nad porzuconymi dziećmi obcokrajowców. Była wysoką kobietą o cienkich siwych włosach. Kiedy mówiła, jej głos co jakiś czas cichł lub przybierał na sile, jakby stała na szczycie góry smaganej wiatrem.

– Więc to jest Ana-Maria. – Margaret przyciągnęła sobie krzesło i usiadła naprzeciwko dziewczynki. – Jak leci? Smakowała ci owsianka?

Ana-Maria spojrzała na Katie, unosząc brwi, jakby pytała, kim jest ta kobieta i czego od niej chce. Katie odpowiedziała jej uspokajającym uśmiechem.

– Nie obawiaj się, kochanie. To jest Margaret, wspaniała pani, która się tobą zajmie.

– *Vreau să rămân cu tine, mătușă* – powiedziała dziewczynka, wyciągając rękę nad stołem.

– Rumuński – orzekł z satysfakcją łysiejący mężczyzna, po czym zwrócił się do Katie: – Nazwała panią właśnie swoją ciocią, *mătușă*, i mówi, że chce z panią zostać.

– Ta mała złamie mi serce. – Katie westchnęła. Znowu uśmiechnęła się do Any-Marii, ale czuła się tak, jakby ją w ten sposób zdradzała, bo z pewnością nie mogła jej adoptować. – Chodźmy na górę, do mojego gabinetu. Spytamy, skąd pochodzi i dlaczego błąkała się sama po mieście.

Łysiejący mężczyzna przykucnął obok Any-Marii, by ich oczy znalazły się na jednym poziomie.

– *Salut, Ana-Maria! Numele meu este Murtagh și o să vă spun ce vă spun aceste doamne.* – Potem odwrócił się do Katie. – Powiedziałem jej,

że mam na imię Murtagh i że przetłumaczę wszystko, co powie, żeby pani ją zrozumiała.

Wszyscy przeszli na górę, do gabinetu Katie, i usiedli na beżowych skórzanych kanapach przy oknie, choć Ana-Maria niemal natychmiast wstała, by spojrzeć przez szybę na ulicę i na nastroszone ptaki, które przysiadły na dachu budynku naprzeciwko.

– *Mierle!* – powiedziała, wskazując je.

– *Nu, ciorile cu capișon* – odparł Murtagh, po czym wyjaśnił Katie: – Mówi, że to kosy.

– Proszę ją spytać, gdzie są jej rodzice – poprosiła Katie.

Kiedy Murtagh przetłumaczył pytanie, Ana-Maria przez chwilę bawiła się w milczeniu warkoczem.

– Tata został w domu.

– Rozumiem, ale gdzie jest twoja mama?

– Przeszłam za róg, a kiedy się odwróciłam, jej już nie było. Wróciłam i wołałam ją, ale nigdzie jej nie widziałam. Nie wiedziałam, co robić. Spytałam jakąś panią, czy nie widziała mojej mamy, ale mnie nie rozumiała.

– Kiedy przyjechałaś do Irlandii?

– Nie rozumiem.

– Ten kraj nazywa się Irlandia. Wiedziałaś o tym?

– Nie. Mama mówiła, że wyjeżdżamy na trzy tygodnie, ale nie mówiła dokąd.

– A mówiła, dlaczego wyjeżdżacie?

– Nie rozumiem.

– Czy mówiła, co będziecie robić, kiedy tu przyjedziecie? Czy to miały być wakacje, czy raczej jechała do pracy?

– Mówiła, że musimy prosić ludzi na ulicy o pieniądze.

– Proszę spytać, ilu ludzi przyjechało z nią i jej mamą z Rumunii.

Ana-Maria liczyła na palcach, wyszeptując imiona.

– Caturix... Bogdi... Minodora... Chyba dwadzieścia jeden – odparła w końcu.

– I wszyscy mieliście prosić ludzi na ulicy o pieniądze?

– Tak.

– Ten mężczyzna w szarej kurtce, przed którym uciekałaś, przyjechał z wami z Rumunii?

– Tak. On nas tu przywiózł. Moja mama go nienawidziła. Nazywała go Lupulem. Ale nie wtedy, kiedy ją słyszał.

– *Lupul* to po rumuńsku wilk – wyjaśnił Murtagh.

– Skoro tak bardzo nienawidziła tego Lupula, to dlaczego przyjechała z nim do Irlandii? – spytała Katie.

– Nie wiem. Zdaje się, że chodziło o mojego tatę. Tata był chyba winien pieniądze Lupulowi.

– A wiesz, jak Lupul naprawdę się nazywa?

– Chyba ma na imię Dragos.

– A znasz jego nazwisko?

Ana-Maria pokręciła głową.

– Dragos to zdrobnienie od Dragomira – dodał Murtagh.

– Niech pan ją spyta, kiedy przyjechali do Irlandii i czy przylecieli samolotem, czy przypłynęli promem. Jeśli ten typ rzeczywiście ma na imię Dragomir, biuro imigracyjne powinno znać też jego nazwisko i wiedzieć, z jaką wizą tu wjechał.

– Lecieliśmy samolotem, a potem płynęliśmy statkiem – odpowiedziała Ana-Maria. – Jesteśmy tu od... czterech dni i czterech nocy.

– A gdzie się zatrzymaliście? Myślisz, że znalazłabyś to miejsce?

– To duży dom na wzgórzu. – Dziewczynka pokazała ręką, że to bardzo strome wzgórze. – Jest zimny, wilgotny i śmierdzi jak *varzã*. – Murtagh wyjaśnił, że *varzã* to kapusta.

– Jak długo tam byliście?

– Trzy dni i dwie noce. Wczoraj mieliśmy wyjść na ulice i zacząć prosić ludzi o pieniądze.

– Więc poszłaś z mamą prosić ludzi o pieniądze... ale ona zniknęła?

– Tak.

– Wiesz, dlaczego mogła zniknąć? Pokłóciła się z Lupulem?

– Nie wiem. Oni ciągle na siebie krzyczeli.

– Proszę spytać, czy wie, z jakiego miasta pochodzi Lupul – zwróciła się Katie do Murtagha.

Ana-Maria ponownie pokręciła głową.

– A z jakiego miasta wy pochodzicie?

– Târgoviște.

– Târgoviște... – powtórzył Murtagh. – Byłem tam kiedyś. To jakieś osiemdziesiąt kilometrów na północny wschód od Bukaresztu. Jest tam katedra i trochę zabytków, ale większość miasta jest okropnie zapuszczona. Pełno tam tych paskudnych bloków z czasów komunizmu, jeśli wie pani, o czym mówię. Właśnie tam stracili Ceaușescu, taka ciekawostka. Prosto z sali sądowej pod ścianę i trach, wszystko w ciągu pięciu minut.

– Jak się nazywa twoja mama?

– Doamnă Bălescu.

– A jak ma na imię?

– Sorina.

– Jak wygląda? Jakiego koloru ma włosy?

– Takiego samego jak moje. Jest ładna. Ma brązowe oczy i czerwone usta. I ma też małą brązową kropkę tutaj, na policzku.

– Ma na myśli pieprzyk – wyjaśnił Murtagh.



– A w co była ubrana, kiedy zniknęła? – spytała Katie.

– W czerwony płaszcz. I w brązowe buty. I w brązową wełnianą czapkę. Miała dużą torbę zrobioną na drutach.

– W porządku, Ano-Mario. – Katie skinęła głową. – Przekażę wszystkim policjantom w mieście, żeby szukali twojej mamy. Jeśli nadal jest w Cork, obiecuję, że ją znajdziemy.

– *Multumesc* – wyszeptała dziewczynka i Katie widziała, że mała jest bliska płaczu.

– Wszystko będzie dobrze, kochanie – obiecała, biorąc ją za rękę. – Muszę porozmawiać kilka minut z Margaret. Może chciałabyś porysować w tym czasie? Moirin... mogłabyś przynieść papier i kredki?

Jej asystentka wróciła po chwili z notesem i kubkiem wypełnionym kredkami. Zaprowadziła dziewczynkę do biurka Katie i posadziła ją przy nim.

– Proszę, kochanie. Może narysujesz mi kotka?

– *Doamnã întrebă dacã ai desena pisoi pentru ea* – przetłumaczył Murtagh.

– *Da* – odpowiedziała Ana-Maria, kiwając głową. Otworzyła notes i sięgnęła po kredki. W tym samym momencie zauważyła pleciony złoty pierścionek, który Katie zostawiła na blacie. Dziewczynka wydała z siebie dziwny pisk, klasnęła w dłonie i go podniosła.

– Co się stało, maleńka? – spytała Katie.

Ana-Maria zsunęła się z krzesła i wróciła do niej, trzymając w górze pierścionek. Usta miała wykrzywione w podkówkę, a po jej policzkach ciekły łzy.

– *Acest inel... acesta este inelul mamei mele. Ea nu-l scoate niciodatã.*

– Co ona mówi? – zwróciła się Katie do Murtagha. – Coś o swojej mamie. To jej pierścionek?

– Tak. Twierdzi, że to należy do jej matki i że nigdy go nie zdejmowała.

Katie wyciągnęła ręce do dziewczynki i przytuliła ją mocno. Mała wciąż chlipała i ścisnęła mocno pierścionek między kciukiem i palcem wskazującym, jakby dzięki temu mogła jakimś magicznym sposobem sprowadzić tu matkę.

– Ktoś go znalazł na ulicy i przyniósł tutaj – przypomniała sobie Katie.

– *Maebh*, mogłabyś przejść do recepcji i dowiedzieć się, kto go oddał i czy mówił, gdzie go znalazł? Sierżant O'Farrell wspomniał, że wiąże się z nim jakaś historia, ale nie wiem jaka. Możemy to na chwilę pożyczyć? – spytała, zwracając się do Any-Marii.

Dziewczynka pokręciła głową, zamknęła pierścionek w dłoni i przyłożyła ją do piersi.

– W porządku, nie szkodzi – powiedziała Katie. Wyjęła swój iPhone. – Pozwól mi przynajmniej zrobić mu zdjęcie.

Ana-Maria z ociąganiem podniosła pierścioneł i Katie zrobiła szybko kilka zdjęć. Murtagh tymczasem pochylił się nad klejnotem i spojrział na niego znad okularów.

– Skoro matka tej małej jest Rumunką, chyba wiem, czyja twarz jest tu wytłoczona – odezwał się, kiedy funkcjonariuszka Maebh Cassidy wyszła z gabinetu. – Proszę spojrzeć na tę rysę na czole. To nie uszkodzenie pierścionka, ale część historii.

– Więc kim, pana zdaniem, jest ta kobieta? – spytała Katie, głaszcząc Anę-Marię po głowie i próbując ją uspokoić.

– To święta Filotea z Argeș.

– Nic mi to nie mówi.

– To najsłynniejsza święta w Rumunii. Nazywają ją nawet Obrończynią Rumunii, choć urodziła się w Bułgarii. Umarła w młodym wieku. Codziennie nosiła ojcu jedzenie, kiedy pracował na roli. I zawsze po drodze dawała trochę tego jedzenia biednym dzieciom. Kiedy ojciec się o tym dowiedział, był tak wściekły, że uderzył ją w głowę siekierą. Stąd ta rana na czole.

– Matko Boża, co za potwór – mruknęła Katie, choć Murtagh nieświadomie przypomniał jej o tym, co zrobił jej własny ojciec.

– Podobno potem nie mógł unieść jej ciała – kontynuował Murtagh. – Ani on, ani nikt inny. Wezwał więc kilku kapłanów i ci zaczęli czytać długą listę potencjalnych miejsc pochówku. Kiedy dotarli do cerkwi Curtea de Argeș, jej ciało nagle zrobiło się lekkie i mogli ją podnieść. Szczątki Filotei pozostają tam do dzisiaj, w Curtea de Argeș. To fantastyczna, duża świątynia.

– Na pewno. – Katie westchnęła ciężko. – Ale musimy się dowiedzieć, kto zabrał pierścioneł matce tej dziewczynki, skoro podobno nigdy go nie zdejmowała, i gdzie ona jest. Proszę powiedzieć Anie-Marii, że może go zatrzymać. Potrzebuję teraz kilku minut na rozmowę z Margaret, bo musimy znaleźć kogoś, kto zaopiekuje się małą w jakimś bezpiecznym miejscu. Nie wiem dlaczego, ale ten Lupul wyraźnie chce ją dopaść.

– Może ona coś o nim wie, zna jakieś informacje na jego temat, choć sama nie zdaje sobie z tego sprawy – wtrąciła Margaret. – Pamięta pani tego małego Tommy'ego Kelly'ego z zeszłego roku? Biedactwo miało tylko cztery lata, było niewinnym dzieciakiem, a powiedziało mi, gdzie jest zakopana broń jego wujka. Ten chciał go potem przejechać traktorem. A wracając do Any-Marii, to w Glanmire mieszka para, która mogłaby ją wziąć, Michael i Sadhbh Flynnowie. Są jeszcze dość młodzi, tuż po czterdziestce, i już nam pomagali w nagłych przypadkach. Michael jest informatykiem i pracuje teraz w domu, więc zawsze jest na miejscu, a poza tym służył kiedyś w marynarce, więc wie to i owo o zachowaniu bezpieczeństwa.

– Brzmi doskonale. – Katie skinęła głową. – Ale tak czy inaczej dam znać policji w Glanmire, że mała jest na ich terenie, i poproszę, żeby mieli na nią oko, przynajmniej dopóki nie dowiem się czegoś o tym Lupulu i nie będę wiedzieć, dlaczego chciał ją złapać. Na razie spróbujemy się skontaktować z jej ojcem w Rumunii. Zaczniemy od telefonu do rumuńskiej ambasady w Dublinie. Murtagh, mógłby pan nam w tym pomóc?

– Oczywiście.

– Świetnie. Proszę powiedzieć Anie-Marii, że Margaret zabierze ją do bardzo miłych ludzi, którzy przez jakiś czas będą się nią zajmować. Trzeba jej znaleźć jakieś ubrania, bo to, co ma na sobie, jest za duże.

Murtagh cicho tłumaczył dziewczynce, co zamierzają z nią zrobić, a ona kiwała ze zrozumieniem głową, choć ani na moment nie odrywała spojrzenia od Katie, jakby się spodziewała, że ta lada chwila przerwie mu i powie: „Nie, zmiana planów, zostaniesz ze mną”.

– Czeka nas mnóstwo papierkowej roboty. – Katie znów westchnęła. – Ale załatwię wszystko z biurem imigracyjnym. Zawsze byli bardzo wyrozumiali, gdy chodziło o zgubione dzieci.

Kilka minut później wróciła Maebh Cassady w towarzystwie sierżanta O’Farrella, który trzymał pod ręką rejestr przedmiotów przyjętych na komendzie. Podszedł do Katie i otworzył rejestr, lecz zanim jej pokazał, co tam zanotowano, spojrzał na Anę-Marię.

– Cassady wspomniała, że mała nie zna angielskiego. To prawda? – spytał.

– Tak. Mówi tylko po rumuńsku.

– No dobrze, tu jest wpis dotyczący tego złotego pierścienia. Przyniósł go wczoraj o dziewiątej czterdzieści siedem wieczorem niejaki Patrick Devlin z Saint Anne’s Terrace. Powiedział, że jego mama robiła na kolację mielone i znalazła go w mielonym mięsie.

– W mielonym mięsie? Poważnie? Gdzie je kupiła?

– W sklepie Buckleya na Shandon Street. Mówi, że zawsze tam kupuje mięso i wędliny. Pomyślała, że któryś z pomocników rzeźnika zgubił go, kiedy ładował mięso do maszynki. Nie mogła od razu wrócić i złożyć reklamacji, bo sklep był już zamknięty i podobno ma być zamknięty przez cały dzień. Jej syn tak czy inaczej wybierał się do klubu w mieście, więc kazała mu zanieść pierścionek na komendę. Jest bardzo przesądna, więc uznała, że jeśli będzie trzymać w domu coś z obrazem takiej przerażającej twarzy, może sprowadzić na rodzinę nieszczęście. – Sierżant O’Farrell zamyślił się na moment, po czym dodał: – Może miała nadzieję, że jeśli odda nam pierścionek, zmyjemy rzeźnikowi głowę, kiedy tu po niego przyjdzie. No wie pani... za zanieczyszczenie mięsa.

– Ale my wiemy, że ten pierścionek nie należał do rzeźnika – powiedziała Katie. – Więc jak trafił do mielonego mięsa? Mam tylko

nadzieję, że nie myślisz o tym co ja.

O'Farrell ponownie zerknął na Anę-Marię.

– Jest pani pewna, że ona nas nie rozumie?

– Musimy zbadać to mięso. Wyślę Markeya i Scanlan do Saint Anne's Terrace, żeby pobrali próbki, nawet jeśli pani Devlin już wyrzuciła je do kosza. Bo zakładam, że nie zrobiła z niego mielonych.

– Nie, nie zrobiła. Ale jej syn powiedział, że wyrzuciła wszystko do toalety.

– Och, cudownie! W takim razie muszą się dowiedzieć, gdzie mieszka ten Buckley, i kazać mu otworzyć sklep. Bill Phinner może wysłać paru techników, żeby pobrali próbki z maszynki do mięsa. Zajrzą też do lodówki. Mam tylko nadzieję, że nie znajdą tam nic podejrzanego.

Sierżant O'Farrell spojrzał na nią z wahaniem.

– Chyba nie wierzy pani, że... no... nie myśli pani...

– Zobaczymy, jakie będą wyniki badań. Ale coś ci powiem, Ryan: mam bardzo złe przeczucia. Wiesz, jak to jest, kiedy niebo przybiera dziwny kolor, a ty już wiesz, że zbiera się na burzę? Właśnie tak się teraz czuję.

## Rozdział 7

– To ten biedny szczeniaczek – powiedział Conor, stawiając na stole w gabinecie O’Sullivan’a szary plastikowy kontener do transportu psów. Gdy go otworzył, weterynarz sięgnął do środka, wyjął psiaka, podniósł go niczym noworodka i przyjrzał się uważnie jego płaskiej czarnej mordce.

– Cóż, od razu mogę ci powiedzieć, Con, że ma ogromne problemy z oddychaniem. I masz rację w kwestii jego oczu. Klasyczny przykład wytrzeszczu. Przykro mi to mówić, ale ten nieszczęsny szceniak nie powinien był się w ogóle urodzić.

– Byłbym wdzięczny, Domnall, gdybyś mógł go dla mnie dokładnie przebadać, a potem dać mi znać, ile kosztowałoby leczenie. Albo na ile mógłbyś ograniczyć te koszty. Wtedy jego właścicielka przynajmniej będzie miała wybór. Może go skazać na cierpienie albo wyleczyć, zależnie od tego, ile to będzie kosztowało... albo go też uśpić.

– Zrobię co w mojej mocy. Zostaw go u mnie.

– Wrócę za kilka godzin, jeśli nie masz nic przeciwko. Jadę do Ballynahina, do jego hodowców.

– Chyba nie do osławionych sióstr McQuaide?

– Właśnie do nich.

– Więc uważaj na Blánaid. To ta ładniejsza, ale ma umysł ostry jak brzytwa. Można by pomyśleć, że sypia w kuchennej szufladzie z nożami. Caoilfhoinn nie jest taka zła, ale i nie tak bystra, więc robi to, co każe siostra.

– Powinienem o nich wiedzieć coś jeszcze?

– Na pozór robią wszystko zgodnie z prawem, ale wiem z dobrze poinformowanych źródeł, że sprzedają setki nielegalnie wyhodowanych szceniąt. Och, i omijaj z daleka ich tak zwanego tresera. Nie wiem, jak ma imię, ale to krewny O’Flynnów. Podobno prawdziwy twardziel.

– Dobra. Dzięki za wskazówki. Zobaczymy się potem.

Walter odwrócił łeb, odprowadzając Conora wzrokiem. W ciągu siedmiu lat pracy jako psi detektyw Conor miał do czynienia z setkami zaniedbanych i maltretowanych psów, ale w spojrzeniu tego szczeniaka było tyle smutku i beznadziei, że zrobiło mu się go okropnie żal. Być może chodziło o to, co powiedział o nim Domnall, że nie powinien był się nigdy urodzić.

Opuścił miasto i pojechał na północ, przez miejscowość Dublin Hill, a potem w górę, długą prostą wstęgą drogi o nazwie Glenville Street. Poranek był tak jasny, że przydałyby się okulary przeciwsłoneczne. Usłyszał w radiu wiadomość, że pod drzwiami sklepu przy St Patrick's Street znaleziono martwego bezdomnego. Dowiedział się również, że z rzeki Lee wyłowiono ciało młodej kobiety, prawdopodobnie ofiary Mordercy znad Lee, który polował nad rzeką nocami i wpychał do wody pijanych lub niczego niepodejrzewających przechodniów.

Na poboczu Conor zobaczył drogowskaz z nazwą Foggy Fields, skrzył więc w wąską wiejską drogę, wzdłuż której ciągnęły się niskie żywopłoty i rozległe pastwiska upstrzone pasącymi się w dali krowami. Pokonawszy dwa kilometry, dotarł do metalowej bramy opatrzonej większym napisem *Foggy Fields* i wizerunkiem kudłatego szczeniaka labradoodle z różową wstążką zawiązaną na uchu. Stromy asfaltowy podjazd prowadził do krytego dachówką dużego kamiennego domu, za którym widać było pięć pomalowanych na żółto szop ustawionych w szeregu.

Kiedy Conor wysiadł z auta, zza domu wyszła kobieta; w jednej ręce niosła plastikowe wiadro, a w drugiej miotłę. Była niska i tęga; na głowie miała fioletową chustę, spod której wyzierała okrągła twarz, a lśniąca różowa kurtka puchowa sprawiała, że kobieta wydawała się jeszcze grubsza.

– Dzień dobry! – zawołała. – Mogę panu w czymś pomóc?!

– Mam nadzieję – odparł Conor. – Szukam szczeniaka na prezent urodzinowy dla córki, a słyszałem wiele dobrego o Foggy Fields.

– Ma pan na myśli jakąś konkretną rasę?

– Córka marzy o mopsie.

– Jestem pewna, że będziemy mogli panu pomóc. Odniosę tylko wiadro i miotłę, a potem przejdziemy do biura i zobaczymy, co da się zrobić.

Gdy zniknęła za domem, dobiegł stamtąd głośny brzęk. Po chwili wróciła i poprowadziła go głównym wejściem do pomieszczenia, w którym przy zagraconym biurku siedziała inna kobieta, pogrążona w rozmowie przez telefon. Ona również nie grzeszyła wzrostem, ale była szczupła, miała falowane blond włosy, zadarty nos i kształtne czerwone usta. Miała na sobie luźny kremowy sweter z szerokim dekoltem, obcisłe spodnie z czarnej skóry i sięgające kostek buty na obcasach. Roztaczała wokół siebie silny zapach Modern Muse Estée Lauder.

– To zależy, ile ich chcesz – powiedziała. – Możemy ci wysłać co najmniej piętnaście w przyszłym tygodniu, ale jeśli chcesz więcej,

będziesz musiał poczekać do końca miesiąca. Jasne, że kupiłabym więcej suk, gdybyś płacił mi więcej, Stevie. Nie możesz mieć jednego i drugiego, rozumiesz chyba, o co mi chodzi? Dasz po trzysta za cocker pudła, to będziemy mogli zacząć rozmawiać o poważnych liczbach. Sammy może sobie mówić, co chce. Przekaż mu, że jeśli chce kupić tanio szczeniaki, to niech tu przyjedzie i sam je płodzi.

Odłożyła telefon i odwróciła się do Conora, witając go uśmiechem. Jej przednie zęby były poplamione szminką.

– Ten pan przyjechał do nas, bo szuka szczeniaka mopsa – powiedziała kobieta, która go tu przyprowadziła.

– Ha! – Blondynka skinęła głową. – Jeśli zależy panu na zdrowym, radosnym szczeniaku, to trafił pan we właściwe miejsce, może pan być tego pewien. Jestem Blánaid McQuaide, a to moja siostra, Caoilfhoinn, jeśli jeszcze się nie przedstawiła, a tak pewnie było.

– Conor MacSuibhne – odparł. – Znajomy kupił u was mopsa i bardzo dobrze się o was wyrażał. Moja córka zakochała się w tym szczeniaku, a w przyszłym tygodniu kończy jedenaście lat, więc pomyślałem, że przyjadę tu i może też kupię jej takiego, jeśli to możliwe.

– Więc ma pan szczęście – rzuciła Blánaid. – Trzy tygodnie temu miałyśmy nowy miot mopsów. Wszystkie są takie kochane, że nie będzie pan się mógł zdecydować, którego chce. Dwa już sprzedałyśmy, ale zostały jeszcze cztery.

– Mają tylko trzy tygodnie? – zdziwił się Conor. – Czy to nie za wcześnie, by zabierać je od matki?

– Och, łatwo się przyzwyczajają. Jestem pewna, że pańska córka zapewni swojemu szczeniakowi więcej miłości i uwagi, niż mogłaby to zrobić jego psia matka.

– W porządku, pani jest ekspertem. Ile pani chce za tego szczeniaka?

– Za mopsa sześćset pięćdziesiąt.

– O kurczę, sporo. Myślałem, że może z dwieście.

– Sześćset pięćdziesiąt to co najmniej sto euro mniej, niż zażąda od pana jakikolwiek inny hodowca. Może chce je pan obejrzeć? Proszę tylko wyobrazić sobie twarz pańskiej córki, kiedy obudzi się w dniu urodzin, a na skraju jej łóżka będzie siedział śliczny mały mops.

– Hm... nie wiem... ta cena...

– No dobrze, mogę zejść do pięciuset siedemdziesięciu pięciu, ale to wszystko. Hodowla rasowych szceniaków i otaczanie ich najlepszą możliwą opieką, a właśnie tak jest w Foggy Fields, to bardzo kosztowny interes. Mamy naprawdę skromne zyski, a często notujemy straty. Robimy to wyłącznie z miłości do psów, prawda, Caoilfhoinn?

Tęższa kobieta spoglądała za okno, przygryzając wargę.

– Co? – ocknęła się. – A, tak, oczywiście. Robimy to wyłącznie z miłości do psów.

– Przynies do salonu ten nowy miot mopsów, dobrze? – poleciła jej siostra.

Wyszła z biurka i podczas gdy Caoilfhoinn poszła po szczeniaki, Blánaid zaprowadziła Conora do dużego pokoju po przeciwnej stronie korytarza. Główne umeblowanie pomieszczenia stanowiły kanapa wzorowana na antykach i dwa fotele do kompletu. W kominku opalonym torfem tlił się niewielki płomień. Pobielane ściany obwieszane były obrazami przedstawiającymi labradory, boksery i setery irlandzkie oraz oprawionymi w drewno dyplomami z wystaw psów. W rogu stało dębowe biurko z porcelanowym posążkiem owczarka szkockiego, jak Lassie, obok którego leżał terminal do kart płatniczych.

– To niesamowite, jak konkurencyjnym rynkiem stało się ostatnio hodowanie psów – poskarżyła się Blánaid. – Jeśli widział pan jakieś paskudne komentarze o Foggy Fields na Facebooku, to musi pan wiedzieć, że tak naprawdę zamieszczają je konkurencyjne firmy. Opiekujemy się naszymi sukami najlepiej, jak potrafimy... Byłybyśmy nienormalne, gdybyśmy postępowały inaczej, prawda? A szczeniaki traktujemy jak prawdziwe skarby.

– Miło mi to słyszeć – odparł Conor. – Ile macie suk?

– Och, wiele różnych ras, trudno je nawet wszystkie wymienić. Mopsy, labradoodle, cocker pudle, lhasa apso... Wszystkie najpopularniejsze odmiany. W Cavan jest większa hodowla, przyznaję, ale nasza jest bez wątplenia wiodąca w okolicach Cork.

Conor skinął głową. Ta kobieta właściwie nie odpowiedziała na jego pytanie, udawał jednak zwykłego ojca, który nie wie nic o psach. Nie chciał, by jego rozmówczyni zaczęła podejrzewać, że próbuje się dowiedzieć, w jaki sposób oszczędza na zwierzętach. Przyznała już, że nie ma żadnych oporów przed zabieraniem od matek zaledwie trzytygodniowych szceniąt. Rozdzielanie suk i jej tak młodego potomstwa jest nie tylko okrutne, ale też niezdrowe dla szceniąt. Muszą skończyć co najmniej sześć tygodni, by przenieść się do nowego domu, inaczej bowiem mogą mieć poważne problemy ze zdrowiem i psychiką – matka nie jest w stanie nauczyć ich w krótszym okresie, jak nawiązywać znajomości z innymi psami i jak o siebie zadbać. Jak powiedział mu kiedyś Domnall: „Trzyletnie dziecko umie chodzić i mówić, potrafi samo jeść i chodzić do toalety, ale nie odróżnia jeszcze dobra od zła i nie wie, jak żyć z innymi ludźmi. Nawet nie przyszłoby ci do głowy, by odebrać trzyletnie dziecko matce, więc dlaczego miałbyś to robić trzytygodniowemu szczeniakowi?”

Conor podszedł do kominka i przysunął dłonie do ognia.

– Okropnie zimno w tym miesiącu, prawda? Nie pamiętam tak chłodnego stycznia.



– Bogu dzięki, za dwa tygodnie wyjeżdżam z partnerem na Malediwy – odparła Blánaid. – Będziemy potrzebowali parasoli tylko do ochrony przed słońcem. I posiedzimy tam przez trzy tygodnie. Będzie fantastycznie.

Do pokoju weszła Caoilfhoinn z dużą pikowaną torbą. Postawiła ją na podłodze i otworzyła szeroko, by Connor mógł zobaczyć cztery szczenięta kotłujące się w środku.

– Są po prostu cudowne, prawda? – Blánaid sięgnęła do torby i wyjęła jedno. – Ten jest najsilniejszy. Zapewni pańskiej córce długie godziny zabawy, mogę to panu obiecać. Proszę, może pan go potrzymać. Niech pan powie: „Cześć, kolego. Chciałbyś zamieszkać ze mną i moją córką?”.

Wziął od niej niezdarnie zwierzaka, jakby nigdy w życiu nie trzymał na rękach szczenięcia. Gdy spojrzał w jego lśniące, wyłupiaste oczy, mops odpowiedział mu równie głębokim spojrzeniem. Conor od razu się zorientował, że szczeniak z trudem oddycha. Miał zbyt małe nozdrza, więc wciągał i wypuszczał powietrze raczej przez pysk niż przez nos, obficie się przy tym śliniąc. Wyglądało też na to, że ma wydłużone podniebienie, co również ograniczało przepływ powietrza. Choć był jeszcze bardzo młody, miał już przebarwienia wokół oczu, bo cierpiał na tę samą przypadłość co Walter, czyli wytrzeszcz. Wystarczyło, by pobawił się przez chwilę z wymyśloną córką Conora, a ślepia mogłyby wypaść z oczodołów.

– Rzeczywiście, słodki psiak – powiedział. – Aoife na pewno będzie nim zachwycona.

– Chce go pan zabrać już teraz? – spytała Blánaid. – Możemy panu sprzedać transporter dla psa, luksusowe legowisko i miesięczny zapas karmy dla szczeniąt Red Mills, wszystko po okazjnych cenach.

– Cóż... przekonała mnie pani – odparł Conor, oddając jej szczeniaka. – Ale pięćset siedemdziesiąt pięć... Będę musiał zrobić przelew. Mogę się tym zająć jutro z rana, to nie problem, a potem wrócę tu i zabiorę szczeniaczka. Ach... i tak, będę potrzebował legowiska i trochę jedzenia, nie pomyślałem o tym. Może mógłbym zrobić zdjęcie, żeby Aoife wiedziała, jak wygląda ten mały słodziak?

– Oczywiście. – Blánaid położyła szczeniaka na kanapie.

Conor zauważył, że maluch drży, a to mogło oznaczać, że jest mu zimno albo się boi, albo cierpi na niewydolność oddechową, nosówkę lub inną chorobę. Mopsik wydał z siebie cichy pisk, przypominający krzyk mewy; był w bardzo złym stanie i prawdopodobnie umrze w ciągu tygodnia lub dwóch. Conor zrobił iPhone'em kilka zdjęć pod różnymi kątami, nagrał też krótki film, by Domnall mógł zobaczyć, co dzieje się ze szczeniakiem.

– Aoife będzie w siódmym niebie, kiedy to zobaczy – zwrócił się do Blánaid. – Wrócę jutro rano, jak tylko zrobię przelew.

– Będziemy na pana czekały. I przygotujemy wszystko, zwłaszcza tego malucha.

\* \* \*

Wyjechał przez bramę i ruszył polną drogą, lecz kiedy tylko Foggy Fields zniknęło w oddali, zaparkował audi na poboczu, wjeżdżając kołami z jednej strony na trawę, i wysiadł. Na zewnątrz wiał lekki wiatr, jakby ktoś dmuchał mu w twarz, ale cisza była przytłaczająca. Conor przeszedł za wysoki, różany żywopłot otaczający farmę. Przeskoczył przez rów i ruszył w górę trawiastym zboczem; starał się maksymalnie pochylać i kryć za żywopłotem, żeby nie dostrzegła go któraś z sióstr McQuaide.

Dotarł na tyły farmy, gdzie stało pięć żółtych szop. Wyrzwał ponad ogrodzeniem i przez chwilę nasłuchiwał, nie widział jednak ani nie słyszał żadnej z sióstr. Przeciskając się przez wąską szczelinę między słupem a żywopłotem, podrapał sobie rękę, więc przyłożył ją do ust, by wysssać krew.

Kiedy zmierzał do najbliższej szopy, zawibrował iPhone. Przyszedł SMS od Katie; pytała, czy nadal zamierza się z nią spotkać na lunch. Boże, gdyby wiedziała, co teraz robię, byłaby wściekła, pomyślał.

Zanim jej odpisał, wspiął się na pokryte warstwą żwiru schody prowadzące do szopy i otworzył drzwi. Gdy tylko wszedł do środka, przywitał go niezwykle hałas: nie kakofonia poszczekiwań i skomleń, jakiej spodziewałby się po szczeniakach, lecz coś przypominającego piskliwy krzyk, jak głosy przerażonych dzieci, a nie psów; do tego dochodziło skrobanie maleńkich pazurów o metalową siatkę.

We wnętrzu szopy panował mrok, bo świetliki na dachu zostały zamalowane żółtą farbą, a gęstym od wilgoci i smrodu odchodów powietrzem ledwie dało się oddychać.

Po lewej stronie pomieszczenia stały trzy rzędy metalowych klatek wypełnionych szczeniakami różnych ras: mopsy, cocker pudle, labradoodle czy chihuahua. Kiedy przechodził obok nich, skakały, piszczały i rzucały się na ściany klatek. Podłoga klatek pokryta była jedynie grubą warstwą podartych gazet, przesiąkniętych moczem, i choć w każdej stała plastikowa miska na wodę, niektóre były przewrócone, a inne puste lub wypełnione uryną.

Po prawej stronie szopy ciągnął się rząd skrzyń ze sklejki, z luźno narzuconymi pokrywami. Ze środka dobiegało skamlenie i drapanie. Conor zajrzał do jednej z nich, oświetlając wnętrze iPhone'em. Na warstwie podartych papierów leżała białobrązowa suka pointera; patrzyła na niego smutnymi oczami, jak zrozpaczona Madonna na średniowiecznym malowidle, tyle że jej ślepia były oblepione tak grubą

warstwą żółtej wydzieliny, że ledwie widziała. Cztery nowo narodzone szczenięta ssaly ją, podczas gdy piąte leżało w rogu skrzyni, przykryte częściowo papierem. Miało otwarte ślepia, było jednak bez wątpienia chore i słabe.

Suka wyglądała na dobrze odżywioną, lecz była wyraźnie wyczerpana i obolała, a sierść miała brudną i skołtunioną. Conor przypuszczał, że wydała na świat znacznie więcej szceniąt, niż powinna była. Siedem miotów to maksimum dla psiej mamy.

Zrobił parę zdjęć i nagrał kilkusekundowy film. Suka patrzyła na niego błagalnym wzrokiem, ale jedyne, co mógł zrobić, to ostrożnie odłożyć pokrywę na miejsce i ponownie zamknąć ją w ciemności wraz z jej szczeniakami.

Miał właśnie podnieść wieko drugiej skrzyni, gdy otworzyły się drzwi szopy. Szczeniaki natychmiast znów zaczęły piszczeć i skakać na ściany metalowych klatek. Conor rozejrzał się szybko, nie miał jednak gdzie się ukryć. Zdażył tylko schować iPhone'a do kieszeni płaszcza.

Do pomieszczenia wszedł wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna. Choć stał na tle otwartych drzwi, oświetlony od tyłu blaskiem dnia, Connor widział, że jest ogolony na łyso, ale ma długie wąsy i brodę. Był w zielonej kurtce z futrzanym kołnierzem i niósł duże kartonowe pudło.

– Hej, co ty tu, kurwa, robisz, koleś?! – zawołał na widok Conora.

Ten podniósł obie ręce.

– Zajrzałem ze zwykłej ciekawości. Wybrałem się na spacer, a kiedy tędy przechodziłem, usłyszałem szczekanie psów. Wydawało mi się, że coś je wystraszyło, więc wszedłem tu sprawdzić, czy nic im nie jest. To wszystko.

Pudło, które brodacz wypuścił z rąk, spadło na podłogę z głośnym trzaskiem. Connor omal nie podskoczył, wystraszony.

– Jak to, kurwa, przechodziłeś obok? Nikt tędy nie przechodzi. Nigdy. To wszystko teren prywatny. Nawet pierdoleni farmerzy tędy nie chodzą.

– Posłuchaj, wygląda na to, że wszystko jest w porządku. To znaczy psy. Więc ja już sobie pójdę, zgoda?

Connor ruszył w stronę mężczyzny i próbował go obejść, lecz ten przesunął się w bok, blokując mu drogę do wyjścia. Śmierdział starym alkoholem i potem. Connor podniósł na niego wzrok i zobaczył, że ma świeżą bliznę w kształcie litery Y na czole, nad prawym okiem.

– Zanim stąd pójdziesz, koleś, może mi powiesz, co tu naprawdę robiłeś? Nie jesteś chyba jednym z tych wścibskich inspektorów, co?

– Och, daj spokój, czy ja wyglądam na kogoś takiego? Poza tym inspektorzy zawsze noszą mundury i odznaki, nie?

– Więc może jesteś pieprzonym dziennikarzem. Dość już narobili nam problemów, sukinsyny.

– Mówiłem ci. Przechodziłem obok i słyszałem, jak te psy histerycznie szczekają, więc pomyślałem, że może dzieje im się coś złego. Posłuchaj ich tylko, na miłość boską. Jak myślisz, dlaczego musimy do siebie krzyczeć, żeby cokolwiek zrozumieć?

Brodacz przymknął jedno oko i zmierzył go wzrokiem.

– No to chodźmy do właścicielek. Może będą chciały wezwać gliniarzy i oskarżyć cię o włamanie. Kto wie, może chciałeś zwędzić parę naszych suk, co?

Conor pokręcił głową.

– Posłuchaj, nie jestem żadnym inspektorem ani dziennikarzem, ani porywaczem psów. Niczego nie ukradłem i niczego nie zniszczyłem, więc bądź łaskaw zejść mi z drogi i wypuścić mnie stąd...

– A ja ci, kurwa, nie wierzę. Pójdziemy do sióstr McQuaide. One będą wiedziały, co z tobą zrobić. Jeśli cię puszczę, koleś, a jutro rano w głównym „Echo” będzie artykuł o tym, jaka to z Foggy Fields pierdolona dziura, to jak myślisz, komu się, kurwa, oberwie?

Conor wahał się kilka sekund. Jeśli pozwoli, by ten facet zaprowadził go z powrotem do Blánaid i Caoilfhoinn, całe jego śledztwo weźmie w łeb. Z pewnością nie sprzedadzą mu małego mopsa, choć potrzebował go jako żywego dowodu, że hodują szczenięta, nie dbając ani trochę o ich dobrostan. A on wciąż nie miał dowodów, że siostry McQuaide mają znacznie więcej suk rozrodowych, niż zezwalało na to prawo, i że bezlitośnie je wykorzystują.

– Nie, nie ma mowy – rzucił w końcu i spróbował odepchnąć brodacza. Ten popchnął go z taką siłą, że Conor stracił równowagę i poleciał na metalowe klatki, które stały za jego plecami. Zamknięte w nich szczeniaki cocker pudli przeraźliwie piszczały i pchały się na siebie. Chwycił się siatki, by podciągnąć się w górę, lecz osiłek zrobił dwa kroki do przodu i wymierzył mu cios w prawy policzek. Głowa Conora odskoczyła w bok tak gwałtownie, że poczuł, jak chrzęszczą ścięgna w jego szyi.

Oszołomiony, opadł na jedno kolano i potrząsnął głową, by oczyścić umysł, po czym znowu spróbował wstać. Był wysportowany i trenował judo, ale przeciwnik był od niego znacznie cięższy, silniejszy i agresywniejszy. Kiedy Conorowi udało się w końcu stanąć na nogach, otrzymał kolejny cios w twarz i tym razem poczuł, jak pęka jego kość nosowa. Potem brodacza uderzył go w prawą stronę czoła, tak że Conor poleciał w lewo i zanim upadł, zainkasował jeszcze cios w szczękę. Wylądował na plecach, na brudnej drewnianej podłodze, i wypluł z ust dwa zakrwawione zęby. Choć półprzytomny, znowu starał się podnosić, lecz wtedy przeciwnik kopnął go mocno w krocze, i to trzy razy. Czując potworny ból, Conor zwinął się w kłębek i zakrył genitalia dłońmi. Brodacza stał nad nim i rozcierał knykcie.

– Chcesz, żebym ci sprzedał jeszcze jednego kopa, koleś? Czy masz już dość? Bo ja mogę tak jeszcze długo, całkiem za darmo.

Mimo ogłuszającego pisku szczeniąt, Conor słyszał jego pogróżki, nie mógł jednak mówić. Z bólu z trudem zbierał myśli. Kiedy leżał nieruchomo na podłodze, poczuł wibracje iPhone'a i widział, jak mężczyzna pochyla się nad nim i wyjmuje telefon z jego kieszeni, lecz bolało go tak, że nie mógł się ruszyć. Słyszał, jak jego oprawca otwiera i zamyka za sobą drzwi. Potem nagle zrobiło się ciemno i cicho. Zdał sobie sprawę, że czeka go śmierć.

## Rozdział 8

Katie zaczęła się martwić. Powiadomiła Conora, że nie może się z nim spotkać na lunchu, bo rano pod drzwiami sklepu na Pana znaleziono martwego żebraka. Czekala teraz na dokładniejsze informacje, by o drugiej poprowadzić zwołaną naprędce konferencję prasową. Minęło już dwadzieścia pięć minut, odkąd wysłała SMS-a, a Conor wciąż nie odpowiadał. Na pewno słyszał wibracje telefonu, a nawet jeśli prowadził, to do tej pory już by jej odpisał. Wysłała więc kolejną wiadomość: *Gdzie jesteś? Nie mogę zjeść z tobą lunchu.*

Czekała, ale odpowiedź wciąż nie nadchodziła, odłożyła więc telefon i zajęła się ponownie pisaniem raportu o danych dotyczących przestępczości w Cork w minionym roku. Odnotowano niepokojący wzrost ataków z użyciem noża, a także żrących cieczy, takich jak środki czyszczące do rur czy kwas siarkowy. Do niektórych z tych napadów doszło w społeczności azjatyckiej. Co najmniej trzy dziewczyny zostały oszpecone tylko dlatego, że nie chciały poślubić mężczyzn wybranych przez ich rodziców. Jednak jeszcze więcej ataków dokonali młodzi złodzieje na skuterach, którzy pryskali kwasem w twarz przechodniów i kradli im telefony komórkowe.

Detektyw sierżant Begley zapukał w otwarte drzwi i wszedł do środka, prowadząc za sobą detektyw Bedelię Murrish. Begley wydawał się sztywny i oficjalny jak zawsze, a Murrish była chuda jak modelka, nawet chodziła w podobny sposób, elegancko stawiając stopy.

Choć Katie nie słyszała sygnału, zerknęła na iPhone'a, by sprawdzić, czy Conor nie odpowiedział, jednak ekran pozostawał ciemny. Odsunęła do tyłu krzesło i podniosła się.

– Wejdźcie, proszę – rzuciła. – O co chodzi z tym bezdomnym?

Begley wyjął notes i odsunął go na długość ręki, by lepiej widzieć.

– Zmarły został zidentyfikowany jako Gearoid Ó Beargha. Funkcjonariusz Brogan dobrze go znał. Mówi, że Gearoid przez ostatnie dwa i pół roku spał przed drzwiami sklepu przy Savoy Centre. Miasto proponowało mu jakieś tymczasowe lokum, ale zawsze odmawiał. Według Brogana, pochodził z Clonakilty i był kiedyś wokalistą zespołu o nazwie Shoot-On-Sights. Pił z Noelem Reddingiem, basistą z Jimi Hendrix Experience, bo Redding osiadł na stare lata w Clonakilty i mieszkał tam, dopóki nie zmarł na marskość wątroby. Shoot-On-Sights się rozpadł, bo Ó Beargha był zawsze zalany i raz spadł nawet ze sceny.

Zaczął karierę solową, ale zwykle pokazywał się w takim stanie, że potem nikt nie chciał go już zatrudniać. Jego ciało zabrano do szpitala uniwersyteckiego, żeby przeprowadzić sekcję, ale moim zdaniem załatwiły go wódka i zimno. Wódka i hipotermia to śmiertelnie groźne połączenie.

– Nie znaleziono żadnych obrażeń? – spytała Katie.

– My niczego takiego nie zauważyliśmy. Żadnych plam krwi na ubraniu czy czegoś w tym rodzaju. Przeszukaliśmy go pobieżnie, kiedy już włożyli jego ciało do karetki. Wciąż miał przy sobie pieniądze, około trzydziestu pięciu euro w kieszeni i dziewięćdziesiąt schowane w skarpetce. Jeśli ktoś go załatwił, to na pewno nie dla zysku. Kiedy sobie przypominę smród jego skarpetek... Jezu, gdyby to nie należało do mojej pracy, nigdy bym ich nie tknął, nawet gdyby miał tam kupon z wygraną w lotto.

– Proszę, pani nadkomisarz – powiedziała Murrish, wręczając Katie foliowy woreczek. W środku znajdował się mocno sfatygowany mały notes z rysunkiem krokodyła na okładce. – Przejrzałam go już. Gearoid zanotował sobie tam parę ważnych rzeczy, na przykład datę urodzin swojej córki, numer ubezpieczenia, ale głównie zapisywał piosenki, które skomponował. Jedna z nich ma tytuł *Dzień, w którym zasną na zawsze*. Trochę to smutne...

Katie uśmiechnęła się do niej cierpko. Polubiła detektyw Murrish. Jej zmierzwiłone blond włosy i niebieskie oczy ukryte pod półprzymkniętymi powiekami sprawiały, że zawsze wyglądała na zasną i niezbyt rozgarniętą, lecz w rzeczywistości miała lotny, analityczny umysł i niezwykłą wrażliwość na emocje innych ludzi, której nie powstydzilaby się wróżka. To połączenie dawało jej przewagę nad kolegami z pracy, którzy potrafili sprawnie wydedukować jak, kiedy i kto, lecz często nie byli w stanie zrozumieć głębszych przyczyn.

– O drugiej mam konferencję prasową – oznajmiła Katie. – Nie będę mówić zbyt dużo. Zaapeluję tylko do krewnych i przyjaciół zmarłego, żeby się do nas zgłosili, bo dzięki temu będziemy mogli stworzyć pełniejszy obraz jego życia i ewentualnych przyczyn śmierci. Trzeba też dopilnować, żeby nasze piesze patrole stałe miały na oku drzwi, pod którymi żebrał. Jeśli to miejsce zajmie jakiś inny bezdomny, powinni spróbować się dowiedzieć, kim jest i skąd pochodzi. Jeśli się okaże, że to obcokrajowiec, muszą spytać, z jakiego kraju przyjechał i jak długo zamierza tu zostać. Jeżeli to możliwe, mają sprawdzić jego dokumenty, ale niech nie naciskają zbyt mocno. Nie chcę, by pomyślał, że się na niego uwzięliśmy.

– Skąd ta ostrożność? – spytał Begley. – Sądysz, że żebrakiem zajął się ten rumuński bandzior, ten Liliput czy jak on się tam nazywa?

– Lupul, tak. Pomyśl tylko, Sean. Mała Ana-Maria powiedziała nam, że przywiózł z Rumunii ponad dwudziestu ludzi, którzy mieli zebrać na ulicach. Gdybym to ja zadała sobie tyle trudu i wydała taką kupę pieniędzy, próbowałabym przejąć wszystkie najlepsze punkty w mieście.

– Trudno odmówić temu racji. Ale jeśli rzeczywiście to on załatwił naszego bezdomnego, to bardzo jestem ciekaw, jak to zrobił. Jak już mówiłem, nie miał żadnych obrażeń, które wskazywałyby na to, że został zastrzelony, zadźgany albo pobity. Oby tylko nie okazało się, że to był jakiś środek paralityczno-drgawkowy... jak ten rosyjski nowiczok, bo inaczej będziemy musieli poddać kwarantannie pół miasta. Tak czy inaczej, chłopaki na górze przeglądają już nagrania z monitoringu. Kilka metrów przed Eason jest kamera skierowana na Savoy Centre. Nagrałyby każdego, kto próbowałby się zbliżyć tamtej nocy do Gearoida.

– Świetnie, Sean, dzięki. – Katie oddała woreczek foliowy detektyw Murrish. – Może warto jeszcze raz przejrzeć ten notes, Bedelio, i sprawdzić, czy nie ma tam informacji o jakichś chorobach albo o kimś, kto mu źle życzył. Może znajdziesz jakąś wskazówkę w jego utworach. Muzycy czasami to robią, prawda? Piszą o swoich problemach w piosenkach.

– *W Dniu, w którym zasną na zawsze jest jeden taki wers – odparła Murrish. – Coś w rodzaju: Wszyscy myślą, że mnie kochasz, tylko dlatego, że ze sobą śpimy... Ale wiem, że będziesz szczęśliwa dopiero wtedy, jak zobaczysz mnie martwego.* Jakoś tak.

– No widzisz. Być może to tylko wymyślona sytuacja, ale niewykluczone, że pisał o swojej byłej kochance. Kto wie, czy w notesie nie ma jakiegoś odniesienia do tej osoby. Warto przyjrzeć mu się dokładniej.

– Pojedziemy na Pana, żeby sprawdzić te drzwi – powiedział Begley. – Jeśli nikogo tam nie będzie, może sam je zajmę. Dziewczyna wierci mi dziurę w brzuchu, żebyśmy w tym roku pojechali na wakacje na Lanzarote zamiast do Banna Beach, więc przydałoby mi się trochę dodatkowej kasy.

\* \* \*

Do konferencji prasowej zostało już tylko dwadzieścia minut, a Conor nadal się nie odezwał, choć wiele razy do niego dzwoniła, wysyłała też kolejne SMS-y i maile. To zupełnie nie było do niego podobne. Zwykle reagował natychmiast, często w ciągu dnia wysyłał do niej wiadomości z żartami i komentarzami do wiadomości albo tylko po to, by jej powiedzieć, jak bardzo ją kocha albo że nie może się doczekać, kiedy ona stanie się nadkomisarz Ó Máille. Zastanawiała się już, czy nie wyjść



na górę i nie spytać, czy nie mogliby namierzyć jego telefonu, gdy w drzwiach pojawił się komendant Brendan O’Kane.

– Pani nadkomisarz Maguire – powiedział z uśmiechem.

Stała przy oknie z iPhone’em w dłoni i po raz kolejny dzwoniła do Conora. Brendan podszedł i stanął obok niej, bliżej, niż pozwalały na to relacje służbowe.

– Ma pan do mnie jakąś sprawę? – spytała.

– Owszem, chodzi o tego bezdomnego, który zmarł w nocy. Jak zamierza to pani przedstawić?

Katie podniosła na niego wzrok. Wciąż miał w oczach ten sam szelmowski błysk i na Boga, nadal był niezwykle przystojny dzięki ostrym, wyrazistym rysom, które przed laty sprawiły, że miała ochotę go niańczyć i jednocześnie całkowicie mu się poddać.

– Nie będę mówiła nic szczególnego. Podam tylko fakty.

– Nie uważa pani, że to dobra okazja, by wyrazić nasze zaniepokojenie ogromną liczbą ludzi, którzy codziennie śpią na ulicach Cork? Może powinniśmy powiedzieć, że powołujemy specjalny nocny patrol, który będzie sprawdzał, czy bezdomni są bezpieczni, i przekonywał ich, by przenieśli się jednak do schronisk.

– Naszym zadaniem jest ich chronić, panie komendancie, ale nie sądzę, by troska o ich dobrostan należała do naszych obowiązków. Może pan o tym porozmawiać z zastępcą komendanta Pearse’em, wątpię jednak, czy znajdzie funkcjonariuszy chętnych do pełnienia takich nocnych dyżurów, nie wspominając już o funduszach.

– Chcę tylko poprawić nasz wizerunek, nadać mu bardziej ludzki wymiar, Katie. A może naruszam przepisy, zwracając się do ciebie po imieniu?

Nie odpowiedziała. Zerknęła tylko ponownie na iPhone’a, po czym wrzuciła go do kieszeni.

– Mam nadzieję, że to, co zaszło między nami w Templemore, to już zamknięty rozdział, Katie. Świetnie sobie poradziłaś w życiu i szanuję cię za to. Chciałbym, żebyśmy współpracowali najściślej, jak się da. Naprawdę musimy się bardzo postarać, żeby odzyskać zaufanie ludzi.

– Najlepsze, co możemy zrobić, to uczciwie wypełniać nasze obowiązki – odparła. – Właściwie to jedyne rozwiązanie. Koniec z fałszowaniem wyników badań alkomatem, wymazywaniem punktów karnych z kont celebrytów albo przyjmowaniem łapówek i wypuszczaniem przestępców na wolność. Nie potrzebujemy takich sztuczek piarowych jak nocne patrole dla ochrony bezdomnych.

– Może i masz rację. Ale byłbym wdzięczny za wszelkie inne pomysły, które mogłyby poprawić nasz wizerunek. Pamiętaj, że zawsze możesz do mnie przyjść i omówić strategię.

– Dziękuję, panie komendancie. Powinam już zejść na dół i poprowadzić konferencję. Pan również będzie w niej uczestniczył?

– Katie, naprawdę nie musisz być taka oficjalna. Nie musisz zwracać się do mnie per panie komendancie... przynajmniej nie wtedy, gdy jesteśmy sami.

Podniosła na niego wzrok, ale nie odpowiedziała. Nie mogła przestać myśleć o Conorze; zastanawiała się, gdzie się podziewa i dlaczego nie odpowiada na jej SMS-y.

– Nie będę owijał w bawełnę – powiedział Brendan. – Kiedy wczoraj cię zobaczyłem, zacząłem pluć sobie w brodę, że wtedy w akademii cię zdradziłem. Teraz jesteś jeszcze atrakcyjniejsza.

Umilkł, jakby czekał, aż Katie mu podziękuje, ona jednak przeszła w milczeniu do swojego biurka i zabrała notatki przygotowane wcześniej na konferencję prasową.

– Nie sugeruję na razie, że powinniśmy wrócić do tego, co było wcześniej – ciągnął Brendan. – Chciałbym jednak wierzyć, że znów możemy być przyjaciółmi... bardzo bliskimi przyjaciółmi... i współpracownikami. Tylko tyle chciałem powiedzieć.

– Jestem zaręczona i wkrótce wychodzę za mąż, panie komendancie – odparła Katie, unosząc wyzywająco głowę.

– Wiem. Michael mi powiedział. Szczęściarz z tego faceta.

Dopięła bluzę munduru i wyszła z gabinetu. Brendan szedł tuż za nią – zdecydowanie za blisko, jakby był jej mężem lub kochankiem – nie chciała jednak przyspieszać kroku, by się od niego oddalić, bo zamieniłaby tę niezręczną sytuację w komedię. Poza tym dlaczego miałyby to robić?

Zjechali razem windą. Oboje milczeli, lecz Brendan ani na moment nie odrywał od niej wzroku. Katie spoglądała na boki, nie mogła się jednak powstrzymać i co jakiś czas również na niego zerkała. Co za łajdak! Dlaczego musiał przy tym być taki przystojny i charyzmatyczny? Niemal wyczuwała zapach wydzielanych przez niego feromonów. Wbiła spojrzenie w pomarańczowe symbole na jego epoletach, ale i one były symbolem jego siły.

Gdy weszła do sali konferencyjnej, czekało tam tylko kilku dziennikarzy – Dan Keane z „Examinera”, Douglas Kelly z „Timesa” i Fionnuala Sweeney z *Six One News*, a także dwóch wolnych strzelców. Brendan nadal towarzyszył Katie, choć teraz trzymał się w nieco większej odległości. Kiedy jednak usiadła, zajął miejsce obok niej i położył dłoń na blacie stołu, jakby oczekiwał, że Katie przykryje ją swoją dłonią. Zauważyła, że kamera stacji RTÉ jest już włączona, nie spojrzała więc na stół i starała się zachować kamienną twarz.

– Niestety... – zaczęła. – Niestety, dziś rano pod drzwiami sklepu przy St Patrick’s Street znaleziono zwłoki bezdomnego mężczyzny, Gearoida

Ó Bearghy. Miał czterdzieści sześć lat i pochodził z Clonakilty. Przyczyny jego śmierci są nieznane, ale ciało przewieziono do szpitala uniwersyteckiego w Cork, gdzie zostanie przeprowadzona sekcja.

Opowiedziała dziennikarzom o muzycznej przeszłości Gearoida i poprosiła, by każdy, kto ma jakieś informacje o jego problemach zdrowotnych lub osobistych, skontaktował się z nią na komendzie.

Gdy skończyła, Brendan podniósł rękę, prosząc w ten sposób o głos.

– Chciałbym dodać tylko jedną rzecz, jeden osobisty komentarz. Jako nowy komendant Garda Síochána w Cork zamierzam współpracować ściśle z radą miasta, służbami miejskimi i organizacjami charytatywnymi, by zająć się problemem rosnącej liczby bezdomnych. Nie chcemy stracić kolejnych Gearoidów Ó Bearghów. Ani jednego. Bez względu na to, jak wielką cierpią biedę, jakie mają problemy psychiczne i jakie uzależnienia, wszyscy ci ludzie śpiący na ulicach w te mroźne noce są naszymi braćmi i siostrami i powinniśmy ich chronić. Nadkomisarz Maguire zgodziła się pomóc mi w tej misji. Jest policjantką wybitnie uzdolnioną i oddaną swej pracy, że nie wspomnę już o charyzmie. Wiem, że wspólnie uda nam się odmienić ulice Cork, zapewnić schronienie bezdomnym, jedzenie głodnym i nadzieję zrozpaczonemu.

Odwrócił się i spojrzął na Katie. Była pewna, że kamery uchwyciły jego prowokacyjną minę. Dostrzegła, jak Dan Keane unosi brew, a wiedziała, że jego uwadze nie uchodzą najmniejsze nawet szczegóły. Uśmiechnęła się wymuszenie, zebrała notatki i wstała. Matko Boża jedyna, ten facet dołoży mi całą stertę problemów do tych, które już mam.

## Rozdział 9

Brianna właśnie nalala herbatę do filiżanek, dla siebie i Darragha, gdy wezwano ich do wypadku na Wellington Road, po północnej stronie miasta.

– Myślę, że oni robią to celowo – powiedziała, wkładając kamizelkę odblaskową podniesioną z oparcia krzesła. – Mają chyba jakiś szósty zmysł, bo gdy tylko robię herbatę, rozbijają samochody, podpalają się albo wypadają z okien.

– Prawie trafiłaś – odparł Darragh, gdy wychodzili na zewnątrz. – Jakaś młoda kobieta spadła ze schodów. Jest w ciąży, więc martwią się też o dziecko.

Wsiedli do karetki, ruszyli i minawszy Smyths Toys, skierowali się w stronę centrum. Tego popołudnia ruch był stosunkowo niewielki, Darragh nie musiał więc włączać syreny, dopóki nie dotarli do Merchants Quay i nie przejechali nad rzeką St Patrick's Bridge.

– A właśnie! Wczoraj wieczorem spotkałem twojego chłopaka – odezwał się Darragh, skręcając w MacCurtain Street.

– Bradena? Tak?

– Zamieniliśmy tylko kilka słów. Mówił, że kupujecie nowy samochód. Któryś z modeli BMW X trzy. Jezu, jak ja bym chciał mieć takie auto! A muszę się tłuc tą moją starą toyotą.

– Och, nie powinieneś wierzyć we wszystko, co on mówi. Marzy o takiej beemce, odkąd kupił ją jego kumpel z klubu piłkarskiego. Braden nie ma pracy od Dnia Świętego Szczepana, a chyba nie sądzisz, że przy mojej pensji mogłabym sobie pozwolić na taki samochód?

Pojechali w górę York Hill, a potem skręcili w prawo, w Wellington Road, ulicę prowadzącą do St Luke's Cross. Mniej więcej w połowie drogi zobaczyli machającego do nich starszego mężczyznę, który stał przed bordowym domem. Darragh zaparkował dwoma kołami na chodniku i Brianna wysiadła z karetki.

– Jest w środku! – zawołał z przejęciem mężczyzna. – Jestem ich sąsiadem z dołu. Usłyszałem jakiś łomot i poszedłem zobaczyć, co się dzieje. Spadła z samej góry schodów na dół i wciąż tam leży, bo nie chcieliśmy jej ruszać... no wiecie, żeby nie zrobić jej jeszcze czegoś gorszego. Problem w tym, że ona jest w ciąży. Jej mąż przeraził się, że może poronąć.

Drzwi domu były otwarte, więc Brianna i Darragh weszli od razu do środka. W korytarzu było ciemno, śmierdziało wilgocią, a tapeta schodziła ze ścian. Dokładnie na wprost wejścia znajdowały się strome schody pokryte wykładziną z sizalu, a u ich podnóża leżała na plecach ciemnowłosa młoda kobieta z szeroko rozłożonymi rękami i nogami. Najwyraźniej szykowała się właśnie do wyjścia, bo miała na sobie brązowy płaszcz i buty australijskiej firmy Ugg, choć jeden zsunął się z jej stopy. Wykładzina wyglądała na śliską, a stopnie były wąskie, nic więc dziwnego, że straciła równowagę.

Obok kobiety klęczał kędzierzawy mężczyzna około trzydziestki, w musztardowym swetrze i szarych spodniach dresowych. Łagodnie gładził żonę po głowie i powtarzał:

– Ailbe... Ailbe... Ailbe... Słyszysz mnie, Ailbe? Ailbe!

Na widok Brianny i Darragha wchodzących do domu wstał i złożył ręce jak do modlitwy.

– Bogu dzięki, że jesteście. Spadła z samej góry, a jest w siódmym miesiącu ciąży. Oddycha normalnie, ale nie otworzyła oczu i nie odezwała się ani słowem.

– Ma na imię Ailbe, tak? A pan?

– Peter.

– Dobrze, Peter. Gdybyś był łaskaw cofnąć się, żebym mogła ją zbadać i sprawdzić, co da się dla niej zrobić. Darragh, będziemy potrzebowali kołnierza ortopedycznego.

Twarz Ailbe była blada jak w marmurowym posągu anioła na cmentarnym pomniku. Kobieta oddychała szybko i nieregularnie, wciągając powietrze małymi haustami, jakby ten anioł próbował ukryć to, że wcale nie jest kamieniem, lecz żywą istotą. Brianna otworzyła torbę i wyjęła z niej latarkę, po czym delikatnie uniosła prawą powiekę Ailbe i skierowała promień światła na oko. Źrenica była rozszerzona i nie reagowała na światło, co mogło wskazywać na wstrząśnienie mózgu. Brianna uniosła drugą powiekę i zobaczyła, że lewa źrenica jest mniejsza, co było kolejnym symptomem wstrząśnienia.

– Wyjdzie z tego? – spytał Peter od drzwi, zaciskając mocno ręce.

Brianna właśnie badała tętno jego żony, które było szybkie, ale słabe.

– Straciła przytomność, a w szpitalu będą jej musieli zrobić tomografię komputerową, żeby sprawdzić, czy nie ma urazów mózgu. Nie wiem jeszcze, czy nie złamała jakichś kości.

– A dziecko? Co z dzieckiem? To chłopczyk.

Zbadawszy tętno i ciśnienie krwi pacjentki, Brianna rozpięła jej płaszcz i zapinany sweter robiony na drutach. Pod swetrem Ailbe nosiła sukienkę ciążową z ciemnobrązowego sztruksu. Brianna podsunęła jej sukienkę w górę i ściągnęła rajstopy w dół ud, by obejrzeć białe majtki kobiety. Nie dostrzegła na nich śladów krwi lub innych płynów,

wyglądało więc na to, że worek owodniowy nie pękł. Położyła dłoń na okrągłym brzuchu Ailbe i poczuła, jak dziecko się porusza. Po przeniesieniu kobiety do karetki będzie mogła zmierzyć jego puls stetoskopem położniczym.

– Proszę się nie niepokoić – zwróciła się do Petera. – Dziecku chyba nic się nie stało.

– O Jezu Chryste, oby tak było.

Szybko, choć ostrożnie, Brianna zbadała ręce, nogi i miednicę kobiety. Wyglądało na to, że żadna z kości nie jest złamana, choć szyja była wykrzywiona pod dziwnym kątem. Zapewne podczas upadku Ailbe próbowała się ratować i obróciła się wokół własnej osi, po czym uderzyła tyłem głowy w podłogę tak mocno, że teraz dotykała brodą piersi. Mogła doznać podobnych obrażeń jak dziewczyna i chłopak w przewróconej fieście, być może nawet doszło do przemieszczenia kręgów.

W drzwiach pojawił się Darragh z noszami na wózku, na których leżał kołnierz ortopedyczny, przypominający dolną część rycerskiego hełmu, tyle że wykonaną z plastiku. Uklęknął po drugiej stronie korytarza i delikatnie uniósł ramiona pacjentki, by jego partnerka mogła wsunąć kołnierz pod jej szyję, a potem umocować go rzepami.

– Nic jej nie będzie, prawda? – dopytywał się Peter. – Nie skrzyła karku? Ani nic w tym rodzaju?

– Jak już mówiłam, w szpitalu zrobią jej tomografię – odparła Brianna. – Na razie jej stan jest stabilny, ale przez całą drogę będę nad nią czuwać. Nad dzieckiem też.

– Czy nie powinienem wsiąść do karetki?

– Lepiej nie. Przepisy BHP i tak dalej. Ma pan samochód, prawda? Może jechać pan za nami do Wilton, ale jeśli przejedziemy na czerwonym świetle, pan będzie musiał się zatrzymać. Nie chcemy mieć dwóch rannych osób zamiast jednej.

Brianna i Darragh ułożyli Ailbe na noszach i przewieźli do karetki. Peter wybiegł na ulicę, gdzie zaparkował swoją poobijaną niebieską kię.

Nim Darragh zajął miejsce za kierownicą, wskazał głową na Ailbe.

– Co z nią? – spytał, chcąc się dowiedzieć, w jakim naprawdę stanie jest pacjentka.

– Na dwoje babka wróżyła, niestety. – Brianna westchnęła, odpinając maskę tlenową i zakładając ją na nos i usta młodej kobiety. – Kiedy zakładałam kołnierz, wyczułam miękkie zgrubienie na karku. Przypuszczam, że to poważne pęknięcie ze zgniecieniem. Mogła uszkodzić rdzeń kręgowy, a wtedy może być naprawdę różnie. Będzie miała szczęście, jeśli skończy się na porażeniu czterokończynowym.

Darragh spojrział na Ailbe ze współczuciem.

– Jezu, nikomu bym tego nie życzył. Biedna dziewczyna. Przypomina moją kuzynkę Sinead.

– Daj spokój, Darragh, musimy jechać. Liczy się każda sekunda.

Uruchomił silnik i ruszył na sygnale w stronę St Luke's Cross, a potem skręcił na południe, w dół Summerhill. Brianna widziała przez przyciemniane tylne okno, że Peter jedzie tuż za nimi.

Ponownie zbadała tętno i ciśnienie krwi pacjentki. Choć Ailbe wciąż nie odzyskała przytomności, jej puls był znacznie silniejszy i regularny, a ciśnienie wzrosło. Jej powieki drgały lekko, a usta poruszały się tak, jakby chciała coś powiedzieć. Może wołała męża, a może pytała po prostu „Gdzie ja jestem?”, jak większość pacjentów, którzy odzyskują przytomność po wstrząśnięciu mózgu.

– Trzeba było patrzeć pod nogi, dziewczyno, tym bardziej że jesteś w ciąży – mruknęła pod nosem Brianna.

– Jak sytuacja?! – zawołał Darragh.

– Stabilnie. Sprawdzę teraz puls dziecka.

Przejechali przez Brian Boru Bridge, zmierzając ku południowej obwodnicy, najszybszej drodze do szpitala. Brianna zakładała, że jeśli nie trafią na korek, ma mniej niż dziesięć minut, zanim dotrą do izby przyjęć. Podsunęła w górę sukienkę Ailbe, odsłaniając jej brzuch, po czym otworzyła pokrowiec ze stetoskopem położniczym. Aparat był wyposażony w słuchawkę przypominającą zwykły stetoskop, połączoną z zasilanym bateriami czujnikiem, który należało przyłożyć do skóry pacjentki, by usłyszeć tętno płodu. Brianna posmarowała brzuch Ailbe żelem, nie założyła jednak słuchawki. Odłożyła urządzenie na bok tak, by wyglądało na to, że go używała.

Pacjentka znów zaczęła poruszać ustami i jej lewa powieka uniosła się nieco. Brianna nie mogła dopuścić, by odzyskała przytomność i ją zobaczyła albo żeby zaczęła głośno mówić. Wtedy przypominałoby to raczej morderstwo, a nie eutanazję, a Brianna to, co robiła, chciała uważać za eutanazję. Kiedy nie mogąc zasnąć, leżała nocą obok chrapiącego Bradena, wmawiała sobie, że dokonuje jedynie chrześcijańskich aktów miłosierdzia. Jej pacjenci mieli niewielkie szanse na przeżycie, a gdyby nawet im się to udało, większość z nich byłaby okaleczona fizycznie lub umysłowo, co zamieniłoby ich życie w koszmar. Jak Ailbe zdołałaby wychowywać dziecko, gdyby była sparaliżowana od szyi w dół? Nie mogłaby nawet trzymać go przy piersi podczas karmienia.

Nawet po śmierci jej mózgu dziecko mogłoby przeżyć, gdyby lekarze sztucznie podtrzymywali bicie serca pacjentki, musieliby jednak zabrać się do tego natychmiast po zgonie kobiety. To, co zamierzała zrobić Brianna, mogło się skończyć tylko podwójnym pogrzebem.

Gdy dojechali już do południowej obwodnicy i byli na rondzie Magic, musiała się przytrzymać najbliższej poręczy. Zaraz po tym, jak z niego zjechali, rozpięła rzepy na kołnierzu i uniosła głowę pacjentki, rozkładając jego połówki na boki.

Ailbe zapiszczała dziwnie przez nos, a potem jęknęła cicho, jakby miała zły sen. Brianna zacisnęła mocno dłonie na jej głowie, wsuwając palce we włosy, a potem szarpnęła ją w górę i usłyszała charakterystyczny trzask w szyi. Następnie obróciła głowę kobiety w lewo, najmocniej jak potrafiła, a później w prawo. Na koniec poruszała nią we wszystkie strony, jak egzorcysta głową filmowej Regan MacNeil, dopóki znów nie usłyszała trzasku oznaczającego uszkodzenie kręgosłupa.

Pochyliła się nad pacjentką i słuchała. Ailbe przestała oddychać, lecz Brianna na wszelki wypadek sprawdziła jeszcze tętno. Nie wyczuła nic. Serce pacjentki przestało bić. Jej brzuch wydał się i falował, lecz były to tylko gwałtowne ruchy dziecka, które zostało pozbawione tlenu i wkrótce również miało umrzeć.

Dojeżdżali już do szpitala. Brianna zapięła kołnierz na szyi Ailbe i uporządkowała jej włosy. Raz jeszcze sprawdziła tętno, by mieć całkowitą pewność. Dziecko wciąż kopało, lecz jego ruchy były coraz słabsze i rzadsze. Nim karetka podjechała pod rampę oddziału ratunkowego, całkowicie ustały.

– Co z nią? – spytał Darragh, otwierając tylne drzwi.

Brianna wybuchnęła płaczem.

– O Boże, Darragh, ona umarła. Zrobiłam wszystko co w mojej mocy, ale zgasła jak świeczka. Weźmy ją szybko do środka. Może uda się chociaż uratować dziecko.

Dwaj sanitariusze ze szpitala wyszli na zewnątrz, by pomóc im wyjąć pacjentkę z karetki i wwieźć ją do budynku. Zapłakana Brianna stała na stopniach furgonetki i przyciskała dłonie do ust. Było jej naprawdę przykro z powodu tego, co zrobiła, ale jak wyglądałoby życie Ailbe, gdyby nie pomogła jej odejść? A jej dziecko nigdy się nie dowie, jak potoczyłyby się jego losy, bo nie ujrzy światła dziennego. Przynajmniej oboje zostaną upamiętnieni napisami na nagrobku, na co nie mogła liczyć większość ludzi na tym świecie, których imiona i życiorysy odeszły na zawsze w niepamięć.

Obok karetki zatrzymała się z piskiem opon niebieska kia. Peter wyskoczył z niej i nawet nie zatrzasnął za sobą drzwi. Podbiegł do nich, wołając:

– Nic jej nie jest, prawda?! Nie straciła dziecka, tak?!

Darragh położył mu dłoń na ramieniu.

– Wejdz do środka – poradził mu. – Lekarze przeprowadzą dokładne badania i będą ci mogli powiedzieć znacznie więcej niż my.



Dopiero teraz Peter zobaczył Briannę, która ocierała łzy zmiętą chusteczką. Odwrócił się z powrotem do Darragha.

– Dlaczego ona płacze? – spytał. – Co się stało?

– Chodź do środka – rzucił Darragh.

– Dlaczego ona płacze? Powiedz mi! Dlaczego ona płacze?!

## Rozdział 10

Znaleźli adres rzeźnika Eamona Buckleya, ale gdy zapukali do drzwi przy Mount Agnes Road, dowiedzieli się od pulchnej młodej kobiety kołyszącej na rękach równie pulchniutkie niemowlę, że Buckley już tu nie mieszka i że ona nie ma pojęcia, dokąd się wyprowadził. Pojechali więc do jego sklepu przy Shandon Street, który tego dnia był jednak zamknięty. Na szczęście Pakistańczyk prowadzący po sąsiedzku kiosk wiedział, gdzie obecnie mieszka rzeźnik. Nie powiedzieli mu, że są policjantami, ale musiał się domyślić, bo zawołał za nimi:

– Co znów przeskrobał?

Detektywi Scanlan i Markey zapoznali się już z kartoteką Eamona Buckleya. W ciągu ostatnich pięciu lat był trzykrotnie skazany za napaść i raz za usiłowanie napaści. Trzymając w ręce tasak do mięsa, gonił klienta przez pół Shandon Street, lecz na szczęście nie zdołał go dopaść.

Mieszkał w wielkim jednorodzinny domu na rogu Farranferris Avenue i Kilnap Place. Do willi, błyszczącej świeżą jasnożółtą farbą, dobudowano z przodu białą werandę z kolumnami, by wydawała się jeszcze wspanialsza od sąsiednich budynków. Dom stał na wzniesieniu w północnej części Cork, w dzielnicy Farranree, i z jego okien rozciągał się piękny widok na zielone wzgórza południowej strony miasta. Na podjeździe stał nowy czerwony ford mondeo.

– Dlaczego ja się tak denerwuję? – mruknęła Scanlan, otwierając żeliwną furtkę.

– Och, daj spokój, Padragain. To tylko rzeźnik, który ma parę wykroczeń na sumieniu, a my chcemy go jedynie spytać, jak pierścionek pewnej kobiety trafił do mielonego mięsa z jego sklepu.

– Więc nie ma się czym martwić? Nawet jeśli poprosimy go, żeby otworzył swój zakład, bo chcemy sprawdzić, czy nie ćwiartował ludzi?

– Otóż to. Założę się, że jest równie potulny jak pudełek twojej cici.

– Moja ciocia nie ma pudelka. Ma rudego kota, który wydrapie ci oczy, jak tylko na niego spojrzysz.

Detektyw Markey wszedł na schody prowadzące do wejścia i nacisnął guzik dzwonka. Z wnętrza dobiegła wygrywana na dzwonek melodia *My Wild Irish Rose*. Przez dłuższą chwilę nie mogli się doczekać żadnej reakcji, w końcu jednak usłyszeli podniesiony męski głos:

– Ktoś stoi pod drzwiami, do jasnej cholery! Nikt nie sprawdzi, kto to?!

Jakaś kobieta odkrzyknęła coś niezrozumiałego w odpowiedzi, a potem rozległy się kroki kogoś, kto najwyraźniej był wzburzony. Lecz nadal nikt nie otwierał drzwi.

– Spróbuj zadzwonić jeszcze raz – rzuciła Scanlan.

– Chyba nie ma takiej potrzeby. On przecież wie, że tutaj jesteśmy. Może właśnie zapina spodnie.

Czekali niemal minutę, ale drzwi wciąż pozostawały zamknięte, więc w końcu Markey zadzwonił ponownie. Znowu usłyszeli dźwięki swojskiej melodii i zanim umilkły, drzwi otworzyły się raptownie. Za progiem stał nieogolony łysy mężczyzna w bezrękawniku i workowatych spodniach z zielonego sztruku. Eamon Buckley był ogromny. Wypełniał niemal całą przestrzeń między framugami. Miał wysunięte czoło, głęboko osadzone oczy i wystającą żuchwę, co upodabniało go do posągów z Wyspy Wielkanocnej. Jego ramiona były pokryte gęstwiną tatuaży, głównie wizerunków węży i smoków, choć znalazł się wśród nich również symbol galickiego związku sportowego GAA.

– Jeśli chcecie mi coś sprzedać, na pewno tego nie chcę – odezwał się niskim, zachrypniętym głosem. – A jeśli jesteście windykatorami i przychodzicie w sprawie samochodu, to lepiej od razu stąd spieprzajcie.

Oboje wyjęli legitymacje.

– Detektyw Markey i detektyw Scanlan z komendy przy Anglesea Street – przedstawił ich Markey.

– Och, tak? Jeśli jakiś ćwok wam powiedział, że spuściłem mu łomot, to łże jak pies.

– Nikt nie oskarżał pana o napaść, panie Buckley. Ale jedna z pańskich klientek znalazła w mielonym mięsie z pańskiego zakładu złoty pierścionek. Chcielibyśmy się dowiedzieć, jak tam trafił.

– Co?! Jak się nazywa ta klientka?

– Nie wolno nam panu tego wyjawiać. Musimy się tylko dowiedzieć, jak pierścionek tam trafił. Czy mógł go upuścić do mięsa któryś z pańskich pracowników?

– Mam tylko jednego pracownika i wiem, że nie nosi pierścionków. Ja też nie. To jedna wielka bzdura. Jakiś cwaniaczek chce ode mnie wyciągnąć kasę, i tyle. Znam te sztuczki. Mówią, że znaleźli karalucha we flakach albo mysi ogon w kielbasie. Tylko zanim, kurwa, coś znajdą, najpierw wszystko zeżrą, więc nie ma żadnych dowodów.

Detektyw Scanlan skinęła głową.

– Być może tak było i tym razem – przyznała. – Ale bylibyśmy wdzięczni, gdyby pojechał pan na Shandon Street i otworzył swój zakład, żeby nasi technicy mogli przeprowadzić badania.

Eamon Buckley wytrzeszczył na nią blisko osadzone paciorkowate oczy, jakby zaproponowała mu właśnie, by zdjął spodnie, wyszedł do ogrodu i zatańczył dla nich tradycyjny irlandzki taniec High Cauleed Cap.

– Otworzyć zakład? Chyba sobie, kurwa, kpisz, dziewczyno. Sklep jest zamknięty w środy. A teraz odpiardolcie się i zostawcie mnie w spokoju. Nic nie wiem o żadnym pierścionku i prawdę mówiąc, gówno mnie to obchodzi.

To powiedziawszy, zatrzasnął im drzwi przed nosem. Dwoje detektywów wymieniło spojrzenia; byli zdumieni i rozbawieni jednocześnie. Markey ponownie nacisnął guzik dzwonka. Nie doczekał się żadnej reakcji, więc zadzwonił po raz drugi, a potem jeszcze raz. Gdy po raz trzeci wybrzmiała melodia *My Wild Irish Rose*, Buckley wrzasnął:

– Spierdalać, bo oskarżę was o nękanie!

Scanlan podeszła pod same drzwi.

– Panie Buckley! – zawołała. – Odmawianie współpracy nie ma sensu! Mamy sądowy nakaz przeszukania pańskiego sklepu i zakładu, słyszy mnie pan? Jeśli pan nam nie pomoże, otworzymy go siłą, ale to pan będzie musiał zapłacić za wszystkie zniszczenia!

Odpowiedziała im cisza. W końcu jednak Buckley ponownie otworzył drzwi i zmierzył ich gniewnym spojrzeniem. Scanlan cofnęła się o krok, lecz sięgnęła do kieszeni, wyjęła nakaz i pokazała go rzeźnikowi.

– Proszę bardzo, panie Buckley. Może pan sam przeczytać, jeśli pan chce. Podpisane osobiście przez sędzię Gráinne Devins.

– No dobra, dziewczyno, niech wam będzie – warknął. – Poczekaście parę minut, włożę buty i płaszcz. Tak wygląda ta pierdolona niby-wolność. Nic nie wiem o żadnym pierścionku. Ktoś se robi jaja i tyle, a wy mnie za to, kurwa, prześladujecie.

Gdy wrócił do środka, Markey zadzwonił do techników kryminalistycznych i powiedział im, żeby przyjechali do sklepu rzeźnika.

Eamon Buckley wrócił do nich niemal dziesięć minut później, w obcisłym płaszczu od Crombiego, z pogryzionym przez mole aksamitnym kołnierzem, i w ciemnobrązowej robionej na drutach czapce, która przypominała ocieplacz na imbryk.

– Ostrzegam was, kurwa, złożę skargę do Micka Nugenta – wygrażał, idąc za nimi ścieżką przez ogród. Mick Nugent był radnym północno-zachodniej dzielnicy Cork z ramienia lewicowo-nacjonalistycznej partii Sinn Féin.

Markey nie odpowiedział na tę zaczepkę; w milczeniu otworzył tylne drzwi policyjnej vectry i czekał cierpliwie, aż rzeźnik wgramoli się do środka. Buckley cuchnął dymem papierosowym i od czasu do czasu przedmuchiwał głośno nos. Nikt się nie odzywał. Scanlan nie chciała

nawet oddychać tym samym powietrzem co rzeźnik, nie wspominając już o rozmowie.

Zaparkowali przed sklepem, Eamon Buckley wysiadł z samochodu i wyjął z kieszeni pęk kluczy, których nie powstydziliby się więzienny strażnik. Otworzył drzwi i wprowadził dwoje detektywów do środka. W sklepie było ciemno i zimno; w powietrzu unosił się zapach starej krwi i wybielacza. Buckley podniósł żaluzje, po czym stanął przed pustą szklaną ladą i skrzyżował ręce na piersiach.

– No dobra, bierzcie się do roboty – burknął. – Ale powiem wam, że na pewno nie znajdziecie tu tego, czego szukacie.

– Pozwoli pan, że to my o tym zdecydujemy – odparła Scanlan.

Czekali w krępującej ciszy jeszcze kilka minut, aż pod sklep podjechała furgonetka z laboratorium. Wysiadło z niej troje techników kryminalistycznych, kobieta i dwóch mężczyzn. Jeden z nich pomachał im wesoło przez okno. Włożyli białe kombinezony z tyveku i weszli do sklepu niczym trzy szeleszczące głośno duchy, obciążone aluminiowymi walizkami ze sprzętem i lampą ultravioletową.

– Jak leci? – spytała detektywów kobieta, po czym zwróciła się do Buckleya: – Pan jest właścicielem tego sklepu?

– A jeśli nawet, to co? – odwarknął.

– Zajmie nam to kilka godzin – odparła, rozglądając się. – Nie musi pan tu czekać. Właściwie wolelibyśmy nawet, żeby pozwolił nam pan działać na własną rękę. Możemy zamknąć sami, kiedy już skończymy, jeśli da nam pan klucze.

– Skąd mogę wiedzieć, czy nie podłożycie jakichś dowodów, jeśli was tu zostawię? Na przykład krew, którą ze sobą przywieźliście, albo czyjeś odcięte palce, żebyście mogli zostawić wszędzie odciski?

– Jezu, powinnam była o tym pomyśleć! – Kobieta westchnęła. – A tak poważnie, drogi panie, mamy całą stertę prawdziwych dowodów z innych śledztw, którymi musimy się zająć. Toniemy w tym po uszy. Nie musimy jeszcze dokładać sobie pracy. – Wskazała na drzwi chłodni na tyłach sklepu. – Zakładam, że trzyma pan tam spore ilości mięsa.

– A co bym tam, kurwa, miał trzymać? Choinki? Jestem, kurwa, rzeźnikiem! Jasne, że trzymam tam mięso.

– No tak, oczywiście. Chcę pana tylko uprzedzić, że być może pobierzemy próbki tego mięsa, żeby potem przeprowadzić dokładniejsze badania w laboratorium. Przedstawimy panu pełną listę rzeczy, które ze sobą zabierzemy.

– I zapłacicie mi za to? Bo jak już coś obmacacie, później nie będę mógł tego sprzedać. Wołowina zrazowa to piętnaście euro za kilo, polędwica na steki to trzydzieści osiem za kilo. I przyjmuję tylko gotówkę.

– Proponuję, żeby zostawił nam pan klucz, a my będziemy wtedy mogli zawieźć pana do domu, panie Buckley – wtrącił się Markey.

Rzeźnik wahał się przez chwilę, w końcu jednak wyjął gruby pęk kluczy i pomagając sobie kciukiem, wyłuskał z niego klucz do sklepu. Gdy tylko podał go z ociąganiem kobiecie z zespołu techników, detektyw Scanlan powiedziała:

– Wyjdźmy na powietrze, panie Buckley, i pozwólmy tym ludziom pracować w spokoju. – Poprowadziła go do drzwi, podczas gdy detektyw Markey został w środku, by porozmawiać chwilę z kryminalistykami.

Kiedy znaleźli się na zewnątrz, Buckley odchrząknął, zakasłał i splunął, po czym skinął ręką na Scanlan.

– Chodź tu, dziewczyno, coś ci powiem – rzucił.

Sprawdzała właśnie w iPhone, czy nie dostała jakichś nowych wiadomości, podniosła jednak wzrok znad ekranu i podeszła do rzeźnika.

– Co pana trapi? – spytała.

Pochylił się do niej i odezwał się cicho:

– Powiem ci, co mnie trapi. – Obejrzał się przez ramię, jakby sprawdzał, czy nikt ich nie podsłuchuje. – Nie wiem, czego tam, kurwa, szukacie, ale i tak niczego nie znajdziecie. Jeśli jednak okaże się, że coś tam wyniuchaliście, to znaczy, żeście mnie wrobili. Więc mówię ci, dziewczyno, że jak coś znajdziecie, to lepiej, żebyś się pilnowała, i to całą dobę. Jestem jednym z najlepszych rzeźników w Cork, jeśli wiesz, co mam na myśli. Wiem wszystko o krojeniu świń, owiec i krów, a policjantka niewiele się od nich różni. No, może oprócz cyczków.

Scanlan wpatrywała się w niego przez kilka sekund, próbując uspokoić gwałtowne bicie serca. Gdy w końcu mu odpowiedziała, starała się, by brzmiało to spokojnie i profesjonalnie, choć strach ścisnął jej gardło.

– Proszę posłuchać, panie Buckley. Groźenie funkcjonariuszce Garda Síochána śmiercią lub okaleczeniem jest karalne. Mogłabym pana aresztować za to, co pan właśnie powiedział, a wtedy mógłby pan trafić za kratki nawet na dziesięć lat lub musiałby pan zapłacić grzywnę w wysokości tysiąca pięciuset euro. Ale pan doskonale o tym wie, prawda?

Buckley podniósł mięsiste ręce.

– O czym ty, kurwa, mówisz, dziewczyno? Nie odzywałem się przecież ani słowem. Ani jednym pierdolonym słowem. Udowodnij mi, że było inaczej, no, śmiało! Aresztuj mnie, jeśli chcesz, zaprowadź mnie do sądu, a ja powiem sędziemu, że kłamiesz w żywe oczy i że milczałem jak grób. – Znów pochylił się do niej i uśmiechnął szeroko, odsłaniając krzywe, żółte od tytoniu zęby, po czym oblizał lubieżnie usta. – Niektóre

cięcia są przyjemniejsze od innych, wiedziałaś o tym? Na przykład zad albo to, co pod nim.

W tym momencie ze sklepu wyszedł Markey.

– Gotowi do jazdy?! – zawołał. Ujrzawszy minę Scanlan, spytał: – O co chodzi, Pad? Co się tu dzieje?

– Nic, zupełnie nic – odpowiedział mu Buckley. – Rozmawialiśmy właśnie o bandyckich cenach żeberek, prawda, dziewczyno?

Scanlan otworzyła tylne drzwi vectry i poleciała krótko:

– Proszę wsiadać.

Wcisnął swe wielkie cielsko do wnętrza samochodu, wciąż szczerząc zęby w uśmiechu, a ona zatrasnęła za nim drzwi.

– O co chodzi? – spytał ją Markey.

– O nic. Groził mi, to wszystko.

– Co za gnojek! Moglibyśmy go za to wsadzić.

– Daj spokój, Nick. Nie boję się go. Co mi robi? Udusi mnie kielbasą?

Markey spojrział na rzeźnika, a ten puścił do niego oko i pokazał podniesiony kciuk, jakby chciał powiedzieć: „Wiem, co ci teraz mówi, i uwierz mi, wcale nie żartuję”.

– No nie wiem – mruknął Markey. – To chyba zależy od tego, jak ten pierścionek trafił do mięsa, nie uważasz?

## Rozdział 11

Dochodziła już czwarta, gdy w końcu Conor zadzwonił.

– Katie? – zaczął. Mówił trochę dziwnie, jakby miał zatkany nos. – Nie jesteś na spotkaniu czy coś w tym rodzaju?

– Jezu, Con, gdzieś ty był? Próbuję się z tobą skontaktować od ładnych paru godzin. Myślałam już, że miałeś wypadek.

– Bo w pewnym sensie miałem. Jestem na oddziale ratunkowym w szpitalu uniwersyteckim. Nie mogę teraz długo rozmawiać, bo zaraz zabierają mnie na prześwietlenie. – Przerwał i Katie słyszała, jak postękuje z bólu. – Trochę mnie pobili w Foggy Fields – odezwał się po chwili. – Później ci o tym opowiem.

– Co? Nie, nie później. Zaraz tam przyjadę.

– Posłuchaj, nie ma takiej potrzeby. To nic groźnego. Mogę prowadzić, więc zobaczymy się wieczorem, kiedy wrócisz do domu.

– Nie kłóć się ze mną, Con. Jadę tam. Zobaczymy się za piętnaście minut, jeśli nie wcześniej.

Katie powiedziała Moirin, że jedzie do szpitala, włożyła ciemnozielony płaszcz z kapturem, wyszła z gabinetu i ruszyła pospiesznie w dół schodów. Gdy przechodziła obok recepcji, natknęła się na detektywa sierżanta Begleya niosącego torebkę, która roztaczała dokoła silną woń chińskiego jedzenia na wynos.

– Późny lunch, Sean? – spytała, wyjmując kluczyki do samochodu.

– Miałem do ciebie przyjść, kiedy już coś przekąszę – odparł. – Dzwonił do mnie funkcjonariusz Brogan.

– Brogan? To on znalazł dziś rano tego martwego bezdomnego przy Savoy Centre, tak?

– Zgadza się. Prosiłem go, żeby do mnie zadzwonił, jeśli jakiś inny żebrak zajmie tamto miejsce. No i oczywiście już ktoś się pojawił.

Ostrożnie odstawił torebkę na podłogę, wyjął iPhone'a i przez chwilę przesuwał palcem po ekranie, aż znalazł to, czego szukał.

– Proszę. – Podał Katie telefon. – To ten facet.

Brogan przesłał mu wcześniej zdjęcie żebraka siedzącego w miejscu, gdzie minionej nocy zmarł Gearoid Ó Beargha. Ten nowy był chudym młodym mężczyzną o wydatnym nosie i jasnych włosach związanych w kucyk na czubku głowy; miał na sobie strasznie brudną brązową pikowaną kurtkę z kapturem. Obok niego leżał na kocu smutny szary



kundel. Z drugiej strony żebrak postawił karton z napisem: *Nie mam pracy. Proszę o datki.*

– Brogan z nim rozmawiał – powiedział Begley. – Facet twierdzi, że zajmuje się wyrobem trumien i że przyjechał tu z Rumunii szukać pracy, ale nie znalazł jeszcze nikogo, kto chciałby go zatrudnić.

– Wyrób trumien? Lepiej nie mógł trafić... Ale jakoś mi się nie chce wierzyć, że w Rumunii umiera tak mało ludzi, żeby nie miał tam co robić. Zdaje się, że mają tam teraz epidemię odry, prawda?

– Kto wie? Może rumuńscy przedsiębiorcy pogrzebowi nie płacą tak dobrze jak nasi. Brogan uważa, że facet mówi całkiem przyzwoicie po angielsku. Pokazał mu swoje rumuńskie dokumenty i podobno wszystko było w nich w porządku.

– I co zrobił Brogan?

– Nic. Zostawił go w spokoju, tak jak kazałaś. Przekazałem mu wcześniej, że jeśli tam kogoś zastanie, nie powinien go przeganiać ani za bardzo się czepiać, żeby facet nie pomyślał, że sprawdzamy, czy to nie jakiś zorganizowany gang.

– Dobra robota – skwitowała Katie. – Ale dopilnuj, żeby obserwowano tego Rumuna stale przez kamery monitoringu. Jeśli ktoś do niego podejdzie i zacznie z nim rozmawiać tak, jakby dobrze się znali, natychmiast mnie poinformuj. Chcę zobaczyć, jak wyglądają jego kumple. A swoją drogą, co z nagraniem tego zmarłego żebraka... Gearoida? Mamy już coś?

– Chłopaki na górze ciągle to przeglądają. Facet położył się wczoraj spać bardzo wcześnie, koło wpół do dziewiątej, więc będą potrzebowali trzech albo czterech godzin, żeby coś znaleźć, nawet jeśli przyspieszą przewijanie. Wychodzisz z komendy?

– Tak, jadę do Wilton Hilton. Nie wiem, ile mi to zajmie.

– W porządku, wyślę ci esemesa, jeśli pojawi się coś ciekawego.

– Dzięki. A teraz idź, zjedz lunch. Chyba nie masz ochoty na zimne chow mein?

\* \* \*

Dotarła na oddział ratunkowy w chwili, gdy Conora przywieziono właśnie z prześwietlenia. Była zszokowana, gdy zobaczyła, jak brutalnie został pobity – prawdę mówiąc, gdyby nie ruda broda, pewnie w ogóle by go nie rozpoznała. Jego spuchniętą twarz pokrywał jeden wielki czarno-czerwony siniec, a nos był zakryty dużym białym opatrunkiem. Lewe oko wyglądało jak przejrzały bakłażan, a wargi po lewej stronie były nabrzmiące, popękane i pokryte strupami. Pielęgniarski zawiózł Conora do jednej z kilku kabin, w których pacjenci czekali na badanie,

i zaciągnął niebieską zasłonę, by zapewnić im choć odrobinę prywatności.

– Matko Boska, Con... – jęknęła Katie, ujmując dłoń Conora. – Kto ci to zrobił?

– Sam jestem sobie winien, Katie – odparł tym nosowym głosem. – Byłem zbyt wścibski, jak zwykle.

– Spójrz tylko na siebie. Co się stało, na miłość boską?

– Pojechałem do hodowli Foggy Fields. Powiedziałem siostrze McQuaide, że chcę kupić szczeniaka mopsa dla mojej córki.

– Co? Jakiej córki? Nigdy mi nie mówiłeś, że masz córkę.

– Jasne, że nie mam. Chciałem, żeby same się pograżyły, i tak też się stało. Zaproponowały mi szczeniaka, który miał dopiero trzy tygodnie, więc był o wiele za młody, żeby zabierać go od matki. I wyglądał też na bardzo chorego. – Umilkł nagle i zakrył usta dłonią, jakby próbował powstrzymać wymioty.

– Co się dzieje? – spytała z niepokojem Katie. – Mam wezwać pielęgniarkę?

Conor wziął głęboki oddech i pokręcił głową.

– Nie, wszystko w porządku. Wymiotowałem już tyle, że nic we mnie nie zostało. Zaraz dojdę do siebie.

– Musisz mi powiedzieć, kto ci to zrobił, kochanie. Zamknę ich i oskarżę o napaść. Jeszcze gorzko tego pożałują.

– Nie możesz. Już ci mówiłem, że sam jestem sobie winien. Zakradłem się na farmę od tyłu, żeby zajrzeć do jednej z szop, w której trzymają szczeniaki.

– Wszedłeś do szopy sióstr McQuaide bez ich pozwolenia?

Skinął głową.

– Robiłem właśnie zdjęcia, kiedy wpadł tam osiłek wielki jak Tyson Fury i złapał mnie na gorącym uczynku. Zwykle potrafię się obronić, ale z tym typem nie miałem żadnych szans. Rzucił mną po całej tej szopie. – Przerwał na moment, przełknął ślinę, po czym dodał: – Powinnaś to zobaczyć, Katie. To prawdziwe piekło dla suk i ich szczeniaków. Piekło na ziemi.

– Wierzę ci, Con, i wiem, jak bardzo zależy ci na tym, żeby skończyć z tymi nielegalnymi hodowlami, ale, na miłość boską, wtargnąłeś nielegalnie na czyjąś posiadłość.

– Wiem. Jak jednak mogłem zdobyć dowody? Przecież te siostrzyczki nie wpuściłyby mnie tam z własnej woli.

Katie przyciągnęła sobie plastikowe krzesło i usiadła. Współczuła Conorowi, a jednocześnie była na niego wściekła. Nie chciała, by poczuł się jeszcze gorzej, bo bez wątpienia ogromnie cierpiał, lecz irytowała ją świadomość, że ryzykował swoją wolność dla tych szceniąt.

– Dobrze znasz warunki zawieszenia twojego wyroku – powiedziała.  
– Pamiętasz, co mówił sędzia? Nie wolno ci podejmować żadnych nielegalnych działań przeciwko ludziom, których podejrzewasz o maltretowanie psów, bez względu na to, jak słuszne wydają ci się te działania. Zostaw to odpowiednim organizacjom, tak właśnie ci radził.

– No tak, wiem, ale...

– Con, zastanów się nad tym. Facet, który cię pobił, może trafić do więzienia, ale dobrze wiesz, co powie w swojej obronie. Przyłapał cię na terenie zamkniętej posesji, więc będzie twierdził, że dokonałeś jakichś zniszczeń albo że wziął cię za złodzieja. To oznacza, że ty też trafisz do pudła za naruszenie warunków zwolnienia, to pewne. – Ścisnęła mocno jego dłoń. Była bliska łez. – Jeśli trafisz za kratki, nie będziemy się mogli w lecie pobrać. Jestem nadkomisarz w Garda Síochána, nie będę mogła zorganizować ślubu w kaplicy więziennej przy Rathmore Road.

– Więc go nie aresztuj, na miłość boską – odparł Conor. – Przyznałem przecież, że byłem głupi i że to moja wina.

– Ale pomyśl tylko, co on ci zrobił. Kiedy tu przyszłam, ledwie cię poznałam.

W tym momencie rozległ się szelest odsuwanej kotary i uprzejme chrząknięcie. Katie odwróciła głowę i zobaczyła lekarza, który uśmiechał się współczująco. Był to śniady mężczyzna ze starannie przyciętą brodą i w okularach bez oprawek. W dłoni trzymał teczkę z kilkoma zdjęciami rentgenowskimi.

– Bhavik Sandhu – przedstawił się. – Jestem urologiem i będę się dziś zajmował Conorem.

– Nadkomisarz Kathleen Maguire – odpowiedziała Katie.

Lekarz uniósł brwi i uśmiechnął się z zakłopotaniem, jakby nie wiedział, jak powinien zareagować.

– Rozumiem. I prowadzi pani śledztwo w sprawie pobicia pana Ó Máille’a?

– Tak i nie. Tak się składa, że pan Ó Máille jest moim narzeczonym.

– Ach, rozumiem. Cóż, przykro mi to mówić, ale pani narzeczony wymaga natychmiastowej operacji. – Odwrócił się do Conora. – Pielęgniarka z izby przyjęć wspomniała, że kopano pana w krocze, zgadza się?

– Tak. Co najmniej trzy razy, o ile pamiętam. Jezu, nie wiedziałem dotąd, że istnieje taki ból. Przekraczał wszelkie skale.

– Nic dziwnego, że tak bardzo to pana bolało. Prześwietlenie wykazało, że pańskie jądra są mocno posiniaczone i że w wyniku obrażeń doszło do skrętu jąder. Pańskie powrózki nasienne uległy skrętowi, co oznacza, że został zablokowany dopływ krwi do obu jąder.

– Wiem, co to znaczy, panie doktorze – odparł Conor. – Czy sytuacja jest poważna?

– Coż, nie będę owijał w bawełnę i przyznam od razu, że nawet bardzo poważna. Dlatego musimy pana od razu przewieźć na salę operacyjną. Minęło już sporo czasu, odkąd odniósł pan te obrażenia, więc rozpoczął się proces atrofii tkanki. Istnieje ryzyko, że po tylu godzinach pozbawione krwi jądra mogła dotknąć martwica, innymi słowy, mogły obumrzeć.

– Tak, to też rozumiem, panie doktorze. W takim razie im szybciej zaczniecie operować, tym lepiej, prawda?

– Każę pana przygotować do operacji w ciągu kilku minut, panie Ó Máille. Kiedy już się z tym uporamy, zajmie się panem jeden z naszych chirurgów twarzowo-szczękowych. Ma pan pęknięty łuk jarzmowy i kość policzkową, a także liczne pęknięcia oczodołu. Niewykluczone, że będziemy musieli odbudować oczodoł z wykorzystaniem implantu, z tytanu albo z rozpuszczalnego plastiku.

– A co z moim nosem? Czuję, jak chrzęści w środku, i ledwie mogę oddychać.

– Najpierw musimy poczekać, aż zejdzie opuchlizna. Potem trzeba będzie dokonać korekcji nosa, by przywrócić mu pierwotny kształt.

– Och, Con... – westchnęła Katie i ponownie ujęła jego dłoń.

– Dobrze mi tak, prawda? Gdybym się tak nie rządził, jak Brian Śmiały, nie doszłoby do tego. Powinienem był pamiętać, że Brian źle na tym wyszedł, podobnie jak ja.

Wciąż rozmawiali, gdy do kabiny weszli sanitariusz i dwie sanitariuszki, jedna wręcz chorobliwie chuda, druga pyzata.

– Naprawdę bardzo mi przykro, kochanie. Bardziej ze względu na ciebie niż na mnie. Wszystko spieprzyłem, prawda?

– Och, na miłość boską, nie zawracaj sobie tym głowy. – Katie wyciągnęła z kieszeni chusteczkę i otarła oczy. – Całe szczęście, że cię nie zabili. Będę się za ciebie modlić, Con. Wrócę tu później, kiedy będziesz już po operacji.

Conor złapał ją za rękaw płaszcza.

– Poczekał, jeszcze jedno. Walter. Zostawiłem go u Domnalla w Gilabbey. Trzeba go stamtąd zabrać i zaopiekować się nim.

– Spokojnie, Con. Żaden problem. Zajmę się tym.

Patrzyła w milczeniu, jak sanitariusz wiezie go w stronę sali operacyjnej. Czuła się tak, jakby ta metaforyczna burza, o której niedawno wspominała, już nadciągnęła, a niebo nad jej głową zasnuło się czarnymi chmurami.

\* \* \*

Pół godziny później, gdy siedziała w poczekalni dla krewnych, jej iPhone rozbrzmiał melodią *Mo Ghille Mear*. Wyjęła telefon z kieszeni

i odczytała wiadomość od patolożki sądowej, doktor Mary Kelley.

Gearoid Ó Beargha NIE zmarł śmiercią naturalną. Wkrótce prześlę pani mailem pełny raport z sekcji + zdjęcia skanów CGI.

Katie natychmiast wstała, opuściła poczekalnię i przeszła szybko do szpitalnego prosektorium. Gdy weszła do środka, doktor Kelley stała przed komputerem i w skupieniu pisała coś dwoma palcami. Katie pomyślała, że patolożka schudła trochę, odkąd się ostatnio widziały, i nie przypominała już tak bardzo rosyjskiej matroszki, choć wciąż miała podwójną brodę.

Pod lewą ścianą prosektorium stały w szeregu cztery wózki z noszami. Na każdym bez wątpienia leżały zwłoki, przykryte dyskretnie zielonymi szpitalnymi prześcieradłami. Pośrodku pomieszczenia, na stole ze stali nierdzewnej, leżało nagie ciało Gearoida, ułożone na brzuchu. Skóra była blada jak воск, choć przez ramiona przebiegały dwa pasy gęstych ciemnych włosów. Ręce i nogi również były owłosione, a pośladki upstrzone całą masą niebieskich i żółtych siniaków. System wentylacyjny pracował na pełnych obrotach, usuwając z prosektorium nieprzyjemne zapachy i chroniąc patolożkę sądową przed wdychaniem szkodliwych substancji podczas badania, lecz Katie i tak wyczuwała charakterystyczną zgniłą woń śmierci.

– Kathleen! Jakim cudem zjawiała się tu pani tak szybko? – przywitała ją doktor Kelley. Wygasiała ekran laptopa, podeszła do Katie i podała jej zieloną maskę chirurgiczną.

– Tak się złożyło, że byłam już w szpitalu – wyjaśniła Katie. – Mój przyjaciel miał drobny wypadek.

– Nic groźnego, mam nadzieję?

– Właśnie go operują. Z Bożą pomocą powinien się z tego wykaraskać.

– Przyznam się pani, że gdybym tu nie pracowała, nikt nie zaciągnąłby mnie do szpitala żadną siłą. Żałuję, że nie posłuchałam rad mojego taty i nie zostałam chemiczką. A mama zawsze uważała, że powinnam być nauczycielką. Mówiła, że mam dobre podejście do dzieci. Ale nie, ja, idiotka, koniecznie chciałam kroić ludzi!

Katie zawiązała maskę i naciągnęła ją na nos, po czym stanęła obok patolożki przy nagim ciele Gearoida.

– Ma wszystkie objawy i schorzenia typowe dla bezdomnych alkoholików – powiedziała doktor Kelley. – Marskość wątroby, wirusowe zapalenie wątroby typu B, egzemę i łuszczycę. Do tego różne choroby skórne, w tym świerzb, urazy stóp, próchnicę zębów i chroniczną infekcję płuc. Przypuszczam, że gdyby nic się w jego życiu nie zmieniło, tak czy inaczej zostałyby mu nie więcej niż trzy, cztery lata.

– Ale nie zmarł z przyczyn naturalnych?

Splecione włosy z tyłu głowy Gearoida zostały już wcześniej rozczesane na boki, ale patolożka pochyliła się nad nim i odsunęła na bok kilka niesfornych kosmyków. W czaszce był mały czerwony otwór. Katie przyjrzała mu się uważnie.

– To nie jest rana po kuli – stwierdziła. – Nie wygląda też na ranę po dźgnięciu nożem.

– Ma pani rację. To otwór po wiertle. Ktoś zawiercił go na śmierć, że się tak wyrażę, korzystając prawdopodobnie z bezprzewodowej wiertarki. Takiej, jaką można kupić w Hickeys, Clark's czy jakimkolwiek innym sklepie z narzędziami.

– Poważnie? Ma pani na myśli zwykłą wiertarkę, na przykład Black and Deckers? – Katie ułożyła dłoń tak, jakby trzymała w niej tego rodzaju narzędzie.

– Zgadza się. A sprawca czy raczej sprawcy doskonale wiedzieli, co robią, bo nie ma żadnych śladów, które świadczyłyby choćby o chwili zawahania. Przypuszczam, że wyszukali najpierw guz potyliczny... Widzi pani to zgrubienie z tyłu czaszki? Potem namierzyli miękkie miejsce poniżej guza i tam wprowadzili wiertło, kierując je w górę, w pień mózgu. Sądząc po skanach CGI, poruszali też wiertłem na boki, na wszelki wypadek. Zamienili rdzeń przedłużony w papkę, co oznaczało natychmiastową śmierć ofiary: zatrzymanie serca, zatrzymanie oddychania, przerwanie wszelkiej komunikacji sensorycznej między mózgiem i resztą ciała.

Katie milczała przez chwilę.

– Jakies inne obrażenia, które by to potwierdzały? – spytała w końcu.

– Jeśli spojrzy pani tutaj, zobaczy dwa szerokie siniaki na plecach. Prawdopodobnie tu właśnie klęczał napastnik, kiedy wwiercał się w jego głowę. Jest też siniak na lewym nadgarstku, choć to nie musi być powiązane. Bill Phinner ma wszystkie ubrania zabitego i buty oczywiście, no i parę drobiazków, które miał przy sobie. Są między nimi listy miłosne od kobiety o imieniu Ailbe.

– Czy któryś z techników badał już ciało?

– Jeden z ludzi Billa ma tu później przyjechać, żeby zrobić parę zdjęć i pobrać próbki włosów i skóry, ale prawdę mówiąc, nie wiem, jak mogliby nam pomóc. Musieliby znaleźć wiertło i sprawdzić, czy nie ma na nim fragmentów rdzenia mózgu tego biedaka. Oczywiście wystarczyło, że sprawca włożył wiertło do zmywarki, żeby zniknęły z niego wszelkie ślady. Finish Powerball to najlepszy środek na pozbycie się dowodów. Powinni mówić o tym w swoich reklamach.

Katie skinęła głową.

– Ogromne dzięki, pani doktor. Powinnam już wracać do poczekalni. Nie wiem, ile jeszcze potrwa operacja mojego przyjaciela.

– W ciągu dwudziestu minut powinnam pani przesłać raport z sekcji, wyślę też na komendę papierową wersję. I mam nadzieję, że pani przyjaciel wróci do zdrowia.

– Dzięki, ja też.

A jeśli Conor nie wróci do zdrowia? – myślała Katie, idąc szpitalnym korytarzem. Jeśli lekarzom nie uda się uratować jego jąder i będzie bezpłodny? Musiała przyznać przed sobą, że odkąd przyjęła jego oświadczenia, wielokrotnie dochodziła do wniosku, że mogłaby mieć z nim dzieci, choć nigdy nie pozwoliła sobie ubrać tych myśli w słowa. Żadne dziecko, którego doczekałaby się z Conorem, nie mogłoby jej zastąpić małego Seamusa, zresztą i tak by tego nie chciała. Jednak po stracie synka, którego zgon był przypadkiem śmierci łóżeczkowej, czuła się w pewnym sensie niekompletna, bo nie miała dzieci. Pięć spośród jej sześciu siostr miało rodziny, a ona była jeszcze dość młoda, by zostać matką. Przecież Gwen Stefani urodziła swoje najmłodsze dziecko w wieku czterdziestu trzech lat, a Janet Jackson, gdy miała już pięćdziesiątkę. Dlaczego więc ona miałaby być gorsza? Poza tym Garda Síochána zapewniała urlop macierzyński.

Wyszła przed szpital i zadzwoniła do detektywa komisarza Mullikena. Było już ciemno i zaczęło padać, stała więc blisko ściany, pod daszkiem przy wejściu. Gdy Mulliken odebrał, opowiedziała mu o wynikach sekcji zwłok Gearoida.

– No to pięknie – rzucił i westchnął ciężko. – Teraz będziemy musieli szukać u wszystkich podejrzanych nie tylko broni, ale też bezprzewodowych wiertarek. Ciekawe, co będzie następne? Roboty kuchenne?

– Poczekaj, to jeszcze nie wszystko. – Katie przekazała mu informacje o młodym rumuńskim wytwórcy trumien, który zajął miejsce Gearoida przed Savoy Centre.

– Myślisz, że on może mieć coś wspólnego z zabójstwem tamtego?

– Nie mam pojęcia, Tony, jeszcze nie, choć to całkiem możliwe. Słuchaj, chcę, żebyśmy sprawdzali paszporty albo inne dokumenty wszystkich obywateli Rumunii, których znajdziemy na ulicach. Musimy to robić bardzo dyskretnie. Sprawdźmy też innych bezdomnych, żeby nie wyglądało na to, że czepiamy się wyłącznie Rumunów. Jestem przekonana, że w mieście działa jakiś gang żebraków, i nie chcę, żeby się ulotnili, zanim ich dopadniemy.

– Jasne, rozumiem. Porozmawiam zaraz z zastępcą komendanta Pearse'em. Spytam, czy jego piesze patrole nie mogłyby zacząć już dziś wieczorem. Mogliby sprawdzić część bezdomnych jeszcze dzisiaj, a kolejnych jutro. Wtedy nie będzie to wyglądało na zorganizowaną akcję.

– Może udałoby im się zabrać ze sobą wolontariusza z Simon Community albo kogoś ze służb miejskich zajmujących się bezdomnymi. Dzięki temu będą mogli udawać, że chodzi im tylko o dobro bezdomnych. Przy okazji powinni też namierzyć zawodowych żebraków, bo ci nie będą chcieli zejść z ulicy i stracić swoich miejsc, nawet w zamian za miskę zupy i ciepłe łóżko.

– Świetny pomysł. Postaram się to wszystko załatwić.

Katie wróciła do szpitala i usiadła w poczekalni. Na stole leżał stary numer czasopisma „VIP” z ciężarną Tarą O’Farrell na okładce. O dzięki ci, Panie, pomyślała. Zrozumiałam aluzję.

Starsza kobieta siedząca po drugiej stronie poczekalni uśmiechnęła się do niej i spytała:

– Wszystko w porządku?

Katie skinęła głową, w rzeczywistości jednak czuła się tak, jakby cuma trzymająca ją przy brzegu pękła, a ona dryfowała teraz na pełnym morzu.



## Rozdział 12

– O Jezuu, umieram – wyszeptała Máire, tuląc się mocniej do Matty’ego. – Nie czuję już stóp.

Podniósł głowę, by spojrzeć na drugi koniec ich śpiwora.

– To ten cholerny worek na śmieci. Wiatr go zdmuchnął. Nic dziwnego, że zimno ci w stopy.

Kulili się we wnęce pod drzwiami pustego sklepu przy Cook Street, naprzeciwko Vanilla Café. Temperatura spadła poniżej zera, marznący deszcz snuł się nad ulicą niczym kondukt pogrzebowy widziany przez mgłę. Oboje mieli po jakieś trzydzieści pięć lat, choć twarz Matty’ego znaczyły przedwczesne zmarszczki, a w jego włosach lśniły pasma siwizny, natomiast twarz Máire była opuchnięta i żółta – typowe objawy marskości wątroby.

W przeszłości, która wydawała się teraz odległa o całe wieki, była obiecującą młodą projektantką ubrań, a Matty studiował prawo na Uniwersytecie Cork. Wpadli na siebie w klubie nocnym U Gorby’ego w pewną koncertową środę i niemal od razu między nimi zaiskrzyło. Kiedy już zamknięto klub, znajomy Matty’ego ze szkolnych czasów zaprosił ich do swojego mieszkania w Togher na kilka drinków, a nad ranem następnego dnia oboje po raz pierwszy spróbowali kokainy w postaci cracku.

Ich śpiwór był rozdarty na dole, więc Matty przykrył go workiem na śmieci. Wiatr porwał lekką folię, więc teraz śpiwór był przemoczony, podobnie jak trzy pary wełnianych skarpet, które miała na stopach Máire. Przytuliła się jeszcze mocniej do Matty’ego.

– Nie czuję stóp, ale poza tym wszystko okropnie mnie boli – poskarżyła się cicho, po czym zaczęła kaszleć. Kaszłała i kaszłała, wypluwając co jakiś czas grudki kleistej flegmy. W końcu zdołała się uspokoić i kilkakrotnie wytarła usta kraciastym szalem. – Myślisz, że Scully jest jeszcze na mieście? – spytała.

– Nawet jeśli jest, nic nam nie da. Unikamy go od dwóch tygodni, więc najpierw musielibyśmy wyrównać rachunek.

– A co z Bimbo?

– Nawet o tym nie myśl. Pewnie leży już w łóżku z tym swoim piegowatym kumplem.

– Ile nam zostało kasy?

– Trzydzieści sześć euro i jedenaście centów.

– Tylko tyle? Nie powinniśmy byli kupować tych ryb z frytkami. I tak za chwilę swoją wyrzycam. Ale trzydzieści sześć euro powinno wystarczyć na działkę koki, co? Na pewno znajdzie się ktoś, kto nam coś sprzeda. Może Billy Murphy?

– Billy Murphy? Jego towar to w siedemdziesięciu procentach środek na odrobaczanie krów.

– Wiem, ale tak czy inaczej zostaje trzydzieści procent czystej koki.

Matty zadygotał. Czuł się wyczerpany i zziębnięty, jakby nieustający deszcz rozrzedził jego krew i zamienił ją w jasnoróżową wodę. Potwornie bolały go plecy, a okryta rdzawym kapturem skóra głowy swędziała tak okropnie, że mógłby ją drapać aż do krwi. Nie wiedział, czy zdoła wykrzesać dość sił, by włączyć się o tej porze po opustoszałych ulicach Cork, szukając kogoś, kto sprzeda mu porcję kokainy za trzydzieści sześć euro i jedenaście centów. Nawet gdyby udało mu się znaleźć jakiegoś diler, porcja wielkości połowy paznokcia kciuka kosztowała zwykle co najmniej pięćdziesiąt euro.

Pomyślał o pewnym sprzedawcy z Afryki Zachodniej, niejakim Zoomerze, który kręcił się w okolicach Voodoo Rooms i Chambers, gejowskich klubów na Washington Street, ale o tej porze oba lokale były już zamknięte, a poza tym Matty nie widział Zoomera od kilku tygodni. Może wrócił do Nigerii albo dał się nabrać na prowokację policyjnego tajniaka i trafił do więzienia... a może zadźgał go inny diler.

Choć Matty był okropnie zmęczony i okropnie nie chciało mu się wychodzić ze śpiwora, Máire obudziła w nim przemożny głód i wiedział już, że nie spocznie, dopóki nie uda mu się znaleźć czegoś, co będzie mógł wypalić lub wciągnąć przez nos. W pogniecionej foliowej torbie z Dunnes, w której trzymali większość swojego skromnego dobytku, kryła się fajka do cracku, wykonana z plastikowej butelki oklejonej folią aluminiową i taśmą samoprzylepną. Już sobie wyobrażał, jak pociąga z niej dym i czuje cudowną lekkość. Może Hangout na Princes Street jest jeszcze otwarty i uda mu się znaleźć tam Billy'ego Murphy'ego. Máire miała rację. Co z tego, że jego towar składał się w siedemdziesięciu procentach z wypełniacza? Byle tylko nie był to środek przeczyszczający dla niemowląt, po którym Matty natychmiast robił w spodnie.

– No dobrze, zobaczę, co uda mi się znaleźć – powiedział i zaczął się zmagać z zamkiem śpiwora, który zawsze sprawiał problemy, bo brakowało w nim kilku ząbków. Zdołał przesunąć suwak do połowy długości śpiwora i wypełznąć na zimny, wilgotny chodnik. Wciąż opierał się na kolanach i na rękach, gdy z deszczu wychynęło trzech mężczyzn, którzy szli prosto do niego.

– Wybierasz się gdzieś, przyjacielu? – spytał jeden z nich z dziwnym, melodyjnym akcentem, który brzmiał niemal tak, jakby gość wyśpiewywał te słowa.

Matty wyciągnął rękę i przytrzymał się odrzwi, by pomóc sobie przy wstawaniu. W tym samym momencie mężczyźni podeszli bliżej i otoczyli go. Choć tylko jeden z nich wyróżniał się wzrostem, wszyscy byli potężnie zbudowani. Wysoki mężczyzna nosił szarą skórzaną kurtkę, pozostali byli w czarnych puchowych z kapturami i dżinsach.

– Czego chcecie? – spytała chrapliwym głosem Máire. – Nie mamy żadnego towaru ani kasy, jeśli o to wam chodzi.

– Nie chcemy pieniędzy ani narkotyków – odpowiedział ten wysoki. – Chcemy tylko, żebyście się stąd wynieśli.

– Jak to „wynieśli się”? – rzucił Matty. – Jest środek nocy, do kurwy nędzy.

– A jakie to ma znaczenie? – Wysoki mężczyzna wzruszył ramionami. – Wyniesiecie się stąd i już.

– Nie jesteście gliniarzami, co?

– A wyglądamy na gliniarzy?

– No to skoro nie jesteście glinami, to spadajcie. Nigdzie nie idziemy. To nasza miejscówka.

Wysoki mężczyzna odwrócił się i spojrzał na swoich towarzyszy, jakby szukał u nich potwierdzenia, że zachowuje się racjonalnie i robi to, co powinien.

– Jaka to różnica, te drzwi czy inne? Idź, poszukaj sobie i tej *curvã* jakiejś innej miejscówki.

Matty dygotał na całym ciele, a jego kolana były tak słabe, że musiał się opierać o witrynę sklepu. Nie miał ochoty na kłótnię. Właściwie marzył tylko o tym, by wpełznąć z powrotem do spiwora, otulić się nim po czubek głowy i zasnąć. Dlaczego ci ludzie nie mogli po prostu pójść sobie stąd i zostawić ich w spokoju? Był zbyt zmęczony i dezorientowany, by myśleć o przenosinach, a poza tym ta wnęka była dla nich czymś więcej niż schronieniem przed deszczem. Zajęli ją sześć tygodni temu, gdy zniknął jej poprzedni gospodarz, i przekonali się wkrótce, że to najbardziej zyskowne miejsce do zebrania, jakie kiedykolwiek udało im się znaleźć. Wcześniej zebrali przy wejściu do opuszczonego biura podróży przy centrum handlowym South Mall, ale tam nie zbierali nawet połowy tego, co dostawali tutaj, przy Cook Street.

– Idźcie stąd – powtórzył ten wysoki. – Pozbierajcie te swoje śmieci i spieprzajcie.

– Wal się – rzucił Matty. – Nigdzie stąd nie pójdziemy.

Wysoki mężczyzna przyłożył dłoń do ucha i pochylił się niżej, jakby nie usłyszał odpowiedzi.

– Co mówiłeś, przyjacielu?

– Mówiłem, żebyś się walił – powtórzył Matty. – Spadajcie. Zostajemy tu i już, a wy nie możecie nam nic zrobić.

– Marku – powiedział cicho wysoki mężczyzna, cofając się o krok.

Jeden z jego towarzyszy zsunął z ramienia płócienną torbę, otworzył ją i wyjął czarną wiertarkę bezprzewodową. Nim Matty mógł w jakikolwiek sposób zareagować, ten wysoki zrobił kolejny krok do tyłu i zawołał z charakterystycznym melodyjnym zaśpiewem:

– Danut! Daaanuuuut! – powtórzył.

Drugi z niższych podszedł do drzwi sklepu, pochwycił Matty’ego za ramiona i obrócił go tak gwałtownie, że ten stracił równowagę i opadł na jedno kolano. Omal nie przygniótł przy tym Máire.

– Co ty robisz, palancie?! – wrzasnęła, odsuwając się na bok. – Zostaw go! Daj mu spokój!

Wysoki mężczyzna nie reagował na jej krzyki i przyglądał się w milczeniu, jak Danut powalił Matty’ego na ziemię i uklęknął na jego plecach.

– Złaż z niego! Zostaw go! – krzyknęła Máire, wygramoliła się ze śpiwora i złapała Danuta za rękaw, próbując ściągnąć go z Matty’ego.

Marku oddał wiertarkę Danutowi i uderzył Máire w głowę – najpierw prawą ręką, potem lewą.

– *Linište!* – warknął. – Zamknij ryj!

– Ty gnoju! – wrzasnęła.

– *Taci!* – Uderzył ją ponownie, tak mocno, że poleciała do tyłu i uderzyła z hukiem w drzwi sklepu. Oszołomiona, osunęła się na ziemię, wydając z siebie tylko cichy jęk.

Danut ściągnął kaptur z głowy Matty’ego i przesuwając lewą dłonią przez jego brudne włosy, szukając charakterystycznego zgrubienia w dolnej części czaszki. Gdy w końcu na nie natrafił, przyłożył kciuk tuż pod kościanym guzem i jednocześnie przycisnął głowę swej ofiary do chodnika. Matty był zbyt słaby, by z nim walczyć. Już od dawna przyjmował wszystko, co go spotykało, bez słowa protestu. Nawet się nie modlił.

– Okay? – spytał Danut, spoglądając na swego towarzysza. – *Nimeni nu vine?*

Wysoki mężczyzna rozejrzał się i skinął głową.

– Okay.

Danut przyłożył wiertło do czaszki Matty’ego, mniej więcej centymetr poniżej miejsca, w którym trzymał kciuk. Potem uruchomił wiertarkę. Zawyla przeraźliwie i wbiła się w skórę Matty’ego. Ten zadygotał gwałtownie, jakby przeszyty prądem, i wydał z siebie cichy jęk, przypominający bardziej głos małego chłopca, który stracił właśnie ulubioną zabawkę, niż wołanie konającego dorosłego mężczyzny. Danut jeszcze przez chwilę poruszał wiertarką na boki, po czym ostrożnie wyciągnął wiertło z głowy Matty’ego, który leżał nieruchomo pod jego nogami, pozbawiony życia. Danut oddał wiertarkę Marku i naciągnął kaptur na głowę zmarłego.

Máire odzyskała w końcu przytomność i usiadła prosto, trzymając się za obolałą głowę.

– Matty! – wychrypiała. – Matty...?

– Mówił, że nigdzie się nie ruszy, a proszę, już go tu nie ma! – odezwał się ten wysoki. – Tak to się kończy, kiedy zachowujecie się jak głupki.

– Matty! O Jezu, Matty! Co oni ci zrobili? Matty! – Máire podpełzła do swego partnera i potrząsnęła go za ramię, a gdy nie zareagował, obróciła go na plecy. – Matty! – Zaczęła żałośnie szlochać. – Matty, nie zostawiaj mnie! Nie możesz mnie zostawić samej! Nie poradzę sobie bez ciebie! Dokąd pójdę? Co zrobię? Bez ciebie umrę, Matty! Matty, obudź się! Matty!

– On już się nie obudzi.

– On już się nie obudzi, *curvă*, nigdy – warknął wysoki mężczyzna. – Na ciebie też już czas, musisz zapomnieć, że kiedykolwiek nas widziałaś.

Máire podniosła się z ziemi, kołysząc się lekko, jakby była pijana. Odruchowo poprawiła pomarańczowy zapinany sweter, który sięgał jej do kolan.

– Zapomnieć was? Jak mam was zapomnieć? Zabiliście mojego Matty’ego! Widziałam to! Jak mogłabym to zapomnieć, sukinsyny!

Rzuciła się na wysokiego faceta, wyciągając ku niemu palce niczym szpony. Zrobiła jednak tylko dwa niepewne kroki, bo Danut stanął jej na drodze, złapał ją za ręce i przycisnął do drzwi sklepu.

– Zabieraj te łapska, szmaciarzu! – wrzasnęła, plując na swego oprawcę. Z jej dolnej wargi zwieszała się długa strużka śliny i flegmy. – Wsadzą cię do puszki za to, co zrobiłeś mojemu Matty’emu, nie myśl, że ci się upiecze!

– Marku – rzucił Danut ostro. – *Dă-mi burghiul electric. Apoi, vino aici și tine mâinile acestei femei.*

Marku podał mu wiertarkę, po czym złapał Máire za nadgarstki. Kobieta wiała się i szarpała, próbowała osunąć się na ziemię, lecz trzymał ją mocno przy ścianie.

– *Întoarceți femeia în jur!* – powiedział Danut i Marku spróbował obrócić Máire twarzą do ściany, ta jednak wciąż wiała się i obracała głowę, przeklinając, dysząc i plując na swego oprawcę.

Marku był silny, lecz ją napędzały strach, histeria, nienawiść i adrenalina. W końcu Danut chwycił ją za szyję i przycisnął jej głowę do szyby. Krztusiła się i charczała, oczy wychodziły jej na wierzch, wciąż jednak udawało jej się spluwać na Danuta. Ten podniósł wiertarkę i wycelował ją w środek czoła Máire, a kiedy po raz kolejny go opluła, uruchomił narzędzie. Wiertło zatrzymało się na moment w czaszce, wyjął przy tym przeraźliwie, ale Danut poruszył nim energicznie i zdołał je wyjąć.

– Aaaachhh! – krzyknęła Máire. – Ty morderco! Ty skurwielu! Ty gnoju!

Bez słowa przesunął wiertło o trzy centymetry w prawo i ponownie uruchomił wiertarkę. Máire krzyczała jeszcze przez chwilę, a potem raptownie ucichła. Danut wysunął wiertło, przełożył je ponownie o trzy centymetry w bok i wywiercił trzeci otwór. Potem powtórzył to jeszcze kilkakrotnie, aż czoło Máire było całe podziurawione. Jej oczy, wciąż otwarte, zasnuły się mgłą i wpatrywały w przestrzeń.

Danut zdjął w końcu rękę z szyi kobiety i jej głowa opadła bezwładnie. Podniósł wiertarkę, jakby chciał wywiercić jeszcze kilka otworów w górnej części jej czaszki, ale jego wysoki towarzysz położył mu dłoń na ramieniu i powiedział:

– *Ajunge*. Wystarczy. Już nie żyje.

Danut i Marku cofnęli się o krok i ciało Máire osunęło się na chodnik. Przez chwilę trzech oprawcy stali nad ciałami żebraków, dyskutując cicho o tym, co powinni z nimi zrobić. W końcu ten najwyższy postanowił, że mężczyznę zostawią pod drzwiami, bo wyglądał tak, jakby zmarł śmiercią naturalną, ale kobietę muszą stąd zabrać.

Włożyli jej zwłoki do śpiwora i zasunęli zamek, po czym Danut zarzucił sobie ciało na ramię, niczym rzeźnik niosący tuszę wieprzową. Przeszli Cook Street do Oliver Plunkett Street, gdzie zostawili swojego zielonego hyundaia. Wysoki mężczyzna rozejrzał się, sprawdzając, czy nikt ich nie obserwuje, po czym otworzył bagażnik i wrzucił do niego śpiwór z ciałem. Zwłoki opadły z głuchym hukiem na foliowe torby.

W milczeniu wszyscy trzech wsiedli do samochodu. Marku zajął miejsce za kierownicą i odjechał w mrok.

Chwilę później na Cook Street pojawił się bezpański kot i ostrożnie powąchał ciało Matty'ego. Martwy żebrak leżał na brzuchu, z twarzą wciśniętą w chodnik. Nie śnił już więcej o życiu, jakie mógł prowadzić jako bogaty i szczęśliwy prawnik, właściciel domu z widokiem na rzekę Lee i ojciec rodziny, której się nie doczekał.

## Rozdział 13

Było już dziesięć po pierwszej w nocy, gdy w końcu doktor Sandhu wszedł do poczekalni. Katie siedziała z zamkniętymi oczami i otwartym egzemplarzem czasopisma „Stellar” na kolanach. Urolog delikatnie dotknął jej ramienia.

– Śpi pani? – spytał.

Natychmiast otworzyła oczy i usiadła prosto, strącając gazetę na podłogę.

– Co? – spytała nieprzytomnie. – Nie... Tylko odpoczywam. Która godzina?

– Minęła pierwsza. Operacja pani narzeczonego trwała dłużej, niż przypuszczałem, ale jest już po wszystkim. Zawieźliśmy go do jednoosobowej sali na piętrze, tam wraca powoli do siebie. Jeszcze się nie wybudził, ale może pani do niego pójść, jeśli pani chce.

– Jak poszło?

Lekarz usiadł obok niej.

– Chciałem z panią o tym porozmawiać, zanim się pani z nim zobaczy. Jak już tłumaczyłem wcześniej, jego jądra zaczęły obumierać. Gdyby trafił na salę operacyjną w ciągu godziny czy dwóch, prawdopodobnie moglibyśmy rozplątać powrózki nasienne i uratować przynajmniej jedno jądro.

– Co chce pan przez to powiedzieć? Że trafił na salę za późno?

– Niestety, tak się właśnie stało. Nie dość, że krew nie dopływała do jąder przez ponad pięć godzin, to lewe pękło. To dość rzadkie obrażenie, ale może do niego dojść, jeśli jądro zostanie uderzone z dużą siłą.

– Proszę mówić dalej – poprosiła Katie. Zaczynała mieć wrażenie, że wciąż śpi, a to wszystko jest tylko snem. Została w poczekalni całkiem sama; w szpitalu panowała niesamowita cisza, przerywana jedynie odległym popiskiwaniami kólek noszy i dzwonkiem telefonu.

– Robiliśmy co w naszej mocy, ale niestety, byliśmy zmuszeni usunąć oba jądra.

– Matko Boska... Biedny Conor.

Doktor Sandhu siedział w milczeniu, z rękami złożonymi na kolanach, i patrzył na nią ze współczuciem.

– Nie mam pojęcia, jak wyglądały wasze plany... w kwestii małżeństwa i być może dzieci. Przykro mi, ale pani narzeczoney nie może już zostać ojcem. – Umilkł ponownie, najwyraźniej nie wiedząc, co

jeszcze mógłby powiedzieć. W końcu odchrząknął niepewnie i dodał: – Przez jakiś czas może mieć też problemy z życiem małżeńskim.

Katie nawet się nad tym nie zastanawiała. Myślała tylko o tym, co poczuje Conor, kiedy się dowie, że jest bezpłodny. Być może w odróżnieniu od niej nie zakładał, że będą mieli dzieci, i być może zachowała się jak egoistka, reagując przerażeniem na wieść, że nie będzie to już możliwe. Być może okazała się jeszcze większą egoistką, martwiąc się tym, że nie będą już mogli się kochać. Ale co to za małżeństwo, w którym nie ma miejsca na seks?

– Przykro mi – odezwał się po jakimś czasie lekarz. – Jak już pani mówiłem, robiliśmy wszystko co w naszej mocy, ale sytuacja była beznadziejna.

Katie skinęła głową.

– Chciałabym się z nim teraz zobaczyć, jeśli to możliwe.

– Oczywiście. Przypuszczalnie odzyska świadomość dopiero za trzy, cztery godziny, ale jeśli wolałaby mu sama pani wytłumaczyć, w jakiej znalazł się sytuacji, nim ja to zrobię...

– Tak. Myślę jednak, że będę potrzebowała pańskiego wsparcia. To nie będzie łatwe.

Doktor Sandhu wstał.

– Bez względu na to, w jakich bogów wierzymy, czasami trudno zrozumieć, dlaczego karzą nas w taki, a nie inny sposób.

Katie podniosła z podłogi pognieciony egzemplarz „Stellar”.

– W tym momencie, panie doktorze, zastanawiam się całkiem poważnie, czy nie zostać ateistką.

\* \* \*

Siedziała przy jego łóżku w skąpo oświetlonym pokoju i obserwowała, jak oddycha miarowo. Gdy spali razem, nigdy nie był taki spokojny. Raz po raz przewracał się z boku na bok i mruczał coś pod nosem, jakby śnił, że z kimś się kłóci lub ściga jakiegoś porywacza psów w dół zbocza w Kerry. Tak bardzo mu współczuła, że nie umiała nawet ubrać swojego smutku w słowa. Wyglądał niezwykle męsko: był wysoki i wysportowany, miał płaski, umięśniony brzuch i ciemnorudą brodę. Mógłby być jednym z wikingów, którzy ponad tysiąc lat temu wylądowali w miejscu dzisiejszego Cork. Miał oryginalne poglądy i nieprzeciętny intelekt, a przy tym traktował swoją pracę z ogromną pasją. Pomyślała, że jest atrakcyjny, już przy ich pierwszym spotkaniu, gdy wszedł na komendę, ale im lepiej go poznawała, tym bardziej była przekonana, że będzie dla niej odpowiednim mężem. Zależało mu na niej, ale szanował jej niezależność i rozumiał jej oddanie służbie, nawet gdy utrudniało to życie im obojgu. Rozumiał też doskonale, dlaczego tak



długo opłakiwała swego tatę: bo jego ojciec odebrał sobie życie, gdy Conor miał zaledwie piętnaście lat. Ojciec Katie popełnił samobójstwo po tym, jak zastrzelił człowieka, który oszukał jego i wielu innych ludzi w starszym wieku, pozbawiając ich oszczędności całego życia. Ojciec Conora zdefraudował pieniądze z własnej firmy ubezpieczeniowej. Zbrodnie, które popełnili, wcale jednak nie umniejszały bólu i poczucia straty, jakie przepełniały ich dzieci.

O drugiej trzydzieści pięć do sali przyszła pielęgniarka, by zbadać Conora. Katie postanowiła go zostawić i pojechać do domu. Była wykończona, a prócz snu potrzebowała prysznic i świeżych ubrań. Chciała się też upewnić, czy jej sąsiadka, Jenny Tierney, nakarmiła Barneya i Foltchain i czy zabrała psy na spacer.

– Zobaczymy się rano, kochanie – powiedziała, całując Conora w spuchnięty, posiniaczony policzek. Nawet nie drgnął.

\* \* \*

Kilka minut po siódmej obudził ją dzwonek telefonu stacjonarnego, który stał przy łóżku. Sięgnęła po słuchawkę, włączając jednocześnie lampkę nocną. Dzwonił detektyw sierżant Begley.

– Mam nadzieję, że cię nie zbudziłem – powiedział, po czym kichnął.

– Na zdrowie.

– Przepraszam, mam alergię na wczesne poranki.

– Nie ty jeden. Co się dzieje, Sean?

– Jakieś pół godziny temu znaleziono kolejnego zmarłego bezdomnego, pod drzwiami sklepu na Cook Street, między Pana i Oliver Plunkett Street.

– O Jezu...

– Ogrodziliśmy tę część ulicy z obu stron, a Bill Phinner wkrótce wyśle techników. Ja też pojedę tam za moment z Bedelią.

– Jakieś oczywiste przyczyny śmierci?

– Jeszcze nie ruszaliśmy ciała, ale sierżant O'Farrell mówi, że nie widział żadnych ran ani krwi, choć z drugiej strony przez całą noc lało. Tyle że po Gearoidzie też nic nie było widać, prawda?

– Właśnie.

– Jeszcze jedno. Jeden z ludzi O'Farrella znał trochę tego faceta, czasem zamieniał z nim parę słów, choć nigdy nie zapytał go o imię. Mówi, że zawsze była z nim pewna kobieta. Pod drzwiami, obok rzeczy zmarłego, leżą jakieś kobiece ubrania i drobiazgi, ale jej nie ma.

– Rozmawiałeś już z komisarzem Mullikenem?

– Tak. To on powiedział, że powinienem do ciebie zadzwonić.

– W porządku. Dobrze zrobiłeś. Na początek musimy znaleźć tę zaginioną kobietę, choćby po to, by potwierdzić, że nie było jej przy

zmarłym w chwili śmierci. Dopilnuj też, żeby policjant, który ją widywał, jak najszybciej przyjechał do laboratorium i zaczął przygotowywać portret pamięciowy. Sprawdźmy też, czy ktoś inny nie może podać nam jej opisu. Na przykład sklepikarze czy pracownicy kawiarni z Cook Street. Parkingowi. Ci, co sprzątają ulice. – Katie zsunęła grubą, różową kołdrę i opuściła nogi na podłogę. – Muszę najpierw pojechać do szpitala, Sean, ale postaram się jak najszybciej dotrzeć na komendę. Na Cook Street są kamery monitoringu, prawda?

– Akurat tego fragmentu ulicy nie ma, ale są na Pana i Oliver Plunkett Street, więc na pewno wychwyciły każdego, kto tamtędy przechodził.

– Dobra, powiedz chłopakom z góry, żeby zaczęli przeglądać nagrania. Zgłaszał się już ktoś z mediów?

– O ile mi wiadomo, jeszcze nie. Mathew McElvey nie zjawił się jeszcze w biurze prasowym, choć być może dzwonił już na jego komórkę.

– Jeśli Mathew przyjedzie na komendę wcześniej niż ja, powiedz mu, że może oficjalnie potwierdzić, że na Cook Street znaleziono ciało niezidentyfikowanego mężczyzny. Może oczywiście dodać, że prowadzimy śledztwo w tej sprawie i że będziemy wdzięczni, jeśli zgłosi się do nas ktoś, kto wczoraj w nocy był w tamtej okolicy i zauważył coś podejrzanego. I to wszystko. Nie musi mówić, że facet był bezdomny albo że spał na chodniku. Jasne? Jeśli ktoś go spyta, czy ta sprawa może mieć jakiś związek ze śmiercią Gearoida, powiedz, że na razie jest za wcześnie na jakiegokolwiek spekulacje.

– Jasne. Wszystko zrozumiałem. Zobaczymy się później. Ta sprawa w szpitalu to nic poważnego, jeśli wolno mi spytać?

– Co? Nie, mam nadzieję, że nie, Sean. Naprawdę na to liczę.

\* \* \*

Gdy weszła do szpitalnej sali, Conor siedział na łóżku. Miał podłączoną kroplówkę, a przed sobą tacę z tostami i dżemem malinowym oraz filiżanką herbaty. Oglądał *Ireland AM*. Mimo że jego lewe oko było całkiem zamknięte, a wielki plaster zakrywał mu nos, był do siebie bardziej podobny niż poprzedniego dnia.

– Katie! – zawołał, sięgnął po pilota i wyłączył telewizor. – Oto naprawdę piękny widok dla obolałych oczu!

Podeszła do łóżka i pocałowała go.

– Przyniosłam ci coś. Myślę, że w tych okolicznościach nie musisz trzymać się sztywno diety.

Podawała mu foliową torebkę z kostkami bloku czekoladowego Wilde's i poranne wydanie „Examinera”. Potem zdjęła ciemnozielony płaszcz, zawiesiła go na oparciu krzesła i usiadła obok Conora.

– Mój Boże, Katie – westchnął, podnosząc słodycze. – Znasz już moje najmroczniejsze sekrety, choć jeszcze nie wymieniliśmy obrączek.

– Jak się czujesz? – spytała. Starła się uśmiechać i mówić pogodnym tonem, ale z trudem wydobywała słowa z zaciśniętego gardła. – Był już u ciebie lekarz?

– Jeszcze nie. Przeprowadzili tylko podstawowe badania i wygląda na to, że jeszcze żyję. Ale nie jestem pewien, czy zdołali naprawić wszystko, co się tam we mnie popsuło. Z drugiej strony, nie martwię się za bardzo. Jedno jądro może pracować za dwa. Można przecież chodzić na jednej nodze i prowadzić samochód, kiedy ma się tylko jedno oko.

– Boli cię coś?

– Trochę pobolewa tam, w dole, ale podają mi oksykodon, więc nie jest źle. Choć chyba przez jakiś czas nie będę mógł jeździć na rowerze. A przynajmniej nie po bruku.

– Och, Con...

– Nie będziesz pozywać faceta, który to zrobił, prawda? Chyba zostałem już wystarczająco surowo ukarany za to idiotyczne zachowanie i raczej nie trzeba mnie jeszcze dodatkowo zamykać na półtora roku.

Katie uśmiechnęła się tylko i wzruszyła ramionami. Ponieważ wchodząc na posiadłość sióstr McQuaide, naruszył jedną z klauzul warunkowego umorzenia kary, Katie nie zdecydowała jeszcze, czy pociągnie jego oprawcę do odpowiedzialności.

Conor zamilkł i upił łyk herbaty.

– Prawdę mówiąc – odezwał się po chwili – odkąd się dziś obudziłem, myślałem właśnie o siostrach McQuaide, o tym, jak możemy je dopaść.

– Tak?

– Myślę, że będziemy musieli podejść je tak, jak kiedyś Amerykanie Ala Capone... No wiesz, zamknąć je za oszustwa podatkowe czy naruszenie jakichś innych przepisów niezwiązanych bezpośrednio z hodowlą. Tylko dwóm czy trzem posłom naprawdę zależy na tym, żeby położyć kres nielegalnym hodowlom psów, bo mało kto się tym interesuje i co istotniejsze, nie przekłada się to na głosy wyborców. Poza tym ISPCA ma za mało pieniędzy, by procesować się z siostrami McQuaide.

– Con, na jakiś czas musisz o nich zapomnieć. Na razie skup się raczej na swoim zdrowiu. Kiedy już będziesz całkiem sprawny, wrócimy do tego tematu.

– To cudowne, że tak się o mnie troszczysz, kochanie. Ale w tym kraju w każdej minucie setki karmiących suk cierpią zamknięte w skrzyniach, pozbawione nawet światła dziennego, a tysiące słabych, chorych i zdeformowanych szceniąt tęsknią za swoimi matkami. A to wszystko

po to, żeby takie potwory jak siostry McQuaide mogły sobie pozwolić na wielki dom, mercedesa i wakacje na Malediwach.

– Con... – zaczęła Katie, ale w tym momencie rozległo się pukanie do drzwi. Sekundę później do sali wszedł doktor Sandhu w towarzystwie wyraźnie zdenerwowanego młodego lekarza o ogniste rudy włosach, który do złudzenia przypominał Eda Sheerana.

– Dzień dobry, pani nadkomisarz – przywitał ją z uśmiechem doktor Sandhu. – Pielęgniarka poinformowała mnie, że już pani przyszła. Mam nadzieję, że udało się pani choć trochę odpocząć tej nocy. Dzień dobry, panie Ó Máille. Jak się pan czuje?

– Wciąż obolały i obity, ale generalnie jest lepiej, dziękuję.

– Zrobiliśmy wszystko co trzeba, ale minie jeszcze trochę czasu, zanim zdejmemy szwy i ustąpi opuchlizna. Teraz oczywiście będziemy się musieli zająć pana nosem, kością policzkową i oczodołem. Mam nadzieję, że uda nam się to zrobić jutro, najpóźniej pojutrze. Zabiegi przeprowadzi doktor O’Connell, który odwiedzi pana za kilka godzin. To nasz najlepszy chirurg szczękowo-twarzowy.

– Prawdę mówiąc, nie mogę się doczekać, aż moja twarz wróci do normalnego stanu. Kiedy jadłem śniadanie, sam nie wiedziałem, co chrzęści głośniejszy, tosty czy połamane kości w moim nosie.

– Jestem pewien, że doktor O’Connell doskonale poradzi sobie z tym wszystkim – zapewnił doktor Sandhu. Potem spojrział na Katie i dodał: – Myślę jednak, że teraz powinienem panu przedstawić pełny zakres operacji, którą wczoraj przeprowadziłem, i uświadomić jej konsekwencje.

– Konsekwencje? – powtórzył Conor, spoglądając na Katie. – Mówi pan jak sędzia, który uzasadniał wyrok w mojej sprawie o podpalenie przyczepy kempingowej Zezowatego McManusa.

– Ze względu na to, jak poważne i rozległe były pańskie obrażenia, wyjaśnię wszystko, używając terminów medycznych. Potem pańska narzeczona wytłumaczy panu, jakie będą długofalowe skutki tego stanu rzeczy i razem już postanowicie, jak sobie z nimi poradzić.

– Przyznam, że trochę mnie niepokoi ten wstęp – odparł Conor. Miał właśnie upić kolejny łyk herbaty, jednak ostrożnie odstawił filiżankę na spodek.

– Dopływ krwi do obu pańskich jąder był odcięty tak długo, że rozpoczął się proces martwicy. Czyli obumieranie tkanek, ujmując to prościej.

– Obu jąder?

– Niestety, tak. W dodatku lewe uległo rozerwaniu i nie dało się go już zoperować. Jedyne, co mogłem zrobić, to przeprowadzić obustronną orchidektomię.

– Musiał pan usunąć oba jądra?

– Tak, krótko mówiąc, właśnie tak.  
– Więc jestem eunuchem?  
– Nie używamy takich pojęć w terminologii urologicznej.  
– To nieistotne, jakich pojęć używacie, panie doktorze. Tak czy inaczej, tym właśnie jestem. Eunuchem. Kastratem. Wkrótce poproszą mnie pewnie, żebym śpiewał sopranem w chórze kościoła Świętego Franciszka.

Doktor Sandhu pokręcił głową.

– Nie, nie, nie. Wbrew powszechnemu przekonaniu, dorosły mężczyzna, który traci jądra, nie zaczyna nagle mówić cienkim głosem. Taka sytuacja ma miejsce tylko wtedy, gdy wykastrowany zostaje chłopiec przed wejściem w okres dojrzewania, zanim jego struny głosowe ulegną wydłużeniu i zgrubieniu, a głos się obniży.

Choć Conor słuchał lekarza, nie odrywał wzroku od Katie. Wydawał się tak przytłoczony tymi wieściami, że zbierało jej się na płacz, nie chciała jednak, by przejął się jeszcze bardziej i pomyślał, że nie mają już szans na intymne pożycie. Nie mógł dać jej już dziecka, ale wciąż mógł się z nią kochać.

– A co z... no wie pan... z tymi sprawami? – spytał po chwili.

– Minęło zaledwie kilka godzin od operacji i z pewnością zdaje pan sobie sprawę, że jej skutki mogą się odbić zarówno na pańskiej fizjologii, jak i psychice. Wiem jednak, że może pan liczyć na wsparcie i zrozumienie swojej partnerki, pani nadkomisarz Maguire, a także na pomoc w postaci psychoterapii i środków farmakologicznych.

– Na przykład viagry?

– To jedna z możliwości, owszem. Jest też tadalafil i wardenafil, prowadzi się również eksperymenty w dziedzinie terapii komórkowej. Miejmy jednak nadzieję, że to wszystko nie będzie potrzebne.

W pokoju zapadło milczenie. W końcu, po dłuższej chwili, doktor Sandhu dodał:

– Ma pan jeszcze jakieś pytania? Może powinienem zostawić państwa teraz samych, by mogli państwo omówić następne kroki.

– Tak, dziękuję panu – odrzekł Conor.

Sandhu wahał się przez kilka sekund, po czym pożegnał Katie skinieniem głowy i wraz ze swym młodym towarzyszem opuścił salę i zamknął za sobą drzwi.

Katie ujęła dłoń Conora i uściśniła ją mocno.

– Wyjdiesz z tego, Con, z Bożą pomocą.

– Wyjdę z tego, Kochanie, tak czy inaczej, z pomocą Wszechmogącego czy bez niej. Ale co z nami?

– Nie zostawię cię. Kocham cię.

– Kochałaś mnie, nim zostałem eunuchem. Ale co teraz?

– Nie używaj tego słowa. To był dla ciebie ogromny szok. Musisz ochłonać. Daj sobie czas na powrót do zdrowia, fizycznego i psychicznego, jak powiedział lekarz.

Próbował cofnąć swoją dłoń, ale trzymała ją mocno.

– Co mówią o mężczyznach, którzy nie zachowują się jak mężczyźni?  
– Uśmiechnął się krzywo. – No wiesz, o tchórzach, mięczakach i tak dalej? „Nie masz jaj, chłopie”, właśnie tak. A teraz to ja jestem facetem bez jaj.

– Con...

– Jesteś najsilniejszą, najtwardszą kobietą, jaką kiedykolwiek poznałem. Wiedziałem, że nigdy nie dorównam ci determinacją, pewnością siebie czy odwagą. Nie, daj mi dokończyć. Nigdy nie mógłbym się z tobą równać pod tymi względami. Ale myślałem, że dzięki mnie poczujesz się kochana, otoczona troską, zadowolona. Mogłem dodać twojemu życiu blasku.

Ponownie próbował cofnąć rękę, lecz Katie mu na to nie pozwoliła, choć teraz łyzy ciekły jej strumieniami po policzkach i czuła się tak, jakby ktoś wymierzył jej potężny cios w brzuch, pozbawił oddechu.

– Tyle że teraz już nie mogę ci tego dać – ciągnął Conor. – Nie mogę ci dać niczego, co powinien dać ci mężczyzna. Ten blask zgasł na zawsze.

## Rozdział 14

Kiedy Brianna weszła do biura, Niall Dabney siedział pochylony nad swoim biurkiem, ukryty częściowo za wielkim bukietem plastikowych orchidei, i jadł łączywie mcmuffina z kiełbasą i jajkiem.

– Mmff – przywitał ją bełkotliwie. – Późne śniadanie.

W milczeniu weszła w głąb pokoju i usiadła na jednym z dwóch wysłużonych, obitych fioletową tapicerką krzeseł, które stały po drugiej stronie biurka. Niall ugryzł jeszcze jeden kęs owiniętego w papier mcmuffina i odsunął go na bok. Biuro wypełniał zapach kiełbasy, wilgoci i kurzu.

– Mamy sukcesy – powiedział, klaszcząc w dłonie. – Przynajmniej w sprawie tego dzieciaka z przewróconego samochodu. Okazuje się, że był oczkiem w głowie swoich rodziców, więc chcą mu wyprawić wystawne pożegnanie, z karawanem zaprzężonym w konie i innymi bajerami. Siedem i pół tysiąca plus VAT.

– A co z tą dziewczyną, Looney?

– Z tą, która zmarła z przedawkowania? Zadzwoił do mnie jej ojciec i spytał, czy mógłbym zorganizować pogrzeb w Skibbereen, skąd pochodzi większość jej rodziny, ale miał tylko cztery tysiące, a przecież nie mogłem tego zrobić za takie pieniądze, prawda? Nie ma mowy.

– Szkoda.

– Nie ma czego żałować, Bree. Rodzice chłopaka z przewróconego samochodu opłacili wszystko z góry, więc mam już dla ciebie twoją działkę. – Niall pochylił się, otworzył dolną szufladę biurka, wyjął z niej szarą kopertę i podał Briannie.

Otworzyła ją, pośliniła palec i przeliczyła ukryte w środku banknoty.

– Tu jest tylko pięćset.

– Mam swoje koszty, Bree. Mogę ci dać dziesięć procent ceny netto, nie więcej.

– Nie tak się umawialiśmy.

– Tylko na tyle mnie stać, na miłość boską. Rozejrzyj się. Nie było tu remontu od zeszłego tysiąclecia.

Brianna nie musiała się rozglądać po recepcji, by się przekonać, w jak kiepskim stanie jest to miejsce. Choć zakład pogrzebowy Dabney's Funeral Home zajmował niewielki lokal przy Marlboro Street, wciśnięty między cukiernię Flynn's Donuts i sklep obuwniczy Bootz Shoe Shop, niegdyś mógł się poszczycić naprawdę eleganckim wnętrzem,

z fioletowymi zasłonami z aksamitu i grubym dywanem w tym samym kolorze. Teraz jednak zasłony wyblakły, a dywan podziurawiły mole. Marmurowe płyty ustawione na wystawie pokryły się pajęczynami, a złocone litery na szkle częściowo się złuszczyły, pozostawiając mocno uszczuplony napis: *bney's Fun ral Hom*.

Czas i problemy finansowe równie okrutnie obeszyły się z samym Niallem Dabneyem. Choć był niskim mężczyzną o dużej głowie, to wkraczając w wiek średni, mógł jeszcze uchodzić za całkiem przystojnego. Zawsze nienagannie wystrojony w żałobną czerń, miał gęste siwe włosy i głęboki tembr głosu. Właśnie do jego zakładu należało się udać, jeśli chciało się wyprawić bliskim niezwykle i niezapomniany pogrzeb, na przykład z udziałem chóru, straży honorowej czy dziewczynek w długich białych sukienkach, obsypujących wynoszoną z kościoła trumnę płatkami białych róż.

Potem jednak żona Nialla, Aileen, umarła na raka piersi w wieku zaledwie czterdziestu trzech lat. Choć od lat miał na co dzień do czynienia ze śmiercią, nie potrafił sobie poradzić z własną rozpaczą inaczej, niż sięgając po alkohol. Wystawny pogrzeb, który zorganizował dla byłego pośła z południowo-wschodniej dzielnicy Cork, zamienił się w katastrofę. Najpierw karawan zepsuł się na rondzie Magic, więc trzeba było go zawieźć do katedry Świętego Findbara lawetą z warsztatu Johna O'Leary'ego. Później trumna spadła na podłogę w połowie drogi do katafalku, a wszystko skończyło się awanturą, którą pijany Niall urządził księdzu i wdowie po pośle.

Od tej pory ledwie wiązał koniec z końcem, organizując tanie pogrzeby dla mniej zamożnych rodzin z Cork. Lata alkoholizmu i problemów odcisnęły na nim swoje piętno, wyglądał więc teraz na dziesięć lat starszego, niż był w rzeczywistości. Miał mocno przerzedzone włosy, nosił szary poplamiony garnitur i nie panował nad drżeniem rąk. Nawet palma areka stojąca w rogu jego biura, rachityczna i pożółkła, dawno już straciła zdolność do oczyszczania powietrza.

– Może będę miała dla ciebie coś nowego – powiedziała Brianna. – Młoda kobieta w siódmym miesiącu ciąży, a do tego dziecko. Mąż nie jest bogaty, ale jej rodzice mieszkają w Douglas i całkiem nieźle im się wiedzie. Odwiedziłam ich, żeby złożyć kondolencje, i oczywiście, jak zwykle, poleciłam twoje usługi.

– Dobra dziewczynka. Świetnie. Matka i dziecko? Ostatnim razem wzięłam za taki pogrzeb dziesięć tysięcy, a to było dziesięć lat temu... przynajmniej dziesięć lat temu. Urządziłem to tak, że kiedy grzebano dzieciaka, wokół grobu stały trzy jagnięta. Wszyscy płakali jak bobry.

– Jeśli chcesz, możesz otoczyć grób małymi aligatorami, Niall, ale ja mam dostać całe dziesięć procent, bez gadania – burknęła.

W milczeniu podniósł mcmuffina, po czym go odłożył.



– Wiesz, czego najbardziej nienawidzę na tym świecie? – odezwał się po chwili.

– Niech no zgadnę. Podatków i czynszu, który musisz płacić za tę karykaturę zakładu pogrzebowego. Nie? Ceny whiskey Jameson’s? Też nie?

– Nie, Bree. Tym, czego najbardziej nie cierpię na tym świecie, jest to, że umiera tylu ludzi. Nienawidzę śmierci. Brzydzę się nią. A przecież w końcu każdy z nas musi stawić jej czoło.

– Nie rozumiem, dlaczego tak bardzo jej nienawidzisz. W końcu zarabiasz dzięki niej na życie.

\* \* \*

W tym samym czasie, gdy Brianna rozmawiała z Niallem, Ailbe i jej dziecko przewożono do kostnicy w szpitalu uniwersyteckim. Pielęgniarszowi towarzyszył położnik, Stephen O’Malley. Był wysokim, przygarbionym mężczyzną w okularach, miał krzaczaste brwi i stale marszczył czoło, jakby zawsze usiłował sobie przypomnieć coś ważnego, ale nie mógł.

– Jak leci, Mary? – zwrócił się do doktor Kelley, gdy dotarli na miejsce.

Zwykle, gdy przeprowadzała sekcję zwłok, chętnie słuchała muzyki klasycznej, lecz tego ranka w kostnicy panowała cisza, którą mąciło jedynie bębnienie kropel deszczu o szyby i brzęczenie dogorywającej świetlówki.

– Masa pracy, jak zwykle – odparła, odkładając długopis. – Ludzie w tym mieście ciągle umierają w jakichś okropnych wypadkach. Można by pomyśleć, że robią to celowo.

Właśnie skończyła autopsję trzydziestoosmioletniego rowerzysty, który wpadł prosto pod cysternę z paliwem, gdy wyjeżdżał z pubu Three Horseshoes przy Old Youghal Road. Okazało się, że zawartość alkoholu w jego krwi wynosiła sto dwa miligramy na sto mililitrów, a więc ponad dwa razy przewyższała dozwolony limit dla kierowców. Przednie koła ciężarówki zmiażdżyły czaszkę rowerzysty, więc jego twarz była teraz płaska niczym forma do pieczenia ciasta, z której wystawały uchwyty w postaci uszu.

O’Malley zdjął okulary, chuchnął na nie i wytarł starannie swoim krawatem.

– Jak sama za chwilę zobaczysz, Mary, wykonałem cesarskie cięcie. Nie słyszeliśmy tętna płodu, więc obawiałem się, że będzie już za późno, i tak też, niestety, było, ale uznałem, że warto spróbować. Podobno matka spadła ze schodów i skręciła kark.

Doktor Kelley podniosła prześcieradło okrywające Ailbe. Patrzyła na nią przez długą chwilę; dziecko leżało obok niej, matka i maleńki synek, którzy nie mieli okazji się poznać.

– Ładna młoda kobieta – odezwała się w końcu patolożka. – Kiedy obudziła się wczoraj rano, nawet przez myśl jej nie przeszło, że trafi ze swoim dzieckiem właśnie tutaj.

Położnik pokiwał głową.

– Jak to ktoś kiedyś powiedział? „Świat z całą swą gwałtownością i spokojem będzie się toczył przez obojętny bezmiar kosmosu i wystarczy ledwie sto okrążeń wokół Słońca, by zamienić nas, którzyśmy się kochali, w pył”.

– Piękne dzięki, Stephen. Właśnie przeprowadziłam sekcję faceta z głową zgniecioną na naleśnik i bardzo potrzebowałam kilku słów pocieszenia.

– Och, zawsze do usług. – O'Malley czekał chwilę, jakby miał jeszcze coś do powiedzenia, w końcu jednak odchrząknął, odwrócił się i wyszedł.

Kiedy zamknęły się za nim drzwi, doktor Kelley zawołała swego asystenta Denisa. Wyszedł z pomieszczenia na zapleczu, gdzie przygotowywał notatki do raportu z sekcji rowerzysty. Był poważnym młodym człowiekiem, chudym jak szczapa, więc zawsze wydawało się, że laboratoryjny fartuch lada moment zsunie się z jego szczupłych ramion. Miał spiczasty nos, wystającą grdykę i włosy zaczesane pionowo do góry, co sprawiało, że wyglądał tak, jakby właśnie włożył palce do gniazdka.

– Mamy tu matkę z dzieckiem – powiedziała Kelley. – Jeśli odłożysz dziecko do chłodni, będziemy pewnie mieli dość czasu, żeby zająć się po południu matką.

Denis podniósł prześcieradło i obrzucił spojrzeniem oba ciała. Potem włożył lateksowe rękawiczki i wziął na ręce ciało chłopczyka tak delikatnie, jakby ten wciąż żył. Zaniósł je do chłodni na drugim końcu pomieszczenia, wysunął szufladę ze stali nierdzewnej i położył tam maleńkie zwłoki.

Kiedy wrócił do stołu zabiegowego, jego szefowa pochylała się nad ciałem kobiety, oglądając sine plamy na jej szyi.

– Doktor O'Malley powiedział, że skreśliła kark, spadając ze schodów, ale te siniaki wcale nie wskazują na taki uraz. Wiem, że to brzmi niedorzecznie, ale wygląda to raczej tak, jakby ktoś ją udusił.

– Może tak właśnie było – odezwał się z powagą Denis. – Może ją uduszono, a potem zepchnięto ze schodów, żeby wyglądało to na wypadek.

– Oj, dajże spokój – zachnęła się doktor Kelley. Potem jednak obmacała szyję Ailbe i przekreśliła jej głowę z boku na bok.

– Kręgi szyjne są przemieszczone, bez wątpienia, wyczuwam też pęknięcie. Będziemy musieli zrobić tomografię, żeby sprawdzić, jak rozległe były uszkodzenia. Mimo wszystko wydaje mi się, że upadek ze schodów nie mógł spowodować aż tak poważnych obrażeń. Moim zdaniem przypomina to raczej skutki gwałtownego obrócenia głowy. Zobacz, jak obraca się na boki. Tak mógłby skończyć ktoś, kogo znokautowano podczas meczu rugby, albo ofiara wypadku samochodowego, a nie młoda kobieta, która spadła ze schodów.

– Więc co z tym zrobimy? – spytał Denis.

– Najpierw prześwietlimy jej szyję, a dopiero potem przejdziemy do sekcji. Chcę mieć pewność, że zmarła, spadając ze schodów, a nie została najpierw uduszona, jak przed chwilą sugerowałeś.

– Założę się o stówę, że było właśnie tak, jak mówiłem.

– Denis, to jest prosektorium, a nie zakład bukmacherski. Odrobinę szacunku, proszę.

– Przepraszam – bąknął z niekłamaną skruchą.

## Rozdział 15

Jadąc na komendę, Katie mijając klinikę weterynaryjną Gilabbey, wstąpiła więc tam, by odebrać Waltera. O'Sullivan właśnie wkładał płaszcz, szykując się do wyjścia, wrócił jednak do gabinetu, przyniósł szczeniaka w plastikowym kontenerze i postawił na stole w recepcji.

– To zbrodnia, inaczej nie da się tego nazwać – powiedział. – Widziałem już zbyt wiele brachycefalicznych szczeniaków w tym stanie. Tego, kto go wyhodował, należałoby regularnie podtapiać. Zrozumiałby wtedy, co czuje istota walcząca o każdy oddech.

Dopiero teraz Katie usłyszała rżenie Waltera dobiegające z wnętrza kontenera. Pochyliła się, by mu pomachać i przesłać buziaka, po czym odwróciła się ponownie do weterynarza.

– Wie pan równie dobrze jak ja, że za dręczenie psów sądy karzą co najwyżej grzywną, choć za takie samo traktowanie człowieka trafia się na pół roku do więzienia. Słyszał pan o tym facecie, który zabił w Peace Park swojego psa, rozgniatając mu głowę butem? I jaką dostał za to karę? Dwieście godzin prac społecznych.

– To po prostu rażąca niesprawiedliwość. Czy psy nie są też stworzeniami bożymi? Nawet ten nieszczęsny mopsik.

– Dziękuję, że się pan nim zajął. Ile jesteśmy panu winni?

– Zwykle biorę siedemdziesiąt euro za dokładne badanie, ale w tym przypadku wystarczy pięćdziesiąt, plus dwadzieścia za dobową opiekę. Ale nie musimy zwracać sobie tym głowy teraz, moja sekretarka prześle pani rachunek.

– Można go jakoś z tego wyciągnąć?

– To zależy, co konkretnie ma pani na myśli.

– Hm... byłoby dobrze, gdyby mógł normalnie oddychać i pozbył się opuchlizny w gardle. No i żebyśmy mieli pewność, że nie wypadną mu oczy. A do tego zwykle procedury, no wie pan, szczepienia, odrobaczanie i czipowanie.

– Mogłbym się tym zająć, choć koszty byłyby spore. Nie twierdzą, że nie znajdzie pani w Cork tańszego weterynarza, ale to nie byłyby łatwe operacje, a mogę bez fałszywej skromności powiedzieć, że jestem jednym z najlepszych lekarzy zwierząt w tym mieście. Jeśli nie najlepszym.

– No dobrze, o jakiego rzędu kwotach mówimy?

– Znam Conora od lat, więc oczywiście dałbym wam zniżkę. Myślę, że w sumie wyszłoby około trzech tysięcy. Może odrobinę więcej, gdyby pojawiły się dodatkowe trudności. Ale trzy tysiące powinny wystarczyć.

– Aż tyle? – jęknęła Katie.

– Obawiam się, że tak.

– Oczywiście Conor będzie musiał porozmawiać z właścicielką Waltera. To młoda dziewczyna, pracuje w bibliotece, więc nie wiem, czy zbiera tyle pieniędzy. Może ubezpieczyła Waltera. Po prostu nie wiem.

O’Sullivan uśmiechnął się ponuro.

– Chciałbym móc zażądać mniej, ale operacje weterynaryjne mogą kosztować tyle samo co operacje człowieka, a czasami nawet więcej. – Zawahał się na moment, wciąż wykrzywiając twarz w smutnym grymasie. – Mam nadzieję, że nie wyjdę na cynika, jeśli powiem, że mogę go uspić za sto dwadzieścia funtów.

Walter wydał z siebie żalony skowyt, jakby zrozumiał te słowa. Katie zajrzała do szczeniaka w kontenerze.

– Spokojnie, Walter. Zabiorę cię do domu, dostaniesz trochę smakołyków i znów będziesz mógł się wylegiwać przed kominkiem z Barneyem i Foltchain. – Potem spojrzała na weterynarza. – Mam nadzieję, że nie zrozumiał tego, co pan przed chwilą powiedział. I tak dość się już nacierpiał.

\* \* \*

Po przyjeździe na komendę Katie zdążyła tylko odstawić kontener z psem pod okno i odwiesić płaszcz, zanim rozległo się pukanie do drzwi. Sekundę później do gabinetu weszli detektyw sierżant Begley i detektyw Bedelia Murrish.

– Jak samopoczucie? – spytał Begley. – I jak się dziś czuje Conor?

– Wraca do zdrowia, dzięki, Sean.

Poprzedniego dnia Katie powiedziała współpracownikom, że jej partner trafił do szpitala, ale nie zdradzała innych szczegółów. Nie chciała, by wiedzieli, że został ciężko pobity, ani by poznali przyczyny tego zajścia, bo wtedy dziwiliby się pewnie, dlaczego nie podjęła żadnych kroków, by zidentyfikować i aresztować napastnika. Zastanawiała się, czy nie wymyślić jakiejś historyjki, na przykład że Conor spadł z drabiny podczas czyszczenia rynien, ale nigdy nie umiała kłamać, choćby w najbliższych sprawach. „Kłamstwo jest jak szczur wypuszczony na wolność. Zawsze wraca, żeby cię ugryźć”, mawiał często jej ojciec.

Usiadła przy biurku. Jak zwykle na blacie czekała na nią sterta wiadomości i dokumentów.

– Wiemy coś więcej o tym zmarłym bezdomnym? – spytała, przerzucając szybko kartki i sprawdzając, czy nie ma wśród nich czegoś pilnego.

Sierzant Begley podszedł do biurka i położył przed Katie swój tablet. Na ekranie widniało zdjęcie Matty’ego, który leżał na brzuchu, wpatrując się martwymi oczami w chodnik.

– Obejrzałem go szybko. Co ciekawe, ma z tyłu głowy otwór, dokładnie w tym samym miejscu co nasz przyjaciel Gearoid. – Przesunął palcem po ekranie, wyświetlając kolejną fotografię, zbliżenie na tylną część głowy Matty’ego. Włosy mężczyzny rozchyłono na boki, by odsłonić małą, ciemną plamę zakrzepłej krwi. – O tutaj, widzisz? Nie mogłem stwierdzić z całą pewnością, że to otwór po wiertle, ale chyba wszyscy bardzo byśmy się zdziwili, gdyby okazało się inaczej, nie uważasz?

– Matko Boska... – mruknęła Katie. – Miał jakieś inne obrażenia?

– Siniaki, zadrapania i stłuczenia, typowe dla kogoś, kto sypia na ulicy. Zabrali go do szpitala uniwersyteckiego na sekcję zwłok, ale mam dla ciebie mnóstwo zdjęć. I jeszcze jedno. Kryminaliści znaleźli pod drzwiami plamy krwi, które nie pasują do ułożenia ciała tego faceta ani do rany w jego głowie. Jak sama widziałas, ta rana prawie nie krwawiła.

– Więc to mogła być krew kogoś innego?

– Na to wygląda.

– I nadal nic nie wiemy o tej kobiecie, która zawsze z nim była?

– Na razie nie. Nie udało nam się znaleźć żadnych świadków, ale przeglądamy nagrania z monitoringu, a wkrótce powinniśmy dostać portret pamięciowy.

– Wiemy już, jak nazywał się ten facet?

– Znaleźliśmy to w kieszeni jego kurtki – odpowiedziała detektyw Murrish, podając Katie foliową torebkę na dowody. W środku znajdowała się jasnozielona karta ubezpieczenia społecznego z czarno-białym zdjęciem nieogolonego, młodego mężczyzny o dziwnym, udręczonym spojrzeniu. Obok zdjęcia widniało imię i nazwisko: Matthew Donoghue. – Sprawdziliśmy to w centrali ubezpieczeń społecznych na Hanover Quay. Kiedy po raz pierwszy zgłosił się do ubezpieczenia, podał adres swoich rodziców na Military Hill, więc pojechaliśmy do nich.

– Oczywiście byli zdruzgotani – wtrącił Begley. – Ale i nie całkiem zaskoczeni. Okazało się, że facet studiował kiedyś prawo, ale potem uzależnił się od cracku, fentanylu i Bóg wie czego jeszcze. Wyciągał od rodziców kasę na narkotyki, więc w końcu wyrzucili go z domu. Powiedzieli nam, że wszyscy nazywali go po prostu Matty.

– Ale nie wiedzieli, kim była ta jego przyjaciółka?

– Nie – odparł.

– Ostatnio widzieli syna na ulicy, podczas parady z okazji Dnia Świętego Patryka – dodała Murrish. – Spotkali się wtedy przypadkowo, nawet ze sobą nie rozmawiali, ale wydaje im się, że był sam. Tak czy inaczej, dziś wieczorem będziemy chodzić z portretem pamięciowym tej kobiety po klubach i pokazywać go niektórym dilerom. Mogę się założyć o każdą kwotę, że ona też była ćpunką, więc może ktoś ją rozpozna.

Katie milczała przez chwilę, zamyślona.

– Te drzwi to musi być bardzo zyskowne miejsce dla żebraka – odezwała się w końcu. – Mnóstwo przechodniów, dokoła same sklepy, kawiarnie i puby.

Begley skinął głową.

– Wiem, o co ci chodzi. Kiedy już technicy stamtąd pojedą, będziemy mieli to miejsce na oku. Zobaczymy, kto je zajmie, ale wcale bym się nie zdziwił, gdyby był to jakiś Rumun.

– Ja też nie – przyznała Katie. – Mam przecucie, że za tym wszystkim stoi ten Lupul. Nie udało nam się ustalić, gdzie się ukrywa? Ana-Maria mówiła, że to był duży dom na stromym wzgórzu, prawda? Duży dom, który śmierdział kapustą.

– To samo można powiedzieć o co drugim starym domu na północy miasta.

Katie przycisnęła czubki palców do czoła; czuła narastający ból głowy.

– Zastanawialiśmy się, czy nie powozić małej Any-Marii po mieście, żeby wskazała nam ten dom – powiedział Begley. – Kyna spytała Margaret O'Reilly z opieki, czy moglibyśmy to zrobić.

– Co jej odpowiedziała?

– Że nie ma mowy. Dziewczynka jest wciąż zbyt poruszona zaginięciem matki. Para, która ją przyjęła, mówi, że przez pół nocy krzyczała, bo śniły jej się jakieś koszmary... przynajmniej tak twierdzi Margaret. Boi się, że jeśli mała zobaczy ten dom, poczuje się jeszcze gorzej.

– A co z agentami nieruchomości? Żaden nie pamięta, żeby wynajmował dom jakiemuś Rumunowi? Niełatwo chyba zapomnieć kogoś, kto wygląda jak ten Lupul i mówi z takim akcentem.

– Sprawdziliśmy wszystkie największe agencje, Lisneya, Savills i Charlesa McCarthy'ego, i większość mniejszych. Jak dotąd bez rezultatu. Oczywiście ktoś mógł wynająć ten dom bezpośrednio albo może to własność jakiegoś znajomego tego Lupula.

– A co z tym rumuńskim wytwórcą trumien, który przejął miejsce przy Savoy Centre? Ktoś się z nim kontaktował? Dawał mu jedzenie czy picie albo brał od niego pieniądze? Można by ich śledzić.

– Na razie nie. Dotąd rozmawiał z nim tylko ktoś ze schroniska dla bezdomnych i jakiś facet, który wyszedł z baru Long Valley, ale był

w takim stanie, że ledwie trzymał się na nogach.

– Dobra, próbujcie dalej – rzuciła Katie. – Jeśli rzeczywiście chodzi o tego Lupula, to zachowuje się tak bezczelnie, że wcześniej czy później go złapiemy.

– To mnie właśnie dziwi – powiedział Begley. – Wygląda na to, że Matty’ego zabito w taki sam sposób jak Gearoida i sprawca nie zadał sobie najmniejszego trudu, by ukryć to, że zrobił to ten sam człowiek. Mógłby się choć trochę wysilić i użyć odrobiny wyobraźni, nie uważasz? No nie wiem, na przykład jednemu dać za dużą dawkę, a drugiego wepchnąć pod samochód.

– Byłby z ciebie pierwszorzędny seryjny zabójca, nie mam co do tego wątpliwości.

– Gdybym to ja chciał się pozbyć jakiegoś bezdomnego tak, żeby nikt nie nabrał podejrzeń, najpierw ogłuszyłbym go kawałkiem metalowej rurki, więc wyglądałoby na to, że się potknął i uderzył głową w znak. Być może i tak byłby już naćpany albo pijany, a wtedy nawet nie musiałbym go ogłuszać. Potem wrzuciłbym go do rzeki. Nikt nie byłby w stanie stwierdzić z całą pewnością, czy został zamordowany, czy wpadł do wody przypadkowo, czy też popełnił samobójstwo. Najlepszym wyjściem byłoby samobójstwo. Ile osób wskoczyło do Lee w ostatnich tylko latach? Czternaście, prawda?

– Jasne, ale może jednak nie jest to takie dziwne – odparła Katie. – Jakie procedury stosuje policja w Rumunii, kiedy znajdzie na ulicy martwego włóczkę? Być może wcale nie przeprowadzają wtedy sekcji zwłok jak my. Bez dokładnych oględzin my też pewnie doszlibyśmy do wniosku, że obaj bezdomni zmarli z przyczyn naturalnych, takich jak wyziębienie organizmu, marskość wątroby i tak dalej, a strupki na ich głowach nie budziłyby naszych podejrzeń. Mają przecież pełno innych strupów, siniaków czy zacerwień. Ślady po ukłuciu igłą, ugryzieniach szczurów, łuszczyce, świerzb i nie wiadomo co jeszcze.

– Więc myślisz, że sprawcy użyli wiertarki, bo myśleli, że nigdy nie odkryjemy, jak zginęli bezdomni?

– To możliwe, nie uważasz? I wydaje mi się, że mogli to robić już wcześniej, albo u siebie w kraju, albo tutaj. Słuchaj, mam znajomego w komendzie głównej w Dublinie, inspektora Jimmy’ego Joyce’a, który zajmuje się międzynarodowymi oszustwami. Utrzymuje stały kontakt z policją w Rumunii, Bułgarii, Czechach i innych krajach Europy Wschodniej. Poproszę go, żeby sprawdził ich procedury i dowiedział się, czy dochodziło u nich do podobnych zabójstw. Poproszę też detektywa komisarza Fitzpatricka, żeby przyjrzał się dokładniej społecznościom imigrantów w Cork, zwłaszcza w Orchard Court. Może się mylę i ten Lupul to tylko jakiś drobny oszust, ale trudno nie zadawać sobie pytania, kto inny mógłby za tym stać.



– Jest ten grubas...

– Och, masz na myśli Ștefana Făt-Frumora. Tak, to niezłe ziółko, ale ostatnio jakoś przycichł, nie uważasz? Nie wiem, czy jeszcze w ogóle działa, a przynajmniej tutaj, w Cork. Patrick O'Donovan słyszał jakieś plotki, że przeniósł swój dilercki interes do Dublina. Zginęło tylu ludzi z gangów Kinahana i Hutch'a, że pewnie postanowił wykorzystać niszę na rynku.

– Więc wygląda na to, że Lupul to nasz główny podejrzany, prawda? Większość Rumunów, których spotkałem, ściśle przestrzega prawa. Chyba największe przestępstwo, jakiego się dopuszczają, to chowanie przed urzędem skarbowym napiwków za mycie szyb.

Ktoś zapukał do drzwi gabinetu. Tym razem w progu stanął komendant Brendan O'Kane. Katie zauważyła, że ma świeżo przyszczyżone włosy, a po jego twarzy błąka się chytry uśmieszek, jakby przyszedł prosić ją o przysługę.

– Kathleen... Słyszałem, że wróciłaś. Jak się czuje twój... narzeczony?

– Jakoś daje sobie radę, dziękuję, panie komendancie. Być może będzie musiał zostać w szpitalu jeszcze na trzy, cztery dni, ale tylko na obserwacji.

– Mówiłaś mi, dlaczego tam trafił, prawda? Może nie słuchałem uważnie.

– Nie, nie mówiłam, panie komendancie – odparła i zrobiła dłuższą pauzę, dając mu wyraźnie do zrozumienia, że nie zamierza tego zrobić.

– Detektyw sierżant Begley i detektyw Murrish przekazywali mi właśnie informacje o bezdomnym, którego znaleziono martwego na Cook Street dziś rano.

– Właśnie o tym chciałem z tobą porozmawiać. To już drugi bezdomny, który zmarł w tym tygodniu. Zastanawiałem się, czy coś wiąże te przypadki.

– Całkiem możliwe, panie komendancie, choć będziemy musieli poczekać na wyniki sekcji. Jak pan wie, ktoś zabił Gearoida Ó Bearghę, wwiercając mu się w pień mózgu, a ten drugi, Matty Donoghue, ma podobną ranę z tyłu głowy.

– Problem w tym, że media nie dają spokoju Mathew McElveyowi z biura prasowego, więc chce wiedzieć, czy może już ujawnić jakieś szczegóły. Ja też. To nie wpływa dobrze na nasz wizerunek. Ludzie nie lubią oglądać bezdomnych śpiących na ulicach, ale w gruncie rzeczy im współczują, inaczej nie dawaliby im tyle pieniędzy. I dopóki ci biedacy nie znajdą sobie jakiegoś schronienia, mamy ich chronić. Złożyłem taką obietnicę podczas ostatniej konferencji prasowej, prawda? „Nie będzie już kolejnych Gearoidów Ó Bearghów”, tak właśnie powiedziałem. I jak ja teraz wyglądam?

– Zastępca komendanta Pearse wprowadził dodatkowe nocne patrole, ale jak my wszyscy, ma ograniczony budżet, a jego ludzie nie mogą być wszędzie jednocześnie. Najlepiej byłoby usunąć wszystkich bezdomnych z ulic, lecz gdzie by się podzieli? Poza tym wielu z nich wcale nie chciałoby się przenieść do schronisk.

– Więc co powiesz mediom o tej ostatniej ofierze?

– Na pewno nie zamierzam ujawniać, że Gearoid był ofiarą zabójstwa, a przynajmniej jeszcze nie teraz. Nawet jeśli się okaże, że ten Matty również został zamordowany, i to w taki sam sposób, powiem jedynie, że w obu przypadkach staramy się ustalić przyczynę śmierci. Chcę, by na razie sprawca żył w przekonaniu, że daliśmy się nabrać i nic mu nie grozi. Oczywiście trudno odgadnąć, czy naprawdę w to uwierzy, ale warto spróbować.

– Chodzi o sposób – wtrącił się Begley. – Po co używać wiertarki, skoro można by tych facetów po prostu zadźgać, zastrzelić albo przywalić im łopatą w głowę? Otwory po wiertle są dobrze ukryte między włosami, a z powodu ran, które bezdomni mają na głowach, łatwo coś takiego przeoczyć, jeśli pan komendant rozumie, co mam na myśli.

Brendan miał już coś odpowiedzieć, gdy nagle Walter szczeknął piskliwie, a potem kichnął.

– Och, ty maleńki biedaku, prawie całkiem o tobie zapomniałam. – Katie wstała od biurka, podeszła do okna i wyjęła szczeniaka z kontenera. – Pewnie chce ci się pić i jeść, a poza tym przydałaby ci się chusteczka. Spójrz tylko na siebie, mały smarkulku.

– Co to jest? – spytał Brendan. – Tylko mi nie mów, że zatrudniłaś w zespole psa tropiącego.

– To jest Walter, panie komendancie. Jest mopsem i niestety, nie oddycha dość dobrze, by zostać psem tropiącym. Skradziono go pewnej młodej kobiecie, która pracuje dla miasta, a mój narzeczony odnalazł go w pubie w Ballincollig. Problem w tym, że ze względu na przerasowanie, dzięki któremu ma ten śliczny, płaski pyszczyk, jego drogi oddechowe są o wiele za wąskie, a ślepia mogą wypaść z oczodołów. Wymaga kilku operacji, nie wspominając już o szczepieniach i odrobaczaniu, a to wszystko będzie kosztować majątek.

Komendant podszedł bliżej i pogłaskał Waltera po głowie. Szczeniak powąchał jego dłoń, oblizał się i kichnął ponownie.

– A jeśli nie przejdzie tych operacji?

– Trzeba go będzie uśpić. Już teraz cierpi, a będzie cierpieł jeszcze bardziej, kiedy podrośnie... jeśli w ogóle przeżyje dłużej niż kilka miesięcy. Pochodzi z nielegalnej hodowli i nigdy nie powinien był się urodzić.

– To naprawdę smutna historia. Czy jego właścicielkę stać na takie leczenie?

– Nie wiem. Jutro odwiozę jej Waltera i spytam. Jeśli się okaże, że jej nie stać... to cóż, teraz widzi go pan po raz ostatni. – Katie potrząsnęła lekko psiakiem, jakby chciała dodać mu otuchy. – Moirin! – zawołała. – Możesz mi przynieść miskę z wodą dla naszego zucha?

Kiedy się odwróciła, zobaczyła, że Brendan nie patrzy na Waltera, lecz na nią. Widziała już podobne, pełne koncentracji i namysłu spojrzenie u mężczyzn. Dobrze wiedziała, co oznacza: Co mam zrobić, by ona mnie zechciała?

## Rozdział 16

Późnym popołudniem, kiedy na zewnątrz było już ciemno, a roziskrzone krople deszczu kleiły się do okien, do gabinetu Katie przyszedł szef techników, Bill Phinner, któremu towarzyszyli detektywi Markey i Scanlan. Moirin wyszła wcześniej do sklepu i kupiła torebkę jedzenia dla szczeniaków, Katie nakarmiła więc Waltera i teraz spał na kanapie, pochrapując i pogwizdując na przemian.

– A to co takiego? – spytał Bill Phinner. – Sprawiałaś sobie psa stróżującego?

– Zgadza się – odparła Katie. – Nazywa się Walter. Jedno niewłaściwe słowo z twoich ust i odgryzie ci nogę.

– Och, jest naprawdę słodki – powiedziała detektyw Scanlan, uklękła na podłodze przy kanapie i zaczęła głaskać szczeniaka.

– Słodki, ale i chory. Mam nadzieję, że nie na tyle, byśmy musieli go uśpić.

– Nie możecie! To byłoby straszne!

Katie wzruszyła ramionami.

– To zależy od tego, czy właścicielkę stać na leczenie. Ale zgadzam się, tak, to byłoby straszne.

– Miałem ci wysłać wiadomość, ale i tak szedłem na górę – zwrócił się do niej Phinner. – Mamy już prawie wszystkie wyniki badań ze sklepu i zakładu rzeźnika, czekamy tylko na ostatnie.

– I? Wiecie już, skąd wziął się tam ten pierścionek?

– Niestety, nie. Próbkę mielonego mięsa pobrane z lodówki Eamona Buckleya to wieprzowina lub wołowina, trochę tłusta, ale poza tym nic nie można jej zarzucić. Kilka kawałków wyglądało podejrzanie, okazało się jednak, że to mięso kozy. Przy Shandon Street mieszka spora grupa Somalijszczyków, którzy gustują w kozłynie.

– Żadnych innych śladów?

– Wszędzie plamy krwi, jak to u rzeźnika. Starto je środkiem dezynfekującym, ale nie wydaje się, żeby ktoś próbował je całkiem usunąć, na przykład zamalować. Wszystkie pokazały się w luminolu, ale była to wyłącznie krew świń, krów albo kurczaków. Ani kropli ludzkiej krwi.

– Więc sklep jest czysty i nic nie wskazuje na to, że pozbyto się tam ciała biednej matki Any-Marii?

– Zgadza się. Rozebraliśmy nawet maszynkę do mielenia mięsa, żeby sprawdzić, czy na nożach nie ma jakichś zarysowań pasujących do pierścionka. Maszynka jest całkiem nowa, więc na ostrzach nie było praktycznie żadnych śladów.

Katie zmarszczyła brwi.

– No dobrze, ale gdyby nawet pierścionek wpadł do tej maszynki, to przecież nie przeszedłby przez te małe dziurki na końcu?

– Nazywają to płytką siatkową. Otwory mają zwykle co najwyżej sześć milimetrów średnicy, więc pierścionek rzeczywiście nie mógłby przez nie przejść. Ale po mieleniu i tak wykręcili tę płytkę, żeby ją wyczyścić. Może wypadł właśnie wtedy i zmieszał się z mięsem, które zostało w środku. Nie jesteśmy w stanie tego stwierdzić.

– Szkoda, że ta kobieta wyrzuciła do toalety resztkę tego mięsa. – Katie westchnęła. – Być może gdybyście je zbadali, moglibyście orzec jednoznacznie, czy rzeczywiście nic się tu nie wydarzyło.

– Bardzo chciałabym udowodnić, że Buckley był czemuś winny, czemukolwiek! – wtrąciła detektyw Scanlan. – Prowokował mnie obrzydliwymi groźbami. Mówię pani, pani nadkomisarz: największą świnią w sklepie Buckleya jest on sam!

– Obawiam się, że nie możemy go zamknąć tylko dlatego, że zachowywał się ordynarnie – odparła Katie. – Gdyby to było karalne, musielibyśmy zamknąć w areszcie połowę mężczyzn z Cork.

– Uderzyła mnie jedna rzecz – powiedział detektyw Markey w zamyśleniu. – Może to bez znaczenia i tak dalej, ale Buckley ma tylko mały zakład i sklep, więc w dzisiejszych czasach nie zarabia raczej zbyt dużo. Musi przecież konkurować z Tesco i Dunnes, no i ze wszystkimi rzeźnikami z English Market, takimi jak Bresnan's i O'Mahony's... a nawet oni mówią, że nie mają teraz łatwego życia.

– Do czego zmierzasz, Nicholas?

– Przed posesją Buckleya stoi nowiutkie mondeo, dom jest świeżo pomalowany, a okna zostały wymienione na nowe, z podwójnymi szybami. Wydaje mi się, że ma w sklepie nową lodówkę i lśniąca szklaną ladę, którą chyba niedawno tam wstawiono, bo ciągle widać ślady po starej. I jak już wspomniałeś, Bill, maszynka do mięsa też wygląda na nową. Albo prawie nową.

– Może zarabia kokosy na kozim mięsie – mruknął Bill Phinner.

– Mógł się wzbogacić na różne sposoby – zauważyła Katie. – Może niedawno zmarł jakiś jego krewny, który zostawił mu spadek. Albo wygrał w lotto.

– Jasne, że mógł – zgodził się Markey. – Ale jeśli facet jest zamożny i nie ma nic do ukrycia, to dlaczego zachowuje się tak agresywnie? To mnie właśnie zastanawia. Rzadko widzi się taką wrogość u kogoś, kto wie, że nie zrobił nic złego. Ludzie bywają zgryźliwi, czasem może coś

im się wyrwie, ale nie grożą ci, że cię dopadną i potną na kawałki, tak jak Buckley mówił Padragain.

– Wiem, co masz na myśli, ale to, niestety, niczego nie dowodzi. Może jest po prostu gburowaty z natury i zawsze się tak zachowuje.

– Sprawdziłam jego kartotekę – odezwała się znowu detektyw Scanlan. – W ciągu ostatnich dwóch lat trzykrotnie wzywano do niego policję w związku z aktami przemocy domowej, ale za żadnym razem żona nie chciała wnieść oskarżenia.

– Cóż, nawet jeśli jest tylko zwykłym brutalem, nie zamierzam mu odpuścić – zapewniła ją Katie. – Matka Any-Marii zniknęła, wciąż nie wiemy, co się z nią stało, a jej pierścionek pojawił się w mielonym mięsie zakupionym w sklepie Buckleya. Nawet jeśli on rzeczywiście nie miał z tym nic wspólnego, chciałabym się dowiedzieć, jak pierścionek trafił do jego zakładu. Wierzę w wiele rzeczy... w Boga i życie po śmierci... ale nie wierzę w magię.

– Więc co teraz? – spytał Markey. – Może powinniśmy obserwować jego sklep przez parę dni i sprawdzić, kto tam przychodzi?

– A co ze sprawą napaści seksualnej, nad którą pracujecie? Tą z hotelu Flynn's? – zadała mu pytanie Katie. – Jakież postępy?

– Wciąż czekamy, aż jeden z kluczowych świadków wróci z Wysp Kanaryjskich. Mamy krótkie nagranie wideo, ale trudno to nazwać rozstrzygającym materiałem. Mnóstwo krzyków i przekleństw, jakieś plamy, w których można się dopatrzeć oskarżonego albo i nie. Telefon upadł na podłogę w kluczowym momencie, więc mamy pięć minut filmu z butem ofiary i sapaniem, ale nic poza tym.

Katie skinęła głową.

– Rozumiem. Zastanowię się nad obserwacją sklepu Buckleya. Cała ta rumuńska historia przyprawia mnie o ból głowy. Jeśli sekcja zwłok wykaże, że Matty'ego Donoghue zabito tym samym wiertłem co Gearoida Ó Bearghę, być może będę musiała ściągnąć tu na przesłuchanie tego rumuńskiego trumniarza, choć bardzo bym nie chciała ostrzegać Lupula i jego bandy czy tych, którzy za tym wszystkim stoją. Jeśli pomyślą, że wpadliśmy na ich trop, mogą zniknąć, ot tak po prostu, rozpuścić się w powietrzu, a wtedy nie będziemy mieli żadnych szans, żeby ich dopaść.

\* \* \*

Przed powrotem do domu Katie zadzwoniła do Conora. Wydawał się otepiały i zaspany, zapewnił ją jednak, że nie czuje bólu.

– Ale będziemy musieli jeszcze poważnie porozmawiać, kochanie – powiedział.

– Poczekajmy, aż wyjdiesz ze szpitala. Może uda mi się zorganizować trochę wolnego, pojechalibyśmy wtedy do Parknasilla. Kilka spokojnych dni nad morzem na pewno pozwoliłoby nam odzyskać spokój.

– Och... Miałem powiedzieć ci o tym dziś po południu... Sam przyjechałem do szpitala, więc moje audi ciągle stoi na parkingu.

– W porządku, Con. Jutro rano wyślę kogoś, żeby je stamtąd zabrał do Cobh.

– Katie...

– Tak, kochanie? Przestań się teraz gryźć i skup się na powrocie do zdrowia. Tylko to ma znaczenie.

– Ale ja nigdy już nie wrócę do zdrowia, prawda? Wszyscy lekarze świata nie mogą mi przywrócić tego, co straciłem. Byłoby lepiej, gdyby ucięło mi nogi. Jezu, byłoby lepiej, gdyby ucięło mi głowę. Przynajmniej nie musiałbym przez to wszystko przechodzić i cierpieć do końca życia.

– Daj spokój, Con... Wstąpiłam po drodze do weterynarza i zabrałam Waltera. Jest tutaj ze mną i na noc zabiorę go do domu. Jeśli podasz mi adres właścicielki, jutro go do niej podrzucę.

– Co powiedział Domnall?

– Walter potrzebuje kilku operacji, głównie żeby ułatwić mu oddychanie. Ale to będzie kosztować co najmniej trzy tysiące euro. Inaczej najlepiej będzie go uśpić.

– Trzy tysiące? No tak, w sumie mnie to nie dziwi, choć nie wydaje mi się, żeby jego właścicielkę było na to stać. Może najlepiej będzie uśpić Waltera razem ze mną.

– Con, na miłość boską, nie mów tak! Lekarze robią teraz naprawdę niesamowite operacje. Spójrz tylko na tego faceta, któremu przyszyli całą nową twarz.

– Myślisz, że nie pytałem o to doktora Sandhu? Powiedział, że jest to możliwe technicznie, ale nie zrobią tego ze względów etycznych. Gdybyś zaszła w ciążę, oznaczałoby to, że urodzisz dziecko innego mężczyzny.

Katie milczała przez kilka sekund. Być może Conor też chciał, żeby mieli dzieci, choć nigdy otwarcie o tym nie mówił. Tragedia, jaka go dotknęła, z każdą ich rozmową stawała się coraz trudniejsza do zniesienia.

– Chyba jesteś jeszcze zmęczony – powiedziała. – Spróbuj się dziś dobrze wyspać.

– Zrobię co w mojej mocy – odparł. – Ale nawet jeśli będę spał równie długo jak Rip Van Winkle, niczego to nie zmieni, prawda? Tak czy inaczej, obudzę się jako eunuch.

– Nie wypowiadaj więcej przy mnie tego słowa, Con. Nigdy.

– W porządku. Niech będzie wałach.

– Dobranoc, Con. Zobaczymy się jutro.

\* \* \*

Zostawiła Moirin wiadomość, że następnego dnia może przyjedzie trochę później, a potem zniosła zamkniętego w kontenerze Waltera na parking. Deszcz ustał, ale spadła też temperatura, Katie widziała więc parę wypływającą z jej ust. Miasto wydawało się niezwykle spokojne, ciszę mącił jedynie szum opon toczących się po asfalcie, czasami też dobiegający z oddali głos klaksonu.

Kiedy wyjechała z policyjnego parkingu, jej uwagę przykuł widoczny w lusterku wstecznym samochód, który włączył światła, zjechał z pobocza i ruszył jej śladem. Musiała się zatrzymać na światłach przy końcu Old Station Road, więc skorzystała z okazji i spojrzała na auto. Na tej ulicy były żółte linie, co oznaczało, że nie wolno się tam zatrzymywać, ale samochód parkował częściowo na chodniku i nie tamował zbytnio ruchu. Kto jednak odważyłby się stać na podwójnej żółtej linii tuż pod oknami komendy policji w Cork i kto włączyłby nagle światła, by pojechać za nią, gdy wracała w końcu do domu?

Wciąż zerkając na widoczne w lusterku auto, gdy jechała Albert Street i przez Éamon De Valera Bridge nad południowym kanałem rzeki Lee. Gdy mijała Custom House Quay, a potem jechała Michael Collins Bridge, samochód wciąż siedział jej na ogonie. Kiedy skręciła na wschód, w Lower Glanmire Road, główną drogę prowadzącą do Cobh, niemal dotykał jej tylnego zderzaka. Próbowwała odgadnąć, co to za marka i model. Wydawało jej się, że to SUV Toyoty, ale reflektory oślepiły ją na tyle mocno, że nie miała całkowitej pewności. Samochód był też zbyt blisko, by mogła odczytać numery rejestracyjne.

Jadąc wzdłuż czarnej, lśniącej wstęgi rzeki Lee, zwolniła celowo do niecałych trzydziestu kilometrów na godzinę. Toyota nadal trzymała się za nią, zwolniła jednak jeszcze bardziej, tak że Katie widziała tylko jej reflektory. Wciąż w żółwym tempie Katie dotarła do ronda Dunkettle, gdzie Lower Glanmire Road łączy się z drogą N8. Okrążając rondo, zauważyła w lusterku wstecznym, że toyota musiała ustąpić pierwszeństwa betoniarczyce skręcającej na północ. Katie wcisnęła pedał gazu, pokonała błyskawicznie Dunkettle Bridge i wyprzedziła trzy auta na rondzie, z którego miała skręcić w N25 i pojechać na wschód do Cobh Cross. Ignorując chór wściekłych klaksonów, pędziła dalej zewnętrznym pasem, by wyprzedzić autobus i cysternę z paliwem.

Nim dotarła do Harper's Island, jechała już dobrze ponad sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Raz po raz zerkając w lusterka, sprawdzając, czy kierowca toyoty nie jedzie za nią, nie widziała jednak żadnych zbliżających się świateł. Zwolniła dopiero, gdy dojechała do Cobh Cross i skręciła w stronę Fota Island, choć wciąż jechała tak szybko, że opony piszczały niczym stadko przerażonych dzieciaków.



## Rozdział 17

Minęła podjazd do swojego domu przy Carrig View, przejechała jeszcze pół kilometra i skręciła w wąską uliczkę prowadzącą do Dock Cottages, osiedla szeregowców, które ciągnęły się niemal do samej rzeki. Na końcu osiedla zawróciła, zatrzymała się i czekała, by sprawdzić, czy nadal jest śledzona. Cysterna, która przejeżdżała za nią, wydała z siebie przeraźliwe, niskie trąbienie, omal nie przyprawiając jej o atak serca. Odczekawszy pięć minut, Katie doszła do wniosku, że zdołała uciec toyocie.

Kiedy wracała do domu, w jej głowie kłębiło się od wątpliwości i pytań. Czy ten ktoś w tym samochodzie rzeczywiście ją śledził? Może po prostu jechał w tym samym kierunku, a przynajmniej do ronda Dunkettle. Tylko dlaczego czekał na nią przed komendą, parkując niezgodnie z przepisami, i dlaczego ruszył dopiero wtedy, gdy wyjechała z parkingu? Była niemal pewna, że ktoś celowo za nią jechał. Tylko kto i dlaczego?

Zawsze zdawała sobie sprawę, że w Cork nie brakuje przestępców, którzy żywią do niej urazę, bo kiedyś trafili przez nią za kratki, albo nie chcą dopuścić, by zajęła się ich przekrętami. Dlatego też rano zawsze zaglądała pod samochód, nim do niego wsiadła i przekreśliła kluczyk, a także sprawdzała, czy nikt jej nie śledzi. Kiedy pełniła służbę, zawsze nosiła przy sobie rewolwer Smith & Wesson Airweight.

Mimo świadomości stałego zagrożenia starała się prowadzić normalne, wręcz przyziemne życie, choćby po to, by pozostać przy zdrowych zmysłach. Chodziła z Conorem do pubów i restauracji, zabierała Barneya i Foltchain na spacerów wzdłuż wybrzeża i starała się przy tym nie myśleć, że pod jej krzesłem w Rotundy ktoś mógł przymocować bombę albo że właśnie wchodzi nieświadomie w krzyż celownika karabinu snajperskiego.

Zaparkowała przed domem i przeniosła kontener z Walterem do środka. Barney i Foltchain jak zwykle przywitały ją z przesadną żywiołowością, wałąc ogonami w kaloryfer w przedpokoju. Nim zdjęła płaszcz, wypuściła Waltera i jej psy obwąchiwały go z takim przejęciem, jakby mówiły: „Walter! To znów ty! Wróciłeś! Gdzie ty się podziewał, chłopie?”.

– No dobrze, moi drodzy – powiedziała Katie. – Przede wszystkim muszę napalić w kominku. Kiedy już się z tym uporam, nakarmię was.

Przygotowała podpałkę i gazety już rano, przed wyjściem, teraz musiała jedynie przyłożyć zapalną do drewna. Kiedy w kominku zapłonął ogień, włączyła telewizor, choć z wyłączonym dźwiękiem, i podeszła do okna.

Zaciągnęła już niemal całkiem zasłony, gdy zobaczyła białego SUV-a, który minął powoli jej podjazd i zatrzymał się za pozbawionym liści żywopłotem przed jej domem. Odczekała chwilę i zobaczyła, jak reflektory samochodu gasną.

Nie miała pewności, bo latarnie stojące wzdłuż Lower Glanmire Road wyposażone były w sodowe lampy, które trochę przekłamują kolory, ale wydawało jej się, że toyota, która jechała za nią od komendy, również była biała.

– Poczekajcie tu – rzuciła do psów, lecz te ruszyły za nią do salonu, a potem do przedpokoju. – Zostać! *Ná bogadh!*

Nim otworzyła drzwi, zgasła światło w przedpokoju i na zewnątrz, by nie stanowić łatwego, podświetlonego od tyłu celu, kiedy wyjdzie na ganek. Podeszła do bramy przed podjazdem i ostrożnie wyjrzała za żywopłot. SUV wciąż tam stał, z uruchomionym silnikiem. Wnętrze było zaciemnione, wydawało jej się jednak, że widzi tam dwóch mężczyzn i ognik papierosa. Szyba bliższa płotu musiała być opuszczona, bo po chwili wypłynął z niej obłoczek dymu, porwany natychmiast przez podmuch zimnego wiatru.

Katie nie wiedziała, co właściwie powinna zrobić. Ci dwaj mogli być zupełnie niewinni. Być może zrobili sobie po prostu przerwę albo zabłądzili i przystanęli, by zorientować się, gdzie właściwie są. Nie widziała jednak ekranu nawigacji satelitarnej ani poblasku telefonu komórkowego, a gdyby oglądali papierową mapę, z pewnością włączyliby oświetlenie.

Wyjęła z kieszeni płaszczka telefon i szybko wpisała numer rejestracyjny SUV-a. Niemal natychmiast otrzymała odpowiedź z centralnej ewidencji pojazdów i kierowców. Była to toyota RAV4, zarejestrowana po raz pierwszy w październiku 2016 na Williama Johna Sweeneya, z farmy Áit Síochánta w Ballyshoneen Cross w hrabstwie Cork. Wprowadziła szybko te dane do systemu PULSE, ale nikt nie zgłosił kradzieży tego pojazdu. Co jednak rolnik z Ballyshoneen Cross robiłby tutaj, w Cobh, przed jej domem, i to o tej porze?

Nie musiała długo czekać na odpowiedź. Silnik toyoty zgasł, a papieros wyleciał za okno, rozrzucając dokoła fontannę iskieł. Kierowca i pasażer otworzyli drzwi w tym samym momencie i wysiedli z samochodu. Było zbyt ciemno, by Katie mogła zobaczyć, jak wyglądają, choć pięćdziesiąt metrów dalej stała latarnia. Widziała jedynie, że obaj są w puchowych kurtkach i mają lśniące wygolone głowy. Ruszyli zdecydowanym krokiem w jej stronę, z pewnością jednak nie wiedzieli

dotąd, że ich obserwuje, bo na jej widok zatrzymali się raptownie i omal nie zderzyli ze sobą, niczym bohaterowie kiepskiej komedii.

– Detektyw Magga-wire? – powiedział jeden z nich z silnym wschodnioeuropejskim akcentem.

– Kim jesteście? – spytała w odpowiedzi Katie. – Śledziliście mnie?

– Jesteś detektyw Magga-wire?

– A kto chce wiedzieć?

Mężczyźni podeszli bliżej. Jeden z nich był znacznie wyższy od drugiego, obaj jednak wyglądali groźnie; mieli szerokie bary i zacięte, jakby wyciosane w kamieniu twarze. Ten niższy raz po raz podrygiwał, jakby lada moment miał wpaść we wściekłość i zabrać się do bicia.

– Przyszliśmy po dziewczynę – oznajmił wyższy. Mówił tak, jakby recytował słowa, których ktoś go nauczył. – Przyrowadź dziewczynę.

– Jaką dziewczynę? Nie wiem, o czym mówicie.

– Wiesz, jaką dziewczynę. Nie rób problemów.

– Bo co? – warknęła Katie. – Jeśli nie zabierzecie się stąd, zanim skończę odliczać do trzech, zadzwonię po wsparcie i każę was wsadzić za groźby karalne.

– Nie, nie idziemy. Przyszliśmy po dziewczynę.

– Posłuchaj mnie, koleś. Nie wiem, o czym mówicie, i jeśli natychmiast nie odejdziecie, dodam do zarzutów ignorowanie poleceń nadkomisarz Garda Síochána. Może nie wiecie, ale grozi za to grzywna tysiąc euro albo pół roku w więzieniu.

– Słuchaj, *vacá*, nie odejdzimy stąd bez dziewczyny – oświadczył niższy mężczyzna niskim, zachrypniętym głosem. Zrobił krok w jej stronę, podnosząc lewą rękę, by złapać ją za ramię, lecz Katie cofnęła się szybko o dwa kroki, tak że żwir na podjeździe zachrzącał pod jej obcasami. Wsunęła dłoń pod połę płaszcza, wyjęła rewolwer i wymierzyła prosto w głowę niższego.

– Na ziemię, obaj! – warknęła. Mężczyźni spojrzeli ze zdumieniem najpierw na nią, a potem na siebie. Niższy podniósł z ociąganiem rękę, obaj jednak stali nadal prosto. – Powiedziałam, na ziemię! – powtórzyła Katie. – Nie rozumiecie angielskiego, idioci? Kładźcie się twarzą do ziemi i leżcie tak, dopóki nie przyjedzie tu moje wsparcie.

Zapadło głębokie, pełne napięcia milczenie. Katie skierowała lufę pistoletu na wysokiego mężczyznę, a potem z powrotem na niższego. Podniósł się wiatr, nagie gałęzie bukowego żywopłotu szeleściły głośno, jakby chciały im przekazać jakieś tajemnicze ostrzeżenie. Wyższy mężczyzna wpatrywał się w Katie z nieskrywaną wrogością, potem jednak obejrzał się za siebie, jakby mierzył odległość dzielącą go od SUV-a. Po chwili wahania pociągnął swego towarzysza za rękaw.

– *Alerga!* – zawołał. – *Nu ne va împuşca! Alerga!*

Obaj obrócili się w miejscu i pobiegli do toyoty. Otworzyli drzwi, wskoczyli do środka i ten wyższy natychmiast uruchomił silnik. Z piskiem opon ruszyli spod krawężnika i popędzili Carrig View, choć pasażer nie zdążył jeszcze domknąć drzwi.

Katie włożyła rewolwer do kabury, wbiegła z powrotem na ganek i zatrzasnęła drzwi, by psy nie mogły wyjść na zewnątrz. Potem wsiadła do swojego samochodu, cofnęła i wyjechała na ulicę. Wcisnęła mocno pedał gazu, ruszając bez chwili wahania za toyotą. Tamci mieli nad nią sporą przewagę, ale ona doskonale знаła drogi w Cobh, każdy zakręt, każdy wiraż, każdą przeszkodę. Uczyła się też szybkiej jazdy w akademii policyjnej w Templemore.

Carrig View przeszło w High Road, prowadzącą prosto do centrum Cobh. Mijając stację paliw Great Gas, Katie dostrzegła z przodu czerwone tylne światła toyoty. SUV jechał szybko, ale nie tak szybko jak ona. Wzięła kilka głębokich oddechów, by się uspokoić, i wyszeptała:

– *Do scíth a ligan.*

Tak właśnie zawsze mówiła jej babcia do dziadka, gdy za bardzo się ekscytował albo wpadał we wściekłość: uspokój się. Serce waliło jej jak młotem, była jednak pewna, że panuje nad sytuacją. Mogła strzelić do tych typów, gdy uciekali sprzed jej domu, lecz gdyby ich zabiła lub zraniła, późniejsze śledztwo policyjne byłoby prawdziwym koszmarem. „Strzeliła pani uciekającym nieuzbrojonym ludziom w plecy, nadkomisarz Maguire?”

Właściwie mogłaby też strzelić im w opony, wiedziała jednak, że większość współczesnych opon umożliwia jazdę nawet po przebiciu lub ulega samouszczelnieniu, więc prawdopodobnie i tak byłoby to bezcelowe.

Kiedy mijała kawiarnię Heidi's, gdzie czasami chodziła na śniadanie, od toyoty dzieliło ją już tylko jakieś sto pięćdziesiąt metrów. Nie miała pojęcia, czy tamci wiedzą, że ich ściga, lecz dotarłszy do skrzyżowania z Whitepoint Drive, nagle skręcili w prawo. Przypuszczała, że być może tylko próbują zmylić trop, na wypadek gdyby wysłała za nimi policjantów z miejscowego komisariatu i podała im opis ich toyoty. Wątpiła jednak, by skręcili właśnie w tym miejscu, gdyby wiedzieli, że Whitepoint prowadzi do Lower Road, która z kolei skręca ostro na wschód, biegnie równoległe do High Road i łączy się z nią przy Cobh Heritage Centre. Wątpiła również, by wiedzieli, że komisariat policji w Cobh mieści się właśnie przy Lower Road, mniej więcej w połowie jej długości, i że działa przez całą dobę.

Katie nie skręciła za nimi w Whitepoint Drive, lecz pędziła dalej High Road. Włączyła radio i kazała się połączyć z komisariatem w Cobh.

– Nadkomisarz Maguire z komendy na Anglesea Street. Sprawa bardzo pilna.

– O co chodzi, pani nadkomisarz?

– Biała toyota RAV cztery jedzie na wschód Lower Street, za kilka minut będzie was mijać. Ja wjeżdżam do miasta High Road i mam nadzieję, że przetnę jej drogę przy Westbourne Place. Jeśli wyślecie za nią radiowóz, weźmiemy ją w kleszcze.

– Mam parę wozów zaparkowanych bezpośrednio przy ulicy, pani nadkomisarz. Bez obaw, zdążymy.

– Słuchajcie, w toyocie jest dwóch mężczyzn, obaj pochodzą z Europy Wschodniej. Chyba nie są uzbrojeni, ale przekażcie swoim ludziom, żeby uważali. Ścigam ich za agresywne zachowanie i być może za inne przestępstwa.

– Zrozumiałem, pani nadkomisarz. Bez odbioru.

Katie musiała na chwilę zwolnić, nim udało jej się wyprzedzić parę starszaków w musztardowym volvo. Wlekli się w takim tempie, że miała ochotę na nich zatrzeć, uspokoiła się jednak, powtarzając:

– *Do scíth a ligan.*

Gdy w końcu zostawiła volvo za sobą, natychmiast ponownie wcisnęła pedał gazu i niecałe dwie minuty później dotarła do skrzyżowania z Westbourne Place. Zawróciła raptownie, aż jadący z naprzeciwka kierowca zamrugał na nią światłami i pokazał środkowy palec. Zignorowała go i popędziła w dół, w stronę parkingu przed Cobh Heritage Centre i Deepwater Quay. To właśnie tu cumował kiedyś *Titanic*. Katie zauważyła mimochodem, że w tym samym miejscu zatrzymał się tego wieczoru wielki biały statek wycieczkowy, ozdobiony girlandami świateł, które pobłyskiwały ponad szpiczastymi dachami muzeum z czerwonej cegły.

Dojeżdżając do parkingu, rozpoznała już z daleka halogenowe reflektory toyoty, która nadjeżdżała od strony Lower Road. Poruszała się teraz znacznie wolniej niż wcześniej, zapewne dlatego, że sto metrów za nią jechał radiowóz, więc wyższy mężczyzna starał się trzymać przepisów. Zauważyła też drugi radiowóz, jakieś trzysta metrów dalej.

Katie zjechała na bok, zatrzymała się, cofnęła odrobinę i zaciągnęła hamulec ręczny, całkowicie blokując wąską drogę prowadzącą do centrum miasta. Toyota dotarła do parkingu i zwolniła jeszcze bardziej, aż w końcu całkiem się zatrzymała. Katie wyobrażała sobie, co mówią teraz do siebie siedzący w SUV-ie mężczyźni, którzy zapewne uświadomili sobie właśnie, że mają za sobą dwa radiowozy, a droga ucieczki jest zablokowana.

Wyobrażała sobie również, co mówią, gdy wysiadła z focusa i ruszyła w ich stronę – niewątpliwie były to głównie przekleństwa w ich ojczystym języku. Domagali się od niej „dziewczyny”, więc najprawdopodobniej byli Rumunami. Tymczasem pierwszy radiowóz zatrzymał się tak blisko toyoty, że niemal dotykał jej tylnego zderzaka,

a drugi właśnie do niego dołączył. Z policyjnych samochodów wysiadło pięciu umundurowanych funkcjonariuszy.

– Nadkomisarz Maguire! – krzyknęła do nich Katie, podnosząc legitymację, którą trzymała w lewej ręce. – Jestem uzbrojona!

Żaden z policjantów nie zdążył jednak zareagować, bo nagle toyota z rykiem silnika poderwała się do przodu, uderzając w bok volkswagena sedana i wgniatając jego drzwi. Potem ruszyła w głąb parkingu i potraćiła jeszcze kilka pojazdów, nim z piskiem opon zakręciła za muzeum i popędziła w stronę nabrzeża.

Katie pobiegła za uciekającym autem. Dołączyło do niej trzech funkcjonariuszy, jeden w stopniu sierżanta, a dwaj wsiedli z powrotem do radiowozu.

– Nie uciekną! – wydyszał sierżant. – Dermot i Michael wrócą i odetną im drogę przy Whitepoint Drive!

Mimo późnej pory i bliskiej zera temperatury na nabrzeżu wciąż było jasno i tłoczno. Z Cork wróciło właśnie kilka autokarów, które ustawiły się jeden za drugim wzdłuż ściany muzeum. Wysiadały z nich dziesiątki turystów, którzy przechodzili przez nabrzeże. Między brzegiem a statkiem umocowano kwadratowy niebieski pomost, by pasażerowie mogli przejść prosto z kei do drzwi w burcie statku.

Toyota pędziła prosto na szeregi turystów, ani trochę nie zwalniając. Katie usłyszała krzyki i głuchoe uderzenia, gdy co najmniej sześć osób zostało potraconych i odrzuconych na bok.

– Na miłość boską, uważajcie! – krzyczała, choć brakowało jej tchu i nie sądziła, by ktokolwiek ją słyszał w tym hałasie. Ze względu na dojmujący ziąb kierowcy autokarów nie wyłączali silników, pracowały również generatory wycieczkowca, a pasażerowie krzyczeli w panice.

Ubrany w kamizelkę odblaskową pracownik podbiegł kawałek i rzucił pacholkiem drogowym w toyotę, a ten odbił się od przedniej szyby. SUV skręcił gwałtownie w prawo i uderzył w przód pierwszego autokaru, po czym odbił się od niego i obrócił w miejscu, wpadając w poślizg. Niesiony siłą bezwładności, zsunął się z nabrzeża, zawisł na sekundę na dwóch kołach, po czym opadł bokiem na pomost. Rozległ się ogłuszający huk, a potem chłupot wody. Niemal natychmiast eksplodował zbiornik z paliwem i płomienie błyskawicznie objęły całe auto.

Dwaj pracownicy portu i marynarz z wycieczkowca próbowali do niego podejść, lecz żar bijący od ognia był zbyt intensywny. Czuła go nawet Katie; podniosła rękę, by osłonić twarz.

– Potrzebujemy karettek! Natychmiast! I straży pożarnej! – zawołała do sierżanta, lecz gdy spojrzała w jego stronę, ten już rozmawiał przez radiotelefon. Odwróciła się ponownie do statku i zobaczyła, że w drzwiach w burcie pojawiło się trzech marynarzy z gaśnicami

w rękach. Zaczęli spryskiwać toyotę białą pianą, choć wydawało się, że płomienie natychmiast ją pochłaniają i strzelają jeszcze wyżej.

Niecałą minutę później Katie zauważyła ze zgrozą, że drzwi po stronie kierowcy powoli zaczynają się otwierać niczym właz do piekła. Z wnętrza SUV-a wypłynęło jeszcze więcej języków ognia, które oplatały wyższego z dwóch mężczyzn. Płonęła cała jego głowa, a rękawy kurtki wyglądały niczym ogniste epolety. Marynarze skierowali na niego strumienie piany, udało mu się więc pchnąć drzwi nieco wyżej. Wyciągnął rękę i chwycił się klamki tylnych drzwi, lecz wtedy ogarnął go kolejny obłok ognia. Mężczyzna osunął się z powrotem do wnętrza toyoty i przednie drzwi zamknęły się nad nim z trzaskiem.

Z oddali dochodziło wycie syren karetek i wozów straży pożarnej, Katie pobiegła więc na parking, by usunąć z drogi swój samochód. Wjechała nim na ostatnie wolne miejsce, naprzeciwko posągu Annie Moore, niemal w tej samej chwili, gdy na wzniesieniu pojawił się wóz strażacki. Zdyszana, wróciła na nabrzeże, by sprawdzić, ilu pasażerów wycieczkowca zostało rannych i czy nie może im jakoś pomóc. Wyglądało na to, że zginął tylko jeden turysta, czarnoskóry mężczyzna o siwych włosach, w płaszczu z wielbłądziej wełny. Jego popękane okulary leżały na betonie, w rosnącej kałuży krwi, a obok klęczała szlochająca starsza kobieta. Okrętowy lekarz pochylał się nad ciężko ranną młodą Chinką i robił jej zastrzyk ze środkiem znieczulającym. Inna kobieta, siwowłosa, która wyglądała tak, jakby ktoś przeciągnął po jednej stronie jej twarzy wielkim pędzlem z czerwoną farbą, raz po raz dotykała z niedowierzaniem policzka, podczas gdy brzuchaty mężczyzna w średnim wieku, leżący na nabrzeżu, przekręcał się z boku na bok i pojękiwał jak ranny byk.

Za wozem strażackim przyjechały trzy karetki, w odstępie zaledwie kilku sekund. Wypadło z nich sześcioro ratowników medycznych, czterech mężczyzn i dwie kobiety, każdy z torbą resuscytacyjną w ręce. Katie mogła tylko stać z boku i patrzeć, wciskając dłonie głęboko w kieszenie płaszcza, bo wiatr ciągnący od morza był przeraźliwie zimny i niósł ze sobą swąd dymu. Katie miała tylko nadzieję, że nie wyczuje w nim zapachu spalonego ludzkiego ciała.

Przeżegnała się, gdy ratownicy przystąpili do pracy, i odmówiła modlitwę o uzdrowienie do archanioła Rafała. Nie mogła pomóc rannym w żaden inny sposób. Nie chciała zadawać sobie pytania, czy postąpiła słusznie, ścigając tych dwóch mężczyzn. Oczywiście było jednak, że gdyby tego nie zrobiła, obaj wciąż by żyli, a żaden z tych niewinnych turystów nie zostałby zabity ani zraniony.

Przypomniała sobie mimowolnie, co jej były szef, komendant Denis MacCostagáin, mawiał w sytuacji, gdy któregoś z jego podwładnych oskarżano o niedbalstwo lub krótkowzroczność. „Gdyby tylko czas

posuwał się do tyłu, a nie do przodu... Nigdy nie popełnialibyśmy błędów, bo wiedzielibyśmy, co nas czeka. Ale bez pomyłek nasze życie byłoby nudne jak cholera, prawda?”



## Rozdział 18

Katie wróciła do domu dopiero o wpół do piątej rano, wyczerpana i drżąca z zimna. Pozostała na wybrzeżu do czasu, aż zabrano stamtąd ostatnich rannych i pojawiło się troje ziewających techników kryminalistycznych w białych kostiumach z tyveku, którzy zaczęli fotografować miejsce tragedii.

Wcześniej strażacy zgasili ostatnie płomienie liżące opony toyoty, a mniej więcej godzinę później na wybrzeże przyjechał pomarańczowy dźwig, który podniósł z pomostu wypalony wrak i postawił go na lawecie. We wnętrzu wciąż tkwiły ciała dwóch mężczyzn i aby nie uległy uszkodzeniu, musieli je wyjąć specjaliści z zakładu medycyny sądowej. Takie operacje wykonywano zwykle w specjalnej pracowni laboratorium kryminalistycznego, gdzie przewożono samochody po poważnych wypadkach.

Katie powiesiła płaszcz i przeszła do salonu. Ogień, który rozpałała przed kilkoma godzinami, dawno już zgasł, włączyła więc centralne ogrzewanie. Setery otworzyły ślepia – Barney nawet wstał i otrząsnął się, by ją powitać – Walter jednak nadal spał mocno na kanapie. Zostawił małą twardą kupę na płytkach przed kominkiem i podrapał dywanik, próbując ją zakopać.

– W porządku, moi państwo, możecie tu zostać do rana – powiedziała. – Ale nie myślcie sobie, że jutro też wam na to pozwolę. Jutro wracacie do kuchni.

Rozebrała się i wzięła prysznic, by się rozgrzać i zmyć z siebie zapach dymu. Włożywszy długą bawełnianą koszulę nocną, przeszła do umywalki, by umyć zęby. Spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Zielone oczy, miedziane włosy, skóra blada niczym kość słoniowa. Jej nieżyjący już kochanek, John, droczył się z nią, mówiąc, że wygląda jak selkie, kobieta-foka, która żyje w morzu, ale zrzuca skórę i wychodzi na ląd, by przybrać ludzką postać i znaleźć sobie męża. Selkie były cudownymi żonami, ale w skrytości ducha zawsze marzyły o powrocie do morza. John mawiał, że w przypadku Katie nie chodzi o morze, lecz o pracę w policji. Gdy tylko usłyszała w wiadomościach o napadzie z bronią w rękę, o zamieszkach czy o zaginięciu, rzucała wszystko, co akurat robiła, i natychmiast jechała na Anglesea Street, by przejąć dowodzenie. Nawet kiedy widziała przejeżdżający w pobliżu radiowóz na sygnale, dzwoniła na komendę, by się dowiedzieć, co się dzieje.

Wiedziała, że pośrednio to właśnie jej oddanie służbie doprowadziło do śmierci Johna, a teraz, gdy patrzyła na swoje odbicie w lustrze, zrozumiała, że wciąż zadaje sobie pytanie, czy jej zaangażowanie nadal nie prowadzi do zguby innych ludzi. Ten czarnoskóry mężczyzna leżący na nabrzeżu w kałuży krwi był czyjś mężem, czyjś ojcem, czyjś dziadkiem. Gdyby nie ściagała tych dwóch typów z Europy Wschodniej, zjadłby wczoraj spokojnie kolację na pokładzie wycieczkowca, a teraz spałby smacznie w swojej kajucie. Tymczasem jego ciało spoczywało zamrożone w szufladzie okrętowej kostnicy, czekając, aż statek zawiezie je do ojczyzny, by tam mogło zostać godnie pochowane.

Położyła się do łóżka, zgasła lampkę i próbowała zasnąć, lecz leżała w ciemności z otwartymi oczami. Nie mogła przestać myśleć o wydarzeniach z Deepwater Quay... i o Conorze. Uwielbiała w nim wszystko, nawet jego lekkomyślność. Być może ją właśnie najbardziej. Ale co robi, jeśli się okaże, że nigdy już nie będą mogli się kochać? Nie próbowała nawet udawać przed sobą, że może żyć bez seksu. Popęd seksualny był jej integralną częścią. Dawał determinację, siłę do zmagania z mizoginicznymi policjantami, którzy próbowali jej uwłaczać. Dawał jej siłę i odwagę. Nawet nie próbowałaby ściagać tych dwóch mężczyzn, gdyby nie była przekonana, że w bezpośredniej konfrontacji zdoła stawić im czoło.

Zmęczenie i opóźniony szok mąciły jej w głowie, wypaczały normalny tok myślenia. Była niemal gotowa uwierzyć, że jej seksualność jedynie niszczy wszystkich, którymi się otacza. Gdyby rzeczywiście miała być jakąś postacią z irlandzkiej mitologii, przypominałaby raczej Dullahana, zwiastuna śmierci, a nie selkie.

Te rozmyślenia doprowadziły do tego, że podjęła decyzję w przynajmniej jednej sprawie. Nie pozwoli, by oprawca Conora pozostał bezkarny. Owszem, Conor nie dotrzymał warunków umorzenia postępowania przeciwko niemu, nie sądziła jednak, by jakkolwiek sąd zechciał wsadzić go do więzienia w sytuacji, gdy jego obrażenia okazały się tak poważne. Utracenie męskości to chyba wystarczająca kara.

Kiedy leżała pogrążona w ciemności, wciąż powracało jedno pytanie: Dlaczego ci dwaj chcieli, by oddała im „dziewczynę”? Zakładała, że chodziło im o Anę-Marię, prawdopodobnie nie wiedzieli więc, że dziewczynką zajęła się opieka społeczna, i sądzili, że mała jest u Katie. Lupul ryzykował, że trafi do aresztu za napaść, gdy próbował jej odebrać Anę-Marię, a ci dwaj przyjechali tu aż z Anglesea Street i otwarcie grozili Katie. Dlaczego tak bardzo zależało im na tym dziecku?

W końcu zasnęła, lecz po jakiejś godzinie wibrowanie telefonu wyrwało ją z dziwnego snu, w którym unosiła się dziesięć centymetrów nad podłogą, a ktoś się z niej śmiał. Dzwonił detektyw sierżant Begley.

– Przepraszam, że niepokoję cię tak wcześnie. Patrick O'Donovan przekazał mi właśnie najnowsze wieści o tym, co działo się w Cobh. Trzy ofiary, o ile mi wiadomo. Tobie nic się nie stało?

– Jestem cała i zdrowa, dzięki, Sean. Zdam raport później, jak tylko dojadę na komendę.

– Jeśli tylko nie jesteś ranna i dobrze się czujesz. Patrick mówi, że to było prawdziwe piekło. Ale dzwonię głównie w sprawie tego zmarłego żebraka z Cook Street, Matty'ego Donoghue. Ustaliliśmy tożsamość jego przyjaciółki. Znaleźliśmy w ich rzeczach notes, w którym było kilka numerów telefonów i z milion szkiców sukienek, kurtek, kapeluszy i innych ciuchów. Jeden z tych numerów należy do jej siostry.

– Wstrzymaj się na moment, Sean – poprosiła Katie. – Muszę włączyć światło i się obudzić.

– Och, przepraszam. Zadzwoń później?

– Nie, nie. Jestem już przytomna. Mów dalej.

– No więc ta przyjaciółka Matty'ego nazywa się Máire O'Connor. Ma trzydzieści cztery lata, jest bezdomna, ale wcześniej mieszkała z rodzicami przy Deanrock Avenue, niedaleko Clashduv Park. Studiowała modę w Mallow i uchodziła za duży talent. Przynajmniej tak twierdzi jej siostra. Ale odkąd zaczęła się zadawać z tym Mattym i zetknęła się z narkotykami, wszystko się posypało.

– Ktoś rozpoznał ją z portretu pamięciowego?

– Tak, jeden z ochroniarzy ze Sparkle Club... znał nawet jej imię. Mówił, że zawsze kręciła się w pobliżu i czekała na dilerów. I oddawała im się, bo tego właśnie żądali za crack.

– Ale od wczorajszego wieczoru nikt jej nie widział?

– Nie. I sądząc po tym, co zostawiła przy ich legowisku, raczej nie zesza z Cook Street dobrowolnie. Znaleźliśmy nie tylko jej notes, ale też kilka swetrów, bieliznę, mydło, szczoteczkę do zębów, a nawet tampony.

– O Jezu.

– Przesłałem portret pamięciowy komisarzowi O'Rourke'owi, żeby mógł go rozdać pieszym patrolom, skontaktuję się też z Biurem Osób Zaginionych, żeby umieścili go na swojej stronie. Z Mathew McElveyem porozmawiam, jak tylko pojawi się na komendzie.

– Świetnie, Sean. Daj mi godzinę, a do was dołączę. Najpierw muszę załatwić jeszcze jedną małą rzecz, ale potem chcę się naprawdę na poważnie zająć tą sprawą. To, co stało się wczorajszej nocy, też mogło mieć związek z Lupulem. Rozmawiałam z tymi dwoma typami z toyoty, którzy się spalili. Mówili z obcym akcentem, więc też mogli być Rumunami. Ale wszystko skończyło się jedną wielką katastrofą, więc nie chcę działać pochopnie i znów doprowadzić do czegoś takiego.

Chciała odłożyć telefon, ale spadł jej na podłogę, musiała więc wstać, by go podnieść. Wciąż była zmęczona, lecz dochodziło dwadzieścia po

siódmej, a poza tym wiedziała, że nie uda jej się znów zasnąć. Powlekła się do kuchni, nastawiła czajnik i przez chwilę wpatrywała się w swój ogródek. Wciąż było ciemno i nadal padał deszcz. Nie pamiętała już, kiedy ostatnio w Cork była ładna pogoda. Właściwie nie pamiętała, kiedy nie było tu zimy.

\* \* \*

Szare domy jednorodzinne przy Lime Trees Road wyglądały niemal identycznie, Katie musiała więc jechać powoli i patrzeć na numery przymocowane do drzwi. W końcu dotarła do domu Caoimhe O'Neill i zaparkowała. Przeniosła kontener z Walterem pod drzwi, nacisnęła guzik dzwonnka i czekała. Pies kichnął w ten swój zabawny, szczenięcy sposób.

– Wszystko w porządku, mały, nie martw się – powiedziała, nachylając się do niego. – Za chwilę będziesz ze swoją panią.

Drzwi otworzyła sama Caoimhe, postawna młoda kobieta o ciemnych włosach; była w białej bluzce i szarej spódnicy – pewnie wybierała się do pracy w ratuszu. Katie wysłała jej wcześniej wiadomość, że przywiezie Waltera, dziewczyna przywitała ich więc z rumieńcem ekscytacji na twarzy i łzami w oczach.

– Och, jak to miło z pani strony! – powiedziała. – Proszę wejść... Tędy, przez kuchnię. Wezmę od pani kontener.

Przeprowadziła Katie przez kuchnię, gdzie jej ojciec siedział przy stole, pijąc herbatę z kubka, a matka stała przy zlewie i zmywała naczynia.

– Tato, mam, to jest pani nadkomisarz Maguire.

Ojciec Caoimhe wstał i przywitał Katie pełnym szacunku skinieniem głowy.

– Córką powiedziała nam, że przywiezie pani Waltera osobiście, bo pan Ó Máille nie czuje się zbyt dobrze. Mam nadzieję, że to nic poważnego?

– Hm... dochodzi do zdrowia. Chciał jednak, bym porozmawiała z państwem o Walterze. Wiecie, że zabrał go na badanie do weterynarza? Niestety, nie mam najlepszych wieści.

Caoimhe wyjęła szczeniaka z pojemnika i wzięła go na rękę. Mopsik parsknął, piszczał i kichał, ale bez wątpienia cieszył się ogromnie z powrotu do domu. Starając się ujmować wszystko w jak najłagodniejsze słowa, Katie powiedziała O'Neillom, co dolega Walterowi i dlaczego potrzebuje poważnych operacji, jeśli ma przeżyć. Na koniec poinformowała ich, ile Domnall żąda za wszystkie niezbędne zabiegi. Ojciec Caoimhe powoli usiadł na swoim miejscu.

– Święty Józefie... Trzy tysiące euro? Nigdy w życiu nie będzie nas na to stać. Myślę, że moglibyśmy spróbować tego... Jak się to nazywa? Finansowania społecznościowego. Nasz kuzyn miał raka prostaty i uzbierał dość pieniędzy, żeby się leczyć.

Caoimhe przytuliła Waltera mocniej. Po jej policzkach spływały łzy.

– Wiem, że to ogromny wydatek, ale może uda się państwu znaleźć jakieś rozwiązanie – powiedziała Katie. – Mogę tylko przekazać, że Conor Ó Máille zrzekł się swojego wynagrodzenia za odnalezienie Waltera. Jest bardzo zaangażowany w walkę z nielegalnymi hodowlami psów. Nie może znieść myśli, że wielu ludzi, podobnie jak Caoimhe, pada ofiarą oszustów i kupuje szczeniaki, które w ogóle nie powinny się urodzić. – Po krótkiej pauzie dodała: – Zastanówcie się państwo, co z tym zrobić. Kiedy już podejmą państwo decyzję, proszę do mnie zadzwonić na komendę przy Anglesea Street. To moja wizytówka.

Pożegnała zszokowaną i zasmuconą rodzinę. Odprowadzili ją do drzwi i patrzyli, jak idzie w deszczu do samochodu.

\* \* \*

Nim Katie odwiesiła płaszcz, nim włączyła komputer i sięgnęła po cappuccino, wezwała do siebie detektyw sierżant Kynę Ni Nuallán.

Kyna była blada i wyglądała na zmęczoną. Jej blond włosy były splątane, a oczy nieumalowane. Katie nie pytała, co robiła zeszłej nocy ani gdzie była czy też z kim. Nie chciała tego wiedzieć, a poza tym miała ważniejsze sprawy na głowie. Jadąc na komendę, postanowiła, że zacznie podejmować zdecydowane i natychmiastowe kroki we wszystkich śledztwach, które aktualnie prowadziła. Do diabła z ostrożnością, do diabła z ryzykiem! Po wczorajszej tragedii w Cobh nie zamierzała się dłużej wahać.

– Nie wiem, czym zajmuje się teraz Cairbre, ale powiedz mu, proszę, żeby to zostawił i podjechał do sądu okręgowego. Chcę mieć nakaz przeszukania hodowli psów Foggy Fields. Szukamy w szczególności śladów napaści, która doprowadziła do ciężkich obrażeń ciała.

– Więc jednak postanowiłaś się tym zająć?

– Tak. Obrażenia Conora... Hm... powiem tylko, że są znacznie gorsze, niż lekarze początkowo przypuszczali. Niewykluczone, że sędzia może się domagać kary więzienia za złamanie wcześniejszych warunków, ale nie sądzę, żeby ktokolwiek był tak okrutny.

– Aż tak? Więc co mu się właściwie stało?

– Powiem tak: będzie potrzebował naprawdę dużo czasu, by pogodzić się z tym, co mu zrobiono. Być może nie nastąpi to nigdy.

– Och, Katie, tak mi przykro. Pozdrów go ode mnie, dobrze?

– Oczywiście. Właśnie ze względu na niego chcę sprawdzić, czy uda mi się dowieść, że siostry McQuaide kazały go pobić albo przymknęły na to oko. W ten sposób być może uda się też doprowadzić do zamknięcia hodowli. Wiem, że to nie będzie łatwe. Politycy nie są zainteresowani walką z nielegalnymi hodowlami psów. Ale zrobię wszystko, co będę mogła.

– Dobra. Wróć na dół i każę Cairbre'owi pojechać na Washington Street.

Katie usiadła przy biurku i przeglądając pobieżnie wiadomości i dokumenty, które zostawiła jej Moirin, wezwała detektywa komisarza Mullikena oraz Markeya i Scanlan.

Markey i Scanlan przyszli jako pierwsi, a chwilę później do gabinetu wszedł Mulliken z papierowym kubkiem kawy w ręce.

– Zmiana planów – oznajmiła Katie, wstając i pokazując im, by usiedli na kanapach przy oknie. – Po tym, co wydarzyło się wczoraj na Deepwater Quay, uznałam, że musimy grać twardo i bezpardonowo. Bill Phinner mówi, że jeszcze nie udało im się zidentyfikować tych dwóch facetów, których ścigałam, bo właściwie zostali skremowani. Ale obaj mówili z akcentem z Europy Wschodniej. Jestem przekonana, że jechali za mną aż do mojego domu, bo myśleli, że opiekuję się tą rumuńską dziewczynką. Mogę się mylić, ale moim zdaniem to niemal stuprocentowo pewne, że byli powiązani z tym całym Lupulem, więc chcę go wytropić i dopaść, zanim znów ktoś zginie. Musimy sprowadzić tego rumuńskiego trumniarza, który żebrze przy Savoy Centre, i wypytać go, gdzie może się ukrywać Lupul.

– Ale Lupul się dowie, że zgarnęliśmy jego człowieka, prawda? – odezwał się Mulliken. – A jeśli jest winny, może wtedy zniknąć, jak sama mówiłaś.

– Tak, może. Jeżeli jednak to zrobi, powiadomimy urząd imigracyjny, żeby go szukali i przesłali alert na lotniska i terminale promowe. Przyznaję, że i tak mógłby się jakoś wymknąć z kraju i wrócić do Rumunii. Jeśli mu się to uda, wniesiemy wniosek o ekstradycję i być może ściągniemy go tu z powrotem, a być może nie. Tak czy inaczej, nie będzie już przynajmniej stanowił zagrożenia dla bezdomnych w Cork.

– Wybacz, ale to wszystko są czysto teoretyczne rozważania – odparł Mulliken. – Nie mamy przecież żadnych dowodów, że to Lupul jest odpowiedzialny za zabójstwo Gearoida Ó Bearghy i Matty'ego Donoghue, prawda? I nawet jeśli ci dwaj faceci, którzy zginęli w Deepwater Quay, mówili z akcentem z Europy Wschodniej, nie możemy mieć pewności, że rzeczywiście byli powiązani z Lupulem ani nawet że byli Rumunami. Wszystkie te wschodnioeuropejskie języki są do siebie bardzo podobne... przynajmniej dla mnie. Nie odróżniam Polaków od Czechów czy Bułgarów.

Katie skinęła głową.

– Masz rację, Tony. Ale mamy teraz dwa razy więcej ofiar i moim zdaniem to wszystko zmienia. Śledztwo nie posuwa się ani odrobinę do przodu i wolałabym się raczej dowiedzieć, że nie mam racji, niż nie dowiedzieć się niczego. Może Lupul nie jest wcale tym zabójcą z wiertarką, ale wiele wskazuje na to, że może być. Nigdy nie będziemy mieli pewności, dopóki go nie znajdziemy i nie ściągniemy tutaj.

– Jasne, ale czy kilka dodatkowych dni naprawdę ma większe znaczenie? Nie możemy poczekać, aż Bill Phinner ustali tożsamość tych dwóch spalonych facetów... albo przynajmniej ich narodowość?

– Zgodziłabym się z tobą, gdyby nie zaginęła dziewczyna Matty'ego Donoghue. Miejmy nadzieję, że wciąż żyje, nawet jeśli się okaże, że to właśnie jej krew jest pod drzwiami przy Cook Street. A jeśli wciąż żyje, to gdzie teraz jest? Musimy ją znaleźć, żywą lub martwą, i to jak najszybciej. Przykro mi, Tony. Może uważasz, że zanadto się śpieszymy, ściągając tu tego trumniarza. Tak, śpieszymy się. Ale moim zdaniem po minionej nocy nie mamy wyboru. Nie chcę, by zginęło jeszcze więcej niewinnych ludzi.

– Cóż... Ty tutaj rządzisz – odpowiedział detektyw komisarz Mulliken. Odwrócił się i wyjrzał przez okno, jakby słuchał tylko jednym uchem tego, co mówi Katie, a w rzeczywistości był pochłonięty czymś całkiem innym.

Odwróciła się do Markeya i Scanlan.

– Sean, Padragain, postanowiłam śledzić Eamona Buckleya jeszcze co najmniej trzy dni. Sean, podzielałam twoje wątpliwości w kwestii sytuacji finansowej Buckleya. Bez wątpienia coś tutaj nie pasuje, choć może się okazać, że nie ma w tym żadnej tajemnicy. Poza tym wciąż prosi się o rozwiązanie sprawa tego pierścionka: jak trafił do mielonego mięsa pani Devlin? Wyjaśnienie może być całkiem niewinne. Kto wie, może to sroka porwała pierścionek, wypadł jej z dzioba akurat nad kominem kuchni pani Devlin i wpadł do miski z mięsem.

– Mogę się założyć o swoją miesięczną pensję, że tak nie było – powiedział Markey.

– Oczywiście, że nie. A nawet gdyby, to pozostaje pytanie, jak sroka wzięła pierścionek z palca matki Any-Marii?

– Staram się nie ulegać uprzedzeniom, ale jestem w stu procentach pewna, że to sprawka tego gnojka Buckleya – wtrąciła detektyw Scanlan. – A kiedy uda mi się to udowodnić i zobaczę go w sądzie, będę chyba piła z radości przez cały dzień. A może i przez rok.

– W takim razie postanowione – rzuciła Katie. – Mieście Buckleya na oku do końca swojej zmiany. Poproszę Pearse'a, żeby potem, do czasu, aż jutro wrócicie na służbę, obserwował go umundurowany patrol.

Po wyjściu detektywów Katie próbowała się dodzwonić do Conora. Odebrała pielęgniarka i powiedziała, że zszedł na parter, na prześwietlenie. Doktor O'Connell, chirurg twarzowo-szczękowy, starał się ocenić, jakie zabiegi będą konieczne, by zrekonstruować kość policzkową oraz podniebienie, i jak można wyprostować mu nos.

– Jak on się czuje? – spytała Katie. – Wczoraj był bardzo przygnębiony.

– Cóż...

– Proszę mi powiedzieć prawdę. Wie pani, że mamy się pobrać.

– Zmieniłam mu dzisiaj opatrunek. Rany dobrze się goją.

– Ale?

– Niech pani mnie nie zdradzi, że to mówiłam, ale jest smutny. Pracuję jako pielęgniarka od jedenastu lat i przysięgam, że nie spotkałam jeszcze tak smutnego człowieka. Widziałam, jak Jezus z Knock płakał prawdziwymi łzami, ale przysięgam na Boga, że w porównaniu z pani narzeczonym wyglądał jak wesolek.

Katie nie wiedziała, jak na to zareagować, odparła więc tylko:

– Dziękuję pani. Dziękuję za szczerość.

Odłożyła słuchawkę i przez długi czas siedziała nieruchomo przy biurku, wpatrując się w ich wspólną fotografię, selfie, które zrobili na terenie zamku Blarney pewnego październikowego popołudnia, gdy suche liście fruwały wokół nich niczym brązowe ćmy.

Do gabinetu znów weszła Kyna. Ujrzawszy Katie, przeszła na drugą stronę biurka, stanęła za nią, położyła jej dłonie na ramionach i pocałowała w czubek głowy.

– Dlaczego życie nam to robi, Kyno? Powiedz mi.

– Gdybym to wiedziała, Katie, byłabym miliarderką, bez dwóch zdań. Leżałabym teraz na plaży na Bahamach, a ty obok mnie. Ale nie wiem, więc mnie tam nie ma.



## Rozdział 19

– Bran! – krzyknęła Saoirse. – Bran, wracaj, ty cholerny idioto!

Jej wheaten terrier nie zwracał na nią uwagi; pędził nadal po trawiastym brzegu rzeki, ścigając trzy kaczki, które na przemian brodziły w wodzie i trzepotały skrzydłami, pokwakując czasem z irytacją. Wydawało się, że postrzegają go raczej jak uciążliwego intruza niż realne zagrożenie.

– Na miłość boską, Bran, wracaj tu zaraz, bo inaczej nie dostaniesz smakołyków!

Saoirse zaczęła biec za psem. Miała dziewiętnaście lat, okrągłą, lalkowatą twarz i ciemne włosy splecione w warkocz. Studiowała kosmetologię w Cork College of Commerce, ale ze względu na paskudną pogodę przez ostatnie trzy dni zrobiła sobie wolne. Dziś po raz pierwszy od poniedziałku wyszła na zewnątrz, opatuliwszy się szczelnie grubym rudym płaszczem i zrobionym na drutach żółtym szalem. Była drobna, miała tylko sto pięćdziesiąt dwa centymetry wzrostu i w swoich różowych butach wyglądała niemal jak dziecko.

Trzy kaczki w końcu miały dość napastowania, wskoczyły więc do rzeki i odpłynęły. Bran zatrzymał się na trawiastym brzegu, zastygł w bezruchu i odprowadzał je wzrokiem. Został nazwany na cześć jednego z dwóch dzielnych psów myśliwskich mitologicznego irlandzkiego bohatera, Fionna mac Cumhailla, nie miał jednak dość odwagi, by wskoczyć za kaczkami w lodowate sine wody rzeki Lee.

– Jesteś najgłupszym psem na świecie – powiedziała Saoirse, pochylając się nad nim i przypinając smycz do obroży. – Co ty byś zrobił z tymi kaczkami, nawet gdybyś je złapał?

Tak bardzo skupiała się na przypinaniu smyczy, że nie zauważyła wysokiego, szczupłego mężczyzny w luźnym szarym dresie, który truchtał w jej stronę. Przebiegł przez drogę na trawiaste wybrzeże i przyspieszył kroku, a na koniec poderwał się niemal do sprintu. Saoirse podniosła wzrok dopiero tuż przed tym, jak się z nią zderzył, zbijając ją z nóg i wtrącając do rzeki. Wciąż trzymała smycz Brana, więc gdy runęła z głośnym pluskiem do wody, pociągnęła psa za sobą. Szczeknął z przerażeniem i zniknął pod powierzchnią, lecz niemal natychmiast się wynurzył i poruszał energicznie łapami, by nie zatonać ponownie.

Saoirse próbowała wzywać pomocy, lecz gdy otworzyła usta, wciągnęła tylko potężny haust wody i zaczęła się gwałtownie krztusić. Nigdy nie uczyła się pływać, więc choć wymachiwała energicznie rękami i nogami, ponownie zniknęła pod powierzchnią.

Po kilku sekundach udało jej się wynurzyć i zaczerpnąć powietrza. Próbowała dotrzeć do betonowego nabrzeża, od którego dzieliły ją niecałe dwa metry, lecz płaszcz nasiąknął wodą i ciągnął ją w dół. Choć wykonywała rękami energiczne ruchy, nie przemieszczała się wcale do przodu i w końcu zniknęła pod wodą po raz trzeci.

Wysoki, szczupły mężczyzna w szarym dresie rzucił się już wcześniej do ucieczki i zniknął za rogiem Church Avenue.

\* \* \*

Brianna właśnie otworzyła czipsy o smaku sera z cebulą, które zapakowała w domu do pojemnika na lunch, gdy otrzymali wiadomość, że w okolicach Blackrock wyłowiono z rzeki kobietę.

– Bóg chce mi chyba dać do zrozumienia, że powinnam przejść na dietę – zwróciła się do Darragha, siadając obok niego w karetkce.

– A mnie Bóg daje chyba do zrozumienia, że powinienem się przeprowadzić do miasta, w którym nie ma rzeki – odparł Darragh. – To już piąty topielec od Dnia Świętego Stefana, a jeszcze nawet nie skończył się styczeń.

Przemknęli przez rondo Magic i skierowali się na północ, na South Link Road, pobłyskując niebieskimi światłami. Ruch był na szczęście niewielki, więc dotarli na miejsce w ciągu niecałych dziesięciu minut. Nad rzeką zebrała się kilkusobowa grupka gapiów, a gdy Brianna wysiadła z karetki, dostrzegła młodą kobietę w rudym płaszczu leżącą na trawie oraz klęczącego obok niej mężczyznę w średnim wieku.

– Bogu dzięki – powiedział, kiedy Brianna uklękła obok niego. – Robiłem jej sztuczne oddychanie i wypluła z siebie ponad litr wody. Oddycha, ale nie otworzyła jeszcze oczu.

– Co się stało? – spytał Darragh. – Czy ktoś wie, kim ona jest?

– Widywałam ją tu, gdy wychodziła na spacer z psem – odparła stojąca obok kobieta. Trzymała na rękach Brana owiniętego kraciastym kocem. – Chyba mieszka w tej wiosce naprzeciwko. W Leaping Salmon.

– Mój sąsiad, Michael, poszedł wyrzucić śmieci i zobaczył, jak ta dziewczyna się topi – dodała inna kobieta. – Przybiegł tu od razu, wskoczył do rzeki i wyciągnął ją. Teraz wrócił do domu, żeby się przebrać w suche rzeczy. Już trzeci raz ratuje kogoś z rzeki. Powinni chyba dać mu za to medal, prawda?

Usta Saoirse były sine, a policzki zaczerwienione od zimna, ale wciąż oddychała. Brianna zmierzyła jej tętno, a potem wraz z Darraghiem

przełożyła ją na nosze i zaniósła do karetki. Kiedy już znaleźli się we wnętrzu ambulansu, podnieśli dziewczynę do pozycji siedzącej, by zdjąć z niej ociekający wodą płaszcz i zielony sweter. Podczas gdy Brianna owijała ją kocem ratunkowym z szeleszczącej folii, Darragh złożył stopnie i zamknął drzwi. Kiedy szedł do szoferki, zza rogu wyjechał radiowóz, a zaraz za nim kolejny. Jeden z policjantów, wielki, muskularny mężczyzna, podszedł do nich, podciągając po drodze spodnie.

– Co z nim? – spytał.

– To ona. Przy odrobinie szczęścia przeżyje – odparł Darragh.

– Próbowwała się utopić?

– Nie mam pojęcia. W wodzie był też pies, więc może chciała go ratować. To nieprawdopodobne, ilu ludzi wskakuje do rzeki, żeby ratować swoje zwierzaki. Psy zwykle same świetnie sobie radzą, a ich właściciele wręcz przeciwnie.

– Święte słowa. W Boże Narodzenie pojechaliśmy do jednego staruszka, który wskoczył do wody przy Shaky Bridge, bo chciał ratować swojego owczarka. Poszedł na dno jak kamień, a pies chciał tylko popływać. Radził sobie lepiej niż Michelle Smith, mówię wam.

Darragh usiadł za kierownicą i ruszył w stronę szpitala uniwersyteckiego. Tymczasem Brianna założyła maskę tlenową na usta i nos Saoirse, po czym uważnie obserwowała odczyt jej tętna. Serce dziewczyny biło szybko i nierównomiernie, Brianna pomyślała więc, że po tak długim przebywaniu w lodowatej wodzie może jej grozić zatrzymanie akcji serca. Tak to przynajmniej wyglądało, jakby miało lada moment znieruchomieć.

Zastanawiała się przez moment, przygryzając wargę. Dotarli już do Victoria Road, wiedziała więc, że zostało jej nie więcej niż sześć, najwyżej siedem minut. Gdy skręcili w South Link, podjęła decyzję. Dziewczyna mieszkała w Blackrock, więc jej rodzice prawdopodobnie byli dość zamożni i mogli zapłacić za porządny pogrzeb.

– Jak ona sobie radzi?! – krzyknął z szoferki Darragh.

– Nie najlepiej! – odkrzyknęła Brianna. – Ma zanikające tętno, a temperatura ciała spadła do dwudziestu ośmiu i trzech kresiek.

Podniosła szybko maskę tlenową pacjentki, po czym sięgnęła do półki obok po złożony biały ręcznik. Złożyła go jeszcze na pół, by był grubszy, przycisnęła go do twarzy dziewczyny i trzymała mocno, obserwując pulsoksymetr umocowany na palcu Saoirse, pokazujący tętno i poziom nasycenia krwi tlenem.

Darragh pędził z prędkością niemal stu dwudziestu kilometrów na godzinę przy akompaniamencie wycia syreny i migotania świateł. Zwykle z powodu wzmożonego ruchu musieli zwolnić przed rondem Magic, ale dziś droga była zupełnie pusta.

– No już – wyszeptała Brianna do pacjentki, przyciskając jeszcze mocniej ręcznik do jej twarzy. – Dobry Pan Jezus już cię wypatruje. Nie każ mu czekać zbyt długo.

Nagle jednak Saoirse wierzgnęła nogami okrytymi foliowym kocem, po czym gwałtownie poruszyła głową na boki. Podniosła obie ręce i zerwała z twarzy ręcznik, a gdy Brianna próbowała go przycisnąć ponownie, złapała ją za nadgarstki i spojrzała na nią ze zdumieniem wybałuszonymi, przekrwionymi oczami.

– Co pani robi? – spytała cienkim, zdyszonym głosem, który brzmiał niemal jak gwizd.

– Ocieram ci twarz, dziewczyno – odparła Brianna. – Przed chwilą wyłowiliśmy cię z wody, nie wiesz o tym? Jesteś cała przemoczona.

Próbowała ponownie przycisnąć ręcznik, ale Saoirse odepchnęła jej rękę.

– Przestań! Nie mogę oddychać, kiedy to robisz! Przestań!

– Nie opowiadaj bzdur, dziewczyno. Jestem ratowniczką medyczną. Właśnie uratowałam ci życie. Pozwól, że cię wytrę.

Brianna raz jeszcze spróbowała nakryć twarz Saoirse ręcznikiem. Nacisnęła najmocniej, jak potrafiła, lecz dziewczyna wciąż trzymała ją za nadgarstki i siłowała się z nią, posapując głośno. Przez moment żadna ze stron nie mogła uzyskać przewagi; Brianna patrzyła na Saoirse z ponurą determinacją, a ta wpatrywała się w nią ze zdumieniem i przerażeniem. Ich oddechy przypominały oddechy kochanków bliskich wspólnego spełnienia.

Dojechali już do ronda Sarsfield – od szpitala dzieliły ich dwie, może trzy minuty. Brianna zaczęła panikować; stęknęła głośno i pochyliła się, napierając na ręcznik całym ciężarem ciała. Nie próbowała już nawet udawać, że chodzi jej o cokolwiek innego niż uduszenie dziewczyny.

Saoirse podjęła ostatnią desperacką próbę odepchnięcia jej rąk, wciąż była jednak zbyt osłabiona i zszokowana, by mogło jej się to udać. Wydała z siebie dziwnie żalosne „Oocch” i zemdlała. Jej głowa opadła do tyłu, powieki zatrzepotały, a ręce osunęły się na nosze. Kiedy karetka pokonywała rondo, ciało dziewczyny przesunęło się bezwładnie na boki.

Brianna ponownie złożyła ręcznik i przycisnęła go mocno do twarzy Saoirse. Trzymała go tam niemal do ostatniej sekundy, dopóki Darragh nie zaczął cofać pod szpitalną rampę. Pulsoksymetr spadł z palca pacjentki, gdy siłowały się, Brianna nie miała więc pewności, czy jej serce przestało bić. Kiedy jednak Darragh otwierał drzwi, przyłożyła czubki palców do jej tętnicy szyjnej i niczego nie wyczuła.

Dziękuję, święta Agato. Patronka pielęgniarek raz jeszcze obdarzyła mnie swym błogosławieństwem. I tę dziewczynę także. W zamian za to,

że pomoże mi żyć w dobrobycie tutaj, na ziemi, z pewnością znajdzie pokój, radość i szczęście wieczne w niebie.

Dwaj pielęgniarze wyjęli z karetki wózek z noszami i wtoczyli go do szpitala. Brianna i Darragh szli za nimi, dopóki nie natknęli się na lekarza dyżurnego, który zmierzał w ich stronę, pisząc coś na telefonie. Był to potężny, barczysty mężczyzna, który przypominał raczej napastnika rugby niż lekarza. Miał kręcone blond włosy i czerwone policzki; chodził w charakterystyczny sposób, mocno stawiając stopy na ziemi i wprawiając tym samym w ruch poły fartucha.

– Obawiam się, że trzeba ją będzie przewieźć do kostnicy, panie doktorze – powiedziała Brianna.

– To już trzecia ofiara śmiertelna w ciągu jednego dnia – odparł doktor O’Keefe, wciąż wpatrzony w telefon. – Na Lower Glanmire Road autobus przejechał dwa małe dzieciaki, które szły do szkoły. Miały tylko pięć i sześć lat. A co z tą?

– Wyciągnięto ją z rzeki przy Marinie. Nałykała się sporo wody i wyziębiła, ale nie jestem pewna, czy śmierć nastąpiła w wyniku utonięcia. Mierzyłam jej tętno i wydaje mi się, że mogła doznać ataku serca, kiedy wpadła do wody. Tak czy inaczej, w drodze z Blackrock doszło do zatrzymania akcji serca.

Doktor O’Keefe w końcu schował telefon do kieszeni fartucha i odprowadził wzrokiem wózek, na którym leżała Saoirse, znikający w głębi korytarza.

– Dobrze, przyjrzę się jej i stwierdzę zgon. Ale możesz mieć rację. Więcej ludzi, którzy wpadają do rzeki, umiera w wyniku ataku serca niż utonięcia, zwłaszcza teraz, w zimie, kiedy woda jest lodowata. Ale oczywiście po śmierci nie możemy już tego rozstrzygnąć.

Darragh spojrzął na zegarek.

– Wygląda na to, że mamy jeszcze czas na filiżankę herbaty – powiedział. – Okropnie chce mi się pić. Pójdzie pan z nami na górę, doktorze?

– Dołączę do was później – odparł lekarz i ruszył dalej; przyspieszał co jakiś czas, jakby próbował dogonić niewidzialnego przyjaciela, który szedł szybciej niż on.

\* \* \*

– Zastanawiam się, czy nie pojechać na wakacje do Las Vegas – powiedział Darragh, gdy siedzieli w szpitalnej kawiarni.

– Poważnie? – Brianna nie podniosła nawet wzroku. Pochylona nad telefonem, pisała SMS-a do Nialla Dabneya.

– Tak, poważnie. Chciałbym pojechać w jakieś gorące, suche i pustynne miejsce, gdzie ludzie nie topią się co chwila.

– Darragh... – Brianna westchnęła – chyba zapominasz, że w Las Vegas mają baseny. Setki basenów. Mogę się z tobą założyć, że topi się tam jeszcze więcej ludzi niż tutaj, w Cork. O kilka margarit za dużo, potem, w środku nocy, skok na golasa do wody i po wszystkim. Tyle tylko, że tam woda jest ciepła, więc kiedy rano znajdą cię na dnie, jesteś już trochę napuchnięty.

– Masz chorą wyobraźnię, Brianna, mówię ci.

– Jestem po prostu realistką. Na wszystkich nas czeka nagrobna płyta. Właściwie nie ma większego znaczenia, kiedy i jak odejdziemy.

Popijała herbatę, czekając, aż Niall jej odpisze. Kiedy już wyłowiona z rzeki dziewczyna zostanie zidentyfikowana, ona pojedzie do jej rodziców, by złożyć kondolencje i opisać ostatnie chwile życia ich córki – krewni zawsze chcą znać takie szczegóły, jeśli nie są obecni przy śmierci najbliższych. Czasami wymyślała słowa, które ofiary rzekomo wypowiadały tuż przed śmiercią, na przykład „Powiedz mojej matce, że ją kocham” albo „Już idę, święty Piotrze, już idę!”. Potem zostawiała wizytówkę Nialla, polecając jego usługi, „pełne szacunku, wyczucia i wrażliwości... nieporównanie lepsze od usług wielkich zakładów, które odprawiają jeden pogrzeb za drugim, jakby pracowali na taśmie montażowej”.

Darragh skończył trzecie ciastko i klasnął w dłoń.

– No dobra... – wybełkotał z pełnymi ustami. – Trzeba wracać.

Zapinali właśnie kurtki, kiedy do kawiarni wszedł doktor O’Keefe.

– Cieszę się, że jeszcze was złapałem – powiedział. – To na pewno poprawi wam humor. Ta dziewczyna, którą przywieźliście przed chwilą, będzie żyła.

Brianna spojrzała na niego w osłupieniu.

– Jak to „będzie żyła”? Przestała oddychać i nie miała tętna.

– Owszem, miała bardzo słabe tętno i oddech tak płytki, że niemal niewyczuwalny. Prawie jak w bezdechu. Ale kiedy podaliśmy jej tlen i trochę się ogrzała, zaczęła oddychać normalnie.

– To rzeczywiście dobre wieści – przyznał Darragh. – Ostatnio miałem wrażenie, że prowadzę jakiś pieprzony karawan, a nie karetkę.

– Jest przytomna? – spytała Brianna. W tym samym momencie zabręczał jej telefon. Domyśliła się, że to wiadomość od Nialla, nie wyjęła jednak iPhone’a i nie spojrzała na niego.

– Nie, nie odzyskała jeszcze przytomności – odparł lekarz. – Mogła doznać jakichś uszkodzeń mózgu, jeśli przebywała dłużej pod wodą, ale nie dowiemy się niczego, dopóki się nie ocknie. Gdy tylko jej stan będzie wystarczająco stabilny, wyślę ją na rezonans magnetyczny.

– Naprawdę myśli pan, że z tego wyjdzie?

– Jak już mówiłem, była pozbawiona tlenu na tyle długo, że może mieć jakieś problemy z mózgiem. Ale jestem pewien, że poza tym nic jej

nie będzie.

Brianna poczuła się nagle tak, jakby miała zemdleć. Przed jej oczami pojawiły się maleńkie białe iskry; musiała ponownie przyciągnąć sobie krzesło i usiąść.

– Wszystko w porządku? – spytał Darragh, kładąc dłoń na jej ramieniu.

– Tak, jak najbardziej, dzięki. Po prostu... to był dla mnie ogromny szok. Byłam w stu procentach pewna, że ją straciliśmy.

– Wcale nie, Brianno. – Doktor O’Keefe uśmiechnął się. – Wygląda na to, że uratowałaś jej życie. Jestem pewien, że kiedy już dojdzie do siebie, będzie ci chciała podziękować.

Brianna skinęła głową w milczeniu. Serce waliło jej jak młotem, miała trudności z oddychaniem, jakby to jej ktoś przycisnął do twarzy złożony ręcznik.

## Rozdział 20

Katie kończyła właśnie raport o wydarzeniach z Deepwater Quay, gdy zadzwonił do niej inspektor Jimmy Joyce z Dublina.

– Jak leci, Kathleen? Posłuchaj, udało mi się zamienić parę słów ze starym przyjacielem, Aleksandru Salavastru. To *comisar-șef* Generalnego Dyrektoriatu Dochodzeniowo-Śledczego w Bukareszcie.

– Zna Lupula?

– O tak. Facet nazywa się Dragomir Iliescu. Był wielokrotnie skazywany i to jeszcze jako nastolatek... Głównie za zebranie połączone z groźbami. Próbował stworzyć gang żebraków w Bukareszcie, ale przegonił go stamtąd facet nazywany Bruce Lee.

– Bruce Lee? Poważnie?

– Zgadza się. To król żebraków w stolicy Rumunii i taką właśnie ma ksywę. Dlatego Lupul przeniósł się do miasta Târgoviște. Aleksandru nie wiedział, że teraz jest w Irlandii, ale nie był tym szczególnie zaskoczony. W Rumunii grunt zaczął się palić Lupulowi pod nogami, ściagała go nie tylko policja, ale też konkurencyjne gangi.

– Powiedziałeś swojemu przyjacielowi, że on jest podejrzany o zabójstwo?

– Oczywiście. To też go nie zdziwiło. Wojny między gangami bezdomnych to w Rumunii poważny problem. Jak pewnie wiesz, w tunelach pod Bukaresztem koczują setki takich ludzi, dosłownie setki.

– A co robi policja, kiedy znajdzie martwego żebraka?

– Jeśli nie ma wyraźnych śladów napaści, nie przeprowadzają sekcji zwłok. W większości przypadków nie można ustalić ich tożsamości, więc po prostu jak najszybciej odsyłają ciało na cmentarz. Jak się pewnie domyślasz, wskaźnik śmiertelności wśród tych ludzi jest szokujący. Wszyscy bezdomni koczujący pod ulicami mają HIV, większość choruje na gruźlicę. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent to narkomani takiego czy innego rodzaju. Ci, których nie stać na heroinę czy crack, są uzależnieni od aurolacu, farby na bazie metalu. Wlewają trochę do foliowej torebki i wdychają opary.

– Więc gdyby ktoś wwiercił się w rdzeń mózgu takiego bezdomnego, policja prawdopodobnie niczego by nie zauważyła?

– Aleksandru musiał przyznać, że raczej nie. Nie twierdzi, że Poliția Română to banda nieczułych leni, ale skala problemu bezdomnych w Rumunii jest po prostu ogromna. Gdybyście codziennie musieli



wyciągać dziesięć czy dwadzieścia ciał z kanałów Cork, pewnie też nie sprawdzalibyście, czy mają jakieś małe ślady po wiertle z tyłu głowy.

– Ogromnie ci dziękuję, Jimmy – powiedziała Katie. – Bardzo mi pomogłeś. Chciałam wiedzieć, czy ten Lupul zakłada, że może bezkarnie zabijać bezdomnych, bo i tak się nie zorientujemy, co było przyczyną ich śmierci. Jeśli rzeczywiście to on ich zabijał... choć teraz jestem niemal w stu procentach pewna, że właśnie tak było.

– A jak idą poszukiwania? Jakież postępy?

– Jeszcze nie, ale zajmuje się tym cały zespół. W końcu go dopadniemy.

– Powodzenia, Katie. A jeśli go w końcu zamkniecie, możesz wpaść do Dublina i w dowód wdzięczności postawić mi parę drinków w Brazen Head.

– Możesz być pewien, że to zrobię, Jimmy. Obiecuję.

\* \* \*

Gdy detektyw komisarz Fitzpatrick i detektyw O'Donovan skręcili w Orchard Court, na drogę wybiegł za piłką mały chłopiec w żółtym swetrze. O'Donovan wyhamował przed nim w ostatniej chwili, nacisnął klakson i pokręcił głową, lecz chłopiec tylko podniósł piłkę, pokazał mu palec i krzyknął w jego stronę coś niezrozumiałego, ale z pewnością niezbyt miłego.

– Mają klasę ci Rumuni, nie ma co – mruknął z przekąsem Fitzpatrick.

– Oj, nie przesadzajmy – rzucił O'Donovan. – Niedawno zatrąbiłem na faceta, który wyszedł mi prosto przed maskę w Fair Hill, i wiesz co? Chciał rzucić za mną psią kupą.

– No tak, to pewnie zależy od dzielnicy. W Montenotte nie zrobiliby czegoś takiego, prawda? A jeśli nawet, to wcześniej owinęliby tę kupę w elegancki papier święteczny.

Detektyw O'Donovan zaparkował, po czym obaj wysiedli. Orchard Court był niewielkim, bezbarwnym osiedlem w Blackpool, położonym po zachodniej stronie drogi krajowej N20. Szum i warkot przejeżdżających samochodów nie milkł tu ani na chwilę.

Osiedle składało się w większości z szeregowców i bliźniaków, tylko kilka budynków osiągało wysokość trzech pięter. Wszystkie miały białe lub wyblakłe żółte fasady. Pogoda tego dnia nie rozpieszczała mieszkańców Cork; było mroźno, a niebo zasnuwała gruba warstwa chmur. Oprócz chłopców grających w piłkę na ulicach nie było nikogo.

Dom, którego szukali, znajdował się na samym końcu ślepej uliczki. Gdyby nie zaparkowany przed budynkiem czerwony lexus IS, detektyw

komisarz Fitzpatrick pomyślałby, że w środku nie ma nikogo, bo zasłony na piętrze były szczelnie zaciągnięte, a okna na dole ciemne. O'Donovan podszedł do niebieskich drzwi i nacisnął guzik dzwonka.

– Jak będzie po rumuńsku „Masz trochę hery, chłopcze”? – spytał, zacierając dłonie.

– Nawet nie próbuj udawać ćpuna, bo to nie ma sensu – poradził mu Fitzpatrick. – Zdecydowanie za zdrowo wyglądasz.

– No dobra, dam sobie z tym spokój. Ale dzięki za komplement.

– Poza tym ten Făt-Frumor zna mnie z widzenia. Parę lat temu zwinąłem go za kradzież leków z apteki szpitala Mercy. Gdyby nie bronił go ten cwany sukinsyn Bernard Fágán, dostałby co najmniej trzy lata. „Mój klient cierpiał na nieznośny ból pleców”, to właśnie Fágán powiedział sędziemu. „Lekarz nie chciał mu uwierzyć, więc mój klient był zmuszony zaopatrzyć się w środki przeciwbólowe na własną rękę”. Zaopatrzyć się, cholera! W jedynie pięćdziesiąt trzy opakowania oksykodonu, za które zapomniał zapłacić. Może po służbie wpadnę do sklepu i zaopatrzę się w sześć butelek Jamesona. Ciekawe, czy pozwolą mi je zabrać bez płacenia.

Nikt nie otwierał, więc detektyw O'Donovan podniósł klapę skrzynki na listy i pochylił się, by zajrzeć do środka. W tym samym momencie drzwi otworzyły się raptownie i stanął w nich Ștefan Făt-Frumor, z papierosem w ustach i gazetą w dłoni. Był brzuchatym, niskim mężczyzną po pięćdziesiątce, miał sterczące siwe włosy i pocięte zmarszczkami policzki, które przypominały powierzchnię opróżnionej częściowo z powietrza piłki plażowej. Jego lewe – niewidzące – oko zakrywała mlecznobiała błona, a tuż pod nim widniała niewielka haczykowata blizna. W prawym, brązowym, oku pobłyskiwały bursztynowe plamki. Rumun był w rozciągniętym i poplamionym rudym dresie, spod którego wystawały bosa stopy z gruzłowatymi palcami.

– No? – rzucił, nie wyjmując papierosa z ust. – Czego chcecie? – Mówił z typowym północnym akcentem. Gdyby detektywi nie wiedzieli, że przyjechał tu z Rumunii, zakładaliby pewnie, że urodził się i wychował w Croppy Boy albo w Farranree.

– Próbuujemy namierzyć jednego z twoich rumuńskich koleżków – odpowiedział Fitzpatrick. – Nazywają go Lupul, choć o ile nam wiadomo, ma na imię Dragos albo Dragomir. Przypuszczamy, że chce rozkręcić interes w Cork, i chcielibyśmy cię o to wypytać.

Ștefan Făt-Frumor wyjął z ust papierosa i splunął na trawnik przy ścieżce.

– Nic o tym nie wiem, a nawet gdybym wiedział, myślicie, że podkablowałbym go?

– Nie prosimy, żebyś kablował, Ștefan. Pytamy tylko, czy go znasz, a jeśli tak, to czy wiesz, gdzie się zwykle kręci.

– Znam go, jasne. Przyjeżdżał tu z Rumunii dwa czy trzy razy i próbował wtykać nos tam, gdzie nie trzeba.

– Ale tobie to przecież nie przeszkadza, prawda? – spytał Fitzpatrick.

– Nie zajmujesz się już handlem narkotykami, prawda? Tak właśnie przysięgałeś przed sędzią O’Shea, kiedy byłeś ostatnio w sądzie okręgowym, jeśli dobrze pamiętam?

Ștefan Făt-Frumor zaciągnął się głęboko, a kiedy odpowiedział, każdemu słowu towarzyszyły obłoczki dymu wypływające z jego ust i nozdrzy.

– Zgadza się. Handluję teraz telefonami komórkowymi, niczym więcej. Ale spędzam coraz więcej czasu w Dublinie. Jadę tam w poniedziałek i prawdę mówiąc, myślę o tym, żeby przenieść się tam na stałe, więc czemu miałbym się przejmować kimś takim jak Lupul?

Fitzpatrick skinął głową.

– Otóż to. Więc możesz nam podpowiedzieć, gdzie możemy go znaleźć.

– A co wam przed chwilą powiedziałem, pieprzone psy? Nie jestem kablem, do cholery!

Detektyw komisarz Fitzpatrick zauważył, że wypowiadając te słowa, Ștefan Făt-Frumor nie patrzył na niego, lecz nieco dalej, ponad jego ramię. Odwrócił się i zobaczył trzech mężczyzn, którzy stali na rogu ulicy i bacznie ich obserwowali.

– No dobra – rzucił. – Złodziejskie zasady i tak dalej.

– Kogo ty, kurwa, nazywasz złodziejem? Mówię ci to samo, co mówiłem sędziemu, prowadzę teraz legalne interesy. Gównu mnie obchodzą Lupul i jego kolesie. – Rumun zamilkł na kilka sekund, wciąż spoglądając zdrowym okiem na trzech mężczyzn. Potem dodał: – Ale moglibyście spytać Vasilego, jak już tak bardzo wam na tym zależy.

– Vasilego?

– Pracuje wieczorami w Parting Glass, stoi za barem. W ciągu dnia myje samochody, ale nie wiem gdzie. Wystarczy, że sypniecie mu trochę grosza, a skieruje was gdzie trzeba.

– Jasne – odparł Fitzpatrick. – W takim razie nie będziemy ci zabierać więcej czasu.

– Piękne dzięki, Ștefan – dodał detektyw O’Donovan. – Miłego popołudnia.

Ștefan Făt-Frumor wpatrywał się w nich przez chwilę, jakby próbował rozstrzygnąć, czy drwią sobie z niego, czy nie, aż w końcu zatrzasnął im drzwi przed nosem.

– Jezu! – krzyknął O’Donovan, udając zaskoczenie. – Do zobaczenia, stary! My też cię lubimy!

Wrócili niespiesznie do samochodu. Trzej mężczyźni na rogu ulicy wciąż ich obserwowali. O'Donovan pomachał do nich przyjaźnie, nim usiadł za kierownicą.

– To było bardzo pouczające – odezwał się Fitzpatrick, gdy odjeżdżali.

– Pełna zgoda – odparł O'Donovan. – Jeśli ten grubas nie zajmuje się już narkotykami i nie robi innych przekrętów, to dlaczego ma coś do tego Lupula?

– Właśnie.

– Powiedział, że Lupul gównem go obchodzi, ale jeśli to prawda, to po co wspominał o tym barmanie z Parting Glass?

– Wiesz co, Patrick? Możesz być kiedyś naprawdę dobrym detektywem, mówię ci.

## Rozdział 21

Katie usiadła za stołem w sali konferencyjnej na parterze i zdała mediom krótką relację z wydarzeń, które poprzedniego wieczoru miały miejsce na nabrzeżu Deepwater Quay.

– Podejrzewamy, że dwaj mężczyźni, którzy zginęli w toyocie, byli cudzoziemcami. Wiemy, że ukradli pojazd z wielopiętrowego parkingu przy Merchants Quay, ale na razie nie znamy ich motywów. Łączymy się w bólu z rodziną zmarłego i wspieramy duchowo wszystkich rannych, życząc im jak najszybszego powrotu do zdrowia.

Jako pierwszy podniósł rękę Dan Keane z „Examinera”.

– Pani nadkomisarz, podobno osobiście ściagała pani tę toyotę. Może nam pani powiedzieć dlaczego?

– Tylko dlatego, że moim zdaniem dopuścili się przestępstwa.

– Jakiego przestępstwa?

– Gróźb karalnych.

– Skierowanych przeciwko komu? I jakich konkretnie?

– To wszystko, co na razie mogę ujawnić. Śledztwo w tej sprawie zaczęło się bardzo niedawno, nie chciałabym więc w żaden sposób uprzedzać wypadków.

– Czy nietaktem będzie pytanie, czy zdała pani policyjny test z szybkiej jazdy?

– Tak, będzie. Ale owszem, zdałam. Czy mają państwo inne pytania?

\* \* \*

Kiedy wróciła do swojego gabinetu, czekał tam na nią detektyw O’Crean. Na jej widok wstał i podniósł nakaz przeszukania, który otrzymał w sądzie okręgowym.

– Przepraszam, że tyle to trwało – powiedział. – Ale tylko sędzia Brennan był wolny, a wie pani, ile on zawsze zadaje pytań: Kto go oskarża? Jakie ma dowody? Czego dotyczą zarzuty? Jaki ma być zasięg przeszukania? Czego konkretnie szukacie? I tak dalej.

– Moim zdaniem on się po prostu nudzi – odparła Katie, wyjmując nakaz. Przejrzała go szybko, sprawdzając, czy wszystko jest w porządku, po czym włożyła z powrotem do koperty. – Poza tym lubi chyba wykorzystywać swoją władzę. Widziałam go w zeszłym roku z żoną na balu charytatywnym u burmistrza. Sądząc po tym, jak go sztorcowała, to

typowy pantoflarz, więc odrabia w pracy to, czego brakuje mu w domu. – Spojrzała na zegarek. – Zastanawiałam się, czy nie pojechać do Foggy Fields po południu, gdy tylko zrobi się ciemno, ale teraz nie zdążymy już zorganizować przeszukania. Pojedzie z nami detektyw sierżant Ni Nuallán i chciałabym, żebyś ty też się wybrał, do tego kilku mundurowych i co najmniej dwóch techników. Porozmawiam z Billem Phinnerem, może uda nam się to ustawić na jutro rano.

– Będziemy szukać czegoś konkretnego? – spytał O’Crean.

– Przede wszystkim krwi Conora Ó Máille’a albo jakichkolwiek innych śladów świadczących o tym, że został tam pobity. Ale będziemy też mieli okazję przyjrzeć się uważniej hodowli siostr McQuaide. Conor powiedział, że łamią prawie wszystkie możliwe przepisy. Suki całymi dniami tkwią zamknięte w drewnianych skrzyniach, ubrudzone własnymi odchodami. Zastanawiam się, po co parlament uchwalił ustawę o hodowli psów, skoro nikt nawet nie próbuje egzekwować przepisów.

Przerwał jej sygnał telefonu stojącego na biurku. Dzwonił detektyw komisarz Mulliken.

– Sprowadziliśmy trumniarza – oznajmił. – Czeka w pokoju przesłuchań numer dwa na dole. Trzęsie się jak galareta i strasznie się nad sobą użala.

– Bądź dla niego miły, Tony. Daj mu filiżankę herbaty i kanapkę. Zejdę za parę minut.

\* \* \*

Katie poczuła trumniarza, gdy tylko weszła do pokoju przesłuchań. W powietrzu unosił się intensywny, słodkawy zapach człowieka, który od tygodni się nie mył ani nie zmieniał ubrań, połączony z kwaśną wonią nieprzetrawionego alkoholu. Mężczyzna siedział przy stole z nisko pochyloną głową, niemal dotykając nosem blatu. Miał długie włosy, które zebrał wysoko na głowie brudną czerwoną gumką, a równie brudną brązową kurtkę ozdobił kawałkiem suchego wrzosu.

Podniósł na moment wzrok, gdy Katie weszła do pokoju i usiadła między detektywem Markeyem i detektywem Murrish, potem jednak opuścił głowę i wbił spojrzenie w blat stołu. Poczęstowano go wcześniej kubkiem herbaty z mlekiem i kanapką z mięsem, lecz wyglądało na to, że nawet ich nie tknął.

Katie usłyszała kroki w korytarzu i po chwili do pokoju wszedł Mulliken w towarzystwie Murtagha, łysiejącego tłumacza, który tego dnia był w trzyczęściowym garniturze z zielonego tweedu upstrzonego czerwonymi kropeczkami. Sądząc po wielkości poduszek na ramionach, kupił go na początku lat dziewięćdziesiątych.

Wyciągnęła rękę ponad stołem i poklepała trumniarza po dłoni, by przywołać go do rzeczywistości. Gdy podniósł na nią wzrok, powiedziała:

– Chciałabym, żebyś zrozumiał, że nie jesteś aresztowany. Nic ci nie grozi. Po prostu chcemy ci zadać kilka pytań. Rozumiesz?

Trumniarz potarł się powoli po nieogolonym podbródku, wpatrując się w Katie tak, jakby próbował sobie przypomnieć, gdzie już ją widział.

Murtagh odchrząknął.

– *N-ai făcut nimic rău. Vrem doar să vă punem câteva întrebări* – powiedział. – *Intelegi?*

– *Da, inteleg.* Zrozumieć wszystko. Być w Anglia przez trzy lata. W Liverpool.

– Co tam robiłeś? – spytała Katie.

– Różne rzeczy. Pracować na budowa. W McDonald. W pub.

– Kiedy to było?

– Dwa tysiące czternaście do dwa tysiące szesnaście.

– Dlaczego wróciłeś do Rumunii?

– Mój ojciec umrzeć. Muszę się opiekować matka. Ale zesły rok ona też umrzeć. Mieć nadzieję, że coś zostawić, ale ona nie zostawić nic.

– Wystygnie ci herbata – zauważyła Katie.

– Och... – mruknął i sięgnął po kubek. Gdy pił gorący napój, spytała:

– Jak się nazywasz?

– Gică... Gică Petrescu.

Murtagh parsknął głośno.

– On panią wkręca, pani inspektor. Gică Petrescu był sławnym rumuńskim piosenkarzem. Śpiewał sprośne ludowe przyśpiewki.

Katie odchyliła się na oparcie krzesła.

– Posłuchaj. Na razie nic ci nie grozi, ale jak będziesz kręcił, narobisz sobie kłopotów. Dwie osoby zmarły, jedna zaginęła i naprawdę nie ma w tym nic śmiesznego. Zrozumiałeś?

– *Ceea ce spune este că nu este o glumă* – wtrącił Murtagh, po czym zwrócił się do Katie: – Powiedziałem mu, że to nie jest żart.

– Więc jak się naprawdę nazywasz? – spytała.

Trumniarz sięgnął do kieszeni kurtki, wyjął zamknięty w folii dowód osobisty i podał go Katie.

– W porządku. Andrei Costescu. Dwadzieścia cztery lata. Kto przywiózł cię do Cork, Andrei?

– Nikt. Sam tutaj przyjechać.

– Przyjechałeś aż z Rumunii, żeby spać na ulicy?

– Szukać praca.

– Och, naprawdę? Jesteś brudny, śmierdzisz i piłeś. Jak myślisz, kto da ci pracę?

– Nie wiem. Może wytwórca trumny.

– A iluż to wytwórców trumien pytałeś o pracę?

– Pytać wkrótce. Może jutro.

– Więc jeszcze nikogo nie pytałeś?

– Może jutro. Jeśli nie dostać praca u wytwórcy trumien, to może na budowa... albo w McDonald, jak przedtem.

– Może dostaniesz pracę na budowie, ale do McDonalda nawet cię nie wpuszczą, jeśli będziesz tak śmierział. I masz jeszcze psa, tak?

– To nie mój pies. Przybłąda.

– Nie wierzę ci, Andrei. Nie wierzę w ani jedno słowo. To Lupul cię tu przywiózł, prawda? Dragomir Iliescu.

Andrei wydał policzki niczym małe dziecko i gwałtownie pokręcił głową.

– Nie znać to nazwisko! Nigdy nie słyszeć to nazwisko, nigdy w życie! Nigdy!

– Cóż, przykro mi, Andrei, ale myślę, że jednak je znasz. Sądzę, że to właśnie Dragomir Iliescu przywiózł cię do Cork i że wcale nie masz zamiaru szukać pracy, ani jako trumniarz, ani na budowie, ani w McDonalddie. Chcesz tylko siedzieć na chodniku przy St Patrick's Street, udając nieszczęśliwego biedaka, i prosić ludzi o pieniądze.

– To nieprawda! Ja szukać praca jutro! Ja iść do publiczna toaleta i umyć! Ja być czysty! Dostać praca!

– Och, jasne. – Katie pokiwała głową. – Ale Lupul chyba nie będzie zadowolony, kiedy to zrobisz.

– Ja nie znać to nazwisko – upierał się Andrei. – Kto jest ten Lupul? Ja przyjechać tu sam, szukać praca.

– Niestety, masz pecha. Zgodnie z ustawą imigracyjną z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku, mogę cię aresztować i zatrzymać w więzieniu bez nakazu sądowego. Przyłapano cię na agresywnym zebraniu, co stanowi naruszenie ustawy o porządku publicznym z dwa tysiące jedenastego roku. Co więcej, celowo utrudniasz śledztwo policyjne w sprawie dwóch niewyjaśnionych śmierci oraz zaginięcia związanego z tymi zgonami. A właściwie dwóch zaginięć. Utrudnianie pracy funkcjonariuszom Garda Síochána również stanowi naruszenie przepisów.

Andrei rozejrzał się w panice po pokoju przesłuchań.

– Ty mówić, ja nie mieć się co bać! A co ty mówić teraz?

– Mówię, że musisz z nami współpracować, to wszystko.

– Chcemy tylko informacji o Dragomirze Iliescu – wyjaśnił Murtagh po rumuńsku. – *Unde?* Na przykład gdzie można go znaleźć.

– Ja mówić jeszcze raz. Nie znać to pieprzony nazwisko.

Katie wzruszyła ramionami.

– Jak sobie życzysz. Skoro nie wiesz, gdzie on jest, to nie wiesz. Dzięki, że nam to powiedziałaś. Doceniamy twoją wolę współpracy. Dziś



wieczorem wygłosimy nawet oświadczenie w telewizji. Powiemy, że cię przesłuchiwaaliśmy i że bardzo nam pomogłeś. Dzięki tobie jesteśmy znacznie bliżej rozwiązania zagadki śmierci dwóch bezdomnych i wkrótce dowiemy się, gdzie zniknęły dwie zaginione kobiety. To wszystko dzięki tobie, Andrei, i dopilnujemy, żeby wszyscy się o tym dowiedzieli.

Rumun wpatrywał się w nią w osłupieniu, zaciskając dłonie na krawędzi blatu. Kilkakrotnie otwierał i zamykał usta, nim w końcu zdołał wydobyć z siebie głos.

– W telewizja?

– Zgadza się. W *Six One News*. Wydzwanają do nas przez cały dzień i pytają, czy zrobiliśmy jakieś postępy w śledztwie. Teraz będziemy im mogli powiedzieć, że pewien bezdomny mężczyzna z Rumunii, Andrei Costescu, ogromnie nam pomógł.

– Nie możecie tak mówić. Ja wam nie pomagam.

– Ależ pomogłeś. Nawet nie wiesz, jak bardzo.

– Nie możecie to powiedzieć! On zawsze ogląda telewizja! On usłyszeć moje nazwisko! On mnie zabić!

– O kim ty mówisz, Andrei? Kto zawsze ogląda telewizję? Chyba nie masz na myśli Lupula, co?

Nie odpowiedział; podniósł się na równe nogi tak gwałtownie, że jego krzesło przewróciło się z trzaskiem na podłogę. Markey również wstał, podobnie jak Murrish, a potem Katie i Mulliken. Murtagh siedział na swoim miejscu w rogu pokoju, ogryzając paznokcie kciuka.

– Andrei, usiądź – odezwała się Katie najłagodniejszym tonem, na jaki było ją stać. W ten sam sposób upominała Barneya, gdy zanadto się rozbrykał. – Usiądź, to będziemy mogli o tym jeszcze porozmawiać.

Trumniarz dyszał ciężko i raz po raz zerkał w stronę drzwi.

– Andrei... Nie musimy podawać twojego nazwiska w telewizji. Ale właśnie przyznałeś, że znasz Lupula, prawda? Chcemy tylko, żebyś nam podpowiedział, gdzie go można znaleźć. Nie musi wcale wiedzieć, że mamy tę informację od ciebie.

Młody Rumun wciąż stał przy stole i głośno dyszał. Potem, bez najmniejszego ostrzeżenia, rzucił się w stronę drzwi. Detektyw Murrish, która siedziała na samym krańcu stołu, najbliższej przesłuchiwanego, zdążyła podstawić mu nogę. Andrei upadł na bok i uderzył głową o listwę przypodłogową, wcześniej jednak zdążył złapać Murrish za rękaw i pociągnąć ją na siebie. Wierzgał i wił się jak piskorz, lecz ona złapała go lewą ręką za szyję, a prawą przycisnęła jego lewe ramię do podłogi. Detektyw Markey wypadł zza stołu, pochwycił nogi Rumuna w kostkach i je unieruchomił.

– Dość tego, szmaciarzu! – krzyknął. – Przestań wierzgać, do jasnej cholery!

Andrei odrzucił na bok połę kurtki i sięgnął prawą ręką do sprzączki paska. Pociągnął mocno i wyjął nóż o krótkim dwustronnym ostrzu.

– Bedelia, uważaj! – zawołała Katie.

Markey podczołgał się i rzucił na trumniarza, lecz nim złapał go za rękę, mężczyzna wbił nóż w oko detektyw Murrish z taką siłą, że Katie usłyszała głośny chrzęst. Gdy dziewczyna poleciała do tyłu na ścianę, ostrze z rękojęścią, która była wcześniej sprzączką paska, wciąż wystawało z jej oczodołu.

– Karetka! Natychmiast! – warknęła Katie. Sięgnęła do guzika alarmowego przy stole i uderzyła w niego nasadą dłoni. – I zabierzcie z drogi tego gnojka!

Mulliken zadzwonił pod 112, podczas gdy Markey pochwycił Rumuna za ramiona, podniósł odrobinę, a potem mocno uderzył jego głową o podłogę. Zrobił to trzykrotnie, nim Mulliken podszedł do niego i powiedział:

– Wystarczy, Nicholas. Jezu Chryste. Zabierzcie go stąd.

Detektyw Murrish leżała na plecach, trzęsąc się. Krew spływała z kącika jej oka do ucha. Sięgnęła do rękojęści noża, by wyjąć go z oczodołu, lecz Katie uklękła obok niej i chwyciła ją za rękę.

– Nie, Bedelio. Nie. Wiem, że pewnie boli jak diabli i że trudno ci z tym wytrzymać, ale poczekaj, aż wyjmie to lekarz.

Drzwi pokoju przesłuchań otworzyły się gwałtownie i do środka wpadło dwóch mundurowych. Spojrzeli na detektyw Murrish.

– Matko Przenajświętsza, jak to się stało? – spytał jeden z nich.

– Teraz to nieważne – rzuciła Katie. – Zabierzcie tylko stąd tego gnojka, zamknijcie go i oskarżcie o napaść i spowodowanie ciężkich obrażeń. Nie zapomnijcie przeczytać mu jego praw.

Dwaj policjanci złapali Rumuna za ręce i poderwali z podłogi. Jeden skuł go kajdankami, podczas gdy drugi recytował formułkę. Gdy prowadzili trumniarza obok Katie, ten odwrócił głowę i wydyszał:

– Mówić wam! Ja nigdy nie znać Lupul! Nie mówić tego w telewizja!

– Zabierzcie mi go z oczu – powiedziała Katie, nie podnosząc wzroku. Trzymała obie dłonie detektyw Murrish i próbowała ją uspokoić. – Nie martw się, kochanie. Karetka będzie tu lada moment, pojedę z tobą do szpitala.

Dziewczyna była w głębokim szoku. Zamknęła zdrowe prawe oko i drżała na całym ciele. Katie modliła się w duchu, by jej obrażenia nie były poważniejsze niż uszkodzenie jednego oka – na szczęście ostrze było bardzo krótkie, więc być może nie sięgnęło mózgu.

Detektyw komisarz Mulliken podszedł do nich i przykucnął obok rannej.

– Jezu, biedna dziewczyna. Że też musiało się jej przytrafić coś takiego. Jak, na miłość boską, ten facet zdołał wnieść nóż na komendę?

Nikt go nie przeszukał, do cholery?

– Oczywiście, że go przeszukano – odparł Markey. Był blady jak ściana i mówił ochryłym, przytłumionym głosem, jakby nabawił się nagle poważnego przeziębienia. – Zbadano go wykrywaczem metali i obszukano ręcznie, ale ta sprzeczka nie budziła żadnych podejrzeń. – Przerwał na moment, by się wykaszleć, po czym dodał: – Poza tym sprowadzono go tutaj tylko na przesłuchanie. Nie sprawiał wcześniej kłopotów, nie zrobił nikomu krzywdy ani na nikogo nie napadł.

Katie wciąż trzymała dłonie detektyw Murrish. Miała nadzieję, że współczucie, które ją przepełniało, choć trochę ogrzeje dziewczynę.

## Rozdział 22

Katie trzymała detektyw Murrish za rękę podczas przejazdu do szpitala i towarzyszyła jej aż do momentu, gdy dziewczynę zabrano na salę operacyjną. Murrish jęknęła kilka razy i wymamrotała „Mamusiu, czy to ty, mamusiu?”, lecz poza tym prawie przez cały czas była nieprzytomna.

Kiedy Katie zeszła do recepcji, czekał tam na nią komendant O’Kane. Był w długim czarnym płaszczu włożonym na ciemnoszary garnitur z czarnym krawatem.

– Przyjechałem, gdy tylko się dowiedziałem – powiedział. – Jak ona się czuje?

– Niestety, nie będzie widziała na to oko. Mam nadzieję, że na tym się skończy.

– Dzwoniłem do jej rodziców. Mieszkają w Mayo, ale już tu jadą. Robert powiedział, że ten facet wyjął nóż ze sprzączki paska.

Katie skinęła głową.

– Widziałam już kilka razy tego typu broń. Ale zakładałam, że został dokładnie przeszukany.

Usiedli obok donicy z przywiedłą palmą.

– Obawiam się, że będziemy musieli przeprowadzić oficjalne śledztwo – odezwał się Brendan. – Poza tym będę wymagał, by od tej pory bardzo dokładnie przeszukiwano każdego, kogo wprowadzamy na komendę w związku z poważnymi przestępstwami. Nieważne, czy będzie to podejrzany, świadek czy ktokolwiek inny. Kariera tej młodej kobiety została brutalnie przerwana i nie chcę, by coś podobnego kiedykolwiek powtórzyło się na Anglesea Street, przynajmniej dopóki ja tam dowodzę. – Rozejrzał się i zerknął na zegarek. – Zostaniesz tu, czy chcesz, żeby cię podwieźć na komendę?

– Zostanę jeszcze przez chwilę. Mam nadzieję, że uda mi się zobaczyć z Conorem.

– No tak... twój narzeczony. Jak on się czuje?

– Prawdę mówiąc, nie najlepiej. Został ciężko pobity i będzie potrzebował dwóch lub trzech operacji rekonstrukcji twarzy. Jest trochę przygnębiony, ale trudno mu się dziwić.

– Został pobity? No tak, zdaje się, że Michael Pearse coś o tym wspominał.

– Pracuje jako psi detektyw, odnajduje skradzione psy i tak dalej. Ale walczy też aktywnie o prawa zwierząt. Hm... bardzo aktywnie... Prowadził dochodzenie w sprawie hodowli psów w Ballynahina i przyłapali go, gdy kręcił się po jej terenie.

– I dlatego tak ciężko go pobili?

– Tak, właśnie dlatego, panie komendancie.

– Katie, mówiłem ci już, że po służbie, kiedy jesteśmy tylko we dwoje, nie musisz być taka oficjalna. Prawdę mówiąc, byłem właśnie na cmentarzu Świętego Michała i składałem kwiaty na grobie żony, kiedy zadzwonił do mnie Robert.

– Och, przepraszam. Nie wiedziałam.

– Nie masz za co przepraszać. Nie wspominam o tym zbyt często.

– Długo byliście małżeństwem?

– Sześć i pół roku. Miała na imię Radha. Człowiek czyta czasem o młodych kobietach umierających na raka piersi, ale nigdy nie przypuszcza, że jego własna żona odejdzie z tego właśnie powodu, nim jeszcze skończy trzydzieści pięć lat.

– Mieliście dzieci?

Brendan pokręcił głową.

– Chciała być adwokatką. Skończyła studia w Kings Inn, ale postanowiliśmy, że najpierw odbędzie roczną praktykę i dopiero wtedy zaczniemy się starać o dziecko.

Odwrócił wzrok. Katie wiedziała, że nie patrzy na ludzi przechodzących przez szpitalne drzwi, lecz na jakieś odległe wspomnienia. Być może na Radhę spacerującą po parkowej alei, między szpalerem zielonych drzew.

– Zdiagnozowali u niej raka dziewiątego czerwca. Przeszła wszystkie etapy chemioterapii, ale zmarła ósmego grudnia. Nie udało nam się nawet spędzić razem ostatnich świąt Bożego Narodzenia.

Spojrzał na Katie. Nie wiedziała, jak zareagować. Straciła Paula, straciła Johna i małego Seamusa. Zdawała sobie sprawę, że słowa pocieszenia i współczucia, choćby najszczerze i najlepiej dobrane, nigdy nie wystarczą. Każda strata jest zbyt osobista, zbyt wyjątkowa.

Brendan milczał przez chwilę, po czym odezwał się już zupełnie innym tonem:

– Więc jak, podejmiesz jakieś działania przeciwko tym, którzy pobili twojego narzeczonego? Chcesz ich oskarżyć?

– Teraz już tak – odparła, po czym powiedziała mu o warunkowym umorzeniu postępowania sądowego wobec Conora i wyjaśniła, dlaczego czekała z przeszukaniem Foggy Fields do tej pory.

Brendan pokiwał głową.

– Mam nadzieję, że znajdziesz tego sukinsyna. Mam nadzieję, że go znajdziesz i doprowadzisz do sądu, i że dostanie to, na co zasłużył.

Rozmawiali jeszcze przez dziesięć minut, do momentu, gdy zeszła do nich pielęgniarka, by poinformować Katie, że może już odwiedzić Conora.

– Powodzenia – rzucił Brendan, gdy oboje wstali. – Daj mi jutro znać, jak ci poszło u tych McQuaide.

Na moment zapadło między nimi niezręczne milczenie. Katie czuła, że Brendan ma ochotę ją pocałować. Po raz pierwszy, odkąd pojawił się na Anglesea Street, rozmawiała z nim całkiem szczerze i po raz pierwszy czuła do niego ten sam pociąg co wtedy, gdy byli w akademii w Templemore. Jakby tamto działo się ledwie kilka dni temu, tyle że teraz oboje byli znacznie bardziej doświadczeni, dojrzalsi i poranieni osobistymi tragediami.

– Zobaczmy się rano, panie komendancie – pożegnała się, obdarzając go nikłym służbowym uśmiechem.

Nie odpowiedział. Kiedy przeszła obok recepcji, weszła do windy i się odwróciła, wciąż stał przy wejściu i patrzył na nią.

\* \* \*

Conor, w swoim ciemnoniebieskim szlafroku, siedział w fotelu i oglądał telewizję. Wyłączył ją, gdy tylko Katie zapukała do drzwi i weszła. Jego twarz nie była już tak spuchnięta jak ostatnio, za to siniaki nabrały różnych barw i odcieni, wyglądał więc, jakby nosił chińską maskę karnawałową.

– Myślałem, że przyjdiesz później – powiedział. – Choć właściwie i tak nie byłem pewien, czy znajdziesz dla mnie czas.

Usiadła na łóżku obok fotela.

– Mieliliśmy paskudny wypadek na komendzie, dlatego już jestem, choć planowałam wpaść przed powrotem do domu.

Opowiedziała mu o przesłuchaniu trumniarza i o tym, jak dźgnął detektyw Murrish w oko.

– O Boże... A to taka miła dziewczyna.

– Wszyscy się za nią modlimy. – Potem powiedziała mu, że jutro rano jadą do sióstr McQuaide, żeby przesłuchać je w związku z pobiciem i przeszukać hodowlę. – Uznałam, że warto zaryzykować, Con. Obrażenia, których tam doznałeś, zmienią twoje życie i nie sądzę, żeby jakikolwiek sędzia chciał cię dodatkowo karać.

Conor się skrzywił.

– Prawdę mówiąc, Katie, już mnie to nie obchodzi. Nie ma chyba kary gorszej od tego. Gdybym miał jakiś wybór, wolałbym odsiedzieć dziesięć lat w więzieniu niż zostać eunuchem.

– Mówiłam ci już, żebyś nie używał tego słowa.

– Czemu nie? Przecież tym właśnie jestem. Poza tym podjąłem pewną decyzję. – Umilkł na moment, a ona widziała, jak jego grdyka porusza się nerwowo w górę i w dół, jakby próbował zapanować nad emocjami. – To koniec, Katie – odezwał się w końcu. – To musi być koniec. Związałem się z tobą jako mężczyzna i oświadczyłem ci się jako mężczyzna, ale już nie jestem mężczyzną. Nie chcę, żebyś mnie odwiedzała, bo nigdy już nie będę tym samym Conorem Ó Máille'em, którym byłem wtedy, gdy się we mnie zakochałaś.

– Con... Nie wolno ci mówić w ten sposób. Minęło jeszcze zbyt mało czasu. Dopiero co miałaś poważną operację, a musisz przejść jeszcze kilka innych. Słyszałaś też, co powiedział doktor Sandhu... Istnieje mnóstwo środków, które mogą ci pomóc.

– Środków! Chcę się z tobą kochać dlatego, że mnie podniecasz, a nie dlatego, że połknąłem jakąś niebieską tabletkę. Nie, Katie, to się nie uda. Przyznaj, wiesz o tym równie dobrze jak ja. Wiem, że nigdy nie rozmawialiśmy o dzieciach, ale teraz i tak nie ma na to szans, prawda? Potrzebujesz prawdziwego mężczyzny, a nie mnie.

– Nadal jesteś mężczyzną, Con, bez względu na to, co próbujesz mi udowodnić. Chcesz powiedzieć, że żołnierz, który został ranny na wojnie i odniósł takie obrażenia jak ty, albo i gorsze, nie jest już mężczyzną? Poza tym nie mogę zerwać z tobą kontaktów, jeśli chcę dopaść faceta, który cię okaleczył, i oskarżyć siostry McQuaide o podżeganie do pobicia i prowadzenie hodowli w nielegalny sposób. Będę cię musiała przesłuchać jako świadka.

Milczał przez chwilę, patrząc na nią oczami pełnymi bólu.

– Poczekaj, aż zobaczysz te psy – powiedział. – Brudne, zamknięte w skrzyniach, zapchłone. Nie zaznały niczego prócz cierpienia.

– Wiem, kochanie, i spróbuję coś z tym zrobić. Chcę dopilnować, by twoje cierpienie nie poszło na marne.

Znów przez dłuższy czas oboje milczeli.

– Wiesz, co mi powiedzieli? – odezwał się w końcu. – Że przed operacją będą musieli zgolić mi brodę.

\* \* \*

Katie została z Conorem aż do kolacji. Przed wyjściem pocałowała go czule.

– Posłuchaj, skup się na powrocie do zdrowia – poprosiła. – Kiedy wydobrzejesz, będziesz myślał inaczej, obiecuję ci. Kocham cię.

Conor wziął głęboki oddech, jakby chciał coś powiedzieć, nie odezwał się jednak ani słowem. Gdy wychodziła z pokoju, podniósł dłoń do ust i przesłał jej całusa. Miała ochotę wrócić i pocałować go raz jeszcze, ale właśnie w tym momencie przyszła pielęgniarka z kolacją.

– O, dzień dobry pani! Jak samopoczucie?

Katie odpowiedziała uprzejmie, rzuciła ostatnie spojrzenie na Conora i poszła sprawdzić, czy detektyw Murrish wywieziono już z sali operacyjnej. Doktor David McGrath stał przy stanowisku pielęgniarek, pogrążony w rozmowie z przełożoną i dwiema innymi siostrami. Jak na szefa oddziału okulistycznego wyglądał zaskakująco młodo, choć też i nieco staroświecko. Miał zapadniętą klatkę piersiową i przygarbione plecy, nosił wielkie okulary w czarnych oprawkach i cesał się z przedziałkiem na środku. Przypominał Katie młodego Woody’ego Allena.

– Ach, pani nadkomisarz Maguire – przywitał ją, gdy się zbliżyła. – Właśnie do pani szedłem.

– Jak się czuje Bedelia?

– Nadal jest pod wpływem środków znieczulających. Wyjęliśmy ostrze noża z gałki ocznej i zszyliśmy górną oraz dolną powiekę. Niestety, oko zostało nieodwracalnie uszkodzone, ale na szczęście ostrze zatrzymało się na kości klinowej. Co więcej, udało nam się zszyć twardówkę, a większość mięśni zewnątrzgałkowych pozostała nietknięta.

– Brzmi nieźle, ale co to właściwie znaczy?

– Znaczy tyle, że możemy w miejsce oka wstawić protezę i że będzie mogła nią poruszać.

– Ma pan na myśli szklane oko?

– Tak się to popularnie nazywa, choć w rzeczywistości proteza jest wykonana głównie z akrylu. Będzie się poruszać tak samo jak jej oko, więc praktycznie nie będzie widać, że to coś sztucznego. Pani Murrish będzie potrzebowała trochę czasu, żeby przyzwycząić się do widzenia tylko jednym okiem, ale mamy tu świetny zespół okulistyczny, więc nasi specjaliści zrobią wszystko co w ich mocy, by zdołała się do tego przystosować.

– Dziękuję bardzo, panie doktorze – odpowiedziała Katie. Czowała ogromną ulgę, bo miała nadzieję, że kiedy detektyw Murrish już wydobrzeje, dołączy ponownie do jej zespołu. Prawdopodobnie będzie się zajmować głównie pracą biurową, przynajmniej na początku, była jednak bystrym i doświadczonym detektywem, Katie byłoby więc szkoda, gdyby ją straciła. Oczywiście wszystko to mogło się udać tylko przy założeniu, że dziewczyna będzie chciała wrócić do pracy po tym, jak została ugodzona nożem i na wpół oślepią.

Katie spojrzała na zegar. Doktor Mary Kelley prawdopodobnie była jeszcze w prosektorium. Katie wiedziała, że patolożka często pracuje do późna, zwłaszcza gdy przeprowadza sekcję ofiar zabójstwa. Doktor Kelley doskonale zdawała sobie sprawę, że im szybciej ustalą przyczynę



śmierci, tym szybciej policja namierzy zabójców i postawi ich przed sądem.

– To przerażające, ale w momencie, gdy wydamy ostatni oddech, zaczynamy się rozkładać, i to w przerażającym tempie – powiedziała kiedyś do Katie. – Zupełnie jakby Bóg chciał się nas jak najszybciej pozbyć, żeby wykorzystać nasze atomy do tworzenia nowych ludzi. Jeśli więc chcemy się dowiedzieć, jak ktoś odszedł, musimy brać się żwawo do pracy, nim Bóg zniszczy wszystkie dowody.

\* \* \*

Katie nacisnęła już guzik przywołujący windę, gdy usłyszała, że ktoś ją woła. Odwróciła się i zobaczyła doktora Ryana O’Keefe’a, który machał do niej z daleka. Poznała go, gdy była młodą funkcjonariuszką w Crosshaven i wyciągnięto z wody nastolatka, który wypadł z pontonu. O’Keefe pływał tam żaglówką i przeprowadził resuscytację chłopca, ratując mu tym samym życie. Od tamtej pory drogi Katie i lekarza krzyżowały się wielokrotnie, zwykle po utonięciach, wypadkach drogowych lub atakach nożowników, a ich znajomość przerodziła się w prawdziwą przyjaźń. Po tym, jak została szefem wydziału dochodzeniowego, widywali się rzadziej, ale O’Keefe nie zmienił się ani trochę przez ten czas. Wciąż miał blond czuprynę, wciąż był pogodny i bezpośredni, wciąż też chodził tak, jakby stąpał po pokładzie rozkołysanego okrętu.

– Katie! Jak miło cię spotkać! Co u ciebie? Nie widzieliśmy się od wieków!

– Cześć. Och... Byłam właśnie u mojego narzeczonego. Jest mocno poturbowany, więc trochę tu pobędzie.

– Przykro mi to słyszeć. Co się stało?

– Krótko mówiąc, wdał się w bójkę z pewnym facetem i przegrał. Ma złamany nos i kość policzkową, między innymi...

– To niedobrze. Ale nie mógł trafić lepiej niż tutaj. Znów wychodzisz za mąż? Nic mi o tym nie mówiłaś.

– Bo nie widzieliśmy się od czasu, kiedy Conor mi się oświadczył. Musimy się wybrać na ten lunch do Greenes, którym tak się odgrażałeś.

– Ciągle na niego oszczędzam, Katie. Jestem tylko biednym, kiepsko opłacanym lekarzem. Ale cieszę się, że się spotkaliśmy. Tak czy inaczej, miałem do ciebie dzwonić. Mamy tu młodą dziewczynę wyłowioną z rzeki w Blackrock.

– Słyszałam o tym. Jak ona się czuje?

– Co jakiś czas odzyskuje przytomność, a potem znów ją traci. Ale chciałem się z tobą skontaktować, bo kiedy ostatnim razem była

przytomna, mamrotała coś o mężczyźnie, który celowo wepchnął ją do wody.

– O nie, znów Morderca znad Lee? Tylko nie to...

– Cóż, nie mamy jeszcze pewności. Dziewczyna jest wciąż w śpiączce. Mam nadzieję, że nie doznała poważnych obrażeń mózgu, ale jutro rano zrobimy jej tomografię, żeby się upewnić.

– Świetnie. Daj mi znać, kiedy znów będzie przytomna, przyślę wtedy kogoś, kto ją przesłucha. Znamy jej tożsamość?

– Nazywa się Saoirse Duffy. Ma dziewiętnaście lat. Na miejscu był jeden z jej sąsiadów, więc mogliśmy powiadomić jej rodziców. Siedzieli dziś przy jej łóżku prawie całe popołudnie, ale teraz poszli coś zjeść. Chcesz ją zobaczyć? Leży niedaleko.

– Dobrze, w takim razie chodźmy do niej, tylko szybko. Miałam nadzieję, że uda mi się jeszcze złapać doktor Kelley, zanim wyjdzie z pracy.

Ruszyli razem korytarzem. Doktor O’Keefe co jakiś czas zwalniał, by Katie mogła za nim nadążyć. Choć był od niej co najmniej o głowę wyższy, czuła się tak, jakby szła z jednym ze swoich małych siostrzeńców.

Kiedy dotarli do sali na końcu korytarza, doktor otworzył przed nią drzwi. Saoirse leżała nieruchomo na łóżku, z zamkniętymi oczami. Miała na twarzy maskę tlenową i była podłączona do kroplówki oraz urządzenia monitorującego parametry życiowe. To było z kolei połączone bezpośrednio ze stanowiskiem pielęgniarek, na wypadek gdyby podczas ich nieobecności znacząco zmieniała się wartość któregoś z parametrów.

Ale dziewczyna nie była sama. Przy jej łóżku, z poduszką w rękach, stała Brianna, wciąż ubrana w odblaskową kurtkę ratownika medycznego. Kiedy O’Keefe i Katie weszli do sali, odsunęła się raptownie do tyłu, potykając się przy tym o plastikowe krzesło.

– Brianna? Co ty tu robisz? – spytał O’Keefe. – Ta dziewczyna wciąż jest w ciężkim stanie.

– Tak, jasne, oczywiście, wiem – tłumaczyła się Brianna. – Ale martwiłam się o nią. Chciałam tylko zobaczyć, jak się miewa.

– Ale co robisz z tą poduszką?

– Z poduszką? Ach, z poduszką! Wydawało mi się, że jest jej niewygodnie i że ma problemy z oddychaniem, więc chciałam ją troszeczkę podnieść. No wie pan, żeby łatwiej się jej oddychało.

– Rozumiem, Brianno, ale to nie ty powinnaś o tym decydować. Jeśli twoim zdaniem jest jej niewygodnie, powinnaś wezwać pielęgniarkę.

– Tak, pewnie ma pan rację. Choć ja też mam odpowiednie kwalifikacje.

Doktor O’Keefe odwrócił się do Katie.

– Brianna jest jednym z dwojga ratowników, którzy przywieźli pacjentkę z Blackrock – wyjaśnił.

– Prawdę mówiąc, myślałam, że już po niej – wtrąciła Brianna. – Ale okazało się, że uratowałam jej życie. Gdyby nie ja, na pewno by nie przeżyła. Wtedy nie zdawałam sobie z tego sprawy i byłam załamana, bo myślałam, że umarła mi na rękach, ale kiedy doktor O’Keefe powiedział, że jednak z tego wyjdzie, o mało nie zemdlałam z radości. Mogę tylko dziękować Panu za jego nieskończone miłosierdzie.

– Rozumiem – rzuciła Katie.

Wygłaszając tę długą przemowę, Brianna rozglądała się na boki, szukając miejsca, gdzie mogłaby położyć poduszkę. Katie pomyślała, że dawno już nie widziała kogoś, kto wydawałby się tak zakłopotany i przejęty poczuciem winy. Nie miała pojęcia, po co ta kobieta tutaj przyszła, była jednak pewna, że nie kierowała nią troska o Saoirse. Katie przesłuchiwała już tylu złodziei, oszustów i zabójców, że potrafiła od razu wyczuć, kiedy subtelnie zmieniają temat, by nie mówić o przestępstwie, którego się dopuścili... lub którego chcieli się dopuścić. W końcu Brianna odłożyła poduszkę na krzesło i przycisnęła ją mocno, jakby chciała się upewnić, że tam zostanie.

– Muszę już iść – powiedziała. – Proszę mnie informować, jak ona sobie radzi, dobrze, panie doktorze?

– Tak – odparł O’Keefe. Być może zachowanie Brianny nie wydawało mu się szczególnie podejrzane, ale odnosił się do niej z wyraźną rezerwą. Kiedy ratowniczką wyszła z sali, spojrzął na Katie. – Jak myślisz, o co jej właściwie chodziło?

– Nie wiem. Być może rzeczywiście chciała tylko pomóc. Ale na twoim miejscu dopilnowałabym, żeby nie miała dostępu do tej młodej kobiety, przynajmniej nie bez nadzoru.

– Chyba nie sugerujesz, że...?

Katie spojrzała ponownie na pacjentkę. Twarz dziewczyny była równie blada jak poduszka, na której spoczywała jej głowa, ale oddychała równomiernie i prawdopodobnie o czymś śniła, widać było bowiem, jak jej oczy poruszają się na boki pod powiekami.

– Co? Nie, niczego nie sugeruję – odparła w końcu Katie, potem jednak położyła dłoń na ramieniu lekarza, jakby chciała mu uświadomić, że są nie tylko przyjaciółmi, ale też strażnikami ludzkiego życia.

\* \* \*

Nim Katie dotarła do prosektorium, doktor Kelley poszła już do domu. Drzwi były zamknięte na klucz, a światła pogaszono. Ci, którzy tam są, raczej nie boją się ciemności, pomyślała Katie. Jednak gdy

wróciła do samochodu i otworzyła laptopa, by sprawdzić pocztę, okazało się, że patolożka przesłała jej wstępny raport z sekcji zwłok Matty'ego Donoghue.

Zmarły cierpiał na typowe przypadłości związane z bezdomnością i uzależnieniem od narkotyków: polineuropatię alkoholową, niewydolność oddechową wywołaną paleniem cracku, wirusowe zapalenie wątroby typu C, a także na chroniczną egzemę, katar i grzybicę stóp.

Zabiło go jednak wiertło o średnicy 9,5255 mm, które przebiło tylną część jego czaszki i uszkodziło pień mózgu, co natychmiast doprowadziło do wstrzymania akcji serca i oddychania.

Powinam tu dodać, że gdybyśmy nie przeprowadzili pełnej sekcji, rana na głowie zapewne uszłaby naszej uwagi lub wzięlibyśmy ją za jeden z wielu strupów, które pokrywały ręce, tułów i szyję ofiary. W takim wypadku przypisalibyśmy jego śmierć nagłemu zatrzymaniu akcji serca, prawdopodobnie wywołanemu zażyciem kokainy.

Dokończyłam również sekcję zwłok Ailbe O'Malley. Mimo zadziwiająco dużych sińców na jej szyi, nic nie wskazuje na to, by ktoś próbował ją udusić, doszło jedynie do skręcenia mięśni szyjnych spowodowanego upadkiem ze schodów. Bezpośrednią przyczyną śmierci było przemieszczenie kręgów szyjnych.

Przynajmniej nie musimy ciągać Petera O'Malleya po sądach, pomyślała Katie. Biedak i tak się dość nacierpiał, kiedy stracił jednocześnie żonę i nienarodzonego synka.

Jechała spokojnie do domu, słuchając melodii *Báidín Fheilimí*, która zwykle pomagała jej ukoić zszargane nerwy. Próbowowała myśleć o czekającym ją nazajutrz przeszukaniu hodowli siostr McQuaide, o zabójstwie Matty'ego Donoghue i o tym, jak poprowadzi kolejne przesłuchanie Costescu, by dowiedzieć się od niego, gdzie może znaleźć Lupula. Przez chwilę myślała również o Briannie i o tym, co ta robiła przy łóżku Saoirse Duffy... albo co zamierzała zrobić. Była doświadczoną ratowniczką i uratowała życie Saoirse, więc chyba nie zamierzała zrobić jej teraz krzywdy. Z drugiej strony, wydawała się naprawdę wystraszona, gdy weszli do sali i zobaczyli ją z poduszką w rękach. Katie dobrze wiedziała, jak zachowuje się człowiek dręczony poczuciem winy... właśnie tak jak Brianna.

Próbowowała się skupić na wszystkich tych problemach, wciąż jednak słyszała słowa Conora. *To koniec, Katie. To musi być koniec. Związałem się z tobą jako mężczyzna i oświadczyłem ci się jako mężczyzna, ale już nie jestem mężczyzną.*

Nie płakała. Była zbyt zmęczona, by płakać, lecz kiedy dotarła do domu i zamknęła za sobą drzwi, witana przez rozradowane i merdające ogonami psy, przez długi czas stała w bezruchu, nie zdejmując nawet

płaszcz. Czuła się jak posąg Madonny zamknięty w smaganej deszczem kapliczce, otoczona ciemnością, nieruchoma, smutna i samotna.

## Rozdział 23

Bowser jeszcze nie spał, gdy dwaj funkcjonariusze Garda Síochána podeszli do jego legowiska przy tylnych drzwiach Crane Lane Theatre. Żebrak zabarykadował się za trzema pustymi beczkami po piwie, ustawionymi wzdłuż chodnika. Spod sterty koców i folii widać było jedynie jego brodatą twarz i pomarańczową czapkę. Minęła już północ, ale gdy jeden z policjantów oświetlił drzwi, przekonali się obaj, że oczy mężczyzny są otwarte. W blasku latarki lśniły niezdrową żółcią niczym dwa agaty.

– Jak leci, Bowser? – spytał jeden z funkcjonariuszy.

– Jeszcze żyję i oddycham – odburknął żebrak. – Choć nikt mi, kurwa, nie pomaga.

– My tylko cię ostrzegamy, żebyś uważał na koleśki, którzy chodzą teraz po mieście i atakują bezdomnych, takich jak ty. Przypuszczamy, że są z Rumunii albo z jakiegoś innego kraju w Europie Wschodniej.

– Słyszałem o tym. Mówił mi Jimmy ze schroniska. Nie przejmuj się tym, człowieku. Potrafię się o siebie zatroszczyć. Przez trzy lata z rzędu zdobywałem mistrzostwo Elite w wadze ciężkiej. Zdobyłbym też tytuł WBO, gdybym dwa dni przed walką nie złamał tej pierdolonej nogi w kostce. Patrzycie na mistrza świata, chłopcy. Mistrza świata, kurwa, zapamiętajcie sobie.

– W porządku, Bowser. Ale tak czy inaczej uważaj. I gdybyś miał jakieś problemy, od razu nas wzywaj. Po mieście krążą teraz specjalne patrole, więc dotrzemy tu w ciągu kilku minut.

– Och, mam was wezwać? A jak niby to zrobię? Przejdę do najbliższej budki telefonicznej? Czy wysłać wam wiadomość gołębiem pocztowym? Gołębi tu nie brakuje, ale nie mam ołówka ani papieru.

– Powodzenia, Bowser – odparł spokojnie funkcjonariusz, po czym ruszył wraz z partnerem w dalszą drogę. Po chwili dotarli do końca Phoenix Street, skręcili w Smith Street i zniknęli za rogiem.

Żebrak sięgnął pod koc i wyciągnął stamtąd butelkę whisky. Odkręcił ją, pociągnął łyk i przez chwilę trzymał alkohol w ustach, obmywając nim kilka ostatnich zębów; w końcu przełknął go ciężko. Podniósł butelkę do światła latarni i zobaczył, że zostało mu już tylko kilka łyków. Chciał zachować je do rana, żeby miał się czym ogrzać, ale ci dwaj z Garda Síochána wytrącili go z równowagi, postanowił więc wypić wszystko już teraz. Może John, szef sklepu z alkoholem O'Donovan's,

zlituje się nad nim, da mu jeszcze jedną butelkę na kredyt i poczeka, aż zapłaci mu wyżebranymi jutro pieniędzmi. John był zagorzałym kibicem boksu i zawsze chętnie słuchał opowieści o tym, jak Bowser znokautował Declana Higginsa na Stadionie Narodowym w Dublinie w 2003 roku – a przynajmniej mówił, że może słuchać tej historii bez końca.

Bowser opróżnił do końca butelkę i ją zakręcił. Była już pusta, więc mógł ją wykorzystać do sikania, gdyby zrobiło się tak zimno, że nie miałby ochoty zrzucić z siebie koców i drżąc, przechodzić do odległego o dwadzieścia metrów brzegu kanału, żeby się odpryskać.

Jego ciało powoli pogrążało się we śnie. Jednocześnie coraz wyraźniej słyszał radosne krzyki i okłaski publiczności zgromadzonej na Stadionie Narodowym, aplauz przybierający z każdą chwilą na sile. Podniósł odruchowo rękę, jakby podtrzymywał ją sędzia, właśnie tak jak tamtego wieczoru, kiedy powalił na deski Declana Higginsa.

Nie pamiętał już nawet, dlaczego i jak jego życie rozpadło się po tym zwycięstwie. Wiedział tylko, że składało się głównie z picia, bójk i arogancji. Nie potrafił sobie przypomnieć, jak wyglądała twarz Marie ani jak brzmiał jej głos, pamiętał jednak, jak ją uderzał, jak kucała na podłodze w kuchni, osłaniając głowę rękami i szlochając.

W ciągu ostatnich trzech lat przebywał w pięciu różnych schroniskach, między innymi w St Vincent's, Clanmornin i Tir na nÓg, wyrzucano go jednak z każdego po kolei za picie i agresywne zachowanie. „Patrzysz na mistrza świata, człowieka. Mistrza świata, kurwa. Nie zapominaj o tym”.

Przed drugą w nocy zapadł w końcu w głęboki pijacki sen. Piętnaście po drugiej na Crane Lane pojawiło się trzech mężczyzn, którzy przeszli obok murali na tyłach Crane Lane Theatre – olbrzymiego oka i dwóch zdziwionych ptaków z kreskówki. Jeden z mężczyzn, w szarej skórzanej kurtce, był wysoki i barczysty. Dwaj pozostali, w czarnych puchowych kurtkach z kapturem i czarnych dżinsach, byli niżsi, ale również potężnie zbudowani. Dotarli do drzwi, przy których spał Bowser, osłonięty pustymi beczkami po piwie, i obserwowali go przez chwilę. Choć pogrążony we śnie, wciąż siedział prosto, oparty o ścianę. Spod koców widać było jedynie jego brodatą twarz i wełnianą czapkę.

– Chyba śpi – powiedział ten w szarej skórzanej kurtce. – Dopilnujemy, żeby już nigdy się nie obudził.

Przeszedł na róg Crane Lane i Phoenix Street i zaczął się rozglądać, wypatrując patroli policyjnych, podczas gdy dwaj niżsi mężczyźni odtoczyli na bok beczki, starając się nie robić przy tym zbyt dużego hałasu. Kiedy skończyli, ściągnęli kilka warstw folii i koce okrywające Bowsera, odsłaniając go aż do pasa.

– *Futu-i!* – powiedział jeden z nich, machając dłonią przed nosem żebraka. – *Ce miros räu!*

– No i co z tego, że śmierdzi, Danut! – warknął mężczyzna w szarej kurtce. – Zabij go!

Jeden z jego niższych towarzyszy pochylił głowę Bowsera do przodu i podwinął tylną część jego czapki; w tym czasie drugi rozpiął brezentową torbę, którą nosił na ramieniu, i wyjął z niej bezprzewodową wiertarkę. Uruchomił ją raz i drugi, by sprawdzić, czy działa.

– W porządku – rzucił ten w szarej kurtce. Spojrzał raz jeszcze na Phoenix Street i pokazał Danutowi podniesione kciuki.

Bowser chrapał. Danut uklęknął przy drzwiach, na złożonych w kostkę kocach, i sięgnął do głowy bezdomnego. Macał czubkami palców, szukając charakterystycznego zgrubienia z tyłu czaszki.

– Marku... Przechył mu jeszcze trochę głowę – zwrócił się do swego towarzysza, gdy w końcu je namierzył.

Jednak nawet kiedy głowa Bowsera pochyliła się mocniej do przodu, Danut nie mógł ustawić wiertła tak, by wbiło się bez problemu w kość i zostawiło jak najmniejszą ranę. Musiał wyginać dłoń w nadgarstku pod kątem czterdziestu pięciu stopni i opierać łokieć o drzwi.

– Czemu to tyle trwa? – syknął mężczyzna w szarej kurtce.

Danut zaczął wiercić i czubek ostrza przebił się przez skórę z tyłu głowy Bowsera. Jednak w żłobienia wiertła natychmiast wplątały się włosy mężczyzny i unieruchomiły wiertarkę.

Bowser wydał z siebie przerażający ryk, potrząsając głową na boki i wymachując rękami tak, jakby były to dwie wielkie maczugi. Marku przewrócił się na plecy, a po chodniku potoczyła się za nim pusta butelka po whisky. Danut próbował wstać, lecz Bowser pchnął go na ścianę z taką siłą, że kręgosłup Rumuna zatrzeszczał niczym fajerwerki. Danut zdołał podnieść wiertarkę i wbić wiertło w twarz Bowsera. Czubek ostrza przesunął się po kości policzkowej, zostawiając po sobie poszarpaną, krwawą linię, po czym wbił się w skórę przy nosie. Na ułożone przy drzwiach koce trysnął strumień krwi, lecz Bowser był odporny na ból. Uderzył Danuta w szczękę, a potem jeszcze mocniej w skroń.

Mężczyzna w szarej kurtce wyjął z kieszeni pistolet.

– Hej, ty! – rzucił, ruszając w stronę żebraka. – Przestań! Ręce do góry! Nie ruszaj się! Słyszysz mnie, ty *nenorocitule*? Nie ruszaj się!

Bowser raz jeszcze uderzył Danuta, tak że ten wypuścił wiertarkę. Były bokser natychmiast ją podniósł i rzucił nią w mężczyznę w szarej kurtce; trafił go w kolano. Potem wygramolił się spod ostatniej warstwy koców i podnosząc obie ręce, ruszył chwiejnym krokiem w stronę mężczyzny z pistoletem.



– Chcesz się bić, pajacu? No chodź, już! Chodź do mnie! Wyzywam cię!

Szedł wciąż do przodu, wymachując rękami i pochylając głowę, jakby zbliżał się do przeciwnika na ringu. „W niebieskim narożniku czeka już Billy »Bowser« Barrett, Gladiator z Ballincollig!”

Człowiek w szarej kurtce podniósł pistolet i strzelił w prawe oko Bowsera. Huk wystrzału poniósł się echem wzdłuż całej Phoenix Street. Oczodół żebraka eksplodował, a połowa tylnej części jego czaszki oderwała się od reszty głowy i poleciała wraz z kawałkami mózgu na koce leżące przy drzwiach. Nim upadł, mężczyzna w szarej kurtce ponownie strzelił i tym razem trafił tuż pod nos. Górna warga Bowsera została rozerwana na pół; wyglądał teraz niczym makabryczna karykatura olbrzymiego królika. Poruszył jeszcze słabo pięściami, po czym runął bokiem na ziemię. Krew sącząca się z jego głowy spływała prosto do kanału.

Trzej mężczyźni nie odzywali się do siebie ani słowem. Danut był tak ciężko pobity, że ledwie się poruszał, nie próbowali więc nawet zabierać ze sobą ciała Bowsera. Bezdomny bokser ważył prawdopodobnie jakieś sto dwadzieścia kilogramów. Słyszeli też policyjną syrenę zbliżającą się od strony St Patrick’s Street, a nie mogli wykluczyć, że ktoś, kto usłyszał dwa strzały z pistoletu, zadzwonił pod 112.

Marku podniósł bezprzewodową wiertarkę, po czym wszyscy trzej ruszyli pospiesznie Crane Lane do South Mall. Marku i mężczyzna w szarej kurtce podtrzymywali z obu stron ślaniającego się na nogach Danuta, który przeklinał cicho przy każdym kroku.

– *La naiba, la naiba... Jesus... la naiba!*

Ich zielony hyundai stał po drugiej stronie ulicy. Marku i ten wysoki pomogli Danutowi ułożyć się na tylnym siedzeniu, po czym sami wsiedli do samochodu. Mężczyzna w szarej kurtce siedział przez chwilę w bezruchu i dyszał ciężko, nim w końcu uruchomił silnik. Potem uderzył pięściami w kierownicę i warknął wściekle:

– *Futu-i!* Dlaczego Bóg ciągle mnie karze?

Marku pociągnął nosem i wzruszył ramionami.

– Może się boi, że zajmiesz jego miejsce.

## Rozdział 24

Katie śniło się, że idzie plażą przy Garrettstown, na Old Head w Kinsale, gdzie czasami zabierali na spacer Barneya i Foltchain. Próbowwała dogonić Conora, ale szedł tak szybko, że coraz bardziej się od niej oddalał i nikał jej stopniowo z oczu, aż całkiem się rozplynął w szarości horyzontu.

Obudził ją sygnał telefonu stacjonarnego. Kiedy usiadła prosto, by podnieść słuchawkę, zobaczyła, że jest już trzy po siódmej, a zwykle budziła się o szóstej. Dzwonił detektyw komisarz Mulliken.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam – powiedział. – Czekałem najdłużej, jak mogłem. Przy Crane Lane doszło do strzelaniny ze skutkiem śmiertelnym. Zginął bezdomny, którego znamy jako Bowsera. Zmarł około drugiej trzydzieści w nocy.

– O Boże, postrzelono go?

– Dwukrotnie, w głowę. W ciągu dnia żebrał zwykle pod budynkiem poczty głównej, ale nocami sypiał pod tylnym wejściem do Crane Lane Theatre. Kiedy go znaleziono, jego koce były rozrzucone, a on leżał martwy na ulicy. Nazywał się William Barrett. Podobno był zawodowym bokserem, i to całkiem niezłym, zanim uległ wódzie.

– Jacyś świadkowie?

– Na razie nie. Ale o strzałach powiadomił facet, który mieszka nad barem Counihan's na rogu, dokładnie o drugiej dwadzieścia sześć. Mówił, że służył w wojsku, więc dobrze wie, jak brzmi huk wystrzału z pistoletu.

– To nie wygląda na naszego zabójcę z wiertarką, prawda? Raczej nie pomyliliśmy dwóch strzałów w głowę z wyiębieniem albo zawałem.

– Jasne. Są już tam trzej technicy, a ulica została odgradzona.

– Nie ruszajcie ciała, dopóki doktor Kelley nie obejrzy go na miejscu. Jest bardzo drobiazgowa, gdy chodzi o strzelaninę. Zawsze próbuje ustalić, skąd prawdopodobnie strzelano, na wypadek gdyby to było samobójstwo albo strzelano z kilku miejsc.

– Wątpię, by tym razem chodziło o samobójstwo. Bowser nie miał broni w ręce, a poza tym chyba nie mógłby się postrzelić dwukrotnie w głowę. Wyślę parę zdjęć, choć nie wiem, czy będziesz je chciała oglądać przy śniadaniu.

– W porządku, Tony. Powinnam dotrzeć na komendę o ósmej trzydzieści, bo potem jadę do Ballynahina przesłuchać siostry McQuaide.

Chyba możesz już zadzwonić do doktor Kelley. O tej porze zwykle jest w pracy.

Katie wstała, wzięła prysznic i ubrała się. Tego dnia postawiła na czarny kostium i szary golf. Chciała wyglądać surowo i poważnie. Włożyła też czarne zamszowe buty z krytym koturnem, bo wyglądała w nich na wyższą.

Nasypała do misek Barneya i Foltchain psiej karmy Irish Rover. Chętnie zabrałaby je na spacer, wiedziała jednak, że sąsiadka, Jenny, zapewni im odpowiednią dawkę ruchu, a przy odrobinie szczęścia ona będzie mogła się z nimi przejść wieczorem, gdy wróci do domu. Spacer z psami zawsze pomagały jej zebrać myśli.

Sama nie zjadła śniadania, siedziała jedynie przez chwilę przy kuchennym stole, popijając herbatę cytrynową i sprawdzając maile, a potem oglądając zdjęcia z Crane Lane, które przysłał jej Mulliken.

Bowser leżał na plecach, z rękami ułożonymi wzdłuż tułowia, wpatrzony jednym lśniącem okiem w niebo. W miejscu drugiego oka widniała jedynie czarna dziura. W tle widać było technika kryminalistycznego w białym kombinezonie z tyveku, klęczącego na czarnej powierzchni jezdni. Wyglądał niczym dzikie zwierzę schwytane przypadkiem w krąg światła lampy błyskowej.

Po co, do cholery, zabijać strzałem w głowę bezdomnego żebraka, takiego jak Bowser? – zadawała sobie pytanie. Jasne, mógł sporo zarabiać przy budynku poczty, stojącym na rogu Oliver Plunkett Street, naprzeciwko Winthrop Street, a więc w bardzo ruchliwym miejscu. Ale chyba nie zarabiał tam tyle, by warto było podejmować ryzyko i zabijać go w tak oczywisty sposób.

Wciąż mogli zakładać, że zabójstwa dokonał Lupul i jego gang, by przejąć zyskowne miejsce Bowsera. Może zorientowali się już, że Garda Síochána odkryła, jak mordują żebraków, wykorzystując zwykłą wiertarkę, i postanowili zabijać swe ofiary w najprostszy możliwy sposób, nie przejmując się działaniami stróżów prawa. Nauczona wieloletnim doświadczeniem, wiedziała, że jeśli Lupul rzeczywiście chciał zastąpić miejscowych żebraków swoimi ludźmi, to procedura deportacji rumuńskich przybyszów byłaby dość skomplikowana i czasochłonna. Prawo Unii Europejskiej chroni ludzi słabych i pozbawionych środków do życia, więc nie można by było po prostu zawieźć ich wszystkich na lotnisko i wsadzić do pierwszego samolotu do Bukaresztu. Zastępca komendant głównej Garda Síochána, Frank Magorian, nazywał to „pieprzeniem o prawach człowieka” – choć nigdy tak nie mówił w obecności mediów. Katie wiedziała, że jeśli rumuńscy żebracy sami nie przyznają się, że należą do gangu Lupula, i nie popełnią błędu, dopuszczając się brutalnej napaści, jak Andrei Costescu,

będą mogli odwlekać deportację dość długo, by ich wyprawa do Cork stała się opłacalna. Przynajmniej dla Lupula.

Podrapała Barneya za uszami, co uwielbiał do tego stopnia, że wydawał z siebie głośne pomrukiwania, a potem pogłaskała Foltchain pod brodą. Włożyła płaszcz, wyszła z domu, wsiadła do samochodu i pojechała w stronę miasta. Poranek był wyjątkowo mroźny, ale osłepiająco jasny. Katie czuła, że będzie to dzień, w którym w jej życiu dokona się dramatyczna zmiana.

\* \* \*

Do dziewiętej trzydzieści doktor Kelley zbadała ciało Bowsera na miejscu zbrodni, czyli na Crane Lane, i pozwoliła je przewieźć do kostnicy szpitala uniwersyteckiego. Później wysłała maila do detektywa komisarza Mullikena, w którym informowała go, że ofiara została zastrzelona z odległości nie większej niż trzy metry – oba strzały padły z tego samego kierunku i tej samej broni, najprawdopodobniej półautomatycznego pistoletu naładowanego nabojami Parabellum 9x19 mm. Nie znalazła jeszcze innych większych obrażeń poza siniakami i strupami typowymi dla osób śpiących na ulicy, ale zamierzała przeprowadzić dokładniejsze badanie w kostnicy.

Mulliken czekał na Katie, kiedy ta dotarła na Anglesea Street. Miał poluzowany krawat, włosy sterczały mu z tyłu głowy niczym pióra podstarzałej kakadu i był nieogolony. Katie dopiero teraz zauważyła, że wiele spośród krótkich włosków porastających jego brodę jest siwych.

– Nadal nie mamy żadnych świadków – powiedział na przywitanie. – Na tyłach Crane Lane Theatre nie ma kamer monitoringu, ale kazałem dokładnie przejrzeć nagrania z Oliver Plunkett Street i South Mall. Nigdy nie wiadomo, czy nie znajdziemy tam jakiegoś tropu. Możemy na przykład sprawdzić, czy przy Crane Lane nie stał taki samochód jak przy Oliver Plunkett Street czy Pana tej nocy, kiedy zamordowano Matty’ego Donoghue.

Katie usiadła i zdjęła wieczko z kubka z cappuccino.

– A co z naszym paskudnym trumniarzem?

– Podobno przez jakiś czas krzyczał i walił pięściami w drzwi, ale potem sierżant powiedział mu, że jak się zaraz nie zamknie, to przyjdzie do niego i spuści mu łomot, a wiesz dobrze, jak wygląda sierżant Molloy. Potem facet już do końca nocy siedział cicho jak mysz pod miotłą. Po południu ma się pojawić w sądzie okręgowym i pewnie dostanie obrońcę. Mały... – zaczął, pohamował się jednak. Katie była pewna, że chciał powiedzieć coś w rodzaju „gnojek” czy „sukinsyn” albo coś podobnego, ale Mulliken rzadko pozwalał sobie wyrażać tak głośno emocje.

– Idź do domu, prześpij się trochę – poradziła mu. – Zobaczymy się później, kiedy wrócę z Ballynahina.

Zadzwoiła do Kyny i detektywa O’Creana, by się upewnić, że są gotowi jej towarzyszyć w wyprawie do Foggy Fields. Sierżant O’Farrell poinformował ją, że dwaj mundurowi już się szykują do wyruszenia, a Bill Phinner potwierdził, że dwaj technicy kryminalistyczni również czekają tylko na rozkazy.

Stała właśnie przy oknie i kończyła kawę, gdy do jej gabinetu wrócił Mulliken. Miał na sobie kurtkę z kapturem obszytym sztucznym futrem, więc wybierał się zapewne do domu, ale w dłoni trzymał foliową torebkę na dowody.

– Sierżant Delaney właśnie mi to dał – powiedział. – Jeden z jego ludzi sprzątał brudne koce Bowsera i znalazł to pod drzwiami. To naszyjnik, a coś mi się nie wydaje, żeby Bowser nosił biżuterię. Zobacz sama, co na nim jest.

Katie podeszła do swojego płaszcza i wyjęła z niego czarne gumowe rękawiczki. Włożyła je, przechyliła torebkę i wysypała z niej na dłoń naszyjnik. Zapięcie zaśnieżonego srebrnego łańcuszka było wyłamane, ale wciąż wisiał na nim okrągły srebrny medalion, porysowany i wytarty, rozmiarów monety Krugerrand. Na medalionie widniała wyryta misternie twarz, którą Katie natychmiast rozpoznała. To samo oblicze znajdowało się na pierścionku matki Any-Marii – smutna kobieta z głębokim rozcięciem na czole, święta Filotea z Argeş.

– To nie może być przypadek – rzuciła.

– Pomyślałem o tym samym. To samo było na pierścionku znalezionym w mięsie. Mógł go nosić człowiek, który załatwił Bowsera. Jak już mówiłem, Bowser był kiedyś bokserem, więc może wdał się w bójkę i łańcuszek zerwał się podczas szamotaniny.

– Zgadzam się z tobą, Tony. Bo skąd inaczej mógłby się tu wziąć, jeśli nie zdarto go z biednej matki małej Any-Marii? Jakie jest prawdopodobieństwo, że więcej niż jedna kobieta chodzi po Cork z biżuterią, na której jest wizerunek rumuńskiej świętej o trudnym do wymówienia imieniu? A poza tym co taka kobieta robiłaby w środku nocy na tyłach Crane Lane Theatre, kiedy toczyła się tam bójka? Nawet prostytutka by się tam nie zapuściła. Znasz mnie. Wiesz, że nie lubię teoretyzować, ale moim zdaniem to mocny dowód, że Bowsera zabił Lupul albo któryś z jego ludzi. – Katie wyjęła iPhone’a, zrobiła zdjęcie naszyjnika i oddała dowód Mullikenowi. – Zanieś to do laboratorium, żeby Bill mógł pobrać próbki DNA. Pokażę to zdjęcie Anie-Marii i spytam, czy rozpoznaje ten medalion. Nie chciałabym jej stresować bardziej, niż to konieczne, ale musimy mieć pewność.

– Mam nadzieję, że zdążymy przesłuchać dziś jeszcze raz tego trumniarza. On musi wiedzieć, gdzie możemy znaleźć Lupula.

– To zależy. Powinłam wrócić z Ballynahina o czwartej, może piątej, ale nawet zakładając, że ten Rumun już dziś dostanie obrońcę, będę mocno zdziwiona, jeśli jakikolwiek prawnik pojawi się wcześniej niż jutro rano. Zresztą może facet trochę zmięknie, jeśli pokisi się w celi parę godzin. I jeszcze jedno. Czy Robert mówił ci o tym Făt-Frumorze? Facet nie chciał powiedzieć, gdzie jest Lupul. Pewnie się bał, że wtedy i jego by zastrzelili. Ale podpowiedział Robertowi i Patrickowi O'Donovanowi, żeby porozmawiali z jakimś rumuńskim barmanem w barze Parting Glass.

– Tak, wspominał o tym. Ale nie wiem, czy już się tym zajęli.

– Jeszcze nie. Barman nie przyszedł wczoraj do pracy, a nikt w Parting Glass nie zna jego adresu, ale dzisiaj powinien się pojawić na swojej zmianie. Więc jeśli dopisze nam szczęście, nie będziemy potrzebowali pomocy trumniarza, żeby znaleźć Lupula. Prawdę mówiąc, taką mam nadzieję. Po tym, co zrobił Bedelii, wołałabym się z nim jak najmniej zadawać. Prawdę mówiąc, na samą myśl, że musiałabym na niego patrzeć, robi mi się niedobrze.

– A co z Bedelią? Miałaś jakieś wieści?

– Przeszła operację i dochodzi do siebie, ale nic więcej nie wiem. Będzie zdruzgotana, kiedy sobie uświadomi, że nie ma oka, a to taka bystra dziewczyna. Czasami żałuję, że nie możemy wrócić do czasów Starego Testamentu. No wiesz, jeśli wróg cię zrani, nie okazuj mu litości. Oko za oko, ząb za ząb.

## Rozdział 25

– Szkoda, że jesteśmy na służbie – powiedział detektyw O’Donovan, gdy szli Castle Street do baru Parting Glass. – Obaliłbym kufelek murphy’ego.

– W tym wypadku chyba ci wolno – odparł detektyw komisarz Fitzpatrick. – Nie powinniśmy ściągać na siebie uwagi i popijać soków albo herbaty. To nie Roundy. Poza tym mnie też trochę zaschło w gardle.

Parting Glass znajdował się w połowie Castle Street prowadzącej do centrum miasta. Był to obskurny lokal z pomalowaną na rudo fasadą i kratami w oknach. Nad drzwiami wisiał szyld z wyblakłym rysunkiem przedstawiającym kruka, który siedzi na ramieniu brodacza podnoszącego kufel z piwem, a poniżej znajdował się napis *An Gloine Slán*.

Fitzpatrick i O’Donovan otworzyli drzwi. W niewielkim zatłoczonym wnętrzu siedziało trzydziestu, może czterdziestu klientów, głównie mężczyzn. Na kilku stołach po lewej stronie pomieszczenia stały wielobarwne lampy art nouveau, które znaczyły twarze siedzących wokół nich ludzi plamkami światła, co sprawiało, że wszyscy wyglądali tak, jakby zapadli na jakąś średniowieczną chorobę skórą. Po prawej stronie znajdował się półkolisty bar obsługiwany przez dwie osoby, czarnowłosą niską kobietę z głębokim dekoltem i białymi tłustymi ramionami oraz chudego młodego mężczyznę z modną, podciętą na skroniach fryzurą i małym wąsikiem, ubranego w wyblakłą czerwoną koszulkę z logo Cork GAA.

Rozmowy w barze ucichły, gdy Fitzpatrick i O’Donovan weszli do środka. Wszyscy klienci odwrócili się i przez chwilę mierzyli ich taksującymi spojrzeniami. O’Donovan odetchnął w duchu z ulgą, bo nie rozpoznał żadnego z obecnych i ci po chwili ponownie zajęli się pić i konwersacją. Cork nie jest zbyt dużym miastem; funkcjonariuszom Garda Síochána zdarzało się więc nieraz znaleźć w upokarzającej sytuacji, kiedy to wchodzili do baru jako tajniacy i przekonywali się, że połowa klienteli to ludzie, których niegdyś aresztowali za napad, kradzież czy pijaństwo.

Fitzpatrick podszedł do barmana.

– Dwa razy murphy, poproszę – rzucił. – Vasile, tak? – spytał, gdy młody mężczyzna nalewał piwo.

Barman spojrział na niego podejrzliwie. Nie odpowiedział, ale i nie zaprzeczył.

– Szukam Dragosa. Jakiś czas temu planowaliśmy robić razem interesy. Dał mi swój numer, ale ja, jak ten idiota, gdzieś go zapodziałem.

– Dragos, powiadasz? – odezwał się barman, stawiając na blacie dwie szklanki.

– Zgadza się. Dragomir Iliescu. Większość ludzi mówi na niego Lupul.

– Nie wiem. Może i go znam. Ale...

Barman skinął lekko głową na klientów i O'Donovan zauważył, że co najmniej dwóch z nich otwarcie ich obserwuje.

– Ile za piwo? – spytał Fitzpatrick. Wyjął z portfela banknot o nominale dziesięć euro i podniósł go na wysokość twarzy barmana, lecz nim dał mu pieniądze, spytał: – Ile za adres Lupula?

– Nie wiem. To niebezpieczne.

– Co powiesz na sto?

Barman opuścił wzrok i pokręcił głową.

– A dwieście?

Chłopak milczał przez dłuższą chwilę. Jeden z siedzących w pobliżu klientów opowiadał właśnie dowcip, a kiedy doszedł do puenty – „Ty kretynie, powiedziałem »lipa«, a nie »cipa«!” – wszyscy jego towarzysze ryknęli gromkim śmiechem. Barman wykorzystał tę okazję i rzucił szybko:

– Wypijcie piwo, a potem spotkamy się za rogiem, na Cornmarket Street, przy rowerach.

Fitzpatrick i O'Donovan znaleźli klejący się od brudu stół pod oknem i usiedli.

– Powinieneś ubiegać się o awans – powiedział Fitzpatrick. – Przydałoby się nam kilku detektywów sierżantów z twoim doświadczeniem.

– Nie, dzięki. – O'Donovan pokręcił głową. – Nie lubię mówić wszystkim ludziom, co mają robić. Mój ojciec był w radzie miasta i zawsze na wszystkich krzyczał, a ja obiecałem sobie, że nigdy nie skończę jak on. Poza tym lubię pracować na ulicy i rozmawiać z ludźmi. Dzięki temu mogę się dowiedzieć, jakie mają problemy... narkotyki, picie, brak pracy czy cokolwiek innego... i poradzić im, jak znaleźć jakąś pomoc. Wydaje mi się, że w ten sposób robię dla nich więcej, niż gdybym siedział w biurze. To tak jak rozwiązywanie spraw, zanim jeszcze do nich dojdzie, rozumiesz, co mam na myśli?

Fitzpatrick wpatrywał się w niego przez dłuższą chwilę, jakby niemal z żalem wspominał czasy, gdy był zwykłym detektywem.

– Kończymy – rzucił. – Musimy znaleźć zabójcę.

Dopił resztę piwa, otarł twarz wierzchem dłoni i spojrział w stronę baru. Barman widział zapewne, że kończą, bo już zniknął.



Kiedy przeszli za róg Cornmarket Street, barman siedział już pod drzewami, przy stojaku rowerowym, i palił papierosa. Był w czarnej bluzie z kapturem naciągniętym tak nisko, że widzieli tylko jego nos i podbródek. Na ich widok wstał i rozejrzał się, by upewnić się, że nikt ich nie śledzi.

– Masz dwie stówy? – spytał Fitzpatricka.

– Jasne, dostaniesz je, jak tylko nam powiesz, gdzie możemy znaleźć Lupula.

– Mówiłeś mi prawdę? Że go spotkałeś i chciałeś z nim robić interesy?

– Właśnie tak.

– Zanim ci powiem, chcę zobaczyć pieniądze.

Fitzpatrick skinął głową.

– W porządku. – Wyjął portfel i odliczył cztery banknoty po pięćdziesiąt euro. Starał się przy tym nie pokazywać jeszcze sześciu podobnych banknotów, które zabrał ze sobą, na wypadek gdyby barman zażądał więcej.

Chłopak zabrał pieniądze i schował je do kieszeni dzinsów. Raz jeszcze się rozejrzał i powiedział:

– Sidney Park, trzeci dom. Nie znam numeru.

– Mówisz o Sidney Park w Montenotte?

– Nie wiem. Byłem tam tylko raz. Sidney Park.

– Ale chodzi ci o domy na wzgórzu, po północnej stronie miasta?

– Zgadza się. Tak, tam właśnie. Za St Luke's Cross. – Barman zaciągnął się nerwowo.

Gdy wydmuchał spod kaptura obłok dymu, Fitzpatrick położył dłoń na ramieniu chłopaka, jakby gratulował mu wygrania wyścigu kolarskiego.

– Dzięki piękne za informację, Vasile. Ostrzegam cię tylko, żebyś nie próbował nas nabrać. Jeśli to właśnie zrobiłeś, chłopcze, wrócimy tu i załatwimy cię sto razy gorzej, niż zrobiłby to Lupul, gdyby się dowiedział, że na niego kapowałeś.

– Mówię wam prawdę. Tam właśnie go widziałem. Sidney Park, trzeci dom.

Fitzpatrick poklepał go po plecach.

– No to zmykaj – rzucił. – I ani słowa nikomu.

– Czy ja wyglądam na wariata?

Kiedy barman zniknął za rogiem, wracając do Parting Glass, O'Donovan westchnął ciężko.

– Nie, nie wyglądasz na wariata – powiedział. – Tylko na kogoś, kto szuka kasy na działkę „białego Chińczyka”.

## Rozdział 26

Potrzebowali mniej niż pół godziny, by ich konwój złożony z czterech pojazdów wyruszył na północ, do hodowli psów Foggy Fields. Prowadził radiowóz, za nim jechali Katie, Kyna i detektyw Cairbre O’Crean w nieoznakowanym ciemnoniebieskim mitsubishi outlanderze, potem furgonetka techników kryminalistycznych, a na końcu kolejny radiowóz.

Kiedy mijali pub Blackman w Kilbarry Cottages, trzech mężczyźni, którzy wyszli przed budynek na papierosa, pozdrowili ich, podnosząc szklanki.

– Jezu, nie przyszłoby mi do głowy, że jesteśmy tak popularni w tych okolicach – mruknął O’Crean. – Kiedy ostatnio aresztowałem w Dublin Hill faceta za zakłócanie porządku, wylali na mnie całe wiadro pomyj. A było wtedy cholernie gorąco.

Pokonali długą, wąską gruntową drogę, wzdłuż której ciągnął się żywopłot, i skręcili na stromy podjazd. Zauważyli srebrnego mercedesa coupé zaparkowanego z boku domu, więc drugi radiowóz stanął ukośnie przed bramą, by w razie czego zablokować drogę ucieczki.

Kiedy wysiadali z samochodów, w drzwiach frontowych domu ukazała się Blánaid, cała w czerni – w czarnym golfie, obcisłych czarnych dżinsach i butach na wysokich obcasach. Tuż za nią z domu wyszła Caoilfhoinn w różowym zapinanym swetrze, w którym wyglądała jak Świnka Peppa.

– Co to ma wszystko znaczyć? – spytała Blánaid, rozkładając szeroko ręce i robiąc zdziwioną minę, kiedy szła w ich stronę.

– Blánaid McQuaide? – spytała Katie.

– Owszem, to ja. O co chodzi?

– Jestem nadkomisarz Kathleen Maguire z komendy przy Anglesea Street. Mam nakaz przeszukania tej posiadłości wydany przez sąd okręgowy w związku z brutalną napaścią, która prawdopodobnie miała tu miejsce trzy dni temu.

– Co takiego? Nie wiem, o czym pani mówi. Jaka brutalna napaść?

– Potencjalny klient przyjechał tu, bo szukał szczeniaka mopsa dla swojej córki. Twierdzi, że podczas pobytu na tej posiadłości został zaatakowany przez pracującego tu mężczyznę i odniósł obrażenia zagrażające życiu.

Blánaid powoli pokręciła głową.

– To jakieś kompletne nieporozumienie, pani nadkomisarz. Nie mieliśmy tu klienta od tygodni, a prócz mojej siostry Caoilfhoinn aktualnie nie pracuje tu nikt więcej. Poza tym moja siostra od pewnego czasu nie czuje się najlepiej, prawda, Caoilfhoinn? Zwykle sama się wszystkim zajmuje, ale ostatnio miała okropne problemy z astmą i praktycznie od Bożego Narodzenia prowadzimy sprzedaż tylko przez internet. Ale może wejdzie pani do środka? Okropnie tu zimno.

– Najpierw chciałabym się trochę rozejrzeć – odparła Katie. – Czy budynki gospodarcze są otwarte?

– Tak, jasne, pójdę tylko po płaszcz i panią oprowadzę. Obawiam się, że chwilowo nasza hodowla nie spełnia wszystkich standardów, więc będzie nam pani musiała to wybaczyć. Zamierzam wszystko wyczyścić i odnowić, gdy tylko poprawi się pogoda. Caoilfhoinn, wracaj do środka, na miłość boską. Zaziębiesz się na śmierć, jeśli tu jeszcze chwile postoisz.

Katie, Kyna i detektyw O’Crean wymienili znaczące spojrzenia, czekając, aż Blánaid włoży płaszcz. Mundurowi i dwaj technicy przechadzali się w tę i w tę, przytupując co jakiś czas i chuchając w zziębnięte dłonie. Wielka czarna wrona przysiadła na szczycie dachu domu i krakała głośno, jakby chciała ich ostrzec, by nie robili żadnych kłopotów.

– Udaje zaskoczoną, ale jestem pewna, że nas oczekiwała – odezwała się Kyna. – „Chwilowo nasza hodowla nie spełnia wszystkich standardów”! To brzmi tak, jakby wcześniej przygotowała sobie ten tekst. A jej siostra wcale nie wygląda na wstrząśniętą.

Katie przyłożyła palec do ust.

– Tsss! – syknęła. – Rozmawia z kimś przez telefon. Posłuchajcie!

Drzwi frontowe były tylko lekko uchylone, więc Katie nie słyszała słów Blánaid, wydawało się jednak, że ta mówi szybko i stanowczo, jakby przykazywała komuś, co ma natychmiast zrobić. Po chwili wyszła na zewnątrz, dopinając krótki brązowy płaszcz.

– Ile suk macie w sumie w hodowli? – spytała Katie, gdy szły razem za dom, do pomalowanych na żółto szop. Ziemia pokryta była tu drobnymi kamykami i żwirem, które chrzęściły głośno pod ich stopami.

– Czterdzieści pięć, różnych ras. Mopsy, owczarki szkockie, labradoodle, shih tzu, kerry blue terriery.

– Zapewne zdaje sobie pani sprawę, że Irlandzkie Towarzystwo Kynologiczne zaleca, by w hodowli nie trzymano jednocześnie więcej niż dziesięciu suk.

– Tak, jasne, ale Irlandzkie Towarzystwo Kynologiczne nie musi się utrzymywać z hodowli. Gdybyśmy miały tylko dziesięć suk, nie zarobiłybyśmy nawet na utrzymanie. Poza tym to tylko zalecenia. Byłam w hodowli w Cavan, gdzie mają ponad sto pięćdziesiąt suk.

– Ale jesteście zarejestrowane? – spytała Kyna. – Nie widziałam odpowiedniego certyfikatu na zewnątrz, a zgodnie z przepisami powinien tu być.

– Och, certyfikat! Rzeczywiście, wisiał przy drzwiach frontowych, ale w zeszłym miesiącu zdjęli go malarze i prawdę mówiąc, zapomniałam odwiesić go na miejsce. Dziękuję za przypomnienie.

Otworzyła drzwi szopy, zapaliła światło i wprowadziła ich do środka. Słodkawy smród psich odchodów, moczu i gnijącego mięsa był nie do zniesienia. Katie wyjęła z kieszeni chusteczkę zapachową, której używała podczas wizyt w kostnicy, i przyłożyła ją do nosa. Kyna machała ręką przed twarzą, a detektyw O’Crean jęknął:

– Boże, jak tu cuchnie. Gdyby jakiś farmer tak śmierdział, wszystkie jego krowy od razu by zdechły.

– Wiem. – Blánaid westchnęła ciężko. – Naprawdę mi przykro, ale moja siostra od dwóch tygodni nie była w stanie zająć się należycie swoimi obowiązkami. Próbowałam zatrudnić kogoś na czas jej choroby, ale w środku zimy trudno znaleźć pracowników sezonowych. Łatwiej byłoby mi znaleźć bałwana.

– Nie mogła pani robić tego sama? – spytała Katie.

– Niezupełnie. Muszę się zajmować sprawami administracyjnymi, a poza tym ja też cierpię na astmę.

W odróżnieniu od tego, co widział w innej szopie Conor, tutaj niemal wszystkie klatki były puste. Tylko w jednej leżały dwa brudne szczeniaki cocker pudle. Nie miały nawet sił, by podnieść łebki i zobaczyć, kto wszedł do ich cuchnącego więzienia, obróciły więc jedynie ślepią w stronę drzwi.

Pod prawą ścianą szopy stało dziesięć skrzynek dla suk ze szczeniętami, przykrytych kawałkami sklejki.

– Mogę tam zajrzeć? – spytała Katie.

Blánaid podniosła wieko jednej ze skrzyń. Katie i Kyna zajrzały do środka. Na posłaniu z podartych kawałków papieru spała młoda suka labradoodle z wielkim brzuchem, skrywającym bliskie narodzin szczenięta. Stojąca obok miska z wodą była pusta, a w tej na jedzenie zostało tylko kilka rozkruszonych chrupek.

– Proszę mi pokazać pozostałe – poleciała Katie.

W każdej skrzyni leżała wynędzniała, zmęczona suka, a w sześciu znajdowały się również ślepe maleńkie szczenięta, które pełzały po swej matce i po sobie nawzajem.

– Po prostu nie wierzę własnym oczom – odezwała się Kyna, zwracając się do Blánaid. – Po co sprowadzać na świat wszystkie te stworzenia tylko po to, żeby tak cierpiały?

– Przyznaję, że obecnie nasza hodowla nie robi najlepszego wrażenia – odparła spokojnie Blánaid, opuszczając wieko ostatniej ze skrzyń

i zamykając w ciemnościach sukę owczarka szkockiego i trzy szczenięta. – Gdy tylko moja siostra wróci do zdrowia i wyszorujemy to wszystko do czysta, na pewno zmienicie zdanie. Ale na razie mamy bardzo ograniczone możliwości. Co moglibyśmy zrobić z tymi biednymi zwierzakami? Kto inny da im schronienie, kto je nakarmi?

– Możemy zajrzeć do następnej szopy? – spytała Katie. Z trudem panowała nad wzbierającą w niej złością.

– Oczywiście.

Przechodzili razem od szopy do szopy i zaglądali do brudnych mrocznych wnętrz, w których kryły się smutne zapuszczone suki i ich szczenięta. Katie milczała aż do momentu, gdy opuścili ostatni z pomalowanych na żółto budynków.

– Cairbre, wróć do techników i powiedz im, że mogą zacząć badanie tych zabudowań – poleciła. – Wiedzą, czego mają szukać.

– A czego mają szukać, jeśli wolno spytać? – spytała Blánaid.

– Dowodów – odparła Katie, nawet na nią nie patrząc.

– Och, rozumiem – rzuciła Blánaid. – Ale dowodów czego, właściwie? – spytała po chwili.

– Pani McQuaide, dowiemy się, kiedy je znajdziemy... jeśli je znajdziemy.

Ubrani w białe kombinezony z tyveku technicy weszli ciężkim krokiem na stopnie prowadzące do pierwszej szopy. Blánaid przyglądała im się przez chwilę z miną, której Katie nie potrafiła rozszyfrować. Była to dziwna mieszanka rezygnacji i pogardy, ale i czegoś jeszcze. Rozbawienia? Tylko co mogło ją bawić w tej sytuacji?

– Przejdźmy do środka i rozgrzejmy się – zaproponowała po chwili gospodyni. Poprowadziła Katie, Kynę i O’Creana do domu, do swego limonkowego salonu. Caoilfhoinn siedziała przy kominku, w którym ledwo tlił się podsycany torfem ogień, i jadła paszteciki z talerza, który trzymała na kolanach. Na stoliku obok stał jasnozielony koktajl mleczny.

Wszyscy usiedli. Kyna wyjęła cyfrowy dyktafon, włączyła go i położyła przed sobą na niskim stoliku.

– Pani McQuaide – zaczęła Katie. – Spytam panią ponownie: czy ma pani jakichś pracowników płci męskiej albo czy wiadomo pani coś o tym, by na terenie hodowli trzy dni temu mógł się znajdować jakiś mężczyzna?

– Odpowiedź brzmi „nie” – odparła Blánaid. – A ty coś o tym wiesz, Caoilfhoinn? Bywasz na zewnątrz częściej niż ja. Widziałaś w okolicy jakichś dziwnych mężczyzn?

Caoilfhoinn, która przeżuwała właśnie kolejny kęs, pokręciła tylko głową.

– Człowiek, który padł ofiarą tej napaści, mówi, że przyjechał do hodowli, by spytać o szczeniaka mopsa dla córki. Ale pani twierdzi, że

nie miała ostatnio żadnych klientów, nie wspominając już o tym konkretnym.

– Zgadza się. W tym tygodniu otrzymałyśmy tylko dwa zapytania internetowe. Jedno dotyczyło cocker pudła, a drugie pitbula, ale osoba, która pytała o cocker pudła, nie kontaktowała się z nami więcej. Być może zniechęciła ją cena. A pitbuli w ogóle nie hodujemy, z zasady.

– Więc mówi pani z całą stanowczością, że nie odwiedzał pani żaden klient?

– Przykro mi. Nie może pani wymagać, bym potwierdzała coś, co nie jest prawdą.

– W takim razie przejdźmy do innej kwestii, dobrze? Czyli fatalnego stanu hodowli.

– Przyznaję, że nie wygląda tak, jak byśmy tego chciały – odparła Blánaid. – To rzecz oczywista. Ale jak już wspominałam, ten stan ulegnie wkrótce zmianie.

– Wie pani, że jeśli hoduje pani więcej niż sześć suk, które mają więcej niż pół roku i są zdolne do rozrodu, musi pani zastosować się do Ustawy o Hodowli Psów z dwa tysiące dziesiątego roku? – wtrąciła się Kyna.

– Tak, oczywiście.

– I utrzymuje pani, że wasza hodowla jest zarejestrowana?

– Owszem.

– Możemy zobaczyć certyfikat?

– Nie mam pojęcia, gdzie jest. Zdjęli go malarze i prawdę mówiąc, nie wiem, gdzie go odłożyli. Mogę go poszukać i przywieźć na komendę, kiedy pojedę do miasta. Albo przesłać e-mailem skan lub zdjęcie.

– Tak czy inaczej, powiadomimy ISPCA o fatalnym stanie tej hodowli – powiedziała Katie. – Zalecimy również, by ta organizacja jak najszybciej przeprowadziła inspekcję Foggy Fields. Jej przedstawiciele podejmą dalsze kroki. Mogą jedynie udzielić paniom ostrzeżenia, ale mogą też nakazać zamknięcie hodowli. Ja, jako właścicielka dwóch psów, najchętniej zamknęłabym ją już teraz.

Blánaid uśmiechnęła się lekko i przygryzła czubek języka, jakby chciała coś powiedzieć, lecz w ostatniej chwili doszła do wniosku, że rozsądniej będzie tego nie robić.

\* \* \*

Katie, Kyna i O’Crean zostali w Foggy Fields jeszcze czterdzieści pięć minut i obserwowali pracę techników, którzy chodzili na czworakach po kolejnych szopach, oglądając w podczerwieni pokrytą linoleum podłogę. Gdy zaczęło się ściemniać, mieli do zbadania jeszcze dwie szopy, Katie postanowiła więc zostawić ich samych i wrócić na Anglesea Street.

Wciąż czekało ją mnóstwo pracy związanej z zabójstwem trzech bezdomnych, zaginięciem Máire O'Connor i matki Any-Marii oraz wypadkiem Saoirse Duffy. Komendant O'Kane domagał się od niej aktualizacji budżetu, a do tego wszystkiego musiała jeszcze przygotować przemówienie na spotkanie z Połączoną Komisją Policyjną, które miało się odbyć w przyszłym tygodniu.

Była rozczarowana i sfrustrowana tym, że nie udało jej się dowiedzieć czegoś więcej o napaści na Conora, z drugiej jednak strony przekonała się osobiście, że w hodowli panują skandaliczne warunki, i była przekonana, że w końcu uda się ją zamknąć, a przecież o to właśnie walczył Conor.

– Uwierzyłaś w choć jedno słowo, które wypowiedziała ta cała Blánaid McQuaide? – spytała Kyna w drodze.

Katie pokręciła głową.

– Nie. Mam tylko nadzieję, że technicy znajdą jakiś dowód, że Conor został tam pobity. Albo przynajmniej, że w ogóle tam był.

– A jeśli nie znajdą?

– Cóż, jak powiedziała sama Blánaid, Ballynahina to dziura zabita dechami. Wszyscy się tu znają i wszyscy wiedzą, czym zajmują się inni. Na pewno ktoś w końcu poda nam nazwisko tego typu, który był w hodowli sióstr McQuaide tamtego dnia. Nie wierzę, że Caoilfhoinn sama karmi, poi, czyści i wyprowadza na spacer wszystkie te psy. Zgodnie z ustawą powinny mieć odpowiednią liczbę pracowników, żeby utrzymać hodowlę w odpowiednim stanie i zadbać o zdrowie zwierząt.

– Tak, ale wydaje mi się, że nas okłamała i że ta hodowla wcale nie jest zarejestrowana, więc nie musiała się obawiać inspekcji. Sprawdzę to, jak tylko wrócimy.

Katie milczała przez dłuższą chwilę. Gdy wjechali do podmiejskiej dzielnicy Dublin Hill i w dole ukazały się migotliwe światła Cork, powiedziała:

– Nie mogę przestać myśleć o tych biednych sukach, które leżą tam całymi dniami w ciemności. Są głodne, spragnione i umęczone opieką nad swoimi szczeniętami. Myślisz, że psy wiedzą, co to poczucie beznadziei?

W tym momencie z jej iPhone'a dobiegły dźwięki *Mo Ghille Mear*. Dzwonił detektyw komisarz Fitzpatrick. Jak zwykle był oszczędny w słowach.

– Zdobyliśmy adres Lupula – oznajmił. – Sidney Park, Montenotte.

## Rozdział 27

– Umieram z głodu – poskarżył się detektyw Markey, przeciągając się na siedzeniu. – Zjadłbym konia z kopytami.

Było już ciemno, a on i detektyw Scanlan siedzieli w samochodzie na Shandon Street od drugiej, odkąd przejęli obserwację od detektyw Walsh i detektywa Cullena. Znaleźli sobie miejsce w zatoczce parkingowej w odległości niecałych pięćdziesięciu metrów od zakładu Eamona Buckleya, po drugiej stronie ulicy, mieli więc doskonały widok na wejście do sklepu. Co jakiś czas widzieli Buckleya, kiedy ten pokazywał się w oknie wystawowym, by zdjąć z haka golonkę, kurczaka czy pęto kielbasy. Dwukrotnie wyszedł też przed drzwi, by zapalić papierosa.

O wpół do szóstej z zakładu wyszedł jego młody, krościaty pomocnik; wyprowadził na zewnątrz rower i pojechał w górę ulicy. Dziesięć minut później w sklepie pogasły wszystkie światła, a przed drzwiami pojawił się sam Buckley w krótkim brązowym płaszczu z postawionym kołnierzem i w kraciastej tweedowej czapce. Markey uruchomił silnik.

– Założę się, że pojedzie prosto do domu – mruknął. – Coś mi się wydaje, że marnujemy tylko czas.

– Pamiętaj, co mawiał komendant MacCostagáin – przypomniała mu partnerka. – „Jeśli nic się nie dzieje, to znaczy, że wygrywamy”.

– Jasne, tylko co mu z tego przyszło? Powinien był mówić to sobie samemu, kiedy co rano spoglądał w lustro.

Poczekali, aż Buckley zejdzie w dół z boczka do Dominick Street, wąskiej alejki skręcającej ostro w lewo, gdzie rano zaparkował samochód. Gdy tylko zniknął za rogiem, Markey wyjechał z zatoczki i ruszył za nim.

Czerwone mondeo Buckleya stało obok wysokiej betonowej ściany, ozdobionej muralami, który zawsze dziwnie niepokoił detektyw Scanlan. Obraz przedstawiał otwarte drzwi stajni i starszą kobietę, która uśmiechała się, patrząc na ulicę, a także okno salonu z czerwonymi zasłonami, zza których wyglądały ciekawie dwie dziecięce twarzyczki. Przy drzwiach siedział czarny pies namalowany tak, jakby został przykuty łańcuchem do znaku stojącego przed parkingiem.

– Ciarki mnie przechodzą, kiedy patrzę na ten mural – powiedziała Scanlan, gdy przejeżdżali powoli obok parkingu. – Wygląda to tak, jakby oni żyli w jakimś innym wymiarze, jakby patrzyli na nas i myśleli sobie:



Pewnego dnia wy będziecie leżeli martwi na cmentarzu, ale my ciągle będziemy na tej ścianie i wciąż będziemy się tak dziwnie uśmiechać.

– Chyba przydałoby ci się parę dni wolnego – mruknął Markey.

Prowadzeni tylnymi światłami forda Eamona Buckleya, jechali w górę wąskiej Dominick Street, mijając szeregi zaniedbanych segmentów i nieczynny od dawna pub z zakurzonymi oknami. Przypuszczali, że na końcu ulicy Buckley skręci w lewo, w stronę swojego domu w Farranree. Tymczasem rzeźnik pojechał w prawo, w kierunku rzeki, po czym ponownie skręcił w prawo przy nabrzeżu Pope's Quay.

– Gdzie on, kurwa, jedzie? – zastanawiał się głośno Markey. – Mówię ci, jeśli za chwilę nie wsunę jakiegoś cheeseburgera, umrę z głodu.

Tymczasem Buckley jechał Pope's Quay aż do Griffith Bridge. Tutaj przedostał się na drugą stronę rzeki, a potem skręcił w Grenville Place i Dyke Parade, zmierzając na zachód. Gdy znalazł się na Western Road, detektywi zrozumieli w końcu, że ich wieczorny dyżur zapewne znacznie się przedłuży.

Kiedy dotarli do Victoria Cross i Buckley ruszył główną drogą N22 w stronę Carrigrohane, Scanlan zadzwoniła do nadkomisarz Maguire.

– Cześć, Padragain – przywitała ją Katie, która wróciła właśnie do swego gabinetu po wizycie w Ballynahina. – Jak wam idzie z tym Buckleyem?

– Zamknął sklep, ale nie wraca do domu. Jedzie teraz Straight Road na zachód, więc nie mamy pojęcia, dokąd się wybiera.

– Poczekaj sekundkę, sprawdzę, gdzie jesteście. Tak, już was widzę. Możecie jechać za nim dalej?

– Tak, nie ma problemu. Gdyby coś się działo, będę panią informować.

– Myślicie, że się zorientował, że go śledzicie?

– Nie wygląda na to. Nie przyspiesza, nie przejeżdża na czerwonym ani nie wyprzedza na wariata.

– To dobrze. Będę was miała cały czas na oku. Uważajcie.

Buckley minął Carrigrohane i jechał dalej na zachód, w stronę Ballincollig.

– Powinniśmy byli przyczepić lokalizator GPS do jego samochodu. Wtedy moglibyśmy skoczyć po drodze do McDonalda i znaleźć go później.

– Mam parę ciasteczek z marmoladą, mogę cię poczęstować – zaproponowała Scanlan.

Markey spojrział na nią z ukosa.

– Ciasteczka z marmoladą? – powtórzył takim tonem, jakby partnerka wypowiedziała jakieś straszliwe bluźnierstwo.

Jechali za Eamonem Buckleyem przez Ovens, Crookstown, Bealnablath i Dunmanway, kilometr za kilometrem, w większości po nieoświetlonych drogach. Tylko światła mijanych domów, pubów i stacji benzynowych upewniały ich, że Buckley i oni nie są jedynymi żywymi mieszkańcami hrabstwa Cork. Kilka minut przed siódmą dotarli do miasteczka Skibbreen nad rzeką Ilen, osiemdziesiąt cztery kilometry na zachód od Cork.

– Boże, niech on się tu w końcu zatrzyma – jęknął Markey.

Lecz Eamon Buckley przejechał przez centrum miasteczka i na drugą stronę rzeki, gdzie skręcił na zachód, na drogę prowadzącą do Schull. Wkrótce jednak miał zakończyć tę długą podróż. Dotarłszy do zarośniętego, małego cmentarza przy Abbeystrowy, gdzie pochowano ofiary wielkiego głodu w Irlandii, zwolnił, po czym skręcił na stromą i wąską drogę gruntową, ograniczoną z obu stron żywopłotem i rzędami drzew.

Markey zgasił reflektory. Gdyby Buckley zobaczył na tej wiejskiej drodze światła samochodu – nawet w odległości stu pięćdziesięciu metrów – zorientowałby się z pewnością, że ktoś go śledzi. Dwójka detektywów jechała za ffordem niemal przez kilometr. Wąska, gruntowa droga wiała się i zakręcała raz po raz, a w dodatku była tak zarośnięta, że co jakiś czas tracili śledzony samochód z oczu. Gałęzie i pędy przesuwwały się ze zgrzytem po drzwiach policyjnego auta niczym pazury wiedźm, które chciałyby go zatrzymać. Gdy światła mondeo po raz kolejny zniknęły za zakrętem, Markey zjechał z drogi i uderzył w wał na poboczu z taką siłą, że oboje polecili gwałtownie do przodu. Musiał szybko wycofać, by mogli ruszyć dalej.

Jakieś trzy lub cztery minuty później tylne światła forda zniknęły na dobre, a dwójkę detektywów otoczyły nieprzeniknione ciemności. Markey zatrzymał samochód i zaciągnął hamulec.

– To szaleństwo. Bez świateł nie ujedziemy daleko, ale jeśli je włączymy, zobaczy nas i zorientuje się, że go śledzimy. Może zresztą wyłączył swoje właśnie dlatego, że nas widział.

Scanlan ponownie zadzwoniła na Anglesea Street. Powiedziano jej, że Katie jest na spotkaniu z komendantem O’Kane’em i jego zastępcą Pearse’em, ale detektyw komisarz Fitzpatrick opuścił na chwilę to spotkanie i wrócił do siebie, by z nią porozmawiać.

– Zgubiliśmy go, panie komisarzu. Jesteśmy na jakiejś polnej drodze, w kompletnych ciemnościach, a on zniknął.

– Widzę, gdzie jesteście, na swoim monitorze, Padragain – odparł Fitzpatrick. – Nie wiecie, dokąd mógł pojechać?

– Nie, panie komisarzu.

– Powiedz mu, jak to wygląda – szepnął Markey. – Ciemno jak w grobie.

– Być może Buckley się zorientował, że go śledzicie – powiedział Fitzpatrick. – Ale jeśli się nie połapał, to lepiej, żebyście się nie ujawniali. Wracajcie do Cork.

– Naprawdę? – zdziwiła się Scanlan.

– Tak, naprawdę. Jutro rano zadzwonię do komendanta O’Shei z Clonakilty i poproszę, by wysłał swoich ludzi na tę drogę, żeby sprawdzili, dokąd mógł jechać Buckley. Dziś chyba i tak nie będzie już wracał do Cork, nie sądzicie? Może ma tam jakiś domek, a może pojechał na noc do przyjaciół. Sprawdzimy na mapach satelitarnych, ile domów jest w okolicy. Ale nie ma sensu, żebyście kręcili się tam po nocy.

– W porządku, panie komisarzu, zrozumiałam.

\* \* \*

Przejechali ponownie nad lodowatymi wodami rzeki Ilen. Na południe od mostu wznosił się hotel West Cork, jasnoszary czteropiętrowy budynek z bogato zdobionym balkonem na pierwszym piętrze, podświetlony na biało od frontu i na zielono od strony rzeki.

– Moja kuzynka Dara była tu kiedyś na weselu – powiedział Markey, zwalnając. – Mówiła, że mają świetną restaurację. Może przystaniemy tu na chwilę i coś przekąsimy, zanim mój żołądek całkiem się skurczy? Nie dojadę do miasta, jeśli po drodze nie wrzucę czegoś na ruszt, nie ma mowy.

Scanlan cmoknęła głośno.

– Kiedy następnym razem będę miała z tobą dyżur, zabiorę ze sobą cały koszyk kanapek. Ale niech ci będzie, zatrzymajmy się tutaj. Prawdę mówiąc, ja też trochę zgłodniałam, a poza tym chętnie skorzystałabym z toalety.

Zaparkowali na tyłach hotelu, od strony rzeki, i weszli do środka. Markey zajął stolik w rogu sali restauracji o nazwie Kennedy, obok wielkiej palmy doniczkowej, podczas gdy Scanlan poszła do damskiej toalety. Gdy wróciła i usiadła, oparła łokcie na stole, ujęła głowę w dłonie i przeciągnęła nimi przez krótko przystrzyżone włosy.

– Jestem wykończona – poskarżyła się. – Oby tylko nie okazało się, że zmarnowaliśmy całe popołudnie, a Buckley przyjechał tu w odwiedziny do schorowanej babci czy coś w tym rodzaju.

– Przekonamy się o tym rano, kiedy miejscowe chłopaki sprawdzą, dokąd prowadzi ta droga. Co powiesz na kraba Castletownbere i kotleciki łososiowe? Albo smażone kielbaski z ziemniakami?

– Chyba zdecyduję się na pizzę, dzięki, Nick. Coś prostego i zwyczajnego. Do tego lemoniadę. Choć muszę ci powiedzieć, że

gdybyśmy nie byli na służbie, wzięłabym potrójny gin z tonikiem.

Kiedy już kelnerka przyjęła zamówienie, Markey spytał:

– Naprawdę myślisz, że Buckley przerobił matkę tej dziewczynki na mielone?

– Chcesz mi obrzydzić moją pizzę?

– Nie, jasne, że nie, ale trudno inaczej wytłumaczyć, skąd jej pierścionek znalazł się w mielonym mięsie. Z drugiej strony, jeśli rzeczywiście Buckley ją zmielił, to kto ją zabił, kto mu ją dostarczył i co się stało z pozostałymi częściami ciała tej kobiety? W sklepie nie znaleziono żadnych śladów.

– Właściwie nie wiemy nawet, czy ona rzeczywiście nie żyje – odparła Scanlan. – Ale tak czy inaczej, głównym podejrzanym jest Lupul, prawda? Zwłaszcza że naszyjnik podobny do pierścionka znaleziono na Crane Lane, gdzie zginął ten były bokser.

– Może to były bokser zabił matkę dziewczynki i zabrał jej naszyjnik – zasugerował Markey. – Albo pomógł w zabójstwie Lupulowi, a potem próbował go wyrolować i dlatego Lupul go zastrzelił.

– To nie tłumaczy, jak pierścionek trafił do mielonego mięsa ani dlaczego Lupulowi tak bardzo zależało na dziewczynce... I dlaczego wypytywali o nią ci dwaj faceci z Europy Wschodniej, którzy spalili się na nabrzeżu: pracowali dla Lupula, czy może chcieli ją dopaść z jakiegoś innego powodu? Nie tłumaczy to też, dlaczego zniknęła matka dziewczynki. No i nie możemy zapominać o tej drugiej zaginionej kobiecie, o Máire O'Connor. To niemal pewne, że jej przyjacielu załatwił ten sam człowiek... albo raczej ci sami ludzie, którzy zamordowali bezdomnego przy Savoy Centre. W obu przypadkach użyto bezprzewodowej wiertarki, a to dość dziwne narzędzie zbrodni. Czy zabójcą był Lupul? A jeśli tak, to co zrobił z tą bezdomną dziewczyną?

– Wiesz co? Zaczynasz mówić jak nadkomisarz Maguire. Ona zawsze powtarza, że nie lubi spekulować, a potem prowadzi najdłuższy wywód, jaki człowiek w życiu słyszał.

– Owszem – przyznała Scanlan. – Ale dzięki temu dochodzi do prawdy. Bierze pod uwagę wszystkie możliwości, nawet te najbardziej szalone.

– A teraz z kolei nadajesz jak pieprzony Sherlock Holmes.

– No dobra, pogadajmy lepiej o czymś innym, zgoda? O, chyba idą właśnie twoje kielbaski z ziemniakami.

## Rozdział 28

Kiedy już zjedli kolację, zamówili podwójne espresso, by zachować trzeźwość umysłu podczas półtoragodzinnej jazdy do Cork. Potem opuścili restaurację i przeszli na parking za budynkiem. Białe obłoczki pary z ich oddechów mąciły nocne powietrze.

– Ależ się objadłem – jęknął detektyw Markey.

– Nie mogę uwierzyć, że zjadłeś całe ciasto czekoladowe.

– Prawie nikogo już tam nie było, więc kto by je zjadł? A dopuściliby się prawdziwej zbrodni, gdyby wyrzucili takie pyszne ciasto. Musiałbym ich aresztować na mocy Ustawy o Marnowaniu Ciasta Czekoladowego, uchwalonej w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym.

W połowie parkingu Scanlan nagle przystanęła i złapała partnera za rękaw.

– Na miłość boską, Nick – szepnęła. – Spójrz na nasz samochód.

W zielonkawym świetle hotelowych neonów widzieli wyraźnie, że tylna szyba forda mondeo została rozbita i wyglądała tak, jakby pokryła się warstwą lodu. Kiedy podeszli bliżej, przekonali się, że boczne szyby również zniszczono. Wszystkie drzwi były powyginane, a opony przebite.

– Cholera – syknął Markey, okrążając samochód, by oszacować zniszczenia. – Założę się, że to sprawka Buckleya. Pewnie widział, że za nim jedziemy, i chciał się, skurwiel, zemścić.

– Zadzwońię po miejscowych gliniarzy. – Scanlan wyjęła telefon. – Skibbereen działa przez całą dobę, prawda?

Nie zdążyła nawet wybrać numeru, kiedy usłyszała kroki zmierzające w ich stronę. Podniosła wzrok i zobaczyła ubranego na czarno mężczyznę, który biegł w stronę Markeya, unosząc nad głowę młotek kamieniarski. Chciała krzyknąć i ostrzec partnera, lecz w tej samej chwili sama otrzymała cios w głowę, tuż za prawym uchem, i oszołomiona runęła na ziemię. Uderzyła czołem w asfalt z taką siłą, że poczuła, jak jej mózg obija się o wnętrze czaszki. Telefon wyleciał jej z dłoni i wpadł pod zaparkowany w pobliżu samochód. Przez kilka sekund nie wiedziała, co się z nią dzieje. Próbowwała usiąść prosto, ale wtedy otrzymała kolejne dwa ciosy, jeden w ramię, a drugi w tył głowy. Straciła przytomność.

Kiedy otworzyła oczy, ktoś się nad nią pochylał, nie mogła jednak skupić wzroku i rozpoznać rozmazanej twarzy. Przesunęła w bok lewą rękę, a gdy dotknęła prześcieradła i koca, uświadomiła sobie, że leży na szpitalnym łóżku. Próbowwała podnieść głowę, miała jednak wrażenie, że jej mózg spuchł do monstrualnych rozmiarów i pulsuje bólem przy każdym oddechu. Dojmujący ból przenikał również prawe ramię.

– Gdzie jestem? – wychrypiała.

Osoba siedząca przy łóżku podniosła rękę i ujęła jej dłoń.

– Jesteś w szpitalu uniwersyteckim, Padragain. Zbadali cię w Skibbereen i przywieźli tutaj. Jak się czujesz?

Scanlan wyteńczyła wzrok i rozpoznała w końcu nadkomisarz Maguire.

– O Jezu... – jęknęła. – Ktoś uderzył mnie w głowę. A jakiś inny facet chciał uderzyć Nicka.

– Zgadza się. Później zrobią ci rezonans magnetyczny, żeby sprawdzić, czy nie ma urazów mózgu.

– Co z Nickiem? On też dostał po głowie?

– Niestety. Ma pękniętą czaszkę, ale lekarze mówią, że wyjdzie z tego. Jego też muszą dokładniej zbadać. Wyszedł na tym jeszcze gorzej, bo ma połamane wszystkie palce. Będzie potrzebował sporo czasu, żeby odzyskać pełną sprawność.

– Matko Boska... Biedny Nick. Nie złapaliśmy tych facetów, prawda?

Katie pokręciła głową.

– Przepadli bez śladu. Ilu ich było?

– Widziałam tylko jednego, który podbiegał od tyłu do Nicka. Potem sama dostałam w głowę, więc musiało ich być co najmniej dwóch. Zniszczyli nasz samochód: wybili szyby, powyginali drzwi i przebili opony. Właśnie go oglądaliśmy, kiedy na nas napadli. Pewnie czekali gdzieś w ukryciu.

– Sierżant ze Skibbereen powiedział nam, że zatrzymaliście się w hotelu West Cork, żeby coś zjeść, i że wyszliście z restauracji około wpół do dziesiątej. Znalezione was dopiero godzinę później, kiedy ktoś z kuchni poszedł wyrzucić śmieci.

– O Jezu, mam nadzieję, że Nick z tego wyjdzie. Zatrzymaliśmy się tam jedynie dlatego, że był głodny.

– Jesteście tylko ludźmi, Padragain. Siedzieliście w samochodzie od lunchu.

– Detektyw komisarz Fitzpatrick mówił pani, jak do tego doszło? Wjechaliśmy za Buckleyem na jakąś wąską wiejską drogę, ale zgubiliśmy go, a było zbyt ciemno, żeby jechać dalej. Naprawdę było tak ciemno, że gdyby na drodze przed nami stał słoń, nie zauważylibyśmy go.

– Tak, komisarz opowiedział mi o wszystkim – potwierdziła Katie. – Przypuszczamy, że to Buckley zorganizował tę napaść. Ale na razie nie

będę ci dłużej zawracać głowy. Dochodzi druga w nocy, a ja też muszę się trochę przespać. Wrócimy do tego jutro, kiedy nabierzesz sił. Zdobyliśmy adres, pod którym mógł się zatrzymać Lupul, to dom przy Sidney Park. Więc zameldujemy się tam o świcie.

– Poważnie? Jeśli go zamkniecie, to będzie już jakiś konkret. Rozmawialiśmy o tym z Nickiem i oboje uważamy, że to właśnie on stoi za zabójstwami wszystkich trzech bezdomnych i za zaginięciem tych dwóch kobiet, matki tej małej Rumunki i Máire O'Connor. Przynajmniej ja tak uważam, a Nick się ze mną zgadza, niech Bóg ma go w swojej opiece.

– Ja też się z tobą zgadzam, Padragain. Ale nawet jeśli go dopadniemy, nie będziemy mogli go zamknąć tylko na podstawie naszych podejrzeń. Będziemy potrzebowali dowodów. Śpij dobrze. Spróbuję odwiedzić cię jutro po południu, jeśli czas mi pozwoli. Jeśli nie, zadzwonię.

Przed opuszczeniem szpitala Katie poszła jeszcze do pokoju Conora. Kiedy delikatnie uchyliła drzwi, przekonała się, że w małej sali panują ciemności, rozpraszone jedynie nikłym blaskiem wypływającym spod drzwi łazienki. Conor spał, a górna część jego twarzy była okryta grubym opatrunkiem. Przed kilkoma godzinami przeszedł operację, która miała na celu odtworzenie uszkodzonej kości policzkowej i oczodołu, a za trzy, cztery dni miał się poddać rekonstrukcji nosa.

Katie stała przez chwilę obok jego łóżka i patrzyła, jak oddycha. Zgolono mu brodę, dzięki czemu wydawał się młodszy, ale i bardziej bezbronny. Za brodą męznego bohatera pokroju Briana Boru krył się ktoś znacznie wrażliwszy – ktoś, kto ryzykował życie, by ratować maltretowane szczeniaki, i kto nie mógł się pogodzić ze złem panującym na świecie.

Pochyliła się, pocałowała Conora i wyszła. Kochała go, ale była zbyt zmęczona, by myśleć teraz o ich związku. Musiała zostać na noc na Anglesea Street, bo nie miała czasu na powrót do Cobh, zresztą i tak mogła liczyć co najwyżej na trzy godziny snu.

Czekając na windę, zauważyła, jak w połowie korytarza otwierają się drzwi – drzwi sali, w której leżała Saoirse Duffy. Pomyślała, że powinna spytać nazajutrz doktora O'Keefe'a, jak się czuje cudem odratowana dziewczyna i kiedy będzie można ją przesłuchać.

Winda wjechała na drugie piętro, oznajmiając swe przybycie głośnym „ping!”, i otworzyły się rozsuwane drzwi. Katie już miała wejść do kabiny, gdy zobaczyła pielęgniarkę wychodzącą z pokoju Saoirse Duffy. Kobieta ruszyła energicznym krokiem w stronę windy, potem jednak zatrzymała się nagle, zawróciła i równie szybko udała się w przeciwnym kierunku.

Drzwi kabiny się zasunęły, a Katie musiała nacisnąć guzik, by ponownie je otworzyć. Zawahała się, ponieważ odniosła wrażenie, że pielęgniarka zawróciła właśnie na jej widok. Później jednak pomyślała: Nie, jesteś przemęczona, a kiedy jesteś przemęczona, zawsze robisz się chorobliwie podejrzliwa. Ta biedna pielęgniarka ma nocny dyżur i pewnie zapomniała na chwilę, którym pacjentem miała się zająć w następnej kolejności.

\* \* \*

Kiedy musiała nocować na komendzie, zawsze robiła się niespokojna i miała problemy ze snem. Przywykła do zawodzenia okrętowych syren w porcie za oknem jej domu, a nie do odgłosów ruchu ulicznego na Anglesea Street. Jednak tej nocy zasnęła natychmiast, gdy tylko się położyła. Zwykle też nie dręczyły jej na komendzie żadne koszmary, lecz tej nocy śniła, że pojechała z Conorem do Foggy Fields i razem próbowali odnaleźć siostry McQuaide. Conor wciąż miał rudą brodę, choć był w szpitalnej koszuli i kapciach, nosił też dziwną białą czapkę przypominającą turban.

Nagle usłyszeli przejmujące, pełne bólu piski dochodzące z żółtych szop.

„To szczeniaki! – powiedział Conor bełkotliwym głosem, przypominającym nagranie odtworzone na zwolnionych obrotach. – Robią im krzywdę!”

Powiewając połami koszuli, pobiegł za dom sióstr McQuaide. Katie próbowała biec za nim, ale obcas jej butów utknął w szparze między płytami chodnikowymi. Próbowała je zdjąć, ale sznurowadła były związane tak, że zacisnęła tylko jeszcze mocniej supły. Wciąż się z nimi zmagала, gdy dobiegł ją histeryczny śmiech sióstr McQuaide, głośniejszy nawet od zawodzenia szceniąt. Zza domu wychynął Conor. Jego obie nogi były ucięte nad kolanami, stawał więc powolne, małe kroczyki, niczym człowiek brodzący w gęstym bagnie. Ucięto mu również nos; w jego miejscu widniał tylko czarny trójkątny otwór. Zatrzymał się i wyciągnął do niej rękę, choć ona wciąż nie mogła się ruszyć.

„Katie! Nie zostawiaj mnie, Katie! – błagał, plując krwią. – Proszę, nie zostawiaj mnie!”

– Pani nadkomisarz? – rozległ się nagle głos dochodzący gdzieś z góry.

Przerażona Katie otworzyła oczy. Przez chwilę wpatrywała się w ścianę, a potem przewróciła się na plecy. Obok łóżka stała młoda funkcjonariuszka z kubkiem herbaty w dłoni.

– Jest w pół do szóstej, pani nadkomisarz. Detektyw komisarz Fitzpatrick kazał pani powiedzieć, że jest już gotowy i czeka na panią.



## Rozdział 29

Kiedy dojechali do Montenotte, było jeszcze ciemno, zaczął też padać lekki deszcz.

Po jednej stronie Sidney Park, wąskiej i stromej drogi, ciągnął się szereg bliźniaków, po drugiej – niewysoki płot. Trzeci dom z rzędu pokryty był rudawym tynkiem i łuszczącą się białą farbą. W zaniedbanym ogródku od frontu stało pęknięte plastikowe krzesło. Na ulicy przed wejściem parkowała furgonetka, ale na podjeździe za bramą nie było żadnych pojazdów. Zasłony we wszystkich oknach na piętrze były szczelnie zaciągnięte.

Policyjny konwój, złożony z dwóch nieoznakowanych samochodów i czterech radiowozów, zatrzymał się naprzeciwko bramy, blokując całkowicie drogę.

– Wygląda na to, że jeszcze nie wstali – zauważył detektyw komisarz Fitzpatrick, kiedy wraz z Katie i detektywem O'Donovanem wysiadł z auta. Wiatr niósł nad drogą krople zimnej mżawki, więc Katie naciągnęła na głowę kaptur czarnego płaszcza. Conor mówił zawsze, że wygląda w nim jak sidhe, wróżka z ludowych opowieści, bo w irlandzkich bajkach wróżki wcale nie są małe – dorównują posturą ludziom. Tego ranka Katie włożyła również kamizelkę kuloodporną, więc wydawała się potężniejsza niż zwykły człowiek.

Rozejrzała się, wypatrując sierżanta O'Farrella.

– Ryan! – zawołała do niego. – Obstawiliśmy już tyły?

Sierżant podszedł do niej, trzymając krótkofalówkę. Towarzyszyło mu siedmioro ubranych na czarno funkcjonariuszy. Troje z nich należało do miejscowego oddziału wsparcia i miało pistolety maszynowe Heckler & Koch.

– Tak, wszystko gotowe. W każdej chwili możemy wejść.

– Świetnie, w takim razie zróbmy to – rzuciła Katie.

O'Farrell i pozostali funkcjonariusze podbiegli do drzwi, szeleszcząc kurtkami. Jeden zapukał głośno i nacisnął guzik dzwonka. Potem wszyscy czekali w napięciu, ustawieni po obu stronach werandy. Nikt nie otwierał, więc zadzwonili ponownie. Po upływie trzydziestu sekund wciąż nie doczekali się żadnej reakcji.

– Dobra, wchodzimy – zarządziła Katie.

Do drzwi podszedł funkcjonariusz z metalowym taranem. Uderzył nim trzykrotnie w zamek, aż drzwi pękły z głośnym trzaskiem

i otworzyły się na całą szerokość. Ludzie z jednostki specjalnej wpadli do środka, krzycząc:

– Garda Síochána! Garda Síochána! Jesteśmy uzbrojeni!

Katie, Fitzpatrick, detektyw O'Donovan i pozostali czekali na zewnątrz w deszczu, delikatnym niczym puszek dmuchawca. Po dwóch minutach w drzwiach pojawił się jeden z uzbrojonych policjantów.

– Nikogo tu nie ma, pani nadkomisarz! – zawołał. – Dom jest pusty!

– Na pewno? Sprawdziliście strych?

– Oczywiście. Żywej duszy.

– Rozumiem – odparła Katie z rezygnacją. Właściwie zaskoczyło ją tylko to, że wcale nie czuła się zaskoczona. Gdy wyruszyli z Anglesea Street, była niemal pewna, że nie zastaną tu Lupula. Zresztą nawet gdyby go znaleźli, byłby to początek prawniczego koszmaru. Mogliby go przywieźć do komendy na przesłuchanie, ale nie mogliby go aresztować bez konkretnych dowodów. Katie oskarżyłaby go o powiązania z napaścią na Winthrop Street, ale poza tym nie miałyby żadnych innych zarzutów. Rumuńskie pochodzenie nie jest przecież przestępstwem, a obrońcy praw człowieka opadliby ją niczym muchy plujki zdechłego kota, gdyby tylko postawiła go w stan oskarżenia.

– Cholera jasna – mruknął Fitzpatrick.

– Zajrzyjmy do środka, dobrze? – zaproponowała, po czym wszyscy weszli do przedpokoju.

W budynku było ciemno i zimno, a w powietrzu unosił się zapach wilgoci, jak w większości starych domów w Montenotte. Na dworze powoli robiło się jasno, mimo to Katie pożyczyła od jednego z funkcjonariuszy latarkę. Zgodnie z procedurą nie zapalali światła, gdyż włączniki mogły być połączone z ładunkami wybuchowymi, poza tym mogły się na nich znajdować ślady DNA, których nie chcieli zanieczyścić. Co więcej, latarki oświetlały wnętrza pod różnymi kątami, dzięki czemu mogli dostrzec ślady i przedmioty niewidoczne w blasku zwykłych lamp, takie jak włosy, drobiny jedzenia czy porzucone szkła kontaktowe.

Salon wyglądał tak, jakby jeszcze niedawno ktoś w nim przebywał. Naprzeciwko wielkiego telewizora stała brudna kremowa kanapa ze sztucznej skóry, z wygniecionymi fioletowymi poduszkami, na których z pewnością ktoś siedział przed kilkoma godzinami, a może nawet wcześniej. Na stoliku stała duża popielniczka z logo Guinnessa, wypełniona po brzegi niedopałkami. W powietrzu unosił się zapach tytoniu i inna, dziwna woń, której Katie nie potrafiła od razu zidentyfikować, choć przywodziła jej na myśl kostki odświeżające do toalety.

Naciągnęła na dłonie rękawiczki z czarnej gumy i podniosła złożoną gazetę, która leżała na podłodze obok kanapy – „Echo” z poprzedniego

dnia.

– Wygląda na to, że ktoś wyniósł się stąd bardzo niedawno – zauważyła. – Do kogo należy ten dom?

– To nieruchomości do wynajęcia, zarządzana przez agencję Cudahy's – odparł detektyw O'Donovan. – Właściciel to emeryt, niejaki Bell, który mieszka teraz w Málaga. Zajmował się podobno budownictwem.

– Powiedział wam, komu ostatnio wynajmował ten dom?

– Podobno nikomu. Ostatni najemca wyniósł się sześć tygodni temu, a mieszkał tu od kwietnia zeszłego roku. To było małżeństwo z dwójką dzieci.

– Więc ludzie, których stąd przepłoszyliśmy, mieszkali tu nielegalnie?

– Najwyraźniej. Ale przynajmniej nie będą się mogli tego wyprzeć, kiedy ich znajdziemy. Zostawili mnóstwo śladów.

– Jeśli ich znajdziemy – sprostowała Katie. – Wygląda na to, że wyprzedzają nas o krok.

Przeszli do ciasnej, mrocznej kuchni z podłogą wyłożoną tanimi czerwonymi płytkami. Katie wyjrzała przez upstrzone kroplami deszczu okno i zobaczyła dwóch funkcjonariuszy stojących przy dziurawej szopie w ogrodzie.

W zlewie piętrzyła się sterta brudnych naczyń, a wszystkie blaty były zastawione pustymi puszkami po fasoli, opakowaniami po pieczywie i butelkami po wódce Smirnoff. Na kuchence gazowej stało naczynie żaroodporne pokryte od środka warstwą przypalonych ziemniaków i mielonego mięsa.

– Sądząc po tych puszkach, byli tutaj mniej więcej od tygodnia – powiedział Fitzpatrick. – A sądząc po butelkach wódki, nie byli Irlandczykami.

Weszli po stromych schodach na piętro, by zajrzeć do pokoi. W głównej sypialni stało dwuosobowe łóżko bez pościeli. Leżały na nim dwie kołdry, obie brudne i pokryte brązowymi plamami, jakby komuś, kto pod nimi spał, stale leciała z nosa krew. Ściany pokrywała pomarszczona od wilgoci pomarańczowo-zielona tapeta, a nad łóżkiem wisiała krzywo reprodukcja *Ostatniej Wieczery* Leonarda da Vinci. Pomieszczenie wypełniała kwaśna woń niemytych ciał i – podobnie jak na parterze – zapach odświeżacza do toalet.

Przeszli do łazienki. Na podłodze leżał mokry czerwony ręcznik, a na wewnętrznych ściankach wanny pozostało kilka kręgów szarej wysuszonej piany. Sedes również był brudny, a ktoś, kto ostatnio z niego korzystał, nie spuścił wody.

– Na świętego Piotra – mruknął Fitzpatrick, marszcząc nos. – Kiedy byłem dzieciakiem, za coś takiego dostawało się drewnianą łyżką po głowie, bez pardonu.

Na parapecie leżały dwie jednorazowe maszynki do golenia, obie używane, a obok nich stał czarny męski dezodorant z napisem *Erou*. Katie podniosła go, powąchała i zrozumiała w końcu, skąd ten zapach odświeżacza do toalet.

Na tyłach domu znajdowały się jeszcze dwie sypialnie z jednoosobowymi łózkami, choć wyglądało na to, że używano tylko jednego: okrywający je niebieski koc był pomięty, a poduszka miała wgniecenie po głowie.

– Być może Lupul rzeczywiście tu mieszkał, ale to nie ten dom, o którym wspominała Ana-Maria – odezwała się Katie. – Mówiła, że mieszkali tam wszyscy żebracy Lupula i że było ich co najmniej dwunastu. Mogliby oczywiście spać na podłodze, ale nie wygląda na to. Gdzie są ich ubrania i rzeczy osobiste? Nawet żebracy mają plecaki.

Otworzyła tanią sosnową szafę, ale nie znalazła w niej niczego prócz kilku drucianych wieszaków. Kiedy jednak zajrzała pod łóżko, dostrzegła jasnoróżowy sportowy but z białymi paskami. Od razu rzuciło jej się w oczy, że jest stosunkowo mały. Wyjęła iPhone'a, zrobiła trzy zdjęcia buta, a potem wyciągnęła go spod łóżka.

– Pasowałyby na kobietę albo dorastającą dziewczynę. Wiedzieliście, że większość adidasów produkuje się w Rumunii?

– Chyba wiem, o czym myślisz – rzucił Fitzpatrick.

– Nic nie myślę. Zabiorę to do Billa Phinnera i każę mu zbadać DNA. A potem pokażę go Anie-Marii.

– Więc jednak o tym myślałaś.

Zeszli razem na dół.

– No i co? – spytał sierżant O'Farrell. – Ptaszki wyfrunęły, prawda? Tylko czy chciałoby im się uciekać, gdyby nie były właśnie tymi ptaszkami, których szukamy?

– Tak, ale bardziej interesuje mnie to, kto ich ostrzegł – odparła Katie. – Jak myślisz, Robert? – zwróciła się do Fitzpatricka. – Może twój informator z Parting Glass wpadł w panikę i uznał, że nie warto umierać za dwieście euro?

Detektyw komisarz pokręcił głową.

– Na razie nie mamy niczego prócz domysłów i hipotez – powiedział. – Gdybyśmy znaleźli choć jeden porządny dowód, który łączyłby Lupula z zaginięciem matki Any-Marii, z jej pierścieniem w mięsie i naszyjnikiem, który znaleźliśmy na miejscu zabójstwa Bowsera... Nie wspominając już o tych bezdomnych, którym przewiercono mózg.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że być może te sprawy wcale nie są ze sobą powiązane, a przynajmniej nie tak, jak sądzimy.

Katie rozejrzała się po przedpokoju, po czym popatrzyła na schody.

– Masz rację – przyznała. – Nie warto jednak tracić czasu na dopasowywanie elementów układanki, jeśli nie mamy jakiegokolwiek wyobrażenia o tym, jak powinna wyglądać w całości. Owszem, nie znaleźliśmy tu Lupula, ale jestem przekonana, że to właśnie on łączy wszystkie te sprawy, choć nie wiem jeszcze, w jaki sposób. – Odwróciła się do sierżanta O’Farrella. – Ryan, ogroź dom taśmą, a ja poproszę Billa Phinnera, by przysłał tu swoich ludzi, żeby go przeszukali od piwnicy po strych. Przesłuchamy też wszystkich sąsiadów, kiedy się obudzą... zakładając, że dotąd ich nie obudziliśmy.

Wyszli z domu i wrócili do samochodu. Deszcz przybrał na sile, a sądząc po niskich, szarych chmurach nadciągających od zachodu, wkrótce opady mogły się zamienić w marznący deszcz ze śniegiem.

– Wiedziałem, że będzie dziś paskudnie – powiedział detektyw O’Donovan, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. – W prognozie zapowiadali co innego, ale ja czułem to w kościach.

Katie, wpatrzona w ekran iPhone’a, nie odezwała się. Nim zdążyła zapiąć pasy, dostała SMS-a od nadkomisarza Pearse’a.

– O Boże... – wyszeptwała.

– Co się stało?

– Pamiętasz tę młodą kobietę, którą wepchnięto do rzeki w Blackrock? Zmarła w nocy.

– To smutne. Bardzo smutne. Znają przyczynę?

– Jeszcze nie. Obawiali się, że doznała jakichś uszkodzeń mózgu, bo długo leżała pod wodą.

O’Donovan, który siedział za kierownicą, pojechał w górę Sidney Park i stamtąd zjechali krętą alejką z powrotem do Wellington Road, a potem w dół Summerhill, do miasta. Po drodze minęli pensjonat Gabriel House, gdzie Katie kochała się po raz pierwszy z Conorem. Poczula nagle dziwny ucisk w piersiach i zakryła usta dłońmi, by zapanować nad emocjami. Była zbyt zajęta, żeby pozwolić sobie na płacz.

\* \* \*

Gdy tylko usiadła w swoim gabinecie, Moirin przyniosła jej cappuccino i bułeczkę z malinami, którą kupiła w Heaven’s Cakes w English Market.

– Matko Przenajświętsza, Moirin, próbuję zrzucić parę kilo.

– Ja też, pani nadkomisarz, ale kupiłam dwie i gdybym nie dała pani jednej, sama musiałabym zjeść obie.

– Nie przyszło ci do głowy, że możesz kupić tylko jedną?

– Przyszło, ale nie chciałam tego robić. Wyszłoby wtedy na to, że nie mam przyjaciół.

Do drzwi zapukał komendant Brendan O’Kane. W śnieżnobiałej koszuli wydawał się wypoczęty i wymuskany, a Katie czuła też, że wylał na siebie odrobinę za dużo Eau Sauvage. Przynajmniej nie Erou, pomyślała.

– Domyślam się, że Lupula nie było w domu.

– Zgadza się, panie komendancie. Zresztą nie ma pewności, czy on tam w ogóle mieszkał. Ale, jak słusznie zauważył sierżant O’Farrell, pewnie nie wynieśliby się stamtąd tak szybko, gdyby nie byli właśnie tymi, których szukamy.

– To prawda. Co zamierzacie teraz zrobić?

– Ten dom nie był dość duży, by pomieścić wszystkich żebraków, których Lupul przywiózł z Rumunii, więc pewnie zajął też jakąś inną posiadłość. Musimy się dowiedzieć, gdzie ona jest.

– Jakieś przypuszczenia?

– Na razie żadnych. Ale mamy na oku wszystkich żebraków i bezdomnych w mieście, przynajmniej na tyle, na ile możemy, więc wcześniej czy później któryś z nich nas tam doprowadzi.

– Świetnie. Czy z prosektorium przysłano jakieś informacje o tym byłym bokserze?

– Jeszcze nie. Ale miał całkiem roztrzaskaną głowę, więc doktor Kelley potrzebuje pewnie sporo czasu, żeby ją poskładać. Wie pan, jaka jest dokładna. Pewnie będzie nawet zdrapywać z koców kawałki jego mózgu i ważyć je, żeby mieć pewność, że zebrała wszystko.

– Słyszałem też, że zmarła ta dziewczyna wyratowana z rzeki.

– Tak. Być może była pod wodą zbyt długo pozbawiona tlenu, by z tego wyjść. Tak czy inaczej, poproszę doktor Kelley, żeby przeprowadziła sekcję tej biedaczki i rozwiła wszelkie wątpliwości.

– Ale w tym przypadku możemy chyba mówić wyłącznie o wypadku, prawda?

– Nie jestem całkiem pewna. Mam jakieś dziwne przecucia.

Brendan uniósł lekko brwi.

– Pamiętam, że w Templemore też miałaś dziwne przecucia.

Katie zignorowała tę uwagę.

– Wczoraj w nocy odwiedziłam detektyw Padragain Scanlan. Ktoś ją mocno obić, ale wygląda na to, że się wyliże. Wciąż czekam na wiadomości o Nicholasie Markeyu. Ma pękniętą czaszkę i połamane wszystkie kości dłoni, więc nie wiem, jak długo będzie wracał do zdrowia. Jeśli nie odzyska pełnej władzy w rękach... Cóż, pozostaje nam tylko czekać i modlić się do świętego Stanisława Kostki. – Widząc zdumioną minę Brendana, Katie dodała: – Święty Stanisław Kostka to patron ludzi z połamanymi kośćmi.

– Rozumiem. W porządku. Najwyraźniej uważałaś na lekcjach religii. Myślisz, że zrobił to ten rzeźnik?

– Eamon Buckley? Bardzo prawdopodobne, ale na razie nie mamy żadnych dowodów. Ani świadków, jak zwykle.

– Jak zwykle... Tak czy inaczej, dzięki za informacje. Aha, a jak tam twój narzeczony? Colin, tak?

– Conor. Wczoraj przeprowadzono rekonstrukcję jego kości policzkowej i oczodołu. Będzie musiał przejść jeszcze zabieg prostowania nosa, ale znosi to wszystko bardzo dzielnie.

Komendant pokiwał głową w zamyśleniu.

– Rozmyślałem wczoraj o tym małym mopsie, Walterze – odezwał się po dłuższej chwili.

Katie zajęła się już przeglądaniem wiadomości, które leżały na jej biurku, teraz jednak podniosła wzrok.

– O Walterze? I co?

– Czy jego właściciele są w stanie zbierać dość pieniędzy na leczenie?

– Nie wiem. Prawdę mówiąc, nie sądzę. Wspominali coś o finansowaniu społecznościowym, ale zdziwiłabym się, gdyby zdołali zbierać aż trzy tysiące.

– Więc pewnie będą musieli go uspić?

– To byłoby naprawdę smutne, prawda? Ten mały jest po prostu rozczulający. Ale niestety, chyba tak to się skończy. Jeszcze większym okrucieństwem byłoby pozwolić mu żyć w takim stanie. Każdy oddech to dla niego walka.

– Dowiedz się, ile zbierali do tej pory – poprosił Brendan. – Bez względu na to, jaka to będzie kwota, dopłacę resztę.

Katie wpatrywała się w niego z niedowierzaniem. Nie wiedziała, jak zareagować. Brendan wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Cokolwiek o mnie myślałaś, wcale taki nie jestem. Może zdradziłem cię kiedyś, gdy byłem ładnych parę lat młodszy, ale teraz jestem już innym człowiekiem”.

– Poważnie? – spytała w końcu.

– Poważnie. Polubiłem tego malucha. I może namówię media, żeby nagłośniły tę sprawę. Mogłoby to być ostrzeżenie dla ludzi, którzy myślą o kupnie szczeniaka. No wiesz... żeby wiedzieli, że zwierzak musi pochodzić z porządnej zarejestrowanej hodowli, że powinien być już dość duży, by można go było wziąć od matki, że ma być zaszczepiony, odrobaczony i tak dalej.

– Jesteś pewien? Być może skończy się na tym, że będziesz musiał zapłacić całe trzy tysiące albo niewiele mniej.

– Dali mi bardzo sowitą odprawę, kiedy odchodziłem z Jednostki Wsparcia Operacyjnego. Na co miałbym wydać te pieniądze? Odkąd straciłem Radhę, nie mam komu fundować wakacji ani kupować prezentów. Mogę przynajmniej zrobić z nimi coś pożytecznego.

– To bardzo... bardzo hojny gest z pana strony, panie komendancie.

– Brendan.

– Zadzwońnię później do właścicieli Waltera i poinformuję ich o tym.

Na pewno będą skakać z radości.

Podszedł bliżej, stanął obok Katie i położył dłoń na blacie biurka, obok dokumentów. Podniosła na niego wzrok, potem spojrzała na biurko, po czym znów na niego. Oboje wiedzieli, co dzieje się między nimi.

W tym momencie zawibrował telefon Katie. Sięgnęła po niego.

– Nadkomisarz Maguire, słucham.

– Mówi Bill Phinner. Sprawdziliśmy wszystkie próbki, które przywieźliśmy z hodowli psów. Żadna z nich nie pasuje do DNA Conora Ó'Máille'a. Nie mamy ani odcisków palców, ani krwi, ani włókien z jego płaszczka.

– Rozumiem, Bill. To rozczarowujące, ale tak czy inaczej ogromne dzięki. Kiedy będziesz mógł wysłać zespół na Sidney Park?

– Pojadą tam za jakieś dwadzieścia minut, czekałem tylko jeszcze na Deirdre Hagerty. Jest świetną specjalistką, szczególnie od włosów. A jeśli chodzi o tego adidasa, którego nam zostawiłaś, to powinienem mieć wyniki analizy późnym popołudniem.

– Dzięki, Bill – odparła Katie, kończąc rozmowę.

– Złe wieści? – spytał Brendan, który wciąż stał tuż obok niej.

– Raczej brak wieści. W Foggy Fields nie ma żadnych śladów świadczących o tym, że napadnięto tam Conora. Wiedziałaś, że tak się to może skończyć, ale siostry McQuaide stanowczo zaprzeczają, że Conor kiedykolwiek tam był, a bez konkretnych śladów nie możemy im udowodnić kłamstwa. Zastanawiam się, czy nie wysłać Cairbre'a O'Creana do Ballynahina, żeby trochę tam powęszył i dowiedział się, kto mógł pobić Conora. Tyle że to też dość ryzykowne posunięcie, a mam przecież ograniczony budżet. – Raz jeszcze podniosła wzrok na Brendana. – Nie ma pan chyba już więcej funduszy, panie komendancie?



## Rozdział 30

Vasile skinął na następny samochód czekający w kolejce do mycia. Był zmęczony i miał kaca. Ponieważ padał deszcz, tego ranka do myjni ręcznej przyjechały dopiero trzy samochody, a tylko jeden kierowca dał mu napiwek. Poza tym bolało go gardło i był pewien, że się przeziębził. Poprzedniego wieczoru w Parting Glass siedział jakiś starszy facet, który ciągle kichał w jego stronę i ani razu nie raczył zasłonić dłonią ust.

Chłopak stanął przed samochodem i pokazał, by się zatrzymał. Było to czarne audi z przyciemnianymi szybami. Mihai podszedł bliżej, ciągnąc za sobą wąż z wodą, nie zdążył jednak połączyć auta, bo w tej samej chwili wysiadło z niego dwóch krępych mężczyzn w czarnych kurtkach. Vasile od razu ich rozpoznał – Danut i Marku. Wpadli kilka razy do Parting Glass na drinka, kiedyś widział też Danuta z Lupulem w McDonalddie przy St Patrick's Street.

Danut od razu ruszył w jego stronę, podczas gdy Marku podniósł rękę, pokazując Mihaiowi, by nie puszczał wody. Vasile natychmiast zrozumiał, że ma poważne kłopoty. Rzucił na ziemię wilgotną ściereczkę z irchy i ruszył biegiem w stronę stacji paliw Texaco. Zdążył jednak zrobić zaledwie kilka kroków, nim Marku wyskoczył sprzed samochodu i złapał go za rękę. Danut dopadł go od tyłu i pochwycił za ramię.

Vasile próbował się wyrwać, ale mężczyźni byli dla niego o wiele za silni.

– Odpieprzcie się ode mnie, dobra? – wydyszał.

– Zamknij jadaczkę i wsiadaj! – warknął Danut.

– Mihai! – krzyknął Vasile, lecz Mihai już się wycofywał. – Mihai, dzwonię po gliny!

Danut i Marku wepchnęli Vasilego na tylne siedzenie samochodu, po czym sami usiedli po obu jego stronach. Chłopak kopnął w tył fotela kierowcy, ale wtedy Danut uderzył go w głowę i warknął:

– Siedź spokojnie, *nenorocitule*, albo walnę cię jeszcze raz!

Mężczyźni zatrzasnęli drzwi samochodu i natychmiast ruszyli. Opony audi buksowały przez moment na mokrym betonie, a gdy w końcu pojazd wyjechał na ulicę, kierowca musiał gwałtownie skręcić w prawo, by uniknąć zderzenia z nadjeżdżającą z naprzeciwka ciężarówką. Odprowadzane wściekłym trąbieniem audi ruszyło w końcu w stronę centrum miasta.

– O co wam chodzi? – spytał Vasile. – Nic nie zrobiłem.

Mężczyzna w kurtce z postawionym kołnierzem, siedzący obok kierowcy, odwrócił się i spojrzał na Vasilego z taką nienawiścią, że chłopak zdrzął i popuścił odrobinę w spodnie. Był to Lupul, nieogolony, ze zmierzwionymi, sterczącymi na wszystkie strony włosami, przez co wyglądał tak, jakby przed chwilą poraził go prąd.

– Och, nic nie zrobiłeś, tak, ty chudy gnoju? – powiedział po rumuńsku. – A to, że podałeś mój adres gliniarzom, się nie liczy?

– Nie wiem, o czym mówisz. Nawet nie znam twojego adresu.

– Więc to czysty przypadek, że wczoraj rozmawiałeś na ulicy z dwoma gliniarzami, a dziś rano do mojego domu przyjechała cała armia?

– Nie rozmawiałem z żadnymi gliniarzami. Ktoś chce mnie zrobić.

Lupul podniósł komórkę i przytrzymał ją tak, by Vasile widział ekran. Choć obraz był dosyć ciemny, a telefon poruszał się w rytm jazdy, Vasile zrozumiał, że to nagranie przedstawiające jego spotkanie z dwoma mężczyznami na Cornmarket Street. Widać było też wyraźnie, jak jeden z nich wyjmuje portfel i odlicza pieniądze.

– Proszę, oto dowód – powiedział Lupul. – I nie próbuj nawet udawać, że ci dwaj to twoi kumple, którzy byli ci winni pieniądze. Znamy ich. To *polițai spăgar*. Brudne psy.

– Nie rozmawiałem z nimi o tobie. Jak mogłem im powiedzieć, gdzie mieszkasz, skoro tego nie wiem? Zapłacili mi, bo podałem im informacje o dwóch młodych kolesiach, którzy sprzedają w pubie dragi.

– Nie wymyślaj jakichś głupawych historyjek. Wiem, że sprzedajesz informacje temu *porc sălbatic*, Făt-Frumorowi. I wiem, że znałeś mój adres, choć nie mam pojęcia, jak go zdobyłeś. Może powiedział ci to jakiś ćpun. A może rozwoziciel pizzy. Nieważne. Ważne, że wczoraj w nocy musiałem w ciągu pięciu minut opuścić dom i że cholernie mnie to zdenerwowało. Jestem *înfuriat*.

– To nie ja. Nie mówiłem im nic o tobie. Dlaczego miałbym to robić?

– Dla pieniędzy, ty żałosny skurwielu, bo i dla czego innego?

Lupul wpatrywał się w Vasilego jeszcze przez kilka długich sekund, wykrzywiając usta w pogardliwym grymasie. W końcu odwrócił się i nie odzywał już więcej.

Jechali w deszczu, przy akompaniamencie monotonnego popiskiwanego wycieraczek. Przejechali po St Patrick's Bridge, a potem ruszyli w górę stromego zbocza ku St Luke's Cross. Vasile próbował naprędce obmyślić jakąś wymówkę, w którą mógłby uwierzyć Lupul, ale był zbyt przerażony, by zebrać myśli. Był nawet zbyt przerażony, by błagać Lupula, aby nie robił mu krzywdy.

Dotarłszy do St Luke's Cross, skręcili w Alexandra Road, wzdłuż której ciągnęły się mokre od deszczu wysokie kamienice, pomalowane

w większości na szaro, brązowo lub beżowo i ukryte częściowo za betonowym murem oraz szpalerem drzew.

Zatrzymali się mniej więcej w połowie długości drogi i wszyscy wysiedli. Vasile zauważył ze zdziwieniem, że kierowcą jest kobieta, którą za sprawą krótko przyciętych włosów i szerokich ramion brał dotąd za mężczyznę. Miała małe słowiańskie oczka, kartoflowaty nos i wielką brodawkę po lewej stronie podbródka. Kiedy na nią zerknął, odpowiedziała mu spojrzeniem tak obojętnym, jakby nie był żywym człowiekiem, lecz zdjęciem wydrukowanym na kartonowym szablonie.

Lupul otworzył pomalowaną na rudo bramkę budynku numer trzystaście i wszedł na podwórze. Kobieta ruszyła za nim, a Danut uprzejmym gestem wskazał Vasilemu, że powinien zrobić to samo.

– Mam jakiś wybór? – spytał chłopak, na co Marku parsknął pogardliwym śmiechem.

Budynek miał cztery piętra, wzniesiono go prawdopodobnie pod koniec dziewiętnastego wieku, gdy w Montenotte stacjonował brytyjski garnizon. Kiedy szli w stronę ganku po ścieżce wykładanej na wzór szachownicy czarnymi i białymi płytami, w drzwiach wejściowych pojawił się młody mężczyzna w zielonym swetrze i džinsach. Vasile zauważył, że chłopak nie wydawał się szczególnie zadowolony z wizyty Lupula, a gdy ten wszedł do klatki schodowej, młody człowiek przywarł plecami do ściany, wciągnął powietrze w płuca i odwrócił głowę, jakby bał się gościa.

Wchodząc do budynku, Vasile spojrzał na wystraszonego chłopaka, ten jednak wciąż odwracał wzrok.

Mroczne wnętrza kamienicy wypełniał zapach wilgoci i przypalonej kielbasy. Lupul przeszedł najpierw do wysokiego salonu po prawej stronie korytarza i zajrzał do środka. Vasile chciał iść za nim, lecz Danut przytrzymał go za rękaw, nakazując mu w ten sposób pozostać u podnóża schodów. Vasile widział stąd tylko jeden kraniec salonu, gdzie stało dwóch brudnych brodatych mężczyzn z rękami skrzyżowanymi na piersiach, a obok nich siedziała młoda kobieta w workowatej dresowej bluzie. Z wnętrza pomieszczenia dochodziły głosy kilku innych osób. Vasile przypuszczał, że w sumie jest ich tam co najmniej dziesięcioro.

– Wróciłem. Dajcie mi pół godziny, a zawieziemy was wszystkich do miasta i wypuścimy na ulice – powiedział Lupul, po czym wrócił do Vasilego. – Chodźmy na górę, może dowiem się w końcu, co konkretnie powiedziałaś gliniarzom.

– Przysięgam, Lupul, mówię prawdę. Nie wspomniałem o tobie ani słowem.

– Jak mnie nazwałaś?

– Przepraszam. Myślałem, że tak masz na imię.

– Mam na imię Dragos. Powinienem dać ci za to w pysk. Ale wiesz co? Nie zrobię tego. A wiesz dlaczego? Nie dlatego, że jestem miłym facetem. Po prostu nie chcę zostawiać na tobie odcisków palców ani DNA.

Vasile wpatrywał się przez chwilę w Lupulę i w końcu zaczęło do niego docierać, co oznaczają jego słowa. Zaskomlał niczym dziecko, osunął się na podłogę i ruszył na czworakach w stronę otwartych drzwi wejściowych. Nim tam dotarł, młody mężczyzna w zielonym swetrze zatrzasnął je z hukiem. Vasile wstał i próbował sięgnąć do gałki, ale Danut i Marku ujęli go pod ręce i pchnęli bezceremonialnie na schody.

– Wejdiesz na górę sam czy mamy cię tam wyciągnąć za jaja? – spytał Lupul.

Chłopak pochylił się na bok, wykrzywając twarz w grymasie cierpienia. Czuł przeszywający ból w prawym boku. Był pewien, że upadając na schody, złamał co najmniej dwa żebra. Lupul czekał w milczeniu, podczas gdy Vasile się odwrócił i powoli ruszył na czworakach w górę schodów, posykując z bólu przy każdym ruchu. W końcu dotarł na podest przykryty wytartym chodnikiem, który cuchnęła wilgocią i zgnilizną. Chwycił się poręczy i powoli podniósł na równe nogi. Gdy tylko stanął prosto, Danut i Marku pchnęli go w stronę otwartych drzwi sypialni. Vasile jęknął z bólu i przerażenia wywołanego myślą o tym, co może go za chwilę spotkać. Kiedy wszedł chwiejnym krokiem do pokoju, zaczął płakać.

Okno sypialni przesłaniały popękane żaluzje, a całe jej umeblowanie stanowiło jednoosobowe łóżko z brudnym materacem w paski. Na ścianie nad łóżkiem wisiały pomarszczone kalendarz z 2002 roku i wyblakły obraz przedstawiający Jezusa w otoczeniu dzieci.

Lupul wszedł do pokoju.

– No i czego się mażesz? – spytał. – Jesteś dzieckiem czy co? Pomyśl, co stałoby się ze mną, gdyby dziś rano dopadli mnie gliniarze. I to przez ciebie, ty mały *poponar*! Mogliby mnie wyrzucić z Irlandii, a wtedy przepadłoby wszystko, na co tak ciężko pracowałem!

Vasile otarł palcami łzy z policzków.

– Przysięgam, że nie podałem gliniarzom twojego adresu! Przysięgam na moją matkę!

– *Futu-ți Cristoșii mă-tii!* – odparował Lupul, dając znak Danutowi i Marku.

Rzucili Vasilego na łóżko, twarzą do materaca. Chłopak krzyknął z bólu, ale zignorowali jego jęki; Danut usiadł mu okrakiem na plecach.

W rogu pokoju stała wysoka komoda, pokryta mocno już zniszczonym fornirem, na której leżała czarna bezprzewodowa wiertarka.

– Marku – powiedział Lupul, sięgając po narzędzie i podając je swemu towarzyszowi.

Ten wziął od niego wiertarkę i przekazał ją Danutowi. Potem mocno pochwycił Vasilego za uszy, wciskając jego głowę w materac z taką siłą, że chłopak ledwo mógł oddychać. Danut wymacał zgrubienie w tylnej części czaszki Vasilego i ustawił wiertło tuż pod kciukiem.

– No, dalej – polecił Lupul. – Im szybciej się go pozbędziemy, tym lepiej. Mały *poponar*.

Wiertło z głośnym wyciem wbiło się w głowę Vasilego. Chłopak szarpał się i miotał, lecz Marku mocno trzymał go za głowę, a Danut przygniatał go ciężarem własnego ciała do materaca. Vasile zadygotał raz jeszcze, gdy Danut poruszał wiertłem na boki, niszcząc całkowicie pień mózgu, po czym znieruchomiał na dobre.

Danut wyjął wiertło i zszedł z materaca, a Marku wypuścił uszy Vasilego.

– Co z nim teraz zrobimy? – spytał Danut, rozglądając się w poszukiwaniu czegoś, czym mógłby wytrzeć wiertło.

– To samo co z innymi, oczywiście – odparł Lupul.

– Jesteś pewien, że on go weźmie?

– A czemu miałyby nie wziąć? Płacimy mu chyba wystarczająco dużo, nie?

– Tak, ale gliniarze przeszukali niedawno jego zakład. Może będzie chciał się wycofać na jakiś czas.

– Nic nie znaleźli, bo niczego tam nie było. To właśnie jest w tym najpiękniejsze. Tak czy inaczej, zadzwonię do niego, przyjedzie tu później i zabierze to ścierwo.

– W porządku.

Lupul spojrzął na ciało Vasilego i przeżegnał się.

– Spoczywaj w pokoju, mały *poponar* – powiedział, po czym uśmiechnął się szeroko. – Teraz już wiesz, że nie warto donosić na Dragosa Iliescu.

Danut i Marku czekali na niego w korytarzu. Lupul wyszedł z pokoju, zamknął drzwi na klucz i zabrał go ze sobą.

– No dobrze. Zawieźmy teraz tych łachmaniarzy do miasta, niech zaczną w końcu na nas zarabiać.

## Rozdział 31

Katie jadła przy biurku sałatkę serową z Marksa & Spencera, kiedy doktor Kelley przesłała jej mailem raport z sekcji zwłok Williama „Bowsera” Barretta. Gdy go czytała, najpierw zaczęła przeżuwać coraz wolniej, potem całkiem przestała, a w końcu odłożyła plastikowy widelec.

Przyczyną śmierci były dwa strzały z pistoletu w głowę. Jeden z pocisków – parabellum o średnicy 9 mm – utknął w czaszce denata. Rany wlotowe z przodu głowy są identyczne, co wskazuje na to, że wystrzelono je z tej samej broni. Urazy powstałe w tylnej części głowy były śmiertelne, jak należałoby się spodziewać. Jednak prócz uszkodzeń będących wynikiem postrzału znalazłam mniejszą ranę na skórze, pozostawioną najprawdopodobniej przez wiertło niemal dokładnie w tym samym miejscu, w którym wywiercono otwory w czaszkach Gearoida Ó Bearghy i Matty’ego Donoghue. Wiele wskazuje na to, że ktoś próbował w ten sam sposób zabić Williama Barretta, lecz z jakiegoś powodu nie zdołał tego zrobić, pozostawił więc na jego głowie tylko powierzchowną ranę.

Doktor Kelley dołączyła do raportu kilka fotografii oraz skan z rezonansu magnetycznego, na którym widoczna była kula tkwiąca wciąż w głowie ofiary. Bill Phinner jeszcze nie poinformował Katie, czy technicy znaleźli drugi pocisk. Może wbił się w drzwi na tyłach Crane Lane Theatre albo odbił się od ściany i poleciał na nabrzeże. Wystarczyła im jednak jedna kula, by zidentyfikować broń, z której padł strzał... zakładając, że znajdą tę broń.

Do drzwi gabinetu Katie zapukał detektyw komisarz Mulliken.

– Przepraszam, że przerywam ci lunch, ale przyjechał właśnie adwokat naszego trumniarza. Nie kto inny jak J.P. Foley.

– O Boże. Tylko nie Foley. Irlandzkie wcielenie Atticusa Fincha, tego prawnika z *Zabić drozda*. A przynajmniej on sam lubi tak o sobie myśleć.

– Na dole jest Kyna. Uporała się już z papierkową robotą. Jak mamy go potraktować?

– Właściwie najchętniej przestrelałabym mu oba kolana. Ale tak naprawdę chodzi nam o Lupula, a nie tego żalosego szmaciarza.

Musimy więc raczej zdobyć zaufanie trumniarza, przekonać go, że jeśli zechce z nami współpracować, nie wyjdzie na tym źle.

– Jeśli tylko Foley nie doradzi mu, żeby milczał.

– Zobaczymy. Nawet wielki J.P. wie, że nie można dźgnąć policjantki nożem w oko, i to w obecności wielu świadków, i zakładać, że sędzia machnie na to ręką. Jeszcze jedno, Tony. Nie wspominaj przy trumniarzu, że wiemy, jak zginęli Gearoid Ó Beargha i Matty Donoghue. Bez względu na to, czy zabił ich Lupul, czy ktoś inny, chcę, żeby sprawca wciąż był przekonany, że uszło mu to na sucho.

Przeszli na dół, do pokoju przesłuchań. J.P. Foley siedział obok Costescu, wstał jednak, gdy Katie i Mulliken weszli do pomieszczenia. Był wysoki, miał ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu, pociągłą twarz i szeroko rozstawione małe oczka, które upodabniały go nieco do ryby. Siwe włosy cesał w fale i jak zwykle był w granatowym trzyczęściowym garniturze, ze znaczkiem masonów wpiętym w klapę marynarki.

– Nadkomisarz Maguuuaie – przywitał ją głębokim barytonem z dublińskim akcentem, wyciągając rękę. – Kiedyż to po raz ostatni skrzyżowaliśmy miecze? Proces O’Flynna, prawda? Uważam, że tamta sprawa zakończyła się sprawiedliwym remisem.

– Naprawdę? – Katie uniosła brwi. – Cóż... Tomás O’Flynn został uznany za winnego nieumyślnego spowodowania śmierci, a nie zabójstwa, więc pewnie może pan to uznać za połowiczny sukces.

Zignorowała wyciągniętą rękę prawnika i zajęła miejsce przy stole, obok Kyny. Zauważyła, że Kyna wygląda tego dnia wyjątkowo elegancko i ładnie – zaplotła blond włosy w warkocz, który ułożyła w kółko na czubku głowy, a na policzki nałożyła odrobinę różu. Ładnie też pachniała, perfumami z nutą bergamotki i kwiatów pomarańczy.

Mulliken usiadł obok niej i otworzył teczkę z dokumentami.

– Mój klient, Andrei Costescu – zaczął J.P. Foley – jest oskarżony o napaść skutkującą poważnymi obrażeniami ciała ofiary.

– Wbił nóż w oko detektyw Bedelii Murrish i tym samym częściowo pozbawił ją wzroku – odparła Katie. – Wydaje mi się, że to poważne uszkodzenie ciała, nie sądzi pan?

– Mój klient nie zaprzecza, że miał nóż ukryty w sprzączce pasa, który to nóż spowodował obrażenia detektyw Murrish. Zapewnia jednak, że zranił ją zupełnie przypadkowo, gdy nagle i niespodziewanie rzuciła się na niego, pozbawiając go równowagi. Nie miał najmniejszego zamiaru wyrządzić jej krzywdy i jest mu ogromnie przykro z powodu tego, co się stało.

– Panie mecenasie, byłam świadkiem tej napaści, podobnie jak obecny tu detektyw komisarz Mulliken – oświadczyła Katie. – Pański klient rzucił się do wyjścia i usiłował uciec z tego pokoju w trakcie

przesłuchania. Detektyw Murrish próbowała go powstrzymać, a wtedy wyjął nóż i celowo ją pchnął. Nie ma tu mowy o żadnym przypadku.

– Tylko dlaczego rzucił się do wyjścia i usiłował uciec? – spytał J.P. Foley, podnosząc palec w teatralnym geście, jakby właśnie otrzymał wiadomość od samego archanioła Gabriela. – Otóż zrobił to, bo zagroziła mu pani, że powiadomi pani niejakiego Dragomira Iliescu, jakoby mój klient przekazał pani informacje na jego temat. Że go podkablował, jak to się mówi potocznie. A ponieważ ów Dragomir Iliescu słynie z tego, że mści się brutalnie na każdym, kto ośmieli się go zdradzić, mój klient, co zrozumiałe, był przerażony i obawiał się o swoje życie.

Katie pokręciła głową.

– Nigdy nie groziliśmy, że powiemy Dragomirowi Iliescu, że pański klient przekazał nam jakiegokolwiek informacje na jego temat, panie mecenasie. Choćby dlatego, że nie mieliśmy najmniejszego pojęcia, gdzie możemy go znaleźć. Przynajmniej wtedy.

– Niemniej jednak mój klient odniósł takie właśnie wrażenie. Proszę pamiętać, że jego znajomość angielskiego jest znacznie ograniczona.

– Nawet gdyby rzeczywiście był śmiertelnie przerażony, nie powinien sięgać po nóż.

– Zrobił to w obronie własnej. Wpadł w panikę. Poza tym nie był aresztowany, zatem zgodnie z prawem mógł w każdej chwili opuścić to pomieszczenie. Ogromnie ubolewamy nad tym, co spotkało detektyw Murrish, był to jednak nieszczęśliwy wypadek, a mój klient będzie się domagał oczyszczenia z zarzutów.

Katie przez moment patrzyła na J.P. Foleya spod przymrużonych powiek, jakby się nad czymś intensywnie zastanawiała.

– Proszę nie robić sobie złudzeń, panie mecenasie – odezwała się w końcu. – Osobiście zeznam, że pański klient ugodził detektyw Murrish nożem z oczywistym zamiarem wyrządzenia jej poważnej krzywdy. Podobne zeznania złożą inni funkcjonariusze obecni przy tym przesłuchaniu: detektyw komisarz Mulliken i detektyw Markey. Zaprzeczę również kategorycznie, jakoby ktokolwiek groził pańskiemu klientowi.

– Poza tym – wtrąciła Kyna – jak to się stało, że pański klient zna Dragomira Iliescu, i dlaczego tak bardzo się go boi?

– Co? – mruknął J.P. Foley z irytacją, jakby Kyna mu się naprzykrzała. Przez chwilę przeglądał dokumenty, po czym dodał: – Bez komentarza.

Kyna nie dawała jednak za wygraną.

– Dragomir Iliescu jest podejrzewany o liczne przestępstwa, między innymi o prowadzenie gangu żebraków w Cork. Zabraliśmy pańskiego klienta z St Patrick's Street, gdzie siedział z kartką z napisem „BEZ PRACY PROSZĘ O DATKI” i miską, do której przechodnie mieli wrzucać pieniądze. Jest Rumunem. Przybył do Irlandii w tym samym czasie, co



Dragomir Ilescu i kilku innych Rumunów. Czy może nas zapewnić, że nie należy do żebraczego gangu Ilescu?

– Bez komentarza – powtórzył J.P. Foley. – Poza tym fakt, że zna się jakiegoś przestępcę, sam w sobie nie jest wykroczeniem, inaczej wszyscy już dawno siedzielibyśmy za kratkami, prawda? Ha ha!

– To niezbyt przekonujący argument, panie mecenasie – powiedziała Katie. – Ale mogę panu zdradzić w tajemnicy, że dowiedzieliśmy się z innego źródła, gdzie możemy znaleźć Ilescu. Zajął bezprawnie dom przy Sidney Park, w Montenotte. Dziś rano pojechaliśmy do tej posiadłości i mogę zagwarantować, że pański klient nie ma się już czego obawiać.

Trumniarz do tej pory wpatrywał się w blat stołu, lecz gdy tylko Katie wypowiedziała słowa „Sidney Park”, podniósł gwałtownie głowę i wbił w nią wzrok. Gdy umilkła, pochylił się do prawnika i powiedział mu coś, osłaniając dłonią usta, by pozostali nie mogli go usłyszeć ani odczytać niczego z ruchu warg. J.P. Foley kiwał w milczeniu głową.

– Wciąż jednak zbieramy informacje – kontynuowała Katie. – Dowiedzieliśmy się, gdzie przebywa Ilescu, przypuszczamy jednak, że członkowie jego gangu przebywają pod jakimś innym adresem, gdy nie pracują na ulicach. Co oczywiste, Ilescu nie zechce nam podać tego adresu, więc jestem gotowa złożyć pańskiemu klientowi ofertę.

– Pani nadkomisarz, czy chce pani przez to powiedzieć, że Dragomir Ilescu został aresztowany? – spytał prawnik.

– Nie słyszał pan, co mówiłam? Powiedziałam, że mogę złożyć pańskiemu klientowi ofertę. Jeśli poda nam adres tego domu i znajdziemy tam pozostałych członków gangu, być może zmienię oskarżenie na napaść skutkującą niewielkimi obrażeniami. Jak pan dobrze wie, takie sprawy są rozstrzygane w trybie uproszczonym, a gdyby nawet pański klient został uznany za winnego, sędzia ukarałby go co najwyżej grzywną w wysokości tysiąca pięciuset euro lub dwunastoma miesiącami więzienia.

– Więc aresztowaliście Dragomira Ilescu?

– Panie mecenasie, nie będę kolejny raz przedstawiać panu tej oferty. Ilescu nie został jeszcze oskarżony, ale gwarantuję, że pański klient nie ma się czego obawiać.

– Doskonale. Będziemy potrzebowali kilku minut, żeby się naradzić.

– Oczywiście. – Katie skinęła głową, po czym wraz z Mullikenem i Kyną wstała od stołu i wyszła z pokoju przesłuchań.

– Przyznam, że czegoś tu nie rozumiem – powiedział Mulliken, kiedy znaleźli się na korytarzu. – Nie dopadliśmy jeszcze Lupuła, prawda?

– Nie, oczywiście, że nie. Powiedziałam tylko, że nie został jeszcze oskarżony, co jest zgodne z prawdą, bo go nie znaleźliśmy, o oskarżeniu nie wspominając.

– Ale zapewniłaś tego człowieka, że nie musi się go więcej obawiać – przypomniała jej Kyna.

– Bo nie będzie musiał, jeśli trafi do więzienia w Mountjoy za napaść skutkującą poważnymi obrażeniami.

– Chwileczkę. Obiecałaś, że jeśli poda nam adres drugiego domu Lupula, zmienisz zarzut na napaść skutkującą niewielkimi obrażeniami.

– Wcale nie. Powiedziałam, że być może to zrobię. Ale jeśli się nad tym dłużej zastanowię, to jak sądzisz, do jakiego dojdę wniosku? Ten gnojek pozbawił biedną Bedelię oka i tylko cudem jej nie zabił.

– Foley z pewnością zwrócił uwagę na to, jak to ujęłaś, nie sądzisz? – powiedział Mulliken. – Wygrywa większość spraw, bo dzieli włos na czworo.

– Przypuszczam, że zwrócił na to uwagę, ale nie ma zbyt wielkiego pola manewru. Wie, że żaden sędzia nie uniewinni trumniarza, więc może przystanie na łagodniejsze zarzuty, nawet jeśli z mojej strony była to tylko luźna propozycja.

– Hm... ciekaw jestem, co postanowią.

– Tony, musimy dopaść Lupula, a jeśli się dowiemy, gdzie ukrywa swoich żebraków, kiedy nie pracują w mieście, w końcu nam się to uda. Teraz wszyscy są na ulicach, ale nie możemy ich śledzić, bo są bardzo czujni. Nie możemy też ściągać ich tu na przesłuchanie, bo wtedy zaraz doczepią się do nas różne organizacje pomocowe i dostanie nam się za nękanie bezdomnych, a tego rodzaju rozgłosu bardzo byśmy nie chcieli. Poza tym mogę się założyć, że połowa z nich nie zna angielskiego, a druga połowa nawet nie wie, do jakiego trafiła kraju.

Katie umilkła, gdy drzwi pokoju przesłuchań otworzyły się i stanął w nich J.P. Foley.

– Mój klient podjął decyzję – oznajmił.

Katie, Kyna i Mulliken wrócili do pokoju i usiedli przy stole. Rumun był wyraźnie spięty, nerwowo kiwał nogą pod stołem.

– Jeśli zarzuty wobec mojego klienta zostaną zmienione na nieumyślne uszkodzenie ciała, będzie z wami współpracował i poda informacje, o które prosicie.

– Nieumyślne uszkodzenie ciała? – parsknęła Katie. – Mówi pan poważnie?

– Przyznaje, że nie powinien był próbować stąd wyjść w takim pośpiechu, ale wasze groźby ogromnie go zaniepokoiły. Wyjął nóż ze sprzączki zupełnie przypadkowo, gdy detektyw Murrish chciała go obezwładnić. Tak się nieszczęśliwie złożyło, że podczas szarpaniny ostrze trafiło ją w oko. Postąpił nierozważnie, owszem, ale poza tym nie zrobił nic złego.

Katie spojrzała na Kynę i Mullikena, po czym z trzaskiem zamknęła teczkę z dokumentacją.

– Do widzenia, panie mecenasie. Uważam tę rozmowę za zakończoną.

J.P. Foley odchylił się na oparcie krzesła i postukał palcami w blat stołu.

– Inaczej nie wydobędzie pani tych informacji od mojego klienta, pani nadkomisarz.

– W takim razie może je zatrzymać dla siebie. Oskarżymy go o napaść skutkującą poważnymi obrażeniami ciała, a jak pan wie, to poważne przestępstwo, za które może dostać nawet dożywocie.

Adwokat westchnął ciężko.

– Niech będzie napaść – zgodził się.

Katie bez słowa wstała z krzesła, sięgnęła po dokumenty i włożyła je pod pachę. Kyna i Mulliken również podnieśli się z miejsc.

– Dobrze, napaść skutkująca niewielkimi obrażeniami – odezwał się ponownie J.P. Foley.

Omijając spojrzeniem trumniarza, Katie zwróciła się do prawnika:

– Jaki to adres?

– Najpierw proszę o jakąś gwarancję, pani nadkomisarz. Napaść skutkująca niewielkimi obrażeniami ciała.

– Nie ma adresu, nie ma gwarancji, panie mecenasie.

Na chwilę w pokoju zapadła pełna napięcia cisza. Adwokat przygryzał wargi i wybałuszał mimowolnie oczy, co jeszcze bardziej upodabniało go do ryby. Andrei przestał kiwać nogą.

– Cóż, widzę, że dokonaliście wyboru – rzuciła w końcu Katie, odwracając się do wyjścia.

– Pani nadkomisarz! – zawołał J.P. Foley, po czym nieco już ciszej dodał: – Zechce pani jeszcze trochę poczekać, dobrze?

Podsunał Rumunowi czystą kartkę i ołówek. Andrei zapisał adres i oddał kartkę. Prawniki zgięli ją na pół i przekazali Katie.

– Dziękuję bardzo – powiedziała. – Zanim rozważę złagodzenie zarzutów wobec pańskiego klienta, będę musiała sprawdzić, czy to właściwy adres, i przedyskutować tę sprawę z komendantem O’Kane’em, a być może również z zastępcą komendanta głównej, panem Magorianem. Chodzi przecież o napaść, która mogła się zakończyć śmiercią policjantki.

– I to ma być umowa? – zaprotestował J.P. Foley. – Podając pani ten adres, mój klient ryzykuje życie, a co pani daje mu w zamian? Nic! Kompletnie nic! Mogę złożyć na panią skargę do komisji etyki zawodowej!

– Ma pan takie prawo, panie mecenasie. Ale proszę się nie zdziwić, jeśli nic pan nie wskóra.

## Rozdział 32

Katie wróciła do swojego gabinetu razem z Kyną i Mullikenem. Włączyła komputer i odszukała na mapie Google adres podany przez Costescu – budynek przy Alexandra Road, w pobliżu St Luke’s Cross – oraz zdjęcia satelitarne tego miejsca.

– To te stare kamienice, prawda? – powiedziała. – Dowiedzmy się, do kogo należy ta konkretna i czy aktualnie jest wynajęta, a jeśli tak, to czyje nazwisko widnieje na umowie najmu. Stawiam dolary przeciwko orzechom, że nie będzie to Dragomir Iliescu.

– O ile dobrze pamiętam, ta dziewczynka, Ana-Maria, mówiła, że przywiózł ze sobą ponad dwudziestu żebraków, więc nawet jeśli połowa z nich śpi na ulicach, to żeby zatrzymać resztę, będziemy musieli przeprowadzić całkiem sporą akcję – zauważył Mulliken. – Trzeba będzie w to wciągnąć co najmniej kilka osób z urzędu imigracyjnego, być może także opiekę społeczną, jeśli się okaże, że są tam również dzieci.

– Chcę wysłać Daleya i Cailin na Alexandra Road, żeby obserwowali ten budynek, na wypadek gdyby rzeczywiście pojawił się tam Lupul – oznajmiła Katie. – Choć nie mam pojęcia, czy rozpoznają go na podstawie mojego szkicu. Wygląda na nim jak skrzyżowanie Dáithi Ó Sé, Conora McGregora i Bono bez okularów, więc módlmy się, żeby miał na sobie tę samą szarą kurtkę, w której go widziałam. Na portrecie pamięciowym też nie do końca przypomina siebie.

– Więc kiedy chciałabyś tam wejść? – spytała Kyna.

– Myślę, że najlepiej będzie zrobić to około czwartej nad ranem. Być może na noc wraca tam tylko kilku żebraków, ale złapalibyśmy przynajmniej tych, kiedy będą spać w najlepsze. Wcześniej raczej nie warto się tam wybierać, bo większość klubów, takich jak Havana Browns czy Voodoo Rooms, zamyka się przed czwartą, więc żebracy, którzy nie śpią na ulicach, będą się wtedy jeszcze kręcić po centrum miasta i wyciągać pieniądze od pijaków. Tony, byłabym wdzięczna, gdybyś razem z Robertem Fitzpatrickiem zajął się przygotowaniem do tej akcji. Ja muszę sprawdzić, jak się mają Bedelia, Nicholas i Padragain. Wygląda na to, że mam więcej detektywów w szpitalu niż tutaj, na Anglesea Street.

Mulliken skinął głową.

– Jasne. Zaraz zejść z Robertem na dół, do Michaela Pearse’a. Moim zdaniem będziemy potrzebowali przynajmniej dwunastu mundurowych, w tym co najmniej czterech z jednostki specjalnej... no i ludzi z urzędu imigracyjnego. Przydałby się też autobus, do którego moglibyśmy wsadzić tych żebraków. Jak myślisz, kiedy wrócisz?

– Mam nadzieję, że z Bożą pomocą wszyscy wracają do zdrowia, więc nie powinno to trwać zbyt długo – odparła Katie, robiąc znak krzyża. – Powoli zaczyna mi brakować świętych, do których mogłabym się modlić.

\* \* \*

Kiedy Katie zapinała granatowy gruby płaszcz, wybierając się do szpitala, odezwał się jej iPhone. Dzwonił komendant Declan O’Shea z Clonakilty.

– Na razie nie mamy nic ciekawego – oznajmił. – Kilku chłopaków ze Skibbereen pojechało rano tą drogą, ale znaleźli tam tylko trzy prywatne domy i hodowlę świń. Żaden z mieszkańców tych domów nie słyszał o tym waszym rzeźniku. Facet, który prowadzi hodowlę, też twierdzi, że go nie zna. Nazywa się Cathal Kilmartin. W Skibbereen dobrze go znają, zwłaszcza w barze Corner. To pijaczyna, ale nieszkodliwy.

– Hodowla świń? Obejrzel ją w środku?

– Tak, chcieli sprawdzić, czy nie ma tam jakichś śladów bytności tego rzeźnika.

– Znaleźli coś?

– Świnie, oczywiście.

– Oczywiście. Ale mam na myśli coś nietypowego. Coś, czego raczej nie należy się spodziewać w hodowli świń.

– Nic takiego nie rzuciło im się w oczy. Pytali tego Cathala Kilmartina o waszego rzeźnika, Eamona... jak mu tam? Ale twierdził, że nigdy o nim nie słyszał.

– Eamona Buckleya – odpowiedziała Katie.

– O właśnie. Eamon Buckley.

– A co z napadem na naszych ludzi pod hotelem West Cork? Nie znaleźliście żadnych świadków? Nikt nie widział, jak niszczone samochód i pobito dwójkę detektywów?

– Nie. Przesłuchali wszystkich pracowników hotelu, którzy wtedy pracowali. I zastępcę menadżera. Ale nikt niczego nie widział. Ani nie słyszał. Aha, samochód załadowaliśmy na lawetę, powinien być w drodze do pracowni techników kryminalistycznych... jeśli już tam nie dotarł.

– W porządku, Declan, dzięki. Poproś swoich chłopaków, żeby wypatrywali Eamona Buckleya, a gdyby znów pojawił się w Skibbereen,

niech za nim jadą. Masz opis i numer rejestracyjny jego samochodu, prawda?

– Tak. I zajmę się tym, możesz być spokojna.

Katie odłożyła telefon i powtórzyła cicho:

– Świnie, oczywiście.

W tym samym momencie do biurka podeszła Moirin, by zabrać pustą filiżankę po kawie.

– Powiedziała pani „świnie”, pani nadkomisarz?

– Owszem, Moirin. Ale nie mam teraz czasu, żeby ci to tłumaczyć.

\* \* \*

Detektyw Scanlan siedziała w szpitalnym pokoju, w białym golfie i dżinsach, i oglądała telewizję. Jej podbite oczy wyglądały jak ślepiaszopa pracza, a prawy policzek był mocno spuchnięty, lecz na widok Katie uśmiechnęła się szeroko.

– Jak samopoczucie, pani nadkomisarz?

– Biorąc pod uwagę okoliczności, nie najgorsze, Padragain. Ale mnie bardziej interesuje, jak ty się czujesz?

– O Jezu, ciągle cholernie boli mnie głowa. Dali mi ibuprofen, ale chyba poproszę ich o coś mocniejszego. Zrobili mi tomografię głowy i nie znaleźli żadnych obrażeń mózgu, Bogu dzięki. Powiedzieli mi, że jeszcze dziś wyjdę do domu, kiedy tylko lekarz mnie wypisze.

– Jak myślisz, do kiedy będziesz na zwolnieniu? Nie zrozum mnie źle, wcale cię nie poganiam. Możesz sobie wziąć tyle wolnego, ile tylko zechcesz.

– Trzy, może cztery dni. Nie więcej. Chcę jak najszybciej wrócić do pracy i dopaść bandziorów, którzy nas tak załatwili. Była już pani może u Nicholasa? Jedna z pielęgniarek obiecała, że powie mi, jak on sobie radzi, ale nie widziałam jej od tamtej pory.

– Przed chwilą do niego zajrzałam – odparła Katie. – Dostał środki uspokajające i śpi. Pielęgniarka powiedziała mi, że ma pękniętą czaszkę, ale na szczęście kość nie została odkształcona, więc powinien dojść do siebie w ciągu pięciu do dziesięciu tygodni. Później będę jeszcze rozmawiać z jego lekarzem, doktorem Murphym, kiedy już będzie wolny. Podobno w okolicach Innishannon autobus zderzył się z ciężarówką i kilku pasażerów doznało obrażeń głowy, więc na razie zajmuje się nimi.

– A co z Eamonem Buckleyem? – spytała Scanlan. – Wiemy już, dokąd jechał tą pełną drogą?

– Zanim tu przyjechałam, dzwonił do mnie komendant O’Shea z Clonakilty. Mówił, że przy tej drodze jest tylko kilka prywatnych domów i hodowla świń. Jej właściciel nigdy nie słyszał o Buckleyu...

a przynajmniej tak twierdzi. Możliwe, że Buckley wjechał na tę drogę tylko po to, żeby was zgubić. Najwyraźniej wiedział, że go śledzicie i jakim samochodem jedziecie.

– Nie mogę uwierzyć, że daliśmy się tak łatwo nabrać. I na dodatek jak ostatni idioci zatrzymaliśmy się na kolację w Skibbereen. Gdybym choć przez sekundę przypuszczała, że Buckley zawróci i pojedzie za nami, kazałabym Nicholasowi wcisnąć gaz do dechy i zawieźć nas z powrotem do Cork najszybciej, jak się da. Albo jeszcze szybciej.

Katie wyciągnęła rękę i uściśniła jej dłoń.

– Nie rób sobie wyrzutów, Padragain. To mogło się przytrafić każdemu. Obserwujemy teraz Buckleya przez całą dobę. Dziś z samego rana otworzył sklep, więc to raczej mało prawdopodobne, by spędził noc w Skibbereen. Gdy tylko zaparkował samochód, przyczepiliśmy do niego lokalizator GPS, więc nie trzeba będzie śledzić go osobiście.

– Może i nie – mruknęła Scanlan. – Ale jak wydobrzeję, dobiore mu się do skóry, może być pani tego pewna. A gdy tylko go przymknę, pożałuje, że kiedykolwiek spotkał mnie na swojej drodze.

Katie pokręciła głową z rozbawieniem. Jeszcze przez dziesięć minut rozmawiała z detektyw Scanlan, głównie o jej rodzinie i o tym, kiedy odwiedzi ją chłopak, a potem przeszła korytarzem do sali, w której leżała detektyw Murrish.

Ta siedziała na łóżku, oparta o dwie poduszki; jej lewe oko zakrywał gruby opatrunek. Wciąż była pod wpływem środków przeciwbólowych i uspokajających, mówiła więc powoli i nieco bełkotliwie, robiąc długie pauzy między zdaniami. Mimo to zdołała wypytać Katie, jak idzie polowanie na Lupula i kiedy Andrei Costescu stanie przed sądem.

– Lekarz powiedział, że dadzą mi protezę oka – powiedziała potem. – Szklane oko, innymi słowy. Mówił, że będzie się poruszać tak samo jak to zdrowe i nikt nie zauważy różnicy. Więc będę mogła wrócić do pracy, prawda?

– Jesteś pewna, że tego chcesz? Spotkało cię coś bardzo traumatycznego, Bedelio. Możesz wziąć sobie tyle wolnego, ile tylko zechcesz, żeby dojść do siebie i zastanowić się, czy na pewno chcesz wrócić.

– Co? Podpuszcza mnie pani, prawda? Oczywiście, że chcę wrócić! Praca detektywa zawsze była moim największym marzeniem, od dzieciństwa. Chowałam lizaki brata, mówiłam mu, że zabrał je złodziej, a potem brałam szkło powiększające, szukałam ich po całym domu i pokazywałam z dumą, jak je znalazłam.

Katie uśmiechnęła się.

– Znajdziemy dla ciebie miejsce na Anglesea Street, nie martw się. I będziesz się zajmowała trochę poważniejszymi sprawami niż chowanie lizaków.

– Bo chyba nic nie stoi na przeszkodzie, żebym nadal była detektywem, prawda? – pytała Bedelia. – Weź choćby takiego Columbo. On też miał szklane oko i to takie, które się nawet nie ruszało.

\* \* \*

Na koniec Katie zostawiła sobie wizytę u Conora. Okazało się, że ma całą głowę owiniętą bandażami, które odsłaniały jedynie oczy, usta i nozdrza.

– Wiem, że wyglądam jak Niewidzialny Człowiek – wychrypiał. – Mam całkiem zatknięty nos i ledwie cię widzę, ale... choć trudno w to uwierzyć... czuję się o wiele lepiej. Pewnie dzięki morfinie. Jest cudowna. Teraz rozumiem, dlaczego ludzie się od niej uzależniają.

– Był dziś u ciebie doktor Sandhu?

– Tak. I jest bardzo zadowolony. Mówi, że rany goją się znacznie szybciej, niż przypuszczał.

Katie milczała przez chwilę.

– Wczoraj byliśmy w Ballynahina – odezwała się w końcu. – Ja, Kyna i dwóch techników kryminalistycznych. Przyjechałam tu wczoraj w nocy, żeby opowiedzieć ci o wszystkim, ale byłeś nieprzytomny.

– Och, naprawdę? I co?

– Nic, niestety. Żadnych dowodów, że tam byłeś, żadnych śladów napastnika. Zero krwi, włosów czy włókien z ubrań. Nic.

– Rozmawialiście z tymi przerażającymi siostrami McQuaide?

– Owszem. Niezła z nich parka, co? Ale zaprzeczały stanowczo, jakobyś kiedykolwiek u nich był. Twierdziły, że nie znają żadnego faceta, który mógłby cię pobić, nawet gdybyś rzeczywiście się tam zjawił.

Conor odwrócił głowę, jakby nie chciał, by Katie zobaczyła, jak bardzo rozzłościły i rozczarowały go te wieści.

– Con? – Położyła dłoń na kocu. – Con, jeszcze z tym nie skończyłam. W Ballynahina na pewno znajdzie się ktoś, kto zna tego człowieka. A hodowla jest w tak fatalnym stanie, że prawdopodobnie rozpoczniemy dochodzenie, zapewne razem z ISPCA.

Conor ponownie odwrócił się do niej.

– Tak czy inaczej, one będą zaprzeczać, że pobito mnie na ich terenie, prawda? A jeśli nie znajdziecie żadnych dowodów...

– Niekoniecznie. Możemy im obiecać, że nie będziemy się domagać całkowitego zamknięcia hodowli, jeśli przyznają, że zostałeś tam pobity, i powiedzą nam, kto to zrobił.

– Ale w tym właśnie tkwi cały problem, Katie! Musimy zamknąć tę hodowlę! A one powinny trafić do więzienia za to, jak traktują te biedne suki i szcenięta! Boże Wszechmogący, gdyby zrobiły coś podobnego



człowiekowi, czekałoby je pięć, a może i dziesięć lat w kobiecym skrzydle w Limerick!

– Con... dobrze wiesz, że jeśli chodzi o zamknięcie hodowli, nie możemy liczyć na wsparcie polityków i że większości ludzi po prostu to nie obchodzi. „Co jest złego w hodowaniu szczeniąt? Przecież są takie słodkie!” A jak nie są już takie słodkie, kiedy parę razy zsikały się na dywan albo trzeba wyłożyć kilkaset euro na weterynarza, można je zostawić gdzieś na odludziu albo wyrzucić z samochodu przy drodze.

Nie odpowiedział jej od razu. Sięgnął do stolika przy łóżku i napełnił szklanke wodą. Gdy ją wypił i otarł usta wierzchem dłoni, poprosił:

– Opowiedz, co jeszcze robiłaś.

– Con... Obiecuję, że nie odpuszczę tej sprawy.

– Daj spokój, Katie. To już nie ma znaczenia. Nie da się naprawić tego, co mnie spotkało, więc co to za różnica, czy facet spędzi kilka miesięcy w domu, czy za kratkami? Będzie oglądał telewizję, dostawał trzy posiłki dziennie i widywał się z żoną czy dziewczyną. Będzie jej mógł mówić, co zrobią razem, kiedy wyjdzie na wolność. Ja nie mogę ci tego powiedzieć... ani teraz, ani w przyszłym tygodniu, ani w przyszłym roku, ani nigdy, do końca życia.

– Byłoby chyba dobrze, gdybyś porozmawiał z psychoterapeutą, jak sugerował doktor Sandhu – powiedziała Katie. – Wspomnę mu o tym później.

– No tak, może zna jakiegoś magika, który wyczaruje mi nowe jaja.

– To nie jest śmieszne, Con.

– A to już zależy od poczucia humoru. Jestem pewien, że siostry McQuaide uśmiełyby się do rozpuku, gdyby tylko wiedziały. Kiedy spojrziałem dzisiaj w lustro, nie poznałem samego siebie. Cała twarz w bandażach, zgolona broda... Może dopisało mi szczęście i to wcale nie jestem ja, pomyślałem. Może prawdziwy Conor jest teraz w domu przy Carrig View i czeka na twój powrót, żeby kochać się z tobą do upadłego. Nie uważasz, że to zabawne?

Katie wstała.

– Wpadnę jutro, dobrze? Muszę się przespać choćby kilka godzin, bo planujemy akcję na czwartą rano, a prawdę mówiąc, padam z nóg.

Pochyliła się nad łóżkiem, by go pocałować, lecz Conor znów odwrócił głowę.

– Nie całuj mnie – rzucił. – Jeśli mnie pocałujesz, będę wiedział, że jestem sobą, a nie chcę być sobą.

Czekała jeszcze przez chwilę, wciąż pochylona, lecz się nie odwrócił.

– Nie poddawaj się, kochanie – powiedziała w końcu. – Proszę. Wciąż jesteś w szoku, otumaniony lekarstwami. Wszystko się ułoży, obiecuję ci.

– Tak myślisz? No cóż, przekonamy się... Nie wiem, co zamierzasz robić o czwartej rano, ale uważaj na siebie. Ze mną czy beze mnie, jesteś

prawdziwym skarbem.

\* \* \*

Kiedy Katie przechodziła przez parking, zabrzączał jej iPhone. Doktor Kelley pisała w SMS-ie, że kilka minut temu dzwoniła do niej na komendę, ale powiedziano jej, że pani nadkomisarz odwiedza swoich rannych podwładnych w szpitalu uniwersyteckim.

Jeśli jeszcze Pani tu jest, proszę wpaść do mnie. To pilne.

Katie wróciła do szpitala i przeszła do prosektorium. Przed wejściem odwiesiła płaszcz i włożyła fartuch lekarski, który zabrała z półki, i maskę chirurgiczną, a na buty wciągnęła foliowe ochraniacze. Podwójne drzwi zapiszczały żałośnie, gdy je otworzyła.

W prosektorium jak zawsze było chłodno i równie jasno jak na planie filmowym. W powietrzu unosił się ostry zapach chloru, przywodzący na myśl kryte pływalnie. Doktor Kelley stała przed komputerem, zamyślona i wyraźnie zmęczona.

– Och, jest pani, Kathleen. Chciałam porozmawiać z panią w cztery oczy, bo to trudna sprawa.

– Trudna? W jakim sensie?

– Nie w medycznym. Przyczyna śmierci jest oczywista. Chodzi o reputację szpitala.

Podeszła do stołu i podniosła prześcieradło okrywające ciało zmarłej. Była to Saoirse Duffy, choć jej twarz wydawała się nienaturalnie sina i obrzmiała. Patolożka odpiłowała górną część czaszki i wyjęła mózg, by poddać go rezonansowi magnetycznemu i innym badaniom, otworzyła również brzuch oraz klatkę piersiową i usunęła z nich część organów. Wątroba, żołądek i płuca miały wrócić do ciała denatki, zanim zostanie przekazane do zakładu pogrzebowego, Katie przypuszczała jednak, że mózg pozostanie w szpitalu, a jego miejsce zajmie zwykła wata.

– Przez długi czas przebywała pod wodą, z pewnością więc musiałyby odczuć skutki niedotlenienia, to nie ulega wątpliwości – powiedziała doktor Kelley. – Niektóre funkcje mózgu uległyby wyraźnemu zakłóceniu. W najlepszym przypadku cierpiałyby na zawroty głowy i miałyby problemy z orientacją przestrzenną.

– Ale? – spytała Katie zza maski.

– Ale to nie uszkodzenia mózgu były przyczyną jej śmierci. Do zgonu doprowadziło znaczące przedawkowanie fentanylu. Z badań jej mózgu, które przeprowadziłam do tej pory, wynika, że wstrzyknięto jej ponad pięć miligramów. Jak pewnie pani wie, trzy miligramy wystarczą, by uśmiercić dorosłego mężczyznę.

– Mówiła pani o tym doktorowi O’Keefe’owi?

– Jeszcze nie. Najpierw chciałam porozmawiać o tym z panią. Trzeba będzie przejrzeć dokumentację medyczną tej dziewczyny i sprawdzić, czy rzeczywiście przepisywano jej fentanyl lub jakikolwiek inny opioid, a jeśli tak, to kto go przepisał i dlaczego. Była półprzytomna, to oczywiste, ale prawdopodobnie nic jej szczególnie nie bolało, więc skąd ten fentanyl?

Katie od razu pomyślała o pielęgniarce, którą widziała poprzedniej nocy – tej, która wyszła z sali Saoirse, po czym na jej widok nagle zawróciła i ruszyła w przeciwnym kierunku. Może jednak słusznie podejrzewała ją o jakieś nieczne zamiary. Musiała porozmawiać z doktorem O’Keefe’em i sprawdzić, kto ostatnio zajmował się Saoirse, a także spytać ochronę szpitala, czy dysponuje nagraniami z kamer monitoringu na korytarzu pierwszego piętra.

Spojrzała ponownie na dziewczynę. Widziała już wielu zmarłych, ale nigdy nie mogła się nadziwić, jak odrażająco wyglądają nawet najpiękniejsze istoty ludzkie, gdy rozbierze się ich ciała na części. Zamieniają się wtedy w kupkę kości, krwawego mięsa i chrząstek, niczym tusze wywieszane w oknie sklepu mięsnego albo flaki i wątróbki ułożone na metalowych tacach.

Pewnego wieczoru, gdy oglądali jakąś romantyczną scenę w telewizji, nieżyjący już mąż Katie, Paul, powiedział: „Widzisz, jak się poruszają? Ciekawe, czy kiedykolwiek przychodzi im do głowy, że przykładają wargi do zakończenia długiej rurki, która sięga do samych wnętrzości ich ukochanego czy ukochanej?”. Taki właśnie był Paul: zawsze patrzył na życie z nieoczywistej, czasem makabrycznej strony. Katie musiała się zajmować wyłącznie rzeczywistością. Postanowiła, że przydzieli tę sprawę detektywowi sierżantowi Begleyowi, i to jak najszybciej. Sama koniecznie musiała się przespać, jeśli miała być przytomna o czwartej nad ranem.

## Rozdział 33

Katie leżała w mrocznym wnętrzu swego pokoju na piętrze komendy i próbowała zasnąć, nie mogła jednak przestać myśleć o wypatroszonym ciele Saoirse i okolicznościach jej śmierci. Ktoś, kto zaaplikował dziewczynie końską dawkę fentanylu, substancji sto razy silniejszej od heroiny, z pewnością chciał ją w ten sposób zabić.

Ale dlaczego? Czy był to ten sam człowiek, który wepchnął ją do rzeki? Czy naraziła się komuś? W końcu dopiero się uczyła, by zostać kosmetyczką, i była taka młoda. Co takiego mogła zrobić w swym krótkim i niewinnym życiu, żeby ktoś chciał ją zabić? Może rzuciła chłopaka, ale Katie jakoś nie mogła sobie wyobrazić porzuconego chłopaka, który czuje się na tyle urażony, aby zakraść się w środku nocy do szpitala i podać jej śmiertelny zastrzyk.

Myślała też o tej ratownicze, którą zastali z doktorem O'Keefe'em w sali Saoirse, z poduszką w rękach. Wydawała się zakłopotana i wystraszona, ale przecież to właśnie ona ocaliła życie dziewczyny, dlaczego więc potem miałyby ją zabijać? Co mogłoby nią kierować? Może był to po prostu błąd lekarski, nic więcej. Może zastrzyk był przeznaczony dla innego pacjenta, ale ktoś pomylił ich karty. Z drugiej jednak strony, pięć miligramów fentanylu zabiłoby każdego, więc nawet jeśli Saoirse była przypadkową ofiarą, ktoś tak czy inaczej miał zginąć.

Katie zamknęła oczy, lecz tylko na kilka minut, bo wkrótce zaczęła myśleć o Conorze, potem o Bedelii, a następnie o Nicholasie i Padragain. Czuli się tak, jakby jej życie zamieniło się w jedną wielką splątaną masę, olbrzymi węzeł, który wiązał także wszystkich bliskich jej ludzi i którego nigdy nie będzie w stanie rozwiązać.

\* \* \*

Było dwadzieścia pięć po jedenastej, gdy jej iPhone wygrał melodię *Mo Ghille Mear*. Przewróciła się na bok i niemal natychmiast odebrała połączenie.

– Tony?

– Mam nadzieję, że cię nie obudziłem – powiedział Mulliken.

– Hm... właściwie to obudziłeś i nie obudziłeś jednocześnie.

Przysypiałam tylko. O co chodzi?

– Właśnie dzwonił do mnie Caffrey z informacją o Eamonie Buckleyu.

– Dobry Boże, przecież jest już prawie północ. Czy Caffrey i O’Sullivan nadal go obserwują? Nie mów, że facet znów pojechał do Skibbereen.

– Nie. Caffrey mówi, że Buckley zamknął sklep o wpół do szóstej i pojechał prosto do domu, na Farranferris Avenue. Myśleli, że dziś już nigdzie się nie wybierze, bo okna w jego salonie były odsłonięte i widzieli, jak ogląda telewizję. Ale o wpół do dziesiątej, kiedy mieli się już związać, znów wyszedł z domu, wsiadł do samochodu i pojechał... No właśnie, nie zgadniesz dokąd.

– Tony, prawdę mówiąc, nie mam teraz ochoty bawić się w zagadki.

– Wybacz, ale naprawdę trudno w to uwierzyć. Buckley jest teraz na Alexandra Road w Montenotte. Zatrzymał się dokładnie przed tym budynkiem, w którym według trumniarza nocują żebracy Lupula.

Katie usiadła prosto i włączyła lampkę.

– Czy Daley i Cailin też go widzieli?

– Tak. Stoją kilka metrów dalej, po drugiej stronie ulicy. Buckley wysiadł z samochodu i wszedł do kamienicy jakieś pięć minut temu.

– Ale nie widzieli Lupula?

– Nie. Meldowali, że po południu z kamienicy wyszło tylko dwoje ludzi i że oboje wyglądali na bezdomnych. Nieśli ze sobą zwinięte śpiwory i plecaki, a jedno z nich prowadziło małego psa. Oboje szli w stronę centrum miasta.

– Wiesz, co to oznacza, Tony, prawda? To niezbity dowód, że coś łączy Lupula i Buckleya. Rzeźnik nie będzie mógł teraz w żaden sposób temu zaprzeczyć. Od wielu dni nie miałam lepszych wieści.

– Więc co chcesz zrobić?

– Chcę, żebyście cały czas obserwowali to miejsce. Na razie nie mamy żadnych niezbitych dowodów przeciwko Buckleyowi, więc nie możemy go przymknąć, ale jeśli wyjdzie z tej kamienicy, niech Caffrey dalej go śledzi. Jeśli pojawi się tam Lupul, być może wejdziemy wcześniej, żeby przyłapać ich razem. Oczywiście Lupul może już być w tym domu, ale na razie czekamy do czwartej nad ranem, zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami. Czy wszystko jest już gotowe?

– Z naszej strony tak. Czekam jeszcze na ludzi z urzędu imigracyjnego, ale obiecali, że będą tu przed północą.

Katie podniosła się z łóżka, bo uznała, że i tak nie uda się jej już zasnąć. Włożyła czarny sweter, rajstopy i spodnie, po czym zeszła na parter, do kafeterii, by wypić filiżankę gorącej, mocnej kawy. W kafeterii było niemal całkiem pusto, nie licząc trzech mundurowych, którzy jedli późną kolację, pobrzękując sztućcami i śmiejąc się głośno.

Po raz pierwszy czuła, że śledztwo w sprawie Lupula i żebraków naprawdę posuwa się naprzód. Od momentu, gdy Ana-Maria rozpoznała pierścionek matki, wydawało się bardzo prawdopodobne, że Lupula i Eamona Buckleya coś łączy, nawet jeśli nie ta makabryczna

współpraca, o jaką początkowo ich podejrzewała. Wyglądało na to, że mielone mięso rzeczywiście składało się wyłącznie z wieprzowiny, a pierścionek wpadł do niego przez przypadek, pozostawało jednak pytanie, jak w ogóle trafił do zakładu Buckleya? Do tego dochodził jeszcze naszyjnik matki Any-Marii znaleziony na miejscu zabójstwa Bowsera, co stanowiło mocną poszlakę, że Lupul był odpowiedzialny za zabicie Gearoida Ó Bearghy i Matty'ego Donoghue oraz za zaginięcie zarówno matki Any-Marii, jak i Máire O'Connor.

Katie potrzebowała teraz niezbitego dowodu, że to właśnie Lupul stoi za zabójstwami i zaginięciami. Miała nadzieję, że technicy Billa Phinnera znajdą jakieś obciążające ślady w domu przy Alexandra Road – a kiedy będzie miała już wystarczające podstawy, by aresztować Lupula, każe sprowadzić na przesłuchanie wszystkich rumuńskich żebraków, jakich tylko znajdą jej ludzie. Była pewna, że jeśli się dowiedzą, że Lupul siedzi za kratkami i nieprędko wyjdzie, co najmniej kilkoro znajdzie w sobie dość odwagi, by zeznawać przeciwko niemu i przyznać, że należą do żebraczego gangu. Zdaniem Any-Marii jej matka nie cierpiała Lupula, więc być może niektórzy z żebraków czuli wobec niego to samo.

Jaśniała właśnie herbatniki, które dostała wraz z kawą, gdy zadzwonił ponownie jej iPhone. Usłyszawszy *Mo Ghille Mear*, trzech policjanci siedzący po drugiej stronie stołówki odwrócili się w jej stronę, lecz gdy tylko rozpoznali Katie, powrócili do rozmowy, choć teraz porozumiewali się już znacznie ciszej.

Znów dzwonił detektyw komisarz Mulliken.

– Buckley wyszedł z domu z jakimś drugim facetem, prowadzą między sobą trzeciego. Ten w środku trzyma ręce na ich ramionach, a oni go podpierają, jakby był kompletnie pijany.

– Jak wygląda ten pijak? Widzą go dobrze?

– Poczekaj sekundę, spytam. Światło latarni jest tu dość słabe... Tak, Daley, rozumiem. Jasne. Świetnie. Katie, jesteś tam? Wygląda na jakieś dwadzieścia kilka lat, ma ciemne włosy i nosi ciemną kurtkę, ale to wszystko, co mogą o nim powiedzieć. Buckley i ten drugi facet pomagają mu teraz wsiąść do samochodu. – W słuchawce zapadła na moment cisza, po czym Mulliken dodał: – Buckley odjeżdża. Skręca w lewo, w stronę St Luke's Cross. Caffrey jedzie za nim, ale trzyma się w bezpiecznej odległości, bo i tak możemy śledzić Buckleya na GPS-ie.

– Tak, lepiej, żeby nie powtórzyło się to, co spotkało Markeya i Scanlan w Skibbereen.

Katie przełknęła szybko ostatni łyk kawy i wjechała windą na najwyższe piętro, do centrum łączności.

Było to pozbawione okien pomieszczenie, mroczne i ciche niczym wewnątrz zakładu pogrzebowego. Przed ścianą, na której wisiało czterdzieści ekranów monitoringu miejskiego, siedziało sześcioro

policjantów w koszulach. Tuż za nimi stał Mulliken, a obok niego detektyw komisarz Fitzpatrick, Kyna i detektyw O’Crean. Obserwowali, jak przemieszcza się lokalizator GPS przymocowany do samochodu Buckleya, jadącego na zachód Wellington Road.

Jednocześnie wszyscy słuchali meldunków detektywa Caffreya, który śledził Buckleya z odległości ponad pół kilometra, jadąc z wygaszonymi światłami.

– Dokąd on się wybiera? Na pewno nie do domu w Farranree. Skręcił w lewo, w Watercourse Road... a teraz w prawo, w Cathedral Walk.

Fitzpatrick spojrział na Katie. Jego oczy jak zwykle wydawały się pozbawione wyrazu.

– Patrz, skręcił w Shandon Street. Założę się o każde pieniądze, że wraca do swojego zakładu. Tylko po co wybiera się tam o tej porze?

Przez chwilę obserwowali w milczeniu, jak Buckley jedzie Shandon Street, obok katedry Świętej Marii i Anny. Kiedy minął świątynię, znalazł się na chwilę poza zasięgiem najbliższej kamery monitoringu, ale Caffrey nie tracił go z oczu. Jak się okazało, Fitzpatrick miał rację: Eamon Buckley wjechał do zatoczki parkingowej naprzeciwko swojego sklepu i zatrzymał się.

– Buckley wysiadł z samochodu, ale wygląda na to, że dwaj pozostali nie mają zamiaru wychodzić – relacjonował detektyw Caffrey. – Przeszedł do swojego zakładu, otwiera drzwi, wszedł do środka. Teraz znów wyszedł i idzie do samochodu, ale zostawił drzwi sklepu szeroko otwarte.

Katie zerknęła na Kynę.

– Nie wiem, co on kombinuje, ale sama widzisz, jaki jest arogancki. Pewnie myśli, że po tym, co spotkało Nicholasa i Padragain, kiedy pojechali za nim do Skibbereen, nie odważymy się go śledzić.

Kyna położyła dłoń na ramieniu Katie, zabrała ją jednak szybko, bo zauważyła, że detektyw komisarz Fitzpatrick na nią patrzy.

– Może się nie przejmuje, ponieważ nie robi nic nielegalnego – zasugerowała.

W tym samym momencie ponownie usłyszeli Caffreya:

– Buckley i jego kumpel pomagają pijanemu wysiąść z wozu. Trzymają go tak jak przedtem, zarzucili sobie jego ręce na ramiona. Teraz pomagają mu przejść do sklepu. Właściwie nie tyle mu pomagają, ile ciągną go za sobą. Facet w ogóle nie próbuje iść. I ma tylko jeden but.

Po półminutowej przerwie detektyw Caffrey dodał:

– Kumpel Buckleya wychodzi z zakładu. Buckley też. Zamyka drzwi na klucz, ale jest ich tylko dwóch, ten trzeci został w środku.

– Buckley zamknął drzwi na klucz i zostawił tego pijanego w swoim zakładzie? – spytała Katie. – Jesteś pewien?

– Na sto procent. Wyszli tylko we dwóch, więc trzeci musi być w środku. Teraz przechodzą przez ulicę i wsiadają do samochodu. Odjeżdżają. Skręcają w Dominick Street.

– Jedź za nimi – poleciła Katie. Potem zwróciła się do sierżanta Browna, który siedział przed nią. – Gdzie jest najbliższy radiowóz?

Sierżant spojrzął na monitory.

– Na MacCurtain Street, przed teatrem Everyman. Drugi stoi przy North Main Street... coś się tam dzieje. Jakieś zamieszanie, chyba nic poważnego, paru facetów przepycha się między sobą.

Katie połączyła się ponownie z detektywem Caffreyem.

– Ronan, słyszysz mnie? Wysyłamy ci wsparcie. Gdy tylko pojawią się radiowozy, zatrzymaj Buckleya i aresztuj go.

– Na jakiej podstawie? Właściwie nie zrobił nic niezgodnego z prawem.

– Zamknął w swoim sklepie jakiegoś biednego faceta, który był prawdopodobnie zbyt pijany, żeby świadomie się na to zgodzić, więc możesz go oskarżyć o bezprawne pozbawienie wolności. Każ mu wrócić do sklepu i pokazać, w jakim stanie jest ten facet. Jeśli jest tak pijany, że nie może chodzić, trzeba go będzie pewnie wziąć do szpitala Mercy, żeby wytrzeźwiał. Coś mi jednak mówi, że tu nie chodzi o pijackie zamroczenie.

– A jeśli Buckley odmówi?

– To wyślę tam ludzi, żeby wyważyli drzwi. Robert, mógłbyś to zorganizować?

– Oczywiście – odparł detektyw komisarz Fitzpatrick.

Katie odniosła wrażenie, że po raz pierwszy od długiego czasu w pełni się z nią zgadza.

\* \* \*

Czerwone mondeo Eamona Buckleya było w połowie drogi do Farranferris Avenue, kiedy wyprzedził je radiowóz na sygnale. Funkcjonariusze Garda Síochána pokazali kierowcy, by zatrzymał się na rogu Wolfe Tone Street i French's Villas.

Detektywi Caffrey i O'Sullivan podjechali od tyłu nieoznakowaną toyotą i zatrzymali się tak, że niemal dotykali tylnego zderzaka forda, by Buckley nie mógł wycofać i uciec – choć nic nie wskazywało na to, by miał taki zamiar. Nie czekając, aż funkcjonariusze do niego podejną, wysiadł z samochodu i zatrzasnął drzwi z taką siłą, jakby chciał je wyrwać z zawiasów.

– O co, kurwa, chodzi? – spytał. Był w żółtej puchowej kurtce, w której wydawał się jeszcze większy, grubszy i groźniejszy. – Nie możecie się ode mnie odpiardolić, pieprzone psy?



Caffrey wyjął legitymację i podsunął mu ją pod twarz.

– Jestem detektyw Ronan Caffrey i aresztuję pana za bezprawne uwięzienie, co jest przestępstwem określonym w punkcie piętnastym Ustawy o przestępstwach przeciwko zdrowiu i nietykalności cielesnej z roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego. Ma pan prawo zachować milczenie, ale wszystko, co pan powie, zostanie udokumentowane i może być wykorzystane w sądzie.

– Jakie „bezprawne uwięzienie”? O czym ty, kurwa, mówisz?

– Niecałe dziesięć minut temu widziano, jak zamyka pan mężczyznę w swoim zakładzie przy Shandon Street. Ten człowiek prawdopodobnie był pod wpływem alkoholu lub narkotyków.

– Co za bzdury! Kto mnie widział? Spuszczę mu porządny wpierdół, to nie będzie więcej zmyślał. „Bezprawne uwięzienie”! – parsknął Buckley, spluwając na chodnik. – Żartujesz sobie ze mnie, co?

– Prawdę mówiąc, sam pana widziałem. Podobnie jak mój partner, detektyw O’Sullivan.

– W takim razie obaj musicie się wybrać do okulisty i zbadać sobie oczy, kurwa.

– Proszę podać swoje nazwisko i imię.

– Skoro nie wiesz, jak się nazywam, to skąd, kurwa, wiedziałeś, że to był mój zakład?

– Wiem, jak się pan nazywa, ale procedura wymaga, żeby pan mi to powiedział.

– Tak? No to niech będzie, że nazywam się Wpieprzony Skurwiel.

– Chyba zdaje pan sobie sprawę, że odmawiając podania swego nazwiska, również popełnia pan wykroczenie i że mógłbym pana aresztować choćby za to.

– Wal się.

Tymczasem jeden z mundurowych kazał wysiąść z samochodu towarzyszowi Buckleya. Był to błady młody mężczyzna z czołem usianym czerwonymi krostami, krótko przyciętymi blond włosami i wyłupiastymi oczami. Nie wyglądał zdrowo, ale sądząc po szerokości ramion i grubości karku, mógł się pochwalić imponującą muskulaturą.

– Jak się nazywasz? – spytał detektyw Caffrey, gdy mundurowy przeprowadził chłopaka na drugą stronę samochodu.

– Tozza.

– Chodzi mi o twoje prawdziwe imię i nazwisko.

Młody mężczyzna spojrział niepewnie na Buckleya, ale ten pokręcił tylko głową i splunął na chodnik. Tozza przygryzł wargę, zachowując milczenie.

Caffrey westchnął.

– No dobrze, jak sobie życzysz – rzucił. – Ty również zostajesz aresztowany pod zarzutem bezprawnego uwięzienia i informuję cię, że

nie musisz odpowiadać na nasze pytania, ale jeśli już się na to zdecydujesz, wszystkie twoje wypowiedzi zostaną udokumentowane i będziemy je mogli wykorzystać w sądzie.

– Ale to nie jest mój kumpel – odezwał się nieoczekiwanie Tozza lekko drżącym głosem.

– Więc kim jest?

– Moim szefem. Muszę robić, co mi każe, bo inaczej sprzeda mi kulkę.

– Zamkniesz tę pierdoloną jadaczkę? – warknął Buckley.

– Przecież wniosłem tam tego faceta tylko dlatego, że mi kazałeś. Inaczej bym tego nie zrobił.

– Powiedziałem: zamknij ryj!

– Ale ja nie chcę, żeby mnie aresztowali za coś, czego nigdy nie chciałem zrobić, rozumiesz? Mój stary mnie zamorduje!

– Jeśli powiesz jeszcze jedno słowo, sam cię zamorduję, zanim twój ojciec będzie miał do tego okazję!

– Ja nikogo bezprawnie nie więziłem!

– Pomogłeś zanieść tego człowieka do zakładu i zamknąć go tam na klucz – powiedział Caffrey. – Był zbyt pijany, żeby się sprzeciwić, więc należy to uznać za bezprawne uwięzienie. – Zwrócił się do mundurowego: – Skuj ich obu i zabierz na komendę.

– Ale on wcale nie był pijany! – zaprotestował Tozza.

– Nie? A nam się wydawało, że był pijany jak bela – wtrącił detektyw O’Sullivan.

– On nie żyje! Nie możesz uwięzić bezprawnie kogoś, kto nie żyje, prawda?

Eamon Buckley wydał z siebie wściekły wrzask i parskając niczym rozwścieczony byk, rzucił się na Tozzę i potraktował go potężnym prawym sierpowym.

Chłopak poleciał do tyłu, uderzył plecami w czerwone mondeo i osunął się na drogę. Buckley chwycił jego kurtkę, by podciągnąć go w górę i wymierzyć mu kolejny cios, lecz jeden z mundurowych uderzył go z całej siły pałką w tył głowy. Rzeźnik poleciał na bok, obrócił się na jednej stopie i runął na chodnik, dokładnie w to miejsce, w które przed chwilą splotował. Przez jakiś czas leżał nieruchomo, z szeroko rozłożonymi rękami i nogami, dysząc ciężko i wpatrując się w niebo. W końcu podniósł głowę i spojrzał nienawistnie na funkcjonariusza, który go uderzył, ten jednak wskazał tylko pałkę, dając mu do zrozumienia, że jeśli będzie się o to prosił, dostanie więcej.

– Kurwa... – mruknął rzeźnik i opuścił głowę na ziemię.

Detektyw Caffrey sięgnął po krótkofalówkę.

– Pani nadkomisarz? Aresztowaliśmy Buckleya i jego towarzysza, za chwilę przywieziemy ich na komendę – zgłosił. – Ten drugi mówi, że dla

niego pracuje. Powiedział też, że facet, którego wciągnęli do zakładu, nie był pijany, tylko martwy.

– Matko Przenajświętsza... Powiedział wam, kto to jest?

Caffrey odwrócił się do Tozzy.

– Jak się nazywał ten truposz?

Młody mężczyzna wzruszył tylko ramionami.

– Pani nadkomisarz? Młodziak pokazuje, że nie wie. Albo rzeczywiście tak jest, albo za bardzo boi się Buckleya, żeby nam powiedzieć. Buckley nie był zbyt skory do współpracy, więc musieli go potraktować pałką.

– W porządku, Ronan – odparła Katie. – Weź od Buckleya klucze i przywieź je tutaj. Detektyw komisarz Fitzpatrick montuje już zespół, który wejdzie do zakładu. Wygląda na to, że będzie też potrzebował karetki i kilku techników.

Funkcjonariusze podnieśli Buckleya na równe nogi, skuli go kajdankami i wepchnęli na tylne siedzenie radiowozu. Pomrukiwał gniewnie, lecz poza tym nie protestował. Wkrótce podjechał drugi radiowóz i wciśnięto do niego Tozzę. Nim zatrzęsnięto drzwi samochodu, chłopak spojrział na detektywa Caffreya.

– Przysięgam na Boga, że nie miałem nic wspólnego ze śmiercią tego faceta – powiedział. – Robiłem tylko to, co mi kazano.

Gdy oba radiowozy ruszyły w stronę komendy, Caffrey odwrócił się do detektywa O’Sullivana, zacierając zziębnięte dłonie.

– Robiłem tylko to, co mi kazano – powtórzył szyderczym tonem. – Święci Pańscy, gdybym dostawał choć jedno euro za każdym razem, kiedy to słyszę, mógłbym sobie już kupić lamborghini.

– I po co by ci ono było? – spytał O’Sullivan, gdy wsiadali do samochodu. – Pojeździłbyś nim z tydzień, a potem ktoś by ci je podwędził.

– Pewnie masz rację. A gdybym nawet dopadł gnojka, to co by powiedział?

– Ani chybi coś w rodzaju „Robiłem tylko to, co mi kazali”. Człowiekowi robi się niedobrze, jak słucha takich żalonych wymówek. Większość tych bandziorów to banda tchórzy i bufonów. – O’Sullivan się roześmiał.

– Czemu się śmiejesz? – spytał go partner.

– Czemu? Bo ktoś musi się śmiać, prawda?

## Rozdział 34

Dochodziła już druga trzydzieści nad ranem, gdy trzy radiowozy i furgonetka techników kryminalistycznych zajęły przed zakład rzeźniczy Eamona Buckleya przy Shandon Street. Kilka minut później pojawiła się tam również karetka.

Temperatura spadła poniżej zera, zaczął nawet padać drobny śnieg, co w Cork zdarzało się naprawdę rzadko. Maleńkie białe płatki, praktycznie niewidoczne w mroku nocy, natychmiast się topiły w zetknięciu z ziemią i ulice były wilgotne i lśniące.

Detektyw komisarz Fitzpatrick stał z boku, podczas gdy detektyw O'Donovan przeglądał wielki pęk kluczy, które zabrano Buckleyowi na komendzie. Spytał rzeźnika, którym kluczem otwiera się drzwi zakładu, lecz w odpowiedzi usłyszał jedynie: „Sam se go znajdź, pierdolony psie, za kogo mnie masz?”.

Minęło niemal pięć minut, nim O'Donovan otworzył w końcu sklep. W tym samym momencie włączył się alarm przeciwwłamaniowy, który wył tak głośno, że funkcjonariusze zgromadzeni przed wejściem musieli do siebie krzyczeć, by zrozumieć się nawzajem.

Dwaj weszli do zakładu, znaleźli skrzynkę systemu alarmowego umieszczoną na ścianie za ladą, otworzyli ją i wyrwali z zacisków czarne i czerwone kable.

Nieco oszołomieni nagłą ciszą, Fitzpatrick i O'Donovan weszli do zakładu i rozejrzeli się, nie dostrzegli jednak żadnego śladu mężczyzny, którego niedawno tu wniesiono. Sklepową wystawę była pusta, leżały tam jedynie metalowe tace ozdobione plastikową natką pietruszki. Nie znaleźli również niczego na półkach umieszczonych pod szklaną witryną.

– Chłodnia – rzucił detektyw O'Donovan i przeszedł za ladę, na zaplecze sklepu. Otworzył ciężkie drzwi ze stali nierdzewnej i oświetlił latarką wnętrze chłodni. Na hakach przymocowanych do sufitu wisiały kurczaki, tusze i kawałki wieprzowiny, na półkach leżały zwoje kaszanki i foliowe worki wypełnione jagnięcą wątróbką i flakami.

Na podłodze pod ścianą naprzeciwko wejścia siedział Vasile, barman z Parting Glass. Miał otwarte oczy, a jego szara twarz przywodziła na myśl posąg wykuty w kamieniu. Miał tylko jeden but, a w skarpetce na drugiej stopie była wielka dziura.

– Święty Józefie, oblubieńcu Maryi – jęknął Fitzpatrick. – To przecież Vasile.

– Co pan o tym myśli, komisarzu? – zwrócił się do niego O'Donovan. – Czy to nasza wina? Może powinniśmy byli spotkać się z nim w jakimś mniej widocznym miejscu.

– Kto wie, Patrick? Ale powiedział nam, gdzie możemy znaleźć Lupulę, a Buckley zabrał go właśnie z domu Lupuli. Chyba nie trzeba być Sherlockiem Holmesem, żeby zrozumieć, dlaczego znalazł się tutaj, między kiełbasami.

\* \* \*

Katie zapinała właśnie kamizelkę kuloodporną, gdy do jej gabinetu wszedł komendant O'Kane. Był nieogolony, twarz chował za postawionym kołnierzem płaszcza. Poza tym miał na sobie dżinsy i musztardowy sweter ze wzorem w warkocze.

– Nie musiał pan tu przyjeżdżać, panie komendancie – powiedziała.

– Jasne, nie musiałem. Ale po tym esemesie, który mi przysłałaś, nie mogłem już zasnąć, a poza tym i tak chciałem przyjechać na komendę wcześniej, żeby pomóc wam w przygotowaniach do nalotu na budynek przy Alexandra Road. Jak wam idzie?

– Aresztowaliśmy Buckleya i jego pomocnika pod zarzutem współdziałania w zabójstwie. Chłopak nazywa się Thomas Barry i pracuje w zakładzie Buckleya jako praktykant, ale to wszystkie informacje, jakie nam podał. Nie rozmawiałam z nimi jeszcze, bo Robert mówi, że i tak nie chcą odpowiadać na żadne pytania.

– A co z tym martwym Rumunem, którego znaleźliśmy w chłodni Buckleya?

– Wygląda na to, że zabito go w taki sam sposób jak Gearoida Ó Bearghę i Matty'ego Donoghue, przewiercając mu pień mózgu. Oczywiście będziemy mieli pewność dopiero wtedy, kiedy doktor Kelley przeprowadzi sekcję. Zrobi też badania toksykologiczne. Ale technik, który oglądał ciało, twierdzi, że otwór po wiertle to jedyne obrażenie, jakie znalazł.

– Więc, jak sama mówiłaś, wszystko wskazuje na naszego przyjaciela Lupulę.

– Nie chcę zbyt pochopnie wyciągać wniosków, ale na to wygląda. Lupul miał bardzo konkretny motyw, bo to właśnie ten Vasile podał nam jego adres. Poprosiłam Mathew McElveya z biura prasowego, żeby pokazał w wiadomościach telewizyjnych jego portret pamięciowy, więc przy odrobinie szczęścia dowiemy się o nim czegoś więcej.

– Kiedy tam pojedziecie?

– Za jakieś dwadzieścia minut. Czekamy jeszcze na faceta z urzędu imigracyjnego, bo jedzie tutaj aż z Waterford.

Brendan skinął głową i rozejrzał się po gabinecie, jakby przypomniawszy sobie, że przez pomyłkę coś w nim zostawił. Potem ponownie odwrócił się do Katie.

– Będiesz na siebie uważać, prawda? Wygląda na to, że ten Lupul to psychopata, którzy zabija ludzi bez najmniejszych skrupułów. Nie chciałbym stracić także i ciebie.

Sposób, w jaki wypowiedział słowo „także”, mógł sugerować, że nawiązuje do zmarłej żony, Radhi. Czy oznaczało to, że żywi do Katie podobne uczucia? Gdy byli jeszcze parą w Templemore, zanim ją zdradził, planowali zamieszkać razem.

– Będę uważać, panie komendancie – odpowiedziała. – Obiecuję.

Miała już włożyć płaszcz, gdy zadzwonił jej telefon. Kiedy sięgnęła po iPhone'a, Brendan zasalutował jej na pożegnanie, mówiąc:

– Porozmawiamy później, kiedy już wrócisz.

Pomachała mu, odbierając połączenie.

– Robert, jesteśmy już gotowi? – spytała.

– Nie uwierzysz, co się stało – rzucił detektyw komisarz Fitzpatrick. – W kamienicy Lupula wybuchł pożar.

– Matko Przenajświętsza, żartujesz?

– Niestety nie. Cullen mówi, że wygląda to naprawdę poważnie. Dzwonił już po straż pożarną. Przypuszcza, że w środku mogą być jeszcze jacyś ludzie.

– Jedźmy tam, i to jak najszybciej. Zabierz też Patricka. Spotkamy się na parkingu.

Zaniepokojony Brendan zatrzymał się w drzwiach.

– Co się stało? – spytał.

Katie włożyła płaszcz na kamizelkę kuloodporną.

– W domu Lupula wybuchł pożar. Dalej przypuszcza, że w środku są jacyś ludzie, którzy nie mogą wyjść.

– Jezu. Wygląda na to, że czeka nas ciężki dzień. Zostanę tu, Katie, informuj mnie o wszystkim na bieżąco.

– Tak jest, panie komendancie.

Wyczuła, że ma ochotę złać ją za to, że znów nazwała go „panem komendantem” zamiast zwrócić się do niego po imieniu, oboje jednak wiedzieli, że nie jest to odpowiednia pora na takie przepychanki.

\* \* \*

Ogień zajął już cały parter, gdy Katie dotarła na Alexandra Road. Kiedy wysiadła z samochodu, płomienie strzelały już także z osmolonych okien na pierwszym i drugim piętrze, jakby właśnie

odbywała się tam jakaś huczna impreza demonów. Katie czuła woń spalonych syntetycznych dywanów i z wnętrza co jakiś czas dochodziły głośne trzaski przypominające wystrzały.

Przed kamienicą stały trzy wozy strażackie, w ogrodzie leżały rozwinięte węże z wodą. Dostrzegła zastępcę komendanta straży pożarnej, Matthew Whelana, który stał obok czerwonego samochodu dowodzenia, z rękami skrzyżowanymi na piersiach i wysuniętą dolną wargą – wyglądał jak nadąsane dziecko, jakby ktoś wzniecił pożar tylko po to, by zrobić mu na złość i wyrwać go ze snu.

Katie stwierdziła z zaskoczeniem, że na miejscu są już dziennikarze – Caroline Dooley z „Examinera”, przedstawiciel telewizyjnego kanału informacyjnego RTÉ, Adam O’Hearne, któremu towarzyszył kamerzysta w wełnianej czapce z pomponem, oraz Micky Murphy z Red FM. Nieco dalej, w górnej części zbocza, stały dwa radiowozy, które blokowały dojazd od strony Alexandra Road i Military Hill. Katie zobaczyła też sierżanta O’Farrella i trzech mundurowych, którzy rozmawiali z czwórką starszych ludzi oraz kobietą trzymającą za ręce dwoje małych dzieci. Przypuszczała, że to mieszkańcy sąsiednich kamienic, którzy na polecenie strażaków musieli się ewakuować.

Przeszła razem z Fitzpatrickiem i O’Donovanem na drugą stronę ulicy. Detektywi Walsh i Cullen czekali na nią obok swego samochodu. Oboje wyglądali na zmęczonych i zziębniętych. Walsh miała niecałe sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu i wyglądała zdecydowanie za młodo jak na w pełni wykwalifikowaną detektyw Garda Síochána. Miała krótko przycięte, ciemne włosy i gęste łukowate brwi, co zdaniem Katie upodabniało ją do wokalistki Sinéad O’Connor. Cullen był wysoki i chudy, miał rude włosy i pociągłą twarz; zawsze mówił ponurym tonem, jakby już w dzieciństwie pogodził się z myślą, że życie nie będzie dla niego miłe ani sprawiedliwe.

– Wiadomo, jak to się zaczęło? – spytała Katie.

– Nie, pani nadkomisarz – odpowiedział ze smutkiem detektyw Cullen. – Z miejsca, w którym siedzieliśmy, nic nie było widać. Odkąd wyszedł stąd Buckley ze swoim kumplem... i tym trupozem... nikt nie wchodził do budynku ani go nie opuszczał.

– Najpierw zobaczyliśmy dym – dodała jego partnerka. – Myśleliśmy, że komuś przypała się jedzenie, ale potem zadymiała się cała ulica, w dodatku okropnie śmierdziało, więc weszliśmy za bramkę, do ogrodu. Od razu zobaczyliśmy przez świetlik nad drzwiami wejściowymi, że w środku się pali i że ogień sięga na schody. Zaczęliśmy pukać i dzwonić, i w tym momencie usłyszeliśmy czyjś krzyk... wydawało nam się, że to głos młodej kobiety. Dalej rozbił wtedy cegłą okno, ale zaraz potem cały przedpokój po prostu eksplodował dymem, jak bomba.

– Próbowałem wejść od tyłu, ale nie miałem żadnych szans – odezwał się Cullen. – Po pierwsze, drzwi do kuchni były zamknięte na klucz, a po drugie, i tak już się tam paliło. Sparzyłem się w rękę, kiedy złapałem za gałkę. To prawdziwie dantejskie piekło, mówię pani.

– Słyszeliście potem jeszcze tę kobietę?

– Nie, i niczego nie widzieliśmy, więc może tylko nam się zdawało. Miejmy nadzieję, że właśnie tak było, bo inaczej pewnie już się udusiła dymem albo spaliła.

Katie wskazała głową na grupę dziennikarzy, do których tymczasem dołączył Duncan Power z „Irish Times”.

– Skąd oni wszyscy tak szybko dowiedzieli się o pożarze? Jezu, byli tu przed nami, a przecież to my mamy się zjawiać pierwsi na miejscu wypadku.

– Nie mam pojęcia, pani nadkomisarz – odparła Walsh. – Ta Caroline Dooley była tu niecałe pięć minut po pierwszym wozie strażackim.

– W porządku, Cailin, dzięki. – Katie poklepała młodą detektyw po ramieniu i podeszła do Matthew Whelana.

– Pani nadkomisarz Maguire! – przywitał ją zastępca komendanta straży chrapliwym, posępnym głosem, który przywodził na myśl zgrzyt zwłok ciągniętych po wilgotnym żwirze. – Nie powinniśmy się spotykać więcej w takich okolicznościach. Kiedy widzieliśmy się ostatnio? Jak spaliło się to studio taneczne przy Farren’s Quay, prawda? Tragedia. Więcej niż tragedia. Tyłu młodych ludzi, wszędzie śmierć... Pani człowiek powiedział nam, że słyszał głos młodej kobiety dochodzący z wnętrza kamienicy, ale moi ludzie jeszcze nikogo nie znaleźli. I modłę się, żeby to się nie zmieniło.

Katie otworzyła furtkę i weszła do ogrodu. Matthew Whelan szedł za nią, ale oboje przystanęli przy ogrodzeniu, trzymając się z dala od budynku. Szyby wszystkich okien na parterze wyleciały z ram. Katie pomyślała, że pomieszczenia na tym poziomie przypominają krematoryjne piece. Nawet z odległości dwudziestu metrów czuła żar bijący od budynku.

Trzej strażacy stojący w ogrodzie wlewali do salonu i sypialni na parterze hektolitry wody, a dwaj inni, którzy weszli na drabiny wysunięte z wozów, starali się powstrzymać ogień, zalewając pokoje na wyższych piętrach i wypełniając chłodne poranne powietrze lśniąca mgiełką.

– Dobry Boże, chyba nigdy nie widziałam takiego pożaru – wyszeptała Katie.

– To podpalenie, bez dwóch zdań – powiedział Matthew Whelan. – Będziemy musieli poczekać na raport specjalistów, ale moim zdaniem nie ma najmniejszych wątpliwości, że to nie przypadek. Ogień



rozprzestrzeniał się bardzo szybko, a to oznacza, że prawdopodobnie ktoś rozlał łatwopalny środek na każdym piętrze i na schodach.

## Rozdział 35

Katie jeszcze przez kilka minut obserwowała poczynania strażaków, a potem opuściła ogród przed kamienicą i przeszła na drugą stronę ulicy, gdzie zebrała się grupka dziennikarzy, którzy przestępowali z nogi na nogę i zacierali z zimna dłonie. Detektyw komisarz Fitzpatrick dołączył do niej w milczeniu.

– Czy ma pani dla nas jakiś komentarz, pani nadkomisarz?! – zawołała Caroline Dooley, zsuwając z głowy kaptur płaszcza.

– Jeszcze nie! – odparła Katie. Musiała podnieść głos, by przekrzyczeć warkot strażackich pomp. – Sami widzicie, co się tu dzieje, a ja wiem tyle samo co wy!

– Czy przypuszcza pani, że ktoś celowo podłożył ogień?! Proszę tylko spojrzeć. Ta kamienica pali się szybciej niż świąteczne fajerwerki!

– Jak już mówiłam, na razie nie zamierzam tego komentować! Ale mam pytanie do was. Czy ktoś poinformował was o tym pożarze?! Pojawiliście się tu cholernie szybko!

Caroline Dooley spojrzała na Adama O’Hearne’a, a ten wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Przyznaj się do wszystkiego, i tak wcześniej czy później się dowie”.

– Ktoś do nas zadzwonił – przyznała dziennikarka. – Nie wiem kto. Nie wyświetlił się żaden numer, a kiedy próbowałam oddzwonić, słyszałam tylko ciągły sygnał, jakby nie było takiego numeru. Jakiś mężczyzna powiedział, że w kamienicy numer trzynaście przy Alexandra Road wybuchł pożar i że powinnam się tym zainteresować, bo to dłuższa historia.

– Ja dostałem taką samą wiadomość – dodał Adam O’Hearne.

– Pytaliście tego człowieka, kim jest?

– Oczywiście, ale od razu się rozłączył.

– Wspominał o tym, jaka historia może się kryć za tym pożarem?

– Nie, mnie nic nie mówił – odpowiedział O’Hearne. – Ale tobie coś mówił, prawda, Caroline?

– Owszem. „Teraz już będzie wiadomo, kto tu rządzi”. To jego słowa. Spytałam, o co mu konkretnie chodzi, ale się rozłączył.

– Jaki miał głos? – spytał Fitzpatrick. – Wydawał się młody? Stary? Mówił z obcym akcentem?

– Na pewno nie był z Cork, tego jestem pewna. A jeśli mówił z jakimś akcentem, to raczej z udawanym, jakby próbował ukryć prawdziwe

pochodzenie. Moim zdaniem starał się naśladować dublińczyka, chociaż nie do końca mu to wychodziło.

Katie i Fitzpatrick wciąż rozmawiali z dziennikarzami, gdy usłyszeli krzyk. Odwróciła się w stronę budynku i ujrzała z przerażeniem, że w otwartym oknie pokoju na czwartym piętrze pojawiło się dwoje ludzi – mężczyzna i młoda kobieta – którzy wymachiwali w panice rękami i wzywali pomocy. Wnętrze pomieszczenia było wypełnione ogniem, który trawił już włosy i ubrania uwięzionej pary.

Katie przebiegła przez drogę i wpadła do ogrodu. Tuż za nią pędził Fitzpatrick, a za nim kamerzysta w czapce z pomponem, który w pośpiechu potknął się o krawężnik i omal nie upuścił kamery. Ludzie na czwartym piętrze wciąż krzyczeli, próbując się wydostać z pokoju. Dwaj strażacy polewali ich wodą, a dwaj inni szybko przystawili do okna drabinę, jednak ogień w sypialni buchał tak intensywnie, że Katie słyszała jego wściekły ryk, jakby za czerwoną płachtą płomieni kryła się wygłodniała bestia.

Nim pierwszy ze strażaków dotarł do połowy drabiny, kobieta i mężczyzna objęli się mocno i zeskoczyli z parapetu. Upadli z głuchym hukiem na wyłożoną płytkami ścieżkę w ogrodzie; kobieta uderzyła czołem w krawędź pierwszego schodka prowadzącego do drzwi budynku.

Strażacy delikatnie rozdzielili obie ofiary. Niebieska, kraciasta koszula mężczyzny była niemal całkiem spalona, podobnie jak tylna część sukienki kobiety, odsłaniająca poparzone czerwone plecy i bieliznę. Oboje mieli naznaczone ogniem czerwone twarze, a z ich włosów pozostały jedynie osmalone czarne kikuty.

Kobieta wpatrywała się niewidzącymi oczami w niebo, z którego spadały krople deszczu. Jeden ze strażaków sprawdził jej puls i pokręcił głową. Tymczasem mężczyzna wypuścił z płuc długie, świszczące westchnienie, jakby godził się w ten sposób ze swoim losem, a z jego ust wypłynął obłoczek dymu. Patrząc na szyję nieszczęsnego kochanka, wykręconą pod nienaturalnym kątem, nikt nie mógł mieć wątpliwości, że było to jego ostatnie tchnienie.

Do ogrodu wbiegli kolejni dwaj strażacy, którzy nieśli ze sobą defibrylator i dwie maski gazowe, lecz ich koledzy podnieśli ręce, pokazując w ten sposób, że tracą tylko czas.

Katie przeżegnała się w milczeniu. Niemal w tym samym momencie dach budynku zawalił się do środka z ogłuszającym trzaskiem, a płomienie wystrzeliły w górę na wysokość dwudziestu metrów. Nad pobliskimi dachami przetoczyła się fala gęstego brązowego dymu, migocząca miriadami iskier.

– Proszę za mną, pani nadkomisarz – powiedział Matthew Whelan, ujmując ją za ramię. – Musi się pani odsunąć. Jak tak dalej pójdzie, za

chwile zawali się cały budynek.

Przeszła na drugą stronę ulicy, gdzie czekali na nią dziennikarze.

– Święty Józefie... – Duncan Power, głęboko wstrząśnięty, kręcił głową. – Widzieliśmy, jak tych dwoje wyskoczyło z okna. W jakim są stanie?

– Przykro mi, ale oboje nie żyją – odparła Katie. Musiała nabrać głęboko powietrza, nim była w stanie powiedzieć cokolwiek więcej. Widziała już wiele tragicznych wydarzeń, lecz z jakiegoś powodu śmierć tej młodej pary wyjątkowo ją poruszyła. Może dlatego, że tak czule się obejmowali, choć trawił ich już ogień i choć wiedzieli, że skok z czwartego piętra niemal z pewnością skończy się dla nich śmiercią.

– Wiecie, kim byli ci ludzie? – spytała Caroline Dooley.

– Nie mamy pojęcia. Mogę powiedzieć tylko tyle, że kamienica była prawdopodobnie wynajmowana, nie wiemy jednak jeszcze, kto ją wynajmował ani kto mógł w niej przebywać.

– Ten facet, który dzwonił do Caroline i Adama, kontaktował się też ze mną – wtrącił Duncan Power. – Nie mówił o tym, że już wiadomo, kto tu rządzi, jak w rozmowie z Caroline, ale miałem wrażenie, że chce pokazać, kto tu jest szefem. No wie pani, coś w rodzaju „Nie podskakuj, śmieciu, bo spalę ci dom”.

– Poczekajmy na orzeczenie biegłych pożarnictwa – oświadczyła Katie. – I patologa. Te rozmowy telefoniczne, o których mówicie, wskazują na podpalenie, ale mogło być i tak, że ktoś zobaczył pożar i postanowił na tym skorzystać. Nie znamy jeszcze wszystkich okoliczności, nie wiemy nawet, czy w środku nie ma innych ciał. Oby nie.

Detektyw O'Donovan przeszedł na drugą stronę ulicy. Strażacy wciąż kierowali strumienie wody na nadpalone resztki krokwi. Wydawało się, że płomienie w końcu przygasają i nikną za osmalonymi ścianami, zza których wypływały jednak jeszcze gęstsze obłoki dymu. Mroźne nocne powietrze wypełniło się gryzącymi oparami, wszyscy więc kasłali i przecierali oczy. Katie dostrzegła karetkę, która wyjechała z St Luke's Cross, by zabrać do kostnicy ciała pary kochanków.

Detektyw O'Donovan przywołał ją ruchem ręki, by ich rozmowy nie mogły usłyszeć dziennikarze.

– Przeszukaliśmy z Daleyem ogród za kamienicą. I jak pani myśli, co tam znaleźliśmy? Trzy dwudziestolitrowe kanistry. Wszystkie puste, ale śmierdzące benzyną. Jest tam opróżniony staw rybny, zarośnięty paprociami, i właśnie do niego ktoś wrzucił te pojemniki.

– Gdyby podpalacze użyli tego, wykazaliby się wyjątkową lekkomyślnością, nie sądzisz? Dzięki temu wcześniej czy później ich dopadniemy.

– Może byli lekkomyślni, bo wcale się tym nie przejmowali.

– Możesz mieć rację. Ale trzy puste kanistry po benzynie to właściwie jednoznaczny dowód podpalenia, a to z kolei zdecydowanie zawęży grono podejrzanych. Ilu ludzi w Cork miałyby dość odwagi, żeby zdrzeć z takim niebezpiecznym typem jak Lupul? Możemy ich chyba policzyć na palcach jednej ręki.

– Najpierw postawiłbym na O’Flynnów – zasugerował detektyw O’Donovan. – Nienawidzą każdego, kto nie urodził się i nie wychował w Cork, co zresztą dotyczy większości mieszkańców tego miasta. Ale chodzi im szczególnie o napływowych, którzy chcieliby ich stąd wykurzyć. No i w grę wchodzi oczywiście nasz przyjaciel Stefan Fät-Frumor, choć twierdzi, że przenosi się do Dublina i Lupul nic go nie obchodzi... jeśli można wierzyć choćby w jedno jego słowo. Z drugiej strony, zajmuje się głównie narkotykami, więc niewykluczone, że mówi prawdę.

– A może to rodzina Garritych – zastanawiała się głośno Katie. – Bracia John i Dermot są przekonani, że mają teraz monopol na drobną przestępczość, i z pewnością gotowi są tego dowieść. Nie zapominajmy też o Lisku Collinsie, choć to raczej nie w jego stylu.

Zakasłała i wyjęła chusteczkę, by otrzeć oczy. Dym był teraz tak gęsty, że strażacy zajęci gaszeniem kamienicy wyglądali jak rozmyte w cieniach duchy, a dziennikarze odsunęli się jak najdalej na drugą stronę ulicy.

Katie wciąż ocierała oczy, gdy podszedł do nich sierżant O’Farrell.

– Chciałem tylko panią poinformować, że ewakuowano mieszkańców obu sąsiednich kamienic. Dyrekcja hotelu Ambasador udostępniła im pokoje, jak na prawdziwych chrześcijan przystało.

– Dobra robota, sierżancie. Słuchajcie, muszę wracać na komendę. Dowodzenie przejmuje detektyw komisarz Fitzpatrick. Chodź, Patrick, musimy się zabierać. Nic więcej już tutaj nie wskóramy, co najwyżej udusimy się tym dymem. Gdzie się podziewa komisarz Fitzpatrick?

Zupełnie jakby ją usłyszał, Fitzpatrick wyłonił się nagle zza zasłony dymu.

– Jestem tutaj. Chcesz nas zostawić samych?

– Po pierwsze, nie chcę się udusić, a po drugie, muszę opracować jakąś nową strategię. I to jak najszybciej. Cała ta sprawa z bezdomnymi wymyka się spod kontroli.

Przeszła do detektywów Cullena i Walsh i poinformowała ich, że wraca na Anglesea Street, by odwołać nalot na dom Lupula. Obiecała, że gdy tylko będzie mogła, przyśle kogoś na ich miejsce.

– Oby tylko dotarli tutaj, zanim zobaczymy jakieś zwęglone zwłoki – odparła detektyw Walsh. Jej oczy były pełne łez, ale Katie postanowiła uznać, że to jedynie działanie gryzącego dymu.

\* \* \*

– Ten facet z urzędu imigracyjnego będzie wściekły – powiedział detektyw O'Donovan, gdy wsiadali do radiowozu. – Biedak jechał w środku nocy aż z Waterford, a teraz się okazuje, że może wracać do domu.

– Mam nadzieję, że jednak okaże trochę zrozumienia – odparła Katie.  
– Będziemy potrzebowali dużego wsparcia urzędu, żeby jakoś ogarnąć cały ten bałagan.

– Więc jaki mamy plan?

– Najpierw muszę porozmawiać z komendantem O'Kane'em, bo teraz stało się to już mocno polityczną sprawą. Nie zrozum mnie źle, nie winię za nic bezdomnych. Wiem, że nikt z własnej woli nie śpi na ulicy w środku zimy, kiedy w dodatku jest uzależniony, splukany i chory. Ale tacy skurwiele jak Lupul wykorzystują ich zdecydowanie zbyt długo, a ja mam pretensje do siebie, że nie zajęłam się tym wcześniej.

Gdy dotarli na Anglesea Street, natychmiast poszła do komisarza O'Rourke'a. Jak się okazało, odwołał już wszystkich, którzy mieli wziąć udział w nalocie na dom Lupula, powiadomił również o rozwoju wypadków ludzi z urzędu imigracyjnego i opiekę społeczną.

– Dzięki, Francis. Świetnie się spisałeś – pochwaliła go. – Ale to dopiero początek. Muszę omówić tę sprawę z komendantem O'Kane'em, ale byłabym wdzięczna, gdybyś obliczył, ilu potrzebujemy ludzi, żeby za jednym zamachem zgarnąć z ulic wszystkich bezdomnych w mieście.

O'Rourke otworzył szeroko oczy.

– Wszystkich? – powtórzył z niedowierzaniem. – Wolałbym się nad tym nie zastanawiać. Ilu może ich być?

– Każdej nocy ta liczba może być inna, zależnie od tego, ilu z nich zdołało znaleźć sobie miejsce w noclegowniach. Ale zakładam, że przeciętnie będzie ich od dwudziestu do trzydziestu.

– W porządku, zajmę się tym. Będziemy musieli przeprowadzić najpierw mały rekonesans, żeby zobaczyć, gdzie się melinują, bo wtedy niektóre patrole mogłyby zgarnąć za jednym razem kilkoro z nich, na przykład przy Savoy Centre i Dunnes. Tylko co zrobimy z tyloma ludźmi?

– Najpierw przyprowadźcie ich wszystkich na przesłuchanie. Chcę raz na zawsze skończyć z wykorzystywaniem bezdomnych. Jezus, przecież i bez tego wystarczająco cierpią.

Poszła do siebie, odwiesiła płaszcz, umyła twarz i ręce, po czym spryskała perfumami włosy, by pozbyć się zapachu dymu. Gdy szła korytarzem do gabinetu komendanta, z windy wychynął detektyw O'Donovan, który trzymał dwa kubki z kawą.

– Pomyślałem, że chętnie się pani napije – powiedział.

– Dzięki piękne, Patrick. Będiesz wspaniałym mężem.

– Dziękuję, ale na razie nic z tego nie wyjdzie. W zeszłym tygodniu rozstałem się z Aibreann.

– Och, przykro mi to słyszeć. To śliczna dziewczyna.

– Wiem, ale wkurzało ją, że tyle pracuję, wie pani, jak to jest. A kiedy już wracałem do domu, zasypiałem od razu przed telewizorem. Sam jestem sobie winny. Powinienem był jej poświęcać więcej uwagi.

– Myślisz, że jeszcze się zejdziecie?

– Raczej nie. Przynajmniej dopóki nie zmienię pracy.

Katie zatrzymała się przed drzwiami gabinetu komendanta. Chciała jakoś pocieszyć O'Donovana, zapewnić go, że wkrótce znajdzie jakąś inną dziewczynę, równie wartościową jak Aibreann, nie umiała jednak znaleźć właściwych słów. Bezgraniczne oddanie pracy w Garda Síochána zniszczyło również większość jej związków, zwłaszcza z nieżyjącym już mężem Pauliem i kochankiem Johnem. Teraz w szpitalu leżał Conor, okaleczony i załamany, bo próbował wziąć sprawy we własne ręce i powstrzymać siostry McQuaide, czego ona sama nie zdołała dokonać.

– Dzięki za kawę – powiedziała, obdarzając O'Donovana uśmiechem.

Zapukała do drzwi gabinetu komendanta i weszła do środka. Brendan rozmawiał właśnie przez telefon z detektywem komisarzem Fitzpatrickiem, oglądając jednocześnie telewizyjną relację z wydarzeń przy Alexandra Road. Ogień został już właściwie ugaszony, lecz kamienica, która ukazywała się co jakiś czas zza obłoków dymu, przypominała pustą wypaloną skorupę.

– Ach, jesteś, Katie. – Zakrył telefon dłonią. – Wejdz, usiądź. Komisarz Fitzpatrick przekazuje mi właśnie najnowsze wiadomości.

Usiadła na krześle przed biurkiem Brendana, a on ponownie podniósł telefon do ucha.

– W porządku, Robert, dobra robota. Dziękuję. Daj mi znać, kiedy na miejscu pojawią się kryminaliści. Pogadamy później. – Przerwał połączenie i zwrócił się z poważną miną do Katie: – Znaleźli w domu jeszcze jedno ciało. Prawdopodobnie należało do dorosłej osoby, ale jest tak zwęglone, że nie wiadomo, czy to mężczyzna, czy kobieta. Kto wie, może to sam Lupul.

– To całkiem możliwe, bo chyba nie ma już żadnych wątpliwości, że doszło do podpalenia, a jeśli ktoś podpalił ten dom, to na pewno chciał dopaść właśnie Lupula. Czy Robert mówił już, że znaleźliśmy w ogrodzie trzy puste kanistry po benzynie?

Brendan skinął głową.

– Tak, więc pewnie znajdziemy tam masę śladów. Ale nic nam z tego nie przyjdzie, jeśli żadnego z nich nie będzie w systemie PULSE.

– Koniecznie musimy zdobyć więcej informacji o tym żebraczym gangu. Proponuję, żebyśmy ściągnęli na przesłuchanie wszystkich bezdomnych z miasta, zwłaszcza Rumunów. Tylko w ten sposób dowiemy się, jaka jest skala tej operacji, dokąd trafiają pieniądze i dlaczego podpalono dom Lupula.

Komendant wstał zza biurka.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł, Katie. Chyba zdajesz sobie sprawę, że nie obędzie się bez protestów z różnych stron. Jego ekscelencja biskup O’Neill zarzuci nam, że jesteśmy rasistami i mamy serca z kamienia. Na pewno nie spodoba się to też różnym organizacjom charytatywnym: „Nie osądzamy, służymy”, tak właśnie mówią, kiedy rozdają zapiekankę pasterską, prawda?

– Wiem. – Katie westchnęła ciężko. – Chronią bezdomnych. Opiekują się nimi na tyle, na ile mogą. Ale jednocześnie utrudniają nam znalezienie tych sukinsynów, którzy ich wykorzystują.

– A co z ustawą o prawach człowieka? Przykro mi to mówić, Katie, ale ściągniesz na nas całą armię prawników, zupełnie jakbyś otworzyła puszkę Pandory.

– Zajmiemy się tym w odpowiednim czasie. Przed chwilą widziałam na własne oczy, jak dwoje ludzi zginęło w pożarze, a teraz znaleźliśmy trzecią ofiarę. Wcześniej zamordowano co najmniej troje bezdomnych i naszego informatora z baru Parting Glass, a dwie kobiety przepadły bez wieści. Zamierzam znaleźć tego, kto dokonał tych zbrodni, i dopilnować, żeby został ukarany, nawet jeśli zostanie przez to najbardziej znieawidzoną funkcjonariuszką Garda Síochána w Irlandii.

– Och, dajże spokój. Dla mnie jesteś najsympatyczniejszą funkcjonariuszką Garda Síochána w Irlandii. Ale musisz pamiętać, że jednym z moich priorytetów jest przywrócenie tej instytucji dobrego imienia, a to na pewno mi w tym nie pomoże.

– W tej sytuacji to nie ma znaczenia – odparowała Katie. – Ile razy mówiłam, że powinniśmy usunąć bezdomnych z ulic? Ile razy mówiłam, że powinniśmy znaleźć domy tym, którzy naprawdę nie mają gdzie się podziać, i pomóc im uwolnić się od nałogów? Wielu z nich jest przewlekle chorych, fizycznie lub umysłowo, a żyjemy przecież w dwudziestym pierwszym wieku, a nie w średniowieczu, na miłość boską.

– Katie...

– Nie, proszę posłuchać. Powinniśmy dbać o swoje interesy, jasne, ale jednocześnie powinniśmy też deportować wszystkich tych żebraków, których kanalie takie jak Lupul przemyciły tu z Rumunii. Kiedy ludzie dają im drobniaki, nie zdają sobie sprawy, że nie pomagają wcale biednym, zagubionym duszom w łachmanach. W ten sposób finansują zbrodniczą operację na dużą skalę, nadzorowaną przez cudzoziemców.



I oczywiście nie chodzi tylko o żebraków. To samo dotyczy młodych ludzi zmuszanych do kradzieży, do handlu narkotykami czy prostytutce.

– Zawsze miałaś talent do takich wykładów – zauważył Brendan. – Muszę przyznać, że prawie mnie przekonałaś.

– Więc co mam jeszcze zrobić, żeby poparł pan ten pomysł, panie komendancie? Kiedy przesłuchujemy bezdomnych pojedynczo, boją się nam cokolwiek powiedzieć, bo zaraz potem wracają na ulicę, gdzie nikt ich nie ochroni. Spróbujemy sprowadzić ich tu wszystkich naraz i zapewnić, że zadbamy o ich bezpieczeństwo, dopóki nie przymkniemy i nie oskarżymy ich szefów. Może wtedy będziemy mieli w końcu jakieś szanse, żeby zlikwidować te żebracze gangi.

– A gdzie właściwie chcesz ich przetrzymywać? Jeśli organizacje charytatywne nie mają dla nich dość miejsca, to gdzie my ich umieścimy? Nie mówiąc już o tym, skąd weźmiemy dla nich jedzenie. Ile to wszystko będzie kosztować?

– Porozmawiam z Jimem Phelanem z miejskiego biura do spraw bezdomnych. Jestem pewna, że uda nam się znaleźć jakieś tymczasowe schronienie dla dwudziestu osób. A jeśli chodzi o koszty, to może warto się skonsultować z zastępcą komendant głównej, Magorianem. Proszę mu powiedzieć, że wiemy już o siedmiu ofiarach wśród bezdomnych, a może ich być więcej. Niech pan obejrzy najpierw wiadomości, panie komendancie. Wiem, jak bardzo panu zależy na przywróceniu zaufania do Garda Síochána, ale czasami lepiej chyba zapomnieć o taniej popularności i zrobić to, co należy.

Brendan wyszedł zza biurka i stanął tuż obok niej. Na ekranie telewizora za jego plecami pokazywano zasnutą dymem Alexandra Road.

Katie była pewna, że chciał powiedzieć jej coś osobistego, jednak i tym razem wyczuł, że to nieodpowiednia pora. W końcu skinął głową.

– W porządku, Katie – rzucił. – Jeśli możesz przygotować plan takiej operacji, spotkajmy się później z Michaeliem Pearse'em. Jeżeli uzna, że to możliwe, pomówię z Frankiem Magorianem i biurem do spraw bezdomnych. Muszę przyznać, że to bardzo radykalne rozwiązanie, ale... – Nie dokończywszy zdania, zrobił krótką pauzę. – Może pójdziesz teraz do domu, prześpisz się i coś zjesz? Prawie nie spałaś tej nocy.

– O dziesiątej przychodzi prawnik Eamona Buckleya.

– Więc niech Tony Mulliken z nim porozmawia. Masz świetny zespół, Katie, nie musisz zajmować się wszystkim sama.

– Tak, może. Moje biedne psy pewnie bardzo za mną tęsknią. Dobrze, w takim razie wrócę na komendę o jedenastej.

– O dwunastej. To rozkaz.

Podniosła na niego wzrok. Nieogolony i rozczochrany, w musztardowym swetrze i dżinsach, wydawał jej się jeszcze

atrakcyjniejszy niż wtedy, gdy wszedł na komendę w eleganckim niebieskim mundurze. Czowała wyrzuty sumienia, że pozwoliła sobie nawet na takie myśli, ale musiała też przyznać, że Brendan miał rację. Przez kilka ostatnich dni dawała z siebie wszystko i bardzo potrzebowała, by teraz ktoś wziął ją w ramiona i powiedział, że wszystko będzie dobrze i że przynajmniej w jego oczach jest naprawdę piękna.

## Rozdział 36

Jadąc Lower Glanmire Road w stronę swojego domu, dojrzała atramentową plamę dymu, która wciąż wisiała nad Montenotte, nad spaloną kamienicą Lupula. Choć ledwie żywa ze zmęczenia, nigdy jeszcze nie była tak zdeterminowana, by uwolnić Cork od cudzoziemskich gangów. Były dla niej niczym robactwo, które opanowało ulice miasta, i zamierzała zrobić wszystko co konieczne, by wykurzyć te pasożyty z ich kryjówek i wytępić raz na zawsze.

Kiedy weszła do domu, Barney i Foltchain nie przywitały jej tak entuzjastycznie jak zwykle. Może były obrażone, że zbyt długo zostawiła je pod opieką Jenny Tierney. Co bardziej prawdopodobne, jej ubrania przesiąkły dymem pożaru i wydzielala obcy zapach. Mimo to podrapała Barneya za uszami i pogłaskała puszysty grzbiet Foltchain, a gdy przeszła do kuchni, by nasypać muesli do miski i zrobić sobie kawę, psy potruchtały za nią i podniosły na nią wzrok, jakby chciały powiedzieć jednym głosem: „No dobrze, wróciłaś, nawet jeśli ciągniesz za sobą jakiś dziwny smrodek. Może dałabyś nam puszkę wołowiny z warzywami?”.

Kiedy już je nakarmiła, przeniosła muesli i kawę do salonu i rozsiadła się na kanapie, z nogami w górze. Na zewnątrz wciąż było bardzo zimno, ale przez rzadką szarą mgłę prześwitywało słońce, a w prognozach nie zapowiadano deszczu, przynajmniej do niedzieli. Wciąż jadła, gdy zadzwonił jej iPhone.

– Nadkomisarz Maguire? Mam nadzieję, że nie dzwonię zbyt wcześnie, ale pomyślałem, że spróbuję panią złapać, zanim będzie pani zbyt zajęta. Mówi Jimmy O’Neill, ojciec Caoimhe. Wczoraj zostawiła pani wiadomość, że gdybyśmy nie mogli uzbierać dość pieniędzy na operację Waltera, pani szef byłby gotów nam pomóc, zgadza się?

– Tak, obiecał to zrobić.

– Dzwonię tylko, żeby się upewnić, że dobrze panią zrozumiałem. To bardzo hojna propozycja i nie bardzo mogliśmy w nią uwierzyć.

– Owszem, jest hojna. Ale komendant O’Kane próbuje pokazać, że Garda Síochána chce wspomagać obywateli z takim samym zaangażowaniem, z jakim chwyta przestępców. – Po krótkiej pauzie dodała: – Mam nadzieję, że nie zabrzmiało to jak reklama telewizyjna.

– Nie, wcale nie – zapewnił ją Jimmy O’Neill. – Ale chodzi o to, że nasza składka utknęła w miejscu i nie wygląda na to, żeby udało nam się

zebrać dużo więcej. Więc zastanawialiśmy się, czy rzeczywiście dołożyłby resztę.

– Tak powiedział. A ile udało się państwu zebrać do tej pory?

– Dwieście siedemdziesiąt pięć euro. I wyściełany kosz dla psa z Ideal Pet Shop.

– Więc... zostaje jakieś dwa tysiące siedemset dwadzieścia pięć euro. Muszę spytać komendanta, czy jest gotów tyle zapłacić. Jestem teraz w domu, ale spróbuję się z państwem skontaktować po południu. Im wcześniej Walter przejdzie operację, tym lepiej.

– Prawdę mówiąc, trochę głupio mi o to pytać i jeśli się okaże, że to jednak za dużo, wcale nie będziemy mieli żalu.

– Myślę, że nie będzie z tym większego problemu – odparła Katie, dodając w duchu: Bo w gruncie rzeczy on nie robi tego dla dobra Garda Síochána, tylko żeby przypodobać się mnie. Ale ja mam Conora, który leży ciężko ranny w szpitalu. Kocham Conora i bez względu na to, co robi dla mnie Brendan, nigdy tego nie zmieni. Conor i ja jakoś przez to przejdziemy, jestem tego pewna... prawie pewna. W każdym razie modłę się do świętego Rafała i do świętej Adelajdy.

Po rozmowie z ojcem Caoimhe Katie skończyła jeść śniadanie, włożyła miskę do zmywarki i poszła wziąć prysznic. Myjąc włosy, rozmyślała mimowolnie o dziwnej trójstronnej relacji między nią, Brendanem i Walterem. Przypominało to historię rodem z *Táin Bó Cúailinge*, zbioru starych irlandzkich legend, w której przedlodowcową Irlandię zamieszkiwały oślizgłe Slipidyslapy, skorupiaste Fumebottomy i wróżki. Ludzie, potwory i syreny zawierali między sobą magiczne sojusze.

Nim włożyła koszulę nocną, stała przez chwilę przed lustrem w sypialni, susząc włosy. Choć nie miała czasu, by codziennie rano chodzić na siłownię, wyprowadzała psy na spacer tak często, jak tylko mogła, starając się, by te wyprawy trwały jak najdłużej, a odkąd zamieszkał z nią Conor, sporo schudła. Może była to tylko zasługa seksu. Conor był pomysłowym i namiętym kochankiem – przynajmniej do niedawna. Jednak utrata wagi najprawdopodobniej wiązała się ze stresem, z którym ciągle musiała się zmagać. Conor był jej oddany, ale przez cały czas działał na pełnych obrotach, jakby jego głowa była czajnikiem, w którym stale gotuje się woda. Tymczasem ona bezustannie zmagala się z różnymi problemami kryminalnymi, prawnymi i politycznymi, potrzebowała więc na koniec każdego dnia odrobiny czasu i przestrzeni, by się wyciszyć i pomedytować.

Spała niespokojnie przez trzy godziny. Słyszała, jak Jenny otwiera kluczem drzwi i zabiera na spacer Barneya i Foltchain, nie ruszyła się jednak z łóżka ani nie zawołała do niej na przywitanie.

Gdy wybiła jedenasta, odrzuciła kołdrę i zmusiła się do wstania z łóżka. Dziś miała rozpocząć operację oczyszczania ulic Cork. Liczyła na to, że wkrótce dowie się wreszcie, kto przewiercał czaszki bezdomnych, kto porwał dwie zaginione kobiety i kto podpalił dom przy Alexandra Road.

Zamierzała jednak rozpocząć ten dzień od wizyty w szpitalu, uważała bowiem, że właśnie tam znajdzie ważne wskazówki, które pomogą jej zlikwidować żebracze gangi, a także dotyczące tego, co ją czeka w życiu osobistym.

\* \* \*

Zanim skontaktowała się z ochroną szpitala uniwersyteckiego, poszła odwiedzić Conora.

Miał na sobie granatowy sweter i szare sztruksy; siedział w fotelu i czytał „The Herald”. Nagłówek na pierwszej stronie głosił: *Zastrzelony tata – czy ja umrę?*

Na jego twarzy wciąż były bandaże i plastry, jednak zasłaniały tylko grzbiet nosa, jakby były fragmentem hełmu wikingów, oraz część lewego policzka. Siniaki przybierały żółtą i ciemnofioletową barwę, większość opuchlizny ustąpiła. Katie podeszła i pocałowała go na przywitanie. Odpowiedział jej pocałunkiem, który wydawał się wyjątkowo delikatny – nie niepewny, lecz ostrożny, badawczy, jakby Conor próbował się w ten sposób dowiedzieć, co ona o nim myśli, skoro sam uważał się za coś w rodzaju wybrakowanego towaru.

– Nie wiedziałam, że czytasz tego szmatławca. – Katie uśmiechnęła się, siadając obok niego.

– Bo zasadniczo nie czytam, ale dziś nie mieli dla mnie nic innego. A przynajmniej taką mam wymówkę. Poza tym mają tu najlepsze typy bukmacherskie na wyścigi konne. Minie trochę czasu, zanim będę mógł wrócić do pracy, prawda? Więc tymczasem próbuję trochę zarobić na zakładach.

– Wyglądasz już o wiele lepiej – zauważyła, kładąc mu dłoń na ramieniu.

– Doktor Sandhu zrobił mi dziś rano kolejne badania. Twierdzi, że bardzo dobrze się goję... no wiesz, tam na dole. Właściwie mówił, że jutro mógłbym już wyjść do domu, choć muszę tu wrócić za parę dni, żeby sprawdzili, czy nos, kość policzkowa i oczodół zrastają się jak należy.

– To cudownie, Con. Barney i Foltchain będą zachwyceni. Ja też. Ale najpierw muszę cię jeszcze o coś spytać.

– Tak? O co?

– Kiedy zaczniesz znów zapuszczać brodę? Nie mogę się przyzwycząić do tej gładkiej buzi! Wyglądasz, jakbyś miał dwadzieścia jeden lat!

– Nie chcesz mieć takiego młodziutkiego chłopaka?

Pochyliła się nad oparciem fotela i pocałowała go ponownie, raz i drugi, i raz jeszcze.

– Nie – odpowiedziała w końcu, patrząc mu prosto w oczy. – Chcę Conora Ó Máille’a. Psiego detektywa. Mężczyznę z brodą. Mężczyznę, w którym się zakochałam.

Nie odpowiedział, a po chwili odwrócił głowę w stronę okna, jakby spodziewał się zobaczyć tam wronę, zwiastuna nieszczęścia, albo chmurę o jakimś niezwykle kształcie.

\* \* \*

Katie przeszła do pokoju przy kafeterii na pierwszym piętrze, w którym mieściło się centrum zarządzania ochroną szpitala. Oddałaby wszystko za filiżankę kawy, wiedziała jednak, że nie ma na to czasu. Dzwoniła wcześniej, zapowiadając swą wizytę, więc szef ochrony, Donal Magill, siedział już przed monitorami przekazującymi obraz z kamer na terenie szpitala i czekał na nią. Był wysokim, łysym i pogodnym mężczyzną z wielkim brzuchem, okrytym szeroką białą koszulą. Zwykle raz po raz wybuchał chrapliwym śmiechem, lecz tego ranka wydawał się wyjątkowo poważny.

– Jak leci, pani nadkomisarz? – spytał, unosząc się nieco nad swoje krzesło obrotowe i podając jej rękę. – Przejrzałem te nagrania, o które pani pytała, i chyba znalazłem te fragmenty, które chciałyby pani zobaczyć.

– To wspaniale, dzięki. Zaoszczędził nam pan masę pracy.

– Może ma pani ochotę na kawę?

– Nie, dzięki, nie. Rzućmy okiem na to nagranie, dobrze?

Donal Magill przyciągnął jej krzesło, po czym siedząc ramię przy ramieniu, przejrzeni nagrania z kamer ochrony z poprzedniego wieczoru. Katie zobaczyła, jak wychodzi z pokoju Conora i zmierza do windy, zwrócona twarzą ku kamerze. Kiedy czekała na kabinę, otworzyły się drzwi pokoju Saoirse Duffy i pojawiła się w nich pielęgniarka.

– Tak, właśnie tę osobę chciałam zobaczyć – powiedziała Katie, pochylając się do przodu. – Nie można jakoś wyostrzyć obrazu?

– Przykro mi, ale nie – odparł Magill. – Nic więcej z tego nie wydobędę. Może wasi technicy jakoś to powiększą, ale oświetlenie w tym miejscu jest bardzo kiepskie.

Idąc do windy, pielęgniarka rozglądała się na boki, dwukrotnie też obejrzała się za siebie, jakby w obawie, że ktoś ją śledzi. Właśnie z powodu tych nieustannych ruchów jej twarz była stale rozmazana, więc jedynie na podstawie tego nagrania Katie nie mogła z całą pewnością potwierdzić jej tożsamości. Kobieta miała na sobie standardowy uniform pielęgniarki szpitala uniwersyteckiego w Cork – jasnofioletową bluzę i granatowe spodnie. Być może rzeczywiście była pielęgniarką, ale mogła też zabrać te ubrania z magazynu.

Pielęgniarka zwolniła i zatrzymała się, ujrzawszy Katie stojącą przed windą. Natychmiast zawróciła i ruszyła szybko w przeciwną stronę, znikając z pola widzenia kamery.

– Hm... niewiele z tego wynika – mruknęła Katie, siadając prosto.

– Chce pani, żebym to puścił jeszcze raz?

– Nie ma sensu. To nagranie nie wnosi niczego nowego. Ale właśnie przyszło mi coś do głowy: szpitalna apteka prowadzi rejestr wszystkich leków, które wydaje, prawda?

– Zgadza się. I to bardzo skrupulatnie, mają na tym punkcie fioła! Gdyby zginęła choćby jedna tabletki ibuprofenu, od razu by o tym wiedzieli i wysłędziliby, kto ją zabrał. Muszą to wiedzieć. Magazyn z lekami jest wyładowany od sufitu do podłogi morfiną, oksykodonem, sufentanylem i Bóg wie czym jeszcze. Gdyby jakiś pacjent zmarł w wyniku przypadkowego przedawkowania, prawnicy od razu chcieliby wiedzieć, skąd pochodził ten lek, kto i po co go przepisał i tak dalej. Na pewno polecałyby głowy, jak amen w pacierzu.

– Doktor Kelley jest pewna, że Saoirse Duffy zmarła w wyniku przedawkowania fentanylu.

– Mówiła mi o tym. Oczywiście mają fentanyl w aptece. W zeszłym roku mieliśmy tu małą aferę, kiedy zginęła cała paczka fentanylu, ale na szczęście okazało się, że została tylko źle oznaczona. Ale tak czy inaczej, konsekwencje mogły być poważne. Na pewno nie chciałyby pani dostać fentanylu zamiast ranitydyny.

– Byłabym wdzięczna, gdyby zszedł pan do apteki i sprawdził, czy ostatnio ktoś nie pobierał większych dawek fentanylu, zwłaszcza czy nie robiła tego jakaś pielęgniarka... albo osoba wyglądająca na pielęgniarkę.

– Jasne, poproszę Tadgha, żeby zaraz się tym zajął.

– Dzięki. Będę na terenie szpitala jeszcze co najmniej przez czterdzieści minut. Muszę zejść do prosektorium i porozmawiać z doktor Kelley.

– Nic tak nie umili człowiekowi dnia jak widok paru trupów, zawsze to mówiłem!

Nim jednak Katie zeszła do kostnicy, odwiedziła detektywa Markeya. Siedział na łóżku i choć głowę miał owiniętą grubą warstwą bandażu przypominającą turban, uśmiechał się promiennie.

– Trochę tylko boli mnie łeb, to wszystko, pani nadkomisarz – powiedział. – Właściwie czuję się jak wtedy, gdy byłem dzieckiem i mama ciągle tłukła mnie po głowie drewnianą łyżką. Ale nie mogę się doczekać, kiedy stąd wyjdę, znajdę tego gnojka, który mi to zrobił, i zrobię mu to samo. Tyle że ja użyję większego młotka. I przywalę mu parę razy.

– Wcześniej czy później go dopadniemy i zamkniemy – zapewniła go Katie. – A wtedy odwiedzisz go w więzieniu przy Rathmore Road i uśmiechniesz się do niego przez kraty. To będzie lepsza zemsta niż tłuczenie go po głowie młotkiem.

\* \* \*

Doktor Kelley zajmowała się badaniem zwęglonego ciała, które przywieziono z pożaru przy Alexandra Road. Zwłoki były całkiem spalone i przypominały raczej wyciągnięty z ognia pień drzewa niż szczątki człowieka. Wydzielały nawet zapach podobny do spalonego drewna.

W prosektorium znajdowały się jeszcze cztery inne ciała, ułożone pod świeżo wyprasowanymi prześcieradłami: para, która wyskoczyła z okna na czwartym piętrze w kamienicy Lupula, Vasile i biedna Saoirse Duffy, choć Katie przypuszczała, że ta ostatnia została już zaszyta i przygotowana do pochówku.

Asystent doktor Kelley, Denis, siedział przed ekranem chromatografu gazowego, badając próbki włosów na obecność narkotyków. Przywitał Katie uśmiechem i pomachał do niej wesoło. Najwyraźniej towarzystwo tyłu nieboszczyków w niczym mu nie przeszkadzało.

– Jak leci? – spytała Katie, zwracając się do doktor Kelley. – Ma pani dla mnie coś nowego?

– Niewiele. Jeśli chodzi o tę parę, to oboje odnieśli liczne obrażenia. W przypadku mężczyzny główną przyczyną śmierci było pęknięcie kręgosłupa. Kobieta umarła na skutek rozległego wylewu krwi do mózgu. Oboje mieli poparzenia trzeciego stopnia obejmujące trzydzieści procent powierzchni ciała i zatruli się dymem. Nawet gdyby nie wyskoczyli z okna, mieliby niewielkie szanse na przeżycie.

– W jakim mogli być wieku?

– Mężczyzna miał około trzydziestu pięciu lat. Kobieta jakieś dwadzieścia siedem.

– Jakies wskazówki dotyczące ich tożsamości?

– Mężczyzna ma tatuaże na przedramionach. Wysłałam zdjęcia do Billa Phinnera. Jeden z nich wygląda jak tarcza z dwiema czerwonymi głowami wilków; pod spodem jest napis *Câinii roșii*. Nie wiem tylko, czy dobrze to wypowiedziałam. Jeden z techników Billa od razu wiedział, co



to jest: logo drużyny Dynamo Bukareszt, jednego z najlepszych klubów piłkarskich w Rumunii.

– Dziewczyna nie miała niczego podobnego?

– Tatuaż z motylem, a prócz tego jakieś bransoletki i pierścionki. Je również wysłałam do Billa, żeby spróbował się dowiedzieć, skąd pochodzą. Moim zdaniem wyglądały na wschodnioeuropejskie, więc może też była Rumunką.

– To by się zgadzało. Zginęli w kamienicy, którą prawdopodobnie zajmowali rumuńscy żebracy. – Katie zamilkła na moment i wskazała głową na zwęglone zwłoki na stole. – A co z tym?

– To mężczyzna, tyle wiem. Jego organy wewnętrzne trochę się przysmażyły, ale nie do końca, więc można je zbadać. Dużo pił i miał guz wielkości pomidora na lewym płucu, choć być może łagodny. Na pewno nie był okazem zdrowia, tego jestem pewna. Ale prowadzę jeszcze dodatkowe badania, więc będę mogła powiedzieć znacznie więcej jeszcze dziś po południu albo jutro.

– A facet, którego znaleziono w chłodni rzeźnika?

Doktor Kelley przeprowadziła Katie na drugą stronę sali i odwinęła prześcieradło okrywające Vasilego. Wydawał się dziwnie pogodny, jak ktoś, kto przez całe życie szukał ukojenia i w końcu znalazł je w śmierci. Jeden kącik jego ust unosił się nawet lekko, jakby chłopak się uśmiechał.

– Technik, który badał go jako pierwszy, miał całkowitą rację. Ktoś wwiercił się w tył jego głowy i zamienił pień mózgu w smoothie, jeśli mogę sobie pozwolić na taką analogię.

– Żadnych innych obrażeń?

– Siniaki typowe dla kogoś, kto był szarpany i przytrzymywany siłą, ale nic poza tym. Generalnie był w całkiem dobrym stanie, choć cierpiał na łagodną łuszczycę.

– Znamy jego nazwisko i narodowość, wiemy, gdzie pracował, a wczoraj i dzisiaj pokazywano w telewizji jego zdjęcie, więc mam nadzieję, że wkrótce dowiemy się czegoś więcej.

– Zapomniałam powiedzieć... on też ma tatuaż – dodała doktor Kelley. Podniosła lewą rękę Vasilego i pokazała Katie serce przebite sztyletem i imię Agrapina. – Sprawdziłam to. To rumuńskie imię, znaczy „dziewczyna, która urodziła się stopami do przodu”.

– To ciekawe – mruknęła Katie. – Ja też urodziłam się stopami do przodu. Moja babcia mawiała, że przyszłam na ten świat tak samo, jak go opuszczę. A nie była wcale żartownisią, o nie. Tata powtarzał, że jeśli człowiek był smutny, to przy niej czuł się na dodatek samotny.

– Po południu zrobię więcej badań toksykologicznych – poinformowała ją patolożka. – Postaram się przekazać wyniki jeszcze dzisiaj.

– Piękne dzięki – odparła Katie. Robiło jej się już duszno pod chirurgiczną maską, położyła więc dłoń okrytą lateksową rękawiczką na ramieniu doktor Kelley, żegnając ją w ten sposób.

Gdy w końcu wyszła ze szpitala, przez chwilę stała na schodach, pod anemicznymi chmurami. Wzięła głęboki oddech, by pozbyć się z płuc zapachu kostnicy, a potem zamknęła oczy i odmówiła krótką, lecz żarliwą modlitwę – tym razem skierowaną prosto do Boga.

Panie, proszę, uczynić cud. Spraw, żeby Conor znów się poczuł jak prawdziwy mężczyzna. Zrób to dla niego, jeśli nie dla mnie.

## Rozdział 37

Kiedy Katie jechała na Anglesea Street, zadzwonił Bill Phinner. Mówił jeszcze bardziej cierpiętniczym tonem niż zwykle, domyśliła się więc, że znów próbuje rzucić palenie.

– Ciągłe przeszukujemy tę kamienicę przy Alexandra Road. Jest tam mnóstwo różnych rzeczy, więc zajmie nam to ładnych parę dni. Znaleźliśmy co najmniej dziesięć walizek pełnych ubrań, torebki i buty, mamy też pięć komórek, które wciąż działają. Cztery z nich zarejestrowano w Telekom Romania, a piątą w Orange Romania. Mogą się okazać bezcenne, kiedy będziemy chcieli się dowiedzieć, kto tam mieszkał, jak długo ci ludzie przebywali w Irlandii i gdzie teraz są.

– Nie znaleźliście więcej ciał?

– Nie, Bogu dzięki. Ale...

– Cóż, to by pasowało do naszych podejrzeń. Lupul używał tego domu jako swego rodzaju bazy dla żebraków, ale wysyłał ich na ulice na cały dzień, nocą też musieli spać na mieście, żeby udawać bezdomnych. To by wyjaśniało, skąd wzięły się tam te telefony, prawda? Pewnie zabrał je tym ludziom, nim kazał im żebrac. Bo przecież nikt nie wrzuci żebrakowi drobniaków do kapelusza, jeśli widzi, że stać go na smartfona.

– Diarmuid i Siobhan właśnie sprawdzają karty SIM. Ale chciałem powiedzieć, że znaleźliśmy też szarą skórzaną kurtkę. Wspominałaś o tym w liście gończym za Lupulem, prawda? Szara skórzana kurtka.

– Owszem, wspominałam. Gdzie ją znaleźliście?

– W tym samym pokoju co to zwęglone ciało. Wisiała we wnęce, więc nadpalił się tylko jeden rękaw. Nie ma na niej żadnego nazwiska ani metki, a kieszenie są puste, nie licząc drobniaków i paczki gumy do żucia, więc nie mamy pewności, do kogo należała. Ale jest szara.

– Gdzie dokładnie je znaleźliście... to znaczy ciało i kurtkę?

– Na pierwszym piętrze, w pokoju na tyłach kamienicy. To była jedna z największych sypialni, z biurkiem, łóżkiem i kanapą pod oknem.

– Więc gdyby Lupul miał swój pokój w tym domu, to pewnie właśnie tam, jako szef?

– Oczywiście będziemy badać DNA z tej kurtki i porównywać je z DNA zwłok. W tym samym pokoju znaleźliśmy też notes, kołonoatnik, być może było to coś w rodzaju dziennika. Spalił się, ale powinno nam

się udać rozdzielić strony, a jeśli użyjemy fotografii w podczerwieni, pewnie odczytamy, co tam było napisane.

– Świetnie, Bill. Będę na komendzie najpóźniej za dziesięć minut. Przyjdę do was i obejrzę tę kurtkę. Jeśli się okaże, że należała do Lupula i że to on się spalił, połowa naszych problemów się rozwiąże. Będziemy tylko musieli się dowiedzieć, kto je rozwiązał.

\* \* \*

Na komendzie czekały na nią kolejne wieści. Ledwie odwiesiła płaszcz i poprosiła Moirin o filiżankę kawy, gdy do jej gabinetu wszedł detektyw O'Donovan. Wydawał się wypoczęty i pogodny; był w fioletowej koszulce bez rękawów, którą kupiła mu zapewne eksdziewczyna, bo była o numer za mała.

– Jak leci, pani nadkomisarz? Wiesz co? Wreszcie ktoś dla odmiany odpowiedział na jeden z naszych telewizyjnych apeli.

– Masz na myśli to ogłoszenie w sprawie Vasilego?

– Zgadza się. Wiedzieliśmy, że pracował jako barman w Parting Glass, ale nie mieliśmy pojęcia, że w ciągu dnia mył samochody przy Straight Road, obok stacji benzynowej Texaco. Na dole siedzi facet, który twierdzi, że pracował tam razem z nim i że nie tylko znał Vasilego, ale też wie, co się z nim stało.

Katie odłożyła plik kartek, który zamierzała właśnie przeczytać.

– Świetnie – rzuciła. – W takim razie chodźmy na dół i pogadajmy z nim. Moirin, powinnam niedługo wrócić, poczekaj chwilę z tą kawą, dobrze?

Wyszła z detektywem O'Donovanem z gabinetu i zjechali na dół. W drodze do pokoju przesłuchań zrelacjonowała mu pokrótce, czego dowiedziała się w kostnicy od doktor Kelley, i wyjaśniła, dlaczego poprosiła szefa ochrony szpitala, by sprawdził, czy ktoś nie pobierał opioidów z tamtejszej apteki.

Mihai czekał w pokoju przesłuchań. Jego czarne włosy sterczały do góry niczym włosie pędzla, który ktoś zapomniał wyczyścić. Miał opuchnięte oczy. Siedział pochylony do przodu, w puchowej kurtce, i roztaczał wokół siebie silną woń dymu papierosowego.

Katie usiadła naprzeciwko i uśmiechnęła się do niego, on jednak nie zareagował. O'Donovan zajął miejsce po lewej ręce Katie i włączył dyktafon.

– Dziękuję bardzo, że przyszedłeś – zaczęła. – Chcesz może napić się wody albo czegoś innego? Nie? Mogę spytać, jak się nazywasz?

– Mihai.

– Jakieś nazwisko?

– Nie. Tylko Mihai.

– W porządku, Mihai. Gdzie mieszkasz?  
– W Cork.  
– Powiesz mi, gdzie konkretnie? Na jakiej ulicy?  
– Tylko Cork.  
– W porządku, jeśli nie chcesz, nie mów. Zakładam, że zobaczyłeś zdjęcie Vasilego w telewizji.  
– Tak. Wczoraj wieczorem.  
– I znasz Vasilego?  
– Tak. Pracować razem w *handwash*. Myć samochody rękami. – Podniósł prawą rękę i wykonał nią kolisty ruch, jakby mył przednią szybę auta.  
– Jak długo pracował tam Vasile?  
– Trzy miesiąc, około. Tak, trzy miesiąc. Spotkać go w klub kiedyś wieczór, rozmawiać o praca, a on powiedziec, szuka ekstra zajecie w dzień.  
– Jasne. Pewnie wiesz już z wiadomości, że Vasile nie żyje.  
Mihai skinął głową.  
– Mówić mu wiele raz, uważaj. On znać dużo zły ludzie, Vasile. On poznawać zły ludzie w pub, gdzie pracować, i robić dla zły ludzie rzeczy za pieniądz. Jak wy to nazywać? Przysługa. Jeden tydzień on zarobić siedemset euro, bo powiedziec jeden zły człowiek, gdzie inny zły człowiek chować auta z kradzież.  
– Kiedy widziałeś go po raz ostatni?  
– W *handwash*, wczoraj rano.  
– Co się wtedy stało?  
Mihai obejrzał się bojaźliwie za siebie, po czym pochylił się nad stołem i wyszeptał:  
– Dwa ludzie przyjść do *handwash*. Zabrać on.  
– Dwaj ludzie przyszli do myjni i go zabrali, tak? – upewniła się Katie.  
– Przyjechali samochodem?  
Mihai ponownie skinął głową.  
– Czarny audi. Rejestracja zaczynać „L”. Potem chyba dziewięć, ale więcej nie widzieć.  
– Tablice z Limerick – wtrącił detektyw O’Donovan. – Ale pewnie i tak kradzione.  
– Myślisz, że Vasile poszedł z nimi z własnej woli? To znaczy, chciał z nimi iść?  
Chłopak pokręcił głową.  
– On ich znać. I ja ich też znać. Oni pracować dla Dragos. A z Dragos nie... nie wolność... nie znać dobre słowo...  
– Mówisz o Dragomirze Iliescu? O tym, którego nazywają Lupul?  
– Zgadza się, Lupul. A z Lupul nie możnać... ja przeprasza, że tak mówić... ale z Lupul nie możnać pieprzyć.

Katie skinęła głową.

– Chyba rozumiemy, o czym mówisz. Więc ci dwaj mężczyźni, którzy zabrali Vasilego, pracują dla Lupula. Wiesz, jak się nazywają?

Mihai ponownie obejrzał się przez ramię, jakby podejrzewał, że ludzie Lupula mogą stać tuż za nim.

– Jeden to Danut. Drugi to Marku... nazywać go czasem Dinti Ascutiti.

– Dinti Ascutiti? Co to znaczy?

– Coś jak „ostre zęby”. Ludzie mówić, on kiedyś być zły do swojej dziewczyna, bo ona iść z innym mężczyzną. Więc on zabić ona i odgryźć jej... – Mihai uniósł obie ręce na wysokość piersi i poruszył sugestywnie palcami.

– No tak, więc raczej nie należy do facetów, których samotne dziewczyny powinny wyszukiwać na EliteSingles kropka com – mruknął O'Donovan.

– Wiesz może, dlaczego ci ludzie zabrali Vasilego?

– Nie. Nie wiem. On nigdy mnie mówić dużo o gangsterzy on znać. Ale wiem, że Vasile dostawać dużo pieniądze od Grubas i dlatego bać się Lupul. Bardzo się bać.

– Grubas? Masz na myśli Ștefana Făt-Frumora?

Mihai zadrżał, jakby nagle przebiegł go lodowaty dreszcz.

– Nie mówić to imię. Vasile nigdy nie mówić to imię. Wiedzieć, że Grubas płacić Vasile dużo, dużo pieniądze, żeby Vasile mówić, co słyszeć w pub. Ale Vasile bać się Grubas jeszcze więcej niż Lupul. I bać się wszystkich ludzi Grubas. Vasile mówić kiedyś, że ty zrobić coś głupie, Grubas od razu zrobić z ciebie trup.

– Wystarczy jeden fałszywy krok i zamieniasz się w ścierwo, tak? – upewnił się O'Donovan. W tym momencie zabrzączał jego telefon. Detektyw wyjął aparat z kieszeni, spojrzął na ekran, po czym zwrócił się do Katie: – Skoro już mowa o ścierwie, to właśnie przyszedł prawnik Eamona Buckleya.

– W porządku, Mihai, na razie to chyba wszystko, czego chcieliśmy się od ciebie dowiedzieć – powiedziała Katie. – Zostawisz nam swój numer, dobrze?

– Tak, dobra. Ale nie mówić nikt ja coś mówić. Nie mówić mój imię w telewizja albo gazeta, prosić.

– Nie martw się, możesz wyjść przez parking i nikt się nie dowie, że tu byłeś – zapewniła go Katie. – Będziesz jak duch, całkiem niewidzialny.

\* \* \*

Rozmowa z Eamonem Buckleyem, jego młodym pomocnikiem, Thomasem Barrym, oraz ich prawnikami trwała niecałe piętnaście minut.

Buckleya reprezentował Frank Lyons, ulizany niemłody już adwokat w trzyczęściowym granatowym garniturze, z nosem poznaczonym siatką spękanych żyłek i zaczesanymi na bok tłustymi włosami. Pracował w jednej z najdłużej działających kancelarii prawniczych w South Mall.

Thomasa Barry'ego broniła Michelle O'Hara, trzydziestokilkuletnia prawniczka, która miała irytujący zwyczaj kasłania i obciągania skraju spódnicy jednocześnie.

Katie towarzyszyli detektyw komisarz Fitzpatrick i detektyw O'Donovan.

– No dobrze – zaczął Fitzpatrick, obdarzając obu oskarżonych przeciągłym, lodowatym spojrzeniem, jakby miał im za złe, że marnują jego czas. – Wspólnymi siłami usunęliście zwłoki z budynku numer trzynaście przy Alexandra Road i zamknęliście je w chłodni zakładu rzeźniczego przy Shandon Street. Zmarły został zidentyfikowany jako obywatel Rumunii, niejaki Vasile Deac. Panie Buckley, panie Barry, czy którykolwiek z was znał zmarłego, nim pojechaliście do Montenotte po jego ciało?

– Bez komentarza – odparł Frank Lyons, nie podnosząc wzroku znad dokumentów, które właśnie czytał.

– Bez komentarza – powtórzyła Michelle O'Hara, kaszląc i obciągając spódnice.

– Zabraliście go z budynku numer trzynaście przy Alexandra Road, kiedy był już martwy, ale czy zawieźliście go tam wcześniej, gdy jeszcze żył, świadomi, że prawdopodobnie zostanie skrzywdzony?

– Bez komentarza – mruknął ponownie Frank Lyons, wciąż wpatrzony w dokumenty.

– Bez komentarza – zawtórowała mu Michelle O'Hara.

– Panie Buckley, lekarz sądowy ustalił, że Vasile Deac został zamordowany – odezwała się Katie. – Czy był pan tego świadomy, gdy zabierał pan jego zwłoki? Czy ktoś się z panem skontaktował i prosił pana, by usunąć jego ciało z Alexandra Road? Jeśli tak, to kto to zrobił?

– Bez komentarza.

– Również bez komentarza.

– Dlaczego zabrał pan jego ciało i umieścił w swojej chłodni? Co zamierzał pan z nim zrobić? Czy zapłacono panu za usunięcie zwłok z Alexandra Road, czy też obiecano panu zapłatę lub jakąś inną formę wynagrodzenia?

– Bez komentarza.

– Bez komentarza.

Katie przez chwilę w milczeniu stuknęła palcami w blat stołu, jakby wysyłała obu oskarżonym zaszyfrowaną wiadomość.

– Mam nadzieję, że prawnicy wytłumaczyli wam wcześniej, że odmowa składania zeznań zostanie uznana w sądzie za okoliczność obciążającą. Możecie być pewni, że bez trudu udowodnimy wam obu współudział w zabójstwie, co oznacza minimum dwanaście lat więzienia albo i dożywocie. Thomas, ile masz lat? Naprawdę chcesz spędzić resztę życia za kratkami?

Odczekała chwilę, trzymając długopis w uniesionej ręce.

Westchnęła ciężko.

– Nie musicie nic mówić – rzuciła. – Wiem. Bez komentarza.

\* \* \*

Po drodze do swojego gabinetu Katie zajrzała do komendanta O’Kane’a. Rozmawiał przez telefon, wyraźnie zirytowany. Na jego biurku leżała nadjedzona bułka z serem, a obok niej stała opróżniona do połowy butelka wody mineralnej.

Katie usiadła przed jego biurkiem i czekała, aż skończy rozmowę. W końcu odłożył telefon.

– Wiesz, kogo należałoby zamknąć? – spytał. – Dajmy sobie spokój z przestępcami. Za kraty trzeba wsadzić rzeczników praw obywatelskich. Boże, zupełnie jakbym próbował coś wytłumaczyć baranom.

– Udało się panu porozmawiać z Frankiem Magorianem?

– Z Frankiem? Tak, jasne. Miałem ci wszystko przekazać, chciałem tylko najpierw porozmawiać z Michaeliem Pearse’em o logistyce.

– I?

– Pewnie ucieszy cię wiadomość, że nie ma nic przeciwko temu, żebyśmy ściągnęli wszystkich bezdomnych w jedno miejsce. Jeśli tylko zapewnimy im na ten czas bezpieczne schronienie, Magorian gotów jest pokryć koszty całej operacji, do wysokości pięciu tysięcy euro.

– Fantastycznie. Zadzwoń do Jima Phelana z miejskiego biura do spraw bezdomnych. Czytałam chyba niedawno, że kościół Świętego Dunstana jest nieużywany, więc moglibyśmy ich tam umieścić. A co z biskupem O’Neillem i organizacjami charytatywnymi? Czy Magorian wspomniał, że moglibyśmy jakoś ich w to wciągnąć? Biskup da nam popalić, jeśli dowie się o tym po wszystkim. Nie zdziwiłabym się, gdyby nas ekskomunikował.

Brendan wzruszył ramionami i uniósł brwi.

– Wiesz chyba równie dobrze jak ja, co Frank Magorian myśli o prawach człowieka. Powiedział, żeby najpierw pozbierać z ulic wszystkich bezdomnych, a potem martwić się o samozwańczych świętych, choć ujął to w nieco barwniejszy sposób. Zgadza się z tobą, Katie, i muszę przyznać, że mnie też przekonałaś. Jeśli uda nam się



zlikwidować te żebracze gangi, damy bezdomnym znacznie więcej niż darmowe posiłki i miejsce w noclegowni.

– Świetnie. Gdyby zechciał pan pomówić z Michael'em Pearse'em i powiedzieć mu, że dostaliśmy zielone światło, ja mogłabym się już zabrać do organizacji całej reszty. Nie zdążymy przygotować tego na dzisiejszy wieczór, a szkoda, bo powinniśmy to zrobić jak najwcześniej, ale chciałabym, żeby na jutro wszystko było gotowe.

Była już przy drzwiach gabinetu, gdy Brendan powiedział:

– Dasz mi znać, kiedy będziesz potrzebowała pieniędzy na operację Waltera, prawda?

Zatrzymała się w pół kroku.

– Pozostaje pan przy tym, co uzgodniliśmy? Być może trzeba będzie dołożyć ponad dwa tysiące euro, a pan O'Neill powiedział, że zrozumie, jeśli w tej sytuacji zmieni pan zdanie.

Brendan podszedł do niej i obdarzył ją spojrzeniem, które świadczyło jednoznacznie o tym, że wcale nie chodzi mu o koszty leczenia Waltera.

– Nie – odezwał się łagodnym tonem, przymykając lekko oczy w ten niesamowity, zmysłowy sposób, który kiedyś tak ją pociągał. – Nie zmieniłem zdania. Prawdę mówiąc, nie zmieniłem go od lat.

\* \* \*

Dochodziła piąta. Katie chciała się już wybierać do domu, gdy zadzwonił Donal Brogan ze szpitala uniwersyteckiego.

– Przejrzeliśmy wszystkie zapisy z apteki z ostatnich siedmiu dni. Było tam parę drobnych nieścisłości, ale chodziło o to, że niektórzy z wypisanych pacjentów nie zabrali swoich leków.

– Nie zginęła żadna dawka fentanylu?

– Nie. Właściwie w ogóle nie wydawano w tym czasie fentanylu. Wydano kilka innych opioidów, ale wszystko zgodnie z receptami.

– Rozumiem, dzięki. Skontaktuję się z panem, jeśli coś jeszcze przyjdzie mi do głowy.

Wstała i podeszła do okna. Jej odbicie falowało w szybie i wtapiało się w ciemność.

Początkowo podejrzewała, że pielęgniarka widoczna na nagraniu to ratowniczka medyczna Brianna. Wydawała się ogromnie zakłopotana, gdy zastali ją z doktorem O'Keefe'em w pokoju Saoirse Duffy, gdzie stała przy łóżku, z poduszką w rękach. Ale dlaczego ratowniczka, która ocaliła życie dziewczyny, miałaby ją potem zabijać? To nie miało większego sensu. Jeśli nie znały się wcześniej i jeśli nie poróżniła ich jakaś krwawa rodowa waśń, to co mogłoby ją kierować?

Z drugiej strony, motywy morderstw wcale nie muszą być logiczne czy zrozumiałe. Katie wiedziała ze smutnego doświadczenia, że czasami

zabójcy działają całkiem irracjonalnie i potem sami nie potrafią wyjaśnić, dlaczego właściwie zwrócili się przeciwko swoim ofiarom. Zaledwie miesiąc wcześniej pewna kobieta celowo potrafiła i zabiła zupełnie niewinnego mężczyznę na parkingu w Ballyvolane, bo przypominał jej do złudzenia ojca, który wykorzystywał ją seksualnie, gdy miała siedem lat – choć ojciec nie żył już od kilku dekad.

Mimo wszystko – nawet jeśli Brianna nie miała żadnego oczywistego lub racjonalnego powodu do zabicia Saoirse – Katie musiała sprawdzić, czy nie mogła tego zrobić. Choćby po to, by wykluczyć ją z kręgu podejrzanych.

Wezwała do siebie Mullikena. Przyniósł ze sobą grube, zielone segregatory i Katie domyśliła się natychmiast, że chce jej zdać relację z innej sprawy, którą właśnie się zajmował. Pod podłogą szopy w okolicach Ballyhooly znaleziono cały skład kałasznikowów i śrutówek, podejrzewano również, że właściciel gospodarstwa przechowuje gdzie indziej materiały wybuchowe i detonatory.

– Masz tu sprawę Moloneya? – spytała.

Położył segregatory na jej biurku.

– Tak. Mamy zeznania kilku świadków i nagrania z kamer przemysłowych. Moglibyśmy już aresztować podejrzanego. A właściwie pięciu podejrzanych. Cała rodzina Moloneya to członkowie Nowej IRA, nawet dziadek, Ruari, brał w tym udział, tylko że zmarł przed kilkoma tygodniami, więc nie możemy go zamknąć.

– Dobra robota, Tony. Ale byłabym wdzięczna, gdybyś odłożył sprawę Moloneyów na parę godzin i zrobił dla mnie coś pilnego. Chciałabym, żebyś pojechał do stacji pogotowia ratunkowego w Southside i spytał ich szefa, Ardana Fallona, czy mógłby nam przekazać kompletny wykaz lekarstw, które jego ratownicy pobierali w ciągu ostatnich siedmiu dni.

– Wszyscy ratownicy?

– Zgadza się. Nie mów mu tego, ale szukamy większych dawek fentanylu. Mam na oku jedną konkretną ratowniczkę, ale niewykluczone, że zabrała ten środek z innej karetki. Nie chodzi tu o jakieś ogromne ilości, około pięciu miligramów, ale nawet tyle wystarczy, żeby zatrzymać akcję serca dorosłego człowieka. Próbuję się dowiedzieć, skąd pochodził fentanyl, który zabił Saoirse Duffy.

– Dobrze – odparł detektyw komisarz Mulliken, ale bez przekonania.

– Tony, chciałabym, żebyś wybrał się tam osobiście, bo Ardan bywa drażliwy. Niedawno przejął kierownictwo nad stacją pogotowia, ale ma jeszcze sporo problemów ze starą flotą i personelem. Nie lubi o tym mówić, więc woli, żebyśmy kierowali pytania do wydziału zdrowia, a nie do niego. Myślę jednak, że ciebie akurat przyjmie, choćby przez

szacunek dla szarży. Pamiętaj tylko, że nie może się dowiedzieć, czego konkretnie szukamy, żeby załogi karettek też o tym nie wiedziały.

– Więc co mam mu powiedzieć?

– Wymyśl jakąś bajeczkę. Na przykład że szukamy podrobionych środków przeciwbólowych, które służba zdrowia kupiła od jakiegoś wschodnioeuropejskiego gangu. Poradzisz sobie.

– Naprawdę myślisz, że ktoś z ratowników medycznych mógł zabić Saoirse Duffy?

– To tylko hipoteza, Tony, nic więcej. Być może ktoś zakradł się do niepilnowanej karetki i zabrał stamtąd fentanyl. A może fentanyl, który zabił dziewczynę, wcale nie pochodził z karetki pogotowia. Można go kupić praktycznie w każdym nocnym klubie w Cork, trzeba tylko wiedzieć, do kogo uderzyć. Ale mam pewne podejrzenia, powiedziałabym, że nawet bardzo mocne podejrzenia, więc musimy to sprawdzić.

– W porządku, zajmę się tym. A gdybyś znalazła chwilę, żeby przejrzeć te akta Moloneyów...

– Oczywiście. Lubię myśleć o sobie jako o ekspertce od Nowej IRA.

## Rozdział 38

Loredana nigdy jeszcze nie czuła się tak zziębnięta, nawet wtedy, gdy siedziała na ławce obok pomnika Włada Palownika w Târgoviște, w środku grudnia, a termometry wskazywały piętnaście stopni mrozu. Teraz kuliła się w tej samej wnęce przy drzwiach, którą Matty i Máire nazywali kiedyś swoim domem, otulona cuchnącym, brązowym śpiworem, z żółtym szalem owiniętym wokół głowy i kolanami okrytymi różowym kocem, który ukradła z sieciowego sklepu z artykułami dziecięcymi.

Dygotała tak gwałtownie, jakby miała atak epilepsji; od czasu do czasu wydawała z siebie cichy jęk, niczym zagubione szczenię. Nie brała niczego od siódmej rano, a Marku miał do niej przyjść już przed dwiema godzinami. Nigdy dotąd nie spóźniał się tak bardzo, bo Dragos nalegał, by wszyscy jego żebracy byli spokojni i uśmiechnięci. Gdy wyglądali na chorych lub niezrównoważonych, przechodnie omijali ich szerokim łukiem, a to przekładało się na znacznie mniejsze zarobki.

Dojrzała dwoje policjantów, którzy zmierzali w jej stronę powolnym krokiem. Kobieta przystanęła i kucnęła obok niej. Loredana widziała tylko jej rozmazaną twarz i uśmiech, który zdawał się unosić w powietrzu o własnych siłach, niczym uśmiech Kota z Cheshire.

– Dobrze się czujesz, dziewczyno? – usłyszała. – Bo wyglądasz dość kiepsko. Chcesz, żebym znalazła ci łóżko w Riverview?

– Jest dobrze – wyszeptała Loredana, drapiąc się po ramieniu. – Czekać na przyjaciela.

– Kim jest twój przyjaciel?

– Jest dobrze. On się mnie zajmie. Która godzina?

– Godzina? Dwadzieścia po dziewiątej. O której ma przyjść ten twój przyjaciel?

– Mówił siedem. Ale może mieć problem.

– Próbowałaś znaleźć miejsce w jakiejś noclegowni? Wiesz, gdzie ich szukać? Jak już mówiłam, w Riverview mają miejsca dla młodych kobiet, ale pewnie przyjęliby cię też w Edel. To niedaleko, przy Grattan Street. Możemy cię tam zaprowadzić, jeśli chcesz.

– Nie. Czekać na mój przyjaciel.

– Jak uważasz, dziewczyno. Ale naprawdę nie wyglądasz najlepiej. Jakie narkotyki zażywasz?

– Nie, żadne narkotyk – odparła Loredana. – Tylko zimno.

– Nie możemy jej zmuszać – odezwał się policjant, wyraźnie zniecierpliwiony.

Policjantka podniosła się na równe nogi.

– W porządku, kochana. Ale będę tędy wracała za godzinę i zajrzę do ciebie. Jeśli twój przyjaciel nie pojawi się do tego czasu, znajdziemy ci jakiś przyzwoity nocleg. To będzie naprawdę zimna noc, ostrzegam cię.

W odpowiedzi Loredana skinęła tylko głową. Dwoje policjantów stało nad nią jeszcze przez chwilę, po czym ruszyło powolnym krokiem w stronę St Patrick's Street.

Kiedy zniknęli za rogiem, Loredana podniosła plastikowy kubek z McDonalda, do którego zbierała drobne. Wysypała monety na dłoń i próbowała je przeliczyć, zastanawiając się, czy zdoła kupić za to działkę. Nie była jednak w stanie skupić wzroku na tyle, by dojrzeć nominały, a nie знаła dobrze bilonu euro, tylko rumuńskie leje. Poza tym nie wiedziała, gdzie szukać kogoś, kto sprzedałby jej narkotyki, i trzęsa się tak bardzo, że chyba nie byłaby w stanie nawet chodzić.

Nigdy jeszcze nie czuła się tak przygnębiona i samotna. Gdzie podziewał się Marku? Dragos obiecał, że zawsze będzie się nią opiekował, od kiedy tylko usiadł obok niej na ławce przy końcu ulicy Aleksandra Jana Cuzy. Już od miesiąca spała wtedy na ulicy, po tym jak facet jej matki próbował ją zgwałcić. Uciekła z domu w popłochu, nie zabierając ze sobą niczego, nawet ubrań na zmianę. Jej ojciec zapił się na śmierć, gdy miała zaledwie siedem lat, a jedyną znaną jej krewną była ciotka, która mieszkała w Bukareszcie i przejawiała pierwsze oznaki demencji starczej.

Dragos kupił jej pizzę w Casa Veche, a potem zabrał ją do swojego mieszkania. Obiecał, że zawsze znajdzie jej jakiś bezpieczny nocleg, będzie jej kupował nowe ubrania i dopilnuje, żeby nie zabrakło jej jedzenia. Musiała jedynie pracować dla niego. Nim położyła się spać, dał jej tabletkę, żeby „znów poczuła się szczęśliwa”.

Tamtej nocy nie mogła zasnąć, przewracała się z boku na bok zlna potem, ale czuła się szczęśliwa, jakby wszystkie jej problemy same się rozwiązały, a teraz czekało ją tylko piękne, cudowne życie. Nazajutrz, gdy już zaczęła dochodzić do siebie, błagała Lupula o następną tabletkę i tak właśnie uzależniła się od metamfetaminy. Teraz zwykle ją paliła lub wciągała w nozdrza. Praktycznie całkiem zniszczyła sobie przegrodę nosową, a jej zęby trzonowe, poddane działaniu narkotyku, szerniały i przegniły. Czasami w nocy, kiedy miała wystarczający zapas metamfetaminy, wpychała drobiny proszku do pochwy, rozciągając w czasie narkotykowe uniesienie, choć śluzówka w jej kroczu była już pokryta wrzodami i wydobywał się z niej gęsty śluz.

Mijały kolejne minuty; Loredana zaczęła się trząść tak gwałtownie, że musiała zacisnąć zęby i objąć się z całej siły ramionami, choć i tak

kilkakrotnie uderzyła głową w drzwi, o które się opierała. Była pewna, że jeśli Marku wkrótce się nie pojawi, dostanie zawału. Miała wrażenie, że cała ulica przechyla się pod kątem czterdziestu pięciu stopni; widziała mroczne, upiorne postacie, które przesuwały się w górę i w dół pochyłości, słyszała, jak rozmawiają ze sobą piskliwymi głosami, które przypominały odgłos kredy trącej o tablicę.

Nagle pojawiła się przed nią czyjaś twarz. Okrągła, blada twarz mężczyzny, która przywodziła jej na myśl balon kołyszany wiatrem. Miał czarne wąsiki, wyłupiaste oczy i duży pieprzyk przy nosie.

– Co tu robisz? – spytał.

– Co? Czekam na przyjaciela.

– Jak się nazywa twój przyjaciel? – Loredana przygryzła dolną wargę, próbując powstrzymać drzenie.

– Marku. Nazywa się Marku. Znasz go?

– Tak, znam Marku. Ale powiem ci, że jeśli czekasz właśnie na niego, to możesz się nie doczekać.

– Dlaczego? Gdzie on jest? Przyjdzie tu? Proszę, powiedz mi, że przyjdzie...

– Należysz do gangu Dragosa, prawda?

Loredana wbiła w niego pełne zdumienia spojrzenie. Nagle uświadomiła sobie, że zadał jej to pytanie po rumuńsku – *Ești una dintre gașca lui Dragos, nu-i așa?* – i zaczęła się bać. Nie miała pojęcia, co się z nią dzieje. Potrzebowała metamfetaminy, potrzebowała jej bardziej niż czegokolwiek innego na świecie, i chciała, żeby było jej w końcu ciepło i by mogła się przespać. Nie chciała leżeć w tym miejscu, z widokiem na balonowatą twarz mężczyzny, która unosiła się tuż nad nią. Chciała wrócić do swojego domu w Târgoviște, tulić w ramionach różowego misia, któremu dała na imię Bomboane i którego nie widziała już więcej po ucieczce z domu. Czy Bomboane zastanawiał się kiedykolwiek, co ją spotkało? Czy leżał gdzieś osamotniony, wpatrując się w księżyc, tak jak ona wpatrywała się teraz w okrągłą twarz nieznanego mężczyzny?

– Nie powinnaś być tutaj – powiedział nieznanomy, wciąż posługując się rumuńskim. – Te drzwi nie należą do Dragosa. Musi to zrozumieć.

– Ale ja nie mam dokąd pójść – odparła słabo Loredana. – Jestem bardzo chora. Macie amfę? Dajcie mi choć odrobinę i zabierzcie wszystko, co dziś uzbierałam. Proszę.

– Dragos musi zrozumieć, że posunął się za daleko. Przykro mi, że to właśnie ty musisz zapłacić za jego bzdurne plany i iluzje. No dobra, właściwie wcale nie jest mi przykro. Ktoś, kto jest na tyle głupi, żeby dołączyć do bandy Dragosa, zasługuje na swój los. Wiesz, jak was nazywamy? *Banda de Nebuni*. Bandą głupców.

Twarz mężczyzny przesunęła się w górę – niczym balon – i zniknęła.

Loredanie wydawało się, że słyszy jego głos, nie rozumiała jednak poszczególnych słów. Całym jej ciałem wstrząsały niepoahamowane dreszcze; miała wrażenie, że kręgosłup rozpada się na części, że wszystkie kości w jej ciele odłączają się od siebie.

Słyszała, jak tamten mówi:

– Bine, nikogo tu nie ma, zrób to!

Podniosła głowę, chcąc zobaczyć, do kogo się zwraca, ale w tym momencie ktoś chlusnął jej w twarz lodowato zimną benzyną. Wydała z siebie przeraźliwy pisk i podniosła rękę, by osłonić oczy, ale wtedy ktoś wylał jeszcze więcej benzyny na szal oplatający jej głowę, na śpiwór i dziecięcy koc, którym okryła kolana.

Zacząła gwałtownie kasłać, wypluwając gryzące paliwo, i sięgnęła ręką w bok, do futryny, by się podnieść. Była jednak zbyt słaba; kolana ugięły się pod ciężarem ciała i runęła na chodnik, wybijając sobie prawe ramię.

Maryjo Dziewico, wspomóż mnie. Maryjo Dziewico, weź mnie w swoje ramiona i zanieś tam, gdzie będzie ciepło, cicho i bezpiecznie.

Zacząła się czołgać po chodniku, trzepotała gwałtownie powiekami, by oczyścić oczy, choć to sprawiało, że piekły ją jeszcze bardziej. Nie odpełzała nawet dwóch metrów, nim ktoś zrzucił na jej plecy płonąca zapalną.

Powietrze wypełniło się najpierw odgłosem przypominającym głuchy jęk, a potem rozbłysło płomieniami, które objęły jej ciało.

Przez ułamek sekundy widziała ogień, który trawił jej twarz – błękitne i żółte refleksy migoczące w powietrzu. Potem wszystko zdławił straszliwy ból, cierpienie, jakiego nie zaznała nigdy wcześniej. Kiedyś sparzyła się w dłoń, dotykając rozpalonego żelaza, teraz jednak to samo nieopisanie bolesne doznanie objęło całe jej ciało. Słyszała, jak pękają jej uszy, a skóra na twarzy kurczy się z cichym chrzęstem niczym zgniatana w pośpiechu folia.

Choć oślepią i przejęta bólem, zdołała odepchnąć się obiema dłońmi od chodnika i przykłęknąć. Potem wyciągnęła prawą rękę i pochwyciła się rynny biegnącej wzdłuż ściany przy drzwiach – podciągnęła się w górę i stanęła na równych nogach, wciąż ogarnięta płomieniami. Chciała wołać o pomoc, lecz biorąc oddech, wciągnęła w płuca ogień, który sparzył jej język i wypalił gardło.

Z trudem przestawiając zeszywniałe nogi, ruszyła w stronę St Patrick's Street, choć właściwie nie wiedziała już, dokąd zmierza, ślepa i głucha. Jednak z każdym krokiem ból stopniowo przygasał, ustępując miejsca otępieniu, co nie tylko sprawiało jej ulgę, ale też dawało nadzieję, że w końcu jej los się odmieni. Nie zdawała sobie sprawy, że końcówki jej nerwów uległy spaleni i że już nigdy niczego nie poczuje.

Przechodnie i taksówkarze patrzyli ze zgrozą na ogarniętą płomieniami poczerniałą postać, która wysunęła się z Cook Street i przeszła przez chodnik. Dotarła do krawężnika i runęła na ulicę, zaledwie pięć metrów przed autobusem. Kierowca zatrzymał go i wyskoczył na drogę, z gaśnicą w ręce. Przez chwilę polewał dziewczynę pianą od góry do dołu, gdy leżała przy krawężniku, a ostatnie płomienie unosiły się nad jej głową niczym gorejąca korona.

Wkrótce zgromadził się wokół niej tłum gapiów i od strony Opera Lane nadbiegło dwoje policjantów, którzy rozmawiali z nią przed chwilą. Policjantka uklękła obok dogorywającej Loredany, ale gdyby nie resztki złotego szalika oplatającego głowę ofiary, nie zdołałaby jej rozpoznać. Znad jej ciała wciąż unosił się dym, gnany zimnym wiatrem wzdłuż St Patrick's Street.

Do konającej kobiety podbiegł brzuchaty ksiądz z długimi siwymi włosami. Stękając ciężko, uklęknął obok policjantki i uczynił znak krzyża nad poczerniałym czołem Loredany.

– Niech Pan odpuści ci wszelkie grzechy, których dopuściłaś się za życia – wykrztusił. Był tak zszokowany, że nie zdołał powiedzieć nic więcej. Zdjął okulary w grubych oprawkach i zakrył usta dłonią, jakby miał zaraz zwymiotować. Nie był nawet w stanie wypowiedzieć finalnego „Amen”.



## Rozdział 39

Z kuchni dobiegł sygnał oznaczający, że piekarnik już się rozgrzał i że Katie może do niego włożyć tartę z kurczakiem i grzybami, jednak gdy ruszyła, by to zrobić, zadzwonił telefon.

Wracając do salonu, omal się nie przewróciła, potykając się o Barneya i Foltchain, bo psy szły za nią w nadziei, że poczęstuje ich psim smakołykiem.

Dzwonił detektyw sierżant Begley.

– Zobacz pani to w telewizyjnych wiadomościach za pół godziny. Przy Pana spłonęła bezdomna. Młoda kobieta. Wygląda na to, że ktoś oblał ją benzyną i podpalił.

– Matko Boska... Kiedy to się stało?

– Niecałe pół godziny temu. Co ważne, spała w tym samym miejscu, w którym zabito Matty’ego Donoghue i skąd zniknęła jego dziewczyna.

– Wiemy, kim była ofiara?

– Nie miała przy sobie żadnych dokumentów. Ale dwoje funkcjonariuszy z pieszego patrolu rozmawiało z nią godzinę przed tym, jak zginęła. Mówią, że sądząc po akcencie, pochodziła z Europy Wschodniej. Proponowali, że pomogą jej znaleźć nocleg w jakimś schronisku, bo nie wyglądała na zbyt rozgarniętą, ale odmówiła i powiedziała, że czeka na przyjaciela. Przypuszczali, że tak naprawdę czeka na dilerka.

– Gdzie jest teraz jej ciało?

– Jeszcze na Pana. Oczywiście przykryte i odgrodzone. Są tam już trzej technicy, robią zdjęcia i tak dalej. Bill Phinner zadzwonił po tego specjalistę od oparzeń... Jak on się nazywa? Michael Cosgrove, tak?

– Widziałeś zwłoki tej dziewczyny?

– Tak. Ostatnio widziałem kogoś równie mocno poparzonego, kiedy przed Bożym Narodzeniem na rondzie Magic rozbiła się cysterna z Circle K. Na pewno polano tę żebraczkę benzyną, to nawet czuć.

– Jacyś świadkowie?

– Samego podpalenia nikt nie widział, ale co najmniej dwadzieścia osób widziało, jak wychodzi z Cook Street, cała w ogniu. Dwaj świadkowie nagrali to nawet na komórkach.

– A co z jej rzeczami?

– Nie miała zbyt wiele. Parę dżinsów na zmianę, bieliznę, paczkę czipsów serowo-cebulowych i dwie puszki red bulla. Aha, i jeszcze

szklaną fikę do cracku. Technicy wszystko sfotografowali i spakowali do torebek, zabiorą je potem do laboratorium. Przy drzwiach był też kubek po kawie z siedmioma euro w drobnych, więc na pewno zajmowała się zebraniem.

Katie usiadła na kanapie i wyłączyła dźwięk w telewizorze. Barney i Foltchain podeszły bliżej i przystanąły; wpatrywały się w nią badawczo, jakby chciały spytać, czy mogą jej w czymś pomóc.

– Widziałeś jej kark, Sean? – spytała. – Czy cokolwiek wskazuje na to, że zabójca próbował najpierw wwiercić się w jej czaszkę, a dopiero potem ją podpalił?

– Nie, nie widziałem niczego takiego – odparł Begley. – Pytałem o to samo Declana, technika, który ją oglądał, ale powiedział, że jest zbyt mocno poparzona, żeby to stwierdzić. Skóra schodzi z niej płatami, a włosy całkiem się spaliły, więc nie chcieliśmy niczego naruszyć, żeby nie zatrzeć śladów. Będziemy musieli poczekać na sekcję zwłok.

– Jasne. Ale nawet jeśli ktoś rzeczywiście próbował zabić ją wiertarką, to najwyraźniej mu się nie udało, inaczej nie musiałby oblewać jej benzyną i podpalać, prawda? Poza tym wciąż nie zidentyfikowaliśmy tego człowieka, który spłonął przy Alexandra Road. Bill Phinner mówi, że w tym samym pokoju, w którym leżały zwłoki, znaleźli szarą skórzaną kurtkę, więc całkiem możliwe, że to Lupul. A skoro Lupul nie żyje, to kto zabija bezdomnych? A może już nikt tego nie robi? Może to był pojedynczy wypadek, sprawka zazdrosnego chłopaka albo dilerka, któremu dziewczyna była winna pieniądze?

– Możliwe. Ale wygląda na to, że musimy jak najszybciej zrealizować ten plan ściągnięcia wszystkich bezdomnych w jedno miejsce... choćby po to, żeby nikt ich już nie zabijał.

– Wszystko jest prawie gotowe, Sean. Zadzwoni do mnie, gdyby pojawiły się jakieś nowe informacje. Nie przejmuj się porą. A jeśli nie, to zobaczymy się jutro po południu, kiedy wrócisz na komendę.

Katie odłożyła telefon. Wiadomość o strasznej śmierci młodej kobiety odebrała jej apetyt, choć wiedziała, że powinna coś zjeść. Wydarzenia ostatnich dni ogromnie ją niepokoiły – głównie dlatego, że wciąż nie wiedziała, czy są ze sobą jakoś powiązane, czy też nie. Vasile Deac, informator, został zabity w taki sam sposób jak Gearoid Ó Beargha i Matty Donoghue, a potem wyniesiono jego ciało z kamienicy Lupula przy Alexandra Road, wydawało się więc oczywiste, że wszystkich zamordował Lupul lub któryś z jego zbirów. Kto jednak spalił dom Lupula? Czy to jego ciało znaleźli w sypialni na pierwszym piętrze? I kto podpalił dziś tę bezdomną dziewczynę?

Katie mogłaby założyć, że wszystkie te zabójstwa i pożar są elementami jednej układanki, nie lubiła jednak nigdy wyciągać ostatecznych wniosków, jeśli nie miała niezbitych dowodów. Poza tym

dręczyło ją zbyt wiele innych pytań bez odpowiedzi. Na przykład kto podał Saoirse Duffy śmiertelną dawkę fentanylu i dlaczego? Jak przedstawi sprawę Eamona Buckleya i jego pomocnika w sądzie? Co łączyło Buckleya z Lupulem prócz tego, że rzeźnik zabrał ciało Vasilego i zamknął je w chłodni? Jak pierścionek matki Any-Marii trafił do mielonego mięsa ze sklepu Buckleya i skąd jej naszyjnik wziął się w miejscu śmierci Bowsera?

Wiedziała, że robi wszystko co w jej mocy, by znaleźć odpowiedzi na te zagadki, ale brak jednoznacznego rozwiązania budził w niej napięcie, frustrację i – co najgorsze – zniecierpliwienie.

Podeszła do stołu i nalala sobie sporą porcję smirnoffa. Potem przeszła do kuchni, otworzyła lodówkę i wrzuciła do szklanki trzy kawałki lodu. Spojrzała na tartę i doszła do wniosku, że powinna włożyć ją do piekarnika, choć na myśl o kolacji czuła się jeszcze bardziej samotna niż zwykle. Wszystko wskazywało na to, że jutro wróci do domu Conor, i nawet jeśli oznaczało to jeszcze więcej trudnych problemów, przynajmniej ktoś mógłby z nią porozmawiać wieczorem i powiedzieć jej w środku nocy, gdy nie może uspokoić myśli, by w końcu położyła się spać.

Miała tylko nadzieję, że nie zacznie znów zadrećcać jej pytaniami o siostry McQuaide i ich hodowlę. Nie przychodziło jej do głowy nic, co mogłaby teraz zrobić w tej sprawie, tym bardziej że obiecały zaprowadzić porządek w Foggy Fields i dostosować się do przepisów ISPCA. Zastanawiała się, czy nie wysłać do Ballynahina detektywa O'Creana, by spróbował odszukać łajdaka, który napadł na Conora, na razie jednak O'Crean miał zbyt wiele innych zajęć, by mógł przez cały dzień siedzieć w pubie i słuchać miejscowych plotek.

Zdołała zjeść połowę tarty, oglądając program publicystyczny po wiadomościach. Potem wzięła prysznic i położyła się do łóżka. Zasnęła niemal natychmiast, lecz dwadzieścia minut później obudził ją koszmar o jej kochanku Johnie. Stał za oknem sypialni, uderzał w szybę i wzywał pomocy, choć ledwie go słyszała. Potem nagle zniknął.

Usiadła prosto i naciągnęła na siebie kołdrę. W domu było cicho, jedynie z kuchni dochodziło chrapanie Barneya.

– John – wyszeptała, jakby w ten sposób mogła do siebie przywołać dawnego kochanka.

## Rozdział 40

Przed południem Katie załatwiła ostatnie sprawy organizacyjne konieczne do zgromadzenia wszystkich bezdomnych z centrum miasta pod jednym dachem. Mundurowi przez cały ranek patrolowali ulice, dyskretnie zapisując, gdzie przesiadują żebracy i bezdomni. Wyposażeni w te informacje, zastępca komendanta Pearse i detektyw komisarz Fitzpatrick opracowali trasę, która pozwalała w krótkim czasie zebrać co najmniej dwadzieścia trzy osoby.

Katie zeszła do sali odpraw na krótkie spotkanie informacyjne z trzydziestoma pięcioma funkcjonariuszami, którzy mieli przeprowadzić akcję. Nazwała ją operacją Labre, na cześć świętego Benedykta Józefa Labre, patrona bezdomnych. Towarzyszyli jej Pearse, Fitzpatrick, Kyna i O'Donovan. Pojawił się również komendant O'Kane, który usiadł jednak z tyłu i nie brał czynnego udziału w spotkaniu. Nie odrywał wzroku od Katie, a gdy tylko spojrzała w jego stronę, uśmiechał się i unosił brwi.

– Przede wszystkim musicie pamiętać, by traktować tych ludzi z troską i szacunkiem – powiedziała. – Próbuje ich przekonać, by z nami współpracowali, ale większość z nich to narkomani, alkoholicy albo ludzie chorzy umysłowo i niemal wszyscy mają na koncie drobne kradzieże lub przypadki zakłócenia porządku publicznego, więc to całkiem zrozumiałe, że nie pałają do nas miłością.

Sierżant O'Farrell podniósł rękę.

– Nie wydaje mi się, żeby którykolwiek z nich chciał z własnej woli pójść z nami. Co robić, jeśli ktoś zdecydowanie odmówi?

– Nie jestem wcale taka pewna, że będą nam odmawiać, Ryan. Wiesz, jak zimno jest na zewnątrz, a zapowiadają deszcz. Powiecie im, że będą mieli do dyspozycji czyste łóżka na tak długo, jak tylko zechcą, do tego ciepłe prysznice, trzy posiłki dziennie i darmowe leczenie, obejmujące kontrolowane ilości narkotyków. Nie zamierzamy zmuszać kogokolwiek do odstawienia dragów z dnia na dzień. Powiecie im też, że będziemy ich chronić przed bandytami, którzy ich kontrolują lub zabierają im pieniądze. Później oczywiście, kiedy już odpoczną i napelnią żołądki, będziemy ich pytać, kim są ich szefowie, jeśli takich mają, i co najważniejsze, gdzie możemy ich znaleźć.

– A jeśli nie dadzą się przekonać? Jeśli powiedzą nam, żebyśmy spadali?

– W takim wypadku będziecie musieli użyć siły, ale tak, by nie zrobić im krzywdy. Jak wiecie, spanie na ulicy nie jest zakazane, choć wielu polityków chciałoby wprowadzić taki zakaz. Możemy jednak zgodnie z prawem zamykać bezdomnych, jeśli zachodzi podejrzenie wtargnięcia na teren prywatny, na przykład kiedy przesiadują pod drzwiami banku czy pod mostem. Mamy też prawo zabrać ich na komendę, jeśli chcemy ich przesłuchać w sprawach związanych z handlem narkotykami, przypadkami naruszenia porządku publicznego, agresywnego żebractwa czy załatwianiem potrzeb fizjologicznych na ulicy. Mam jednak nadzieję, że w taką chłodną noc większość chętnie skorzysta z ciepłego łóżka i przyzwoitego posiłku... no i z ochrony, jaką im zapewnimy.

– A co z ich rzeczami albo z psami? – spytał komisarz O'Rourke.

– Załatwiłam trzy dodatkowe furgonetki, do których zbierzemy ich pośłania i inne rzeczy. Z tego, co wiem, tylko dwóch z nich ma psy i zajmie się nimi treser z odpowiedniej jednostki.

– Jak długo będziemy ich mogli przetrzymywać?

– Zasadniczo wcale ich nie przetrzymujemy, udzielamy jedynie pomocy humanitarnej, by nie musieli spać w środku zimy na dworze. Będą mogli odejść, gdy tylko zechcą, jak każda inna osoba, którą sprowadzamy na przesłuchanie. Ale nie powiemy im tego, dopóki sami nie spytają. Mam nadzieję, że w końcu zaufają nam na tyle, żeby podzielić się informacjami, na których nam zależy.

– Założmy, że tak się stanie i dzięki tym informacjom przymkniemy ich szefa czy też szefów, a potem postawimy ich przed sądem. Co zrobimy wtedy z bezdomnymi?

– Wszystkich cudzoziemców odeślemy do krajów, z których przyjechali. Jeśli chodzi o Irlandczyków, to decyzję podejmie opieka społeczna. Ale nawet jeśli wrócą na ulice, będą tam znacznie bezpieczniejsi niż dotychczas i nie będą musieli oddawać wyżebranych pieniędzy gangsterom, którzy grożą im pobiciem.

Kiedy Katie umilkła na moment, sierżant Rooney podniósł rękę.

– Proszę wybaczyć, pani nadkomisarz, ale wielu ludzi powie, że wykorzystujemy tych biedaków. Dajemy im nocleg i ciepły posiłek za donosy na ich szefów.

– W pełni zdaję sobie z tego sprawę, sierżancie – odparła. – Przypuszczam, że biskup i niektórzy działacze organizacji charytatywnych będą się oburzać. Ale w ciągu ostatnich pięciu dni mieliśmy tu pięć zabójstw i zagięły dwie kobiety, które prawdopodobnie również nie żyją. Wiem, że jeśli chodzi o liczbę zabójstw, Cork, niestety, przoduje w kraju, ale jest dopiero styczeń, a brakuje jeszcze tylko jednego, żebyśmy dobiegli do średniej z ostatnich pięciu lat, czyli ośmiu ofiar na rok. Wydaje się, że wszystkie te zbrodnie

mają związek z gangami żebraków, więc nawet jeśli w pewnym sensie wykorzystamy tych ludzi, dzięki temu wielu z nich ocali życie.

O głos poprosił również Mathew McElvey, rzecznik prasowy.

– Zastanawialiśmy się już wspólnie z nadkomisarz Maguire, jak przedstawić to mediom. Będziemy podkreślać, że operacja Labre to kolejna inicjatywa komendanta O’Kane’a, któremu zależy na tym, by Garda Síochána odzyskała zaufanie mieszkańców Cork. Chcemy po prostu wesprzeć bezdomnych. Nie będziemy wspominać, że zamierzamy ich przesłuchać, by dowiedzieć się, kim są ich zleceniodawcy.

Gdy w sali zapadła cisza, Pearse wstał i oznajmił:

– Zaczynamy o dwudziestej drugiej trzydzieści. Zostaniecie podzieleni na pięć siedmioosobowych zespołów, każdy będzie miał do dyspozycji dwa radiowozy, SUV-a i furgonetkę. Sierżant O’Farrell wyda wam szczegółowe rozkazy i wskaże, kogo i skąd macie zabierać. Jakies pytania?

Zebrańnię dobiegło końca, większość funkcjonariuszy opuściła salę odpraw i wybrała się na lunch. Brendan podszedł do Katie, gdy składała swoje notatki.

– Jeśli ci się to uda, być może sprawisz, że ludzie w całym kraju zaczną inaczej traktować bezdomnych – powiedział.

– Tak pan myśli? Moim zdaniem większość posłów wcale się tym nie przejmie.

– Jesteś wyjątkowa, Katie, wiesz o tym?

– Podejmuję duże ryzyko, ale nie wiem, jak inaczej mogłabym rozbić te żebracze gangi. Mam nadzieję, że się uda, choć z drugiej strony, może to być największa katastrofa wizerunkowa w historii komendy przy Anglesea Street.

Brendan uśmiechnął się.

– Zobaczymy – rzucił. – Na razie jestem gotów postawić wszystkie pieniądze na Kathleen Maguire.

\* \* \*

Wczesnym popołudniem Katie wybrała się wraz z detektywami Walsh i Cullenem do odremontowanych niedawno budynków sądu karnego przy Anglesea Street, by przedstawić dowody przeciwko Eamonowi Buckleyowi i Thomasowi Barry’emu. Jako że obaj byli podejrzani o popełnienie przestępstwa ściganego z urzędu, musieli poczekać w areszcie tymczasowym na najbliższe posiedzenie sądu okręgowego, zaplanowane na piątego lutego. Gdy tylko Buckley został doprowadzony do ławy oskarżonych, zaczął wrzeszczeć:

– Kurwa, przecież to jakaś szopka! Pierdolona parodia!

Towarzyszający mu Thomas Barry wybuchnął płaczem. Obu wyprowadzono szybko z sali sądu i zamknięto w celach.

Katie wracała właśnie na komendę, gdy dostała SMS-a od Conora. Doktor Sandhu pozwolił mu opuścić szpital o wpół do trzeciej po południu, kiedy już obejrzy go chirurg twarzowo-szczękowy.

*Wpadniesz po mnie, jeśli szumowiny z Cork dadzą Ci godzinę wolnego?*  
– pytał Conor.

*Przyjadę XX* – odpisała.

W jej gabinecie czekał na nią detektyw komisarz Mulliken.

– Co się dzieje, Tony? – spytała. – Napijesz się kawy? Bo ja od samego rana mam okropną ochotę na parę łyków. Moirin!

– Poproszę o gorącą herbatę, jeśli można – odparł Mulliken. – A ciebie pewnie ucieszy wiadomość, że mam konkretne informacje ze stacji pogotowia. Szef tej jednostki właśnie przesłał mi PDF-a z danymi o wszystkich lekarstwach wydanych w ciągu ostatniego tygodnia.

– Złościł się, kiedy go o to poprosiłeś?

– Nie, wcale nie. Opowiedziałem mu tę historyjkę o fałszywych lekarstwach z Europy Wschodniej i robił, co mógł, żeby mi pomóc. Wygląda na to, że opioidy przewożone w karetkach trzyma się w zaplombowanych pudełkach, które mogą otworzyć tylko ratownicy. Na koniec zmiany oddają te pudełka na przechowanie do strzeżonego magazynu, bo zdarza się, że narkomani włamują się do karetek. Jeśli ratownik wykorzysta takie środki podczas swojego dyżuru, oddaje pudełko do szpitalnej apteki, gdzie uzupełniają zapas.

– I?

– Każde pudełko zawiera morfinę, lorazepam, diazepam, hydromorfon i fentanyl. W ciągu ostatnich trzech dni tylko dwoje ratowników używało fentanylu. Jeden w poniedziałek wieczorem, po wypadku w Blarney, kiedy ten pijak na rowerze wpadł pod traktor i urwało mu nogę. Drugi zespół twierdził, że „przypadkiem upuścił i rozbił” fiolkę z fentanylem, kiedy sprawdzał zapasy.

– Rozumiem. Mają nazwiska tych niezdarnych ratowników?

– Kierowca karetki nazywa się Darragh Ó Dálaigh, a jego partnerka to Brianna Cusack.

– Brianna... Chyba tak właśnie miała na imię ta ratowniczką, którą zastaliśmy z doktorem O'Keefe'em w pokoju Saoirse Duffy, z poduszką w rękach. Mówiła, że chciała tylko ułożyć wygodniej Saoirse, ale wydawała się ogromnie zakłopotana. Gdybym ją zobaczyła w takiej sytuacji i z taką miną na scenie w teatrze, powiedziałabym od razu, że chciała udusić tę biedną dziewczynę.

– Więc co zamierzasz z tym zrobić? Wezwać ją na przesłuchanie?

Moirin przyniosła filiżankę cappuccino dla Katie i kubek herbaty dla Mullikena, a także kilka kruchych ciastek na talerzyku. Katie przez

chwile mieszała kawę w zamyśleniu, po czym odparła:

– Nawet jeśli ta Brianna była pielęgniarką, którą widziałam na korytarzu, i nawet jeśli wstrzyknęła Saoirse Duffy fentanyl, wystarczy, że wszystkiemu zaprzeczy. Mamy co prawda nagranie z kamer ochrony, ale jest tak niewyraźne, że nie możemy tego wykorzystać jako dowodu. Zanim ściągniemy ją tutaj na przesłuchanie, powinniśmy sprawdzić, czy ma jakikolwiek motyw.

– A jak mielibyśmy się tego dowiedzieć? Zakładając, oczywiście, że jest winna.

– Najpierw wyślę tam Cailin, niech spróbuje się zaprzyjaźnić z jej partnerem. Członkowie zespołów ratowniczych przeżywają razem ogromny stres, kiedy muszą walczyć o życie ofiar wypadków samochodowych, pożarów czy napadów. Ale między tymi trudnymi momentami zdarzają się długie okresy nudy. Jestem pewna, że kiedy czekają na następne wezwanie, rozmawiają o przeróżnych rzeczach, między innymi o prywatnych sprawach.

– No tak, Cailin umie prowadzić takie rozmowy, bez dwóch zdań.

– Otóż to. Wydaje się taka młoda i niewinna... Nikomu nawet nie przyjdzie do głowy, że jest detektywem, a potrafi wyciągać od ludzi informacje równie skutecznie jak Kyna. Jest u nas dopiero od kilku miesięcy, a zdążyła namówić tego menadżera z banku AIB, żeby opowiedział jej o romansie z sekretarką i przekrętach, dzięki którym mógł ją zabrać na Majorkę.

– Tak, masz rację – przyznał Mulliken. – Sprawdzę, czy da się ustalić, gdzie zwykle chodzi po dyżurze ten Darragh. Wiem, że niektórzy ratownicy piją w Hawthorn w Togher, bo to niedaleko od szpitala. – Dopił herbatę i wstał. – Miałaś już może czas, żeby zerknąć na akta Moloneyów? Bo zanim dobierzemy im się do skóry, chciałbym wiedzieć, jakie postawić im zarzuty i czy te dowody wystarczą, żeby stanęli przed sądem. To bardzo delikatna sprawa, bo Billy Moloney przyjaźni się z radnym McVeighem.

– Tak, mnie też to trochę martwi. – Katie westchnęła. – Będziemy musieli rozegrać to bardzo dyplomatycznie.

Wiedziała, że senior rodu Moloneyów od wielu lat jest przyjacielem radnego Johna McVeigha, zastępcy szefa komisji do spraw porządku publicznego. McVeigh nigdy nie ukrywał swych jednoznacznie republikańskich poglądów, co było jednym z powodów, dla których cieszył się w Cork ogromną popularnością. Jego dziadek, Tom McVeigh, był w Irlandzkiej Armii Republikańskiej, która w 1922 roku zajęła koszary Collins Barracks w Cork i próbowała je utrzymać w bratobójczej walce z armią Wolnego Państwa Irlandzkiego. Zginął podczas walk na wzgórzach w pobliżu Douglas.



Radny McVeigh wciąż dawał w wywiadach wyraz swoim radykalnym poglądom i często wychwalał męstwo dziadka. „Michael Collins zdradził Irlandię, ale Tom McVeigh pozostał jej wierny!”

– Będziemy musieli uważać, żeby nikt nie próbował nas oskarżyć, że prześladowujemy sympatyków IRA tylko ze względu na ich poglądy – powiedziała Katie.

– Jeśli przejrzysz te akta, zobaczysz, że Moloneyowie twierdzą, że nie mieli pojęcia o broni, którą znaleźliśmy pod ich szopą. Mówią też, że nic nie wiedzą o materiałach wybuchowych, które są pochowane w innych miejscach na terenie ich farmy.

– Po południu jadę do domu, Tony. Wezmę ze sobą te dokumenty i przeczytam tyle, ile tylko zdążę. Ale potem będę musiała omówić tę sprawę z komendantem O’Kane’em. Jest członkiem komisji, której przewodniczy McVeigh, więc nie chciałabym dostać po nosie.

Uzmysłowiła sobie poniewczasie, jak ironicznie brzmią te słowa w sytuacji, gdy miała właśnie jechać do szpitala po Conora.

## Rozdział 41

Conor czekał na nią przy szpitalnej izbie przyjęć, a kiedy weszła do budynku, od razu wstał i rozłożył szeroko ręce, jakby nie mógł uwierzyć, że jednak dotrzymała obietnicy i po niego przyjechała. Nie licząc białego plastra, który okrywał grzbiet jego nosa, zaczynał już przypominać samego siebie sprzed kilku dni. Siniaki na twarzy przybladły, wargi nie były już spuchnięte i popękane, a na brodzie pojawił się kasztanowy zarost.

Przez chwilę trzymali się mocno w objęciach, potem Conor ją pocałował, najpierw w czoło, potem w usta.

– Wiedziałem, że przyjedziesz – odezwał się chrapliwym głosem. Od czasu pobicia musiał oddychać przez usta.

– Oczywiście, że przyjechałam. Myślałeś, że się rozmyślę?

– No tak, chyba nieczęsto masz okazję podwozić eunucha.

Wzięła go pod rękę i razem wyszli ze szpitala. Deszcz zapowiadany na popołudnie właśnie zaczął padać; krople uderzały w ziemię wokół nich, niczym publiczność, która nie może się zdecydować, czy ma już klaskać, czy nie.

– Miałeś nie używać więcej tego słowa – upomniała go Katie, otwierając samochód.

– Jakiego słowa, „eunuch”? Czemu nie? Przecież to prawda. Tym właśnie jestem.

– Nie jesteś. Zostałeś ciężko pobity, a teraz się postaramy, żebyś wrócił do pełni zdrowia.

– Nigdy nie wrócę do pełni zdrowia. Słyszałaś, co powiedział doktor Sandhu.

– Więc zrobimy wszystko, na co nas stać. Tak zawsze mówił mój tata.

– I pomyśl tylko, co się z nim stało. Skończył w rzece.

Wyjechała ze szpitalnego parkingu i skierowała się na południe, ku Bishopstown Road.

– Nie żartuj sobie z tego, Con – upomniała go. – Mój ojciec strasznie się wstydził tego, co zrobił. Uważał, że nie ma innego wyjścia jak tylko odebrać sobie życie.

– Przepraszam, kochanie. Tylko że jeśli nie będę ze wszystkiego żartował, załamie się i zacznie szlochać.

Katie na chwilę położyła dłoń na jego udzie. Gdy dojechali do ronda, deszcz niemal ustał i wycieraczki zaczęły piszczeć w zetknięciu z szybą.

– Czasami nawet duzi chłopcy mogą sobie popłakać – powiedziała. – I kto wie, może tych kilka łez zmięczy ci skórę i ta twoja nędzna broda zacznie szybciej rosnąć.

Pokręcił głową.

– Wiesz, kim jesteś, Katie Maguire? Wiedźmą! Nie zrozum mnie źle, jesteś najlepszą wiedźmą, jaka chodzi po tym świecie, ale jednak wiedźmą.

\* \* \*

Udało im się spędzić razem trzy godziny w domu, nim Katie musiała wrócić na Anglesea Street, by kierować operacją Labre.

Barney i Foltchain były zachwycone, że Conor wrócił, choć Foltchain z wyraźną podejrzliwością obwąchiwała opatrunek na jego nosie. Conor rozpałił ogień w salonie, podczas gdy Katie przygotowywała zapiekankę z serem i ziemniakami. Potem siedzieli na kanapie, prawie się nie odzywając; po prostu cieszyli się ciepłem bijącym od kominka i tym, że znów są razem.

– Wybacz, ale muszę coś przeczytać – powiedziała Katie, kiedy skończyli jeść. – Akta sprawy Moloneyów. Mają farmę w pobliżu Ballyhooly i znaleźliśmy tam broń pod podłogą szopy.

– Moloneyów? Żartujesz. Znam ich. Jakies półtora roku temu zginął im owczarek niemiecki, a ja go znalazłem. Wpadł pod samochód i kierowca zabrał go do weterynarza, bo nie wiedział, do kogo należy, a kiedy już pies wyzdrowiał, wziął go do siebie. Mówisz, że mieli broń? Poważnie?

– Pięć karabinów maszynowych i trzy śrutówki. Poinformował nas o tym jeden z ich sąsiadów, kiedy pokłócili się o przebieg granicy między ich posiadłościami. Sugerował, że mogą też ukrywać na farmie semteks.

– To niewiarygodne. Wydawali się bardzo mili. Zapłacili mi sto pięćdziesiąt euro za odszukanie psa i dorzucili do tego parę główek kapusty.

– Jeśli rzeczywiście mają gdzieś materiały wybuchowe, to przetrzymują je pewnie od co najmniej dwudziestu lat, od porozumienia wielkopiątkowego.

– A semteks nie traci po jakimś czasie swoich właściwości?

– Nie. Starzeje się w takim samym tempie jak opona samochodowa, bo właściwie jest zrobiony z takich samych materiałów: gumy, polimerów i tak dalej, tyle że semteks zamiast węgla zawiera materiał wybuchowy. Jakies trzy lata temu znaleźliśmy prawie ćwierć tony w starej stajni w Rathcormac. Miał już ponad sześćdziesiąt lat, ale wciąż mógł wybuchnąć. Gdyby tak się stało, pół wioski poleciałoby prosto do nieba.

Conor skrzywił się, ale milczał. Katie otworzyła plik z aktami sprawy i zaczęła je czytać, a on siedział obok, trzymając rękę na jej ramieniu, i oglądał telewizję. Mniej więcej po dziesięciu minutach obrócił się i wyjrzał za okno.

– Posłuchaj, prawie nie pada, a właściwie chyba całkiem przestało. Może zabiorę psy na spacer.

– Ale wrócisz wkrótce? Muszę pojechać na komendę najpóźniej o szóstej.

– Tak, nie będę chodził zbyt długo. Po tych kilku dniach w szpitalu potrzebuję pooddychać trochę świeżym powietrzem. I pomyśleć.

– Pomyśleć? O czym?

– Nie wiem. O wszystkim. O tobie i o mnie. O mojej pracy...

– Con, wciąż cię kocham. Nie myśl, że mi to wisi.

Roześmiał się z goryczą.

– Chyba nie powinnaś używać takich określeń w obecności faceta bez jaj.

– Con...

Pochylił się i pocałował ją.

– Nie martw się o mnie, kochanie. Od czasu do czasu muszę sobie pozwolić na odrobinę zgryźliwości. Wiesz, jak to jest, kiedy życie odbiera ci coś w chwili, gdy najmniej się tego spodziewasz. Najpierw wygląd, potem przyjaciół, a potem tych, których kochasz. Gdyby życie zamieniło się w człowieka, byłoby złodziejem.

\* \* \*

Namierzenie Darragha Ó Dálaigha nie było trudne. Detektyw Walsh znalazła jego zdjęcie na stronie ratownictwa medycznego z zeszłego lata, kiedy to dostał nagrodę za wzorową pracę. Kiedy już wiedziała, jak wygląda, wybrała się na stację pogotowia ratunkowego, udając, że dostarcza zamówioną przez niego przesyłkę z Amazona. Inny ratownik powiedział jej, że skończył zmianę przed godziną, ale że niemal zawsze zatrzymuje się na piwo we Flannery's, a stamtąd idzie do domu swojej siostry przy Lough. Jeśli go tam nie będzie, może znaleźć go jeszcze w barze Harp.

Był we Flannery's, zaniedbanym, pomalowanym na różowo pubie przy Glasheen Road. Siedział na stołku przy końcu baru i miał przed sobą opróżnioną do połowy szklanekę z piwem Murphy's. W pubie było ciemno i niemal całkiem pusto, ale w tle grała muzyka, a Darragh śmiał się z czegoś, co właśnie powiedział mu barman.

Detektyw Walsh usiadła trzy stołki dalej i zamówiła drink Woody's o smaku różowego grejpfruta.

– Masz osiemnaście lat, prawda, kochana? – spytał barman.

Przewróciła oczami, wyjęła prawo jazdy i podsunęła mu pod nos.

– Poproszę do tego odrobinę lodu i dwie słomki – dorzuciła. Upiła dwa łyki i zwróciła się do Darragha: – Ja cię skądś znam, prawda?

– Nie wiem, dziewczyno. Naprawdę? A skąd?

– Jesteś kierowcą karetki, tak?

– Owszem.

– Przyjechałeś do nas w zeszłym roku, kiedy mój dziadek miał zawał. Właściwie uratowałeś mu życie. Nigdy nie miałam okazji podziękować ani tobie, ani twojej partnerce. Byliście wspaniali. Dziadek już nie żyje, ale umarłby o wiele wcześniej, gdyby nie wy.

– Gdzie to było?

– Przed sklepem Spar w Ballyphehane. Pewnie tego nie pamiętasz, przecież jeździcie w tyle miejsc. Na pewno nie kojarzysz już tych wszystkich starsuszków z chorym sercem.

– Nie... Na pewno pamiętam. Daj mi minutkę, to sobie przypomnę.

– Muszę postawić ci drinka, choć tak mogę się odwdziaczyć. Szkoda, że nie ma tu też twojej partnerki, była świetna, kiedy robiła tę... no... resuscytację.

– Resuscytację.

– Właśnie. Jak masz na imię? Bo ja Cailin. Proszę nalać temu dobremu człowiekowi tego, co zwykle pije – zwróciła się do barmana.

Postawiła Darraghowi piwo, po czym usiedli razem przy jednym ze stołów na tyłach baru. Darragh się przedstawił, a potem opowiadał, jak długo już pracuje w ratownictwie medycznym i jak był kiedyś zaręczony, ale narzeczona zerwała z nim tydzień przed planowanym ślubem.

– Potem nie znalazłem już nikogo, z kim chciałbym spędzić resztę życia.

– A co z twoją partnerką z karetki?

– Z Brianną? No tak, jest niebrzydka i całkiem dobrze się dogadujemy. A przynajmniej dogadywaliśmy się, ale kilka miesięcy temu zaczęła mieć problemy osobiste. Teraz żyje we własnym świecie, a kiedy już się do mnie odzywa, to robi się złośliwa, choć wcześniej nigdy taka nie była.

– Szkoda. A jakie konkretnie ma problemy? Wiesz może?

– Nie lubię być wścibski, jestem jednak pewny, że chodzi o pieniądze. Ma chłopaka, który jest hazardzistą. Coś tam napomknęła, a reszty sam się domyśliłem. Wygląda na to, że narobił sporo długów.

Cailin pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Pamiętam, jak mój tata stracił kiedyś pracę, strasznie się tym stresował. Jak chodził do pracy, był najmilszym facetem pod słońcem, ale gdy tylko stał się bezrobotnym i zaczęło mu brakować pieniędzy, lepiej było trzymać się od niego z daleka. Nie mam żadnych dowodów,

ale wydaje mi się, że wtedy kradł, żebyśmy mogli związać koniec z końcem.

– Może następną kolejkę? – zaproponował Darragh, wskazując na jej pustą szklankę.

– Nie, to ja stawiam – zaprotestowała Cailin. – Tylko tak mogę się odwdziżyć. Daliście mojemu dziadkowi siedem dodatkowych miesięcy życia, a tego nie można przeliczyć na żadne pieniądze.

Zamówili jeszcze po drinku i rozmawiali dalej. Cailin porzuciła na razie temat Brianny i skupiła się na Darraghu; zapytała go, czy jest szczęśliwy. Wyznał, że czasami czuje się samotny, zwłaszcza wieczorami, i martwi się, że wkrótce będzie już za stary, żeby znaleźć sobie żonę.

– Mam dopiero czterdzieści siedem lat, ale gdy tylko jakaś dziewczyna wpadnie mi w oko, zaraz się okazuje, że jest już mężatką albo z kimś mieszka, a nie lubię tych portali randkowych... no wiesz, takich jak Kindling czy jak to się tam nazywa. Nigdy nie wiadomo, na jaką maskarę trafisz.

Przyznał również, że często mocno przeżywa wypadki, do których jeździ z Brianną.

– Zawsze musisz być spokojny i zachowywać się jak zawodowiec, bo to twoja praca, do tego się szkoliłeś, a ludzie tacy jak twój dziadek ufają, że uratujesz im życie. Ale kiedy widzisz małe dziecko, zgniecione na miazgę w foteliku w samochodzie, albo rolnika, któremu wciągnęło rękę do kombajnu, albo młodą dziewczynę, która pływa w zatoce Tivoli od tygodnia, cała zielona i rozdęta, to... Niełatwo zapomnieć takie widoki. Przepraszam, nie chciałem cię straszyc.

– Spokojnie, Darragh, nic nie szkodzi – zapewniła go Cailin. – A co z Brianną? Ona lepiej sobie z tym radzi czy też się tak przejmuje jak ty?

– Wydaje mi się, że jest twardsza. I to o wiele. Kobiety chyba w ogóle są twardsze... wiesz, o co mi chodzi? Muszą sobie radzić z miesiączkami, rodzić dzieci i tak dalej. Czasami robią bez problemów rzeczy, przy których facet by wymiękł. I dobrze, bo ostatnio mamy bardzo kiepską passę, ja i Brianna. Sporo ludzi, których zgarnialiśmy, wyzionęło ducha, zanim dowieźliśmy ich do szpitala. Znacznie więcej niż zwykle. Powiedziałem jej niedawno, że czuję się, jakbym jeździł karawanem, a nie karetką.

– Naprawdę? To ilu było tych zmarłych?

– Siedmioro od początku grudnia. I to tylko u nas. U mnie i Bree.

– Siedmioro. Rzeczywiście sporo...

Cailin oczywiście nie mówiła Darraghowi, że zna statystyki śmiertelnych wypadków w Cork z ostatniego półrocza. Było ich wyjątkowo dużo, ale do tej pory nie miała pojęcia, ile z tych ofiar umarło

w karetkach w drodze do szpitala ani jak ta liczba rozkładała się na poszczególne zespoły.

– Oczywiście to nie nasza wina, że ci ludzie umarli – kontynuował Darragh. – Ale to trochę jak lotto. Niektórzy wygrywają co tydzień, inni nigdy nie trafiają.

– A co myśli o tym Brianna? Przecież próbowała ratować im życie, tym siedmiu osobom. Musi być załamana.

– Szczerze mówiąc, od paru miesięcy rzadko w ogóle się odzywa. Jak już mówiłem, kobiety są twardsze. Same dają życie, więc może mają też bardziej filozoficzne podejście do śmierci. Jedne drzwi się otwierają, a inne zamykają... czy jakoś tak.

– Postawię ci jeszcze jedno – zaproponowała Cailin.

– Święty Patryku, w tym tempie zaraz się ululam. Ale w porządku, jasne, czemu nie? Byłbym niegrzeczny, gdybym odmówił takiej ładnej młodej dziewczynie jak ty.

– No, no, Darragh. – Cailin uśmiechnęła się. – Mam już chłopaka. Będzie wściekle zazdrosny, jeśli się dowie, że spędzam to popołudnie, pijąc z przystojnym ratownikiem.

## Rozdział 42

O dziesiątej czterdzieści wieczorem mogli zaczynać operację Labre. Osiem radiowozów, trzy duże furgonetki i cztery nieoznakowane SUV-y, które stały przy Anglesea Street, ruszyły w stronę centrum miasta, do wyznaczonych wcześniej punktów. Podniósł się silny wiatr, który przeganiał po ulicach smugi deszczu.

Katie siedziała z przodu obok kierowcy w srebrnej toyocie land cruiser, którą prowadził O'Donovan. Fitzpatrick, Kyna Ni Nuallán i detektyw Cullen siedzieli z tyłu. Katie była w czarnym płaszczu przeciwdeszczowym ze szpiczastym kapturem, ale pod spód włożyła kamizelkę kuloodporną. Wszyscy wiedzieli, że czeka ich trudna do przewidzenia noc.

– Modlę się tylko, żeby żadnemu z tych bezdomnych nie stała się dziś krzywda – odezwała się Katie. – Inaczej rano trafimy na okładki wszystkich gazet, i to wcale nie z powodu naszych zasług. Wiecie, jak szybko media potrafią zrobić z bohatera łajdaka.

Jechali South Mall, w konwoju złożonym z dwóch radiowozów, ich toyoty i dużej furgonetki. Później, kiedy już pozbierają bezdomnych, miała za nimi przyjechać jeszcze jedna furgonetka, by zabrać ich rzeczy. Katie wolała uniknąć wszelkich opóźnień wywołanych kłótniami o dobytek bezdomnych pozostawiony na ulicy, nie chciała też dać im okazji, by sięgnęli po nóż lub inną broń, którą mogli ukrywać w posłaniach.

Zaledwie dwa tygodnie wcześniej aresztowali bezdomnego i znaleźli w jego kocu butelkę z kwasem siarkowym – „na wypadek gdyby jakiś sukinsyn próbował buchnąć moją ciężko zarobioną forszę”.

Obróciła się na siedzeniu i zobaczyła drugi konwój skręcający w Oliver Plunkett Street, gdzie trzech bezdomnych mężczyzn spało przed pocztą. Oni pojechali dalej Grand Parade, a potem skręcili w Paul Street. Przez pierwsze pięćset metrów Paul Street jest na tyle wąska, że mieści się na niej tylko jeden pas ruchu, potem jednak otwiera się na szeroki, wykładany czerwoną cegłą plac przed Tesco. Po południu patrol policyjny zauważył tu co najmniej pięcioro bezdomnych, mężczyzn i kobiety. Znaleźli tu schronienie, a ponieważ sklep był otwarty do dziesiątej wieczorem, mogli liczyć na dodatkowe datki od ludzi robiących późne zakupy.



Dwa radiowozy zatrzymały się kilka metrów przed placem, by nie zobaczyli ich bezdomni. Detektyw O'Donovan zaparkował toyotę przed Saints Peter and Paul Place. Furgonetka zatrzymała się za nimi, blokując drogę. Z pojazdów wysiadło jedenaścioro mundurowych. Wybiegli na plac i skierowali się ku bezdomnym, którzy urządzili się w rogu, ukryci pod foliowymi płachtami i prowizorycznymi namiotami. Katie wyskoczyła z SUV-a, naciągnęła na głowę kaptur i ruszyła w tamtym kierunku.

W sumie na placu nocowało siedmioro bezdomnych – czterech mężczyzn, kobieta w średnim wieku i dwie młode dziewczyny. Mundurowi ściągnęli z nich folię i podnieśli ich na nogi. Bezdomni wydawali się raczej zdezorientowani niż rozzłoszczeni. Trzej mężczyźni i kobieta w średnim wieku prawdopodobnie byli pijani, a dziewczyny niemal z pewnością znajdowały się pod wpływem narkotyków.

Tylko jeden z mężczyzn wyglądał na trzeźwego, choć wciąż przechylał się na jedną stronę, tak że dwóch funkcjonariuszy musiało go podtrzymywać, by się nie przewrócił.

– Co wy, kurwa, robicie? – spytał. – Nie zrobiłem nic złego. Chcę się tylko normalnie przespać, na miłość boską.

Mężczyzna miał jasne, słomkowe włosy do ramion, które przywodziły na myśl stracha na wróble; nosił brudny beżowy dres z szeroką wilgotną plamą między nogami. Katie zauważyła, że mimo tego odpychającego wyglądu i odrobinę za dużego nosa, facet jest właściwie całkiem przystojny i prawdopodobnie dziesięć lat młodszy, niż się wydawał na pierwszy rzut oka.

Podeszła do niego.

– Nic panu nie grozi, nie jest pan aresztowany – powiedziała najłagodniejszym tonem, na jaki było ją stać. – Chcemy zapewnić wam wszystkim schronienie przed deszczem i przyzwoity posiłek.

Mężczyzna zamrugał ze zdumieniem, jakby przypuszczał, że Katie jest zjawą – być może siostrą Dullahana, jeźdźca bez głowy, który podróżuje po całej Irlandii, siejąc śmierć i smagając swe ofiary biczem z ludzkiego kręgosłupa.

– Schronienie? – parsknął w końcu. – Jakie schronienie? Gdzie? Co? I co z naszymi rzeczami? Mam tu kanapkę i jabłko na śniadanie.

– Proszę się nie obawiać, zbierzemy wasze rzeczy i przewieziemy je za wami. A skoro chce pan to koniecznie wiedzieć, to zabieramy was do kościoła Świętego Dunstana w Mayfield. Czekają tam na was łóżka, ubrania na zmianę i lekarstwa, jeśli będziecie ich potrzebować.

Pozostali trzej mężczyźni, kobieta w średnim wieku i dwie dziewczyny bez protestów pozwolili mundurowym zaprowadzić się do czekającej za rogiem furgonetki. Dwaj inni funkcjonariusze zbierali ich rzeczy i wkładali do wielkich przezroczystych worków.

Ale jasnowłosa mężczyzna wyrwał się z rąk tych, którzy go przytrzymywali.

– Nie! Nigdzie, kurwa, nie jadę! – krzyknął. – Nie mogę! Spalą mnie, jeśli pojedę! Zostawcie mnie w spokoju, dobra? Zostawcie mnie!

Katie złapała go za rękę. Zachwiał się i poleciał do tyłu, na ścianę, przytrzymała go jednak za łokieć, by nie osunął się na chodnik.

– Posłuchaj, nie masz się czego bać. Nie pozwolimy, żeby ktokolwiek zrobił ci krzywdę, obiecuję! To jeszcze jeden powód, dla którego zabieramy was do Świętego Dunstana. Nie chcemy, żeby coś wam się stało.

Mężczyzna wpatrywał się w nią przez chwilę. Dyszał ciężko, w jego jasnych włosach lśniły krople deszczu. Oblizwał wargi i spróbował coś powiedzieć, ale nie mógł.

– Mówię poważnie – zapewniła go Katie. – Wiemy, że codziennie musicie oddawać część swoich pieniędzy, bo inaczej grożą wam pobiciem albo czymś jeszcze gorszym. Ale przysięgam, że nie pozwolimy, by spotkało was coś takiego. Od tej pory będziecie bezpieczni. – Zrobiła krótką pauzę, po czym dodała: – Powiedz mi, jak się nazywałeś.

Zamknął oczy i znów się zachwiał. Potem, nie otwierając oczu, wyrwał rękę z uścisku Katie, sięgnął do rękawa i wyjął z niego długi kuchenny nóż.

– Uważaj! – krzyknął mundurowy, który stał tuż za jej lewym ramieniem.

Jasnowłosa żebrak zamachnął się szeroko, mierząc w twarz Katie. Czubek ostrza sięgnął jej policzka, rozcinając skórę zaledwie trzy centymetry pod lewym okiem. Uchyliła się w lewo, obiema rękami pochwyciła mężczyznę za nadgarstek i wykręciła mu rękę tak mocno, że jego ścięgna trzasnęły głośno, a co najmniej dwie kości uległy przemieszczeniu. Bezdomny wydał z siebie dziwny krzyk, przypominający raczej głos lwa morskiego niż człowieka, i nóż, który wypuścił z ręki, upadł z cichym brzękiem na bruk.

– Ty pierdolona wiedzmo! – wrzasnął. – Złamałaś mi rękę, ty pieprzona jędzo!

– Zabierzcie go, dobrze? – zwróciła się Katie do dwóch mundurowych, a ci bezceremonialnie pochwycili mężczyznę za ręce i wywlekli spod drzwi. – Spokojnie, chłopcy – uspokajała ich Katie. – Chcemy mu ułatwić, a nie utrudnić życie. – Potem zwróciła się ponownie do bezdomnego: – Nadal nie znam pańskiego imienia ani nazwiska.

– Pierdol się, wiedzmo.

– Cóż, jak sobie chcesz. Ale dopilnujemy, żeby opatrzono ci ten nadgarstek. I żeby nikt inny nie zrobił ci krzywdy.

– A czemu miałbym się, kurwa, bać jakiegoś pierdolonego Rumuna, skoro właśnie złamałaś mi rękę, ty jebana wiedźmo?!

Zza rogu wyszła Kyna, która pomagała kobiecie w średnim wieku i dwóm dziewczynom wejść do furgonetki, bo kobieta była tak pijana, że ledwie trzymała się na nogach, a dziewczyny ciągle się potykały i chichotały, próbując wejść na stopnie.

– Katie, o Jezu, krwawisz.

Katie dotknęła czubkami palców policzka i przekonała się, że rzeczywiście została na nich krew.

– To tylko zadrapanie – rzuciła. – Nie przejmuj się tym.

Kyna wyjęła z kieszeni kurtki złożoną chusteczkę i delikatnie otarła ranę na jej policzku.

– Nie jest zbyt głęboka, Bogu dzięki. Ale powinniśmy to odkazić. Nie wiadomo, do czego jeszcze używano tego noża.

– Bardziej martwi mnie to, co zrobiłam temu facetowi. Powtarzałam do znudzenia, że nie chcemy zrobić krzywdy żadnemu bezdomnemu, a teraz sama wykręciłam nadgarstek temu idiocie.

– Zaatakował cię. I nazwał wiedźmą. Słyszałam go.

Katie pozwoliła sobie na cierpki uśmieszek.

– Nie on pierwszy dzisiaj.

– Poważnie? A kto jeszcze tak cię nazywał?

– Nieważne. Ten facet powiedział coś znacznie ważniejszego. Zapytał: „Dlaczego miałbym się bać jakiegoś – pomijam inwektywy – Rumuna?”

– Naprawdę? „Rumuna”?

Katie ponownie otarła twarz i skinęła głową.

– I co nam to mówi? Sam nie jest Rumunem, ale może należy do gangu Lupula. Znamy takie historie, prawda, kiedy gangsterzy grożą żebrakom pobiciem, jeśli nie będą im oddawać części pieniędzy. I może ten, co mnie dziabnął, nadal boi się Lupula, bo nie wie jeszcze, że być może Lupul zginął w pożarze. Albo wie z całą pewnością, że wciąż żyje.

Kyna położyła dłoń na jej ramieniu. Katie widziała w jej oczach, jak bardzo chciałyby ją przytulić i wycalować jej ranę. Sama trzęsła się lekko z zimna i szoku i oddałaby wszystko za mocny, ciepły uścisk Kyny.

– Chodźmy – powiedziała. – Sprawdźmy, jak radzą sobie inne zespoły.

\* \* \*

Wszystkie pięć zespołów realizujących operację Labre dotarło do kościoła Świętego Dunstana w kilkunastuminutowych odstępach. Świątynia znajdowała się na wzgórzu Knight's Hill, przy Old Youghal Road, naprzeciwko zakładu pogrzebowego Keohane's i obok stacji paliw Top. Funkcjonariusze pospiesznie wprowadzili wszystkich bezdomnych

zabranych z centrum miasta do kościoła, osłaniając ich parasolami przed siekącym deszczem.

W środku zespół złożony z jedenastu ochotników oraz dozorca robił wszystko co w ich mocy, by zapewnić bezdomnym przyzwoite warunki. Włączyli centralne ogrzewanie i podzielili główną część kościoła na dwadzieścia boksów otoczonych niebieskim brezentem, jakiego używa się zwykle do ochrony placów budowy. W każdym z boksów ułożyli na podłodze materac z poduszką i kocami. Na poduszkach zostawili złożone ręczniki kąpielowe oraz kosmetyczki z mydłem, pastą do zębów, szczoteczką i maszynką do golenia. Obok każdego materaca stała drewniana skrzynka, w której bezdomni mogli przechowywać swoje rzeczy, a na skrzynkach umieszczono lampki nocne i paczki ciastek imbirowych Kimberley.

Po drugiej stronie sali ustawiono stół na kozłach otoczony krzesłami, gdzie bezdomni mogli zjeść gorący posiłek. Katie czuła już zapach potrawy z baraniny dochodzący z kuchni na tyłach budynku.

W drodze do kościoła okleiła policzek plastrem, który wzięła z apteczki radiowozu. Teraz zdjęła płaszcz, by nikt więcej nie wziął jej za wiedźmę, i stała przy drzwiach, witając bezdomnych, którzy wchodzili ciężkim krokiem do kościoła. Większość z nich rozglądała się, jakby nie wierząc, że to wszystko dzieje się naprawdę. Ochotnicy prowadzili każdego z nich do jednego z boksów, pokazywali im również, gdzie są toalety i gdzie mogą się umyć.

Do Katie i Kyny podeszła młoda kobieta, okryta wilgotnym rudym kocem przewiązany sznurkiem. Miała upiornie bladą twarz ze smugami brudu na policzkach. Katie dostrzegła ślady po ukłuciu igłą na wierzchu jej dłoni, co oznaczało, że prawdopodobnie jest heroinistką. Jej oczy lśniły od łez, a głos wydobywający się z gardła był niewiele silniejszy od szeptu.

– Bardzo, bardzo wam dziękuję – powiedziała. – Nie sądziłam, że jeszcze komukolwiek na mnie zależy. Zwykle nie wiedziałam już nawet, czy śpię, czy nie. Wszystko i tak wyglądało tak samo. Myślałam, że może już nie żyję, tylko jeszcze o tym nie wiem.

Zbliżyła się do nich jedna z ochotniczek, kobieta z rudymi włosami spiętymi w kok i matczynym uśmiechem. Objęła dziewczynę za ramiona i łagodnie skierowała do boksu, w którym ta mogła się przespać.

W drzwiach kościoła pojawił się detektyw komisarz Fitzpatrick, który prowadził przed sobą ostatniego bezdomnego. Był to starszy mężczyzna w o wiele za dużym zielonym płaszczu, który ciągnął się za nim po podłodze. Stawiając kroki, dziwnie podskakiwał; Katie domyśliła się, że powinien poddać się operacji wymiany stawu biodrowego.

– To po prostu niesamowite – powiedział Fitzpatrick. – Zaczynam przypuszczać, że wybrałem niewłaściwy zawód.

Katie zerknęła na Kynę, unosząc brwi, ale się nie odezwała. Zwykle detektyw komisarz Fitzpatrick sprawiał wrażenie człowieka pozbawionego emocji. Jego oczy przypominały główki stalowych gwoździ i nigdy niczego nie zdradzały, jednak raz czy dwa pozwolił sobie na komentarz, który uświadomił Katie, że w głębi duszy przeżywa silne i gwałtowne uczucia. Nie chciał jedynie, by wiedzieli o tym jego współpracownicy.

– Wiem, co ma pan na myśli – zwróciła się do niego Kyna. – Ale trzeba naprawdę ogromnej cierpliwości, żeby pomóc tym biedakom na dłuższą metę. Nie wiem nawet, czy nie trzeba być świętym. Poza tym, choć to nie ich wina, trzeba też mieć bardzo słaby zmysł powonienia.

Zza brezentowych zasłon wychynęli detektywi O'Donovan i Cullen.

– W sumie mamy ich tu dziewiętnastu – oznajmił O'Donovan. – Trzech za żadne skarby nie chciało z nami pojechać, a tego z uszkodzonym nadgarstkiem wysłaliśmy do szpitala.

– Więc teraz po prostu pozwolimy im się tu rozgościć, zjeść i porządnie wyspać? – spytał Fitzpatrick.

– Zgadza się – potwierdziła Katie. – Pearse wyznaczył sześciu mundurowych, którzy mają tu na zmianę czuwać przez całą noc, do tego dochodzi jeszcze czworo ochotników. Jutro rano ma tu przyjechać lekarz z pielęgniarką i zbadać wszystkich. Jeśli któryś z nich ma jakieś poważne problemy zdrowotne, zajmiemy się nimi w rozsądnym zakresie, lekarz może też przepisać metadon i buprenorfinę dla narkomanów na głodzie. Jak już mówiłam, pozwolimy też alkoholikom trochę wypić, pod warunkiem że nie będą się potem agresywnie zachowywali. Zorganizowaliśmy tę operację, żeby zdobyć ich zaufanie i wyciągnąć od nich informacje, a nie robić im kurację odwykową.

Została w kościele Świętego Dunstana jeszcze przez dwie godziny; przedstawiała się kolejnym bezdomnym i sprawdzała, czy wszyscy znaleźli sobie miejsce. Dojechały też ich rzeczy; worki ustawiono przy głównym wejściu, by każdy mógł zabrać to, co do niego należy. Dwóm właścicielom psów pokazano zdjęcia ich pupili w policyjnej psiarni i zapewniono ich, że zwierzęta zostaną otoczone należyłą opieką, a w razie konieczności poddane podstawowym zabiegom weterynaryjnym, takim jak odrobaczanie czy szczepienie.

O wpół do drugiej w nocy, kiedy już wszyscy się najedli, umyli i poszli do toalety, przygaszono światła i w kościele zapadła cisza, przerywana jedynie chrapaniem i mamrotaniem jednego z mężczyzn, który powtarzał bezustannie wiersz W.B. Yeatsa *Starcy wpatrzeni w swoje odbicia w wodzie*.

Gotowa do wyjścia Katie stała z Kyną przy drzwiach.

– Jak się czuje Conor? – spytała Kyna. – Wrócił już do domu, prawda? Katie wzruszyła ramionami.

– Tak, i dobrze się goi. Ale to wszystko odebrało mu sporo wiary w siebie. A poza tym...

Miała ochotę powiedzieć Kynie, że Conor będzie musiał zachować przez jakiś czas celibat, podobnie jak ona, przerwał jej jednak któryś z bezdomnych, który wysłuchał *Starców wpatrzonych w swoje odbicia w wodzie* o jeden raz za dużo.

– Jezusie, Maryjo, święty Józefie i wszyscy apostołowie, zamknij, do cholery, jadaczkę i przestań gadać o tych starcach i ich pierdolonych wykręconych kolanach! Próbuję się tu przespać, do ciężkiej cholery!

\* \* \*

Kiedy przyjechała do domu, Conor był pogrążony w głębokim śnie. Domyśliła się, że zażył środki przeciwbólowe, więc nie chciała go budzić. Tylko Barney nie spał i usiadł prosto w swoim koszyku w kuchni, gdy poszła tam nalać sobie wody. Przez moment patrzyli na siebie, człowiek i pies, i Katie była pewna, że dostrzega w oczach Barneya współczucie, jeśli nie pełne zrozumienie. W tym momencie chyba po raz pierwszy naprawdę żałowała, że psy nie potrafią mówić.

## Rozdział 43

Pierwszą osobą, którą rano następnego dnia Katie wezwała do swojego gabinetu, była detektyw Cailin Walsh. Dziewczyna miała na sobie kostium w kratę w czerwonej tonacji, z bardzo krótką spódnicą, grube brązowe rajstopy i brązowe botki. Katie przemknęło przez głowę, że w tym stroju jeszcze bardziej przypomina młodą Sinéad O'Connor.

– I jak poszło spotkanie z kierowcą karetki? – spytała.

– Fan-ta-stycz-nie! Dogadywaliśmy się jak starzy kumple.

– Cieszę się. Udało ci się wyciągnąć od niego jakieś informacje o Briannie Cusack?

– Owszem, i to mnóstwo. Właściwie nie powiedział mi tylko, jaki ma rozmiar stanika. Mówił, że Brianna ostatnio nie jest sobą. Wygląda na to, że jej chłopak to nałogowy hazardzista i ciągle brakuje im pieniędzy. Kiedyś zawsze gawędziła z Darraghiem, a teraz prawie w ogóle się nie odzywa.

– Coś jeszcze?

– No jasne. Od początku roku zmarło siedmioro spośród pacjentów, których wieźli do szpitala.

– Siedmioro? Matko Boska...

– Właśnie. Też tak pomyślałam. Według Darragha to więcej, niż stracili przez poprzednie półtora roku. I więcej, niż wszystkie pozostałe załogi w tym roku razem wzięte.

– Mówiąc „stracili”, masz na myśli, że ci ludzie zmarli w czasie, gdy Darragh i Brianna wieźli ich do szpitala?

– Zgadza się. I w tym czasie byli wyłącznie pod opieką Brianny.

– Szefowie pogotowia nie zainteresowali się tym?

– Darragh twierdzi, że śmierć tych pacjentów nie budziła żadnych podejrzeń, więc nie było potrzeby, żeby koroner zajmował się tym dokładniej.

Katie wyprostowała się na krześle i zmarszczyła brwi.

– Więc co się tu właściwie dzieje, na miłość boską? Jak sądzisz? Brianna jest główną podejrzaną w sprawie śmierci Saoirse Duffy, a skoro była w stanie zamordować jednego pacjenta, to niewykluczone, że zrobiła to samo z pozostałymi albo przynajmniej z niektórymi z nich. Ale jeśli koroner nie dostrzegł w tych przypadkach nic podejrzanego, to może ta kobieta jest niewinna. Może po prostu miała pecha.

– Siedmioro zmarłych w ciągu niecałych sześciu tygodni? To nie jest pech, pani nadkomisarz, to wyjątkowy, niewyobrażalny pech. Taki jak mój do zdrapek.

– No dobrze, ale jaki mogłaby mieć motyw, zakładając, że nie jest psychopatką o morderczych skłonnościach? Twój nowy przyjaciel Darragh powiedział ci, że jest spłukana, więc mogłoby chodzić o pieniądze, tylko jak można zarabiać na ofiarach wypadków, które umierają w twojej karetce? Nie da się zrobić jakiegoś przekrętu z ubezpieczeniem, bo przecież nie wiadomo z góry, kto akurat będzie miał wypadek. Ci ludzie są pewnie zwykle nieprzytomni albo ledwie żywi z bólu, więc raczej nie da się ich przekonać, żeby zadzwonili do prawnika i zmienili testament. Pewnie mogłaby im zagrozić, że nie będzie ich ratować, dopóki nie podadzą jej haseł dostępu do kont bankowych, a potem i tak ich nie ratować. Tyle że ja, nawet jeśli jestem w świetnej formie, i tak nie pamiętam wszystkich haseł i numerów, więc nie wyobrażam sobie, żebym mogła cokolwiek powiedzieć, gdybym wpadła pod autobus, miała atak serca albo topiła się w Lee.

– A nie dałoby się śledzić jej karetki przez tydzień czy dłużej za każdym razem, kiedy jedzie do wezwania? Wtedy moglibyśmy ocenić, w jakim stanie są ofiary, czy rzeczywiście są ciężko ranne i jakie jest prawdopodobieństwo, że umrą przed dojazdem do szpitala.

– Zasadniczo nie jest to zły pomysł, Cailin, ale wątpię, czy udałoby się nam robić to tak, by Brianna niczego nie zauważyła i nie zorientowała się, że ją śledzimy. Poza tym i tak nie mielibyśmy pojęcia, co robi w karetce w drodze do szpitala. Być może potrafi załatwiać to tak, że śmierć jej pacjentów nie budzi żadnych podejrzeń. Jest przecież doświadczonym ratownikiem medycznym.

W tym momencie do drzwi zapukali detektyw komisarz Mulliken i detektyw sierżant Ni Nuallán. Katie dała im ręką znać, by weszli.

Kyna postukała palcem w policzek, w to samo miejsce, w którym Katie przykleiła rano na swoim świeży plaster.

– Jak tam rany z pola bitwy, goją się? – spytała.

– Tak, wszystko w porządku, dzięki, Kyno. Właściwie już o tym zapomniałam. Być może zostanie mi na policzku mała szrama, ale dzięki temu będę tylko groźniej wyglądać... – Odwróciła się do detektyw Walsh.

– Cailin, powtórz komisarzowi Mullikenowi i sierżant Ni Nuallán wszystko, czego dowiedziałaś się od tego kierowcy karetki. Może oni wpadną na jakiś pomysł.

Mulliken i Kyna słuchali w skupieniu, gdy Walsh relacjonowała rozmowę z Darraghiem.

– Nie da się zbadać tych pacjentów na miejscu wypadku tak, żeby ta Brianna o tym nie wiedziała – skwitował Mulliken, gdy dziewczyna



skończyła. – A wtedy oczywiście zrobiliby wszystko, żeby dojechali do szpitala w jak najlepszym stanie.

– Otóż to – rzuciła Katie. – Darragh jest zajęty prowadzeniem, więc oprócz Brianny tylko jedna osoba wie, co dzieje się z tyłu karetki, a tą osobą jest pacjent. Ale gdyby na przykład ten pacjent nie był wcale ranny, chory czy nieprzytomny, tylko udawał?

– Co masz na myśli? – spytał Mulliken.

– Gdyby ten „pacjent” tak naprawdę był jednym z nas?

– Z ust mi to pani wyjęła, pani nadkomisarz! – zawołała Kyna. – Mogłabym być taką pacjentką, czemu nie? Mogę udawać, że miałam jakiś poważny wypadek... może że zemdlałam i spadłam z ruchomych schodów w centrum handlowym Merchants Quay albo coś takiego. W liceum mi szło w szkolnym teatrze. Zdobyłam nawet nagrodę za rolę Estragona w *Czekając na Godota*.

– *Nic się nie dzieje, nikt nie przychodzi, nikt nie odchodzi, to straszne!* – zacytowała Katie. – To może być bardzo ryzykowne, Kyno. Nie wiemy, jak właściwie zmarli tamci pacjenci, ale Saoirse Duffy wstrzyknięto śmiertelną dawkę fentanylu. Możesz skończyć tak samo, zanim zdążysz powiedzieć „Auuu”.

– No tak, ale Saoirse nie była przytomna ani czujna, prawda? Spała, otumaniona środkami uspokajającymi, i w odróżnieniu ode mnie na pewno nie trenowała przez lata wing chun.

– No tak, wing chun. – Katie uśmiechnęła się. – Chyba nigdy nie zapomnę, jak załatwiłaś tego idiotę, który złapał za tyłek kelnerkę w barze kanapkowym. Ale na początek musimy powiadomić o wszystkim szefa pogotowia, żebyśmy mieli pewność, że pojedą po ciebie właśnie Darragh i Brianna, a nie jakaś inna załoga. Co o tym myślisz, Tony?

– To chyba żaden problem – odparł Mulliken. – Wymyślę jakąś przekonującą historyjkę i namówię szefa stacji pogotowia do współpracy. Zostawcie to mnie.

Katie zwróciła się do detektyw Walsh:

– Wiesz, kiedy Darragh i Brianna będą mieli najbliższy dyżur?

– Darragh mówił, że będą teraz mieli dwa dyżury z rzędu, dziś wieczorem i jutro od szóstej po południu do drugiej w nocy, a potem wolny weekend.

– W takim razie spróbujemy to rozegrać dziś wieczorem. Merchants Quay zamykają o szóstej, ale Brown Thomas jest czynny godzinę dłużej. Mogłabyś rzeczywiście udawać, że przewróciłaś się na ruchomych schodach.

– Ale ta Brianna będzie ją badać, zmierzy jej tętno, ciśnienie i tak dalej, prawda? – wtrącił Mulliken. – Nie nabierze podejrzeń, jeśli się okaże, że wszystko jest w normie?

– I tu właśnie przyda się wing chun – odpowiedziała z uśmiechem Kyna. – Na treningach uczą nas, jak spowolnić bicie serca. Możesz się zachowywać tak, jakbyś tańczyła fandango, a jednocześnie twoje serce bije tak powoli, że zachowujesz spokój i wiesz dokładnie, gdzie uderzyć przeciwnika tak, żeby zrobić mu jak największą krzywdę.

Katie skinęła głową.

– W porządku, świetnie, w takim razie trzymajmy się tego scenariusza. Tony, jeśli możesz uzgodnić wszystko z szefem pogotowia i wyjaśnić menadżerowi Brown Thomas, na czym polega nasz plan, spotkamy się tutaj o siódmej.

Kiedy Mulliken i detektyw Walsh opuścili gabinet, Katie podeszła do Kyny i ujęła ją za obie ręce.

– Nie musisz tego robić, wiesz o tym. Być może ta Brianna jest niewinna i nie skrzywdziłyby nawet muchy, a ja po prostu mam tylko dziwne przeczucie, że coś kombinuje.

– Nie martw się. Poradzę sobie. Wiesz, że nie dam sobie w kaszę dmuchać.

Katie obejrzała się przez ramię, sprawdzając, czy drzwi gabinetu są zamknięte, po czym pocałowała Kynę w usta.

– Stało się coś złego, prawda? – spytała Kyna. – Coś między tobą i Conorem?

– Nic, czego przyszłość nie mogłaby wyjaśnić.

– Wiesz, co powiedział dalajlama? „W roku są tylko dwa dni, w których nie możemy nic zrobić, wczoraj i jutro”.

– Jasne, tyle że dalajlama nie ma chłopaka z Limerick, który pracuje jako psi detektyw.

\* \* \*

W południe, gdy Katie zapinała właśnie płaszcz i szykowała się do wyjścia, zadzwonił Bill Phinner.

– Przykro mi, ale nie mam żadnych konkretnych informacji – oznajmił. – Nie znaleźliśmy śladów na kanistrach porzuconych w ogrodzie na tyłach kamienicy przy Alexandra Road. Ani odcisków palców, ani DNA. Kupiono je we wtorek rano w Halfords, w centrum handlowym Mahon Retail Park. Tyle dowiedzieliśmy się dzięki kodom kreskowym. Tamtego ranka nikt inny nie kupował kanistrów, a za te zapłacono gotówką. Na trawie zostały odciski butów, ale na tyle niewyraźne, że właściwie nie da się z nich niczego odczytać. Nie znaleźliśmy też żadnych śladów w domu.

– Rozumiem, Bill. A jak wam idzie z notesem?

– Bardzo, bardzo powoli, zgodnie z przewidywaniami, jakoś jednak posuwamy się do przodu. Rozdzielanie kartek to bardzo delikatna praca,

ale jestem pewien, że uda nam się odczytać większość z nich.

– Świetnie, dzięki. Za chwilę pojedziemy do Mayfield, żeby porozmawiać z dwudziestoma bezdomnymi, więc może uda nam się od nich wyciągnąć jakieś przydatne informacje.

– Powodzenia. Wiadomo już, kim były te trzy ofiary pożaru? Urząd imigracyjny przysłał jakieś wiadomości?

– Nie. Wciąż czekam. Całkiem możliwe, że należeli do gangu Lupula i że jedną z tych ofiar może być on sam, ale imigracyjni ostrzegają mnie z góry, że trudno to ustalić. Ci ludzie mogli przybyć do Irlandii z różnych miejsc, w odstępie kilku dni, i przekraczać granicę w różnych punktach. Na przykład niektórzy w Rosslare, inni w Shannon, a jeszcze inni w Ringaskiddy. No i oczywiście mogli mieć podrobione albo skradzione paszporty, co jeszcze bardziej utrudnia ustalenie, kim są i skąd pochodzą.

Skończywszy rozmowę z Billem Phinnerem, Katie zeszła do recepcji, by spotkać się z Fitzpatrickiem, Kyną i O'Donovanem. Był tam również łysiejący tłumacz, Murtagh, w za dużej zielonej impregnowanej kurtce. Raz po raz chuchał na swoje okulary, przecierał je i podnosił do światła. Wyszli razem na parking, wsiedli do nieoznakowanej toyoty land cruiser i pojechali do Mayfield. Znowu padał deszcz, choć teraz była to tylko lekka mżawka.

Bezdomni zjedli już śniadanie – jajka na bekonie i kaszanke – i dostali świeże ubrania na zmianę. Na drugim krańcu sali ustawiono telewizor, więc kilku z nich siedziało na podłodze i oglądało serial *Doctors*. Inni wrócili do swoich boksów, by jeszcze trochę pospać, podczas gdy lekarz i pielęgniarka z przychodni na Knight's Hill przechodzili od jednego posłania do drugiego, badając wszystkich, którzy skarżyli się na jakieś dolegliwości; heroinistom podawali metadon, a uzależnionym od psychotropów – lorazepam.

Wśród bezdomnych był jasnowłosy mężczyzna z dużym nosem; siedział po turecku na materacu.

Gdy Katie przechodziła obok niego, wypowiedział bezgłośnie słowo „Wiedźma”. Przystanęła i weszła do jego boksu. Detektyw O'Donovan zatrzymał się przy wejściu, na wypadek gdyby bezdomny znowu próbował ją zaatakować.

– Spokojnie, przykro mi, że zrobiłam ci krzywdę – zaczęła Katie. – Ale chyba trudno mi się dziwić, skoro próbowałeś mnie dźgnąć nożem, prawda?

– Mogłaś zostawić mnie w spokoju. Dlaczego nie pozwoliliście mi tam zostać? Było mi naprawdę dobrze przy Paul Street. Nawet nie wiem, dlaczego ściągnęliście mnie tutaj.

– A jak myślisz, dlaczego to zrobiliśmy? Chcemy, żeby twoje życie zmieniło się na lepsze.

– Żartujesz? Jak mam zmienić swoje życie na lepsze, jeśli pobiją mnie na śmierć albo spalą żywcem?

– Nikt nie zrobi ci krzywdy. Dopilnujemy tego.

– Gównu mnie obchodzi, co mi teraz mówisz. Jeśli nie wrócę pod Tesco i nie oddam im tej pierdolonej kasy, którą wyżebrałem, dadzą mi porządny wycisk, możecie być tego pewni.

– Nie, nie zrobią tego, bo ich dopadniemy, zamkniemy i dopilnujemy, żeby posiedzieli przez ładnych parę lat.

– Jasne! Tylko dlaczego nie robiliście tego nigdy dotąd? Do tej pory jedynie przeganiialiście nas z miejsca na miejsce albo wsadzaliście do mamra za utrudnianie śledztwa.

– Owszem. Bo mieliśmy bardzo ograniczone środki, a poza tym wcześniej nikt nie zabijał żebraków, przynajmniej nie na taką skalę jak teraz. Spanie na ulicach nie jest nielegalne, ale zorganizowane żebractwo już tak. Podobnie jak zabójstwo. – Czekala przez moment, aż jasnowłosa mężczyzna uświadomi sobie w pełni, co oznaczają te słowa. Zauważyła, że zgrzyta zębami, a jego lewa ręka lekko drży. – Masz ochotę się napić? – spytała.

Podniósł na nią wzrok. Dopiero teraz zauważyła, że białka jego oczu są żółte, co oznaczało, że jest chory na żółtaczkę. Choć nie odpowiedział, Katie zwróciła się do O'Donovana:

– Patrick, w kuchni jest kilka małych whisky Powers. Możesz przynieść ze dwie? Albo najlepiej trzy.

Gdy detektyw ruszył w stronę kuchni, odwróciła się ponownie do jasnowłosego mężczyzny.

– Powiesz mi w końcu, jak się nazywasz? Muszę napisać raport o tym, jak złamałam ci rękę, a nie chciałabym przyznać, że nawet nie wiem, kim jesteś. Być może będziesz mógł się ubiegać o odszkodowanie, ale nie możemy wypłacić odszkodowania Panu Anonimowi.

– Phelan – mruknął z ociąganiem. – Phelan O'Meara. Bez stałego adresu, jakbyś nie wiedziała.

Katie uklękła obok jego materaca.

– Od kiedy jesteś bezdomny, Phelan?

Mężczyzna zamknął oczy i zaczął odliczać na palcach.

– Od trzech lat – odparł po chwili. – A dokładnie od trzech i pół.

– Dlaczego trafiłeś na ulicę?

O'Donovan wrócił z trzema małpeczkami. Katie otworzyła jedną i podała Phelanowi. Ten podniósł buteleczkę do ust, powiedział *Sláinte* i opróżnił ją trzema łykami. Kiedy była pusta, oblizał szyjkę, wzdrygnął się i otarł usta wierzchem dłoni. Katie widziała, że wpatruje się już w drugą buteleczkę, którą trzymała w dłoni, odsłaniając tylko zakrętkę. Oboje doskonale wiedzieli, że chodzi tu o konkretną wymianę handlową, whisky za informacje.

– Pracowałem w warsztacie Hondy przy Victoria Cross. Byłem mechanikiem. Pewnej niedzieli pożyczyłem sobie samochód klienta i pojechałem z dwoma kumplami do Kinsale.

– Mów dalej – poprosiła Katie, sygnalizując w ten sposób, że nie chce mu jeszcze oddać drugiej małpeczki.

– No i nawaliliśmy się. Kompletnie. Byliśmy najebani jak szpadle. Kiedy wracaliśmy do Cork, potrąciłem jakiegoś staruszka na rowerze i o mało go nie zabiłem. To był koniec mojej pracy, koniec mojego małżeństwa i koniec wszystkiego.

## Rozdział 44

Katie odkręciła drugą buteleczkę i podała ją Phelanowi. Tym razem pił wolniej, obracając whisky w ustach i wciągając głęboko powietrze, by poczuć nie tylko jej smak, ale też zapach.

– Opowiedz mi o tym Rumunie.

Pokręcił głową.

– Nie mogę. Już to mówiłem. Spali mnie żywcem.

– Jesteśmy tu, żeby cię chronić, Phelan. Ale nie mamy rady, jeśli nam nie pomożesz. Jeżeli mi powiesz, jak go znaleźć, dopilnuję, żeby ci nigdy więcej nie zagroził. Nigdy. Jest Rumunem, więc odesłamy go do Rumunii i nie pozwolimy, żeby kiedykolwiek tu wrócił.

– Ma pięciu osiłków, którzy na pewno mnie już szukają. Będzie wściekły, kiedy się dowie, że nie ma mnie przed Tesco. Chce, żeby wszyscy jego ludzie zaczęli pracę równo o piątej rano.

– Ile musisz mu oddawać?

– Połowę. Bierze tyle od wszystkich żebraków w centrum, codziennie. I nie warto dawać mu mniej, bo ci jego fagasi rozbiorą cię do naga i rozrzucają wszystkie twoje rzeczy, jeśli tylko przyjdzie im do głowy, że coś ukrywasz. Kiedyś taki młody koleś schował plik dwudziestek w dupie, bo myślał, że ich tam nie znajdą, ale oni najpierw wyjęli je obcęgami, a potem za karę wsadzili mu tam butelkę po tanorze.

– Ci faceci, którzy dla niego pracują, to też Rumuni?

Phelan pociągnął następny łyk whisky i skinął głową.

– Powiesz mi, jak się nazywa ten facet, który zabiera ci kasę?

– Nie mogę, już mówiłem. Zabije mnie, kurwa. A jeśli nie on, to inni.

– Jacy inni?

– Ci inni Rumuni – odpowiedział Phelan tak cicho, że Katie ledwie go słyszała. – Pokazali się dopiero w zeszłym tygodniu, ale troje naszych już się od tego czasu zawinęło. I niech nikt nie próbuje ściemniać, że zamierzali, przedawkowali albo przekręcili się ze starości, bo tamci od razu zajęli ich miejsca.

– Poczekaj chwileczkę. Czy ten Rumun, któremu musisz oddawać kasę, to nie Dragomir Iliescu? Dragos? Facet, którego nazywają Lupul?

– Lupul? Nigdy o takim nie słyszałem.

– Więc jak się nazywa ten twój Rumun?

– Zaraz, masz mnie za idiotę? Jeśli go podkabluję, mogę sobie od razu poszukać miejsca na cmentarzu Świętej Katarzyny, to, kurwa, proste jak

dwa razy dwa. Nie możecie mnie pilnować przez całą dobę, zresztą nawet bym nie chciał, żeby jakiś pies cały czas się na mnie gapił.

– No dobrze, w takim razie co wiesz o tych innych Rumunach? Ilu ich jest?

– Tsss! – syknął Phelan. – Trochę ciszej, co? Tutaj jest co najmniej siedmiu albo ośmiu tych skurwieli i nie wszyscy są tacy pojebani, jakich udają. Jak myślisz, czemu nie mówię ci wszystkiego? Nie dlatego, że nie wiem, wyobraź sobie.

– W porządku, Phelan, jak chcesz. – Katie westchnęła ciężko, podnosząc się.

Jej umysł pracował na pełnych obrotach. Phelan nie podał jej co prawda żadnych nazwisk, ale nieświadomie wyjawiał coś bardzo ważnego. Nie mogła uwierzyć, że do tej pory nie wpadła na to ani ona, ani żaden z funkcjonariuszy patrolujących ulice. Czuła się z tego powodu jak nieczuła amatorka, jakby Garda Síochána interesowała się bezdomnymi tylko wtedy, gdy utrudniają ruch albo śmieć.

Choć nie miała żadnych świadków ani jednoznacznych dowodów, była przekonana, że to Lupul odpowiada za zabójstwa dokonane z użyciem wiertarki. Pojawił się w Cork ze swoim gangiem rumuńskich żebraków i od razu próbował przejąć wszystkie najbardziej dochodowe miejsca, jak Savoy Centre, Cook Street czy drzwi frontowe sklepu Moderne. Do tej pory nie wiedziała jednak, że niemal wszyscy żebracy już wcześniej musieli oddawać połowę uzbieranych pieniędzy innemu rumuńskiemu bandycie. Wyglądało na to, że ten człowiek już od dawna parął się tym procederem, a teraz nie zamierzał bez walki oddać pola Lupulowi.

Oczywiście zdawała sobie sprawę, że bezdomni są łatwym łupem. Otumanieni alkoholem lub narkotykami, padali ofiarą pobić i kradzieży, których dokonywali pijacy, narkomani lub inni żebracy. Nigdy dotąd nie dotarły jednak do niej informacje o tym, że są regularnie ograbiani przez zorganizowany rumuński gang, i to co najmniej od kilku miesięcy, jeśli nie lat. Domyślała się, że skoro szef tego gangu zabierał im tylko połowę zarobków, to musiał wiedzieć, że reszta wystarczy im na jedzenie, alkohol i narkotyki, więc nie będą głośno protestować. Nie mogła się nadziwić, że tak długo udawało mu się utrzymywać to w tajemnicy przed Garda Síochána. Skoro nawet tak nieustraszone i doświadczony przez życie żebrak jak Phelan bał się, że zostanie pobity lub zamordowany, jeśli nie odda swoich zarobków lub spróbuje poskarżyć się stróżom prawa, to jakie szanse mieli nieszkodliwi alkoholicy czy narkomani pokroju Gearoida lub Matty'ego?

– Słyszałeś to? – spytała O'Donovana, gdy przechodzili między boksami.

– Tak, większość. Aż trudno, kurde, uwierzyć.

– Jak, na miłość boską, mogliśmy o tym nie wiedzieć, Patrick?

– Nie wiem. Ale proszę pomyśleć racjonalnie. Jeżeli ci ludzie za bardzo się boją, żeby nam o tym mówić, to skąd mamy wiedzieć?

– Przecież na tym polega nasza praca. Powinniśmy wiedzieć. Ja powinnam. Matko Boża...

– Spokojnie, nie pierwszy i nie ostatni raz. A te młode Somalijki, które znaleźliśmy w zeszłym tygodniu w burdelu przy Grafton Street? Siedziały tam co najmniej pół roku i gdyby Ronan nie podsłuchiwał kolesia, który się przechwalał w barze Ovens, wciąż nie mielibyśmy o tym pojęcia.

– No tak, świetnie. Przykro mi, ale wcale nie czuję się przez to lepiej. Ale wracając do tego rumuńskiego bandziora, który okrada żebraków i o którym Phelan boi się głośno mówić... Masz na myśli tego samego człowieka co ja?

– Chyba tak. To prawie na pewno ten Grubas, prawda? Bo kto inny?

– Ștefan Făt-Frumor? Tak, zdecydowanie. To było pierwsze nazwisko, które przyszło mi do głowy. Ale byłeś pewien, że zwiija interesy w Cork i przenosi się do Dublina, prawda?

– Owszem, byłem, przyznaję się bez bicia. Co za sprytny sukinsyn, naprawdę mnie przekonał! Ale chyba nie ma tu żadnego innego Rumuna, którego baliby się tak bardzo, żeby od miesiący trzymać gębę na kłódkę. Jest wprawdzie jeszcze ten Florin Cojoc z Gurra, ten, którego zamknęliśmy za handel dopalaczami. Bywa naprawdę agresywny, ale głównie dlatego, że ma nierówno pod sufitem. Nie panuje nawet nad sobą, więc na pewno nie byłby w stanie zorganizować żadnego gangu.

– Zgadzam się – rzuciła Katie. – Jeśli nie chodzi tu o jakiegoś Rumuna, o którym jeszcze nigdy nie słyszeliśmy, to na pewno będzie to Ștefan Făt-Frumor. A jeśli ci żebracy, których zabił Lupul, pracowali dla niego, to miał wystarczający motyw, żeby spalić jego dom przy Alexandra Road, nie uważasz? Do tego dochodzi jeszcze zabójstwo barmana z Parting Glass... Jak on miał na imię?

– Vasile.

– Właśnie, Vasile. Jestem pewna, że Lupul go zabił, bo chłopak podał nam jego adres, a Vasile był znajomym Făt-Frumora, a przynajmniej jego informatorem.

Kiedy mijali kolejny boks, detektyw O'Donovan zajrzał do środka. Za niebieską zasłoną siedział po turecku zaniedbany starszy mężczyzna z podkrążonymi oczami, który w pełnym powagi milczeniu pochłaniał kolejne ciastka imbirowe. Nie miał przednich zębów, więc na jego sztruksowe spodnie spadały okruchy.

– Gdyby choć jeden z tych biedaków przestał się obżerać ciastkami i złożył oficjalną skargę na Grubasa, mielibyśmy rozwiązaną sprawę –



mruknął O'Donovan. – Albo przynajmniej trochę posunęlibyśmy się do przodu.

Katie szła dalej, aż dotarła do boksu, w którym na materacu leżała młoda kobieta słuchająca muzyki z taniego odtwarzacza DVD oklejonego szarą taśmą. Poruszała rytmicznie głowę, wypowiadając bezgłośnie słowa piosenki, która rozbrzmiewała w jej słuchawkach.

Miała małe, kocie oczy i falowane czarne włosy do ramion. Kiedy Katie zobaczyła jej szary gruby sweter ze wzorem w warkocze, od razu nabrała pewności, że to Rumunka. Uśmiechnęła się do dziewczyny.

– Mogę wejść i zamienić z tobą kilka słów? – spytała.

Młoda kobieta wyjęła słuchawki i usiadła prosto, odrzucając włosy do tyłu. Była całkiem ładna, choć dobrze by jej zrobiła wizyta u fryzjera i kosmetyczki. Katie przypuszczała, że ma jakieś dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa lata.

– Mam na imię Kathleen i jestem z Garda Síochána... to irlandzka policja. Ale nie musisz się obawiać, nie zrobiłaś nic złego.

– Ja martwić – odezwała się dziewczyna. – To ciepły miejsce i jedzenie dobry, ale ja nie powinny tu być. Musi wracać na ulica.

Obok lampki nocnej leżała kartka, na której skreślono kilka słów. Katie wzięła ją do ręki i odczytała: *Elenuta Moraru, przed P. Cashell, Winthrop Street*. Obok zanotowano datę i godzinę, o której funkcjonariusze zabrali młodą żebraczkę.

– Elenuta? Piękne imię.

– Jeśli ja nie mieć problem, można iść? Musi wrócić na ulica albo nic zarobić.

– Obawiam się, że na razie nie będziesz mogła tam wrócić, Elenuto. Jak już mówiłam, nie zrobiłaś nic złego, ale człowiek, który przywiózł cię tutaj z Rumunii, ma poważne problemy. Namawianie ludzi do żebrania i oddawania zarobionych pieniędzy jest niezgodne z prawem.

Dziewczyna przygryzła wargę.

– Ale jeśli ja nie wrócić, on... nie wiedzieć, jak to mówić... *el mă va răni mult*. – Uderzyła się lekko w twarz, pokazując to, czego nie potrafiła wyrazić słowami.

– Zrobi ci krzywdę? – spytała Katie.

– Tak, krzywda. Duży krzywda. Kiedyś złamać dwa palec.

Katie odwróciła się do O'Donovana.

– Ściągnij tu Murtagha, dobrze? Chyba będziemy potrzebowali tłumacza. – Ponownie zwróciła się do dziewczyny: – Mówisz o Dragomirze Iliescu? Dragosie? Człowieku, którego nazywają Lupul?

– Ja nic mówić.

– Elenuto, obiecuję ci, że Lupul już nigdy cię nie skrzywdzi. Szukamy go, bo jest podejrzany o popełnienie bardzo poważnych przestępstw. Nie

będzie już mógł zabierać ci pieniądze. I nie będzie mógł cię uderzyć. Nie zobaczysz go więcej, nigdy.

Młoda Rumunka zmarszczyła czoło; najwyraźniej niewiele zrozumiała z tej przemowy. W tym momencie do boksu wszedł Murtagh i pomachał do dziewczyny.

– *Salut! Ce mai faci? Numele meu este Murtagh.*

Detektyw O'Donovan przyniósł Katie składane krzesło, a Murtagh przykucnął obok niej. Katie, choć cieszyła się, że może skorzystać z pomocy tłumacza, nie mogła się oprzeć myśli, że w tym zielonym garniturze i grubych okularach wygląda on jak ogromna żaba. Elenuta zaczynała panikować; rozglądała się na boki, jakby szukała drogi ucieczki z boksu, i obracała nerwowo srebrne pierścionki na palcach.

– Jesteś tu bezpieczna – zapewniła dziewczynę Katie, kładąc dłoń na jej ramieniu. – Boisz się Lupula, prawda? Ciebie też przywiózł tutaj z Târgoviște? Najpierw samolotem, a potem statkiem?

Elenuta skinęła głową i jej oczy wypełniły się łzami.

– Dlaczego przyleciałaś tu z nim? Zmusił cię?

– Mój brat, Dumitru, należał do gangu Lupula, kiedy jeszcze chodził do szkoły. Narobił sobie wtedy kłopotów. Zabrał trochę narkotyków Lupulowi i sprzedał je, żeby sobie kupić motocykl. Lupul się o tym dowiedział i zagroził mi, że jeśli nie odpracuję tego, co ukradł Dumitru, zabije go. I robi to w taki sposób, że nikt nie będzie go podejrzewał.

– Kiedy przyjechaliście do Cork, zabrał cię najpierw do dużego domu na wzgórzu, prawda? A potem wysłał cię na ulicę, żebyś zebrała?

Dziewczyna ponownie skinęła głową.

– Zabije mnie.

– Nawet się do ciebie nie zbliży, kochanie, bo posiedzi w więzieniu przez długi, długi czas. Kiedy wyjdzie na wolność, będzie już staruszką. Jeśli w ogóle tego doczeka. Może o tym nie wiesz, ale ta kamienica się spaliła, a w środku znaleziono martwego mężczyznę. Być może właśnie Lupula.

– Słyszałam o tym pożarze. Od Danuta. Chciałam wrócić do tego domu, bo zostały tam moje ubrania i walizka. I telefon, i dokumenty. Ale Danut powiedział, że powinnam się trzymać z daleka od tego miejsca, bo wszystko się spaliło i... i... *poliția este peste tot în casă ca muștele.* I policjanci zlecieli się tam jak muchy – przetłumaczył Murtagh.

– Danut? – powtórzyła Katie. – Ten, którego nazywają Ostryimi Zębami?

– Tak. Dinti Ascutiti. Ale nie powinnam była ci tego mówić... Proszę...

– On też nie będzie mógł cię skrzywdzić, Elenuto. Czy Danut przyleciał z tobą z Târgoviște?

– Tak. Nienawidzę go. Zawsze próbuje mnie dotykać. Inne dziewczyny też. Śmierdzi. Czasami wyjmuje swojego *puță* i mówi „Patrz,

nie chciałabyś go pocałować?”. Robi mi się wtedy niedobrze.

– Tego akurat nie musiałeś tłumaczyć, Murtagh, ale tak czy inaczej, dziękuję – powiedziała Katie, po czym zadała kolejne pytanie: – Czy Danut mówił ci coś więcej o pożarze? Myślisz, że ten martwy mężczyzna, którego znaleziono w kamienicy, to właśnie Lupul?

Elenuta pokręciła głową.

– Nie mówił nic więcej. Tylko że wszystko się spaliło.

– Ale chciał, żebyś została na Winthrop Street i nadal zebrała?

– *Da* – potwierdziła dziewczyna. – Mówił, że ten pożar niczego nie zmienił. I że wyrobi mi nowe dokumenty. I zabronił mi rozmawiać z kimkolwiek o pożarze. Powiedział, że przyjdzie jak zwykle o dziewiątej, żeby zabrać moje pieniądze. No ale mnie tam nie zastanie. Będzie wściekły. *Furios ca diavolul*. Dlatego tak się boję.

– Więc Danut powiedział ci, że nic się nie zmieniło. Spróbuj sobie przypomnieć, co jeszcze mówił. Czy zachowywał się tak, jakby to on wszystkim teraz rządził, czy tak, jakby Lupul nadal żył i kierował wami? Wspominał, gdzie się zatrzymali po pożarze kamienicy przy Alexandra Road?

– Nie. Mówił tylko, że przyjdzie o dziewiątej, jak zawsze. Muszę tam być i dać mu jakieś pieniądze. Proszę. Jeśli mnie nie zastanie, prześle wiadomość przyjacielom Lupula w Târgoviște, a oni skrzywdzą mojego brata.

– Posłuchaj, Elenuto, nie musisz się niczym martwić. Skończymy z tym zebraniem i aresztujemy każdego, kto was do tego zmusza. Po południu przyjdą tu ludzie z urzędu imigracyjnego. Będą rozmawiać ze wszystkimi Rumunami, także z tobą. Pomogą ci wyrobić nowe dokumenty i wrócić do kraju.

– Odeślecie mnie? A co z moim bratem?

– Nie możesz zostać w Irlandii jako żebraczka. Ale mamy dobre kontakty z policją w Rumunii i dopilnujemy, żeby nic mu się nie stało.

Oczy Elenuty napełniły się łzami. Zrozpaczona, zaczęła się kołysać do przodu i do tyłu.

– *Este sfârșitul lumii* – powiedziała, szlochając. – *E sfârșitul tuturor*.

– Mówi, że to koniec świata – przetłumaczył Murtagh. – Koniec wszystkiego.

\* \* \*

Katie i jej współpracownicy przeprowadzili rozmowy ze wszystkimi dwudziestoma żebrakami. Było wśród nich siedmioro Rumunów sprowadzonych przez Lupula, dziewięcioro Irlandczyków, troje Polaków i młoda Nigeryjka o imieniu Kisiwa. Katie obiecała im wszystkim ochronę i opiekę, zapewniła również, że mogą zostać w kościele

Świętego Dunstana, dopóki odpowiednie służby nie znajdą im kwater albo nie zorganizują powrotu do ojczyzny. Lecz choć żaden z Rumunów nie zaprzeczył, że należy do żebraczego gangu Lupula, żaden nie chciał go też oficjalnie oskarżyć – ani jego, ani Danuta.

Irlandzcy żebracy również nie byli skorzy do współpracy. Katie pytała ich wielokrotnie, czy to Ștefan Făt-Frumor kazał im oddawać połowę uzbieranych pieniędzy, żaden jednak tego nie potwierdził. Znów było jej wstyd, że Garda Síochána z Cork przez tak długi czas nie miała pojęcia o przestępczym procederze, który miał miejsce na ulicach miasta. Jeszcze większym zawstydzeniem napełniało ją to, że żaden ze sprowadzonych do kościoła żebraków nie wierzył, by funkcjonariusze mogli im zapewnić bezpieczeństwo.

Mimo to była przekonana, że choć trochę ich sobie zjednała. Dopilnowała, żeby nie marzli w najzimniejsze dni roku, żeby mieli co jeść i by nikt nie traktował ich jak śmieci tylko dlatego, że są uzależnieni od narkotyków i alkoholu albo cierpią na choroby psychiczne. Miała nadzieję, że za kilka dni zaufają jej na tyle, by zdradzić jakieś nazwiska.

Przed wyjściem zajrzała jeszcze do boksu Elenuty.

– Jak leci? – spytała.

– Pozwolić pójść i zobaczyć Danut? Tak się martwić.

– To nie jest więzienie, Elenuto, w każdej chwili możesz wrócić na ulicę. Ale zdecydowanie ci to odradzam. Jeśli to zrobisz, być może o wiele trudniej będzie nam się dowiedzieć, gdzie Danut teraz jest i czy Lupul wciąż żyje. Poza tym to może być dla ciebie bardzo niebezpieczne. Na pewno już się dowiedział, że zgarnęliśmy wszystkich bezdomnych z centrum miasta, a jeśli cię spotka, będzie cię wypytywał, dlaczego to zrobiliśmy i gdzie wszyscy jesteście. Być może nawet spróbuje zabrać cię ze sobą siłą, a wtedy będziemy musieli interweniować i powstrzymać go.

– Więc co można zrobić?

– Powiedz mi, jak wygląda ten Danut. Wtedy, jeśli pojawi się na Winthrop Street o dziewiątej, jak mówiłaś, będziemy go śledzić.

Elenuta zawahała się na moment. Potem, nie podnosząc wzroku, odpowiedziała:

– Niski. Ale duży ramiona. Łysy głowa. Zawsze czarna kurtka i dżinsy. I jeden kolczyk, srebrny, ta strona.

– Coś jeszcze przychodzi ci do głowy?

– Tak. Brzydki jak pies ze zgnieciony morda.

– To bardzo obrazowy opis, Elenuto, dziękuję – odparła Katie z uśmiechem, choć jej myśli natychmiast powędrowały ku Walterowi.

## Rozdział 45

Była osiemnasta trzydzieści sześć, gdy do dyspozytorni zadzwoniono z wiadomością, że w domu towarowym Brown Thomas przy St Patrick's Street na ruchomych schodach przewróciła się kobieta i prawdopodobnie odniosła poważne obrażenia.

Dyspozytor przeszedł do pokoju pracowniczego, gdzie siedzieli Darragh, Brianna i czworo innych ratowników. Brianna stuknęła ze złością w smartfona, podczas gdy Darragh powoli przeżuwał kanapkę z peklowaną wołowiną i czytał rubrykę sportową w „Examinerze” z takim skupieniem, jakby musiał tłumaczyć zamieszczony tam tekst ze starohebrajskiego.

– Darragh, Brianna, to do was. Z tego, co mówił zgłaszający, wynika, że pacjentka może mieć wstrząśnienie mózgu i złamaną lewą kość barkową.

Brianna podniosła wzrok znad telefonu.

– Święta Maryjo, Denis, pięć minut temu odwieźliśmy do szpitala tego staruszka, ledwie zdążyłam sobie zaparzyć herbatę – poskarżyła się z irytacją. – Nie mogą się tym zająć Micky i Nola?

– Szef mówi, że wy macie jechać. Ja nie wnikiem, dlaczego właśnie wy, mam tylko robić, co mi każą.

– W porządku, niech będzie. Chodź, Darragh. Jezu, musimy tu harować ciężiej niż woły.

Zeszli na parter, wsiedli do karetki i wyjechali na South Link Road z włączonym kogutem.

– Nie wiem, co ostatnio wstąpiło w Ardana – powiedziała Brianna. – Kiedy tylko mnie widzi, zawraca i idzie w drugą stronę, jakby nie chciał zamienić ze mną choćby słowa.

– Wyluzuj, Bree, przez tę reorganizację facet ma masę roboty i problemów. Poza tym nigdy nie był szczególnie miły, prawda? – Darragh nie dodał, że i ona ostatnio zrobiła się niezbyt towarzyska. Gdy tylko pozwolił sobie na jakąś krytyczną uwagę pod jej adresem, warczała jak wściekły pudel.

Przejechali Merchants Quay, a potem skręcili w St Patrick's Street, do domu towarowego Brown Thomas. Przed wejściem parkował już radiowóz, a przy drzwiach stało dwoje mundurowych. Gdy tylko zatrzymali się przy krawężniku, Brianna zabrała worek resuscytacyjny, wyskoczyła z karetki i pobiegła do budynku.

Przy ruchomych schodach leżała młoda blondynka w długim brązowym płaszczu. Miała zamknięte oczy i wielki, purpurowy siniak na prawym policzku. Jej lewa ręka była wykręcona pod nienaturalnym kątem, a grube rajstopy wyglądały tak, jakby rozdarły się na krawędzi jednego ze stopni. Schody zostały unieruchomione. W pobliżu znajdowało się kilka stanowisk z kosmetykami i w powietrzu unosił się silny zapach Chanel.

Kilkoro gapiów odsunęło się na bok, gdy do nieprzytomnej kobiety podeszli Brianna i Darragh, który ciągnął za sobą nosze na wózku. Obok rannej kucał pulchny mężczyzna w średnim wieku, z włosami zaczesanymi na łysinę; przykładął palce do szyi kobiety, badając jej puls.

Westchnął z ulgą, gdy Brianna przyklękła obok niego.

– Bogu dzięki. Jestem tutejszym ratownikiem pierwszej pomocy, ale to mnie przerasta. Chyba wyłamała sobie ramię.

Brianna obdarzyła go przelotnym, obojętnym uśmiechem i wyjęła pulsoksymetr. Serce kobiety biło powoli, ale równomiernie, a jej oddech, choć płytki i szybki, raczej nie zapowiadał zawału.

Kiedy Brianna pochyliła się nad ranną, wyczuła silny zapach alkoholu. Spojrzała na Darragha i poruszyła ręką tak, jakby podnosiła do ust kieliszek. Jej partner pokręcił głową ze smutkiem. Ostatnio wielu spośród rannych, których wieźli na oddział ratunkowy, było pijanych.

Razem delikatnie podnieśli kobietę z podłogi i ułożyli ją na noszach, podtrzymując lewą rękę, która zwisała bezwładnie obok jej tułowia.

– Tu jest jej torebka – powiedziała jedna z ekspedientek. – W środku jest między innymi portfel i telefon.

– Widziała pani, jak upadła? – spytał Darragh.

– Nie. Usłyszeliśmy tylko krzyk i łomot, a potem już leżała. Na schodach chyba nie było wtedy nikogo innego, przynajmniej ja nikogo nie widziałam.

– Jasne, dziękuję. Gdyby ktoś o nią pytał, zabieramy ją na oddział ratunkowy w szpitalu uniwersyteckim.

Brianna i Darragh przewieźli nieprzytomną kobietę do karetki. Nim zamknęli drzwi, podeszła do nich funkcjonariuszka Garda Síochána i spytała, w jakim stanie jest poszkodowana.

– Trudno powiedzieć – odparła Brianna. – Na pewno jest pijana i mocno się poturbowała na schodach. Teraz jest w szoku i ma chyba złamane ramię. Mam jej torebkę, w środku jest telefon, więc pewnie łatwo będzie namierzyć jej krewnych.

– Tak czy inaczej, pojedziemy za wami do szpitala – powiedziała policjantka. – Gdy tylko odzyska przytomność, spytamy ją, co się właściwie stało. Chcemy mieć pewność, że nikt jej nie popchnął czy coś w tym rodzaju.

Darragh zamknął tylne drzwi karetki, usiadł za kierownicą i ruszył w stronę szpitala. Radiowóz jechał tuż za nimi.

Brianna ponownie zbadała kobietę i przekonała się, że jej serce bije nieco szybciej i wzrosło również ciśnienie krwi. Choć ranna wciąż miała zamknięte oczy i była nieprzytomna, wydawało się, że właściwie nie dolega jej nic poważnego. Brianna wiedziała jednak, że może to być jedynie skutek opóźnionego szoku, skrywający groźne dla życia urazy. Być może nie tylko wyłamała sobie ramię, ale też uszkodziła kręgosłup, co wiązałoby się z szokiem nerwowym, prowadzącym w wielu wypadkach do śmierci.

– Co z nią?! – zawołał Darragh.

– Nie wygląda to najlepiej! – odrzyknęła. – Podaję jej tlen i ogrzewam ją, ale ledwo dycha. Musiała naprawdę sporo wypić.

Sięgnęła za siebie, lecz zamiast zdjąć z haczyka maskę tlenową, zabrała opatrunek numer trzy i wyjęła go z foliowego opakowania. Była to złożona gaza o największej grubości, jakiej używali w karetce, przeznaczona głównie do tamowania krwi wypływającej z głębokich, groźnych dla życia ran lub z urwanych kończyn.

Brianna przechyliła się, by sprawdzić, gdzie są. Mijali właśnie Mardyke Street, co oznaczało, że ma co najmniej dziesięć minut, tym bardziej że Western Road była zakorkowana w obu kierunkach. Nie wahając się ani chwili dłużej, przycisnęła opatrunek do twarzy młodej kobiety, zakrywając jej usta i twarz, po czym okleiła gazę taśmą, którą naciągnęła jak najmocniej na tył głowy rannej, tworząc w ten sposób szczelną maskę.

Aby mieć pewność, że kobieta nie będzie mogła oddychać, przyłożyła lewą dłoń do opatrunku, z całej siły napierając nią na twarz ofiary.

Minęły jakieś dwie minuty. Dotarli dopiero do Orchard Road, choć Darragh pędził jak szalony, z wyjącą syreną i migoczącymi światłami, bluźniąc przy tym bez opamiętania:

– W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, i majtek papieża, zjedź mi, kurwa, z drogi, ty palancie!

Wciąż przeklinał, gdy ranna kobieta nagle się podniosła i złapała Briannę za nadgarstek, odrywając jej dłoń od swojej twarzy. Potem uderzyła ją pięścią w grzbiet nosa z taką siłą, że ratowniczką poleciała do tyłu i wylądowała na podłodze karetki.

„Pacjentka” oderwała taśmę przyklejoną z tyłu jej głowy, odrzuciła opatrunek na bok, odpięła pas bezpieczeństwa i usiadła prosto.

Brianna próbowała wstać, ale wciąż była nieco oszołomiona, a na dodatek w tym właśnie momencie Darragh, wyprzedzając autobus, zmienił gwałtownie pas, opadła więc z powrotem na podłogę.

– Co się tam dzieje, do cholery?! – krzyknął.

– Zwolnij i zatrzymaj się! – rozkazała mu młoda kobieta.

– Co? Kto to mówi?

– Detektyw sierżant Ni Nuallán z komendy przy Anglesea Street. Aresztuję twoją partnerkę za usiłowanie zabójstwa.

– Co?

– Dobrze słyszałeś. Wcale nie jestem ranna. Twoja partnerka próbowała mnie udusić, więc ją aresztuję. Wyłącz syrenę, zjedź na pobocze i zatrzymaj się.

– Co? Nie rozumiem cię. Co się z nią dzieje?

Kyna przeszła do przedniej części karetki. Darragh podniósł na nią wzrok i omal nie wjechał w furgonetkę, która jechała przed nimi.

– Zjedź na pobocze, Darragh. Właśnie aresztowałam twoją partnerkę, a tuż za nami jedzie radiowóz.

Wyłączył syrenę i powoli zjechał na pobocze przed wejściem do przychodni Áras Sláinte przy Wilton Road.

Kyna wróciła na tył karetki, wzięła Briannę za ramię i podniosła ją z podłogi.

– Nie bij mnie – poprosiła ratowniczką, osłaniając obiema rękami twarz. – Raz wystarczy.

W tym momencie otworzyły się tylne drzwi, za którymi stało dwoje mundurowych. Za ich radiowozem zatrzymywał się właśnie drugi z migoczącym kogutem.

Brianna wyszła na zewnątrz, a Kyna założyła jej kajdanki i zaprowadziła do radiowozu. Darragh, który wysiadł już z szoferki, przyglądał się temu z niemym zdumieniem.

– Ty też będziesz musiał z nami pojechać, Darragh, na przesłuchanie – poinformowała go Kyna.

– A co z karetką? Nie mogę jej tutaj zostawić. Jeszcze ktoś się włamie, a tu jest pełno leków.

– Nie martw się o karetkę, jeden z naszych ludzi odwiezie ją na miejsce.

– Ty wcale nie jesteś ranna – stwierdził Darragh ponieważ, jeszcze bardziej zdumiony. – Naprawdę nie spadłaś z tych schodów? Masz posiniaczoną twarz i rozerwane rajstopy.

Wyjęła z kieszeni płaszcz chusteczkę higieniczną, potarła nią purpurowy siniak na policzku i pokazała ją Darraghowi, by się przekonał, że to tylko makijaż.

– Spójrz też na to. – Wskazała na najwyższy guzik zapinanego swetra, który nosiła pod płaszczem. – To kamera. Nagrałam wszystko, co próbowała mi zrobić twoja partnerka.

– To mi się śni, prawda? – spytał Darragh, zszokowany. – Nie wierzę, że to się dzieje naprawdę. To musi być sen.

Jeden z funkcjonariuszy ujął go za rękę i zaprowadził do drugiego radiowozu. W momencie gdy kierowca karetki wsiadał na tylne



siedzenie, przyjechała Katie w swoim fordzie focusie. Wskoczyła w pośpiechu z samochodu i ruszyła biegiem do Kyny, zwolniła jednak, widząc, że ta rozmawia spokojnie z jednym z mundurowych.

– Nic mi nie jest, pani nadkomisarz – oznajmiła Kyna, gdy Katie stanęła obok niej. – Próbowała mnie udusić złożoną w wiele warstw gazą, ale wing chun mnie uratowało. Wszystko jest nagrane.

– Matko Boska, co za dzień – westchnęła Katie. – A jeszcze się nie skończył.

Przeszły razem do forda. Katie, szczęśliwa, że Kynie nic się nie stało, nie wiedziała nawet, co powiedzieć, więc nim uruchomiła silnik, położyła dłoń na kolanie dziewczyny i uśmiechnęła się do niej promiennie.

## Rozdział 46

– A jeśli nie przyjdzie? – spytał detektyw Caffrey.

– Jeśli nie przyjdzie, postawię ci piwo – odparł detektyw sierżant Begley.

Siedzieli przy barze w pubie Long Valley przy Winthrop Street. Przez szybę pubu widzieli drzwi sklepu po drugiej stronie ulicy, gdzie zwykle nocowała Elenuta. Było już jednak pięć po dziewiątej, a Danut wciąż się nie pojawiał.

W barze było ciemno, tłoczno i głośno; trio o nazwie Mischief Makers wygrywało na flecie, skrzypkach i irlandzkim bębnie bodhrán skoczną melodię zatytułowaną *Tenpenny Bit*.

Mimo muzyki i gwaru rozmów barmanka usłyszała, jak Begley wypowiadał słowo „piwo”, i podniosła szklankę w niemym pytaniu, ale on pokręcił głową. Powiedzieli wcześniej, że na razie nic nie zamawiają, bo czekają na przyjaciela. Minęło jednak dziesięć kolejnych minut, a Danut wciąż nie przychodził.

– Pewnie się dowiedział, że zgarnęliśmy wszystkich jego żebraków – powiedział Caffrey. – A jeśli ma choć trochę rozumu, to pewnie już wraca do Rumunii. I ten Lupul też, zakładając, że wciąż żyje. I dobrze. Krzyżyk na drogę.

Piętnaście po dziewiątej Begley sięgnął do kieszeni po portfel. Wyjął z niego dwadzieścia euro i miał już zawołać barmankę, gdy Caffrey poklepał go w ramię.

– Hej, sierżancie, patrz! To chyba nasz człowiek!

Od strony St Patrick’s Street nadchodził szybkim krokiem łysy mężczyzna w czarnej kurtce. Trzymał ręce w kieszeniach, a głowę chował za postawionym kołnierzem, który osłaniał go przed deszczem. Zatrzymał się przed drzwiami sklepu i rozejrzał. Po kilku sekundach ruszył dalej, w stronę Oliver Plunkett Street.

– Co mogę wam podać, chłopaki? – spytała barmanka.

Detektywi zeskoczyli już jednak ze stołków i szli do wyjścia. Kiedy znaleźli się na zewnątrz, Danut przechodził właśnie przez ulicę, zmierzając ku poczcie głównej. Nie uszedł jednak daleko. Zatrzymał się tuż przed drzwiami poczty i odwrócił w ich stronę. Nie zwalniając ani na moment, minęli go, by nie podejrzewał, że jest śledzony.

Zaledwie trzydzieści metrów dalej stały dwie budki telefoniczne irlandzkiej sieci Eircom. Zdołali się wcisnąć do jednej z nich, choć mieli

na sobie puchowe kurtki i kamizelki kuloodporne. Begley podniósł słuchawkę, udając, że do kogoś dzwoni, dzięki czemu mogli spokojnie obserwować przez szybę, co robi Danut. Rumun wyjął z kieszeni komórkę, rozmawiał z kimś przez chwilę, a potem, nie ruszając się z miejsca, schował telefon i zziębnięty, zatarł ręce.

– Stawiam sto do jednego, że zadzwonił po kumpla, żeby go stąd zabrał – powiedział Caffrey. – Albo po taksówkę.

– No tak, ale to znaczy, że nie będzie tu stał przez całą noc, tylko pojedzie w jakieś cieplejsze miejsce, nie? Powiem chłopakom ze wsparcia, żeby się szykowali.

Ich samochód, srebrna toyota, stał niecałe dwadzieścia metrów dalej, w zatoczce parkingowej przy domu towarowym Penneys, nie zamierzali jednak śledzić Danuta sami. Katie wezwała wcześniej czterech ludzi z jednostki specjalnej ERU i ci, uzbrojeni, już od dwudziestej trzydzieści czekali w pobliżu na sygnał do akcji. Siedzieli w dwóch nieoznakowanych samochodach – przy rogu Grand Parade i Oliver Plunkett Street oraz przed hotelem Imperial przy South Mall, na wypadek gdyby samochód Danuta skręcił z Oliver Plunkett Street w lewo, w Morgan Street albo Marlboro Street.

Detektyw sierżant Begley rozmawiał właśnie z ludźmi z ERU w obu samochodach.

– To ten facet, na pewno. Stoi przed pocztą, przed chwilą rozmawiał przez telefon, więc pewnie zaraz ktoś po niego przyjedzie. Damy wam znać, gdy tylko się pojawi. Ale pamiętajcie, co mówiła nadkomisarz Maguire. Przede wszystkim musimy ustalić, gdzie się przenieśli podejrzani, więc trzymajcie się od niego z daleka. Jeśli zacznie się zachowywać tak, jakby przypuszczał, że ktoś go śledzi, odpuście, przejmie go wtedy ktoś z naszych. Nie możemy go zgubić.

– Zrozumiałem, detektywie – odparł jeden z funkcjonariuszy ERU beznamiętnym tonem, dając mu wyraźnie do zrozumienia, że nikt nie musi go pouczać, jak prowadzić obserwację podejrzanego.

Tymczasem deszcz przybrał na sile. Begley i Caffrey wygramolili się z budki telefonicznej i przeszli szybko do swojego samochodu. Siedzieli tam ponad pięć minut, obserwując Danuta w lusterkach wstecznych, w końcu jednak na drugim końcu Oliver Plunkett Street rozbrzły reflektory nadjeżdżającego auta. Gdy czarne audi zatrzymało się przed pocztą, Danut podbiegł do uchylonych drzwi po stronie pasażera i wskoczył do środka.

– Czarne audi sedan, tablice z Limerick – powiedział Begley, podnosząc krótkofalówkę do ust. – Prawdopodobnie ten sam, którym przyjechali po Vasilego.

Kiedy tylko podejrzani ich wyminęli, Caffrey wyjechał z zatoczki i ruszył za nimi. Audi skręciło w Morgan Street, w stronę South Mall,

a potem ponownie w lewo. Begley zaalarmował dwóch ludzi z ERU siedzących w samochodzie przed hotelem Imperial, a gdy on i Caffrey przejechali obok tego budynku, nieoznakowane volvo ERU ruszyło za nimi, migając porozumiewawczo światłami. Ci z drugiego wozu ERU zameldowali, że również są już w drodze.

Czarne audi kierowało się na północ; przejechało nad rzeką Lee po Michael Collins Bridge. Trzy samochody należące do Garda Síochána podążały jego śladem. Na St Patrick's Quay volvo zrównało się nawet na moment z pojazdem podejrzanych. Potem jednak, na Harley Street, audi skręciło w lewo, a następnie w prawo i znów w lewo, w York Street.

– Gdzie on jedzie, u diabła? – zastanawiał się głośno detektyw Caffrey. – Chyba nie wraca do tego domu przy Sidney Park? Zaplombowaliśmy tam wszystkie wejścia.

Audi wjechało jednak na Richmond Hill, stromą wąską drogę, wzdłuż której ciągnęły się szeregowe domy, a potem na Goldsmith's Avenue, jeszcze węższą i bardziej stromą, położoną wysoko nad centrum miasta. W końcu skręciło między dwa szeregi parterowych ceglanych domów na osiedlu Sutton's Buildings.

– Wyłącz światła, Ronan – polecił Begley, gdy dojechali do rogu. – I przyhamuj. Zobaczmy, gdzie się zatrzyma. Ta ulica zatacza koło, więc na pewno go nie zgubimy.

Zatrzymali się i czekali w ciszy, którą mąciły jedynie stukot kropel deszczu o dach samochodu i piszczenie wycieraczek. Audi ujechało jeszcze niecałe pięćdziesiąt metrów i zatrzymało się przed jednym z domów. Po kilku sekundach zapaliło się światło we frontowym pokoju, z oknem zasłoniętym grubą fioletową kotarą.

– Dobra, mamy go – rzucił do krótkofalówki Begley. – Michael, jeśli pojedziesz dalej prosto na Rathmore Park, dotrzesz do Sutton's Buildings od drugiej strony i zablokujesz wyjazd. Ale na razie jeszcze poczekaj. I nie włączaj światła.

– Zrozumiałem – odpowiedział funkcjonariusz ERU beznamiętnym tonem. – Zdążymy jeszcze coś przekąsić?

\* \* \*

Detektyw sierżant Begley zadzwonił do Katie, która od dwudziestej pierwszej dyżurowała w pokoju łączności na piętrze komendy i śledziła ich poczynania. Obok niej siedział detektyw komisarz Fitzpatrick, pochylony mocno do przodu i wyraźnie zmęczony, podczas gdy Kyna stała za nią z kubkiem herbaty miętowej.

– Co teraz robimy? – spytał Begley.

– Nie widziałam dobrze tego kierowcy – odparła Katie. – Zastanawiam się, czy to nie Lupul.

– Jeśli się nie spalił przy Alexandra Road, to rzeczywiście może być on. Ale było zbyt ciemno, żeby go rozpoznać. Wiem tylko tyle, że to mężczyzna w lśniącej czarnej kurtce. Miał na głowie czapkę, więc nie wiem, czy jest łysy.

Katie zwróciła się do Fitzpatricka:

– Robert, mamy dwa wyjścia. Możemy tam wejść już teraz i od razu zgarnąć Danuta razem z tym, kto go podwoził. Ale możemy też obserwować dom do rana i sprawdzić, czy nie pojawi się ktoś jeszcze.

Fitzpatrick pociągnął nosem i przesunął dłonią przez krótkie włosy.

– Próbuje sobie wyobrazić, co oni teraz robią. Wiedzą już, że zgarnęliśmy wszystkich żebraków, więc zorientują się, że ich szukamy. Przypuszczam, że się poddadzą i pojedą do Ringaskiddy, a może nawet opuszczą Irlandię. Kto wie, może zrobią to jeszcze dziś? Tutaj i tak nie mają już nic do roboty, prawda?

– Myślisz, że zostawią swoich żebraków? – zdziwiła się Kyna. – Po prostu ich porzucą?

– Oczywiście, że tak. Mają gdzieś tych biedaków. Wrócą do Rumunii i znajdą innych bezdomnych. Nie uważają ich nawet za ludzi. Dla nich to chodzące bankomaty. Pamiętasz ten gang w Dublinie w zeszłym roku? Spokojnie wyciągali dobrze ponad tysiąc euro dziennie, a żebracy byli tak głodni, że szukali jedzenia w śmieciach.

Katie skinęła głową.

– Jestem skłonna przyznać ci rację. Myślę, że się stąd wyniosą, więc zgarnijmy ich od razu. Sean, słyszałeś nas?

– Tak jest. McKenzie i Nolan są zaraz za nami. O'Mahony i Kerr czekają w pogotowiu na końcu tej drogi. Możemy zaczynać.

\* \* \*

Nie włączając reflektorów, detektyw Caffrey podjechał powoli do ceglanego małego domu i zatrzymał się niecałe pięć metrów za czarnym audi, ustawiając toyotę w poprzek drogi. Pierwszy zespół ERU zatrzymał swoje volvo za nimi, a drugi zjechał bezgłośnie ze zbocza i zablokował audi z drugiej strony.

W większości okien wzdłuż ulicy paliły się światła, a kiedy Begley i Caffrey wysiedli z samochodu i zamknęli drzwi, usłyszeli przytłumioną muzykę i dźwięki telewizora. W domu po przeciwnej stronie ulicy odsunęła się kotara w oknie i za szybą pojawiła się siwowłosa kobieta w czerwonym zapinanym swetrze. Begley podszedł do niej, wskazał na słowo *Garda* na swojej kurtce i przycisnął palec do ust. Kobieta spojrzała na niego ze zdumieniem, przeżegnała się, jakby sam święty Patryk stanął pod jej oknem, i zasunęła zasłonę.

Obok Begleya stanęli czterej ludzie z ERU. Dwaj byli uzbrojeni w pistolety maszynowe MP7, a dwaj w sig saucery. Begley i Caffrey również mieli pistolety maszynowe.

– Znam te domy i wiem, że nie da się z nich wyjść od tyłu – poinformował wszystkich Begley. – Ale mogą być przez to agresywniejsi. Jedna z ofiar gangu, facet o ksywie Bowser, został zastrzelony, więc musimy zakładać, że mają co najmniej jeden pistolet.

– Jeśli mogą być uzbrojeni, to najlepiej wziąć ich z zaskoczenia. Otworzymy taranem drzwi, a jeśli zobaczymy, że sięgają po broń, wrzucimy granat ogłuszający.

– Jakies pytania? – spytał Begley. – Nie? Więc bierzemy się do roboty.

Stanęli przy frontowych drzwiach domu Danuta i Nolan, który trzymał w rękach czerwony taran, wysunął się do przodu. Drzwi obłaziły z żółtej farby i wyglądały na na wpół przegnite, więc Begley nie sądził, by trzeba było więcej niż dwóch mocnych uderzeń, by je otworzyć. Kiedy jednak Nolan podniósł taran i przymierzył się do uderzenia w zamek, drzwi nagle się otworzyły, odsłaniając przedpokój, w którym stał Danut. Zdjął już czarną kurtkę, pod którą miał koszulkę z wyszczerzoną trupa czaszką trzymającą w zębach stokrotkę i z napisem *Dirty Shirt*. W jego ustach tkwił pognieciony papieros, a z nad paska wylewał się brzuch.

Detektyw sierżant Begley stanął przed nim.

– Danut? Policja, jesteśmy uzbrojeni. Nie próbuj żadnych sztuczek, kanalio, zabieramy cię. Kto jeszcze jest z tobą w domu?

Danut nie odpowiedział i natychmiast zatrzasnął drzwi. Usłyszeli, jak krzyczy do kogoś w środku:

– *Politie! Futu-i! Este poliția!*

– Dobra, wal – polecił Begley Nolanowi, niemal ze znużeniem.

Ten uderzył taranem w drzwi, wybijając zamek już za pierwszym razem. O'Mahony był największy w obu zespołach, miał dobrze powyżej stu osiemdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu. Kopniakiem otworzył drzwi i z podniesioną bronią wmaszerował do przedpokoju niczym Terminator. Drzwi salonu były zamknięte, więc wyważył je kopniakiem i wszedł do środka, pochylając się nieco i trzymając pistolet gotowy do strzału. Pozostali trzej z ERU wpadli do pokoju za nim. Na końcu szli Begley i Caffrey, obaj również z wyciągniętą bronią.

Salon był ciasny i brudny; niemal całe umeblowanie stanowiła poplamiona beżowa kanapa z dwoma fotelami, które wyglądały tak, jakby znaleziono je na śmietniku. Jasnozielona tapeta była wilgotna i poplamiona, nawet na lustrze nad kominkiem widniały brązowe kropki. W kominku płonął kawałek torfu, który wypełniał pokój gryzącym dymem.

Danut stał za kanapą, z pistoletem automatycznym w ręce. Siedzący przed nim Marku był nieogolony, a pod oczami miał sińce. Jego prawa ręka była owinięta brudnym grubym bandażem, od łokcia po nadgarstek, a dłoń skrywał w niebieskiej gumowej rękawiczce.

– Ja pójść spokojny – powiedział bełkotliwie. – Nie strzelać.

– *Taca-ti gura, tâmpit!* – warknął na niego Danut, po czym zwrócił się do funkcjonariuszy. – Ja iść teraz. Tak? Wy mnie nie powstrzymywać. Marku, *dă-mi cheile mașinii.*

Trzymając jedną rękę w górze, Marku sięgnął do kieszeni spodni i wyjął z niej kluczyki samochodowe. Podniósł je i Danut zabrał je szybko, wciąż trzymając przed sobą pistolet.

– Danut, rozumiesz angielski, prawda? – odezwał się Begley.

– A ty? Ty też rozumieć angielski – odparował Danut. – Ja mówić wyraźny, ja teraz iść. Wy próbować ja zatrzymać, ja strzelać.

– Danut, sukinsynu, nigdzie nie idziesz. Wyrzyj przez okno, to zobaczysz, że droga jest zablokowana.

Rumun zawahał się na moment, a potem cofnął się do okna. Odciągnął zasłonę i wyrzwał szybko na zewnątrz, nie opuszczając ani na moment broni.

– Wy ruszyć samochody – zażądał. – Wy ruszyć samochody, a ja jechać.

Begley westchnął ciężko.

– Nie masz żadnych szans. Nie rozumiesz, że to koniec? Nas jest więcej, a nawet gdybyśmy ci pozwolili stąd odejść, to jak myślisz, jak daleko byś ujechał?

– Nie rozumieć. Ja iść.

– Nie ma mowy. Odłóż broń i podejdź tutaj z rękami w górze, jak twój przyjaciel.

Danut rozejrzał się nerwowo na boki. Widział, że O'Mahony celuje prosto w jego pierś i że w każdej chwili może pociągnąć za spust.

Nagle sięgnął za oparcie kanapy i przystawił broń do prawej skroni Marku. Ten próbował się uchylić, ale Danut jeszcze mocniej przycisnął broń do jego głowy i warknął:

– *Stai nemiscat!*

– Spokojnie, O'Mahony – powiedział Begley, kładąc szybko dłoń na jego ramieniu. – Ostrzegam cię – zwrócił się ponownie do Danuta. – Ostrzegam po raz ostatni. Rzuć broń. Rzuć ją. To koniec.

– Nie, nie koniec. My teraz pójść obaj. Wy ruszyć samochody, a my pójść. Jeśli nie, Marku umrzeć, a ty być morderca.

– Danut, czy do ciebie nie dociera, że już po wszystkim? Nie masz wyjścia.

Przez chwilę w pokoju panowała pełna napięcia cisza. Przerwał ją nagle Danut, zanosząc się głośnym, świszczącym kaszlem palacza. Jego

broń poruszyła się lekko, gdy kasłał. W tym momencie Marku obrócił się na kanapie i spróbował mu ją wyrwać.

Był jednak zbyt gruby i powolny. Danut strzelił mu prosto między oczy, wypełniając salon ogłuszającym hukiem. Tył głowy Marku rozleciał się niczym rozbity dzban, a krew i fragmenty mózgu bryznęły na oparcie kanapy.

– Rzuć broń! – krzyknął O'Mahony. Nim jednak zdążył wystrzelić, Danut przyłożył lufę pistoletu pod brodę i pociągnął za spust. Kula oderwała mu żuchwę, górną wargę i większość nosa. Przez moment wpatrywał się w funkcjonariuszy znad krwawej maski, w jaką zamieniła się jego twarz, niczym dziecko, które nie wie, co się z nim dzieje, po czym runął na podłogę.

O'Mahony przeszedł za kanapę, wciąż trzymając broń w pogotowiu, na wypadek gdyby Danut zdołał jeszcze oddać ostatni strzał. Pochylił się, a gdy stanął ponownie prosto, trzymał w dłoni okrwawiony pistolet Danuta.

– Od razu wykitował – powiedział. – Pewnie już tańczy z diabłem. Jezu...

– Mamy dwa trupy – zameldował Begley Katie. – Danut i jego kumpel, kimkolwiek był. To nie Lupul. Nie pasuje do opisu.

– Żaden z naszych nie jest ranny?

– Nie. Danut załatwił najpierw swojego kumpla, a potem siebie.

– Cholera. Właśnie tego chciałam uniknąć. Miałam nadzieję, że powie nam, co się stało z Lupulem. Sean, zróbcie z Caffreyem szybkie przeszukanie. Może znajdziecie coś, co nam powie, czy Lupul jeszcze żyje. Komórki. Notatki, listy, bilety na autobus, pociąg albo prom. Ubrania. Zaraz wyślę tam techników i koronera, oczywiście. Niech to szlag...



## Rozdział 47

Tej nocy Katie została na komendzie, choć nim położyła się spać, zadzwoniła do Conora.

– Jak sobie radzisz, kochanie? – spytała. – Przepraszam, ale nie mogę dziś wrócić na noc. Gdybym ci powiedziała, że ten dzień był kompletnie szalony, można by to uznać za niedopowiedzenie roku. Na pewno wspomną o tym w jutrzejszych wiadomościach. Dwaj z tych Rumunów nie żyją, zginęli na Richmond Hill.

– Zginęli? Ty ich zabiłaś?

– Nie, oczywiście, że nie. Nawet tam nie byłam. Przynajmniej nie osobiście.

– Cóż, taką masz pracę, Katie, wiem o tym.

– Wydajesz mi się jakiś przygaszony. Wszystko w porządku?

– Nie... Tak... Czuję się świetnie.

– Zabrałaś dzieciaki na spacer?

– Dzieciaki? No tak, innych nigdy nie będę miał...

– Przepraszam, Con. Nie to miałam na myśli. Zawsze nazywam je dziećmiakami.

– Tak, wyprowadziłem je na spacer. Ale okropnie lało, nawet jak dla nich. Załatwiły co trzeba i od razu chciały wracać przed kominek.

– Szkoda, że nie mogę być z nimi. I z tobą.

– No tak, czasami spotykają nas okropne rzeczy i nic na to nie poradzimy. Możemy tylko mieć nadzieję, że postępowaliśmy właściwie wobec innych.

– Cóż za filozoficzne przemyślenia. Co to ma właściwie oznaczać?

– Och... no wiesz. Wszystko i nic.

– Con... Dobrze się czujesz? Mogę wrócić do domu, jeśli mnie potrzebujesz.

– Nie, nie ma sensu. Nie będziesz jechać do Cobh w taką pogodę. Zobaczymy się jutro, mam nadzieję. Dobrej nocy, kochanie. Śpij dobrze.

– Ty też, najdroższy.

Kiedy Conor się rozłączył, Katie jeszcze przez chwilę siedziała nieruchomo na łóżku i wpatrywała się w telefon, jakby miała nadzieję, że za moment oddzwoni i oznajmi radosnym tonem: „Hej, żartowałem tylko! Wcale nie jestem w kiepskim nastroju! Posłuchaj tego syku! Właśnie otwieram butelkę szampana!”.

Lecz telefon uparcie milczał. W końcu podniosła kołdrę i wsunęła bosc stopy w zimną pościel. Przez jakiś czas leżała z otwartymi oczami, wsłuchując się w stukot kropel deszczu uderzających o szyby, a potem sięgnęła do stolika nocnego i wyłączyła lampkę.

\* \* \*

Brianna nie wyglądała najlepiej. Była nieuczesana, miała podpuchnięte oczy i opryszczkę na górnej wardze. Zabrano jej strój ratowniczi, była więc w prostej sukience z szarej wełny, co najmniej o rozmiar za dużej. Gdy rankiem Katie i Kyna weszły do pokoju przesłuchań, oczy Brianny rozbłysły jaśniej, jakby nie mogła się doczekać tej rozmowy. Katie widziała już podobne zachowanie u przestępców i zdawała sobie sprawę, co oznacza: „Wreszcie ktoś tu jest, może uratuje mnie przede mną samą”.

– Dzień dobry – powiedziała Katie. – Jak leci?

Briannę reprezentował Partlan Devine, potężnie zbudowany, czterdziestokilkuletni adwokat z tej samej kancelarii co Frank Lyons, choć dysponujący większym doświadczeniem w obronie podejrzanych o nietypowe zabójstwa. Dwa lata wcześniej bronił pewnej kobiety z Ballincollig, która dusiła każde z pięciorga swoich dzieci, gdy kończyło trzy lata, a potem ukrywała ich ciała w szafie.

Devine miał ceglastoczerwoną twarz, sterczące rude wąsy i obcesowe maniery. Ramiona jego ciemnoniebieskiego garnituru były delikatnie przyprószone łupieżem. Towarzyszyła mu asystentka, niemal chorobliwie blada, lecz atrakcyjna dziewczyna o imieniu Naoimh, obdarzona burzą lśniących czarnych włosów i intensywnie zielonymi oczami; potrafiła zapisywać ich rozmowę w notatniku opartym o okryte czarnymi rajstopami kolana.

Katie położyła teczkę z aktami sprawy Brianny na biurku, ale jej nie otworzyła.

– Zanim zaczniemy przesłuchanie Brianny Cusack w związku z wczorajszym usiłowaniem zabójstwa detektyw sierżant Ni Nuallán w karetce pogotowia, powinnam panu o czymś powiedzieć, panie mecenasie – zaczęła. – Wczoraj wieczorem technicy kryminalistyczni z naszej komendy przeszukali jej mieszkanie przy Noonan Road i znaleźli tam materiały obciążające wskazujące na powiązanie pana klientki z innym toczącym się aktualnie śledztwem.

Brianna zerknęła nerwowo na Partlana Devine’a, lecz ten nie spuszczał wzroku z twarzy Katie.

– Rozumiem, pani nadkomisarz. Zakładam, że będzie pani tak miła i poinformuje nas, co to za materiały i do jakich zarzutów się odnoszą?

Katie wzięła od Kyny przezroczystą torebkę z dowodami i podniosła ją.

– To jest fiolka, która zawierała do niedawna fentanyl, dawkę na tyle dużą, że mogła zabić przeciętnego człowieka. Znalaziono ją w koszu na śmieci na tyłach bloku, w którym mieszka pana klientka.

– Cóż, każdy mógł ją tam wrzucić. Na przykład jakiś narkoman.

– Nie, nie każdy. Na fiolce znajduje się częściowy odcisk palca. Palca Brianny Cusack. Wszystkie opioidy przewożone w karetkach podlegają ścisłemu zarachowaniu, wiemy więc, że ta konkretna fiolka pochodzi z karetki, którą jeździła pana klientka.

– No dobrze, więc wyrzuciła puste opakowanie po fentanylu. Czego to dowodzi? Przecież jest doświadczoną ratowniczką medyczną.

– Owszem, ale tu chodzi o coś więcej niż tylko o jej odcisk palca. Na igle dołączonej do fiolki nasi technicy znaleźli ślady DNA należącego do pewnej młodej kobiety, Saoirse Duffy. Leżała w szpitalu uniwersyteckim i wracała do zdrowia po ciężkim wypadku, gdy ktoś wszedł do jej pokoju i wstrzyknął jej śmiertelną dawkę fentanylu. Sprawa jest tym bardziej podejrzana, że kiedy uratowano tonącą Saoirse z Lee, do szpitala wiozła ją karetka obsługiwana przez Briannę Cusack i jej partnera Darragha Ó Dálaigha.

– Pytam raz jeszcze, czego to dowodzi? – obstawał przy swoim Devine.

– Mamy nagranie z kamer monitoringu, na którym widać kobietę w stroju pielęgniarki wychodzącą z pokoju Saoirse na krótko przed śmiercią dziewczyny. Muszę przyznać, że nagranie jest dość niewyraźne, ale można śmiało założyć, że tą „pielęgniarką” była pana klientka. Jej karetka parkowała wtedy przy szpitalu. Właśnie skończyła dyżur, a jej partner Darragh jadł późną kolację w szpitalnej kafeterii. Powiedziała mu, że nie jest głodna i że chce porozmawiać ze swoją przyjaciółką na oddziale ratunkowym.

Adwokat wyduł usta w gniewnym grymasie.

– Muszę porozmawiać z moją klientką na osobności, nim odniesiemy się do tych nowych zarzutów – odezwał się po chwili. – Zakładam, że jeszcze nie wnieśliście oskarżenia?

– Jeszcze nie, ale wnieśliśmy. Pana klientka jest już aresztowana, a chciałam najpierw zobaczyć, jak zareaguje na to, co przed chwilą powiedziałam. Proszę nam dać znać, kiedy będziecie gotowi wznowić przesłuchanie.

Katie i Kyna odsunęły krzesła, lecz nim wstały od biurka, Brianna powiedziała:

– Nie ma takiej potrzeby. Oskarżcie mnie. Przeczytajcie mi moje prawa. Śmiało. Zrobiłam to. Przyznaję. Zabiłam ją. I wszystkich pozostałych też.

– Brianno... – Devine zacisnęła dłoń na jej ramieniu. – Nie mów już nic więcej. Nie działasz w ten sposób na swoją korzyść.

– Nie obchodzi mnie to – odparła Brianna, kręcąc głową. Łzy spływały jej strumieniami po policzkach i pociągała nosem. Kyna podała jej chusteczkę. Gdy Brianna otarła już oczy i wysiękała nos, spojrzała na Kynę ze zdumieniem, jakby chciała powiedzieć: „Dobry Boże, próbowałam cię zabić, a teraz ty dajesz mi chusteczkę”.

– Co ma pani na myśli, mówiąc: „wszystkich pozostałych też”, Brianno? – spytała Katie. – Kogo konkretnie?

– Nie musi na to odpowiadać – wtrącił Devine. – Dobrze wiecie, że w ogóle nie musi nic mówić.

– Wszystko mi jedno – zwróciła się do niego Brianna, wysuwając rękę z jego uścisku. – Próbowałam z tym żyć, ale czuję się jak w koszmarze. Tak, wstrzyknęłam Saoirse Duffy fentanyl. Myślałam, że umrze, kiedy jechaliśmy z Blackrock, ale przeżyła. I wiedziała, że próbowałam ją wykończyć w karetce, więc gdyby się ocknęła, powiedziałaaby o tym wszystkim.

– Brianno, na miłość boską, nie mów już nic więcej – warknął Partlan Devine.

Asystentka wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami, wciąż trzymając ołówek nad notatnikiem. Nie zapisała jeszcze ani słowa.

– Było ich w sumie pięcioro – powiedziała Brianna, tak roztrzęsiona, że po każdym słowie musiała głośno wciągać powietrze w płuca.

– Pięcioro? Chce nam pani powiedzieć, że zabiła pani te pięć osób w karetce, w drodze do szpitala, tak samo jak próbowała pani udusić detektyw sierżant Ni Nuallán?

Brianna chlipnęła głośno i przytaknęła. Adwokat pokręcił głową z irytacją, mrużąc pod nosem:

– Święta Maryjo, Jezusie i Józefie. Brianno...

– Ale dlaczego, Brianno? – spytała Kyna, przyjmując ten szczególny ton, którym potrafiła nakłonić niemal każdego z przesłuchiwanym, by przyznał się do winy, bez względu na to, jakich dopuścił się okropieństw. Mówiła z niezwykłą łagodnością i zrozumieniem. Wydawało się, że nie tyle oskarża, ile proponuje przebaczenie i odkupienie.

– To wszystko się zaczęło, kiedy w październiku zeszłego roku poznałam w pubie Old Oak Nialla Dabneya.

– Ma pani na myśli tego właściciela zakładu pogrzebowego? – upewniła się Katie.

– Zgadza się. Zamówiłam Bacardi Breezer, ale kiedy przyszło do płacenia, okazało się, że mam za mało pieniędzy. Czułam się upokorzona. Niall stał wtedy obok przy barze i zapłacił za mnie.

– Więc nie miała pani pieniędzy? Nie dostawała pani pensji?

– Oczywiście, że dostawałam. Ale mój chłopak Jimmy uzależnił się od zakładów i wszystko mi zabrał, wyczyścił konto, oszczędności i tak dalej. Zawsze powtarzał, że zbliża się wielka wygrana i że odda mi dwa razy tyle, co zabrał, ale jakoś ciągle nie wygrywał. Ukradł nawet kolczyki z brylantami, które dostałam od babci, i oddał je do lombardu. – Odwróciła się do adwokata, który przyciskał czubki palców do czoła, jakby nagle rozboleła go głowa. – Ogromnie mi przykro, panie Devine, ale to wszystko i tak by się wydało, więc nie ma sensu udawać, że to nie byłam ja, bo oni i tak znają prawdę i mają dowody.

– Więc proszę kontynuować – rzucił. – Mogę tylko powiedzieć, że sama kręci sobie pani stryczek. Zostanę tu jednak, bo taki mam obowiązek, i dopilnuję, by obie panie detektyw trzymały się reguł. Nie postawiono pani jeszcze żadnych innych oskarżeń z wyjątkiem napaści na detektyw sierżant Ni Nuallán, więc jeśli zechce pani wycofać swoje zeznania, może pani to śmiało zrobić.

– Więc poznała pani Nialla Dabneya – odezwała się Kyna, ignorując prawnika. – Co stało się potem?

– Zaczęliśmy rozmawiać, opowiedziałam mu o Jimmym i moich problemach z pieniędzmi. Wtedy wyznał, że też miał ostatnio kłopoty finansowe i że moglibyśmy sobie pomóc nawzajem. Gdybym polecała jego firmę krewnym zmarłych, oddawałby mi część zysku. W listopadzie mieliśmy wezwania do dwóch śmiertelnych wypadków. Najpierw był ten facet w Ballyvolane, który praktycznie usmażył się żywcem, a potem na N dwadzieścia wywrócił się autobus i okno ucięło dzieciakowi głowę.

– Boże, tak, pamiętam tego chłopca – wtrąciła Katie. – To było naprawdę tragiczne.

– Poszłam do obu tych rodzin – kontynuowała Brianna. – Powiedziałam, że Dabney wyprawi im najlepszy pogrzeb, jaki mogą sobie wyobrazić, i jeszcze da zniżkę, że zrobi wszystko dziesięć procent taniej niż Jennings czy Jerh. Albo O'Connor. Obie rodziny skorzystały z tego, a Niall wypłacił mi umówioną działkę. Mogłam sobie pozwolić na parę nowych ubrań, ale Jimmy od razu się zorientował, że dorabiam jakoś na boku. Wywęszył wszystko w ciągu paru dni.

– Przecież nie musiała mu pani oddawać swoich pieniędzy, prawda?

Brianna w milczeniu podsunęła do góry rękawy sukienki i pokazała im sińce na ramionach. Niektóre były już żółte i przybladłe, ale nie brakowało też całkiem nowych, fioletowych i czerwonych.

– Rozumiem. – Kyna skinęła głową. – Co stało się potem? Co z tymi pięcioma pacjentami, których pozbawiła pani życia?

Katie zauważyła mimowolnie, że nie użyła słów takich jak „zamordować” czy „zabić”.

Przesłuchiwana kobieta zamknęła oczy i zacisnęła mocno pięści. Po jej policzkach znów płynęły łzy.

– Nie widziałam innego rozwiązania. Okropnie się bałam Jimmy’ego. Nadal się go boję. Nie rozumiem dlaczego, ale ciągle go kochałam. Nie mogłam znieść myśli, że mogłabym go stracić. Ciągle prosił mnie o pieniądze, ale mieliśmy w karetce zbyt mało przypadków śmierci. W Dzień Świętego Szczepana w wypadku samochodowym na North Ring zginęła staruszka, ale rodzina chciała ją pochować w Mayo, bo stamtąd pochodziła, więc nic na tym nie zarobiłam.

– I co sobie wtedy pani pomyślała? – pytała Katie. – Że pomoże niektórym pacjentom dostać się do nieba? Tak?

– Obiecałam sobie, że to będą tylko tacy, którzy i tak są blisko śmierci. Tacy, którzy nie dojadą żywi do szpitala, a jeśli nawet, to resztę życia spędzą w śpiączce albo zostaną kalekami i nawet nie będą w stanie sami jeść.

– Musi pani mówić dalej, Brianno? – wtrącił Partlan Devine. – Jestem pewien, że nadkomisarz Maguire już wszystkiego się domyśliła.

Katie nie zwracała na niego uwagi.

– Jak pani to robiła? – spytała. – Koroner niczego nie podejrzewał. Te śmierci nie wzbudziły w nim żadnych wątpliwości. Dusiła ich pani, tak jak próbowała udusić detektyw sierżant Ni Nuallán?

– Po wypadku to łatwiejsze, niż się wydaje – odparła Brianna. – Pacjenci są zwykle w szoku. Krwotocznym. Neurogennym. Wystarczy nawet zwykły szok psychiczny. Wtedy można bez większych problemów zatrzymać akcję serca. Zwykle wystarczy odciąć dopływ tlenu. Niewielu ludzi potrafi przeżyć bez oddychania dłużej niż dwie, góra trzy minuty. Potem w ciągu sześciu minut dochodzi do śmierci mózgu.

– Zna pani nazwiska i adresy swoich ofiar? – pytała dalej Katie.

– Pamiętam tylko niektórych. Niall ma pełną listę. Spytajcie jego.

– No tak, był pewnie zachwycony, że dzięki pani ma tylu nowych klientów. Wie, jak umarli?

– Nie mam pojęcia. Może się domyślał. Będziecie musieli go spytać.

– W porządku, Brianno, to na razie wystarczy – oznajmiła Katie. Potem odwróciła się do adwokata. – Panie Devine, to nam zajmie sporo czasu. Będziemy musieli ustalić tożsamość wszystkich ofiar pana klientki i ekshumować ich, by stwierdzić, czy rzeczywiście ich zabiła. Na razie jest pani aresztowana, Brianno Cusack, w związku z podejrzeniem o popełnienie zabójstwa. Nie musi pani niczego mówić, jeśli nie chce, ale wszystko, co pani powie, zostanie zapisane i może być wykorzystane jako dowód w sprawie.

– Chyba powiedziała już wszystko, co mogła, nie uważa pani? – burknął Partlan Devine, zamykając swoją teczkę tak gwałtownie, że przyciął sobie czubek palca.

– No i co o tym myślisz? – spytała Kyna, kiedy wróciły do gabinetu Katie.

Zamyślona Katie usiadła przy biurku. Podniosła raport, który przysłała jej doktor Kelley, po czym odłożyła go na miejsce.

– Co o tym myślę? Ano myślę, że struga wariata.

– Poważnie? Myślisz, że udaje?

– No jasne, wie, że mamy ją w garści i że zbierzemy dość dowodów, żeby ją skazać, więc udaje biedną wykorzystywaną kobietę, która musiała robić to, co robiła, ze strachu przed swoim chłopakiem. Jest doświadczoną ratowniczką medyczną, jak przypominał nam pan Partlan Ryzowąsy. Doskonale wie, jak zachowuje się człowiek w sytuacji stresowej. Uczyli ją tego.

– Ale chyba wierzysz, że ten jej chłopak ją zastraszał i że zabijała tych ludzi, bo potrzebowała kasy?

– Jasne. Mogę w to uwierzyć. Ale sądząc po jej zachowaniu w czasie przesłuchania, zabijanie sprawiało jej też przyjemność. Miała poczucie władzy, którego brakowało jej w relacjach z chłopakiem. Być może był w tym nawet element podniecenia seksualnego. Samo przyznanie się do winy w pewnym sensie ją podniecało. Zauważyłaś, jaka była rozpalona i jak podnosiła się na krześle, jakby zaciskała uda?

Kyna obdarzyła ją uśmiechem i pokręciła lekko głową.

– Święta Maryjo, trzeba przyznać, Katie, że masz oko do takich rzeczy. Kiedy znów będziemy razem, jeśli kiedykolwiek do tego dojdzie, chyba wyłączę światło.

## Rozdział 48

Ştefan Făt-Frumor siedział w podkoszulku i spodniach dresowych przed telewizorem, z puszką piwa Carlsberg Special Brew w dłoni, i ze skupieniem dłużył w nosie.

Rozległ się dzwonek u drzwi, ale zignorował go. Kiedy jednak zadzwonił po raz drugi, a potem po raz trzeci, zawołał:

– Daciana! Nie słyszałaś? Ktoś jest pod drzwiami! Zobacz, kto to, ty głupia krowo!

– Nie mogę! – odkrzyknęła jego żona z kuchni. – Właśnie mieszam *mămăligă*!

Gdy dzwonek rozległ się ponownie, Ştefan mruknął do siebie:

– *Să moară mama!* Kurwa, mam być własnym służyącym?

Podniósł się z czerwonego winylowego fotela i ruszył, wciąż trzymając puszkę z piwem. Na podłodze w przedpokoju wały się przemoczone kozuszkowe buty i znoszone mokasyny. Odtrącił je kilkoma kopniakami na bok i zanim otworzył drzwi, spojrział na mały świetlik nad nimi i zawołał:

– Kto tam? Czego chcesz?

– Mytaxi! – usłyszał w odpowiedzi.

– Co? Musiały ci się pomylić domy, chłopcze. Nie zamawiałem taksówki.

– To numer dwadzieścia siedem, zgadza się?

– Tak, dwadzieścia siedem. Ale nie zamawiałem żadnego mytaxi. Daciana! Zamawiałaś taksówkę?

– Nie! – odkrzyknęła jego żona. – Nic nie zamawiałam.

– Mogę panu pokazać zlecenie – oznajmił mężczyzna po drugiej stronie. – Ktoś zamawiał pod ten adres taksówkę, to pewne. Jeśli odwoła pan zlecenie, będzie pan musiał zapłacić sześć euro.

Sięgając do klamki, Ştefan zdawał sobie sprawę, że podejmuje ryzyko. W Bukareszcie *poliția* przychodziła do jego domu więcej razy, niż był w stanie zliczyć, bandyci z konkurencyjnych gangów dwukrotnie przestrelili mu drzwi, raz ze śrutówki, a raz z karabinu maszynowego. Jednak tutaj, w Cork, miał bardzo niewielu wrogów.

Dragomir Iliescu napsuł mu trochę krwi, ale Ştefan kazał spalić jego dom z nim w środku; miał nadzieję, że napędził też stracha jego żebrakom, podpalając tę młodą dziewczynę. Był pewien, że nie ma się już czego obawiać, ani ze strony Lupuła, ani jego gangu. Oczywiście



działały tu również miejscowe bandy, O'Flynnowie czy Murphy'owie, ale zaraz po przyjeździe do Cork zaczął ich przeciągać sprytnie na swoją stronę; dostarczał im od czasu do czasu młode prostytutki, które sprowadzał z Rumunii, albo tanią heroinę szmuglowaną z Kazachstanu.

Pod drzwiami mogli stać też policjanci, ale wydawało mu się to mało prawdopodobne. Wiedział, że poprzedniego wieczoru zabrali z ulic wszystkich jego żebraków, ale robili to już wcześniej, zwłaszcza gdy do miasta miał przyjechać papież czy jakaś inna ważna osoba. Przypuszczał, że wrócić na swoje miejsca jeszcze dziś wieczorem, najpóźniej jutro rano. Miasto nie miało ani pieniędzy, ani ochoty, by zapewnić im kwatery na stałe.

– Dobra już, dobra! – zawołał. – Wyluzuj!

Gdy tylko przekręcił zamek, drzwi otworzyły się z taką siłą, że poleciał do tyłu, na stertę brudnych butów, a puszka z piwem na drugą stronę przedpokoju i wpadła do kuchni.

– Co się dzieje?! – krzyknęła Daciana. – Ștefan! Co się dzieje? Kto to?

Podeszła do drzwi kuchni; była w fartuchu, a w ręce trzymała drewnianą łyżkę, z której na podłogę kapiała rozrobiona z wodą mąka kukurydziana. Zdążyła jeszcze zobaczyć, jak dwóch krzepkich mężczyzn ubranych na czarno podrywa jej męża z podłogi. Wywlekli go na zewnątrz i poprowadzili po betonowej ścieżce przez ogród.

– Ștefan! – krzyknęła. – Ștefan!

Nie mogła jednak nic zrobić. Dwaj mężczyźni wepchnęli Ștefana na tylne siedzenie ciemnoszarego mercedesa, zatrzasnęli drzwi i odjechali w deszczu.

Sąsiedzi, małżeństwo Popescu, wyszli przed dom. Ich dzieci również chciały do nich dołączyć i zobaczyć, co się dzieje, ale Andrei Popescu zagnał je z powrotem do środka.

Daciana, która przystanąła na ścieżce, osunęła się na kolana, wciąż trzymając drewnianą łyżkę. Jej ramiona drżały, szare warkocze skrzyły się od kropli deszczu. Wydawała z siebie głuche wycie, niczym samica wieloryba, która straciła młode.

Odkąd wyszła za Ștefana, każdego dnia żyła w strachu, że ktoś go porwie lub zastrzeli, ale ostatnio myślał już o przejściu na emeryturę; poza tym w Cork nigdy nie czuła się tak zagrożona jak w Bukareszcie. A teraz nagle po prostu zniknął. Stało się to tak szybko, że nawet nie zdążyła po raz ostatni go pocałować. Zdawała sobie sprawę, że byłby to ostatni raz i że już do niej nie wróci – a przynajmniej nie żywy. Jeśli jeszcze kiedykolwiek go zobaczy, będzie leżał w trumnie.

\* \* \*

Minęło niemal pięć minut, nim ktokolwiek z jadących w samochodzie się odezwał. Gdy skręcili w Spring Lane, kierując się na północny wschód, do Ballyvolane, mężczyzna siedzący obok kierowcy odwrócił się.

– Ştefu! – powiedział. – Dawnośmy się nie widzieli! – Był to Dragomir Ilescu, Lupul. Miał na sobie nową kurtkę z brązowej skóry; całe wnętrze samochodu pachniało nową skórą i starym dymem papierosowym. – Jesteś zaskoczony, Ştefu? Och! Rozumiem. Byłeś pewien, że zamieniłeś mnie w przypalony *chiftele*, tak?

– Nie rozumiem, o czym mówisz, Dragos – odparł Ştefan, choć na widok Lupula poczuł nagły bolesny skurcz w brzuchu i gwałtowną potrzebę opróżnienia kiszek. – Naprawdę, nie wiem, o co ci chodzi, przysięgam.

– Oj, kłamczuch z ciebie, Ştefu. Ale nie tylko kłamczuch, pierdolony morderco.

– Mówiłem ci już. O niczym nie wiem.

– Podпалиłeś dom, w którym mieszkali moi ludzie. Wiem, że to byłeś ty, bo dopadliśmy twojego fagasa Bogdiego i biliśmy go dopóty, dopóki wszystkiego nie wyśpiewał. A gdybyś się zastanawiał, gdzie się teraz podziewa Bogdi, to muszę ci powiedzieć, że poszedł popływać w Lee, tyle że z wózkiem na zakupy przywiązany do nogi, więc pewnie nie odpłynął daleko.

Ştefan pochylił się do przodu, bo brzuch bolał go coraz bardziej. W tym momencie czuł, że bardziej zależy mu na utrzymaniu zwieraczy niż ocaleniu życia. Jednak dwaj mężczyźni, którzy siedzieli po obu jego stronach, podnieśli go do pozycji siedzącej. Musiał zacisnąć zęby, zamknąć oczy i wyteńczyć całe siły, by nie popuścić.

– Co się dzieje, Ştefu? Wyglądasz, jakby chciało ci się płakać. Smutno ci? Więc dowiedz się, *nenorociture*, że jeśli ktoś w tym samochodzie powinien płakać, to właśnie ja. Wiesz, co zrobiłeś, kiedy twoje służusy podpaliły ten dom? Zabiłeś moją siostrę i jej męża. Przyjechali w odwiedziny do Irlandii, a ty ich zabiłeś. Spaliłeś żywcem. Ale zabiłeś też jeszcze kogoś innego i jeśli myślisz, że mógłbym ci to kiedykolwiek wybaczyć... kiedykolwiek... to w ogóle nie masz wyobraźni.

Lupul otworzył szeroko oczy i spojrzał na Ştefana z taką nienawiścią i wściekłością, że ten nie był już dłużej w stanie zaciskać mięśni i jego spodnie wypełniły się ciepłą cuchnącą papką.

– Zabiłeś mojego ojczyma – oznajmił Lupul drżącym głosem. – Zabiłeś człowieka, który mnie wychowywał, odkąd skończyłem sześć lat. Zabiłeś człowieka, który był mężem mojej matki i kochał ją. Spaliłeś go żywcem.

Ştefan mógł jedynie patrzeć na niego i mrugać bezsilnie. Dojeżdżali już do Spring Lane, dużego zbiorowiska przyczep kempingowych. Kiedy skręcili w wąską uliczkę prowadzącą do parkingu, mężczyzna siedzący

po lewej stronie Ștefana pociągnął nagle nosem i pomachał ręką przed twarzą.

– *Maica Domnului, care este acel miros teribil!*

\* \* \*

Zjechali na lewą stronę drogi i przed parkingiem zatrzymali auto obok góry śmieci – przemoczonych materaców, zepsutych rowerów, rdzewiejących kuchenek, kartonowych pudeł i rozdartych foliowych toreb.

– To był wypadek, Dragos – powiedział błagalnym tonem Ștefan. – Kazałem im sprawdzić, czy dom jest pusty. „Upewnijcie się, że dom jest pusty”, mówiłem. Nie chciałem zrobić nikomu krzywdy.

– Och, pewnie tak samo jak nie chciałeś zrobić krzywdy młodej Loredanie, tak? Nie mów, że to nie twoi fagasi ją podpalili. To twój znak rozpoznawczy Ștefu. Palenie ludzi żywcem. No to teraz się przekonasz, jak płoną ludzie w piekle.

Dwaj umięśnieni mężczyźni w czarnych ubraniach zaczęli wyciągać Ștefana na zewnątrz, ale ten trzymał się mocno zagłówka przedniego siedzenia.

– Możemy się dogadać, Dragos! Możemy się dzielić zyskami! Nie chciałem, żeby komukolwiek stała się krzywda, przysięgam na Boga! Moglibyśmy we dwóch rządzić wszystkimi żebrakami w Cork!

Lupul wziął głęboki wdech, jakby z trudem nad sobą panował.

– Myślisz, że robiłbym interesy z gnojkiem, który zamordował mojego ojczyma i moją siostrę? Jesteś jeszcze większym kretyńcem, niż myślałem. Zasikam świeczki na torcie urodzinowym twojej matki. I cuchniesz. Wyciągnijcie go stąd, Aleks, zanim się porzygam.

Dwaj mężczyźni kilkakrotnie pociągnęli za koszulkę Ștefana, rozrywając ją na strzępy, aż w końcu udało im się wywlec go na zewnątrz. Wzięli go między siebie i pociągnęli przez góry śmieci, roztrzając na boki puste butelki i puszki. Kiedy dotarli niemal na szczyt kolejnej hałdy, przystanęli obok porzuconej starej lodówki, która przywodziła na myśl przechylony nagrobek, i rzucili go na brudne żółte poduchy z kanapy. Jeden z mężczyzn postawił stopę na plecach Ștefana, by ten nie próbował się podnieść. Ștefan zacisnął pięści i zaczął bardzo cicho płakać. Gdyby moja matka zobaczyła mnie teraz, jak leżę na stercie śmieci w deszczu, z pełnymi spodniami, jak dziecko, gdyby wiedziała, że tak zginąłem, umarłaby ze wstydu.

Lupul wysiadł z samochodu, wspiął się na hałdę i stanął nad nim. W prawej ręce trzymał bezprzewodową wiertarkę. Skinął głową na swych towarzyszy, a ci przykleknęli po obu stronach Ștefana i przycisnęli go mocno do poduch.

Lupul rozejrzał się, sprawdzając, czy nikt ich nie widzi, po czym również ukląkł i przystawił czubek wiertła do czaszki ofiary. Stefan przestał płakać i napiął mięśnie. Trwał w całkowitym bezruchu, nie wrywał się i nie próbował uciekać. Sam wiele razy zabijał i wiedział, że ofiary cierpią znacznie krócej, jeśli pozwalają mordercom bez przeszkód zrobić to, co do nich należy.

– Pozdrów ode mnie diabła – wyszeptał Lupul, pochylając się nad nim.

To powiedziawszy, wwiercił się w głowę Stefana, naciskając najpierw mocno w dół, a potem przechylając wiertło na lewo i na prawo. Stefan zadygotał gwałtownie, gdy wiertło rozbiło pień mózgu na miążgę, a potem znieruchomiał. Kiedy Lupul był już pewny, że jego wróg nie żyje, ostrożnie wyjął wiertło z czaszki i przykrył mały otwór siwymi włosami.

Obrócili martwego mężczyznę na plecy. Jego zdrowe oko wciąż było otwarte, a język wystawał z boku ust, jakby Stefan robił właśnie jakąś głupią minę.

– Aleks – rzucił Lupul, a jeden z jego pomagierów podał mu brzytwę, jakiej używali zwykle do dzielenia kokainy. Lupul naciął najpierw głęboko prawy nadgarstek Stefana, potem lewy. Następnie ostrożnie włożył brzytwę między prawy palec zmarłego a jego kciuk, tak by pozostały na niej odciski palców, po czym pozwolił, by spadła na śmieci. W obu nacięciach pojawiła się krew, ale ponieważ serce Stefana już nie biło, rany ledwie krwawiły.

– Gotowe – rzucił Lupul. – Został nam tylko jeszcze jeden szczur do załatwienia. Potem będziemy mogli powiedzieć wszystkim *plimba ursu*. Policji też.

Ruszył w dół hałdy śmieci, dwaj mężczyźni szli tuż za nim. Otworzył drzwi samochodu, lecz nim wsiadł do środka, odwrócił się i podniósł pięść w stronę ciała Stefana, wciskając kciuk między palec wskazujący i środkowy, co miało oznaczać: „Pieprzę cię, Stefan. Baw się dobrze w piekle”.

## Rozdział 49

– Oj, stary, nie wyglądasz najlepiej – powiedział Diarmuid Moloney, wypuszczając dym z nozdrzy.

– Spadłem z motocykla – odparł Conor. – Złamałem nos i kość policzkową, ale mogło być gorzej.

– Nawet nie wiedziałem, że masz motocykl.

– Starą yamahe. Należała kiedyś do mojego wujka. Jeżdżę na niej tylko od czasu do czasu.

– I dobrze, jak widać.

Stali na werandzie domu na farmie Moloneya, złożonej z kilku mocno już zniszczonych budynków gospodarczych po wschodniej stronie Ballyhooly. Na południowym zachodzie, za zasłoną deszczu, widać było niskie zielone wzgórza po drugiej stronie rzeki Blackwater. Kilka czarno-białych krów pasło się na zielonych polach; co jakiś czas przesuwały się w jedną lub drugą stronę, niczym pionowy w wyjątkowo powolnej rozgrywce szachowej.

Diarmuid był barczysty, ale niski, miał bulwiasty nos i krzaczaste brwi. Miał na sobie płaszcz przeciwdeszczowy, mocno ściągnięty w pasie, i kapelusz filcowy z szerokim rondem; wyglądał jak strzelec IRA z 1922 roku.

– Jak się miewa Ruari? – spytał Conor.

– Ruari? Nic nie wiesz? Ruari zmarł.

– Och, przykro mi to słyszeć. Kiedy?

Diarmuid zaciągnął się.

– Gdyby dożył czwartku, minąłby równo miesiąc od jego śmierci.

– Przykro mi. Przyszedłbym na pogrzeb, gdybym wiedział.

Kiedy rozmawiali, przytruchtał do nich owczarek niemiecki.

– Hej, jak leci, Aengus? – spytał Conor, drapiąc psa za uszami i głaszcząc go. W odpowiedzi pies otrzepał się energicznie, spryskując deszczówką Conora i Diarmuida.

– Aengus chyba zawsze będzie pamiętał, że go znalazłeś, kiedy ci ludzie zabrali go do siebie. Ja na pewno o tym nie zapomnę. Jesteś geniuszem, kurwa, jasna sprawa.

– W pewnym sensie właśnie dlatego dziś do ciebie wpadłem, Diarmuid. Chciałbym cię prosić o pewną przysługę.

– Wal śmiało, Conor. Wszystko, co mamy, jest twoje. Może prócz krów.

– Szukam semteksu. I zapalnika.

Diarmuid spojrział na niego spod przymrużonych powiek. Nim odpowiedział, raz jeszcze zaciągnął się głęboko i rzucił niedopałek na ziemię.

– Semteksu, tak?

– Mam parę starych szop do wyburzenia i pomyślałem, że to będzie najszybszy i najtańszy sposób.

– Nie mógłbyś wynająć koparki i paru robotników?

– To trochę bardziej skomplikowane.

– Skomplikowane, tak? Jak bardzo bardziej skomplikowane?

– No dobra, będę z tobą szczery. Niedaleko stąd jest hodowla psów, w której okropnie traktują suki i szczenięta. Nazywa się Foggy Fields i należy do sióstr Blánaid i Caoilfhoinn McQuaide.

– Znam je. Ta Blánaid to wyjątkowo głupie babsko. Pytasz ją, jak leci, a ona zadziera nosa i nawet ci nie odpowie, jakbyś był śmieciem.

– Zrobiłem wszystko, co mogłem, żeby zamknąć tę hodowlę, ale na razie nic z tego nie wyszło. Wydaje mi się, że mały wybuch w dobrze wybranym miejscu przekonałby je, żeby zwinęły interes. Oczywiście nie zrobiłbym krzywdy psom, wystarczyłoby zniszczyć jakąś pustą szopę albo rozwalić mur. Takie małe ostrzeżenie, rozumiesz?

Diarmuid zastanawiał się nad tym przez dłuższą chwilę. W końcu skinął głową.

– Nie muszę ci chyba mówić, że nikt nie może się dowiedzieć, skąd wzięłeś semteks.

– No jasne. Przysięgam na grób Ruarięgo, że nikt się nie dowie. Ale gdybyś zobaczył, jak cierpią te psy, sam poszedłbyś do Foggy Fields z naręczem bomb.

– W porządku. Wpadnij jutro, będę miał dla ciebie przygotowane pół kilo semteksu i elektroniczny zapalnik. Musiało mnie chyba całkiem pokreć, że się na to zgodziłem, ale przysługa to przysługa.

Conor uścisnął mu dłoń i poklepał go po plecach.

– Nie zapomnisz tego, Diarmuid, obiecuję ci.

\* \* \*

Po lunchu Katie pojechała do szpitala uniwersyteckiego, by odwiedzić Murrish i Markeya. Scanlan została wypisana do domu rano, po ostatnim prześwietleniu, ale potrzebowała co najmniej czterech tygodni wolnego, by w pełni wrócić do zdrowia. Oczodół detektyw Murrish goił się bardzo dobrze i czekała niecierpliwie, aż otrzyma protezę oka, choć przyznała Katie, że wciąż ma koszmarne sny o tym, jak została ranna.

– Wie pani, co jest najgorsze, pani nadkomisarz? – Siedziała na krześle przy oknie, wpatrzona w deszczówkę spływającą po sąsiednim dachu. – Ciągłe słyszę, jak ten nóż wbija mi się w oko. Ten chrzęst. Przechodzą mnie dreszcze.

Katie ujęła jej dłoń.

– To, co cię spotkało, Bedelio, było naprawdę straszne. Ale jesteś silna. Poradzisz sobie z tym.

Dziewczyna uśmiechnęła się do niej.

– Przynajmniej wciąż widzę. Za to jestem najbardziej wdzięczna, bardziej niż za cokolwiek innego. Widzi pani, jak te krople wpadają do kałuż? A gdybym tak już nigdy nie mogła tego zobaczyć?

Po wizycie u niej Katie przeszła do sali detektywa Markeya. Wciąż miał na głowie biały turban, ale ostatnie prześwietlenia wykazały, że opuchlizna mózgu prawie całkiem ustąpiła, więc wkrótce będzie mógł wrócić do domu, być może już jutro.

Opowiedziała mu o przesłuchaniu Eamona Buckleya i Thomasa Barry'ego. Musiała go też poinformować, że funkcjonariusze ze Skibbereen nadal nie ustalili tożsamości dwóch mężczyzn, którzy zaatakowali jego i Scanlan.

– Skoro oni nie mogą sobie z tym poradzić, pojedę tam i sam ich znajdę – powiedział. – Jeśli dopisze mi szczęście, będą się opierać podczas aresztowania, a wtedy będę mógł ich potraktować pałką. Porządnie, prosto w głowę. I co najmniej dwa razy.

Katie westchnęła.

– Utrzymywanie porządku nie polega na szukaniu zemsty, Nick.

– Wiem o tym, pani nadkomisarz. Ale nie będę kłamał, że nie sprawiłoby mi to przyjemności.

Wracała właśnie do samochodu, gdy usłyszała melodię *Mo Ghille Mear* z iPhone'a. Usiadła za kierownicą i dopiero wtedy odebrała.

– Tak... Przepraszam, że musiałeś tyle czekać. Szłam właśnie przez parking, a leje jak z cebra.

Dzwonił detektyw komisarz Fitzpatrick, który wydawał się jeszcze posepniejszy niż zwykle.

– Chodzi o Ștefana Făt-Frumora. Znaleziono jego zwłoki na tym wysypisku śmieci przy Spring Lane.

– Poważnie? Kiedy?

– Jakies pół godziny temu. Bawiły się tam dzieciaki i znalazły go.

– Wiadomo, jak umarł?

– Dzieciaki wezwały pogotowie, a ratownicy, którzy go badali, mówią, że wygląda to na samobójstwo, bo ma podcięte żyły na nadgarstkach. Bill Phinner wysłał tam już techników, więc wkrótce będziemy mieli pewność. Ale jakoś nie chce mi się wierzyć, żeby Făt-Frumor odebrał sobie życie. Gdyby mu zaproponowano, że albo ugryzie

go osa, albo będzie musiał patrzeć, jak smażą mu matkę w oleju, na pewno wybrałby to drugie.

– Jak go zidentyfikowano?

– Miał w tylnej kieszeni spodni wezwanie do zapłaty z gazowni.

– Trochę słabo jak na króla zbrodni. Żadnego listu pożegnального? – spytała Katie.

– Chyba że zostawił coś w domu. O'Donovan już tam pojechał.

– Całkowicie się z tobą zgadzam. To bardzo mało prawdopodobne, żeby sam się zabił. Więc kto, twoim zdaniem, mógł to zrobić? Z tego, co o nim słyszałam, całkiem dobrze się dogadywał ze wszystkimi innymi gangami w Cork. Ale Patrick się dowiedział, że zamierzał wejść z narkotykami do Dublinu. Może któryś z tamtejszych gangów postanowił się tu pofatygować i załatwić go, zanim Făt-Frumor miał jeszcze okazję zacząć w Dublinie.

– Nie dostałem z dublińskiej centrali zajmującej się zwalczaniem przestępczości zorganizowanej żadnych wiadomości, które mogłyby o tym świadczyć. A Fitzpatrick mówi, że oni stale monitorują działalność terrorystów i groźnych przestępców.

– Przekaż, proszę, Billowi Phinnerowi, żeby natychmiast po zbadaniu miejsca zdarzenia przy Spring Lane jego technicy przesłali ciało Făt-Frumora do doktor Kelley i poprosili o jak najszybszą autopsję. Za chwilę sama do niej zadzwonię i upewnię się, czy może to zrobić, a jeśli nie, to czy przyśle jakiegoś innego patologa. Nie pozwolę, żeby w Cork doszło do starcia gangów. Nie chcę tu prawdziwej wojny jak ta między rodzinami Kinahanów i Hutchów w Dublinie.

Ruszyła w kierunku Anglesea Street. Wiedziała, że nie ma sensu łamać sobie głowy nad tym, kto mógł zabić Făt-Frumora. Kiedy jechała przez miasto, wzdłuż srebrnej wstęgi rzeki, między wysokimi wzgórzami i wieżami kościołów lśniących w deszczu, ogarnęło ją nagle przytłaczające poczucie, że to śledztwo rozgrywa się według napisanego już scenariusza, którego ona jeszcze nigdy nie widziała, i że bez względu na to, co robi, sprawa zakończy się w sposób nieoczekiwany i tragiczny... ale i nieunikniony.

\* \* \*

Ledwie weszła do gabinetu, pojawił się komendant O'Kane, który zacierał energicznie ręce.

– Improwizowana konferencja prasowa na dole za pięć minut, Katie – powiedział.

– Konferencja prasowa? W jakiej sprawie?

– Stefana Făt-Frumora, oczywiście. Media już o wszystkim wiedzą. Jeden z chłopców, którzy go znaleźli, był na tyle sprytny, że zadzwonił



do RTÉ i do „Echo”, żeby coś na tym zarobić.

– Matko Przenajświętsza... Panie komendancie, jeszcze nawet nie wiemy, jak umarł ani co się z nim działo, nim go znaleziono.

– Więc możemy powiedzieć właśnie to. Ale musimy zachować optymizm i pokazać mediom, że wygrywamy walkę ze zorganizowaną przestępczością. Zgarnęliśmy przecież wszystkich żebraków Lupula, sam Lupul albo nie żyje, albo zniknął, a teraz właśnie położyliśmy kres działalności żebraczego gangu Făt-Frumora.

– Pan wybaczy, panie komendancie, ale to nie my zajęliśmy się Făt-Frumorem. Zrobił to nieznany sprawca... albo sprawcy. – Powiesiła swój płaszcz. – A jeszcze kilka dni temu nawet nie wiedzieliśmy, że kieruje gangiem żebraków, co prawdę mówiąc, budzi moje ogromne zaniepokojenie.

– Nie musimy tego mówić, Katie. Tak czy inaczej, to już przeszłość, prawda? Ważne, żebyśmy sprawiali wrażenie ludzi sukcesu, aktywnych, bezwzględnych wobec przestępczości i gotowych chronić mieszkańców Cork przed wszelkimi zagrożeniami.

Nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Zdawała sobie sprawę, że Garda Síochána musi naprawić relacje z mieszkańcami miasta, z drugiej jednak strony nie uważała, by przemilczanie ważnych faktów lub podawanie półprawd było właściwym rozwiązaniem. Nie mieli pojęcia, że Ștefan Făt-Frumor pobierał haracz od żebraków, i czuła, że powinna się do tego przyznać, nawet jeśli główny winowajca już nie żył. Być może właśnie te wymuszenia stały się przyczyną jego śmierci, a jeśli tak, ona i jej ludzie mogli dotrzeć tym tropem do jego zabójcy lub zabójców. Może Făt-Frumora załatwił jakiś sfrustrowany żebrak. Albo cała grupa sfrustrowanych żebraków.

– Mogę przekazać mediom jedynie nagie fakty, panie komendancie – odpowiedziała w końcu.

– Nie przejmuj się. Całą resztą zajmę się sam. W końcu dlatego właśnie przydzieliłem ci to zadanie. Żeby społeczeństwo znów aprobowało działania Garda Síochána. Żeby nam ufało. Lubiło nas. A nawet... jeśli to nie przesada... kochało. I, Katie...

Wiem, że znów to powiesz: „Kiedy jesteśmy sami, możesz zwracać się do mnie po imieniu”. Ale to, co zdarzyło się między nami przed wieloma laty, to już tylko przeszłość.

Chciał dokończyć zdanie, lecz do gabinetu weszła Moirin.

– Przepraszam, że przeszkadzam, pani nadkomisarz. Zadzwoiła właśnie niejaka Breda Behan. Pyta, czy w przyszły czwartek zechciałaby pani wygłosić wykład podczas spotkania Koła Feministycznego w Cork.

– Katie? – Brendan uniósł brew. – Wydaje mi się, że to coś w sam raz dla ciebie.

\* \* \*

Konferencja prasowa trwała niecałe dwadzieścia minut. Katie oznajmiła po prostu, że przy Spring Lane znaleziono zwłoki Štefana Fät-Frumora i że toczy się śledztwo w sprawie jego śmierci. Nie przyjmowała żadnych pytań; twierdziła, że nie ma już nic do dodania. Załatwiła wszystko tak szybko, że komendant nie zdążył wygłosić przemówienia o tym, jak skutecznie Garda Síochána dba o ulice miasta, jak eliminuje handlarzy narkotykami i ludźmi i jak stopniowo odzyskuje sympatię mieszkańców Cork.

Jedyne, co mógł zrobić, to wstać i powiedzieć do zgromadzonych w sali dziennikarzy i kamerzystów:

– Dziękuję. Będziemy państwa informować o rozwoju wypadków.

Chwilę później dogonił Katie na korytarzu.

– Nie poszło najlepiej, nie sądzisz? – rzucił.

– Powiedzieliśmy im wszystko, co wiedzieliśmy, panie komendancie. Nie ma sensu bawić się w spekulacje. Zwykle kończy się to tak, że gdy prawda wychodzi na jaw, my wychodzimy na głupców. Na pewno wie pan o tym równie dobrze jak ja.

– Katie, chcę, żebyś była w stu procentach po mojej stronie. Bardzo potrzebuję twojego wsparcia w tworzeniu naszego wizerunku. Tam, na sali, zachowałeś się jak... sam nie wiem jak...

– Jak nadkomisarz, która udzieliła informacji o niewyjaśnionym jeszcze zabójstwie?

Brendan miał już na końcu języka ciętą ripostę, w końcu jednak podniósł tylko ręce, jakby chciał powiedzieć: „W porządku, dziewczyno, na razie dajmy temu spokój”.

\* \* \*

O wpół do szóstej deszcz nieco osłabł i Katie ponownie pojechała z Fitzpatrickiem, Kyną i O'Donovanem do kościoła Świętego Dunstana. Chciała powiadomić bezdomnych – zwłaszcza tych, którzy należeli do gangu Štefana Fät-Frumora – że ich szef nie żyje, zanim dowiedzą się o tym z wiadomości telewizyjnych o szóstej.

Właśnie jedli wczesną kolację – boczek, kapustę i ziemniaki z sosem pietruszkowym. Większość z nich siedziała przy stole, niektórzy jednak przysiedli na podłodze i oglądali telewizję. Kiedy Katie weszła do kościoła i poczuła smakowite zapachy, przypomniała sobie, że sama nie jadła nic od śniadania.

– Można ściszyć telewizor, proszę?! – zawołała, a kiedy w sali zapadła cisza, weszła na podwyższenie, na którym stał stół, i oznajmiła: – Mam

dla was pewną wiadomość... Coś, co z pewnością ucieszy niektórych z was.

– Papież przeprosił! – zawołał jeden z bezdomnych.

– Cóż... właściwie to zrobił – odparła Katie. – Ale wiadomość dotyczy śmierci pewnego człowieka... Kogoś, kto ostatnio miał znacznie większy wpływ na wasze życie niż Jego Świątobliwość. Chodzi o Ștefana Făt-Frumora. Tego, którego nazywaliście Grubasem.

Żebracy siedzący przy stole wzniesli radosny okrzyk; niektórzy uderzali w blat sztućcami. Kiedy Katie zeszła z podwyższenia, przykuśtykała do niej piegowata dziewczyna z rozczochranymi rudymi włosami. Nie mogła pohamować płaczu, który wstrząsał jej ramionami. Katie rozmawiała z nią podczas ostatniej wizyty; dziewczyna była uzależniona od kokainy i jeśli wydawała wszystkie zarobione pieniądze na narkotyki, bandyci Ștefana Făt-Frumora znęcali się nad nią bez opamiętania. Przed miesiącem wybili jej wszystkie przednie zęby.

Wyciągnęła przed siebie chude ręce i Katie uściskała ją serdecznie. Pod cienką bawełnianą sukienką wyczuwała chude, wystające łopatki i ramiona.

– Niech cię Bóg błogosławi – powiedziała dziewczyna, płacząc. – Niech cię błogosławi. Jesteś świętą.

Ale mężczyzna z czarną brodą siedzący przy stole zawołał:

– No dobra, Grubas nie żyje, a był z niego kawał drania, to jasne! Tylko kto będzie nas teraz chronił? Grubas przynajmniej pilnował, żeby nikt nas nie okradał, nie bił ani na nas nie sikał.

– Masz rację – przyznała Katie. – Zamierzam jednak porozmawiać z radą miasta o jakimś stałym schronieniu dla was wszystkich. Będziemy się też zastanawiać, jak poddać was terapii i jak znaleźć wam pracę, kiedy już będziecie czyści. Jeśli chodzi o ochronę, to omówię tę sprawę z odpowiednią komisją rady miasta. Postaramy się, żebyście mogli się czuć bezpiecznie, kiedy... jeśli wrócicie na ulice. Na razie możecie zostać w tym kościele tak długo, jak tylko zechcecie.

Od stołu wstała dziewczyna o imieniu Elenuta.

– A co z my, z Rumunia? Co z Lupul?

Rudowłosa dziewczyna otarła oczy rękawem. Katie uścisnęła ją raz jeszcze, obdarzyła uśmiechem i puściła.

– Dla was też mam dobre wieści – zwróciła się do Elenuty. – Danut nie żyje. Znaleźliśmy jego kryjówkę. Odebrał sobie życie, zanim mogliśmy go aresztować. Nie musicie się już przejmować Danutem.

– Ale Lupul? Ty obiecać, ja nie musi się więcej martwić Lupul. Lupul straszny.

– Przyznam szczerze, że nie wiemy jeszcze do końca, czy Lupul żyje. Robimy jednak wszystko co w naszej mocy, żeby to ustalić. Dopóki

zostaniecie w kościele, nie będzie mógł się do was zbliżyć, nawet jeśli wciąż żyje. Czy rozmawiał z tobą ktoś z urzędu imigracyjnego?

– Tak. Oni przygotować niedługo moje dokumenty. Kiedy to zrobić, ja wracać do Rumunia. Wszyscy z Rumunia wracać.

Kiedy jechali z powrotem na Anglesea Street, komisarz Fitzpatrick powiedział:

– Ten facet, który pytał o ochronę, miał się czego obawiać. Jakoś mi się nie wydaje, żeby rada znalazła pieniądze na kwatery dla wszystkich tych bezdomnych, nie uważasz? Poza tym niektórzy z nich wolą spać na ulicy niż w schronisku. W schroniskach muszą się odpowiednio zachowywać. A my nie mamy tylu ludzi, żeby pilnować ich przez całą noc. Poza tym, jeśli sami wybierają sobie takie życie, to dlaczego właściwie mielibyśmy im przeszkadzać?

– Zrobimy, co będziemy mogli, Robert – odpowiedziała Katie. – I nawet jeśli ktoś nawciąga się małego pyłu, straci rozum i nie będzie chciał naszej pomocy, i tak musimy się o niego zatroszczyć. To nasza praca.

\* \* \*

Wychodziła właśnie z gabinetu, by wrócić do domu, gdy z drugiej strony korytarza nadszedł Bill Phinner.

– Co słysząc, Bill?

– Nie masz przypadkiem papierosa, co?

– Nie. Nie mów, że znów zaczęłaś palić.

– Nie, nie zacząłem, ale bardzo bym chciał. Próbowałem e-papierosów, ale... Szkoda gadać, jakbym wciągał w usta oddech dwulotka, który jadł przed chwilą rabarbar i budyń.

– Szedłeś do mnie?

– Tak. Chodzi o tego Rumuna, który najpierw zabił swojego kumpla, a potem odstrzelił sobie twarz. Sprawdziliśmy pociski i okazuje się, że są takie same jak te, które wyjęliśmy z tego boksera zastrzelonego przy Crane Lane.

– Więc to była ta sama broń?

– Na sto procent.

– Rozumiem... To może oznaczać kilka rzeczy. Albo to Danut zastrzelił Bowsera, a jeśli nie on, to sprawca nie ma już tej broni. Albo... Sama nie wiem. Jestem tak umęczona, że nie potrafię już myśleć logicznie. A jak wam idzie ze spalonym notesem?

– Powoli, ale do przodu. Rozdzieliliśmy kilka stron i teraz je suszymy. Jeśli coś tam jest napisane, powinniśmy to odczytać jutro albo najpóźniej pojutrze.

– Świetnie, Bill. W takim razie zobaczymy się jutro rano. I staraj się nie poddawać. Pomyśl o swoich płucach.

– Myślę o nich, wierz mi. Oba marzą o głębokim hauście dymu i porządnym kaszlu z flegmą.

## Rozdział 50

Tego wieczoru Conor był wyjątkowo milczący. Katie upiekła dwie gotowe pizze pepperoni, bo była zbyt zmęczona, by przygotować cokolwiek innego, lecz Conor zjadł tylko jeden kawałek.

– Co cię trapi, Con? – spytała.

– To i owo, sama wiesz.

– Nie, nie wiem. Co znaczy „to i owo”?

– Myślałem o przyszłości. O naszej przyszłości... o mnie i o tobie.

– I?

– Jak już mówiłem... Myślę, że lepiej ci będzie beze mnie.

Odłożyła kawałek pizzy, który miała właśnie ugryźć.

– To chyba ja powinnam o tym zdecydować, nie uważasz? A dzięki swojej pracy nauczyłam się, że nigdy nie warto się martwić tym, czego jeszcze nie ma.

Conor pokręcił głową z rozbawieniem.

– A nie słyszałaś nigdy o martwieniu się na zapas?

– Nie. Moja babcia zawsze mówiła o tym, czego jeszcze nie ma.

Mimo wszystko tej nocy w łóżku Conor mocno ją tulił, nawet gdy już zasnął. Usłyszawszy, jak zegar w salonie wybija pierwszą, Katie delikatnie zsunęła jego rękę ze swojej talii. Nie poruszył się i choć wciąż miał zabandażowany nos, oddychał tak cicho, że musiała przyłożyć dłoń do jego piersi i upewnić się, że nie umarł.

\* \* \*

– Musimy ustalić, kogo przede wszystkim będziemy chronić – powiedział zastępca komendanta Pearse. – Czy troszczymy się bardziej o praworządnych obywateli, którzy finansują Garda Síochána ze swoich podatków, czy też o bezdomnych i narkomanów żyjących z zasiłków. Nie jesteśmy w stanie zawsze zajmować się jednymi i drugimi. To nie tylko kwestia finansowa i logistyczna, ale i polityczna. No i oczywiście humanitarna.

Była dziesiąta rano. Katie prowadziła nieoficjalne zebranie z Pearse'em, komisarzem O'Rourkiem i detektywem komisarzem Fitzpatrickiem. Zastanawiali się wspólnie, co należy zrobić, by zadbać lepiej o bezpieczeństwo bezdomnych, kiedy już opuszczą kościół Świętego Dunstana. Musieli pogodzić się z faktem, że choć rozbili dwa

rumuńskie gangi zebracze, prawdopodobnie narazili w ten sposób bezdomnych na jeszcze większą dawkę przemocy i agresji.

– Dajcie spokój z żebrakami, potrzebuję ludzi na północy miasta, po zmroku – wtrącił komisarz O'Rourke. – Ta moda na przejażdżki kradzionymi samochodami albo podpalanie pojazdów jest przerażająca... Zresztą to nie moda, tylko zaraza.

Zastępca komendanta Pearse pokiwał głową.

– Widziałem dziś rano twój raport o tej biednej kobiecie z Knocknaheeny.

– Ano właśnie. Wyszła przed dom, żeby przegonić bandę dzieciaków, które próbowały jej ukraść samochód, ale one zagoniły ją z powrotem do środka. Na szczęście nic jej się nie stało, ale była naprawdę wstrząśnięta. Ci gówniarze myślą, że mogą bezkarnie chuliganic, i niestety, mają rację.

– Jak już mówiłem, wszystko sprowadza się do cięć budżetowych – powiedział Pearse. – Nie mamy dość ludzi, żeby patrolować te ulice.

Katie poczuła, że jej telefon wibruje, i odebrała. Dzwoniła doktor Kelley.

– Kathleen? Dobrze, że panią złapałam. Skończyłam sekcję Ștefana Făt-Frumora. Mogę pani od razu powiedzieć, że nie zginął w wyniku wypadku ani samobójstwa. Owszem, miał przecięte nadgarstki, ale te nacięcia zrobiono, kiedy już nie żył, więc nie mógł sam się zabić. Bezpośrednią przyczyną śmierci było przewiercenie tylnej części czaszki i pnia mózgu. Zabito go dokładnie w taki sam sposób jak tamtych troje.

– Dziękuję, Mary. Żadnych innych obrażeń? – spytała Katie.

– Parę siniaków na ramionach, co może oznaczać, że przed śmiercią ktoś go trochę sponiewierał. Miał marskość wątroby i cierpiał na podagrę, ale poza tym nic nie mogło się przyczynić bezpośrednio do jego śmierci.

– Rozumiem. A co z tym spalonym ciałem z Alexandra Road? Jakies postępy w identyfikacji?

– Nie jest to łatwe, niestety, bo facet spalił się prawie cały na węgiel. Zwykle możemy określić wiek ofiary na podstawie uzębienia, ale ten nie miał ani jednego własnego zęba. Mogę tylko stwierdzić z pewnością, że jego sztuczna szczęka nie została wykonana w Irlandii. Najprawdopodobniej wyprodukowano ją w Europie Wschodniej i jest stosunkowo nowa. W Czechach i Rumunii robią naprawdę świetne szczęki, proszę o tym pamiętać, gdyby pani kiedyś potrzebowała.

– Zapamiętam, Mary, dzięki. Jestem właśnie na spotkaniu, ale zadzwonię do pani później.

Odłożyła telefon i wszyscy trzej mężczyźni od razu się zorientowali, że dowiedziała się czegoś ważnego.

– Chodzi o Ștefana Făt-Frumora – wyjaśniła. – Zabito go wiertłem, tak jak tych dwoje bezdomnych i barmana z Parting Glass.

– Więc może jednak Lupul wciąż żyje – powiedział Fitzpatrick. – Bo nikt nie miałby lepszego motywu, żeby zabić Grubasa. I nikt nie mordował dotąd w ten sposób. Wciąż nie ogłosiliśmy, ilu z tych bezdomnych zostało zabitych, więc szansa, że ktokolwiek inny wpadł na taki pomysł, jest praktycznie zerowa.

– Masz rację – przyznała Katie. – Doktor Kelley nie zdołała jeszcze zidentyfikować ciała z Alexandra Road, więc na razie musimy założyć, że to jednak nie jest Lupul. Musimy zintensyfikować poszukiwania i jednocześnie zbierać materiał dowodowy, żeby postawić mu zarzuty, gdy tylko go złapiemy. Zakładając, że wciąż żyje i że uda nam się go dopaść.

– Więc jaki jest plan? – spytał Fitzpatrick.

– Chciałabym ponownie przesłuchać Eamona Buckleya, bo ten pierścionek nie znalazł się w mięsie z jego zakładu przypadkiem. Mamy też but, który wyjęłam spod łóżka w domu Lupula w Sidney Park, i naszyjnik znaleziony na Crane Lane po zabójstwie Bowsera. Mała Ana-Maria chyba już doszła do siebie na tyle, by potwierdzić, że te przedmioty należały do jej mamy.

– Ciągłe chodzimy po domach w okolicy Orchard Court i wypytujemy ludzi, czy nie widzieli, jak Grubas opuszczał dom – powiedział Fitzpatrick. – Na razie bez rezultatu. Jego żona przysięga, że po prostu wyszedł z domu, nie mówiąc, dokąd się wybiera. Kiedy znaleziono jego ciało, miał na sobie tylko podarty podkoszulek i spodnie dresowe. Tego wieczoru były dwa stopnie mrozu, więc nie wierzę, żeby wybrał się na spacer bez płaszcza i w kapciach na nogach.

– Na pewno ktoś go widział, zwłaszcza jeśli został porwany – zauważył Pearse. – I nie sądzę, żeby nie próbował się opierać.

– Zgadzam się z wami – przytaknęła Katie. – Więc dlaczego świadkowie nie chcą nam nic powiedzieć? Czego się boją? Albo raczej kogo się boją?

\* \* \*

Najpierw zadzwoniła do Margaret O'Reilly z opieki społecznej, by spytać, czy może już pojechać do domu Flynnów w Glanmire i poprosić Anę-Marię, by zidentyfikowała naszyjnik i but jej matki.

Margaret odpowiedziała swym lekko zachrypniętym głosem, że to żaden problem. Ana-Maria zadomowiła się już u Michaela i Sadhbh, i całe szczęście, bo rumuńskie władze nadal nie zdołały znaleźć jej ojca ani jakichkolwiek innych krewnych.

Katie zabrała biało-różowy but, który znalazła pod łóżkiem w Sidney Park, oraz naszyjnik z wizerunkiem świętej Filotei z Argeş. Umówiła się z Murtaghiem u Flynnów, żeby tłumaczył jej rozmowę z Aną-Marią.



Zastanawiała się, czy nie poprosić Kyny, by jej towarzyszyła, przypomniała sobie jednak, jak bardzo nieśmiała jest dziewczynka. Chciała, by mała powiedziała jej jak najwięcej o matce, więc wolała, by nie zbijała jej z tropu obecność obcej kobiety, nawet wyjątkowo ładnej i sympatycznej.

Jechała wzdłuż krętej rzeki Glashaboy do wioski Glanmire. Było jasne, słoneczne popołudnie, panował jednak mróz, więc drzewa i krzewy wzdłuż rzeki lśniły bielą. Po drodze wciąż wracała myślami do Conora. Rano był jeszcze bardziej wycofany, choć nim wyszła, przez długi czas trzymał ją w ramionach – nie całował jej, lecz mocno obejmował, jakby bał się, że ona upadnie.

Flynnowie mieszkali na końcu Cúl Na Gréine, górzystej drogi, wzdłuż której ciągnęły się białe duże domy jednorodzinne z dachami krytymi szarą dachówką. Na pochyłym podejździe przed willą Flynnów parkował granatowy range rover. Katie zatrzymała się za nim i wysiadła z samochodu. W tym samym momencie z za rogu domu wyjechała Ana-Maria na dziecięcym rowerze z bocznymi kółkami. Była w czerwonym płaszczku, rękawiczkach i botkach z futerkiem.

– *Mātuşă!* – zawołała, zeskoczyła z roweru i popędziła w stronę Katie z wyciągniętymi rękami.

Katie podniosła ją i pocałowała. Policzki dziewczynki były czerwone jak jej płaszcz, a nos zimny.

– Cudownie znów cię widzieć. – Katie uśmiechnęła się. – Wygląda na to, że Flynnowie naprawdę o ciebie dbają.

Ana-Maria zmarszczyła czoło, mocno się koncentrując, po czym powiedziała powoli, starannie wymawiając każdą głoskę:

– Hal-lo. Miło mi cię poznać.

– Och, i jeszcze uczą cię angielskiego! Wspaniale. Posłuchaj, kochanie, muszę zamienić parę słów z Michaelem i Sadhbh, a potem do nas przyjdiesz i trochę pogawędzimy. Niedługo przyjedzie tu Murtagh. Pamiętasz Murtagha? Będzie dla nas tłumaczył.

Ana-Maria skinęła głową i Katie postawiła ją na ziemi.

– Nie wiem, dlaczego mówię ci to wszystko, skoro i tak nie rozumiesz ani słowa.

– *Mātuşă, n-ai găsit-o încã pe mumia mea?*

Katie domyśliła się, o co pyta dziewczynka, i pokręciła ze smutkiem głową.

– Nie, nie wiem, co się stało z twoją mamą, jeszcze nie. Ale dowiem się, obiecuję.

W tym momencie otworzyły się drzwi domu, w których stała Sadhbh Flynn.

– Do zobaczenia za chwilę – powiedziała Katie do dziewczynki i weszła na werandę.

Sadhbh była atrakcyjną kobietą tuż po czterdziestce, z ciemnymi kręconymi włosami. Miała na sobie rudawy zapinany sweter i długą tweedową spódnicę – przywodziła Katie na myśl idealne amerykańskie gospodynie domowe uwiecznione na okładkach czasopism z lat pięćdziesiątych, takich jak „Saturday Evening Post”.

– Proszę wejść – zaprosiła ją Sadhbh. – Tędy, przez salon. Może filiżankę herbaty? Okropnie dziś zimno! Jak mam się do pani zwracać?

– Wystarczy Kathleen – odparła Katie. – Nie ma dziś pani męża?

– Poszedł właśnie pobiegać. Robi to codziennie, bez względu na pogodę. Biegnie aż do stadionu klubu rugby Old Christians, a potem wraca przez park Johna O’Callaghana. Mówi, że to pomaga mu oczyścić umysł przed pracą, a jest informatykiem. Ja i tak nie zrozumiałabym nic z tego, co robi, nawet gdybym pobiegła do Fermoy i z powrotem.

– Jak sobie radzi Ana-Maria? – spytała Katie. – Jak już mówiłam przez telefon, mam but i naszyjnik, które naszym zdaniem należały do jej matki. Nie chciałabym jej denerwować, ale muszę mieć pewność, że to rzeczywiście własność tej kobiety.

– Bywa różnie. Najgorsze są nocne koszmary. Ma okropne sny. Wczoraj w kuchni dałam jej ciastko imbirowe, a ona się rozpląkała. Domyślałam się, że skojarzyła to ze swoją mamą.

Katie przeszła do kuchni za gospodynią i ta zaczęła przygotowywać herbatę. Wciąż rozmawiały, gdy z podjazdu dobiegł krzyk Any-Marii. Niemal w tej samej chwili ktoś załomotał pięścią do drzwi.

Katie pospieszyła do wyjścia i otworzyła szeroko drzwi. Na werandzie stał Lupul, lewą ręką obejmując Anę-Marię za szyję. W prawej trzymał bezprzewodową wiertarkę, z wiertłem skierowanym w czubek głowy dziewczynki.

Przy murze ciągnącym się wzdłuż podjazdu stali dwaj zwaliści mężczyźni w czarnych wiatrówkach, z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Na drodze czekał szary sedan volvo z włączonym silnikiem i otwartymi drzwiami.

– W co ty pogrywasz, na miłość boską? – spytała Katie. – Ta dziewczynka nic ci nie zrobiła. Puść ją.

– Ta dziewczyna rozpocząć wszystkie moje problemy. Teraz moje problemy kończą tutaj.

– Powiedziałam, żebyś ją puścił. Spójrz tylko na nią, jest przerażona.

– Masz broń?

Katie wzięła głęboki oddech, po czym odparła cicho:

– Nie. – Rozpięła kurtkę, by pokazać, że nie ma przy sobie swojego rewolweru Smith & Wesson. Rzadko wychodziła z domu bez broni, ale dziś nie chciała jej nosić, by nie denerwować dodatkowo Any-Marii.

– Daj telefon – zażądał Lupul.

Wyjęła iPhone'a i wyciągnęła go przed siebie. Rumun gwizdnął głośno przez zęby.

– Aleks! – zawołał.

Jeden z mężczyzn w czarnej wiatrówce przyszedł na werandę, wyrwał telefon z dłoni Katie i wrzucił go do swojej kieszeni. Katie spojrzała na niego groźnie, dając mu do zrozumienia, że nie zapomni, jak wygląda, gdy zostanie aresztowany i postawiony przed sądem.

– Teraz ty iść ze mną, kobieta policjant – powiedział Lupul. – A ty... – zwrócił się do Sadhbh. – My zobaczymy, policja jechać za nami, ta mała dziewczyna brrrrrrrr! – Wykonał taki gest, jakby wwiercał się w czaszkę Any-Marii. – Samochód, motocykl czy helikopter policja... brrrrrrrr!

Zaczął ciągnąć Anę-Marię w stronę swojego samochodu, wciąż trzymając wiertarkę przy jej głowie. Mężczyzna nazywany Alekssem wziął Katie za ramię.

– Chodź – rzucił.

Katie odwróciła się do Sadhbh i wyszeptała pośpiesznie:

– Zadzwoń do nich. Powiedz im, że to Lupul. Ale muszą trzymać się z dala.

– Co? – spytała Sadhbh.

– Lupul!

– Ty iść! – warknął Aleks i szarpnął Katie za rękaw kurtki. Znała karate na tyle dobrze, że mogłaby go położyć jednym ciosem, ale była pewna, że wtedy Lupul bez wahania zabiłby Anę-Marię, pozwoliła więc, by osiłek w czarnej wiatrówce zaciągnął ją do volvo i wepchnął na tylne siedzenie. Dziewczynka siedziała już w środku, a Lupul obok niej. Mała cała się trzęsła, więc Katie wzięła ją za rękę.

– Nie martw się, kochanie – powiedziała kojącym tonem. – Wszystko będzie dobrze. Nie pozwolę, żeby ci ludzie zrobili ci krzywdę.

– Ty zamknąć pysk – warknął Lupul. – Ty nic nie wiedzieć. Wszystkie moje problemy zacząć się od ta dziewczyna.

– Powiem ci jedno, ty kanalio – odwarknęła Katie. – Jeśli którejkolwiek z nas spadnie choćby włos z głowy, posiedzisz w więzieniu tak długo, że zapomnisz, jak wygląda świat bez krat.

– A ja tobie powiem to, kobieta policjant: ty robić, co ja mówię, albo nikt nie wiedzieć, co się z ty stać. Nigdy. Ty zniknąć. Pfff! Jakby się nigdy nie urodzić.

Kiedy dojeżdżali do końca Cúl Na Gréine, Katie zobaczyła Murtagha, który skręcał właśnie w ślepą ulicę z Church Hill. Otworzyła szeroko usta, jakby bezgłośnie krzyczała, w nadziei że tłumacz ją zobaczy. Zwolnił, ale nie spojrzał w jej kierunku i niczego nieświadom, pojechał dalej w górę zbocza, do domu Flynnów.

Aleks skierował volvo na południe, ku rzece Lee, a potem skręcił na zachód, na Lower Glanmire Road. Katie odchyliła się na oparcie

siedzenia. Nie miała pojęcia, co Lupul zamierza zrobić z nią i Aną-Marią, wiedziała jednak, że musi zachować spokój i trzeźwość umysłu. Pocieszała ją jedna myśl: Lupul miał wiertarkę, ale wyglądało na to, że nie ma broni palnej. Pistolet, z którego zastrzelił się Danut, był zapewne jego jedyną bronią tego rodzaju, a zostawił ją tamtej nocy w Sutton's Buildings.

Była też pewna, że jeśli Sadhbh zadzwoniła już pod 112, o wszystkim dowie się wkrótce detektyw komisarz Fitzpatrick i zorganizuje pościg w taki sposób, by Lupul nie podejrzewał, że jest śledzony.

Kilka minut później zjechali z Lower Glanmire Road na parking hotelu Clayton Silver Springs. Gdy zatrzymali się na samym końcu parkingu, Aleks i jego towarzysz otworzyli drzwi. Stali obok zielonego hyundaia tucsona. Mężczyźni w wiatrówkach otworzyli jego drzwi i Aleks rzucił do Katie:

– No już. Zmienić samochód.

Matko Boska, pomyślała Katie, zajmując miejsce na tylnym siedzeniu hyundaia. Lupul naprawdę dobrze to zaplanował. Musiał śledzić każdy mój krok. Na pewno wie, gdzie są jego żebracy, i dowiedział się, gdzie ukryliśmy Anę-Marię.

Ale gang żebraków, który próbował stworzyć w Cork, już się rozpadł. Jaki ma sens porywanie mnie i Any-Marii? Zachowuje się jak Hitler w swoim bunkrze pod koniec drugiej wojny światowej, gdy Niemcy były w ruinie, a on nie chciał przyjąć do wiadomości, że to już koniec.

– Dragomir – odezwała się, gdy wyjechali z hotelowego parkingu i ruszyli na zachód. – Może nas wypuścisz i poddasz się? Dostałbyś wtedy znacznie mniejszy wyrok.

– A może ty zamknąć jadaczka, kobieta policjant? Nic nie możesz udowodnić. Co możesz udowodnić? Nic. A kiedy ty i dziewczyna zniknąć, nikt nic nie udowodnić.

Ana-Maria znów zaczęła płakać, zawodząc rozpaczliwie. Lupul potrząsnął nią i dźgnął wiertłem.

– Zamknij się! Cicho! Słyszysz mnie? Albo brrrrrr!

## Rozdział 51

Conor zaparkował jakieś pięćdziesiąt metrów od bramy wjazdowej Foggy Fields. Widział stąd srebrnego mercedesa coupé Blánaid zaparkowanego przed domem, zakładał więc, że przynajmniej jedna z sióstr jest w domu. Obok mercedesa stał zbryzgany błotem land rover, w którym za kierownicą siedział spokojnie duży bulterier.

Conor czuł się dziwnie oderwany od rzeczywistości, jakby palił przed chwilą trawę albo nie spał od dwudziestu czterech godzin. Nie mógł uwierzyć, że to naprawdę on, Conor Ó Máille, zamierza to zrobić. Ale czuł się jak ktoś inny od momentu, gdy po wybudzeniu z operacji dowiedział się, że do końca życia będzie impotentem. Tylko inni mężczyźni są impotentami. Eunuchy, dziewięćdziesięciolatekowie albo ofiary raka prostaty. Z pewnością nie on, zwłaszcza z tak piękną kobietą u boku jak Katie.

Siedział w audi niemal dwadzieścia minut. Potem włączył radio. W RedFM grali właśnie *It Started with a Kiss* zespołu Hot Chocolate, więc natychmiast z powrotem wyłączył radio. Z tą piosenką łączyło się zbyt wiele bolesnych wspomnień. Mimowolnie powtórzył jednak słowa: *nigdy nie myślałem, że tak to się skończy*.

Zostawił audi na poboczu drogi i podszedł do drzwi domu. Nacisnął dzwonek i czekał, tupiąc lekko nogami, by wyglądać jak każdy przeciętny człowiek, który musi stać na mrozie.

Miał już ponownie zadzwonić, gdy drzwi się otworzyły i stanęła w nich Caoilfhoinn, która trzymała w dłoni zjedzoną do połowy bułkę z kurczakiem.

– Jezu święty – powiedziała. – To ty? Czego chcesz?

– Przyszedłem wyrównać rachunki.

– Co to ma znaczyć, „wyrównać rachunki”?

– Kee? Kto tam jest?! – zawołała ze swego gabinetu Blánaid.

– To ten facet, który mówił, że chce mopsa. Ten, którego Shawn znalazł w szopie. I o którego pytała policja. Mówi, że chce wyrównać rachunki.

Blánaid natychmiast podeszła do drzwi. Była w czarnym swetrze i czarnych dżinsach; usta miała pomalowane jaskrawoczerwoną szminką. Zmierzyła Conora wzrokiem.

– Nie wiem, o czym mówisz, Caoilfhoinn – powiedziała. – Nikt nie pytał nas od dawna o mopsa, a Shawn nie znalazł nikogo w szopie. To

właśnie powiedziałam policjantom i uwierzyli mi. – Spojrzała ponownie na Conora. – Kim pan jest?

– Nie umie pani kłamać, panno McQuaide. Dobrze pani wie, kim jestem, i równie dobrze wie pani, co zrobił mi ten wasz osiłek. Nie złamałem sobie nosa i kości policzkowej, wchodząc przypadkiem w drzwi.

– Czego chcesz?

– Powoli dochodzę do zdrowia, więc rozmawiałem z moim prawnikiem o wniesieniu prywatnego pozwu. Policja nie znalazła może dość dowodów, żeby postawić wam zarzuty, ale mój lekarz ma aż nadto takich materiałów. Poza tym mogę przedstawić świadków, którzy potwierdzą, gdzie byłem, kiedy mnie zaatakowano.

– Chcesz nas naciągnąć, co? – warknęła Blánaid. – Wynoś się stąd albo znowu naślę na ciebie Shawna.

Zaczęła zamykać drzwi, ale Conor powiedział:

– Nie tak szybko, panno McQuaide. Nikogo nie próbuję naciągać, o czym się pani przekona, jeśli zamknie pani te drzwi. Mój prawnik uważa, że mam duże szanse na wygraną i że mogę się od was domagać kilkuset tysięcy.

Blánaid zostawiła drzwi uchylone.

– Więc o co chodzi z tym wyrównywaniem rachunków?

– Pomyślałem, że moglibyśmy dojść do jakiegoś porozumienia. Nie domagałbym się aż tak dużych pieniędzy, jakie mógłbym od was dostać, gdybym poszedł z tym do sądu. Może wystarczy skromna suma jako zadośćuczynienie za moje obrażenia i być może niewielki procent waszych dochodów z Foggy Fields. Bez przesady, oczywiście, ale dość, żeby wynagrodzić mi to, co wycierpiałem.

– Może wejdzie pan do środka i omówimy to nieco dokładniej? – zaproponowała Blánaid. – Jest okropnie zimno, więc wolałabym zamknąć drzwi.

Blánaid przeszła do biura, a Conor ruszył jej śladem. Caoilfhoinn zamknęła za nimi drzwi. W gabinecie płonął ogień, a obok kominka siedział Shawn, wielki, łysy i brodaty, z charakterystyczną blizną w kształcie litery Y nad okiem. Cuchnął alkoholem i potem równie mocno jak wtedy, gdy pobił Conora. Nie odezwał się ani słowem, ale spojrzał swoimi świńskimi oczkami na gościa w taki sposób, jakby chętnie znów go zmaltretował, tym razem dokładając na wszelki wypadek kilka kopniaków w głowę.

Conor zamknął oczy i uśmiechnął się błogo. Dziękuję ci, Panie. Byłem pewien, że zastanę dziś w domu obie siostry McQuaide, ale nie ośmieliłem się marzyć, że będzie z nimi też ten bydlak, który pozbawił mnie męskości. Jeśli nigdy dotąd nie wychwalałem cię dostatecznie,

Panie, to wybacz mi, proszę, bo dziś wynagrodziłeś mnie w sposób, który przekracza moje najśmielsze oczekiwania. Amen.

– Zna pan Shawna – rzuciła Blánaid.

Conor nie odpowiedział. Nie chciał zakończyć modlitwy dziękczynnej do Boga najgorszym przekleństwem, jakie przychodziło mu do głowy.

– Chce pan zdjąć płaszcz? – spytała Caoilfhoinn. – Gorąco tu jak w piecu.

– Nie, dziękuję. Nie zabawię długo. Chcę tylko wiedzieć, czy zgodzicie się zapłacić za moje obrażenia i ile.

– Zdaje pan sobie sprawę, że to było wkroczenie na prywatny teren – powiedziała Blánaid.

– Och, a funkcjonariuszom Garda Síochána powiedziała pani, zdaje się, że w ogóle mnie tu nie było.

– Chciałabym wiedzieć, czego pan właściwie szukał w naszej szopie. Chciał pan ukraść jedną z naszych suk, tak?

– Nie ukradłbym żadnej z waszych suk, nawet gdyby były to ostatnie samice psów na świecie, pani McQuaide. Wszystkie są chore, wygłodzone, zarobaczone i umęczone. Pani i pani siostra jesteście plamą na honorze irlandzkich hodowli. Gorzej niż plamą. Jesteście jak cuchnący grzyb.

Blánaid gwałtownie usiadła prosto.

– Jeśli zamierza pan mówić do nas w ten sposób, może pan od razu zapomnieć o jakiegokolwiek rekompensacie. Foggy Fields to jedna z najbardziej dochodowych hodowli w Munster.

– Dochodowych owszem, z tym się zgodzę. O tak. Ale pozbawionych choćby pozorów higieny. I troski. Nie wspominając już o miłości, dobroci i radości, bo chyba żadna z was nie ma najmniejszego pojęcia, co właściwie znaczą te słowa.

– Myślałam, że przyszedłeś tu porozmawiać o ugodzie prawnej, a nie obrażać nas – powiedziała Blánaid, wstając. – Lepiej, żebyś się sam wyniósł, zanim każę cię wyrzucić Shawnowi.

Conor również wstał.

– Mam lepszy pomysł. Może wyniesiemy się stąd wszyscy razem?

To powiedziawszy, zdetonował pół kilograma semteksu, który wcześniej rozgniół i przymocował do paska. Wypełnił też kieszenie łożyskami kulowymi, więc jego ciało rozprysło się na boki w wielkiej fontannie krwi, żeber i rozerwanych mięśni. Blánaid, która stała tuż przed nim, eksplozja oderwała głowę i wyrzuciła pod sufit jej wnętrzości – przez moment przypominały rozgniewanego wielkiego węża z jakiegoś paskudnego greckiego mitu. Głowa Caoilfhoinn również oderwała się od reszty ciała, podobnie jak obie ręce i nogi, a tułów wyleciał przez okno i potoczył się po podjeździe niczym okrwawiona beczka piwa.

Grad metalowych kulek rozerwał sweter Shawna i połowę jego twarzy; mężczyzna poleciał na bok i uderzył w palenisko z taką siłą, jakby niewidzialny olbrzym wziął go do ręki i rzucił nim o ścianę. Kominek i przód przewodu kominowego zawaliły się z hukiem na jego ciało i spod spadających gorących cegieł wystrzeliły fontanny iskier. Kilka sekund później runął cały sufit, grzebiąc Conora, Blánaid, jej siostrę i Shawna pod stertą tynku i połamanych belek.

Powoli kurz osiadł na ruinach, a dym wypłynął przez okna. Foggy Fields było położone zbyt daleko od innych ludzkich domostw, by ktokolwiek mógł usłyszeć eksplozję. Słyszał było jedynie żalosne skomlenie suk i szczeniaków czekających na jedzenie. Bulterier za kierownicą land rovera poczuł zapach krwi, zaczął więc intensywniej węszyć i oblizywać pysk.



## Rozdział 52

Było już ciemno, gdy wjechali na górę wąską gruntową drogą i skręcili na podwórze czegoś, co wyglądało zdaniem Katie jak farma. Widziała dom z rozświetlonymi oknami, a po prawej dużą szopę przykrytą dachem z blachy falistej.

Jechali do tego miejsca przez ponad półtorej godziny, głównie bocznymi drogami. Ostatnim miastem po drodze było Skibbereen, a kiedy minęli hotel West Cork i przejechali po moście nad rzeką Ilen, Katie domyśliła się, że zmierzają do tego samego punktu co Eamon Buckley, gdy śledzili go Markey i Scanlan.

Aleks otworzył drzwi hyundaia i pokazał, że mają wyjść. Katie wystarczył jeden głęboki oddech, by zrozumieć, że jej domysły były słuszne. W powietrzu unosił się intensywny zapach świń.

Z domu wyszedł im na spotkanie otyły mężczyzna w brązowej pikowanej kurtce. Podwójną brodę nieznanomego pokrywał siwy zarost, a twarz była upstrzona bliznami po trądziku.

– Cóż, w pewnym sensie to dla mnie zaszczyt – powiedział z silnym wiejskim akcentem. – Cathal Kilmartin, do usług. Może wejdziecie do środka?

– Mam nadzieję, że zdaje sobie pan sprawę, w jakie kłopoty się pan teraz pakuje, panie Kilmartin? – odpowiedziała Katie, starając się zachować beznamiętny ton.

– Co pani powiedziała? Kłopoty? O tak, jasne. Zawsze pakuję się w kłopoty. Całe moje życie to jedna wielka kupa kłopotów, więc jeden więcej nie zaszkodzi.

– Wie pan, że jestem nadkomisarz Garda Síochána z Cork?

– Jasne. Widziałem panią w telewizji. Dlatego mówiłem, że to zaszczyt. Ale na żywo jest pani mniejsza, niż myślałem. Kiedy pojawia się pani w telewizji, każą pani nosić specjalne buty, żeby wyglądała pani na wyższą?

– Iść do środka – polecił zniecierpliwiony Lupul. Wciąż trzymał Anę-Marię za ramię i przystawiał jej wiertło do głowy.

– Dragomir, uważam, że powinniśmy jak najszybciej zakończyć tę tragikomedię – powiedziała Katie. – Jak już mówiłam, jeśli nas uwolnisz i się poddasz, każdy sędzia da ci mniejszy wyrok.

– A jak ja już mówić, ty zamknąć jadaczka. Wasza *politiști* nie mieć żaden dowód, więc ja nie iść więzienie. A teraz do środka.

Wszyscy przeszli do wnętrza domu. Był to stary budynek z wilgotnymi grubymi ścianami i podłogą w przedpokoju wyłożoną ceglami; wypełniał go zapach przypalanej kiełbasy i środków dezynfekujących. Przechodząc na tyły domu, minęli otwarte drzwi salonu. Katie dojrzała rozchełstaną otyłą kobietę z cętkowanym kotem na kolanach; siedziała na kanapie, paliła papierosa i oglądała telewizję. Kobieta odwróciła głowę i obrzuciła Katie obojętnym spojrzeniem. W jej oczach nie pojawiły się żadne emocje. Zapewne tak samo patrzyłaby na świnię prowadzone na rzeź.

Cathal Kilmartin otworzył kluczem drzwi na drugim końcu korytarza i wszedł do środka, zapalając gołą żarówkę pod sufitem. W pokoju unosił się zapach wilgoci, jak w pozostałych częściach domu, a na cały wystrój składał się tani niebieski dywan i dwa łóżka – jednoosobowe i podwójne – przykryte wilgotnymi beżowymi kocami. Na ścianie wisiał mały plakat w ramce, mocno już wyblakły i upstrzony mokrymi plamami. Przedstawiał świnię, pod którą widniał napis *Słynna kaszanka Kilmartina*.

Gospodarz uruchomił mały elektryczny grzejnik, w którym działał jednak tylko jeden zwój.

– Mam nadzieję, że będzie wam tu wygodnie – powiedział. – Jest tu herbata, gdyby chciała pani coś ciepłego, mam też lemoniadę dla dzieciaka.

Katie miała ochotę powiedzieć mu, co może sobie zrobić z tą herbatą i lemoniadą, powstrzymała się jednak ze względu na Anę-Marię.

– W takim razie poprosimy – powiedziała.

– Chce pani cukru czy jest już pani wystarczająco słodka?

Zdołała zachować milczenie, ale gdyby jej oczy były laserami, facet zginąłby w ułamku sekundy.

– Siadać na łóżko – rozkazał Lupul, kiedy Kilmartin wyszedł z pokoju. – Aleks! Gheorghe!

Do pomieszczenia weszli dwaj mężczyźni w czarnych kurtkach. Aleks trzymał zwój nylonowego sznura do bielizny. Wyciągnął przed siebie ręce, pokazując, że Katie powinna zrobić to samo, a potem związał mocno jej nadgarstki, dokładając na koniec podwójny węzeł. Tak samo potraktował Anę-Marię, a gdy już skończył, Lupul usiadł naprzeciwko, na jednoosobowym łóżku, i odłożył wiertarkę.

– Czego od nas chcesz, Dragomir? – spytała Katie. – Po co nas tutaj przetrzymujesz?

Lupul wyjął z kieszeni paczkę papierosów i zapalił.

– Myślisz, ja uciec, tak? Myślisz, ty zabrać mój zebraki z ulica, ja się poddać, wrócić Rumunia?

– Skoro już musisz wiedzieć, to miałam nadzieję, że Ștefan Făt-Frumor skremował cię w twoim domu. Spalił żywcem. To by mi

zaoszczędziło mnóstwa problemów.

Lupul splunął na dywan.

– Ștefan Făt-Frumor zabić w ten pożar mój ojczym i mój siostra, i mąż siostra. Făt-Frumor teraz trup w piekło, jego miejsce.

– Oczywiście, że wiesz o jego śmierci. Zabiłeś go. Ty albo jeden z twoich zbirów. Ale tak czy inaczej, to ty zostaniesz oskarżony o zabójstwo. W świetle prawa jesteś winny.

Machnął ręką.

– Nie ja. Ja nikt nie zabić. Wy mieć żaden dowód.

Katie przyglądała mu się przez chwilę, gdy palił papierosa. Wydawał się całkiem spokojny, uświadomiła sobie więc, że naprawdę wierzy, że popełnił morderstwo doskonałe, a oni nie odkryli, jak zginęli Gearoid, Matty, Vasile i Ștefan Făt-Frumor.

Właściwie było to całkiem zrozumiałe. Nie poinformowała mediów o szczegółach wyników sekcji zwłok, a w Rumunii pewnie uszłoby mu to na sucho. Być może nikt nie poznałby prawdy nawet w Cork, gdyby Katie nie domagała się autopsji, a doktor Kelley nie była tak skrupulatna. W końcu jedynym śladem tego, co spotkało ofiary, był mały strupek z tyłu głowy, a bezdomni i tak byli cali w strupach.

– W porządku – rzuciła. – Niczego nie mogę udowodnić. Więc czego od nas chcesz?

– Chcieć *garanție*. Nie znać angielski słowo.

– Rozumiem. Chcesz gwarancji.

– Tak jest, *garanție*. Wy nie aresztować. Nie brać mnie do sądzia. Pozwolić mój żebraki wrócić na ulice. Ja potrzebować... potrzebować... Aleks! Jak powiedzieć *îmi dai imunitate față de urmărire penală*?

Aleks pojawił się w drzwiach. Trzymał w ręce butelkę whiskey Paddy's i puszkę napoju Barr's, a przy tym palił papierosa.

– Ty być chroniony przed prawo – powiedział.

Katie dmuchnęła mocno, chcąc pozbyć się sprzed twarzy dymu z papierosa Lupula.

– Więc chcesz, żeby Garda Síochána pozwałała ci bez przeszkód kierować twoim gangiem żebraków? O to chodzi?

Lupul skinął głową.

– A jeśli się nie zgodzę?

– Ty zgodzić! Żadny protest! Ty zgodzić, bo ja trzymać Ana-Maria. Jeśli wy aresztować, robić problem, wtedy brrrrrrrrrrrr! Rozumieć? Brrrrrrrr, zanim ty ratować ta dziewczyna.

Katie wpatrywała się w niego z niedowierzaniem.

– Masz chyba coś z głową, wiesz o tym? Może taki przekręt udałby ci się w Rumunii, ale w Cork nie masz szans.

– Nie? – Lupul postukał się palcem w czoło. – Ja duży myśleć, ostrożny. Ty chcieć krzywda Ana-Maria? Oczywiście, nie. I co za

problem dla wy, ja mieć żebraki w Cork? Żadny problem.

– Naprawdę myślisz, że pozwolimy ci to zrobić?

– Ja powiedziec ciebie to, kobieta policjant. Ty słuchać. Kiedy ja przyjechać w Cork, ja rozmawiać z moi ludzie o mój plan z żebraki i Ștefan Făt-Frumor. Nie wiedzieć, że Ana-Maria być sąsiedni pokój i słyszeć wszystko. Ona powiedziec jej matka mój plan. Wtedy jej matka przyjść i powiedziec, ja wysłać ona i Ana-Maria powrót Târgoviște albo ona powiedziec policja mój plan.

Katie zerknęła ukradkiem na Anę-Marię. Potem, zniżając głos niemal do szeptu, pochyliła się w stronę Lupula.

– Czy przyznajesz tym samym, że odpowiadasz za zaginięcie jej matki?

Wzruszył ramionami i zaciągnął się dymem. Najwyraźniej nie rozumiał do końca, o co go pytała. Katie ponownie pochyliła się ku niemu.

– Zabiłeś matkę Any-Marii?

Lupul spojrział na dziewczynkę i puścił do niej oko.

– Pytałam... – zaczęła ponownie Katie, ale podniósł rękę, nie dając jej skończyć.

– Ja słyszeć, co ty mówić. Ale ty nie mieć dowody. Wszystkie zniknąć. Odfrunąć jak ptak za okno. Jakie ty mieć dowody? – Odkręcił butelkę whiskey i wziął trzy duże łyki. Potem oblizał usta, beknął i ciągnął: – Ty zostać tu noc i pomyśleć, tak? Twoja przyjaciele policja wiedzieć rano, ty zniknąć. Niech się martwić. Jutro ty dzwonić i mówić: „Ja być bezpieczny, Ana-Maria bezpieczny. Dragomir Iliescu być dobry człowiek, a jego żebraki może być na ulica”.

Boże, ależ z ciebie dureń, pomyślała Katie. A do tego sadysta. Ale spotkała już w swej karierze mnóstwo przestępców jeszcze głupszych i jeszcze brutalniejszych niż Lupul, zachowała więc milczenie. Wiedziała, że detektyw komisarz Fitzpatrick i reszta jej zespołu robią w tej chwili wszystko, co mogą, by ustalić miejsce ich pobytu, a kiedy już im się to uda, uratują je obie. W razie konieczności mogli wezwać negocjatorów, którzy już wielokrotnie z powodzeniem rozwiązywali tego rodzaju sytuacje bez rozlewu krwi.

Uświadomiła sobie, że dalsza rozmowa z Lupulem nie ma sensu. Siedział na łóżku, bawiąc się telefonem, pociągając nosem i raz po raz popijając whiskey z butelki. Krótco po siódmej do pokoju przyszła rozmemłana kobieta i zabrała Anę-Marię do toalety. Potem poszła tam Katie, nie było jej jednak łatwo ściągnąć spodni i stringów ze związanymi rękami, musiała więc siedzieć przy otwartych drzwiach, podczas gdy Gheorghe opierał się o ścianę naprzeciwko, patrzył na nią i szczyrzył zęby w bezczelnym uśmiechu.

Gdy wróciła do pokoju, Lupul powiedział:

– Wy kłaść teraz. Spać.

Katie i Ana-Maria położyły się na podwójnym łóżku, a Lupul kazał Aleksowi przywiązać do ramy sznury, którymi miały skrupowane ręce.

– Proszę, to mnie naprawdę boli – protestowała Katie.

– Kto to obchodzić? Zamknąć jadać. Spać.

Przed północą Lupul opróżnił do końca butelkę whiskey. Upuścił telefon na podłogę i spał na plecach, głośno chrapiąc.

Zajrzał do nich Cathal Kilmartin – on również śmierdział alkoholem – zobaczył telefon na podłodze i stękając, pochylił się, by go podnieść.

– Miłych snów, dziewczęta – powiedział. – Karaluchy pod poduchy.

Potem wyłączył żarówkę pod sufitem i zamknął drzwi, więc jedynym źródłem światła pozostał pojedynczy zwój elektrycznego grzejnika.

– *Mătușă?* – wyszeptała Ana-Maria.

– Co tam, kochanie?

– *O să ne omoare?*

– Nie wiem, co to znaczy, Ano-Mario, ale nie martw się. Wkrótce pojawią się tutaj ludzie, którzy nas uratują, obiecuję ci.

– *Lupul mi-a omorât mumia, nu-i așa?*

Katie domyśliła się, co mogą oznaczać te słowa. Ana-Maria pytała, czy Lupul zamordował jej matkę.

– Spróbuj się przespać – poprosiła dziewczynkę. – Będziemy się tym martwić jutro.

Czuła się poobijana, wyczerpana i zdezorientowana, jakby trafiła do dziwnego, surrealistycznego świata, gdzie nic nie miało sensu. Zamknęła oczy, choć przypuszczała, że i tak nie uda się jej zasnąć. Aleks przywiązał ją pod dziwnym kątem, tak że nasada jej dłoni naciskała mocno na metalową ramę łóżka.

Pomodliła się o ratunek – bezgłośnie, ale układając usta do poszczególnych słów, tak by Bóg widział, co mówi.

## Rozdział 53

Pół godziny przed północą detektyw komisarz Fitzpatrick wciąż był w pokoju łączności. Wszystkie komisariaty policji w regionach południowych i wschodnich zostały poinformowane, że porwano Katie i Anę-Marię. Na większości głównych dróg rozstawiono blokady, ale jak dotąd poszukiwania nie przyniosły rezultatu.

Volvo, którym odjechały spod domu Flynnów, znaleziono przy hotelu Clayton Silver Springs, ale widok z kamer monitoringu nie obejmował tego fragmentu parkingu, więc nie mieli pojęcia, w jakim pojeździe mogą teraz jechać porwane. Wydawało się całkiem prawdopodobne, że zamiast opuścić Silver Springs główną szosą, porywacze skręcili w prawo, na Lover's Walk, stromą i bardzo wąską ulicę, na której również nie było kamer aż do Luke's Cross. Z Lover's Walk mogli pojechać w każdym niemal kierunku, w górę lub w dół wielu krętych bocznych dróg – na wschód do Mayfield, na północ do Fermoy lub na zachód do Blackpool.

Do pokoju wszedł detektyw O'Donovan, przeciągając się i rozcierając twarz po dwugodzinnej drzemce. Zaczął dyżur o siódmej rano, a gdy zasnął przy swoim biurku, Fitzpatrick kazał mu zrobić sobie przerwę.

– Coś się zmieniło? – spytał O'Donovan.

Fitzpatrick pokręcił głową.

– Przynajmniej wiemy, że zabrał ich Lupul. Teraz już wiadomo, że to nie on spalił się podczas pożaru. Ale niewiele z tego dla nas wynika. Nie mamy pojęcia, dokąd mógł pojechać. W telefonach jego zabitych kumpli były tylko esemesy o odbiorze pieniędzy albo narkotyków i rumuńskie pornole. Nikt też nie widział go ostatnio w mieście.

– A co z żebrakami? Nie mieli żadnego pomysłu?

– Żartujesz! Owszem, wysłałem Cullena i Walsh z tłumaczem do kościoła Świętego Dunstana, żeby jeszcze raz wypyтали wszystkich Rumunów, czy nie wiedzą, gdzie się może ukrywać Lupul, ale nawet jeśli wiedzą, to nie chcą mówić. Moim zdaniem za bardzo się boją, odkąd się okazało, że on żyje.

– Idę po kawę – rzucił O'Donovan. – Przynieść ci też?

Jednak w tym momencie do pokoju wszedł Bill Phinner. Był w rozciągniętym zielonym zapinanym swetrze, pod którym miał coś, co wyglądało na pasiastą piżamę. Trzymał niebieską foliową teczkę na dokumenty.

– Bill – zdziwił się Fitzpatrick. – Myślałem, że dawno już pojechałeś do domu.

– Owszem. Ale zostawiłem to na biurku nadkomisarz Maguire, żeby mogła sobie przejrzeć, jak tylko wróci. Zadzwoiłem do niej pół godziny temu, bo chciałem się dowiedzieć, czy zdążyła choć rzucić okiem, i wtedy właśnie sierżant O’Farrell powiedział mi, że porwał ją Lupul. – Położył teczkę na biurku przed monitorami i otworzył ją. Zawierała co najmniej piętnaście zdjęć o wymiarach pięć na dziesięć centymetrów. Wszystkie były czarne, choć dało się na nich dostrzec jakieś ledwie widoczne białe napisy. – To strony z notesu, który znaleźliśmy w spalonym domu Lupula przy Alexandra Road. Notes prawie całkiem się spalił, ale jak widzicie, udało nam się sporo uratować. Na szczęście wszystkie notki napisano długopisem, który zawsze zostawia wyraźniejszy ślad niż pióro czy flamaster.

– Więc jak się wam udało to odczytać?

– Sfotografowaliśmy każdą stronę w podczerwieni. Intensywność odbitych promieni zależy od tego, pod jakim kątem światło pada na daną powierzchnię. Próbowaliśmy oświetlać te strony pod różnymi kątami, żeby sprawdzić, kiedy pojawia się największy kontrast między pismem i papierem.

– Nie wiem, czy do końca cię zrozumiałem – mruknął Fitzpatrick. – Więc co tam jest właściwie napisane?

Bill Phinner podał mu pierwsze zdjęcie z pliku.

– Część jest po rumuńsku, ale to nie ma większego znaczenia, bo chodzi głównie o liczby. To książka rachunkowa Lupula. Ma tutaj kompletną listę wszystkich żebraków, nazwiska, miejsca, gdzie żebrali, i ile każdy z nich zarobił danego dnia. Możecie się przekonać, że facet, który przejął miejsce pod Savoy Centre, zarabiał tam prawie dwa razy więcej niż w poprzednim punkcie, czyli przy Marlboro Street.

– W porządku... To może być przydatny materiał dowodowy, jeśli złapiemy Lupula.

– Tak, ale to jeszcze nie wszystko. Na tej stronie wypisał koszty. Spójrzcie tylko na pierwszy, na samej górze.

*Pentru E. Buckley, pentru Sorina Bălescu, 250 €.*

Phinner przeczytał głośno ten napis.

– Sorina Bălescu to matka Any-Marii – zauważył detektyw O’Donovan. – Nie rozpisywał się może za bardzo, ale to z pewnością dowód, że Lupul znał Buckleya. Dlaczego miałyby płacić Buckleyowi dwieście pięćdziesiąt euro, jeśli nie po to, żeby się jej pozbyć? Ciekawe, czy rzeczywiście ją zmielił, kłamliwy gnojek...

– Patrzcie na następny punkt – kontynuował Bill Phinner.

*Pentru E. Buckley, pentru femeia Cook St, 275 €.*

– Chodzi pewnie o tę młodą kobietę, Máire O'Connor, która zaginęła na Cook Street. Najwyraźniej zapłacił Buckleyowi, żeby i jej zwłoki zniknęły bez śladu.

– A wiemy też na pewno, że chciał się pozbyć ciała Vasilego Deaca – wtrącił Fitzpatrick. – Nie widzę żadnego innego powodu, dla którego miałyby go wkładać do chłodni.

– Jasne, ale najważniejszy wpis jest chyba tutaj – odezwał się ponownie Bill Phinner.

*Pentru C. Kilmartin, Skibbereen, 2000 €.*

– Kilmartin... tak się nazywa ten facet, który prowadzi hodowlę świń koło Skibbereen, prawda? – powiedział O'Donovan. – No wiecie, tę na końcu drogi, którą Nick i Padragain jechali za Buckleyem tego wieczoru, kiedy napadnięto ich pod hotelem West Cork.

– O tym akurat nie wiedziałem – przyznał Bill Phinner. – Ale zastanawiałem się nad tym, dlaczego ktoś, kto prowadzi gang żebraczy w Cork, płaci taką kasę komuś ze Skibbereen? Chyba tylko po to, żeby ją tam wyprać. Tak czy inaczej, sprawdziłem wszystkich Kilmartinów w okolicy i jedynym, który pasuje do inicjałów, jest Cathal Kilmartin, właściciel hodowli świń na końcu Blackthorn Boreen.

– Wysłali ludzi z komendy w Skibbereen, żeby przesłuchali tego Kilmartina, prawda? – przypomniał sobie Fitzpatrick. – I sprawdzali jego hodowlę. Twierdził, że nie zna Buckleya. I nie znaleźli tam niczego podejrzanego.

– Zastanówcie się tylko – wtrącił Bill Phinner. – Gdzie można się pozbyć ciała tak, że nikt nie znajdzie jego śladów, nawet technicy kryminalistyczni? Nie w bagnie ani nie w rzece. Albo ktoś je kiedyś wykopie, albo samo wypłynie na powierzchnię. Można je spalić, ale wtedy zostanie popiół. Ale jeśli nakarmisz nim zwierzęta, przepadnie raz na zawsze. Na pewno czytaliście różne historie o mordercach, którzy karmią trupami świnie, żeby zatrzeć ślady. Moim zdaniem ten Lupul czytał te same książki.

– Ale jeśli nakarmił ciałem Soriny Bălescu świnie Kilmartina, to jak jej pierścionek trafił do mielonego mięsa w sklepie Buckleya?

Wszyscy spojrzeli po sobie, świadomi, że odpowiedź może być tylko jedna.

– Co za chory skurwysyn – mruknął O'Donovan.

– Nazywają to syndromem Sweeneya Todda – powiedział Bill Phinner. – Niektórzy czują perwersyjną przyjemność, karmiąc nieświadome ofiary ludzkim mięsem. Stawiam sto do jednego, że przywiózł trochę tego mięsa z hodowli świń i sprzedał w swoim sklepie razem z wieprzowiną. Zastępcza forma kanibalizmu. Założę się, że to go podniecało.

Fitzpatrick zabrał swoją kurtkę z oparcia krzesła.



– Nie wiemy jeszcze, jaki miał motyw, ale Lupul zamordował matkę Any-Marii, tego możemy być pewni. Teraz porwał samą dziewczynkę i nadkomisarz Maguire, więc musimy zakładać, że ich także zechce się pozbyć, jeśli jeszcze tego nie zrobił. Najpierw jedźmy do Skibbereen, i to szybko. Obudzę tamtejszego komendanta O'She, żeby jak najszybciej zebrał zespół i wysłał go do tej hodowli.

– A jeżeli nadkomisarz Maguire i tej małej już tam nie ma? – zapytał O'Donovan.

– Wtedy przynajmniej będziemy mieli pewność, że nie nakarmiono nimi świń.

– Jezu, a jeśli jednak nakarmiono?

– Wtedy nie będę za siebie odpowiadał, mogę wam to obiecać.

\* \* \*

Katie raz po raz zasypiała, budziła się i znów zapadała w sen. Zdrętwiały jej ręce i mimo grzejnika zziębła do tego stopnia, że śniło się jej, że umarła i leży w jednej z szuflad w prosektorium doktor Kelley. Patolożka wysunęła jej szufladę, spojrzała na nią obojętnie, po czym z powrotem wsunęła na miejsce.

Śniła też o Conorze. Znów byli na plaży w Garrettstown. Było pochmurne popołudnie, robiło się ciemno. Conor stał odwrócony do niej plecami, miał postawiony kołnierz i z jakiegoś powodu nie chciał się do niej odwrócić. „Con!”, krzyczała raz za razem, lecz szum morza zagłuszał jej słowa, a gdy próbowała do niego podbiec, Barney skakał na nią i plątał się między jej stopami, zatrzymując ją w miejscu.

Nagle otworzyła oczy. Przez ułamek sekundy nie wiedziała, gdzie jest. Odwróciła głowę i zobaczyła, że Ana-Maria już nie leży obok niej. To musiały być te podskoki i szturchańce, które czuła przez sen. W bladym blasku grzałki zobaczyła, że Ana-Maria zdołała wyswobodzić ręce z pęt i teraz stała przy łóżku Lupula.

Podniosła bezprzewodową wiertarkę i trzymała ją w obu dłoniach nad głową mężczyzny. Lupul, pogrążony w głębokim pijackim śnie, jej nie widział. Miał otwarte usta i chrapał, głośno i nierówno. Przypominało to zgrzyt piły przegryzającej się powoli przez arkusz azbestu.

Katie nigdy nie widziała takiego wyrazu twarzy, jaki miała w tym momencie Ana-Maria, a już na pewno nie u dziewięciolatki. Przypominała po części oblicze świętej, bladej Madonny z przydrożnej kapliczki, lecz oczy dziewczynki były szeroko otwarte i szkliste, jakby Madonnę objął w posiadanie demon.

– Ano-Mario – odezwała się Katie cicho, żeby nie obudzić Lupula. Był tak pijany, że Bóg jeden wiedział, co by zrobił, jeśli by zobaczył, że

dziewczynka się uwolniła i zabrała jego wiertarkę.

Mała, skupiona wyłącznie na nim, zignorowała Katie. Opuściła wiertarkę, aż czubek wiertła celował prosto między jego zmierzwione brwi.

– Ano-Mario, nie! – krzyknęła Katie, lecz dziewczynka nacisnęła spust i wwierciła się prosto w czoło Lupula. Napierała na narzędzie z całych sił, aż wiertło ze zgrzytem wbiło się w czaszkę do samego końca, a uchwyt wyrzucił w powietrze krwawą wstążkę skóry.

Lupul wydał przeraźliwy krzyk i próbował usiąść prosto, lecz Ana-Maria wyjęła wiertło spomiędzy jego brwi i wbiła w środek czoła, tuż pod linią siwych włosów. Z pierwszego otworu wypływał mózg mężczyzny, lśniący i beżowy niczym francuska musztarda, przetykany pasmami krwi. Lupul wymachiwał rękami i nogami, ale Ana-Maria przycisnęła kolaniem jego ramię. Zdołała się wwiercić w czaszkę po raz drugi, ale wkrótce wiertło się zablokowało, więc wypuściła narzędzie. Z czoła mężczyzny zwieszała się ciężka wiertarka z akumulatorem.

Charcząc z bólu i szoku, stoczył się z łóżka i runął ciężko na podłogę. Wciąż próbował wyjąć wiertło z głowy, lecz nie mógł skoordynować ruchów i zapanować nad drżeniem rąk.

Ana-Maria stała nieruchomo, z rękami spuszczoneymi przy bokach, i obserwowała go. Ani na moment nie odrywała spojrzenia od mężczyzny; zachowywała jednak całkowicie obojętną minę, jakby właśnie spryskała środkiem owadobójczym osę i przyglądała się beznamiętnie jej śmierci.

Drzwi pokoju otworzyły się z trzaskiem. Stał w nich Cathal Kilmartin w poplamionej białej koszuli nocnej. Wciąż był pijany, musiał więc przytrzymać się klamki, by nie upaść.

– Co jest, kurwa? – wybełkotał. Potem pochylił się i zobaczył Lupula leżącego na boku i próbującego bezskutecznie wyciągnąć wiertło z głowy. – Jezu, co się tu, kurwa, dzieje?

Za jego plecami pojawił się Aleks, również pijany.

– Na miłość boską, nie stójcie tak! – krzyknęła na nich Katie. – Dzwoncie po karetkę! Ten człowiek umrze, jeśli tego nie zrobicie!

– Co on robi? – Cathal Kilmartin zamrugał nieprzytomnie. – Czemu ma w głowie pieprzoną wiertarkę, kurwa? Dragos? Dragos! Czy ty się chcesz zabić czy co, ty pierdolony idioto?

– Zadzwoń pod sto dwanaście! – warknęła na niego Katie. – Zadzwoń po karetkę! Powiedz im, że to bardzo pilna sprawa.

Aleks chwiał się na boki.

– Nie, kurwa, nie. Karetka przyjechać, policja przyjechać. Ja iść. Iść stąd. Gheorghe! Gheorghe! *Trezește-te!* Idziemy! – zawołał i odszedł chwiejnym krokiem w ciemność.

Kilmartin wciąż stał w drzwiach i próbował zrozumieć, co się właściwie dzieje. Kilka sekund później zza jego ramienia wyrzała rozmemłana kobieta, otulając się szlafrokiem z różowego atlasu.

– Matko Przenajświętsza! – powiedziała głosem zachrypniętym po dziesięcioleciach palenia. – Cathal, z drogi, ty grubasie! Jezu, w coś ty się wpakował, chłopie!

– Rozwiąż mnie, dobrze? – poprosiła Katie. – Ten człowiek potrzebuje pierwszej pomocy i karetki.

Kobieta uklękła na łóżku, aż zajęczały pod nią sprężyny. Pochyliła się i zaczęła szarpać za sznurek oplatający nadgarstki Katie. Roztaczała wokół siebie zapach papierosów i słodkich perfum, a jej piersi objęły się raz po raz o biodro Katie, gdy mocowała się z kolejnymi węzłami.

– Co ten pieprzony idiota robi z tą wiertarką? Ile razy mówiłam Cathalowi, żeby dał sobie spokój z tymi pieprzonymi Rumunami.

– Byli dla nas dobrzy, dziewczyno, nie możesz zaprzeczyć – wybełkotał jej mąż. – Kto inny dałby nam tyle kasy tylko za to, żebyśmy nic nie mówili?

– Och, zamknij gębę, ty cholerny kretynie.

W końcu Katie mogła wstać z łóżka.

– Proszę zadzwonić pod sto dwanaście, dobrze? – zwróciła się do kobiety.

Gospodyni wyduła usta z irytacją.

– Robię to tylko dlatego, że te pieprzone kutasy są całkiem popierdolone – burknęła. – Gorsze niż dzieci, cholera.

Wyszła, by zadzwonić, stukając przy tym kapciami i kaszląc głośno. Katie uklękła przy Lupulu. Miał na wpół otwarte oczy i wciąż oddychał, ale już się nie ruszał. Przycisnęła dwa palce do jego szyi, szukając pulsu. Był powolny, ale uznała, że nie musi przeprowadzać resuscytacji. Ostrożnie podniosła ciężką wiertarkę i przekręciła uchwyt, uwalniając wiertło. Wystawało teraz z czoła Lupula na jakieś cztery centymetry, nie próbowała go jednak wyciągać, by jeszcze bardziej nie uszkodzić tkanki. Spojrzała na Anę-Marię, która obejmowała się mocno rękami, jakby nagle zrobiło jej się bardzo zimno albo rozpaczliwie potrzebowała, by ktoś ją przytulił.

Kobieta wróciła z salonu, trzymając w dłoni komórkę.

– Powiedzieli, że będą za dziesięć minut. Najpierw wyślą karetkę. Mówili, żeby go okryć i nie ruszać.

– O Boże, zaraz się przez niego porzygam – jęknął Cathal Kilmartin. – Wszystko się we mnie kotłuje, zaraz wybuchnie jak jakaś pieprzona Etna. – Ruszył w stronę toalety, objijając się ramionami o ściany po obu stronach korytarza.

Katie wstała i wyciągnęła rękę po telefon kobiety. Gospodyni znów zanosła się kaszlem, po czym podała jej aparat.

– Proszę, dziewczyno. Ale powiedz gliniarzom, że ja nie miałam nic wspólnego z tym gównem.

Wyjęła z kieszeni paczkę marlboro i przystawiła jeden z papierosów do rozżarzonego pałaka grzejnika.

Katie objęła ramieniem Anę-Marię i przytuliła ją mocno. Jednocześnie dzwoniła na Anglesea Street. Oczy dziewczynki były wypełnione łzami, ale nie płakała. Boże jedyny, pomyślała Katie, kołysząc ją łagodnie. Masz dopiero dziewięć lat, ale tej nocy nauczyłaś się walczyć jak kobieta.

\* \* \*

Dyżurny na komendzie przy Anglesea Street poprosił Katie, by chwilę poczekała, i połączył ją z komisarzem Fitzpatrickiem.

– Robert? Dzwonię tylko, żeby ci powiedzieć, że jesteśmy bezpieczne, ja i Ana-Maria.

– Bogu dzięki.

– Lupul zabrał nas aż do Skibbereen, do hodowli świń Kilmartina, kilka kilometrów na zachód od mostu nad rzeką Ilen. Jak mówiłam, nic już nam nie grozi, ale Lupul jest w kiepskim stanie. Wezwaliśmy do niego karetkę.

– Wszyscy odetchnęliśmy z ulgą, naprawdę. Także dlatego, że sami też jesteśmy tuż przy hodowli Kilmartina. Jedziemy tą gruntową drogą i za moment będziemy na miejscu.

– Co? Żartujesz!

– Wyjdź na zewnątrz i zobacz. Przejeżdżamy właśnie przez bramę.

Katie wzięła Anę-Marię za rękę, a kobieta w szlafroku odsunęła się na bok, gdy przeszły obok niej i otworzyły drzwi. Na teren farmy wjeżdżały właśnie trzy radiowozy i dwa nieoznakowane samochody. Żwir chrzęścił głośno pod ich kołami, a światła reflektorów omiatały chlewy i ściany domu.

Katie i Ana-Maria stały na ganku, gdy Fitzpatrick i O'Donovan zmierzali w ich stronę, wypuszczając z ust kłęby pary. Fitzpatrick podszedł do Katie i spojrzał na nią tymi swoimi szarymi oczami, które nigdy nie zdradzały żadnych emocji.

– Tak się cieszę, że nic ci się nie stało... żadnej z was.

Skinęła głową i przygryzła wargę. Szkolenie w akademii Templemore nie obejmowało takich sytuacji, ale wiedziała, że nadkomisarzom nie wypada płakać – przynajmniej nie w obecności innych funkcjonariuszy Garda Síochána.

## Rozdział 54

W drodze powrotnej do Cork, siedząc z Aną-Marią na tyle samochodu Fitzpatricka, Katie próbowała dodzwonić się do Conora. Wybierała zarówno numer komórki, jak i telefonu stacjonarnego. Dzwoniła wielokrotnie, raz za razem, ale Conor nie odbierał. Przypuszczała, że zapomniał naładować komórkę albo spędzał noc poza domem. Albo upił się do nieprzytomności, jak Lupul.

Kiedy jechali przez Bandon, Fitzpatrick odebrał SMS od funkcjonariusza, który został w hodowli świń. Dzięki temu dowiedzieli się, że karetka zabrała Lupula i że ze względu na poważne obrażenia mózgu przetransportowano go prosto do szpitala uniwersyteckiego w Cork.

Cathal Kilmartin oraz jego żona zostali aresztowani i przewiezieni do komendy w Clonakilty, choć prawdopodobnie wkrótce i tak mieli trafić stamtąd na Anglesea Street.

Niecałe piętnaście minut później, gdy dojeżdżali do Halfway, otrzymali wiadomość, że Aleks i Gheorghe również zostali aresztowani. Próbowali uciekać na północ, do Ballydehob, ale wjechali po pijanemu do rowu.

Nim dotarli na Anglesea Street, Katie jeszcze dwukrotnie próbowała się dodzwonić do Conora, lecz nadal nie odbierał.

– Jedziemy najpierw do Cobh? – spytał komisarz Fitzpatrick, odwracając głowę.

– Jeszcze nie. Zanim pojedę do domu, powinniśmy najpierw zorganizować przynajmniej wstępną odprawę. Która to godzina? Za pięć ósma... Spotkajmy się więc o dziewiątej. Robert, możesz powiadomić o wszystkim komendanta O’Kane’a i Pearse’a? I Mathew McElveya. Musimy wspólnie ustalić, jak przedstawimy to mediom.

Wszyscy razem weszli po schodach do recepcji, a detektyw O’Donovan poszedł znaleźć jakiegoś funkcjonariusza, który odwiózłby Anę-Marię do Glanmire. Katie uściskała dziewczynkę i pogładziła ją czule po głowie. Ana-Maria była chorobliwie blada, wciąż drżała na całym ciele, zszokowana tym, co zrobiła. Katie była pewna, że w najbliższym czasie małej Rumunce będzie potrzebna pomoc psychologa. Teraz jednak potrzebowała przede wszystkim czułości, wsparcia, ciepła i długiego kojącego snu.

– *Mătușă?* – odezwała się żalonym tonem.

– Wszystko w porządku, kochanie. To była trudna noc, ale teraz już nic ci nie grozi. Posłuchaj, ta miła pani zawiezie cię z powrotem do domu Sadhbh i Michaela. Przyjadę do ciebie jutro, kiedy już wszyscy odpoczniemy.

\* \* \*

Katie wzięła długi, gorący prysznic, a potem przebrała się w kremową bawełnianą bluzkę, granatowy sweter i czarne spodnie. Mimo to wciąż miała wrażenie, że bije od niej smród papierosowego dymu, więc spryskała się wodą o zapachu żyta i pierwiosnków.

Raz jeszcze spróbowała skontaktować się z Conorem. Nadal nie odbierał, ale gdy zadzwoniła pod numer domowy, słuchawkę podniosła Jenny Tierney, jej sąsiadka.

– Jenny, tu Kathleen. Jest tam gdzieś przypadkiem Conor?

– Nie, nie ma go tutaj, Kathleen. I chyba nie było go w domu od wczoraj. Właśnie przyszłam zabrać Barneya i Foltchain na spacer. Wygląda na to, że od dawna nic nie piły ani nie jadły, a na dodatek napaskudziły trochę na podłodze w kuchni.

– Och... Conor nie zostawił żadnej wiadomości?

– Na razie niczego takiego nie znalazłam.

– Muszę iść teraz na spotkanie, Jenny, ale wrócę do domu za jakąś godzinę, może trochę później. Nie przejmuj się tym paskudztwem w kuchni. Załatwię to zaraz po powrocie.

– To żaden problem, Kathleen. Sprzątałam już gorsze rzeczy. Pamiętaj, że pracowałam w domu spokojnej starości w Youghal.

Katie zakończyła rozmowę. Nie mogła zrozumieć, dlaczego Conor nie odbiera telefonu ani nie próbuje się z nią skontaktować. Zwykle dzwonił do niej dwa albo trzy razy dziennie, by spytać, jak się czuje, co ma ochotę zjeść na kolację albo czy nie chce pójść do restauracji. Ostatnio dzwonił nawet jeszcze częściej, bo się nudził.

Zeszła do sali odpraw. Fitzpatrick już tam był, podobnie jak zastępca komendanta Pearse, komisarz O'Rourke oraz siedmioro członków jej zespołu, w tym detektywi sierżanci Ni Nuallán i Begley oraz detektywi O'Donovan, Walsh, Cullen, O'Crean i Caffrey.

– Przede wszystkim chciałam wam wszystkim podziękować za to, że tak szybko przyjechaliście do Skibbereen, by nas ratować – zaczęła Katie. – Bogu dzięki, że zaufaliście instynktowi, choć zawsze mówię wam, żebyście nie kierowali się przeczuciami. Detektyw komisarz Fitzpatrick powiedział mi, jak zdołaliście nas znaleźć, a kiedy zobaczę się z Billem Phinnerem i jego technikami, również im podziękuję.

Fitzpatrick podniósł rękę.

– Chciałem dodać, że mam też inne, bardziej pozytywne, wiadomości – powiedział. – Przesłuchaliśmy ponownie Eamona Buckleya i Thomasa Barry’ego, korzystając tym razem z informacji zawartych w notesie Lupula.

– I? Co mieli do powiedzenia?

– Buckley nie chciał odpowiadać na żadne pytania bez swojego prawnika, ale młody Barry był bardziej pomocny. Płakał jak dziecko i mówił, że nie chce spędzić reszty życia w więzieniu. Przyznał, że dwukrotnie pomagał Buckleyowi przewozić ludzkie zwłoki do hodowli Kilmartina. Nie potrafił ich opisać, bo były owinięte czarnymi workami, ale widział jasne włosy i stopy i jest pewien, że w obu przypadkach były to kobiety.

Katie skinęła głową.

– Jedna z nich to najprawdopodobniej matka Any-Marii, a druga to może Máire O’Connor, ta młoda narkomanka, która nocowała na Cook Street. Wciąż nie wiemy, co się z nią stało.

– Barry mówił, że przenosili ciała do szopy na tyłach chlewni. Był tam stół rzeźnicki, bojler i przemysłowa maszyna do mielenia mięsa i kości. Powiedział, że początkowo myślał, że to pralka, bo nigdy wcześniej nie widział równie dużej maszynki do mięsa.

– Matko Boska... – Katie pokręciła głową. – Dlaczego policjanci z komendy w Skibbereen nie zwrócili na nią uwagi, kiedy przeszukiwali hodowlę? Mówili mi, że nie znaleźli niczego podejrzanego.

– Cóż, taka maszyna to w takim miejscu normalne wyposażenie. Mielą w niej paszę dla świń.

– Czy Barry widział, jak jego szef pozbywa się ciał?

– Nie. Buckley kazał mu wejść do domu i oglądać telewizję, dopóki nie skończy. Podobno zajęło mu to w sumie niemal dwie godziny. Kiedy Buckley wyszedł z szopy, jego fartuch był cały poplamiony krwią. Niósł też duże pudło z białego plastiku, takie, w jakim dostawcy przywożą im mięso.

– Barry nie wiedział, co jest w tym pudle? Musiał się chyba domyślać.

– Owszem, domyślał się. Ale tak bardzo bał się Buckleya, że nie śmiał nawet pisnąć. Był pewien, że gdyby to zrobił, Buckley by go zabił i on też skończyłby jako mielone mięso.

– Doskonale, Robert – powiedziała Katie. – Skontaktuj się z prawniczką Barry’ego i każ mu powtórzyć to wszystko w jej obecności, słowo w słowo, bo na podstawie tych zeznań oskarżymy Buckleya o zabójstwo. Zadzwoń też do adwokata Buckleya, Franka Lyonsa, i przekaz mu te dobre wieści. Nadęty buc... Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę jego minę.

Katie opowiedziała ze szczegółami, jak je porwano i uwięziono, a na koniec opisała, jak Ana-Maria wwierciała się w czaszkę Lupula. Kyna skrzywiła się, a O'Donovan kręcił głową, bo widział na własne oczy obrażenia Rumuna.

Później Fitzpatrick przedstawił pokrótce treść zapisków z notesu Lupula.

– Mamy więc bardzo mocne dowody – podsumowała Katie. – Opracuję je wszystkie tak, byśmy mogli przedstawić całą sprawę w sądzie. Jeśli do tego znajdziemy jeszcze DNA Soriny Bălescu i Máire O'Connor w maszynie do mielenia mięsa Kilmartina albo na stole rzeźnickim czy gdziekolwiek indziej w jego hodowli, wynik procesu będzie przesądzony.

– Rozmawiałem z komendantem O'She ze Skibbereen. Mówi, że posiadłość Kilmartina jest odgradzona taśmą i zamknięta dla postronnych osób – oznajmił O'Donovan. – Poprosił jakiegoś rolnika z okolicy, by karmił świnię. Jest ich tam ponad czterdzieści i nie możemy dopuścić, żeby one też poumierały. Przynajmniej nie za wcześnie.

– Poproszę Billa Phinnera, żeby wysłał tam swoich ludzi, gdy tylko skończą pracować tutaj – powiedziała Katie. – Ta hodowla jest okropnie zapuszczona, więc Kilmartin prawdopodobnie nie zdążył usunąć wszystkich śladów. – Zobaczyła w wejściu komendanta O'Kane'a i zaprosiła go gestem, by do nich dołączył, lecz pozostał za drzwiami, czekając na koniec odprawy. Pewnie słyszał wszystko, o czym mówili, ale dlaczego nie chciał wejść? – Panie komendancie? – powiedziała, wychodząc z sali.

Wydawał się wyjątkowo ponury; jeszcze nie widziała go w takim nastroju.

– Chodźmy do mnie, Katie – odparł i nie była to prośba.

– Co się stało?

Nie odpowiedział. W milczeniu przeszedł do swojego gabinetu, otworzył drzwi i przepuścił ją przodem.

– Lepiej usiądź – powiedział.

Katie czuła, jak ogarnia ją paraliżujący strach. Zachowanie Brendana przypominało jej wszystkie te sytuacje, gdy jeszcze jako mundurowa pukała do drzwi obcych domów, by poinformować żonę, że jej mąż zginął w wypadku samochodowym, lub powiedzieć rodzicom, że ich dziecko utonęło.

Nie usiadła. Musiała stać, by zachować siły.

– Chodzi o Conora, prawda?

Skinął głową.

– Tak.

Słuchała w bolesnym odrętwieniu, kiedy tłumaczył jej, co się stało. Niecałą godzinę wcześniej do Foggy Fields przyjechał listonosz z paczką.



Zobaczył, że frontowe okno jest rozbite, a na podjeździe leży szkło. Wysłano tam dwóch funkcjonariuszy Garda Síochána z Midleton i znaleźli pod land roverem tułów Caoilfhoinn. Gdy zajrzeli do wnętrza domu, zobaczyli szczątki innych ludzi, choć były tak zmasakrowane, że nie potrafili doliczyć się ofiar.

– Niedaleko, przy drodze dojazdowej, stał SUV audi – ciągnął komendant. – Był otwarty, a na fotelu kierowcy leżał list. Zaadresowany do ciebie.

Katie czuła, że zaczyna się jej kręcić w głowie, ale wciąż nie chciała usiąść.

– Otworzyli go?

– Tak. Zrobili to ze względu na wyjątkowe okoliczności.

– Co było w nim napisane?

– Wkrótce go tutaj przywiozą, więc sama zobaczysz. Ale mówiąc krótko, to list pożegnalny samobójcy. Z podpisem *Conor*.

– Rozumiem.

– Sprawdzili numery audi. Okazało się, że jest zarejestrowane na Conora Ó Máille’a zameldowanego w Limerick.

– To Conor, tak – potwierdziła Katie. Wzięła trzy głębokie oddechy. – Co tam się wydarzyło ich zdaniem? Z opisu wygląda to na wybuch bomby.

– Tak. Wezwali saperów z Collins Barracks i straż pożarną z Ballyvolane, oczywiście sprowadzą też techników. Poinformowałem detektywa komisarza Mullikena, że może rozpocząć śledztwo w twoim imieniu. – Po krótkiej pauzie dodał: – Po tym, co przeszłaś ostatniej nocy, z pewnością nie chciałabyś zajmować się tym osobiście.

Katie podniosła na niego wzrok i przełknęła z trudem ślinę. Nadkomisarze Garda Síochána nie płaczą. Nie w obecności funkcjonariuszy Garda Síochána i nie w obecności byłych kochanków.

– List – powiedziała krótko.

– Oczywiście. Dopilnuję, żeby do ciebie trafił, gdy tylko go przywiozą. Co chcesz teraz robić? Wrócić do domu?

– Muszę się napić.

Bez słowa podszedł do szafki przy oknie, otworzył ją i wyjął butelkę smirnoffa. Nalał pół szklanki i podał ją Katie.

– Niestety, nie mam lodu, ale mogę ci przynieść, jeśli chcesz.

Katie pokręciła głową i podniosła szklanę.

– *Sláinte mhaith*, Con – powiedziała. Wzięła łyk czystej wódki, zamknęła na moment oczy i przełknęła.

\* \* \*

Jakieś dziesięć minut później rozległo się pukanie do drzwi gabinetu komendanta. Wszedł sierżant O'Farrell z białą kopertą zamkniętą w foliowej torebce na dowody.

– Miałem to przekazać pani nadkomisarz.

Katie siedziała teraz przy oknie. Brendan zajął miejsce obok niej i położył rękę na oparciu kanapy. Oboje milczeli, ale komendant patrzył na nią ciepło, a niczego więcej teraz nie potrzebowała.

– Dzięki, Ryan – powiedziała. Wyjęła kopertę z torebki i otworzyła ją. List został napisany na jej papierze firmowym z Carrig View.

*Moja kochana Katie, nie proszę Cię o przebaczenie, bo wiem, że uznasz to, co zrobiłem, za niewybaczalne.*

Opuściła rękę, w której trzymała list, wzięła głęboki oddech i podniosła pustą szklankę. Brendan przyniósł butelkę i napełnił szklankę wódką.

*Nigdy nie wiemy, co szykuje dla nas Wszchemogący, ale zawsze uważałem, że dostajemy od Niego to, na co zasługujemy. Starłem się czynić w życiu dobro, pomagać zwierzętom, lecz robiąc to, zbyt często ignorowałem ludzi, którzy jeszcze bardziej potrzebowali mojej pomocy i miłości.*

*Bóg przypomniał mi o mojej obojętności i sprawił, że nie mogę zostać Twoim mężem i ojcem Twojego dziecka.*

*Przyjąłem ten Boży wyrok, ale kończąc życie, zadałem przynajmniej ostatni cios w walce o to, na czym tak bardzo mi zależało – o ochronę bezradnych zwierząt przed ludzkim okrucieństwem i chciwością.*

*Kocham Cię, Katie Maguire, i bez względu na to, gdzie teraz jestem, zawsze będę Cię nosił w sercu. Jesteś najbardziej niezwykłą kobietą, jaką kiedykolwiek znałem, łagodną i dobrą, a zarazem bardzo dzielną. Wiem, że masz dość sił, by znieść ból po tym, co Ci zrobiłem, i zapomnieć o moim istnieniu.*

*Twój kochający Conor*

Przeczytała list raz jeszcze, złożyła go i włożyła z powrotem do koperty. I to by było na tyle, jeśli chodzi o moje przyszłe życie i dziecko, którego nigdy nie będę miała.

– Dobrze się czujesz? – spytał Brendan. – Mogę coś dla ciebie zrobić? Chcesz, żebym do kogoś zadzwonił? Może do którejś z twoich sióstr?

– Nie, nie. Powiem im sama w odpowiednim czasie. Po prostu trudno mi uwierzyć, że człowiek, którego miałam poślubić, wysadził się

w powietrzu jak zamachowiec samobójca. Jezu, to byłoby nawet zabawne, gdyby nie było takie smutne.

– W porządku, jak sobie życzysz. Mam jeszcze trochę papierkowej roboty, ale to może poczekać. Ty jesteś ważniejsza.

Katie ponownie podsunęła mu szklanke.

– Jesteś pewna? – spytał.

– Muszę się trochę znieczulić, panie komendancie. A nie jestem jeszcze wystarczająco znieczulona, bo wymawiam poprawnie słowo „komendancie”. I „wystarczająco”.

Brendan ponownie napełnił jej szklanke.

– Możesz mówić do mnie po imieniu – zaproponował. – Choćby tylko dziś.

– Tak jest, panie komendancie. To bardzo miłe z pańskiej strony.

Wciąż siedziała przy oknie, kiedy do gabinetu weszła Kyna. Podeszła do Katie i stanęła przed nią, zaciskając mocno ręce, bo w naturalnym odruchu współczucia najchętniej wzięłaby ją w objęcia, pocałowała i powiedziała, jak bardzo ją kocha i jak jest jej przykro z powodu Conora. Jednak w obecności komendanta musiała się hamować.

– Słyszałaś o Conie? – spytała ją Katie.

– Właśnie się dowiedziałam. To straszne. Nie wiem, co powiedzieć.

– Wszystko jedno, nie mów tylko, że odszedł z hukiem. – Katie podniosła szklanke, jakby wznosiła kolejny toast.

Kyna spojrzała na komendanta.

– Myślę, że nadkomisarz Maguire powinna już iść do domu, nie uważa pan? Zawiozę ją, jeśli trzeba.

Skinął głową.

– Tak, powinna. Ale sam ją zawiozę.

– Nie powinna już więcej pić.

Katie wypila ostatni łyk wódki i ponownie podniosła szklanke.

– Nie jesteś moją lekarką, Kyna. Choć nie miałabym nic przeciwko temu, żebyś nią była. To jak, wypijemy rozchodniaczka, Brendan? Śmiało, lej w szkło. Choć może lepiej nie wspominać o picciu po tym, co spotkało tego faceta. No wiesz, jak mu tam... Wazelina czy jakoś tak.

– Chyba nie skorzystam, Katie. Zawiozę cię teraz do Cobh. Na pewno poczujesz się lepiej, kiedy porządnie się wyśpisz.

– Nie przesadzaj, polej choć troszeczkę.

Brendan nalał jej odrobinę wódki i wypila ją jednym haustem.

– Chodźmy już – powiedział, biorąc ją pod ramię i pomagając jej wstać.

– Pójdę do gabinetu pani nadkomisarz i wezmę jej torebkę – zaproponowała Kyna. – Jej sąsiadka, pani Tierney, wyprowadza jej psy, kiedy pani nadkomisarz nie ma na to czasu. Powinien pan jej powiedzieć, że wróciła... żeby miała na nią oko.

– Jasne – odpowiedział Brendan, nie pytając jednak, skąd Kyna wie tak dużo o prywatnym życiu swej przełożonej.

Dziewczyna jeszcze przez chwilę stała w jego biurze i obserwowała, jak komendant pomaga chwiejącej się lekko Katie wyjść na korytarz. Choć Katie zdołała się powstrzymać od płaczu, Kyna miała łzy w oczach.

– Dobry Boże – wyszeptała. – Daj jej choć odrobinę szczęścia.

Potem poszła do gabinetu Katie po jej torebkę.

## Rozdział 55

Katie stała z zamkniętymi oczami, opierając się czołem o drzwi, podczas gdy Brendan szukał w jej torebce kluczy. Barney i Foltchain dawno już przybiegły do przedpokoju; teraz węszyły głośno i drapały łapami w drzwi, zastanawiając się zapewne, dlaczego ich pani tak się ślimaczy.

W końcu Brendan znalazł właściwy klucz i wszedł wraz z Katie do środka. Psy kręciły się między nimi, wymachując entuzjastycznie ogonami i obwąchując go podejrzliwie, gdy pomagał Katie przejść do sypialni.

– Wszystko w porządku, dzieci – powiedziała Katie. – Wszystko w porządku. Wasza mama trochę się tylko sponiewierała, to wszystko.

Gdy Brendan otworzył drzwi sypialni, zrobiła ostatnie trzy kroki i padła jak kłoda na łóżko.

– O Jessu... – wybełkotała.

– Posłuchaj, Katie. – Brendan westchnął ciężko, kucając obok łóżka, by znaleźć się w jej polu widzenia. – Zostanę tu na chwilę, na wypadek gdybyś wymiotowała czy coś w tym rodzaju. Mam ci coś przynieść? Może szklankę wody?

Spojrzała na niego nieprzytomnie.

– Nie, nic mi nie trzeba. Jesssem w domu, tak?

– Tak, jesteś w domu. Spróbuj się trochę przespać, potem na pewno poczujesz się lepiej.

– To moje łóżko? Bo czuję się, jakbym spała na łodzi. Dlaczego się kołysz w górę i w dół?

– To wina wódki, a nie łóżka. Za chwilę się uspokoi.

Zamknęła oczy i natychmiast pogrążyła się w pijackim śnie, nie wiedziała więc, że Brendan nie wyszedł od razu z sypialni, lecz stał obok łóżka, patrzył na nią i przygryzał w zamyśleniu knykięć.

Barney wsunął pysk za drzwi i zaskomlał żałośnie.

– Chodź, stary – powiedział Brendan. – Zamknę was w kuchni, żebyście nam nie przeszkadzały.

\* \* \*

Katie zaczęła śnić. Była znów na plaży w Garrettstown w ciepły, choć pochmurny dzień. Tym razem leżała na miękkim piasku między

wydmami, otoczona wysoką trawą, która szeleściła delikatnie na wietrze.

Conor przeszedł między wydmami i stanął nad nią. Powiedział coś, lecz jego głos był dziwnie przytłumiony i niewyraźny, więc nic nie zrozumiała.

– Con? – spytała. – O co chodzi, Con? Co się stało?

Nie odpowiedział. Uklęknął przed nią w piasku. Rozpiął jej spodnie i zaczął je zsuwać, centymetr po centymetrze, aż ściągnął je całkiem i odrzucił na bok. Potem zrobił to samo ze stringami i rozsunął jej nogi tak szeroko, że czuła powiew morskiej bryzy na wewnętrznych stronach ud. W końcu położył się na niej, rozsunął palcami wargi sromowe i wcisnął w nią sztywnego penisa.

– Con... – wyszeptała. – To cudowne. Widzisz, kochany, wcale nie jesteś eunuchem.

Wbił się w nią tak głęboko, że czuła jego włosy na sromie i jądra na pośladkach; było to tak podniecające, że cała drżała i raz po raz zaciskała mięśnie na jego gładkim twardym członku.

– O mój Boże, Con. Jest dokładnie tak jak przedtem. A nawet lepiej. Jest cudownie.

Podniosła ręce, objęła go i uściśnęła mocno. Wtedy właśnie poczuła, że jest nagi, choć nie widziała, by zdejmował ubrania. Nagle uświadomiła sobie, że dzieje się tutaj coś bardzo niedobrego. Podniosła głowę i otworzyła oczy. Gdy tylko jej wzrok przystosował się do blasku lampki nocnej, zrozumiała, że wcale nie leży między wydmami i że nie kocha się z Conem, lecz z Brendanem.

Kiedy była pogrążona w pijackim śnie, Brendan zdjął jej spodnie i majtki i podciągnął jej bluzkę aż do stanika, odsłaniając jej brzuch. Sam był zupełnie nagi, równie szczupły i umięśniony jak wtedy, gdy po raz ostatni widziała go bez ubrań. I miał te same pieprzyki na lewym ramieniu.

Zamykając oczy w miłosnym uniesieniu, wbijał się w nią raz po raz. Uderzyła go w twarz i z całej siły odepchnęła nogami; jego penis natychmiast z niej wyskoczył. Przez chwilę ona i Brendan wpatrywali się w siebie w milczeniu. Potem Katie przykryła się prześcieradłem, a on stanął na podłodze.

– Daj spokój, Katie, kiedyś byliśmy kochankami.

– Byliśmy, panie komendancie, dopóki mnie pan nie zdradził. A to, co zrobił pan teraz, to po prostu gwałt.

– Co? – oburzył się. – To była przyjacielska przysługa, wspomnienie minionych czasów. Nie możesz nazwać tego gwałtem, skoro byliśmy kiedyś kochankami.

– Ubierz się i wynoś się stąd!

Brendan podszedł do krzesła i sięgnął po swoje slipy.

– No dobrze, Katie. Może źle odczytałem sygnały, które wysyłałaś w moją stronę. Więc po prostu zapomnijmy o tym, dobrze?

– Sygnały? Jakie sygnały? Byłam kompletnie pijana. Nadal jestem, tyle że teraz jestem jeszcze wściekła. Spieprzaj stąd, zanim naprawdę się wkurzę.

Brendan włożył spodnie i zapiął koszulę.

– Na tym sprawa się skończy, prawda?

– Jak to „na tym się skończy”? Co masz na myśli?

– Nie będziesz składać żadnej oficjalnej skargi?

Katie usiadła prosto. Aż dygotała z wściekłości.

– Wczoraj wieczorem zostałam porwana, grożono mi śmiercią. W nocy widziałam, jak niewinna dziewczynka wierci facetowi dziurę w głowie. Dziś rano dowiedziałam się, że mój narzeczony wysadził się w powietrze razem z trójką innych ludzi. Z powodu tego wszystkiego jestem zszokowana i zdruzgotana, miałam więc pełne prawo się upić. A ty pomyślałaś, że to dobra okazja, by mnie wykorzystać i zgwałcić.

– Przepraszam – kajał się Brendan. – Jak już mówiłem, całkowicie opacznie zrozumiałem sytuację. Myślałem, że potrzebujesz czegoś w rodzaju emocjonalnego pocieszenia... wiesz chyba, co mam na myśli?

– Jeśli naprawdę uważasz, że „emocjonalne pocieszenie” oznacza pieprzenie kobiety, która jest tak załamana i rozbita, że nie wie, co się z nią dzieje, to mogę tylko powiedzieć, że jesteś najgłupszym, najżałośniejszym i najgorszym głąbem, jakiego kiedykolwiek spotkałam. A teraz wynoś się stąd.

Brendan wyszedł, trzymając w rękach swoje buty. Gdy tylko Katie usłyszała, jak zamykają się za nim drzwi frontowe, poszła do kuchni i wypuściła Barneya i Foltchain. Potem przeszła do salonu, gdzie obok kominka wisiało oprawione zdjęcie jej i Conora. Zrobili je w listopadzie, na terenie zamku Blarney Castle; oboje śmiali się na nim radośnie. Katie wpatrywała się w nie długo. Czuła, że powinna płakać, ale z jakiegoś powodu nie mogła. Wciąż tylko powracała myślami do ostatniego zdania jego listu. *Wiem, że jesteś dość silna, by znieść ból po tym, co Ci zrobiłem, i zapomnieć, że kiedykolwiek istniałem.*

\* \* \*

Następnego ranka niebo było czarne od burzowych chmur, a gdy jechała taksówką do miasta, o drogę bębnił gęsty grad. Moirin najwyraźniej dowiedziała się już o Conorze, bo gdy tylko Katie usiadła za biurkiem, przyniosła jej kawę.

– Bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało – powiedziała. – Wyrazy współczucia.

Pierwszym gościem, który odwiedził ją tego dnia, była Kyna.

– Jak głowa? – spytała.

– A jak myślisz? Czuję się tak, jakbym zamiast mózgu miała kowadło, na którym wszystkie młoty piekła kują podkowy.

Korciło ją, by powiedzieć Kynie o Brendanie, uznała jednak, że zanim podzieli się z kimkolwiek tą opowieścią, powinna ją sama przepracować. Mogła zgłosić Brendana do komisji etyki zawodowej albo mu zagrozić, że to zrobi, jeśli spróbuje zakłócać którekolwiek z jej śledstw czy też obciąć jej fundusze. Z drugiej strony, mogła zachować wszystko dla siebie.

– Dostałam wiadomość ze szpitala. Zoperowali Lupula wczoraj po południu, ale w nocy zmarł – poinformowała ją Kyna.

– Przyznam, że niespecjalnie mnie to smuci. No i oszczędzi nam kupę roboty.

Kyna zawahała się, po czym spytała:

– Nie miałabyś ochoty spotkać się ze mną dziś wieczorem? W jakimś spokojnym miejscu, gdzie nikt nas nie zna.

– Tak, chętnie – odparła Katie. – Pod warunkiem że jesteś gotowa słuchać moich jęków i marudzeń przez kilka godzin.

Kyna wyszła, a zaraz potem pojawił się Brendan, uśmiechnięty, elegancki i pachnący jak zawsze.

– Cześć, Katie, jak leci?

Katie opuściła wzrok na dokumenty pozostawione na jej biurku i zaczęła je przeglądać.

– Ma pan do mnie jakąś sprawę?

– Chciałem ci tylko powiedzieć, że dzwoniła do mnie z podziękowaniami Caoimhe O’Neill. Walter miał operację i oddycha już bez problemów. Jak się okazało, koszt operacji wyniósł tylko tysiąc pięćset euro.

Katie podniosła wzrok znad biurka.

– To dobrze. Ale to nie były pieniądze dla Waltera, prawda? Wydał je pan dla mnie, żeby mnie udobruchać. Powiem panu jedno, panie komendancie. Będzie to pana kosztować znacznie, znacznie więcej.